

DINAH JEFFERIES

# Roztaka

Powieść autorki bestsellera  
*Żona plantatora herbaty*

**Dinah Jefferies**

# **Rozłaka**

Tłumaczenie:  
Anna Sawisz

*Mojej matce i mojej córce*

# PROLOG

*1931, Weston-super-Mare, Anglia*

Mężczyzna przetarł łapy lwa gąbką zanurzoną uprzednio w kuble z wodą, po czym z przytroczonego do pasa skórzanego futerału wyciągnął nóż. Spojrzał na zamaryły w oczekiwaniu tłum, a następnie pochylił głowę i zaczął starannie ostrzyć pazury zwierzęcia.

Jakaś dziewczynka zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę, chcąc koniuszkiem palca dotknąć lwiej grzywy.

- Nie! - krzyknął człowiek, odpychając ją. - Nie teraz.

Zwiesiła na moment głowę, ale zaraz spojrzała przez ramię i zawstydzona uśmiechnęła się do stojącej z tyłu i przyglądającej się jej kobiety. Wróciła na miejsce i nadal nie spuszczała oczu ze zwierzęcia.

Wskutek nagłego podmuchu wiatru w powietrzu zaczęły wirować ziarenka piasku. Mężczyzna błyskawicznie zdmuchnął je z wilgotnego grzbietu dzikiej bestii.

Kobieta zadrzała. Miała krótko obcięte i starannie zaondulowane rudozłote włosy. Nosiła jasnoniebieską sukienkę przyzwoitej długości, obszytą u dołu szlaczkiem przedstawiającym o ton ciemniejsze od całości chabry. Od nagłego chłodu chronił ją jedynie cienki rozpinany sweterek z białej bawełny.

Zadowolony z ukończonego dzieła rzeźbiarz ukłonił się

i zaczął przedzierać przez tłum, nadstawiając odwrócony denkiem do dołu kapelusz. Kobieta przysłuchiwała się brzękowi wpadających do niego monet i sięgnęła do swojej torebki.

Z tyłu, na wybrukowanej kocimi łbami promenadzie zabębniły końskie kopyta, ale to nie ich dźwięk przykuwał uwagę kobiety. Wpatrywała się w dziewczynkę, która teraz klęczała na srebrzącym się w promieniach bladego słońca piasku i nabierała go garściami.

Gdy tłum zaczął się rozchodzić, szmer rozmów zmieszany z krzykami mew i szumem oceanicznych fal ustąpił odgłosem młotka uderzającego o metal. Kobieta obejrzała się na coś, co niegdyś było okazałym, eleganckim mołem, a z czego po pożarze został tylko powyginany metalowy szkielet. Poczła zapach marynowanych małż sercówek.

- Nie chce ci się jeść? - zapytała małą.

Dziewczynka pokręciła głową. Lekki rumieniec na jej policzkach wskazywał jednak, że nie do końca jest przekonana o słuszności takiej odpowiedzi.

- A co powiesz na kandyzowaną lukrecję?

Kobieta uklękła tuż za dzieckiem. Na tyle blisko, żeby poczuć słodki zapach włosów dziewczynki. Powoli i głęboko wciągała go w nozdrza i wydychała lekko drżącymi ustami. Wstała, strzepnęła piasek z kwiecistego rąbka sukni i wzięła małą za rękę.

- Chodź, pobiegamy, dobrze?

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i już po chwili ścigały się po plaży, rozkopując piach i muszelki, potykając się

i ślizgając, aż w końcu dobiegły do czekającej na nie zakonnicy.

Mniszka w głębi serca była czułą osobą. Z troską w oczach delikatnie dotknęła ramienia kobiety. Ot, taki przelotny dotyk, który ma zapewnić, że wymiana odbędzie się bez przeszkód, łez i zbędnych emocji. Dziecko odchyliło główkę i przeniosło baczące spojrzenie orzechowych oczu z jednej kobiety na drugą, po czym utkwilo wzrok w szeregu czerwonych i niebieskich flag okalających piaszczysty brzeg zatoki.

Dla kobiety ten dzień rozpoczął się ekscytacją i euforią. A teraz właśnie się kończył. Nie mogła oderwać oczu od szczupłej, wręcz kanciastej i patykowatej sylwetki dziecka. Pogłaskała je po kasztanowych włosach, chcąc zachować ten moment w pamięci.

Miała świadomość, że dziewczynka może go jednak odczuwać inaczej. Sięgając po latach pamięcią wstecz, nie będzie pewna, czy ten dzień, lew z piasku i ta kobieta nie stanowiły jedynie wytworu jej wyobraźni. Będzie się starała przypomnieć sobie szczegóły, ale być może zostanie tylko mglisty ich odbłysek – jakaś sukienka, uśmiech. I nic więcej. A kobieta będzie nadal skazana na dławiący żal.

– Chodź – powiedziała zakonnica, biorąc małą za rękę. – Musimy zdążyć na najbliższy tramwaj, bo inaczej ucieknie nam pociąg.

Kobieta w niebieskiej sukience cofnęła się o krok, po czym obejrzała się na wyrzeźbionego w złotym piasku lwa, który – zdawała sobie z tego sprawę – padnie ofiarą najbliższego przyływu.

# 1

1955, Malaje

Zza domu na palach nie było mnie widać. Ja natomiast mogłam je śledzić. Naszą *amah* – pomoc domową i Fleur, moją młodszą siostrę. Słyszałam stukot sandałów na patio – klip-klap, klip-klap – i szloch biegnącej Fleur. A potem odgłos, jaki wydawał ciągnięty za uszy po wysypanej kamyczkami ścieżce jej stary królik z różowego pluszu.

*Amah* trajkotała z chińskim akcentem:

– Wracać tu natychmiast, panienko. Zepsujesz ten królik. Jak go tak będziesz ciągać.

– Mam to gdzieś! Nie chcę wyjeżdżać! – odkrzyknęła jej Fleur. – Mnie się tu podoba.

– Mnie też – szepnęłam, czując mieszaninę zapachu jaszczurczych zwłok i padłych owadów. Woń ta wcale mi nie przeszkadzała.

Za moją ziemną kryjówką, gdzie kończył się ogród, rozciągał się łąn wysokich traw; nikt nie lubił się tutaj zapuszczać. Ale mnie to miejsce nie przerażało.

Przerażała mnie natomiast myśl o wyjeździe.

Trochę później, gdy niebo zaczęło przybierać barwę lawendy, tata znów mi o nim przypomniał. Stał na balkonie na piętrze z butelką piwa Tiger w dłoni i patrzył gdzieś hen ponad trawami i pagórkami. W kierunku Anglii.

- Tam w styczniu jest zawsze zimno - mówił do siebie, pocierając szczękę. - Wietrzysko takie, że bolą kości. Nie jak tu. Zupełnie inaczej.

- Tato?

Patrzyłam na jego kościstą twarz, wydatne jabłko Adama i usta przypominające prostą kreskę. Przełknął ślinę, jabłko uniosło się i opadło, a on znów spojrzał na mnie i na Fleur, jakby przypomniał sobie o naszym istnieniu. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu i uściśnął nas obie.

- No już, przestańcie. Nie róbcie takich żałosnych minek. W Anglii to dopiero będzie życie. Ty, Em, lubisz się huścić na gałęziach, tak czy nie?

- No tak, ale... - przytaknęłam, kiwając głową.

- A ty, Fleur? - przerwał mi. - Tam jest mnóstwo strumieni, gdzie można wiosłować.

Fleur ciągle wyginała usta w podkówkę. Popatrzyłyśmy na siebie i ja również się skrzywiłam. Czy ta cała Anglia to jakaś cholerna dżungla?

- Daj spokój, Emmo - powiedział tata. - Jesteś już dużą dziewczynką. Masz prawie dwanaście lat. Daj siostrze dobry przykład.

- Ale, tato... - zaczęłam.

On jednak podszedł do drzwi.

- Emmo, to już postanowione. Wybierz książki, które chcesz ze sobą zabrać. Przynajmniej czymś się zajmiesz. A ty, Fleur, chodź ze mną.

- Ale, tato...

Gdy zobaczył, że płaczę, zatrzymał się.



- Nie ma się czego bać. Spodoba ci się tam. Obiecuję.  
Zrobiło mi się gorąco. Na myśl o matce wstrzymałam oddech.

Otworzył drzwi.

- Ale, tato! - krzyknęłam za nim, gdy zaczął się oddalać wraz z Fleur. - Nie zaczekamy na mamusię?

## 2

Lydia odstawiła swoją zakurzoną walizkę. Rowery jej córek leżały porzucone na patio pod jakarandą.

- Emmo, Fleur! - zawołała. - Mamusia wróciła.

Zeszła z patio i spojrzała na żwirową ścieżkę prowadzącą w stronę wysokich traw. Zapadał zmierzch i ogromna ćma, która nadleciała zapewne znad skraju dżungli, plasnęła o jej policzek. Kobieta strzepnęła z niego ciemny pył i weszła do domu, chroniąc się przed nadciągającym deszczem.

- Alec?! - zawołała znowu. - Jestem w domu.

Stanął jej w oczach postać męża, schludnego mężczyzny o skórze pachnącej mocno mydłem z chińskiego targowiska i krótko obciętych włosach. Nikt jej nie odpowiedział.

Z trudem stłumiła rozczarowanie śmiertelną ciszą, jaka panowała w jej domu. Przecież uprzedziła telegraficznie o swoim powrocie, tak jak sobie życzył. Gdzie się więc podziewa jej rodzina? Na spacerze? Jest za gorąco. A może są na basenie albo Alec zabrał dziewczynki do klubu na popołudniową herbatę?

Wdrapała się po schodach do sypialni, spojrzała na stojące na nocnym stoliku zdjęcie Emmy i Fleur i poczuła nagły przypływ miłości. Stęskniła się za nimi.

Rozebrała się i przeczesła palcami długie do ramion kasztanowe włosy. Włączyła wentylator. Zmęczona podróżą

i miesięczną opieką nad chorą przyjaciółką, zapragnęła kąpieli. Otworzyła drzwi szafy i zamarła. Wstrzymała oddech – w szafie nie było ani jednej rzeczy Aleca. Narzuciła na siebie luźne kimono i na bosaka pobiegła do pokoju dziewczynek.

Tam szafa była otwarta na oścież i też prawie pusta. Na górnej półce leżało kilka par byle jak poskładanych spodenek, a poniżej trochę zmiętego papieru. Gdzie są ich ubranka?

A co jeśli..., pomyślała, ale niedokończone zdanie uwięzło jej w gardle. Starła się zapanować nad oddechem. Przecież ci z dżungli właśnie tego chcą. Chcą, żebyśmy się bali. Alec powiedziałby, że trzeba wysoko trzymać głowę i nie dawać się. Ale jak się nie dawać, gdy tamci są w stanie wrzucić odbezpieczony granat w tłum ludzi na targowisku?

Na odgłos krzyku dochodzącego z zewnątrz okręciła się na pięcie i podbiegła do okna. Uff, to tylko nietoperze, latające lisy zwieszające się z drzewa.

Położyła dłoń na sercu. Drugą ręką sięgnęła pod zmięty papier w szafie i wyciągnęła spod niego jeden z notesów Em. Może tu znajdzie jakiś trop. Przysiadła na skrzyni z drewna kamforowego, wciągnęła w nozdrza znajomy kojący zapach, przycisnęła notes do piersi, wzięła głęboki wdech i zaczęła czytać:

*Matka rodu to gruba dama z obwisłą szyją. Nazywa się Harriet Parrott. Ma oczy jak rodzynki i tłusty świecący nos, co stara się ukryć pod warstwą pudru. Porusza się posuwistymi ruchami drobnych stóp obutych w chińskie kapcie, ale nosi spódnice do ziemi, więc widać tylko ich brzegi.*

Harriet. Poszli do Harriet?

Przerwała lekturę, chwyciła się dłonią za gardło. Zakręciło się jej w głowie i nagle zrobiło gorąco. Poczowała paniczny strach. Za dużo tu niewiadomych. Kartka. Jasne. Przecież powinien być zostawić jakąś informację. Albo przesłać wiadomość za pośrednictwem służących.

Przeskakując po dwa schodki, na bosaka zbiegła na dół. Przeszukała pomieszczenia na parterze: pokojeienne, kuchnię, komórkę kuchenną ze zlewem, zadaszony korytarz prowadzący do służbówek i pomieszczeń gospodarczych. Nie znalazła nic oprócz kilku porzuconych gratów, wszędzie było ciemno i pusto, ani śladu służących. Zniknął ulubiony fotel bujany *amah*, leżanka kucharza, wszystkie narzędzia ogrodnika. Rozejrzała się po salonie - ani śladu jakiegokolwiek kartki z wiadomością.

Wysłuchiwała się w bębnienie deszczu o dach, nerwowo gryzła paznokcie, wyteżęła umysł, ale powietrze było tak przytłaczająco ciężkie, że nie dawało się myśleć. Wyobraziła sobie siebie samą, jak jedzie zatłoczonym pociągiem do domu, całymi godzinami tkwi przy oknie, zatykając nos. I ten odór wymiocin małego Hindusa. Odgłos odległego wystrzału.

Ich nieobecność spotęgowała te wrażenia w dwójnasób. Z trudem łapała oddech. To nie może być prawda. Była zmęczona, niezdolna do jasnego myślenia. Przecież musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie. Musi. Gdyby byli zmuszeni nagle opuścić dom, Alec na pewno znalazłby jakiś sposób, żeby ją o tym zawiadomić. Czyż nie tak?

Zaczęła biegać w kółko, wykrzykując ich imiona. „Emma, Fleur!”. Stłumiła szloch, przed oczami stanęła jej Fleur

z dołeczkiem w brodzie, niebieskimi oczami i jasnymi, zwieńczonymi kokardą włosami. A potem, gdy sobie przypomniała, że w otchłaniach dżungli ukrywają się rzesze zrozpaczonych i bezwzględnych mężczyzn, lęk wziął górę nad opartą na racjonalnych podstawach nadzieją. Pot spływał jej po skórze, oczy piekły, przykryła usta dłonią.

Drżącą ręką podniosła słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do szefa Aleca. On będzie wiedział, co się stało. On jej powie, co ma robić.

Nagle usiadła z telefonem na kolanach. Oblewający ją pot stawał się coraz bardziej zimny, nad głową brzęczały muchy, wentylator kręcił się z miarowym klik, klik, klik, ćmy trzepotały skrzydłami. Linia telefoniczna była odcięta.

### 3

W taksówce, która wiozła nas do portu, zastanawiałam się, dlaczego mama nie wróciła do domu na czas, chociaż tata zapewniał, że tak będzie. Nie mogłam tego zrozumieć. Ostatniego dnia w naszym domu w Malakce cały czas wyglądałam przez okno. Do końca wierzyłam, że ona się pojawi.

Tata był beznadziejny, jeśli chodzi o sprawy domowe, a skoro zabrakło mamy, która sprawnie zorganizowałaby nasze pakowanie, to ja pomagałam w nim naszej gosposi. Fleur miała zaledwie osiem lat i nie na wiele mogła się przydać.

W pierwszej kolejności wzięłam bawełnianą różową sukienkę w kratkę, którą mama uszyła dla mnie na wyjściowe okazje i niepostrzeżenie wsunęłam ją do kufra. Miała marszczoną spódniczkę za kolana i bufiaste rękawki. Tylko tę sukienkę naprawdę kochałam. Płakałam, gdy z niej wyrosłam i zaczęła nosić ją Fleur.

Do pokoju wszedł tato.

- Wizytowe sukienki nie będą ci potrzebne.

- W Anglii nie urządza się przyjęć?

Westchnął.

- Chciałem tylko powiedzieć, żebyś nie zaprzętała sobie głowy malajskimi ubraniami. Musimy się pośpieszyć.

- A co z rzeczami, które tu zostawiamy? Mam je włożyć z powrotem do szafy?

- Nie musisz. *Amah* się nimi zajmie.

- To na jak długo wyjeżdżamy?

Ojciec odchrząknął, ale nic nie powiedział.

Zaniosłam sukienkę naszej *amah* Mei-Lien, która położyła ją na wierzchu sterty niepotrzebnych rzeczy.

- A co z naszymi ubrankami koronacyjnymi?

Trzymałam w ręku sukienkę Fleur, białą z czerwonymi i niebieskimi szamerunkami, teraz oczywiście o wiele na nią za małą.

Pokręcił głową, ja jednak postanowiłam przemyścić specjalne - z okazji koronacji - wydanie pisma „Dandy”, które kiedyś dostałam w nagrodę. Na okładce była złota karetka i szóstka białych rumaków. Zbyt cenne, żeby zostawić.

- Gdzie jest Fleur? - spytała *amah*.

- Przypuszczam, że gdzieś tam sobie fika na dworze - odparł tata. - We dwie dacie sobie chyba radę?

Przytaknęłam ruchem głowy.

Już miał wyjść, gdy spojrzał na moje łóżko.

- A tam co masz?

- Napisałam do mamy. - Pokazałam mu kopertę.

- Och - powiedział, unosząc brwi. - A o czym?

- Tylko że bardzo za nią tęsknię i mam nadzieję, że zobaczymy się w Anglii.

- Okej. Daj mi to.

- Chciałam zostawić na stoliku w holu.

Wyciągnął rękę.

- Nie ma takiej potrzeby. Ja się tym zajmę.

- Chciałam sama położyć.

- Emmo, powiedziałem, że się tym zajmę.

Nie miałam wyboru.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział i odwrócił się, żeby wyjść.

- Tato, zanim wyjdiesz. - Pokazałam mu królika Fleur. - Co z tym? Zapakować czy Fleur ma go mieć przy sobie na statku?

- Na miłość boską - odparł. - Nie mam czasu na takie drobnostki. W naszym życiu zajdą teraz wielkie zmiany, Emmo. Wielkie.

Zmarszczyłam brwi. Nie byłam tego taka pewna. Jak dla mnie te „wielkie zmiany” już zaszły. Zaczęły się - na ile mogłam to ocenić - ponad trzy tygodnie temu.

Wracaliśmy do domu z czyjegoś ślubu. Był ciemny, deszczowy wieczór. Na przyjęciu weselnym mama tańczyła w jaskrawożółtej sukience i szpilkach z krokodylej skóry. Mama, młodsza od taty, jest prawdziwą pięknoscią. Ma cudownie jasną cerę i orzechowe oczy. Tata nie tańczył. W czasie wojny był ranny, co jednak nie przeszkadzało mu grać w tenisa. Gdy już byliśmy w samochodzie, mama otarła czoło opuszkami palców, a ja od razu wiedziałam, że on się gniewa.

- Wolniej, Alec! - krzyknęła matka. - Rozumiem, że jesteś zły, ale jedziesz za szybko. Jest mokro. Zobacz, ile tu wody, na miłość boską.

Wyjrzałam przez okno. Teren był pagórkowaty, a droga prawie kompletnie zalana.



Siedząc z tyłu, widziałam na jego szyi nabrzmiałe żyły. Zauważyłam też, że gdy mama wyciągnęła rękę, żeby złapać za kierownicę, urwał się jeden z jej kolczyków w kształcie jaszczurki. Usiłowałam jej to powiedzieć, ale nagle zniósł nasz samochód na przeciwny pas szosy. Nie zdejmując nogi z gazu, tata próbował wrócić na właściwy tor, ale ponieważ zbliżał się zakręt, musiał nacisnąć hamulec.

Samochód z hukiem minął krawędź szosy, po czym zaklinował się, tkwiąc do połowy w przydrożnym rowie obok wielkiej kępy bambusów.

- Na rany Chrystusa, Alec! - krzyczała matka łamiącym się głosem. - Straciłeś ten swój cholerny rozum? Zobacz, psiakrew, co narobiłeś.

Wiedziałam, że nasza sytuacja jest naprawdę kłopotliwa, bo mama nigdy nie wyrażała się przy nas tak brzydko. Chociaż czasem udawało mi się usłyszeć, jak klnie, zwłaszcza gdy oboje trochę za dużo wypili. Dzieliłam sobie wtedy te słowa na sylaby, powtarzałam je pod nosem, coraz to głośniej i głośniej, i szukałam do nich rymów.

Teraz słyszałam, jak mama błaga tatę:

- Nie zostawiaj nas tu. Co zrobimy, jeśli oni zablokują drogę? - Była przerażona, ale to nie powstrzymało ojca.

- Masz. Możesz tego użyć w razie potrzeby - powiedział, rzucając pistolet na siedzenie kierowcy. - Emmo. Zaopiekuj się Fleur.

Gdy tylko oddalił się, żeby sprowadzić pomoc, dżungla zaczęła się wydawać coraz bliższa, jakby do nas podpełzała. Liście były wielkości patelni, a spośród gałęzi lypały w naszą

stronę jakieś oczy. Mama przestała chlipać i odwróciła się, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że siedzimy tu, z gołymi nogami na rozgrzanej skórzanej tapicerce.

- Emmo, Fleur. Wszystko w porządku?

- Tak, mamó - odpowiedziałyśmy jednocześnie. Fleur głosem trochę bardziej płaczkowym od mojego.

- To dobrze, moje kochane. Tata właśnie poszedł po pomoc.

- Rzuciła nam krótkie spojrzenie. Starła się brzmieć tak, jakby się dzielnie trzymała, ale ja podejrzewałam, że jest inaczej. Wiedziałam o czających się w dżungli terrorystach. Przywiązują cię do drzewa i natychmiast ucinają głowę. A potem nabijają ją na patyk. Zacisnęłam powieki. Nie chciałam zobaczyć szczerzącej się do mnie głowy na kijku.

Mama zaczęła coś nucić.

Zaraz zapadnie ciemność, ale jak będzie widać gwiazdy, zrobi się różniej. A skoro już mowa o terrorze, to mama nie wie, że nie takie rzeczy widziałam w muzeum figur woskowych. Za salą ze spreparowanymi, pokurczonymi głowami znajdował się dział „Dzieciom wstęp wzbroniony”. Nie zwiedzałam go, ale zdążyłam zauważyć woskowe modele białych kobiet i dzieci, rozpostartych i żywcem przygwożdżonych do ziemi. Ich pomalowane na czerwono usta były szeroko otwarte w niemym krzyku. Zbliżał się do nich prowadzony przez Japońca ogromny walec parowy, używany zazwyczaj do wyrównywania asfaltu na drogach, żeby były bardziej płaskie. Tyle że tym razem miał za zadanie spłaszczyć tych ludzi. Gdy wyszłam, z wymiotowałam do kosza na śmieci.

Japońcy są źli. Tak mówili nasi rodzice. Chociaż ci ludzie, którzy teraz są w dżungli i których nazywa się terrorystami, to Chińczycy. Nie mogłam tego pojąć. Nasza *amah*, Mei-Lien, to też Chinka, a ja ją uwielbiałam. Dlaczego dawniej to Japońcy byli źli, a teraz Chińczycy, nawet jeśli tylko niektórzy? To bez sensu.

Nasz samochód utknął z dala od głównych dróg, właśnie prawie tam, gdzie żyją bandyci. A jeszcze głębiej w dżungli mieszkają duchy, które pożerają dzieci. Powiedział nam o tym nasz ogrodnik, któremu od żucia betelu szcerwieniły dziąsła.

- Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w dżungli, strzeżcie się *hantu hantuan* - mawiał. Mrużył wtedy oczy w przerażający sposób. Niewiele z tego wynikało, bo nigdy nie powiedział nam, jak te duchy wyglądają.

- Emmo, możesz poruszać rękami i nogami? - spytała mama.

Powykręcałam kończyny na wszystkie strony, żeby pokazać jej, że mogę.

- A ty, Fleur?

Fleur spróbowała. Rękami i lewą nogą ruszała bez problemów, ale gdy starała się to zrobić drugą nogą, krzyknęła z bólu.

- Pewnie jest stłuczona. Zdejmij jej but, Emmo, zanim noga napuchnie.

Zrobiłam to mimo oporu Fleur.

- Ja nie chcę! Gdzie jest tata?

Powiedziałam jej, żeby siedziała cicho i że tata poszedł sprowadzić pomoc. Pociągnęła nosem, wydała kilka jęków i uspokoiła się.

Ciszę wieczoru przerwał odgłos odległego wybuchu.

- Mamo! - rozdarłyśmy się chórem.

- Pssst. To gdzieś daleko.

Niebo brązowało, a z gór zeszła mleczna mgła. Dobrze przynajmniej, że nie znajdowałyśmy się w samych górach. Bo „*Ada bukit, ada paya*” - tam, gdzie góry, tam i bagna. A te potrafią wciągnąć człowieka żywcem, w całości.

Tata w końcu przyjechał w opancerzonym transporterze, który udało mu się zawrócić z drogi do Malakki. Musiałyśmy wysiąść, a żołnierze wyciągnęli nasz samochód z rowu. Do łóżek położono nas tak późno, jak jeszcze nigdy w życiu.

Następnego dnia ze szkoły odebrał nas zamiast mamy tata. Z miną świadczącą, że nie jest w nastroju do udzielania odpowiedzi, zignorował nasze pytania, gdzie jest mama. Powiedział tylko, że wyjeżdżamy do Anglii.

W domu pobiegłyśmy na górę, żeby sprawdzić, czy jest tam mama. Ale jej nie było. Powąchałam trawę cytrynową za oknem naszego pokoju i pomyślałam o szerokim uśmiechu mamy i włosach ułożonych w fale. Zaczesywała je sobie do góry, spinała pomarańczowym kwiatem strelicji, zwanej też rajskim ptakiem, ale już w okolicach lunchu cała ta konstrukcja ulegała ruinie i włosy spływały na ramiona. No i przede wszystkim zawsze śpiewała.

- Daj spokój, Em - powiedziała Fleur. - Jej tu nie ma. Chodź, pobawimy się na dworze.

Pokręciłam odmownie głową.

Fleur pobiegła hasać na swoich szczuplutkich nogach. Zawsze robiła dużo zamieszania.

Wyszczotkowałam włosy. Są bardziej kręcone niż włosy mamy. I bardziej rude. Mama nazywa je „dzikimi”. Potem sięgnęłam pod poduszkę po notes. Wtedy wyleciała z niego koperta zaadresowana do mnie i do Fleur. Otwierając ją, pomyślałam, że mama znalazła dla niej śmieszne miejsce. Zaczęłam czytać.

*Moje kochane,*

*dzisiaj zadzwoniła do mnie Suzanne. Strasznie mi przykro, ale muszę wyjechać, żeby jej pomóc. Zdiagnozowano u niej okropną chorobę i sama nie da sobie rady. Jej mąż Eric powinien wrócić z Borneo za jakieś dwa tygodnie, więc pewnie wkrótce potem będę w domu. Uważajcie na siebie. Bądźcie grzeczne. Tata i Mei-Lien są poinformowani co do waszej szkoły. Będziecie mogły tam jeździć autobusem. Wiem, że zawsze bardzo tego chciałyście. Jeśli będzie wam potrzebna pomoc w jeszcze jakiejś innej sprawie, niech Amah zadzwoni do Cicely albo do Harriet Parrott. Kontakt do nich znajdzie w czerwonej książce.*

*Kocham was  
mamusia*

Włożyłam list z powrotem pod poduszkę i poszłam na dwór schować się za domem.

To był nasz ostatni dzień. Od wyjazdu mamy minęło ponad trzy tygodnie. Amah wkładała nam najpotrzebniejsze rzeczy do kufra dosłownie do ostatniej minuty przed udaniem się na statek. Spodenki, bieliznę, jeden czy dwa swetry. Moja różowa

kraciasta sukienka wizytowa wylądowała na stosie niepotrzebnych rzeczy, a ja siedziałam na łóżku, myśląc o koledżu Dzieciątka Jezus, mojej szkole. Była otoczona szpalerem palm, pomalowana na biało, miała mnóstwo przybudówek, gdzie w oknach nie było szyb. Jedynie bambusowe okiennice, które zamykano, gdy udawaliśmy się do domów.

Było mi smutno. Już nigdy nie pójdziemy do tej szkoły. Ale mój największy smutek wynikał z faktu, że wyglądało na to, iż wyjedziemy, zanim wróci mama. A jeśli tak się stanie, ona wróci do pustego domu. Dobrze, że chociaż będzie na nią czekał mój list.

Mei-Lien pokazała mi mój szkolny fartuszek.

- Chcesz zachować?

Spojrzałam na niego i pokręciłam głową.

- Nie trzeba.

- Tata każe kończyć pakować. Nie ma już co fantazjować.

Rusz się.

Wzięłam fartuszek, złożyłam go starannie i umieściłam na szczycie sterty. Włożyłam do kufra list od mamy, a także - ukradkiem - jej oprawione zdjęcie, na którym mruży orzechowe oczy. Na sam koniec wrzuciłam tam jeszcze różowego królika Fleur. Bo gdyby miała go przy sobie, mogłby się zgubić, czy nawet wypaść za burtę.

Pół godziny później byliśmy już w drodze. Bez mamy. Po kufry podjechała ciężarówka, a tata, Fleur i ja pojechaliśmy taksówką. Gdy minęliśmy Malakkę, patrzyłam przez okno na morze i nawet opuściłam szybę, żeby poczuć zapach dzikich

orchidei. Są piękne, ale w mojej głowie roilo się tyle pytań, że musiałam się porządnie uszczypnąć, żeby się nie rozplakać.

## 4

W obszernej kolonialnej rezydencji malajski służący prowadził Lydię przez okazały hol ze szklanym dachem i wielkim kryształowym żyrandolem. Naprzeciwko wejścia wisiała oprawna w ramy fotografia królowej, a stąpało się po czarno-srebrzystej szachownicy z marmurowych płyt. Pod jasnozielonymi ścianami stały ciężkie, solidne meble. Wszystko było takie oficjalne i miało pewnie robić wrażenie, a było przerażające i przytłaczające.

Mąż Harriet Parrott, George, był naczelnikiem okręgu. Było to drugie co do ważności - po wysokim komisarzu - stanowisko w administracji brytyjskiej na Malajach. Do jego zadań należało wspieranie brytyjskich sił zbrojnych. Kto ma wiedzieć, co się stało, jeśli nie on? - pomyślała Lydia.

Hol prowadził do wyjścia na taras, gdzie poproszono ją, aby poczekała w cieniu starego drzewa angsana. Szczęśliwa, że może się ukryć przed porannym słońcem, rozejrzała się wokół, usiłując wyrównać oddech. Nad kwitnącymi na złoto dwoma krzewami wonnego hibiskusa przeleciał nektarnik, ptaszek z purpurowym brzuszkiem. Na końcu rozległej łąki palmy kokosowe wznosiły w niebo swoje wysokie pnie.

Nie wyglądało to wszystko dobrze. O tej porze normalnie odwoziła dzieci do szkoły. Zamknęła oczy i ujrzała siebie za kierownicą. W głowie miała jednak zamęt. Coś ją



zatrzymywało, jak w złym śnie. Jakiś głos powtarzający coś w kółko. Gdzie są jej córki? Gdzie one są? Oczyma wyobraźni widziała główny budynek szkoły i machające tornistrami dziewczynki, biegnące po żwirze do wejścia.

Z kuchni dochodził aromat papryczek chili. Poczwała, jak zaciska się jej gardło. Czy to dziś piątek? Udało się jej przełknąć ślinę. Jakikolwiek byłby to dzień, nie pojedzie do szkoły. A potem zrobi się jeszcze goręcej i przemieszczanie się dokądkolwiek bez samochodu będzie w ogóle niemożliwe. Spojrzała na błękitne niebo. Samochód. Nie sprawdziła, czy jest w garażu. A może szofer Aleca zabrał ich dokądś autem służbowym?

Na dźwięk kroków odwróciła się i ujrzała nadchodzącą wysoką, mocno zbudowaną kobietę – opanowaną i pewną siebie Harriet. Pomarańczowa szminka, okrągła twarz pokryta mocno przypudrowanymi zmarszczkami, szpakowate włosy upięte na czubku głowy w luźny kok. Znana z zamiłowania do jedwabiu i cytrusowych kolorów kobieta miała na sobie dziś coś zielonożółtego. I choć sposób, w jaki ją opisała Em, trudno było nazwać pochlebny, Lydia natychmiast zrozumiała, dlaczego jej córka określiła Harriet mianem matki rodu.

- Lydio, moja droga – odezwała się pani Parrott, wyciągając swoją mięsistą dłoń; jej paznokcie pociągnięte były lakierem w odcieniu chińskiej pomarańczy. W bystrych czarnych oczach czaiło się coś w rodzaju półśmiechu.

Zdając sobie sprawę, że składa bardzo wczesną wizytę, Lydia zaczerwieniła się i nerwowo przełknęła ślinę.

- Przepraszam, ale mój telefon nie działa - powiedziała.

Pani Parrott skłoniła głowę i usadowiła się w szerokim rattanowym fotelu. Lydia przycupnęła na brzeżku swojego fotela i wzięła głęboki wdech.

- Aleca i dzieci nie ma w domu. Wszystko zniknęło - mówiła coraz wyższym głosem. Ręce musiała trzymać złożone razem, bo inaczej by jej się trzęsły. - Przyjechałam tu taksówką. Przepraszam, że tak wcześnie. Nie wiem, co robić. Myślisz, że George jako szef Aleca, mógłby coś...?

Harriet uniosła w górę pociągnięte ołówkiem brwi.

- Moja droga. Nie masz żadnego pomysłu? A byłaś już na policji?

Powstrzymując łzy, Lydia pokręciła głową.

- Powinnam była pójść tam już wczoraj wieczorem, ale nie chciałam opuszczać domu. Łudziłam się, głupia, że oni zaraz wrócą.

- Ale może nie będzie takiej potrzeby. George na pewno coś wie. Znają się przecież z Alekiem jak łyse konie. - Wzięła do ręki dzwonek. - Dobrze trafiłaś. Dziś pracuje w domu.

Już po kilku chwilach jej wąski w biodrach posługacz Noor otrzymał polecenie, by sprowadzić pana. I to natychmiast.

Lydia wyglądała przez okno i modliła się w duchu, żeby Harriet miała rację. Usłyszała głęboki bas George'a, odbijający się echem od ścian korytarza wiodącego z jego gabinetu. Już z daleka dawało się wyczuć rozdrażnienie w jego głosie.

- Co jest, Harriet? Jestem zajęty - zaczął, gdy jego zwalista sylwetka wypełniła drzwi.

Harriet bezzwłocznie wskazała siedzącą z boku Lydię.

- Lydia chce się dowiedzieć, gdzie jest Alec i dzieci.

Ubrany w strój z lnianego płótna George ściągnął brwi i odwrócił się twarzą do Lydii. Odkaszlnął, przesunął ręką po szpakowatych włosach i podrapał się po podbródku.

- Przepraszam, nie zauważyłem cię.

Lydia wpatrywała się w kropelki potu lśniące nad jego górną wargą.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Myślałem, że zostawił wiadomość - powiedział, nadymając czerwone policzki. - Został oddelegowany na północ, do Ipoh. W trybie pilnym. Facet, który prowadził tam finanse, niespodziewanie kopnął w kalendarz. Serce czy coś takiego.

Odetchnęła i poczuła, jak pokój wokół niej wiruje. Przycisnęła dłoń do piersi.

- O mój Boże. Dziękuję. To wszystko wyjaśnia. Jestem ci bardzo wdzięczna, George. Wiedziałam, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Pewnie wiadomość od niego gdzieś się zapodziała.

- To się stało już kilka dni temu. Może wysłał jakieś instrukcje do banku, na wypadek gdyby dom przydzielono komuś innemu przed twoim powrotem.

Harriet przytaknęła ruchem głowy.

- To brzmi logicznie.

- Do Ipoh jest kiepski dojazd - dodał George.

- Jak długo się jedzie?

- Samochodem jakieś dwa dni, zależy, na ile teren jest zaminowany i w ogóle. Autobusem oczywiście dłużej. Najlepiej

chyba pociągiem. W Ipoh jest przepiękny dworzec w stylu mauretańskim.

- Zadzwoń do Aleca. Poproszę, żeby po mnie wyjechał.

- Niestety w tamtym rejonie nie działają telefony ani poczta. Wszystkie linie są odcięte. Straszny chaos. Może nie aż taki jak w stanie Penang, ale zawsze.

Oddalił się pośpiesznie. Przechodząc obok Harriet, wymruczał do niej pod nosem kilka słów.

- Możesz mi dać adres?! - zawołała za nim Lydia.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Tamtejszy dom gościnny. Duży, ma z pięćdziesiąt pokoi. To na razie, dopóki nie przydzielili im się własnego domu, ale powinnaś jeszcze ich tam zastać. Uważaj na siebie, jeśli chcesz jechać sama. Mamy w końcu stan wyjątkowy.

W milczeniu skierował się ku drzwiom.

Harriet przyglądała się Lydii.

- Nie zamierzam cię o nic wypytywać, ale nie wyglądasz najlepiej. Nie przypominasz Rity Hayworth tak bardzo, jak zazwyczaj.

Lydia otarła pot z czoła i odgoniła namolne muchy. Jak na trzydziestojednoletką była zgrabna i pełna życia, wiedziała, jak zrobić furorę, ale jej podobieństwo do słynnej aktorki sprowadzało się do tego, że miały prawie identyczną fryzurę.

- Moja przyjaciółka z dawnych lat zachorowała na polio. Suzanne Fleetwood. Właśnie od niej wróciłam. Nie znoszę zostawiać dzieci samych, do tego na dłużej, niż mi się wydawało, że będę musiała. To był prawie miesiąc, ale jej mąż jest na Borneo i nie mogła się z nim skontaktować. Wiesz,

pracuje w służbach wywiadowczych.

Harriet omiotła spojrzeniem znikające za drzwiami plecy George'a.

Lydia westchnęła.

- Wiem, powinnam to zachować dla siebie. Najgorsze, że ona teraz będzie odesłana do Anglii w żelaznym płucu<sup>[1]</sup>.

- To straszne. Na pewno bardzo jej pomogłaś. Ale teraz, gdy już wiesz, gdzie jest twoja rodzina, musisz czuć się lepiej?

Oczy Lydii rozbłysły.

- O tak. Bardzo chciałabym ich znów zobaczyć.

- Jadłaś śniadanie?

Lydia przecząco pokręciła głową.

Harriet ściągnęła wargi.

- Jasne. Poproszę, żeby przynieśli nam coś co jedzenia. Wiesz równie dobrze jak ja, że w tym obrzydliwym klimacie albo musisz dbać, żeby nie opaść z sił, albo koniec z tobą. Powinnam się była domyślić.

Lydia pytająco uniosła brwi.

- Nie, nie bierz tego do siebie, ale wiedz, że jeśli się o siebie nie zatroszczysz, cholernie szybko znajdziesz się na samym dnie. No, to teraz co powiesz na naleśnika?

W powietrzu nie dawało się wyczuć najmniejszego powiewu. Lydia była cała mokra. Szła szybko, spoglądając w górę w nadziei na oznaki zbliżającego się deszczu. Niestety, nie licząc kilku małych chmurek na horyzoncie, niebo było całkowicie czyste. Wskoczyła do autobusu do Malakki, który przedzierał się przez wąskie, hałaśliwe ulice. W powietrzu unosił się zapach smażonych solonych ryb i latryn. Zaczęła się

krztusić.

W banku dwa sufitowe wentylatory bezsensownie wprawiały w ruch gorące powietrze. Stała w kolejce, po skórze przechodziły jej ciarki. U Parrottów nie do końca zdawała sobie sprawę, co ją czeka, ale teraz zaczęła się denerwować przed podróżą. Powtarzała sobie w myśli, co ma zrobić. Zdobyć rozkład jazdy autobusów, a także - na wszelki wypadek - pociągów. Sprawdzić garaż. Spakować się. Jak daleko jest do tego Ipoh? Kojarzyła tę nazwę z okolicami Kinta Valley. Sto sześćdziesiąt kilometrów? Nie. Chyba raczej sporo ponad trzysta. Trzysta kilometrów potencjalnie zaminowanych dróg do przebycia. Jeśli zdecyduje się na autobus, może to potrwać nawet kilka dni.

W porannym pośpiechu zapomniała upiąć sobie włosy. Sięgnęła rękami za głowę i uniosła je znad szyi. Odsunęła też pasemka, które kleiły się jej do twarzy. Większość Angielek strzygła się na krótko, ale nie ona. Długie włosy to symbol kobiecości - tak mówiła siostra Patricia. Jednak to te inne kobiety miały rację. Włosy trzeba obciąć. Powoli posuwała się do przodu, poruszając mięśniami ramion, żeby złagodzić powstające w nich napięcie.

Myślała o dziewczynkach, wyobrażała sobie, jak siedzi w samochodzie, czekając, aż wyjdą ze szkoły i machając rękami, popędzą w jej kierunku po obramowanej kwiatkami ścieżce, wijącej się między niskimi zabudowaniami. Na prowizorycznym straganie tuż obok można było za parę centów kupować kolorowe lizaki. Ona pozwalała na to dzieciom tylko w piątki. Nie tyle w obawie przed niezdrowym

cukrem, co z niechęci do hazardu, z którym połączono sprzedaż słodyczy – pod papierkiem co któregoś z lizaków ukryty był bonus w postaci jednodolarowego banknotu.

Pokręciła głową. Nie chciała, żeby w młodym wieku córki przyzwyczajały się do takich zagrywek. To niebezpieczne.

Wreszcie dotarła na początek kolejki. Młody Malaj o lekko falujących włosach i śniadej cerze uśmiechnął się do niej.

– Chciałabym wypłacić trochę pieniędzy – powiedziała Lydia.

– Oczywiście, proszę pani. – Chłopak uprzejmie skłonił głowę.

– Cartwright. Moje nazwisko Cartwright.

Odwrócił się w stronę szeregu szafek z dokumentami i wyjął odpowiedni skoroszyt.

– Sądzę, że wystarczy mi pięćdziesiąt dolarów.

Rzucił na nią okiem, po czym schylił się i uważnie przeglądał papiery.

– Jakiś problem? – spytała, marszcząc brwi.

– Zgodnie z naszym zestawieniem na koncie pozostało jedynie piętnaście dolarów.

– To jakiś żart? – Policzki jej płonęły. – Zawsze byliśmy grubo ponad kreską.

– Pan Cartwright przyszedł tu kilka dni temu i wypłacił znaczną sumę. – Młodzieniec zacisnął wargi.

– Jakoś to tłumaczył?

– Mówił coś o podróży.

– Nie prosił o przekazanie mi jakiejś wiadomości?

– Przykro mi. Powiedział tylko, że od tej pory będzie korzystać z usług innego banku. Zostawił te piętnaście

dolarów i polecił zlikwidować konto, jak już zostaną wypłacone.

Lydia zaczerpnęła powietrza, po czym długo wypuszczała je z siebie.

- Więc nie zostawił żadnych innych wskazówek?

Mężczyzna pokręcił głową.

Powoli i z trudem odzyskiwała równowagę. Teraz najważniejsze jest, aby dotrzeć do dziewczynek. Ale dojechać do Ipoh za piętnaście dolarów? To oczywiście nie jest wina kasjera, ale co tu się dzieje?



## 5

Tata kazał nam nie ruszać się z miejsca i czekać przy metalowych schodkach na pokładzie, a on zejdzie na dół i porozmawia z jednym z okrętowych stewardów na temat naszych kabin. Stałam nieruchomo i nasłuchiwałam.

- Ciii... - szepnęłam do siostry, gdy oparte o mokry reling wpatrywałyśmy się w głąb schodów. - Słyszysz?

Fleur skrzywiła się.

- Nie.

Zdziwiłam się. Przecież nietrudno było usłyszeć kroki. Ktoś wchodził po trapie.

- Ten statek jest nawiedzony - wyszeptałam i zrobiłam straszną minę. Siostra spojrzała zniechęcona i odwróciła głowę.

- Przepraszam cię. Chodź, Mączniaczku, pobiegamy sobie.

Emma to ulubione imię mamy. Nawet jej kolczyki w kształcie jaszczurek miały wyryte na odwrocie litery E i M. To moje imię, ale i Fleur miała na drugie imię podobnie, bo Emilia. Mówiło się więc na nią czasem Floury Millie, Mączna Młynareczka. Ja wolałam ją nazywać Mączniakiem Młynarkiem lub Mączniaczkiem.

Biegałyśmy wte i wewte po pokładzie, krzycząc do utraty tchu. Potem zgięte wpół trzymałyśmy się za boki. A na koniec, zmęczone, zatrzymałyśmy się, żeby podziwiać ocean i widok

wpadającej do wody czerwonej kuli zachodzącego słońca. Dzień dobiegł kresu. Różowe i żółte plamki podskakiwały na czarnej niczym lukrecja powierzchni wody. Ciągle towarzyszyły nam głosy morskich ptaków.

- Widzę handlarzy pływających w sampanach - powiedziałam.

- Co to są sampany?

- Małe chińskie łodzie, głuptasie. Nie widzisz?

Piszczaliśmy z zachwytu, gdy te łódeczki, lawirując między dużymi statkami, zbliżyły się do nas. Na wodzie kołysały się refleksy oświetlających je lampionów. Na łodziach stali mężczyźni, coś do siebie krzyczeli i ładowali towar do wielkich koszy, które nasi marynarze wciągali na pokład. Kazali nam odejść, ale zdążyliśmy jeszcze dostrzec stosy barwnych orientalnych pantofli i sznury błyszczących paciorków.

Biegając po statku, Fleur i ja czułyśmy się jak w zaczarowanej krainie. Dopóki nie zobaczyliśmy ojca.

- Nie chciałbym wam psuć zabawy - powiedział, podchodząc do nas. - Ale tu nie wolno tak biegać.

- Ale, tato!

- Żadnego ale, Emmo.

- Nie będziemy zbliżać się do barierek - błagała Fleur.

- Wszystko pięknie, kochanie, ale nie ma mowy. Tu możecie przebywać jedynie w towarzystwie kogoś dorosłego, szczególnie po ciemku. W żadnym wypadku same. A w ogóle to mi się wydaje, że kazałem wam czekać przy schodach.

- To nie fair - mruknęłam pod nosem.

- Ja nie żartuję, Emmo. Może się wam coś stać.

Nic już nie mówiłam, ale słyszałam głosy duchów pod pokładem i wyobrażałam sobie mroczną postać skradającą się, żeby mnie popchnąć i przewrócić. Albo woda zmyje mnie z powierzchni pokładu i znajdę się tam, gdzie Orfeusz tańczył z morskimi duszkami. Uczyłam się o tym w szkole.

- Emmo?

- Okej.

Weszliśmy za nim do środka, ale ja na wszelki wypadek skrzyżowałam za plecami palce, obiecując mu, że będę grzeczna. Nic nie mogłam na to poradzić. Kochałam ocean i to, jak świat robi się fioletowy, a potem przybiera kolor najgłębszej atramentowej czerni.

Udawałam sama przed sobą, że to wszystko jest jedną wielką przygodą, i czekałam, aż Fleur zaśnie. Wtedy wymknęłam się z kabiny, wdrapałam po wąskich metalowych schodach na pokład i poczekałam, aż wokół mnie nie będzie nikogo. Podbiegłam do jednej z łodzi ratunkowych. Trudno byłoby mi do niej wejść, ale znalazłam jakąś skrzynkę, stanęłam na niej, podciągnęłam się i wgramoliłam do środka. Przewróciłam się na plecy i patrzyłam w niebo. Powietrze było wciąż rozgrzane i nie widziałam gwiazd. Niewielka łódka kiwała się przy najmniejszym ruchu, starałam się więc leżeć spokojnie. Morze też było nieruchome.

Przypomniało mi się, jak leżałam na trawie w naszym ogrodzie i patrzyłam na przesuwające się po niebie chmury, podobne do pianki z cytrynowego sorbetu. Starłam się zachować w pamięci jak najwięcej. W końcu nie wiadomo, kiedy wrócimy. I wtedy cichy głosik w mojej głowie

dopowiedział: „jeśli wrócimy”. Usiadłam i gapiłam się na niebo. Oplotłam się ramionami i głęboko wdychałam słone powietrze. Chciałam skoczyć do morza i płynąć z powrotem. Tam, gdzie jest mama. Ale spokojna woda działała na mnie kojąco i pozostałam w łodzi ratunkowej, dopóki nie zrobiło mi się zimno.

Jedliśmy posiłki przy jednym stole z panem Oliverem i jego siostrą. Ona miała na imię Veronica, a on Sidney. Veronica była wysoka i chuda, prawie wzrostu naszego taty. Nosła miękkie, powiewne spódnice, miała przylegające do twarzy blond loczki i mówiła cichym głosem. Ręką ciągle poprawiała sobie uczesanie. Oboje mieli bardzo jasną skórę, jakby jakimś cudem udało im się całkowicie uchronić przed malajskim słońcem. Ona miała tylko z lekka zaróżowione policzki, pasujące kolorem do małych szklanych koralików, które nosiła na szyi. Chyba nas lubiła, szczególnie tatę. Jej ładne niebieskie oczy uśmiechały się, gdy chichotała z jego dowcipów.

Pan Oliver i Veronica spóźniali się na lunch i siedzieliśmy przy stole sami. Gdy czekaliśmy, tata powiedział nam, że ona ma mieszkanie w Londynie, ale zazwyczaj przebywa w miejscowości zwanej Cheltenham, blisko miejsca, do którego się udajemy. Powiedział też, że Veronica dużo przeszła i powinniśmy być dla niej mili. Nie miała dzieci, a jej mąż – dyrektor szkoły – zmarł na chorobę, która nazywa się cholera.

- Co to za choroba, ta cholera? – zapytałam. – Czy od tego oczy wyłazą ci na wierzch?

- Nie, Emmo. – Westchnął ciężko. – Jest się tylko coraz

bardziej zmęczonym, a w końcu twarz robi się zupełnie szara.

- I potem się umiera.

- Najczęściej. - Skinął głową.

W oddali słyhać było Doris Day śpiewającą jedną z ulubionych piosenek mamy, *Secret Love*. Zrobiło mi się smutno. Przypomniła mi się śliczna, półokrągła buzia mamy i jej błyszczące oczy. Miały kolor orzechów, ale migotały też w nich zielone i niebieskie kropeczki, jak w pawim czy bażancim ogonie. Jedna z jej brwi znajdowała się nieco wyżej od drugiej. Lubiłam patrzeć, jak usiłuje sprawić, by wyglądały na równe. Nigdy się jej to nie udawało.

Na lunch podano danie malajskie, słodko pachnące moją ulubioną przyprawą - listkami limonki kaffir. Stolik z deserami nie był zastawiony zbyt obficie, ale i tak zjadłam za dużo brzoskwiowej melby i zaczął mnie boleć brzuch. Zapytałam tatę, czy mogę wstać od stołu i iść do kabiny, żeby się położyć.

Veronica uśmiechnęła się do niego. Tata był opalony od częstego przebywania na dworze, skórę na twarzy miał z lekka pobrużdżoną i suchą. Nosił okulary w okrągłych szylkretowych oprawkach. Zauważyłam, że dołożył pewnych starań, żeby wyglądać bardziej elegancko niż zazwyczaj.

- Mogę zająć się Fleur, jeśli pan chce - zaproponowała Veronica ożywionym tonem. - Emma będzie się mogła spokojnie przespać i obudzi się w dobrym humorze.

W kabinie położyłam się na niebieskiej pluszowej narzucie. Szumiało mi w głowie. Zająłam dolną, należącą do Fleur koję, bo z bolącym brzuchem nie chciało mi się wspinać po drabince. W naszej małej ciupce panował słony i zatechły

zapach. Słyszało się pracę silnika i uderzenia fal o burty statku. Zamknęłam oczy i szmer maszyny ukołysał mnie do snu.

Chwilę później usłyszałam pukanie do drzwi i do kabiny wszedł pan Oliver. Podejrzewałam, że tata wysłał go, żeby sprawdził, jak się czuję, ale i tak było dziwne, że przyszedł on, a nie jego siostra.

Usiadł na brzegu łóżka. Dyszał.

- Przesuń się trochę, kochanie - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Jego twarz była tak blisko, że widziałam popękane czerwone żyłki na jego nosie.

- Zamknij oczy, moja droga - powiedział i zaczął mi lekko głaskać czoło.

Zapomniałam, że to on, i z początku było to nawet miłe, bo przypominało mi mamę. Pograżyłam się w czymś w rodzaju gorączkowego majaczenia. Tak bardzo tęskniłam za mamą, a tata nawet nie powiedział, kiedy ona przyjedzie. Ale miałam też dziwne uczucie, które obejmowało mój brzuch i nogi. To było chyba nie całkiem w porządku, więc gdy pan Oliver nareszcie sobie poszedł, odetchnęłam z ulgą.

Kiedy wpłynęliśmy do Zatoki Biskajskiej, na niebie pojawiły się srebrzyste chmury i w czasie lunchu statkiem mocno kołysało. Pan Oliver nachylił się do mnie i pod stołem położył spoconą rękę na moim gołym udzie. Nie podobało mi się to. Odsunęłam się od niego i wcisnęłam w oparcie siedzenia. Puścił do mnie oko, a ja się zaczerwieniłam. Nikt tego nie zauważył, bo wszyscy rozmawiali o pogodzie.

Po lunchu stałam na pokładzie i wpatrywałam się w ciemniejące niebo. Na moje szczęście pan Oliver nie był wytrawnym żeglarzem i wolał się skryć w swojej kabinie. A potem Fleur zwymiotowała i tata z Veronicą też zabrali ją pod pokład. Tata powiedział, żebym z nimi poszła, ale ja czułam się najlepiej sam na sam ze sobą, więc zostałam. Fale sięgały coraz wyżej, pokład kołysał się i trząsał. Nawet niektórzy marynarze dostali torsji.

Ja szybko nauczyłam się chodzić po przechylającym się to na jedną, to na drugą stronę pokładzie i piszczalam z emocji, gdy targały mną przewalające się przez niego fale. Wrzask ptaków i wycie wichury pozwoliły mi zapomnieć o rozgrzanej dłoni pana Olivera, a nawet o tym, że nie wzięliśmy ze sobą mamy. Wdychałam potężne hausty słono pachnącego powietrza, a potem przejechałam dłonią po szorstkiej barierce i zaczęłam oblizywać sobie koniuszki palców. Smakowały rybą i solą, dokładnie tak samo jak pachniały.

Pozostała część podróży upłynęła nam szybko. Ostatniego dnia obudziłam się przed świtem. Wdrapałam się na krzesło, żeby wyjrzeć przez bulaj, ale w oddali majaczył tylko jakiś ciemny kształt. Moje pierwsze spojrzenie na Anglię. Gdy późnym rankiem statek zacumował, weszłam po schodach na śliski pokład. Przez minutę wpatrywałam się w blade niebo. Zamknęłam oczy, zmówiłam modlitwę za moją piękną matkę, posłałam jej ponad wodami oceanu pocałunek i poprosiłam, żeby jak najszybciej tu przyjechała.

Port w Liverpoolu był zatłoczony do granic możliwości, a w powietrzu unosił się tłusty zapach. Mężczyźni

w kaszkietach owijali liny wokół grubych metalowych palików na nadbrzeżu, słycać było brzęk dzwonków, skrzypienie kół, nawoływania gazeciarzy i huk zrzucanych na ziemię pakunków. A przede wszystkim ludzkie krzyki. Trzeba było co i raz uskakiwać na boki, bo w tej mgle, którą tata nazywał smogiem, nie dało się nikogo dojrzeć.

Nagle poczułam się malutka i zaczerpnęłam tchu w oczekiwaniu na tę obiecaną przez tatę świetlaną przyszłość, która jakoby miała mnie tu spotkać. Na razie miałam inne odczucia. Smród, zimno i szarość. Dotychczas praktycznie nie znałam koloru szarego. Chciałam teraz wsunąć rękę w dłoń mamy, chciałam, żeby się do mnie uśmiechnęła i powiedziała, że „wszystko będzie dobrze, zobaczysz”.

Tata spostrzegł moje rozczarowanie i powiedział dokładnie takie słowa, ale to nie było to samo.

Musieliśmy ucałować na pożegnanie Veronicę i zielonego na twarzy pana Olivera. Skrzywiłam się i jak tylko było po wszystkim, ruszyłam biegiem wzdłuż nadbrzeża. Był mroźny lutowy dzień, a szybki krok mnie rozgrzewał.

- Nie tak blisko krawędzi! - krzyknął za mną tata.

Nie odbiegłam daleko. Bolały mnie nogi. Razem z Fleur biegałyśmy zawsze w klapkach lub nawet na bosaka. Tata śmiał się i nazywał nas dzikuskami. Teraz zmuszono nas do włożenia brązowych sznurowanych i zapinanych butów. I długich, drapiących pończoch. Obie głośno się na to skarżyłyśmy, z dumą jednocześnie prezentując czerwone blezery, które mama zrobiła nam na drutach na specjalną okazję. O ile pamiętam, zdarzyła się tylko ta jedna, jedyna



okazja - wyjazd do Anglii, o której miałam jedynie mgliste wyobrażenie.

Na wspomnienie mamy bolało mnie serce.

Jak dotąd tata nie wytłumaczył nam, dlaczego ona ma dojechać później, zapytałam go więc o to teraz, w porcie.

Zdjął okulary, wytarł szkła rękawem, nadał policzki, po czym powiedział tylko:

- No cóż, nie ma jej tu. Obawiam się, że na razie nie jestem ci w stanie nic więcej powiedzieć.

- Ale kiedy ona przyjedzie?

- Emmo, tego nie wiem.

- Zostawiłeś jej list, jaki do niej napisałam?

- Oczywiście.

Pomyślałam, że mamę musiało coś zatrzymać. A tata może nic nie mówi, bo nie chce nic obiecywać i rozczarować nas, gdy coś pójdzie nie tak. Ale moja wyobraźnia nie słuchała głosu rozsądku. Wszędzie widziałam mamę. Nawet w wielkiej, pełnej przeciągu poczekalni, gdzie czekaliśmy na bagażowego i gdzie w oczy szczypał smród dymu i sadzy. A ponieważ mamy tu nie było, wyobraziłam sobie cienką linię, która przecina świat na pół. Taka niewidzialna nitka, z zachodu na wschód i z powrotem. Jeden jej koniec jest przszyty do serca mamy, a drugi do mojego. I wierzyłam, że cokolwiek się zdarzy, ta nitka nigdy nie zostanie zerwana.

## 6

Lydia obejrzała się przez ramię i ujrzała podejrzającego dżipa, w którym siedzieli ubrani w mundury koloru khaki i uzbrojeni w broń maszynową malajscy policjanci. Od chwili gdy w 1951 roku z rąk komunistycznych partyzantów zginął w zamachu wysoki komisarz brytyjski, sir Henry Gurney, nikt nie czuł się tu bezpiecznie. Lydia odruchowo przycisnęła dłoń do szyi, po czym zapukała do drzwi miejskiego, zbudowanego w stylu portugalsko-kolonialnym domu Cicely. Był to piękny budynek w kolorze jasnego różu, z łukowato sklepionymi oknami i krużgankiem z niewielką kolumnadą. Po chwili znalazła się na tyłach budynku, w przestronnym pokoju o jasnoniebieskich ścianach. Panujący tu chłodny przeciąg stanowił ulgę po ulicznym skwarze.

Odwróciła się gwałtownie, gdy do pomieszczenia weszła Cicely i wyciągnęła do niej rękę. Jej paznokcie połyskiwały różowym lakierem o chłodnym, pasującym do luźnej sukni odcieniu.

- Kochanie, co za miła niespodzianka - powiedziała Cicely niskim głosem, przeciągając samogłoski.

Elegancka piękność o platynowych włosach, lekko opaleniźnie i ustach śliwkowego koloru usiadła, podciągając pod siebie długie nogi, jakby chciała podkreślić, jak bardzo jest znudzona. Z palca u stopy zwisał jej pantofel z farbowanej

cielęcej skóry na niewiarygodnie wysokim i cienkim obcasie.

- Przykro mi... ale muszę cię prosić o pomoc. To bardzo dziwna sprawa - odezwała się Lydia z wahaniem. Wyprostowała się, próbując przekazać to, co ma do powiedzenia, tak, aby nie wzbudzać litości.

Cicely spokojnie uniosła jedną, fachowo wyskubaną w wysoki łuk brew. Żadna z nich dwóch nie była typem „kolonialnej” żony zaabsorbowanej problemami trawiennymi i gospodarskimi pogaduszkami, dzięki czemu w sposób naturalny zaistniało między nimi coś w rodzaju przyjaźni.

Lydia zwalczyła w sobie odruch nerwowego przyglądzenia włosów i zmusiła się do otwarcia ust.

- Przepraszam, że o to proszę, ale czy mogłabyś mi pożyczyć trochę pieniędzy?

Błysk w oczach przyjaciółki, coś między topazem a szmaragdem, świadczył, że Cicely odczuła autentyczną frajdę.

- Och, kochanie, a co takiego się stało?

Lydia postanowiła zachować ostrożność. Cicely może nie była tak do końca złośliwa, ale miewała takie skłonności. Alec miał jej to za złe. Wyszła za mąż bez miłości i musiała znosić liczne mężowskie zdrady. Zapanowało milczenie, zakłócanie jedynie szumem klimatyzatora. Lydia zastanawiała się, na ile ma się w tej rozmowie odsłonić.

W starej chińskiej dzielnicy musiały torować sobie drogę łokciami wśród ludzkiej ciżby i uskakiwać na boki przed watahami rikszarzy. Cicely prowadziła Lydię przez uliczny targ, gdzie stukot kamiennych kostek na planszach do gry

w madżonga zgodnym chórem współbrzmiał ze śpiewem jaskrawoniebieskich, uwięzionych w bambusowych klatkach ptaków.

Ocierając się o chińskich sklepikarzy i malajskich sprzedawców obnośnych, Cicely kiwała głową i uśmiechała się. Zatrzymała się przy kubie pełnym żywych głębinowych krabów i odeszła od niego objuczona zakupioną żywnością. Lydia patrzyła na to rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Jej unoszący się tu kwaśny zapach rynsztoka wydawał się dość dokuczliwy.

- Musisz spróbować jeszcze tego, kochanie. Niesamowicie pyszne - uśmiechała się Cicely, zapychając usta Lydii curry na liściu banana. - Daj spokój, słodziutka. Wszystko będzie dobrze. Za dużo się martwisz. Chociaż i mnie trudno zgadnąć, dlaczego Alec nie zostawił ci wystarczającej ilości pieniędzy, żebyś mogła do niego dojechać. To jakaś bzdura.

Przy końcu uliczki, gdzie straszyły upiorne reklamy lucky strike'ów, Cicely zatrzymała się przed sklepem, na którego czerwonym szyldzie wymalowano smoka. Z gibkim wdziękiem oparła się o framugę drzwi, za nic mając groźnie wyglądającego strażnika, który siedział obok ze strzelbą na kolanach.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła, rozjaśniając wąską twarz szerokim uśmiechem. Na szyi połyskiwał jej pojedynczy sznur pereł.

Po sąsiedzku „urzędował” zielarz i zaklinacz węży. Przysadzisty Hindus stał na chodniku i żuł betel. Lydia dostrzegła kosz z węzami.

- Nic się nie bój, kochana - roześmiała się Cicely i pchnęła drzwi. - Kobra nigdy nie budzi się przed zachodem słońca.

W środku Lydia złapała się za nos, ale na szczęście cuchnęło tu jedynie tanimi kadzidełkami i olejem kokosowym. Chińczyk za kontuarem miał na sobie haftowaną czerwoną szatę i rzucał raczej wrogie spojrzenia. Cicely bez mrugnięcia okiem wysypała na ladę niemal całą torbę bransoletek z wisiorami, mnóstwo złotych kolczyków oraz przynajmniej sześć naszyjników.

Na czole Lydii perlił się pot. Poczowała, że się czerwieni.

- Ależ to są prawdziwe skarby.

Cicely wzruszyła ramionami i ścisnęła jej dłoń.

- Głównie chińska tandeta. Wierz mi. Nie martw się. Masz przy sobie zdjęcia swoich rozkosznych dziewczynek?

Lydia schyliła głowę, sięgnęła w głąb wypchanej torby i wydobyła portfelik. Nosila w nim dwa małe zdjęcia - Emmy i Fleur - oba zrobione w zoo. Spojrzała na Fleur patrzącą gdzieś w bok poważnym, odziedziczonym po Alecu wzrokiem i na nieco koślawy uśmiech Em. Na fotografii starsza córka miała długi nos i kanciastą twarz, ale za to w jej oczach czaił się tłumiony śmiech, a w kręconych płomiennych włosach igrało słońce. Nie widać było natomiast, jak bardzo jest nad wiek wyrośnięta i jaka mądra, pomyślała z dumą Lydia.

- Jest bardzo dojrzała - powiedziała Cicely.

- Kto?

- Emma, rzecz jasna. Fleur jest może ładniejsza, ale mniej rozmowna.

Lydia pomyślała o młodszej córeczce i ścisnęło się jej serce.

Od czasu kiedy Fleur przeszła zapalenie płuc, stała się jeszcze bardziej wycofana.

- Nie, czasem rozmawia. Za to Em to prawdziwa miłośniczka słów. Już gdy miała zaledwie trzy latka, udawała, że potrafi czytać.

- Wygląda na więcej niż dwanaście lat.

- Ma niecałe dwanaście - sprostowała szybko Lydia.

- Racja. - Cicely uspokajającym gestem położyła jej rękę na ramieniu. Podniosła z lady medalion na srebrnym łańcuszku. - Weź, to prezent ode mnie. W tym kraju coś kosztownego na szyi zagwarantuje ci bezpieczeństwo. Możesz tam trzymać fotografie dzieci. No i pilnuj gotówki. Nic się nie martw, wkrótce się z nimi połączysz. I z tym swoim chuderlawym mężem.

Lydia pokiwała głową. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale czuła się nieswojo. Nie lubiła, gdy jej dziewczynki były daleko od niej. Gdy działo się to za sprawą jakichś ważnych wydarzeń, na przykład zamieszek czy walk partyzanckich, przynajmniej wiedziała, dlaczego tak musi być. Ale teraz? Chyba kryło się za tym coś więcej.

- A potem znów zatęsknisz za odrobiną ciszy i spokoju. Nie mam pojęcia, jak ty to znosisz. To znaczy bycie mamą.

Po prostu je kocham, pomyślała Lydia. Ot co.

- A Jack? Co z nim?

Lydia poczuła falę gorąca wędrującą od jej piersi w kierunku twarzy. Wysiłkiem woli powstrzymała się od chęci uwolnienia się od ciężaru nie do końca określonych uczuć.

Cicely zmrużyła oczy.

- No cóż, ja nie mogłabym być matką. A teraz chodźmy obciąć włosy.

W końcu spadł niewielki deszcz. Woda szybko spłynęła rynsztokami. Było jej za mało, żeby schłodzić lepkie powietrze, ale Lydia poczuła się odświeżona. Mocowała się z gałęziami purpurowej bugenwilli zarastającej wejście do garażu. Wszystko tu tak szybko rośnie. Drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierała. Ujrzała solidną sylwetkę stojącego w garażu humbera hawka. Zajrzała do środka i nieco jej ulżyło. Kluczyki ciągle tkwiły w stacyjce. Przynajmniej Alec zostawił jej samochód. Wślizgnęła się za kierownicę, żeby sprawdzić wskaźnik paliwa.

W sypialni do dwóch podręcznych toreb szybko zapakowała trochę mogących się przydać w drodze ubrań. Zdjęła z siebie prawie mokrą od potu sukienkę i nagle zdała sobie sprawę z panującej w jej domu pustki. W milczeniu wdychała powietrze. Nie czuła zapachu pasty do podłóg, do którego była przyzwyczajona. To już nie był jej dom. Dotykała swoich jedwabnych indyjskich ubrań. Jak ona je kompletowała? Róż z pomarańczowym, zieleń i pawie błękit, czerwien jak z lakieru do paznokci, a do tego czerń? Cóż, taki miała styl - nieco orientalny. Teraz jednak zdecydowała się na granatową sukienkę. Nie będzie widać, jeśli się pobrudzi. Zrezygnowała ze wszystkich hinduskich sukni, wzięła jedynie dwie wieczorowe. Za dobre, żeby je tak zostawić.

Wsunęła do torby notes Emmy. Boże, jak bardzo jej brakowało dziewczynek - ich dotyku, zapachu. Niecierpliwie oczekiwała tego spotkania, jednak powstrzymała chęć

prze czytania prowadzonych przez Emmę notatek. Przecież niedługo zobaczy obie swoje córki.

Wróciła do holu i nagle usłyszała, że w domu ktoś jest. Może George się pomylił i Alec jednak po nią wrócił? Serce zaczęło bić mocniej. A może tylko pojechali nad morze i nawet jeszcze nie wyruszyli do tego Ipoh? Wyobraziła sobie głęboką zieleń wody wokół wysepek, słoną bryzę i poczuła zapach cytrynowego olejku, którym na plaży nacierała dzieciom skórę.

Z kuchni dobiegła cała seria dźwięków: kichnięcie, zduszony szloch, kilka słów szybko wypowiedzianych po chińsku. A więc ktoś ze służby. Lydia poszła tam i otworzyła drzwi, osłaniając dłonią oczy przed niskimi popołudniowymi promieniami słońca, rażącymi niczym ciosy nożem.

W kącie na podłodze siedziała po turecku drobna dziewczyna o ostrych rysach, czarnych włosach związanych w kok na czubku głowy i wystraszonych oczach w kształcie migdałów. Na kolanach trzymała dziecko o sztywnych, typowo chińskich włosach, które wtuliło twarz w jej pierś. Miało na sobie workowate niebieskie spodnie, na kostce jednej z bosych nóg ozdobny łańcuszek. Wyglądało na niedożywione. Lydia przyglądała się im, pewna, że tę dziewczynę już kiedyś widziała w pobliżu domu.

- Pani. - Dziewczyna wstała. Jej oczy były istnym oceanem smutku. - Ja Suyin. A to synek mojej siostry.

Patrząc na błyszczącą tunikę dziewczyny, Lydia pomyślała, że coś jej ona przypomina.

- Jak się nazywa to dziecko?



- Maznan Chang, pani. Był w szpitalu. Nie może do domu. Proszę, niech on będzie z wami.

Lydia spojrzała na zegarek, ale blada dziewczyna nie zaprzestała jej błagać.

- Dżungla dla niego niedobra. Niebezpieczna. Oni go krzywdzą.

Chłopiec wstał i unióś koszulę, ukazując czerwoną pręgę przecinającą cały jego bok. Lydia zauważyła, że jest nie tylko przeraźliwie chudy, ale i brudny. Rana była niewątpliwie dość świeża.

- On wam pomagać, pani. Mówi w malajskim i w chińskim.

- Ale jest jeszcze bardzo mały.

- Skończył już siedem, jest niski jak na wiek.

Chłopiec zwrócił wilgotne spojrzenie na Lydię i uśmiechnął się nieśmiało. Poczula się zbита z tropu. Był ładny jak dziewczynka, miał płaską twarz i typowo malajski nosek z wydatnymi nozdrzami, a przy tym jasne oczy i bursztynową, jaśniejszą niż u większości miejscowych cerę. Jedyne z włosów przypominał Chińczyka. Uśmiechnął się ponownie, prezentując rząd równych zębów.

Lydia rozważała okoliczności, nie martwiąc się przez moment uciekającym czasem. Stała jej przed oczyma Emma i usłyszała głos córki, jakby dochodził z pokoju obok. „Pośpiesz się, mamusiu. Jeszcze cię tu z nami nie ma?”. Przymknęła powieki i czuła, jak ściska się jej serce.

- Pani? - Dziewczyna przerwała jej rozmyślenia.

- A dlaczego coś mu grozi? - spytała Lydia.

- Jego matka. Uciekła. - Dziewczyna zawiesiła głos, badając

reakcję, zanim przejdzie do najważniejszego. – Ona w dżungli, pani. Jeśli ci teraz po niego nie przyjdą zabrać, to drudzy złapią go innym razem.

Aha, więc to tak. Matka małego uciekła i przyłączyła się do komunistycznej partyzantki.

– Jacy drudzy?

Dziewczyna wyglądała na speszoną.

– Biali ludzie. Z czerwonymi włosami. Proszę. Zabierz go pani do jakiejś osady dla przesiedlonych, albo nawet do wioski Malajów. Oni mu dać opiekę.

Lydia nie mogła się zdecydować.

– A może na policję?

Dziewczyna skrzywiła się i splunęła.

Lydia była rozdarta. Chciała już być ze swoimi dziewczynkami, i to jeszcze przed końcem dnia. Ale też wyobrażała sobie, co by było, gdyby to one błąkały się gdzieś samotnie, zdane na łaskę i niełaskę nieznanym.

– W porządku – zdecydowała. – Wezmę go. Podaj mi swój adres. I miejscowość, do której mam go zawieźć.

Wpatrywała się w wynędzniałą twarz dziewczyny i nagle się jej przypomniało.

– Jesteś córką naszego kierowcy, prawda?

Dziewczyna potwierdziła ruchem głowy.

– A twój ojciec nie może go wziąć do siebie?

Dziewczyna pokręciła głową przecząco i Lydia dostrzegła w jej oczach niepokój.

– Czy to twój ojciec odwiózł mojego męża do Ipoh?

Dziewczyna znów pokręciła głową.

- Mój ojciec chory.

- No dobrze, zapisz mi swój adres, żebym mogła cię zawiadomić, gdzie jest chłopiec.

Dziewczyna zrobiła krok do przodu, trzymając dziecko za rękę. Jego drugą rączkę wsunęła w dłoń Lydii. Schyliła się i szybko zaczęła coś mówić małemu do ucha po chińsku. Chłopiec potrząsnął głową, włosy zawirowały mu wokół twarzy. Dziewczyna wyprostowała się, odwróciła na pięcie i szybko wybiegła. Przyspieszając jeszcze, pędziła po wybrukowanym podjeździe, po czym zniknęła wśród wysokich traw.

Lydia krzyknęła za nią, ale po dziewczynie nie było już śladu. Westchnęła i spojrzała na dziecko. Mały miał oczy prawie takie, jakie miewają dzieci europejskie. Czy naprawdę coś mu groziło? Przypomniał się jej sierociniec. Surowy szary budynek na obrzeżach miasta. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, to ten mały rzeczywiście nie ma się gdzie podziać. Myśl o jej dziewczynkach zapierała dech w piersi.

Chłopczyk spojrzał na nią, po czym po malajsku przeliczył swoje koraliki:

- *Satu, dua, tiga, empat, lima.*

Lydia powoli wydychała powietrze. Biedaku, pomyślała, co ja mam z tobą zrobić? Nie pasujesz ani tu, ani tam.

Jej uwagę przykuł odgłos dochodzący z garażu. Cholerne koty. Podniosła chłopca i pocałowała go w czubek głowy. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Było już późno, a oni oboje potrzebowali się wykąpać i coś zjeść. A potem ułoży dzieciaka w łóżku Emmy i sama spróbuje się trochę przespać. Wyruszą

jutro wczesnym rankiem.

## 7

Wczesna mgła rozwiała się, gdy tylko opuścili dom. Nastął jasny poranek. Ulice były jeszcze puste, przed herbaciarniami gromadziły się na pogaduszki grupki mężczyzn w pomarańczowych i żółtych sarongach. Trochę później pojawili się Malajowie na rowerach, a na koniec, już przy wyjeździe z miasta, tamilskie robotnice o twarzach błyszczących od potu trudyły się wycinką poczerńiałej roślinności, kołysząc swoimi długimi płatkami usznymi.

Lydia podśpiewywała sobie radośnie. Lubiła podróże. Miała też niezły głos. Czuła się swobodnie. Zdjęła nogę z hamulca. Słysząc było stukot opon po asfalcie. Chcąc mu dorównać, natężyła głos, na co siedzący obok niej chłopiec zachichotał.

- Aż tak źle śpiewam? - spytała i spojrzała na niego.

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

Pomyślała, że na dzień dobry zjadł obfite śniadanie z przydrożnego straganu i teraz ma dobry humor.

Mijając kołyszące się drzewa, rzucające na drogę cienie w tysiącach tonacji zieleni, zaczęła poważniej planować podróż. Do Seremban jest niecałe pięćdziesiąt kilometrów. Jak już je miną, a więc za jakieś trzy godziny, zatrzymają się na wczesny lunch i przeczekają najgorszy upał. A potem gaz do dechy, aż do zmroku. Będą musieli znaleźć jakiś tani nocleg. Może w Rawang albo w Tanjung Malim? Jak

daleko będzie stamtąd do Ipoh? Pomyślała o Jacku. A więc raczej nie Tanjung Malim. Nie ma co prowokować losu.

Po półtorej godzinie jazdy samochód zatrząsł się i nagle stanął.

Wysiadła i popatrzyła na drogę, tak zakurzoną, że ledwie ją było widać. Uniosła wysmarowaną maskę starego humbera hawka i zerknęła na silnik, starając się przypomnieć sobie nauki Aleca, co i w jakiej kolejności należy w takiej sytuacji sprawdzić. Maznan pokazał jej, że na dłoni ma plamę z tłustego smaru. Wydeła policzki, ale prawda była taka, że nie znała się na samochodach i zupełnie niepotrzebnie tak się upaćkała.

Zatrzasnęła maskę, wytarła ręce o sukienkę, schyliła się i sięgnęła pod siedzenie w poszukiwaniu instrukcji obsługi. Nie znalazła jej tam, ale wyczuła palcami jakiś ostry kształt. Wyjęła swój zgubiony kolczyk-jaszczurkę i uśmiechnęła się. A więc tu mi się schowałaś? Niech będzie, że to szczęśliwy znak.

Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na dziecko. Co teraz? Wokół trwa wojna, nie można nikomu zaufać. Mogłabym poczekać na patrol brytyjskiej policji, pomyślała, ale przecież na naprawę auta wydam wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie. A niech cię licho, Alec, nie mogłeś opóźnić tej przeprowadzki o choćby dwa dni?

Nastawiła się, że zaczeka na autobus. Na policję zadzwoni później, niech przyjadą i zabiorą samochód. Westchnęła i niczym rdzenna mieszkanka przykucnęła w cieniu niewielkiej kępy bambusa, z dzieckiem przy boku. Na jej kolanie przysiadł

jaskrawopomarańczowy motyl z głębi dżungli. Chłopiec roześmiał się i wyciągnął do niego rękę. W tym, że umiał się tak nagle z czegoś ucieszyć, przypominał Emmę.

- Lubisz motyle? - spytała.

Pokiwał głową.

Skraj dżungli pachniał dzikim imbirem, cynamonem i figami. Gdzieś wysoko, w koronach wyciągających się ku słońcu drzew darły się dzioborożce. Wszystko pięknie, ale jednak ta tętniąca życiem i różnymi odgłosami dżungla budziła w niej lęk.

Wzięła do ręki notes Em i zaczęła go kartkować. Na jednej ze stron widniały słowa przeboju Doris Day *Secret Love*, przepisane zdecydowanym charakterem pisma jej córki. Zaczęła nucić piosenkę, ale nagle głos jej zadrżał i ucichła. Wstała. Podjęła decyzję. Dwóch walizek nie da rady nieść w takim upale, więc weźmie tę większą, a drugą zostawi w przydrożnej kępie paproci. Przypomniały się jej dobre czasy, gdy wychodzili na drinka do klubu, zostawiając dzieci w łózkach, pod opieką. Ale w tym przeklętym kraju nie można być szczęśliwym i zadowolonym w nieskończoność. No, chyba że jest się kimś w rodzaju Aleca.

- A co będzie, jak oni odzyskają niepodległość? - spytała go kiedyś, gdy udawali się na doroczny sułtański bal.

- Zawsze będzie tu miejsce dla kogoś takiego jak ja - odparł, rozwiewając jej wątpliwości. - I z tego powodu już nigdy nie wrócę do mojego rodzinnego domu, czy w ogóle do Anglii.

Przyglądała się wysokim, ostrym trawom lalang, porastającym pobocze drogi. Nie miała powodu, żeby mu nie

wierzyć. Alec nie utrzymywał kontaktu z rodzicami, w jego domu panowała fatalna atmosfera.

Przeszła wraz z chłopcem kawałek drogi.

Nie wiał najmniejszy wietrzyk i różowe pióropusze wieńczące trawy trwały w bezruchu. W obawie przed skrytymi w krzakach i pośród drzew węzami i żmijami Lydia trzymała się szosy, wsłuchana w świdrujący, irytujący i wciąż narastający ptasi krzyk.

Maznan nadal się nie odzywał, tylko od czasu do czasu liczył swoje koraliki. Dochodził do pięciu i zaczynał od początku. *Satu, dua, tiga, empat, lima.*

Na chwilę przymknęła powieki, pot szczypał ją w oczy. Usłyszała, zanim zobaczyła. Jaskrawo pomalowany na żółto i czerwono bedford nadjeżdżał z wyciem silnika. Krzycząc, pobiegła w jego kierunku. Dzieciak płątał się jej pod nogami i „pomagał” nieść walizkę, wrzeszcząc coś po malajsku. Kierowca zwolnił, rozłożył bezradnie ramiona i pokręcił głową. Serce Lydii niemal przestało bić, gdy z za otwartych okien ujrzała ciekawskie spojrzenia trzydziestu par oczu. Autobus był po brzegi wypchany ludźmi, bagażami, drobiem i kozami.

Z tyłu autobusu jakaś Hinduska stała i oskarżycielsko wskazywała palcem Lydię i chłopca, ale kierowca ponownie pokręcił głową. Mimo to ona chyba wygrała, bo mężczyzna w końcu wzruszył ramionami i gestem zaprosił Lydię do środka. Bus ruszył w dalszą drogę.

Kurczowo ścisnęła dziecko za rękę i – targając walizę – zaczęli się przepychać między siedzeniami do ostatniego



rzędu. Hinduska w kwiecistej chuście na głowie przesunęła się, robiąc im miejsce. Lydia z westchnieniem ulgi usiadła na metalowej ławeczce. Niewygodnie, ale za to nie ma tapicerki, w której mogłyby gnieździć się insekty.

Kobieta odsłoniła w uśmiechu czerwone dziąsła, kulkę przeżutego betelu i nieliczne różowe zęby. Lydia uśmiechnęła się na myśl, że jest jedyną białą kobietą wśród tłoczących się w busie Malajów, nielicznych Chińczyków w czarnych workowatych spodniach i tamilskich robotnic w sari. Widziała, jak ją obserwują, i choć nie rozumiała, co mówią, czuła, że jej obecność jest im nie w smak. Myślała, że nieźle radzi sobie z językiem malajskim, ale teraz zdała sobie sprawę, że to dotyczy tylko sytuacji, gdy ktoś zwraca się specjalnie do niej i mówi wolno i wyraźnie. A ci rozmawiali między sobą, mówili, co chcieli. Nic ich nie obchodziło, że ona jest właścicielką ogromnego domu, gdzie zatrudnia służbę.

Uśmiechnęła się do wszystkich i ludzie zaczęli stopniowo odwracać od niej wzrok. Bus jechał zygzakiem, podrygując na drodze będącej de facto tunelem wśród zieleni, a ona patrzyła w okno.

Rejestrowała wzrokiem mijane widoki, a w sercu pojawił się ból. Objęła dziecko ramieniem i chłopiec oparł się o nią. Do czasu, zanim oddała serce swoim dzieciom, właściwie nie wiedziała, czym jest miłość. I teraz zrobiłaby wszystko, żeby być z nimi.

Po chwili usłyszała odgłos szeleszczącego papieru i spod opadających powiek zobaczyła, że Hinduska częstuje Maznana ciastkiem. Wziął jedno i zaraz nadstawił ręce po

więcej. Kobieta uśmiechnęła się, wyciągnęła z torebki jeszcze dwa ciastka. Jedno dała chłopcu i trąciła lekko Lydię, podając jej drugie.

Rozkoszując się słodkim aromatem cynamonu i gałki muszkatołowej, Lydia usiłowała w kilku słowach podziękować, ale kobieta przerwała jej.

- Mów po angielsku - powiedziała, podając butelkę z herbatą o cytrusowym smaku i mały żółty placuszek. - Dobre ciastko. Trzymaj z dala od pontianaka.

- Pontianaka?

- To zły duch nieżywej kobiety. Przyjdzie i zabierze ci twoje dziecko. To ciastko go ochroni - powiedziała kobieta, wskazując palcem Maznana.

- Och, nie, to nie mój syn. Moje dzieci są na północy, z moim mężem. On jest... - Przerwała. Hinduska uśmiechnęła się i dała do zrozumienia, że zamienia się w słuch.

- To... - znowu przerwała - ... syn znajomych.

Kobieta nie wyglądała na przekonaną.

Lydia westchnęła, odwróciła ku sobie twarz chłopca i dotknęła jego gładkiego policzka.

- To dobry dzieciak.

Maznan uśmiechnął się.

Ludzie zaczęli przysypiać, a ich chrapanie i poświstywanie jakoś dziwnie uspokajało.

Tęsknota Lydie za rodziną rosła z każdą chwilą. Za dziewczynkami. I za Alekiem też. To był jej pierwszy poznany na jakimś przyjęciu mężczyzna. Zamknęła oczy i pomyślała o tamtym wieczorze.

Taka typowa impreza czasu wojny. Zobaczyła go, jak stał na zewnątrz i opierał się o mur. Wysoki starszy mężczyzna w mundurze. Podrapał się po nodze, a gdy usłyszał jej kroki, gwałtownie odwrócił się w jej kierunku. Miała na sobie dopasowaną w talii zieloną sukienkę w paski. Jako osiemnastolatce zaimponowało jej zainteresowanie mężczyzny.

- Palisz? - zapytał, otwierając paczkę woodbinesów.

Zawahała się i jednak wyciągnęła jednego.

Przyglądała się jego twarzy. Była strasznie chuda i co chwila pojawiała się na niej coś w rodzaju grymasu.

- Może gdzieś usiadziemy? - zaproponowała.

Wzruszył ramionami.

- Nie znoszę siedzieć, jeśli mam być szczery.

- RAF?

- Chyba widać - odparł, unosząc brwi.

- To dlaczego nie palisz playersów airmanów? - spytała, potrząsając lekko włosami.

Tak wiele się zmieniło od tamtego czasu. Nareszcie stała się kimś. Żoną, matką. A teraz już po raz trzeci, odkąd zamieszkali na Malajach, będzie zaczynać wszystko od nowa, w nowym miejscu.

Wyjrzała przez okno, zmrużyła oczy, chroniąc je przed jaskrawym światłem. W głowie tkwiło jej coś tępego, ciężkiego. Zielone, kołyszące koronami drzewa ustępowały miejsca następnym, jeszcze bardziej zielonym. Monotonia. Po raz kolejny zaczynają z Alekiem od początku. Nowe otwarcie. Jakby wciąż czegoś szukali.

Po raz drugi spotkali się w edynburskim barze Fiddler's Arms. Jedli sandwicze z mielonką i sałata. Zaprosił ją do swojej kwatery na kawę. Zaciągnął zaciemniającą zasłonę i, trzymając w ręku niedopałek, zgasił lampę. Przy obowiązkowym zaciemnieniu zakazane było nawet palenie papierosów. Przypadkowo musnął w ciemności palcem jej szyję i poczuła, że się czerwieni.

- Słyszałeś o facecie, którego ukarali grzywną, bo zapalił zapałkę, żeby poszukać swojej sztucznej szczęki? - zażartowała, chcąc pokryć zmieszanie.

Nie zaśmiał się, tylko wyjął butelkę „polowej kawy”. Na etykiecie hinduski lokaj obsługiwał oficera w szkockim kilcie, który rozsiadł się wygodnie i sączył rzeczony napitek.

Gdy pojawiła się perspektywa oddelegowania go na Malaje, zaczął snuć wizje rozświetlonego gwiazdami tropikalnego nieba, drinków z owocowych likierów firmy Pimm's, leniuchowania na srebrzystych, otoczonych palmami plażach. Oczywiście przedtem musieli wziąć ślub.

Westchnęła. Z jaką radością zamieniłaby teraz to wszystko na stary, dobry, angielski klimat. Pomyślała, że bardzo brakuje jej zmieniających się pór roku, gdy nagle usłyszała głośny huk i autobusem zakołysało tak, że zaskoczeni pasażerowie zaczęli wpadać na siebie nawzajem. Rozległ się głuchy łomot i pojazd gwałtownie się zatrzymał. Na zewnątrz słychać było wydawane po chińsku rozkazy, co brzmiało jak piskliwe szczekanie. Przyciągnęła chłopca bliżej i sprawdziła, czy nic mu nie jest. Patrzył na nią wielkimi oczami, jakby badał, czy naprawdę może jej zaufać.

Poklepała go po ramieniu i szepnęła do Hinduski:

- Co się stało?

Kobieta położyła palec na ustach i zarzuciła Lydii na głowę swoją kwiecistą chustę.

- Partyzanci. Nie podnoś oczu - poleciła. - Oprzyj się o mnie.

Lydia nakryła też chustą chłopca i wtuliła w nią twarz. Przypomniał się jej błysk wybuchu granatu rzuconego w tłum na targowisku i strach - niczym piorun - przeszył ją od stóp do głów. Komuniści. Czego oni chcą? Czy przyszli wcielać ludzi do Min Yuen, wspierającej ich organizacji, czy po coś gorszego? Podniosła oczy i ujrzała chudych, obdartych bojowników, wyciągających z autobusu dwóch siedzących z przodu Chińczyków. Przypomniały się jej opowieści o okrucieństwach popełnianych przez terrorystów. Spuściła wzrok, zdając sobie sprawę, że ci wszyscy, którzy teraz sztywno siedzą z przodu, muszą być w głębokim szoku. Chłopczyk zaczął odliczać. *Satu, dua.*

Przez zakurzoną szybę można było dostrzec, że droga biegnie w głąb dżungli. Dwóch Chińczyków przywiązano do wysokiego drzewa, a z autobusu wyciągnięto jeszcze kilkoro ludzi. Skrępowano im ręce. Krzyczeli piskliwie niczym makaki, gdy poparzą sobie pyszczki ostrą papryczką. Ciągnięto ich kilka metrów, potem popchnięto w kierunku drogi i kazano biec. Resztę pozostawiono w busie.

Lydia i Hinduska wymieniły spojrzenia. Kobieta wzruszyła ramionami z niepewnym wyrazem twarzy. Rozległy się strzały, chłopiec zaczął się trząść; Lydia przygryzła wargę i starała się

za wszelką cenę nie patrzeć za okno. Echo wystrzałów zamilkło, zapadła cisza, a w jej głowie pojawiła się mrożąca krew w żyłach myśl. Sięgnęła po medalion i ścisnęła go z całych sił.

Na zewnątrz wciąż śpiewały ptaki. Zaryzykowała i wyjrzała przez okno. W miejsce strachu pojawiła się złość. Nie o takich Malajach marzyła, życie w tym kraju miało wyglądać zupełnie inaczej. Alec ani słowem nie wspomniał o bezustannej walce z brzęczącymi moskitami, o duchocie, otaczającej cię zewsząd niczym mur nie do przebicia. Ani o wojnie powstańczej, zwanej przez Anglików kryzysem czy stanem wyjątkowym.

Z przodu pojazdu zauważyła siedzącego nieruchomo mężczyznę z ogoloną głową. Do tej pory go nie dostrzegła, ale teraz bus był w połowie pusty, więc mogła się przyjrzeć gładkiej brązowej czaszce i ramionom. Człowiek – znacznie wyróżniający się wzrostem – miał na sobie malajską tunikę w spłowiałych kolorach oraz znoszony srebrno-turkusowy sarong. Nie wyglądał na typowego Malaja, raczej na kogoś bardziej kosmopolitycznego. Jakiś Eurazjata? Kątem oka dojrzała zbliżających się do niej przejściem między siedzeniami dwóch bojowników. Spojrzała na nich i wstrzymała oddech. Jeden z nich, gdy mijał wysokiego mężczyznę, przejechał językiem po zębach, unosząc pogardliwie górną wargę. Wysoki zwrócił się w jej kierunku z poważnym wyrazem twarzy. Ciemnymi oczami uważnie śledził, jak buntownicy zbliżają się do niej. Był cały spięty, jakby czaił się do skoku. Na moment ich spojrzenia się spotkały.

Hinduska objęła Lydię i dziecko ramieniem. Ale to nie wyszło nikomu na dobre. Całej trójce kazano, pod lufami karabinów, opuścić pojazd. Lydii serce stanęło w piersi, ale chłopiec podniósł się natychmiast i wyciągnął do niej rękę. Wstała. Tyłek zdrętwiał jej od siedzenia na twardym metalu. Przez okno dostrzegła nadciągającą niską, ciemną chmurę. Z trudem opuściła autobus, nie przestając mocno ścisnąć ręki chłopca.

## 8

Obudziłam się w jakiejś mroźnej dżungli. Szyby w oknach były przysłonięte gigantycznymi lodowymi kwiatami lotosu. Zimno wdzierało się przez okienne ramy i szczelinę u dołu drzwi. Trzęsłam się, a każdy mój oddech zamieniał się momentalnie w chmurę. Właściwie to, czy okno jest otwarte czy zamknięte, nie robiło żadnej różnicy, więc je otworzyłam. Usłyszałam gruchanie gołębi w ogrodzie sąsiada i wyciągnęłam szyję, żeby je dojrzeć na dachu gołębnika.

Na wprost widać było ciągnące się aż do kościoła pole, pocięte bruzdami brązowej ziemi, z rzędem czarnych drzew w tle. Kościelna wieża górowała nad pozostałymi budynkami. Zawołałam Fleur, żeby też to zobaczyła, ale ona już poszła szukać taty.

Na dole dziadek Cartwright poklepywał nas po plecach, a babcia ocierała łzy. Babcia była mała i okrągła. Ciągle kiwała głową i uśmiechała się, miała ciemnoniebieskie oczka wielkości rodzyneków, otoczone siateczką zmarszczek. Na bluzkę i spódnicę narzuciła jeszcze coś o skomplikowanym wyglądzie. Zwisało to z jej szyi, po obu bokach miało sznureczki, które wiązało się z tyłu. Nazywała to coś fartuchem. Całość przypominała rozciągnięty i obwisły worek. Nosila kapcie i miała cienkie siwe włosy, z których śmiesznie sterczały w różne strony dość przypadkowo wpięte spinki. Nie



była nawet w części tak elegancka jak mamusia.

Dziadek też był stary, z szopą białych włosów. Każdemu jego ruchowi towarzyszyło sapnięcie mające chyba świadczyć o bólu, z nosa wystawały mu czarne włosy, a dłonie miał pokryte brązowymi plamami wątrobowymi.

Oprowadzili nas po domu. Wszędzie była tapeta w brązowe kwiaty, dywany w kolorze wymiocin oraz takie mnóstwo mebli, że nie było już gdzie się bawić. Jedyne wesołe pomieszczenie, kuchnia, było królestwem babci, która jaśniejąc z dumy, pokazywała nam kolorowe obrazki kur i świnek na tapecie. Babcia w ogóle była dumna z domu, choć nie było w nim nic szczególnego. Taki sobie wolno stojący klocek w wiejskim otoczeniu. Bewdley w Worcestershire. Jediną zaletą był ogromny ogród otaczający dom z trzech stron i oddzielony od sąsiedniej posesji. Za ogrodem i płotem z drucianej siatki ciągnęły się pola.

W jedynym pokoju wyposażonym w kominek zapytałam babcię, gdzie mieszka służba. Klasnęła w dłonie, otarła sobie twarz fartuchem i trąciła dziadka palcem w pierś.

- O mój Boże, kochane kurczaczki, ja tu jestem jedyną służącą. Czyż nie tak, Ericu?

Eric to dziadek. Przytaknął ruchem głowy, rozsiadł się na krześle i palił fajkę.

Fleur szturchnęła mnie i wyszeptała, zasłaniając sobie usta:

- Nie jesteśmy żadnymi kurczaczkami, prawda, Em? Dlaczego ona tak na nas mówi?

Psyknęłam na nią i spojrzałam na półkę, gdzie stała puszka z landrynkami. Babcia to zauważyła i poczęstowała nas,

a potem dała jeszcze i jeszcze, jakby zapomniała, jak dużo już wzięliśmy.

- Użyjcie sobie - powiedziała.

- Co matka ma na myśli? - spytał tata.

Cmoknęła lekko ze zniecierpliwieniem.

- Przez słodczyce dzieci tracą apetyt - powiedział tata, rozluźniając sobie krawat. - A poza tym tu jest za gorąco. Dym z węgla szkodzi Fleur. Ona potrzebuje świeżego powietrza. Zobacz, już pokasłuje.

Niezawodnie uczynna Fleur istotnie zakasłała.

- Nie potrzebujemy się tu wietrzyć - zaprotestował dziadek.

- Nikt cię nie pyta - zwrócił się do niego tata.

- No już dobrze - powiedział dziadek. - Nie masz chyba zamiaru tego rozgrzebywać. Im mniej się mówi, tym lepiej.

Dziadek odwrócił wzrok, a ja zauważyłam, że tata zacisnęła wargi. Zagniewany wyszedł z pokoju.

Gdy sobie poszedł, usiadliśmy na progu i grałyśmy w pchełki starymi krążkami taty, zajadałyśmy się cukierkami w kształcie papierosów, cały czas patrząc na to, co się dzieje na ulicy. Tak długo, jak się dało, udawałam, że palę prawdziwego papierosa, a gdy cukierek zaczynał się rozpuszczać, wkładałam go do buzi. Obserwowałyśmy chłopca na rowerze. Jego rower był dla niego za duży, więc co rusz musiał przystawać i podpierać się nogami. Chybotał się na obie strony również z powodu dużych koszy, które były przymocowane do boków pojazdu. Ciągnął się za nim cudowny zapach świeżego pieczywa. Chłopak zatrzymywał się przed każdym domem i nawoływał. Gdy stanął przed naszym domem, Fleur zawołała babcię.

Wpatrywałam się w niego, bardzo chciałam go polubić. Był chudy i kościsty, na głowie miał czapkę, a za duże zęby nie mieściły mu się w buzi. Za to miał wesołe brązowe oczy i piegi na nosie. A gdy się uśmiechał, jego zęby jakoś lepiej zaczynały pasować do reszty twarzy.

Następnego dnia miałyśmy zacząć naukę w szkole. Nie mówiłam o tym ojcu, ale bardzo chciałam, żeby mama już była z nami. Nie mogłam się jej doczekać. Nie wiedziałam, czy już wróciła do naszego domu w Malakce i czy przeczytała mój list. To dzięki mamie wszystko zawsze się dobrze układało. W domu dziadków to ona zęgnaby nas w holu swoim uśmiechem. A w czasie przerwy śniadaniowej, kiedy w szkole kazano nam jeść przemarznęte na kość bułeczki i popijać zimne mleko z miniaturowych flaszek, ja wyobrażałam sobie, jak po skończonych lekcjach mama czeka przed szkołą i macha do nas.

W czasie przerwy wybuchła afera, bo ktoś podsłuchał, jak mówiłam do Fleur, że te bułeczki były nieświeże. Chłopak od piekarza odwrócił w moją stronę wściekłą twarz. Nie miał już na głowie swojej czapki. Zauważyłam, że ma okropnie obcięte włosy. Pojedyncze kępki sterczały mu tylko na czubku głowy.

- Są pyszne! - krzyknął. - Właśnie że tak! Wcale nie czerstwe.

- Na Malajach jadałyśmy lepsze. Ciasteczka *nyonya* i cudowne chińskie *kueh*. - Na samo wspomnienie słodkich ryżowych wypieków ślinka napłynęła mi do buzi.

- Ooo, Malaje, rozumiem. Czy to tam, gdzie wrony zawracają?

Wzięłam się pod boki i wyprostowałam, chociaż w środku cała się trzęsłam.

- To jest na wschodzie, jeśli już musisz wiedzieć. I tam nie dostawałyśmy tego okropnego zimnego mleka. Piłyśmy świeżo wyciskany sok z trzciny cukrowej albo mleko kokosowe.

- To wracajcie tam, droga wolna. Tu nikt was nie chce. Wielkie mi ważniary. Nawet nie jesteście Angielkami. Imigruntki.

Grupka dzieci zebrała się wokół nas i melodyjnie skandowała:

- Imigruntki. Imigruntki. Wracajcie tam, skąd przyjechałyście.

Fleur wybuchnęła płaczem, ale ja złapałam chłopaka za jego kłaki i - szarpiąc je - wykrzyczałam mu w twarz:

- Jestem taką samą cholerną Angielką jak ty, łysy czubku!

Wylądowaliśmy na podłodze, kopiąc i szarpiąc się nawzajem. Inne dzieciaki gwizdały i śmiały się, przepychając, żeby lepiej widzieć. Złapałam go za rękaw i pociągnęłam. On szarpnął moją bluzkę i usłyszałam, że na plecach materiał się drze. O nie, pomyślałam. Babcia mnie zabije.

- Walcz, walcz - dopingowali inni. - Dalej, Billy, pokaż jej!

Tarzaliśmy się przez chwilę, ale głosy szybko ucichły i znad szeregu dzieci, zasłaniając światło, wychynęła głowa nauczyciela. Spojrzałam na jego różową jak u prosiaka twarz. Jego głos przeciął nagłą ciszę.

- Emmo Cartwright, tu nie możesz zachowywać się jak dzikuska - powiedział. - Tu jest Anglia.

Nachylił się tak, że mogłam dostrzec żyłki na białkach jego

OCZU.

Pociągnął czerwonego jak burak chłopaka za ucho, a mnie wymierzył klapsa w rękę. Nie płakałam, nie bałam się. Byłam wściekła.

Ogólnie dziewczynki były gorsze. Wyśmiewały się ze mnie za plecami i nie pozwalały mi skakać razem z nimi na skakankach, śpiewać czy zonglować piłeczkami. Patrzyły na mnie znacząco, a potem odwracały się i rozmawiały między sobą sztucznie podniesionymi głosami. Powstrzymywałam łzy i starałam się głęboko oddychać, chociaż zdawałam sobie sprawę, że z opaloną skórą i rozjaśnionymi słońcem włosami różnię się od nich wyglądem. Tak czy owak, nie cierpiały mnie. Obgadywały w klasie, a w stołówce odpychały na koniec kolejki. Po lekcjach ustawiały się na mojej drodze, trzymając się pod boki. Dla Fleur były nieco miłsze, bo ona rzeczywiście świetnie radziła sobie na skakance.

W domu tata oznajmił, że dostał list od Veroniki i że ona chce przyjść do nas w sobotę na podwieczorek. Nie wiedziałam, co mama by na to powiedziała. Veronicę nawet lubiłam, ale co będzie, jak przyprowadzi ze sobą brata? Zapytałam o to tatę, ale on odparł, żebym nie była taka wścibska. A babcia dodała, że on i Veronica się przyjaźnią. Veronica miała mieszkanie w Londynie, ale wynajmowała domek w miasteczku zwanym Drake Broughton, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Cheltenham. Ponoć lubiła Cheltenham i nosiła się z zamiarem sprzedaży swojego londyńskiego mieszkania, żeby kupić coś w okolicy. Babcia była najwyraźniej pod wrażeniem, kiedy tłumaczyła nam, że

Veronica posiada „własne źródło dochodów”.

W nocy, w pozbawionym moskitiery łóżku, myślałam o mamusi. Wyobraziłam sobie, że jak zawsze siedzi przy mnie i śpiewa *Baby It's Cold Outside*. Ta piosenka zawsze przyprawiała mnie o czkawkę ze śmiechu, bo przecież na Malajach było tak gorąco. Dopiero tu taki śpiew nabrałby sensu.

Na boisku się nie rozplakałam, ale w łóżku, gdy Fleur już zasnęła, ryczałam jak bóbr. Babcia to usłyszała i na paluszkach weszła do pokoju. Gdy jej opowiedziałam, jak mnie traktują w szkole, przytuliła mnie.

- Chłodno, co? - Przewróciła oczami, a jej pełne policzki jeszcze się zaokrągliły. - Wiem, kurczaczku - powiedziała, odgarniając mi z twarzy splątane włosy. - Zrobimy, że będziesz wyglądać tak samo jak one. Co do joty. Zobaczysz. A teraz śpij słodko.

- Czy pan Oliver też przyjdzie na herbatę? - spytałam, zanim wyszła.

- Możliwe. Zamieszkał z Veronicą na czas poszukiwania posady na placówce zagranicznej.

Trzymałam kciuki za to, żeby jak najszybciej znalazł pracę. Jeszcze przed sobotą.

## 9

W upalnym słońcu widok przywiązanych do drzewa ciał rozstrzelanych Chińczyków był dla Lydii nie do zniesienia. Mieli zwieszane głowy i wyglądali jak porzucone szmaciane lalki. Odwróciła twarz, ale w jej głowie wciąż tkwił ten okropny widok. Nie mogła się powstrzymać od ponownego rzucenia okiem na zabitych, jakby chciała się upewnić, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Maznan łkał, a Lydia nagle poczuła zapach krwi i o mało co nie zemdląca. Przyciągnęła chłopca do siebie, otoczyła go ramieniem i odgoniła siadające na jego skórze muchy. Zakryła mu twarz ręką sukni i wzniosła oczy w niebo, żeby się w milczeniu pomodlić.

Rebelianci podeszli bliżej. Cofnęła się o krok, gdy jeden z nich złapał małego za podbródek. Chciała pociągnąć dziecko za sobą, ale Maznan stał w miejscu, ocierał łzy i patrzył na tego człowieka. Lydia zauważyła, że partyzant jest niski i wycieńczony, ma zapadnięte oczy i głębokie, ciemne od sadzy bruzdy na twarzy. Słyszała brzęczenie unoszącej się nad nim chmary owadów. Dźwięk ten narastał. Poczucia, że kręci się jej w głowie, i zamknęła oczy. Teraz już brzęczało jej w mózgu. Bzzz, bzzz. Otworzyła oczy i spojrzała znów na twarz mężczyzny, wzdrygając się na widok malującej się na niej nienawiści.

Mruknął coś do stojącego obok towarzysza i uniósł lufę

karabinu. Udało się jej powiedzieć dobitnym tonem tylko jedno słowo: Angielka. Wstrzymała oddech, starając się za wszelką cenę stać prosto mimo uginających się pod nią nóg. Ten drugi mężczyzna, bardziej krępej budowy, z pofałdowaną skórą na policzkach, zrobił krok w jej stronę. Wyglądał na szefa. Pokręcił głową i popchnął ją w kierunku drzewa o grubym pniu. Oddech uwiązał jej w gardle. Przez moment poczuła chęć stawienia oporu, ale zauważyła, że dziecko lekko kiwa głową, jakby pogodzone z losem. Ścisnęła chłopca za rękę. Gdy krępy mężczyzna przywiązywał ich oboje liną do drzewa, starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Chudy człowiek przywiązywał obok Hinduskę. Krępy zrobił krok w tył.

Lydia naprężyła wszystkie mięśnie. W ustach zaschło jej do tego stopnia, że nie mogła przełknąć śliny. Czy chłopca też zamordują? I to teraz, na miejscu? Może powinna błagać, żeby mu darowali życie? I jej też, zaklinać ich na miłość jej córek. Ale Hinduska położyła palec na ustach. Lydia zamknęła oczy i zaczęły się jej przesuwac pod powiekami obrazy zerkającej znad stołu jasnowłosej Fleur i Em podbiegającej do niej ze słoikiem, w którym trzyma znalezionego w bananie pajaka.

Chudy mężczyzna opuścił lufę i podszedł do Lydii tak blisko, że czuła jego kwaśny oddech. Zimny metal strzelby dotykał jej nogi, musiała się więc zmuszać, żeby nie krzyczeć. Mężczyzna zaczął lufą broni podnosić do góry jej sukienkę. Zamarła. Drugą ręką dotykał jej nagiej skóry pod obojczykiem, a potem wsunął jej palec między piersi. Zauważyła, że Maznan spuścił wzrok, i zrobiła to samo, ale po chwili znów uniosła oczy, bo



wrócił krępy. Ruchem ręki odpędził chudego i uśmiechnął się do niej. Złapał ją za gardło i odchylił jej głowę, przyciskając ją do drzewa. Poczuela, jak ściska ją coraz mocniej i zagłębia palce w ciało. Wolną ręką wykonał gest podcinania gardła. Serce się jej ścisnęło ze strachu, przygryzła wargę tak mocno, że poczuła na języku smak krwi. Po policzkach spłynęły łzy i w końcu zaczęła błagać, żeby darował jej życie.

Ale mężczyzna gwałtownie się od niej odwrócił, a ona z trudem złapała oddech, gdy oddał dwa strzały w opony na przednich kołach autobusu. Wziął się pod boki i wybuchnął głośnym śmiechem. Lydia ujrzała niedowierzanie w oczach nielicznych pozostałych przy życiu pasażerów, gdy pojazd się zakołysał, a nimi zatrzęsło, zupełnie jak w wesołym miasteczku.

Kątem oka dostrzegła migotanie kolorów – to nad drzewami przeleciała para błękitnogłowych papug. Z tyłu, z gałęzi drzew, w milczeniu obserwowało cały ten ponury spektakl stado długonosych małp. Resztki jasnego poranka szybko zniknęły za czarnymi chmurami. Powietrze było lepkie i nieruchome, przez co cały świat wyglądał jak zastygły w bezruchu. Lydia przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Ależ była łatwowierna. I nierozważna. Teraz wszystko musi postawić na jedną kartę. Liczą się tylko jej dziewczynki. Nic poza nimi.

Wróciła do rzeczywistości, która pachniała krwią i uryną. A brzmiała nieziemskim gdakaniem dzioborożców i szczekliwymi, wydawanymi po chińsku rozkazami.

Chłopiec odezwał się po angielsku, cichutko, ale wyraźnie:

- Nie martw się, pani. Oni nas nie zabiją.

Wstrzymała oddech.

- I nie podpalę autobusu.

Strach najwidoczniej rozwiązał mu język. Do tej pory nie słyszała, żeby mówił tak dużo.

Miał rację. Mężczyźni przeszli na drugą stronę szosy, spomiędzy drzew wycięli trochę wysokich traw lalang i zniknęli w ostępach dżungli, wymieniając od czasu do czasu szydercze komentarze na temat ciał dwóch ofiar, które wlekli za sobą po ziemi, a których głowy podskakiwały na wybojach. Pozostali pasażerowie wysiedli z autobusu. Byli bladzi, oczy im pociemniały. Ślizgali się w kałużach krwi, porozumiewali szeptem, zdumieni i zrozpaczeni załamywali ręce.

Hinduska uwolniła się o własnych siłach i pomogła odwiązać Lydię i małego. Widząc zdziwioną minę Lydii, wyjaśniła:

- To tylko tak na pokaz. Oni teraz nie zabijają kobiet i dzieci. Potrzebują nas.

- A ci zamordowani?

- To zdrajcy.

Maznan oddalił się i drżąca tym razem z ulgi Lydia zobaczyła, jak rozmawia z grupką Malajów z autobusu. Chwyciły ją nagłe torsje.

Gdy ocierała twarz spódnicą, chłopiec podbiegł do niej.

- Ci panowie znają drogę do wioski - powiedział szybko. Uśmiechnął się do niej, wspólna gehenna stworzyła między nimi więź. - Chodź.

Lydia rzuciła szybkie spojrzenie Hindusce, która odwzajemniła się jej uśmiechem.

- Idź. Innych też zaprowadzą.

- A co z tobą?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Co Bóg da. Jutro będzie następny autobus.

Strach powoli ustępował miejsca niewyobrażalnemu zmęczeniu. Lydię opadły wątpliwości. Z przyzwyczajenia rozglądała się wokół w poszukiwaniu córeczek, ale one oczywiście musiały znajdować się gdzieś daleko. Czy powinna tu zostać, czekać na następny autobus i nadal narażać się na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa? Czy raczej iść za chłopcem? W nocy na szosie może być groźnie, zwłaszcza jeśli w tym rejonie obowiązuje godzina policyjna. Maznan czekał, wyciągając do niej rękę.

- Ty opiekować się mną, ja opiekować się tobą - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Zgoda - odparła, biorąc go za rękę.

Przynajmniej się odzywał. Teraz, kiedy minęło zagrożenie, poczuli, że są razem.

Gdy rozproszona grupka ludzi skręciła w bok, małpy podjęły swój przerwany koncert pisków, skrzeków i wycia. Lydia obejrzała się przez ramię, nadal niepewna słuszności podjętej decyzji. Swędziała ją skóra głowy, pot lał się z włosów. Doleciała ją mdląca woń dzikich pnących orchidei, językiem dotknęła podniebienia i poczuła, jak przewracają się jej wszystkie wnętrzności. Otarła czoło i z myślą o dziecku starała się zachować spokój, ale przecież nie było wiadomo, czy samozwańczy przewodnik nie wpędzi ich w kolejne tarapaty.

## 10

Lubiłam wstawać wcześniej, żeby nie przegapić mleczarza. Babcia mówiła, że niedługo będzie miał furgonetkę, a wtedy nie zobaczę już więcej jego konia i furmanki. Odślaniałam firanki i wyglądałam na zewnątrz. W soboty przyjeżdżał trochę później, więc wychodziłam i kręciłam się przed domem, tupiąc nogą w rytm *You Belong to Me*. Mama często podśpiewywała tę starą piosenkę z czasów wojny, a ja dołączałam się dopiero przy zwrotce o dżungli. Z powodu tego obijania się miewałam kłopoty. Co się tak kręcisz, Emmo. Siedź spokojnie, nie garb się.

Był kwiecień, za miesiąc miałam skończyć dwanaście lat. Ranki były już całkiem jasne, w ogrodzie śpiewały ptaki, a zza czarnych konarów drzew widać było na niebie żółtawe smugi. Obserwowałam, jak okoliczne domy i wieża kościoła nabierają różowego odcienia. Podobno gdy niebo jest nad ranem czerwone, trzeba się mieć na baczności, bo może padać. Mleczarz skręcał do nas, widziałam jego elegancki biały uniform i czapkę z daszkiem. Stawiał na schodku dwie piny mleka, nazywał mnie swoim rannym ptaszkiem i dawał kilka drobniaków, żebym sobie kupiła coś słodkiego.

Po śniadaniu szłam do stodoły, lekko skulona niczym pantera. Ludzie mówili, że chód odziedziczyłam po matce. Ona miała w sobie coś z kota, była zwinna i giętka. Ja też byłam

chuda i wysoka, tyle że nie miałam jej piegów. Mama zawsze mówiła, że moim atutem są oczy. Turkusowoniebieskie. Fleur była inna, nie taki szparag jak ja. Nigdy się nie śpieszyła, wózek z lalką potrafiła metodycznie pchać wte i wewte, wte i wewte. I tak bez końca. Nosek zawsze uniesiony wysoko. Siedziała wyprostowana i wołała ubierać się w sukienki niż w szorty. Grzeczna dziewczynka, śliczna dziewczynka, mówił o niej tata.

Na Malajach tata dużo ćwiczył. Grał w tenisa, w rugby, trenował nawet boks. W Anglii tego nie robił i prawie zawsze miał na sobie garnitur i krawat w tonacjach ciemnego brązu lub szarości. W weekendy wkładał zrobioną przez babcię na drutach wzorzystą kamizelkę z szetlandzkiej wełny. Na widok mojego niechlujnego wyglądu – a według niego prawie zawsze wyglądałam nieporządnie – wzdychał ciężko.

Drewniana stodoła stała z dala od głównej drogi, jakieś dwadzieścia minut spacerem od domu dziadków, na terenie należącym do okazałej posiadłości zwanej Kingsland Hall. W prostej linii było to niedaleko, ale teren przecinał szeroki strumień, trzeba było go obejść naokoło. I robiło się daleko. W stodole były myszy i być może także szczury, ale kilkoro miejscowych dzieciaków lubiło się tam bawić. Włóczyłam się z nimi, choć nie do końca mnie akceptowano. Wchodziliśmy po drabinie i – z dala od wścibskich spojrzeń – chłopcy pokazywali nam swoje gołe tyłki, a my w zamian odsłaniałyśmy jakieś w miarę intymne skrawki naszych ciał.

Billy, największy chudzielec, ten, z którym się kiedyś biłam, spuszczał spodenki tuż przed moim nosem, po czym ustawiał

się tak, że mogłam wszystko zobaczyć. Na widok jego małego, sterczącego niczym patyczek fiutka odwracałam wzrok i czerwieniłam się. Wtedy on wyzywał mnie od najgorszych. Inni wytykali mnie palcami, ale ja dumnie unosiłam głowę. Chciałam być jedną z nich, ale nie za wszelką cenę. Przenigdy nie posunęłabym się dalej.

Gdy inne dzieciaki już sobie szły, on siadał obok mnie. Pachniał błotem i gnijącym drewnem. Był całkiem niezły. Miał ładne kasztanowe oczy i szeroki uśmiech, dzięki któremu zapominało się nawet o jego końskich zębach. Włosy trochę mu odrosły, miał krótką, sterczącą blond grzywkę.

Wyszczерzył się do mnie i wyjął talię wytłuszczonych kart.

- Zmieniłeś fryzurę - powiedziałam.

- Miałem wszy - odparł niespeszony. - Mama obcięła mi więc włosy do gołej skóry. Przepraszam, że cię wtedy tak przezwałem. Nie jesteś żadną imigrantką, po prostu cudzoziemką. Chcesz?

Skinęłam głową, a on podał mi wielką purpurową mordoklejkę.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

- U dziadków. Ale mylisz się, ja jestem Angielką.

- Dobra, dobra, niech ci będzie. - Podrapał się po głowie. - Oni nazywają cię samochwałą. Wiesz, dzieciaki.

- Wiem. A ciebie śmierdziuchem.

Obydwoje roześmialiśmy się.

- Opowiedz mi o tym miejscu, skąd przyjechałaś. Jak tam jest?

- Prawie codziennie leje, a w dżungli żyją miliony

zwierzaków.

- Małpy?

Przytaknęłam.

- Nigdy nie widziałem prawdziwej małpy. Tylko na obrazku.

Wyjął z talii kartę z pozaginanymi rogami i podał mi. Twarz mu jaśniała, ale paznokcie miał poobgryzane do żywego ciała.

- Na Malajach są setki małp. Wszelkie możliwe rozmiary. Małe małpki trzymają się futra na brzuchu mamusi i zawodzą jak prawdziwe niemowlęta.

- O kurczę!

Siedzieliśmy i w milczeniu ssaliśmy ciągutki.

- Umiesz gwizdać? - zapytał.

- Owszem. - Żeby mu to udowodnić, wyjęłam z buzi cukierek i zagwizdałam melodię piosenki o monetach w fontannie, której nauczyła mnie mama. - Moja mama mówi, że gwizdzę jak facet.

- A gdzie ona jest? Twoja mama.

Poczułam ucisk w gardle i z trudem przełknęłam ślinę. Nie chciałam, żeby to zauważył.

- Niedługo przyjedzie.

- Chcesz mi pomóc zbudować gokart?

- No jasne.

Weszliśmy na górę po drabinie. W kącie trzymał ukryte kawałki starego drewna, pogięte koła od wózka, kawałki zardzewiałego metalu i jakąś skrzynkę. Spod sterty siana wyjął młotek i kilka gwoździ.

- To mojego taty - wyjaśnił, po czym zabraliśmy się do roboty, kłócąc się, jak co zrobić.

Gdy już wszystko było gotowe, wstaliśmy, cali podrapani, z mnóstwem powbijanych w skórę drzazg, i oglądaliśmy nasze dzieło. Gokart może nie wyglądał najlepiej, ale jeździł i bardzo nas to cieszyło.

Spojrzałam na zegarek. Było wpół do szóstej. Veronica miała przyjść o czwartej. Powinnam czekać na nią w domu, przed telewizorem, ale nagle sobie przypomniałam, że przecież dziś w ciągu dnia nie nadają żadnych programów. Tata był małomówny, co najwyżej od czasu do czasu kazał mi odejść, a wbrew temu, co mówił o świeżym powietrzu, sam spędzał wieczory niemal podłączony do telewizora dziadka. Tata kupił mu go w prezencie, chociaż on i dziadek rzadko się zgadzali.

No, teraz to mi się dostanie, pomyślałam.

- Do jutra w szkole! - pożegnał mnie Billy z uśmiechem.

- No - powiedziałam, czerwieniąc się, zadowolona, że nareszcie mam dobrego kolegę.

Wróciłam do domu, gdy na drodze pojawił się wóz węglarza z napisem Wilson. Na ulicy nie było żywej duszy. Zerwał się chłodny wiatr, a mnie oczy zaszyły łzami, gdy ujrzałam Veronicę z tatą i z Fleur. Tata całował Veronicę w policzek. Ona spłonila się, dotknęła szpilki we włosach i naciągnęła szal na głowę, a jej spódnica zatrzepotała na wietrze. Wtedy z domu wyszedł pan Oliver.

- Ach, tu cię mamy - powiedział, wyszczerzając się do mnie w uśmiechu.

Tata też mnie zauważył. Miałam nadzieję, że ich nabiorę, udając, że jestem tu od dłuższego czasu, ale on poruszył grdyką i zacisnął wargi.



- Z tobą porozmawiam sobie później, młoda damo - wymamrotał pod nosem. - Chodź, odprowadzimy Veronicę i Sidneya do samochodu i pożegnamy się z nimi. Przynajmniej to możesz zrobić.

Ociągałam się, żeby być jak najdalej od pana Olivera, ale gdy dochodzili do samochodu, Veronica odwołała mnie na bok.

- Tęskniłam za tobą, Emmo. Chodź, wypuścimy się gdzieś razem. Tylko we dwie.

Pachniała lawendą i krochmalem. Chciała mnie przytulić. Gdy objęła mnie ramieniem, poczułam, że jest samotna, ale powstrzymałam ją. Wsiadła do samochodu i pomachała mi ręką w różowej rękawiczce, a jej brat w tym czasie poklepał mnie po pośladkach. Musiałam to jakoś znieść, nic nie mogłam poradzić. Mamie bym powiedziała, ale tacie nie.

- Do zobaczyska wkrótce! - krzyknął, demonstrując w szerokim uśmiechu lśniącą biel pełnego uzębienia i jasnoróżowe dziąsła.

- Jeśli o mnie chodzi, to raczej nie - szepnęłam do siebie i skrzywiłam się, bo pachniał jak mięso. Zaburczało mi w żołądku i zapytałam tatę, czy mogłabym teraz dostać bułkę.

Spojrzał na mnie ze złością.

- Nie, ty mała cholernico. Marsz mi na górę do swojego pokoju.

Wspinałam się po schodach z ociąganiem, zamiast - jak zwykle - wbiec na nie piorunem. Serce waliło mi głośno, bo tata za mną szedł.

- Pochyl się - rozkazał, gdy weszliśmy do pokoju.

Wpatrywałam się w wyliniały dywan, marząc, by znaleźć się

milion kilometrów stąd. W pokoju panowała kompletna cisza. Mogłam się domyślić, że chce mi sprawić lanie, a jednak na dźwięk odpinanego paska gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Cała się trzęsłam, ale nie chciałam dać po sobie poznać, że się boję. Nagle z tyłu ud poczułam gwałtowny, piekący ból. Wypłowiące róże i liście na dywanie skoczyły mi do oczu i zaczęły się zamazywać. Mrugnęłam, żeby strząsnąć z powiek łzy, i wbiłam sobie kciuk w miękkie wnętrze dłoni.

- Nie. - Znowu ukłucie bólu. - Mam ochoty. - Uderzenie. - Nigdy więcej. - Uderzenie. - Być świadkiem. - Cios. - Takiego nieposłuszeństwa.

W dalszym ciągu nie płakałam, ale gdy wstałam i zobaczyłam jego twarz w kolorze pomidora, prawdopodobnie czerwiejszą niż mój bolący tyłek, powiedziałam tak wyraźnie, jak tylko potrafiłam:

- Tak, tato. Przepraszam, tato.

Widziałam, jak drga mu szczeka, ale nie patrzył na mnie.

- To dla twojego dobra, Emmo - powiedział, nakładając pasek. Przeciągał go przez szlufki, a mnie się wydawało, że to będzie trwać wiecznie. Gdy skończył, podszedł do drzwi, ciągle na mnie nie patrząc.

- Dla twojego dobra - powtórzył. - Niech ci się nie wydaje, że możesz sobie robić, co ci się podoba. Im szybciej przestaniesz się zadawać z tymi głupimi gnojkami, tym lepiej. A teraz masz tu zostać.

Nigdy przedtem nie dostałam lania i chociaż uderzenia sprzączki były dotkliwe, bardziej bolała mnie świadomość tego, co się stało. Czasem na mnie nakrzyczał czy w złości

wymierzył klapsa. Tak jak wtedy, gdy na szkolny mundurzek wylał mi się atrament, a ja usiłowałam wyczyścić plamę wybielaczem. Darł się wówczas na mnie z wykrzywioną i czerwoną twarzą. Ale to było nie fair. To był przypadek. Niby skąd miałam wiedzieć, że pod wpływem chloru kolor granatowy zmienia się w blad różowy. Mówił, że do jasnej cholery będę teraz w tym chodzić, a ja wrzasnęłam, że nie będę. Ze strachu przestałam nad sobą panować. Krzyczałam, że nie może mi tego zrobić i że prędzej umrę, po czym wzięłam wazon z kawowego stolika i rzuciłam nim o podłogę.

A tej nocy, po tym jak mnie sprzął na kwaśne jabłko, nie mogłam zasnąć. Leżałam w ciemności i chciałam do mamy. Przez ścianę słyszałam jego chrapanie. W głębi serca pragnęłam, żeby tata mnie kochał, i było mi przykro, że czasami on mnie nawet nie lubi. Fleur nigdy by nie uderzył. Ona lekko zezowała i w ogóle była do niego podobna. Zazwyczaj ja trzymałam z mamą, a ona z tatą.

Na szczęście miałam babcię. Nie mieliśmy żadnych krewnych ze strony mamy, bo mamę wychowywały zakonnice. Nigdy nie poznała swojej matki. Kiedyś zapytałam ją, czy nie chciałaby się dowiedzieć, kim była jej matka, a ona mi wtedy odpowiedziała:

- Teraz mam ciebie i Fleur. I tylko to się dla mnie liczy.

Z tyłu głowy odezwał mi się syczący głos: „Skoro tak, to dlaczego cię tu z nami nie ma?”.

Cicho, zamknij się. Zachorowała jej przyjaciółka.

Zamknęłam oczy w nadziei, że ukaże mi się mama, ale jej obraz był rozmyty, twarz pozbawiona rysów. Otarłam łzy

i wciąż mając przed oczami wzór z dywanu, zasnęłam. Wydawało mi się, że jestem w pięknym ogrodzie, gdzie kiedyś spijałyśmy wspólnie słodki nektar z białych kwiatów. Fleur robiła wtedy na trawie figury akrobatyczne i strąciła ze stolika lemoniadę, a mama śmiała się, że powinna chyba zacząć nosić okulary. Ogród ten graniczył z zaroślami, wśród których zawodziły gibony, a tubylcy o pomarszczonych twarzach szukali pożywienia. Rosły tam wysokie trawy, w które nikt z nas nie śmiał wchodzić w obawie przed węzami.

## 11

Lydia usłyszała, jak idący przed nią chłopiec zatrajkotał coś szybko po malajsku. Przedzierała się przez giętkie zarośla pod szeroko rozpostartymi koronami drzew, a tuż nad jej głową nagle zakrakał jaskrawo upierzony ptak. Aż podskoczyła, przypomniawszy sobie opowieści Em o podstępnych duchach, pełzających jak wszy i wchodzących w krew, która przez to stygnie. Opanowała się i odpędziła chmarę brzęczących wokół jej głowy owadów. Rozpamiętywała swoje dawne romantyczne wyobrażenia na temat życia na Malajach.

Tak, to żadna idylla. Tu jest hałaśliwie, śmierdząco i przerażająco.

Obejrzała się i zobaczyła czarne sylwetki drzew na tle żółtego nieba. Spoza brzęczenia cykad i świerszczy dobiegł ją jakiś szmer. Ujrzała znanego jej już z autobusu wysokiego Eurazjatę, który szedł za nią, poruszając się z charakterystyczną dla Malajów swobodą. Zdenerwował ją i spojrzała do przodu, szukając wzrokiem chłopca.

- Uważaj na *malu-malu* - powiedział mężczyzna, wskazując palcem kobierzec ślicznych różowych kwiatów. - Mają kłujące łodyżki.

Kiwnęła głową, notując w pamięci, że ten człowiek ma głęboki głos, skośne oczy i świadczące o mądrości rysy twarzy. To nie była twarz typowego Malaja, raczej jakaś mieszanka

cech wschodnich i zachodnich.

Poczuła zapach drzewnego dymu i na skraju wioski ujrzała podskakującego na jednej nodze Maznana. Wyglądał jak Mowgli z *Księgi dżungli*, składał się jakby z samych łokci, kolan i wielkiej czupryny. Uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy podeszła do niego i nastroszyła mu włosy.

Przedarli się przez splachetek uprawnej ziemi otaczający malezyjską wioskę i dotarli do krytych strzechą chat na palach. Lydia starannie omijała grzebiących dziobami w piachu przedstawicieli malajskiego dzikiego drobiu.

Maznan roześmiał się.

- To tylko kurczaki.

- W życiu nie widziałam kurczaka, który by miał prawie metr wzrostu.

Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

- A co znaczy *malu-malu*? - spytała.

- Nieśmiały kwiatek.

Podniósł ręce i wykonał ruch naśladujący zamykające się płatki.

Wolała nie zbliżać się do pasącego się bawołu, ale nastrój ludzkiej siedziby koł jej nerwy i uznała decyzję przyjścia tu za słuszną. Przynajmniej przez jakiś czas będą bezpieczni.

Na dwóch wąskich mostkach przerzuconych nad strumieniem dzieci polowały na migocące świetliki, skakały, obracały się w kółko, klaskały w dłonie. Alec zupełnie inaczej opisywał jej lokalne wioski. Uważał je za siedliska szczurów i wszelakich chorób.

- Malajowie to skończone leniuchy - mawiał, gdy ona

wskazywała na ich spokój i pogodę ducha.

Alec był bardzo zaangażowany w swoją pracę w brytyjskiej administracji kolonialnej. Dużo czasu spędzał poza domem, w klubie. George, Harriet - to był krąg ludzi, do którego aspirował. Wszyscy myśleli podobnie. Kto mógł przewidzieć, że kiedyś znajdzie się w takim miejscu jak to, pomyślała Lydia. I będę wdychać woń oleju kokosowego i wsłuchiwać się w śpiew Malajów, w ich łagodnie pobrzękującą muzykę.

Maznan pobiegł porozmawiać z dwoma mężczyznami w spłowiałych od słońca pomarańczowych sarongach i pomachał, żeby za nim szła. Zawahała się. Wrócił i wsunął rękę w jej dłoń. Powinam go tu chyba zostawić, pomyślała, gdy ciągnął ją za sobą w stronę jednej z chat.

Młoda kobieta o łagodnych oczach, okrągłej twarzy i typowej dla Malajek gładkiej skórze zaoferowała jej sporą miskę chłodnej wody.

- Lela - przedstawiła się.

Maznan pokazał Lydii na migi, żeby umyła sobie ręce i twarz, ale ona zamiast tego zaczęła zdejmować mu koszulkę.

- Nie! - Wyrwał się jej.

- Chcę ci ją uprać, Maznan. Pozwolisz?

Zachmurzył się, jakby rozważał jej propozycję.

- Tylko uprać? Nie zabrać?

- Nie, kochanie. Nie zabiorę. Obiecuję.

Przestał stawiać opór i pozwolił, żeby mu zdjęła koszulkę. Obmyła mu też skaleczony bok, po czym wyszorowała i spłukała całe ciało. Pozostałej wody użyła do zmycia śladów wymiocin ze swojej twarzy, a gąbką wyczyściła zabrudzoną

spódnicę.

Na pomarańczowym niebie pojawił się zarys półksiężyca. Gdy się bardziej ściemniło, wioska rozbłysła światłem latarni. Pewnie wkrótce rozpocznie się wieczerza. Na świeżym powietrzu, przy ognisku, wywnioskowała Lydia, śledząc przygotowania. Chłopiec potwierdził jej domysły szerokim uśmiechem.

- Kulki ryżowe - powiedział, oblizując wargi. - Takie kleiste.

Uśmiechnęła się i uniosła podbródek. Dzieci są na całym świecie takie same. Poczła nagłą, przenikającą jej ciało tęsknotę za swoimi dziewczynkami. Przypomniała sobie, jak się śmiały w kąpielu, śpiewając piosenki. Jak długo jeszcze będzie musiała tak tęsknić?

W ciemności chmury świetlików podlatywały w górę i rozbłyskiwały równocześnie, oświetlając kolejne drzewa stojące szeregiem na brzegu strumienia. Ale ona czuła się zagubiona i bezradna. Jakby amputowano jej wszystkie członki, a co więcej - wydarto serce.

Tę noc przeleżała na prowizorycznej pryczy. Przez pozbawione szyb okna wpadała do środka chaty błękitnawa księżycowa poświata. Chłopczyk wtulił się w nią, objęła go więc ramieniem, żeby poczuł się bezpiecznie, a sama powędrowała myślą do córek. Chciało się jej płakać, gdy wspomniała, jak spały w łóżeczkach chronione przez moskitiery. Ale jej, ich matki, nie było wtedy przy nich.

Poczła, jak Maznan ociera palcami łyzy, zanuciła mu kołysankę, po czym zmówiła modlitwę w intencji swoich dziewczynek, oddalonych od niej o setki kilometrów dżungli



nie do przebycia.

Pojawił się jej przed oczami mglisty obraz kobiety w jasnoniebieskiej sukience wykończony wzorem z kwiatów w chabrowym kolorze. Stała na plaży, spódnica szeleściła wokół jej łydek i Lydia nagle zapragnęła, żeby ten obraz stał się wyraźniejszy. Ale zawsze ukazywał się jej taki zamazany. Zaczęła odkopywać w pamięci te lata, które spędziła u Świętego Józefa. Gdy pytała, kim była ta kobieta, zakonnice zmieniały temat i pozostawała zdana wyłącznie na swoją wyobraźnię. Teraz pozwoliła obrazowi wyblaknąć i mimo malajskiej duchoty zasnęła zadziwiająco mocno. Spokój wioski wyciszył okropności minionego dnia.

Obudził ją poranny brzask oświetlający ściany chaty i zapach dojrzałych ananasów i owoców mango. Wyszła na dwór, wciągnęła w nozdrza powietrze i zobaczyła długonogiego Maznana, odliczającego na głos, ile razy udało mu się przeskoczyć nad resztkami wczorajszego ogniska. Uśmiechnęła się z jego udających strach pisków, bo przecież ogień dawno już wygasł. Nawet o tak wczesnej porze zgięci w pół mężczyźni uprawiali warzywne grządki, a kobiety zamiatały klepiska wokół swoich chat.

- Maznan! - zawołała.

Odwrócił się w jej kierunku, uśmiechnął od ucha do ucha i zaprowadził, żeby pokazać kozy. Oboje obejrzelili niewielką polankę, na której pasło się stadko beżowych zwierząt.

- Osiem - oznajmił. - Można dotykać.

Lydia ostrożnie wyciągnęła rękę do jednej z drobniejszych kózek.

- Dzieci nie gryzą - roześmiał się.

Nadeszła Lela, przynosząc jeden stołek dla Maznana, drugi dla siebie. Lydia nie mogła wyjść z podziwu, że mały tak sprawnie potrafi doić. Zaczęła się ponownie zastanawiać nad pozostawieniem go tu. Czy to właściwe miejsce? Któż to może wiedzieć... Dziewczyna, która go przyprowadziła, nie określiła dokładnie, co z nim zrobić.

- Pani - uśmiechnął się do niej zachęcająco - spróbować?

Pokręciła głową przecząco i dostrzegła na jego twarzy rozczarowanie.

- Chciałbyś tu zostać? - zapytała.

- Na jak długo, pani?

- Możesz mi mówić po imieniu, Maznan. Jestem Lydia.

- Tak, pani. A ty możesz mnie nazywać Maz.

Westchnęła.

- Pomyślałam, że mógłbyś tu zamieszkać, Maz, dopóki ciocia cię nie zabierze.

Chłopiec przyjrzał się jej uważnie.

- Nie ciocia, pani. Ja pójdę z tobą.

Lydia patrzyła na dziecko, kręcąc głową. Już w Malakce wzbudził jej litość, a teraz biła się z myślami.

Pół Malaj, pół Chińczyk, dziewczyna poprosiła ją, żeby go zawiozła albo do malajskiej wioski, albo do osady chińskich przesiedleńców. I tu, i tu znajdzie krewnych, ale nie wiadomo, którą z licznych miejscowości miała na myśli. Nie można go przecież ze sobą ciągnąć przez pół kraju do Ipoh, a ta wioska - mimo toczącej się wojny - wygląda na spokojną i szczęśliwą. Myślała też, żeby go zostawić na policji, ale obraz jej

własnego dziecka zamkniętego w celi skutecznie wyleczył ją z takich pomysłów.

Chłopiec ciągle na nią patrzył, a w jego jasnym spojrzeniu czaiła się nadzieja.

- Dziecko, ty musisz żyć wśród swoich. A ja muszę odnaleźć moją rodzinę.

Porzucił dojenie, podszedł bliżej i wziął ją za rękę. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Proszę. Ja tu nie mam nikogo.

Patrzyła na przelatujące nad pastwiskiem jaskółki, słyszała śpiew ptaków, beczenie kóz, gdakanie drobiu i jakieś dudnienie w oddali. Z drugiej strony wygasłego ogniska stał w cieniu wysoki mężczyzna i przyglądał się jej ciemnymi, nieruchomymi oczami. Spojrzała na niego, a on skinął jej głową. Wczoraj raz się do niej odezwał, ale resztę drogi do wioski pokonali w niezręcznej ciszy, a potem widziała go jeszcze tylko raz, przy kolacji. Teraz wpatrywał się w nią uporczywie.

Ona pierwsza uciekła wzrokiem, a on zaczął się zbliżać, poruszając się płynnie, jak sportowiec o doskonale naoliwionych stawach. Szybkobiegacz. Wyciągnął do niej rękę.

- Mam na imię Adil - powiedział.

Kiwnęła głową, wyzwoliła drżącą dłoń z jego uścisku i patrzyła w ziemię. Wcześniej nie zauważyła, że mężczyzna ma silnie zarysowane kości policzkowe, wydatny nos, a pod krzaczastymi brwiami oczy koloru zimnego piasku.

- Dlaczego napadli na nasz samochód? - spytała, żeby

powiedzieć cokolwiek.

- Żeby zastraszyć i wyegzekwować środki. Następnym razem, kiedy towarzystwo ich wystarczająco nie „wesprze”, po prostu spalą wszystkich żywcem.

- Widzę, że się pan na tym zna?

Wzruszył ramionami.

Nie wyglądał specjalnie młodo, mógł mieć czterdziestkę. Miał jednak gładkie czoło bez cienia zmarszczki i - co już zauważyła w autobusie - wygoloną brązową czaszkę. Dwie bruzdy ciągnęły się od skrzydełek nosa ku kącikom pełnych ust. Był szczupły, ale dość barczysty, i mimo ciemnej skóry trudno jej było określić, jakiej jest narodowości.

- Jaki jest cel pani podróży? - zapytał.

- Ipoh - usłyszała własny głos. - Jadę do męża.

Potarł podbródek.

- Aha, to dobrze, możemy jechać razem. To niełatwa droga. Ja też tam zmierzam.

Jego słowa wprawiły Lydię w zakłopotanie. Miała nadzieję, że George Parrott powiedział jej prawdę i że Alec wciąż tam jest wraz z dziewczynkami. Nie miała natomiast jasności co do własnego położenia. A poza tym nie знаła tego faceta. Zachowywał dystans, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Może się okazać kimkolwiek bądź.

- O, ja raczej pojedę sama - wyrzuciła z siebie w końcu.

- Nalegam - powiedział, przyjmując przyjazny wyraz twarzy i uśmiechając się łagodnie. - Ze mną będzie pani o wiele bardziej bezpieczna, Lydio. Lydia, nie mylę się?

- Skąd pan wie?

Wzruszył ramionami i wskazał Maza.

- Pewnie usłyszałem, jak pani mu to powiedziała. Zostawia go pani tu?

Co mu do tego? Jego ton świadczył, że nie tyle pyta, co stwierdza fakt. Był taki spokojny i pewny siebie, że jej niedawne niezdecydowanie przysło bez śladu.

- Nie, on jedzie ze mną.

Maz objął jej nogi, gdy obok przeleciał rój żółto opalizujących motyli. Zauważyła, że usiłuje je policzyć, ale były za szybkie i zbyt liczne. Mężczyzna skłonił głowę z obojętnym wyrazem twarzy, ale Lydia spostrzegła, jak po raz pierwszy w jej obecności zacisnął wargi.

Odeszła i pomogła Mazowi włożyć suchą koszulkę. Wyglądał bardzo ładnie i promieniał, odsłaniając rząd nieskazitelnie białych zębów. Klepał się dłońmi po czystym ubranku. Lydia przepakowała walizkę, pozbywając się przy okazji dwóch par butów i jednej z wieczorowych sukienek. Do oczu dostał się piaszczysty kurz, a świeżo obcięte włosy były mokre od potu. Odpędziła brzęczące wokół głowy stworzenia, podrapała się w okolice kostek, gdzie była najbardziej pogryziona, i pomodliła się, żeby dalsza podróż miała lżejszy przebieg. Upewniła się, że medalion, w którym umieściła fotografie córeczek, znajduje się na miejscu, i wzięła głęboki wdech. Już niedługo, moje kochane, już niedługo.

## 12

Skinąwszy sobie na znak zgody, opuścili wioskę i prawie się do siebie nie odzywając, pokonywali gmatwaninę ścieżek. Po mniej więcej godzinie doszli do czegoś w rodzaju stacyjki. Na skraju dżungli stała przy torach budka telegrafisty i niewielki podest pełniący funkcję peronu. Lydia osunęła się na metalową ławkę. Lepka od potu, zmęczona, ze straszliwie pokąsanymi przez insekty nogami, oddałaby teraz wszystko, by móc zanurzyć się w kąpieli. Dzieciak objął ją wpół i zasnął z głową opartą o jej pierś. Budkę oblepiono ulotkami grożącymi śmiercią za dostarczanie bojownikom żywności. Znalazło się tam też miejsce dla dwóch plakatów: jeden reklamował piwo Tiger, a drugi nagrania Dinah Shore.

- Nie możesz się doczekać spotkania ze swoimi córeczkami  
- usłyszała głos Adila.

Lydia zmarszczyła brwi. Czyżby opowiadała mu o Emmie i Fleur? Całkiem możliwe.

- Rodzina jest najważniejsza. - Sięgnął do kieszeni sarongu i wyjął pomarańczę. - Masz. Podziel się z dzieciakiem.

- Dziękuję - powiedziała. - Uwielbiam pomarańcze, a chce mi się pić.

Obrała owoc ze skórki. Cudowny cytrusowy zapach sam w sobie powodował napływ śliny do ust, ale gdy ujrzała tęskny wzrok Maznana, podała mu całą pomarańczę.

Adil nic na to nie powiedział.

Usłyszała stukot i spojrzała na tory. Modliła się, żeby przynajmniej w pociągu było chłodno. Gdy pojazd ich minął, zrezygnowana opuściła ręce i patrzyła na chmurę kurzu, spoza której prawie nie sposób było dojrzeć ostatniego wagonu.

Nieprzywykła do przebywania po południu na zewnątrz dosłownie topniała z gorąca, z nadzieją wyczekując deszczu. Adil nie wyglądał na tak cierpiącego z powodu upału jak ona i cały czas niósł jej walizkę. Miał zaciśnięte usta i od czasu do czasu powoli kiwał głową, marszcząc czoło.

- Wygląda na to, że kolej tu działa, przynajmniej częściowo - odezwał się.

Rozejrzał się, powiedział jej, że musi coś sprawdzić, i udał się w kierunku budki.

Gdy się oddalił, Lydia spostrzegła nerwowo zachowującego się niewielkiego pajęcznika. Ptaszek najwyraźniej miał jej za złe, że siedzi za blisko jego gniazda, ale ona z powodu gorąca nie była w stanie się przesunąć. Gdy wrócił Adil, nawet nie próbowała nawiązać jakiegokolwiek rozmowy. Wdychała słony, lepki zapach swoich pach i w myślach przeklinała Aleca. Poczowała klepnięcie w ramię i spojrzała na małego.

- Dalej głodny, pani - powiedział Maznan, gładząc się po brzuchu i patrząc na nią wielkimi oczami.

- A co byś zjadł? - Uśmiechnęła się, chcąc mu zrobić przyjemność.

- *Nasi dagang*. Takie, jak robi moja matka.

Po raz pierwszy wspomniał matkę.

- Wiesz mniej więcej, gdzie ona przebywa w tej dżungli, Maz?

Wzruszył ramionami i zwiesił głowę.

- To twoja mama kupiła ci tę koszulkę? I dlatego nie chciałeś mi jej oddać?

Pociągnął nosem.

Lydia zamyśliła się na chwilę.

- Opowiedz mi o tym *nasi dagang*.

- To ryż kokosowy z rybą.

Zaczęła szukać czegoś w kieszeniach. Obok przeszedł bezdomny, pokryty świerzbem pies, patrząc na nich z nadzieją w oczach. Nie miała innego wyjścia, jak odezwać się do Adila, chociaż powstrzymywała ją przed tym jego ostentacyjna rezerwa.

Ściszyła głos.

- Co mamy teraz zrobić? Co nam pozostało?

Patrzył na nią uważnym i inteligentnym wzrokiem. Po chwili zdała sobie sprawę, że gapią się na siebie, i odwróciła się.

- Gdy przyjedzie pociąg, kupimy coś do jedzenia. Pociągami jeżdżą rozmaici handlarze. Masz jakieś pieniądze?

Przytaknęła ruchem głowy i odzyskała głos.

- Myślałam, że nie wolno przewozić żywności. Poza tym czy opłaciliby im się to, skoro muszą kupować bilety?

- Oni ich nie kupują. Po prostu wskakują do pociągu i wyskakują - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Nie robią sobie przy tym krzywdy?

- To tylko tubylcy - odparł po prostu.

Najwyraźniej się z nią droczył. Popatrzyła na chwasty



rosnące w kurzu na obrzeżach betonowego peronu i przypomniała się jej inna podróż, podczas której razem z Alekiem przemycali dwa syjamskie kociaki przez punkt graniczny w Johorze. Wtedy jakoś żadne z nich nie miało oporów, żeby złamać prawo.

Spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. Nic o nim nie wiedziała, ale nagle zaczęło przeszkadzać jej, że na jej łydkach pojawiły się włoski. Schowała nogi pod ławkę.

Gdy wysłużony pociąg zatrzymał się przed nimi ze zgrzytem hamulców, powietrze zapachniało mieszaniną imbiru i owoców tamaryndowca, dymu z lokomotywy oraz nadciągającego deszczu.

Wdrapali się do wagonu, znaleźli miejsca siedzące i od kobiety o marnych włosach ubranej w workowate spodnie kupili owoc guajawy oraz ryżowe paszteciki z curry. Lydia na własne oczy mogła się przekonać, jak kwitnie nielegalny obrót żywnością i żywym inwentarzem. Handlarka miała przy sobie plecak pełen gotowych potraw oraz kosz z pokrywą, gdzie przewoziła żywe kurczaki.

- Zawsze można znaleźć sposób - skomentował Adil.

- A czy część tej żywności nie trafia do partyzantów w dżungli?

- O tym się nie mówi - odparł, unosząc brwi. Miał bujne, ładne rzęsy.

Gdy Lydia przyjrzała się twarzy mężczyzny, stwierdziła, że jego oczy błyszczą autentycznym ciepłem. Spuściła wzrok, ale już po chwili znów go podniosła. On się w tym czasie przesunął, coś w jego spojrzeniu uległo zmianie, ciepło gdzieś

się ulotniło. Z trudem przełknęła ślinę. Nie wiedziała, jak się ma zachować. Nigdy przedtem nie spoufalala się z kolorową ludnością. To byli albo podwładni Aleca, albo jej domowa służba. A doroczna kolacja w sułtańskim pałacu miała czysto oficjalny charakter.

- Jedz - zachęcił ją. - Następny posiłek może nie trafić nam się zbyt szybko.

Pociąg nabierał prędkości, mknąc wśród ciemnej zieleni drzew. Był pozbawiony toalety i przy okazji następnego przystanku cała gromada pognąła w krzaki. Lydia zdusiła śmiech na widok mężczyzn, którzy sikali w deszczu na oczach wszystkich.

Maz spał, siedząc między nimi z głową opartą o jej rozkołysane rytmem jazdy ramię. Lydia od czasu do czasu rzucała okiem na twarz mężczyzny, na jego profil z wydatną szczęką i zamknięte usta. Za którymś razem otworzył oczy i przyłapał ją na tym. Zmieszana odwróciła wzrok.

Wkrótce zorientowała się, że i ona przyciąga uwagę innych ludzi. Wysoki wojskowy z żoną zatrzymali się przy niej w przejściu między siedzeniami. On musiał mierzyć ponad metr osiemdziesiąt, był potężnej budowy i miał czerwony nos. Zapewne alkoholik.

- Nic pani nie jest? - zagadnął, pochylając się nad nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Dziękuję, wszystko w porządku. Podróżuję po kraju. Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach i skrzywiła się.

- Z ogrodnikiem, moja droga?

Lydia poczuła się zniesmaczona w imieniu Adila.

- Nic mi nie jest. Dziękuję za troskę. Do widzenia państwu.

- No cóż - sapnęła kobieta, której twarz nagle poczerwieniała. Mąż wziął ją za łokieć i szybkim krokiem prowadził przed sobą. Jej krzyki protestu i oburzenia słychać było zapewne w sąsiednich wagonach.

Lydia westchnęła i złapała rozbawione spojrzenie Adila.

- Może przystrzyc pani oleandry, madam?

Otworzyła okno, przez które wdarł się słodki zapach dżungli po deszczu. Wagon wypełnił się delikatną wonią frezji. Roześmiała się i wszystko wróciło do normy.

Pociąg jechał teraz pod górę. Pół godziny później z czołem przyklejonym do szyby Lydia przyglądała się wąwozowi, którego dnem płynęła rzeka. W świetle przedzierającego się przez chmury słońca mniej więcej w połowie wysokości wzgórze ukazały się ruiny pałacu.

- Co to? - spytała Adila.

- Przypuszczam, że to może być pałac sułtana Selangoru, co by oznaczało, że jesteśmy w dolinie Klang.

Lydia skrzywiła się. Nawet geografię Anglii znała jedynie w zarysach, o Malajach wiedziała jeszcze mniej.

- To niedaleko Kuala Lumpur.

Usiłowała sobie przypomnieć, co było na mapie, która wisiała w gabinecie Aleca za jego biurkiem. Alec kiedyś omiół tak nazwane miejsce ręką, nie przykładał jednak wagi, co ona z tego zapamiętała. No więc zapamiętała tyle co nic. Wiedziała, gdzie leży Johor Bahru, Malakka i Singapur. Na południu. A na początku pobytu spędzili jeszcze krótkie i spokojne wakacje w Kuala Terengganu na wschodnim wybrzeżu. Byli tam prawie

szczęśliwi.

Nie miała głowy do szczegółów, nie bardzo nawet wiedziała, gdzie jest Ipoh. Na mapie potrafiła wskazać tylko nazwy miejscowości, w których dłużej lub krócej przebywała.

- Mniej więcej połowę drogi mamy za sobą - wyjaśnił Adil, wyjmując ogryzek ołówka i notes z wystrzępionymi kartkami.  
- Pokażę ci.

Lydia ostrożnie uniosła śpiącego chłopca i zamieniła się z Mazem miejscami.

Z bliska poczuła, że skóra Adila ma cedrowy zapach.

- Zobacz, na zachodzie jest Penang, a na wschodzie Kuantan.

Pokiwała głową, rozpoznając podługowaty zarys Półwyspu Malajskiego.

- A Ipoh?

- Tu - odparł, zaznaczając miejsce krzyżykiem. - Trochę poniżej Penangu, trochę dalej niż w połowie odległości od Kuala Lumpur.

To wciąż jeszcze kawał drogi, pomyślała.

- A dokąd dojedziemy tym pociągiem?

- To zależy od stanu trakcji, ale planowo powinien dotrzeć do Tanjung Malim.

Nagle zabrakło jej tchu.

- Znam. Przyjaciół zarządza tam plantacją. Jack. Jack Harding.

Na chwilę oddała się wspomnieniom szerokiego uśmiechu Jacka. Wyobrażała sobie, jak zamaszystym krokiem przemierza plantację, widziała jego umięśnione łydki, ruchliwe

ręce i lśniące od potu ramiona. Wróciły do niej słowa Jacka, które wypowiedział wkrótce po tym, jak się poznali. Spojrzał jej wtedy w oczy i zacierając olbrzymie dłonie, rzekł:

- Niech to szlag, Lyddy. Nie chcę zdychać w tej dżungli.

Pocałowała go wtedy mocno, w usta, bezradna wobec jego uśmiechu i elektryzującej niczym tropikalny piorun energii.

- Nie martw się, kochanie - powiedziała - nie zdechniesz. Ale właściwie dlaczego tu przyjechałeś?

- Po Birmie nie mogłem znieść myśli, że będę żył zwyczajnie, jak inni przeciętniacy - odparł.

Jack był tuż po czterdziestce, pochodził z dobrej rodziny, pokończył prywatne szkoły. Zostawił jednak to wszystko. Nie liczył się z opinią innych ludzi. Niech sobie myślą, co im się żywnie podoba, mawiał, wzruszając ramionami. Przystojny i atrakcyjny, zawsze wyrastał ponad tłum. Jak złoty bożek, pomyślała kiedyś. Od początku podejrzewała jednak, że nie jest grzecznym chłopcem.

I tyle jej po nim pozostało. Jego wizerunek i działające niczym balsam wspomnienia.

Stukot kół pociągu i panujący w nim upał działały na wszystkich usypiająco. Maz zwinął się w kłębek i wyglądał, jakby spał, ale kiedy Lydia na niego spojrzała, uniósł rączkę i poklepał ją po udzie.

- Mama poszła do powstania, nie mogę się z nią widzieć - powiedział.

Przytuliła go mocno. Biedaczek, pomyślała, gdy nagle ktoś przechodzący obok trącił ją w ramię.

Malajka z niemowlęciem śpiącym w zawiązanej na piersi

bawełnianej chuście śpieszyła do wyjścia. Z drugiej strony korytarza zbliżał się konduktor i kazał wszystkim pokazywać bilety. Adil zerwał się na równe nogi.

- Co się dzieje? - zapytała.

Nie odpowiedział i zaczął się przeciskać przez tłum stojących pasażerów za oddalającą się kobietą. Lydia wykręciła szyję, żeby go dojrzeć. Kobieta dopadła drzwi, wyciągnęła rękę i zaczęła szarpać za klamkę. Cały wagon już się zorientował, że coś się kroi, i wszyscy odwrócili się w jej stronę, żeby lepiej widzieć.

Drzwi puściły. Lydia gwałtownie nabrała powietrza i wstała, ręką zakrywając sobie usta. Pociąg wcale nie zwalniał, nie zbliżał się do żadnej stacji. Ale kobieta, obejmując dziecko ramieniem, była już jedną nogą na zewnątrz. Pochyliła się, gotowa do skoku. W ostatniej chwili Adil złapał ją za chustę, wciągnął do środka i mocno przytrzymał.

Lydia patrzyła na jego zatroskaną twarz, widziała, jak kręci głową i coś mówi, a kobieta słucha go z twarzą zalaną łzami. Sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, wskazał palcem konduktora i wręczył kobiecie kilka monet oraz pięciodolarowy banknot.

Konduktor zbliżył się do miejsca, gdzie siedzieli, wykonał nieokreślony ruch ręką i Adil zapłacił za bilety dla siebie, Lydii i Maza.

- To miłe z twojej strony - powiedziała.

- Masz na myśli bilety? - Zmarszczył brwi.

- Tak, to też, dziękuję, ale myślałam o tej kobiecie. Skąd wiedziałeś, że ona chce wyskoczyć? Mogła się zabić.

- Wiele razy byłem świadkiem podobnych scen. To nic

takiego – powiedział, jakby zawstydzony jej pochwałą.

A Lydia była naprawdę pod wrażeniem, nie tylko jego dobroci, ale także szybkości, z jaką zareagował.

Na zewnątrz wiatr wzniewał tumany brudnego kurzu. Gdy pociąg w końcu zatrzymał się na maleńkiej stacyjce, Lydia spostrzegła stojący tam niewielki autobus. Trzaskały drzwi, chmary ptactwa unosiły się w powietrzu, a ludzie z hałasem taszczyli swoje bagaże. Czereda szczęśliwców podążyła w kierunku autobusu, gdzie w tłumie czekał na nich ksiądz z uśmiechem na twarzy i pistoletem w przypiętej do pasa kaburze. Kiedyś Lydia wzdrygnęłaby się na taki widok, ale teraz każdy nosił broń przy sobie, więc nawet nie mrugnęła okiem. Bała się, co będzie, jeśli autobus ich nie zabierze. Chyba się tu uduszą, tym zakurzonym powietrzem nie da się oddychać.

Adil jednak zdobył dla nich miejsca siedzące w środkowej części autobusu.

Odetchnęła i otarła pot, który ciągle gromadził się u nasady włosów. Maz zauważył jej przygnębienie.

– Jesteś piękna, pani, tak myślę – powiedział.

Łzy napłynęły jej do oczu. Może i kiedyś była, ale teraz czuła się po prostu brudna i zmęczona.

Rozległo się jakieś dudnienie. Wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Drogą jechał konwój dwunastu eskortowanych przez policję ciężarówek.

– To transport przesiedleńców – ocenił Adil. – Przenoszą Chińczyków z obrzeży dżungli do strzeżonych osad.

Wiatr niósł wzmocnione przez megafony głosy.

- Chińczycy nie mają już czego szukać na Malajach - dodał.
- Albo się dadzą pozamykać, albo będą musieli iść do dżungli.

Dzięki Alecowi Lydia wiedziała, że policja, a nawet wojsko, biorą udział w przesiedleniach.

- To chyba przysparza zwolenników stronie rządowej?
- Nic dziwnego. Ale to jeszcze nie oznacza poparcia dla Brytyjczyków. Ludzie po prostu mają dość przemocy.

Lydię rozboleła głowa. Kark jej zeszywniał po trudach dnia. Zamknęła oczy i zasnęła, tym razem trzymając Maza na kolanach. Starła się jednak nie zmniejszać dystansu, jaki dzielił ją od mężczyzny. Pogrążona w snach o swoim klasztornym dzieciństwie i o nieustannej tęsknocie za niepoznaną nigdy matką, wzdrygnęła się, gdy autobus gwałtownie zahamował. Otworzyła oczy i postać kobiety w niebieskiej sukience błyskawicznie zbladła. Autobus stał nieruchomo.

Otrząsnęła się z resztek snu i westchnęła głęboko. I co dalej? Otarła spierzchnięte usta wierzchem dłoni, a potem oblizwała się, żeby je choć trochę zwilżyć. Niestety, po tym wargi piekły ją jeszcze mocniej.

Adil, potykając się, szedł między siedzeniami. Ludzie wstawali z miejsc, przeciągali się, szeptem pytali jeden drugiego, co się stało. Chłopiec trwał nieporuszony. W narastającej ciemności, rozświetlanej jedynie pasemkami srebrzystej poświaty na granatowym niebie, nie widać było drogi. Lydia czekała cierpliwie, na malajską modłę. Gdyby był tu Alec, zapewne demonstrowałby swoje brytyjskie sztywniactwo i nachalność, wprawiając ją w zakłopotanie. Jej



cierpliwość została wkrótce wynagrodzona, gdyż Adilowi udało się przedrzeć do nich z powrotem.

- Zatrzymała nas lokalna policja. Autobus musi zawrócić, bo ta droga jest zaminowana. Nie da rady nią przejechać.

Lydia kompletnie się załamała. Dlaczego to wszystko musi iść jak po grudzie?

- Ale moje dziewczynki... - powiedziała. - Nie mogę zawrócić.

- Załatwiłem, że ktoś podwiezie cię na plantację twojego przyjaciela. Jeden z posterunkowych miał się tam udać rano. Zgodził się zabrać cię i jechać już teraz.

Na myśl, że niedługo ujrzy Jacka, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Wyobraziła sobie błękitne wzgórza i ciemnozielone doliny, na których rozciąga się plantacja. Przynajmniej tak to wyglądało w jego opowieściach. Syczenie gekonów za oknem sypialni, gardłowe porykiwanie żab-byków. Pokręciła głową. To nie dla Jacka tu przyjechała.

- Skąd wiesz o Jacku?

- Wspomniałaś o nim, nie pamiętasz? Popytałem tutejszych policjantów i okazało się, że Bert jest jednym z oficerów odpowiedzialnych za ochronę tej posiadłości. Ty i mały będziecie mieli okazję odpocząć, najeść się, przespać i umyć. - Omiótł wzrokiem jej twarz i ubranie, nie potrafiąc ukryć lekkiego rozbawienia. - Nie chcesz chyba wyjść na spotkanie swoich dzieci w takim stanie?

W słabym świetle obejrzała swoje pokryte sińcami i pęcherzami nogi. Uśmiechnęła się ponuro. Wszystko ją bolało i swędziało. Zawahała się. To za duże ryzyko. Ogarnęło

ją śmiertelne znużenie. Otarła pot z czoła i poruszyła spuchniętymi palcami, usiłując ściągnąć ślubną obrączkę.

- Nie mogę pojechać do Jacka.

Patrzył na nią z życzliwym uśmiechem.

- To naprawdę dla ciebie najlepsze wyjście. Żaden autobus nie przejedzie tą drogą przez najbliższy tydzień.

- A ty? Nie jedziesz dalej?

- Nie. Wrócę tym autobusem. Zaraz rusza.

Westchnęła, zaskoczona własnym rozczarowaniem.

- A ja nie mogę wrócić z tobą?

Pokręcił głową.

- Tydzień to szmat czasu. Co będziesz robić?

Musiała przyznać mu rację. Postępując zgodnie z jego radą, szybciej dotrze do Emmy i Fleur. Tylko co powie Alec, jeśli się dowie?

Dźwigając jej walizę i ciągnąc za rękę rozspanego Maza, Adil doprowadził ich do opancerzonego policyjnego wozu, gdzie przysadzisty brytyjski oficer w panterce palił papierosa, stojąc obok sierżanta, Sikha w turbanie.

Adil wskazał go ruchem głowy.

- To jest Bert.

Dłonią przysłoniła oczy, bo światło reflektora nie pozwalało jej dojrzeć człowieka, z którym ma jechać. Drugą ręką odganiała chmary skrzydlatych mrówek. Z tego, co ujrzała, Bert miał przyjazny wyraz twarzy, zaczesane do tyłu kręcone włosy i tak jak ona był piegowaty.

- *No problem*, zrobię wszystko, żeby pani pomóc, lady - powiedział z wyraźnym akcentem z Yorkshire. - I tak miałem

tam rano pojechać.

Uśmiechnęła się lekko, zdumiona, jaką tęsknotę za Anglią obudził w niej głos tego człowieka.

Lydia usadziła Maza i wdrapała się do samochodu. Już miała zamknąć drzwi, ale się zawahała. Bert siedział za kierownicą, kluczyk w stacyjce, można ruszać.

- Przepraszam - powiedziała. - Jeszcze sekunda.

Wysiadła i podeszła do Adila.

- Kim ty naprawdę jesteś? Byłeś dla mnie taki... miły.

Dotknęła jego ręki. Twarz mężczyzny okrywał cień, ale zobaczyła, że oczy mu rozbliły, gdy się uśmiechnął. Była w nich prawdziwa głębia i zdała sobie sprawę, że jego pełne rezerwy i godności zachowanie kojarzy się jej z postaciami potężnych miejscowych kapłanów ze starych legend, które czytała dziewczynkom. Ich też, jak Adila, cechował spokój, choć w głębi serca byli wojownikami.

- Nieważne. Przyszło nam żyć w niebezpiecznych czasach.

Patrzyli na siebie przez chwilę i ten przelotny kontakt sprawił jej autentyczną przyjemność.

- No cóż, kimkolwiek jesteś, chciałam ci podziękować. Za dobroć i uczynność.

- To nic takiego. A ja jestem przyjacielem. Możesz tak o mnie myśleć.

Bert jechał pustymi asfaltowymi drogami. Gdy zapadła ciemność, gdzieś daleko między drzewami od czasu do czasu było widać odbłask ognisk w mijanych wioskach. Zatrzymali się przy wysokim ogrodzeniu z drutu kolczastego. Bert włączył reflektory i w ich świetle Lydia ujrzała dwóch

policjantów patrzących w dół z ukrytej w drzewach wieży strażniczej. Obaj mieli karabiny maszynowe. Bert mignął swoim upoważnieniem trzeciemu, stojącemu przy bramie funkcjonariuszowi. W oddali można było zobaczyć więcej takich wież, z których silne światło padało na teren plantacji.

Wewnętrzna droga była dłuższa, niż się Lydia spodziewała, a gdy dotarli do jasno oświetlonego dwukondygnacyjnego budynku otoczonego jeszcze dodatkowo drutem kolczastym, serce zaczęło jej bić szybciej. Po otwarciu kolejnej bramy strażnik wpuścił ich do środka. Okrążył krzew azalii oświetlony przez przytroczoną do słupa lampę, po czym schował się w cieniu.

Główny budynek był okazały, zbudowany na planie czworokąta i otoczony werandą i czymś, co przynajmniej po ciemku wyglądało na dość rozległy ogród. Była tam też przybudówka. Lydia nigdy nie widziała tej posesji, z Jackiem spotykali się w biały dzień po hotelach. A także – co wymagało odwagi – raz czy dwa u niej w domu.

Ciągle miała wątpliwości, czy dobrze robi. Co sobie pomyśli Jack, gdy ona tak tu się pojawi? Lepiej było zawrócić razem z Adilem, nawet gdyby wydłużyło to podróż o tydzień.

Weszli do środka. Niepewnie rozejrzała się dookoła i zaczęła oddychać powoli, żeby się uspokoić. Dom wyglądał na niezamieszkały. Jediną oznaką, że może być inaczej, był leżący na podłodze w holu jasnoniebieski chiński dywanik. Odnotowała też skąpe umeblowanie, stolarkę z ciemnego drewna i męski zapach tytoniu i wosku.

Po gładkiej podłodze z płytek przydreptała lekkim krokiem

szczupła młoda Chinka. Miała pozbawione uśmiechu oczy, sięgające do pasa jedwabiste granatowoczarne proste włosy, delikatne rysy i oliwkową cerę. W jej sposobie poruszania się była pewność siebie i zmysłowość. Lydia poczuła, że robi się jej gorąco i zaczyna się pocić, ale mimo to próbowała się uśmiechnąć.

- Tak, słucham - powiedziała dziewczyna po angielsku, omiatając przybyłych wzrokiem.

Bert wyglądał na nieco zbitego z tropu, próbował jednak być grzeczny.

- Czy zastaliśmy Jacka?

- Pewnie jeszcze jest na nogach. Kogo mam zapowiedzieć?

- Bert Fletcher. Jestem jednym z dodatkowych posterunkowych do zadań specjalnych, przydzielonych do ochrony tej posiadłości. Miałem przyjechać jutro.

Lydia wiedziała, że Jack może mieć na plantacji jakieś kłopoty, ale żeby aż wymagał przysłania mu na wyłączność wyspecjalizowanych funkcjonariuszy?

- Przydzielono mnie czasowo, potem mam się zająć nową osadą dla przesiedleńców - wyjaśnił Lydii Bert. - Pracujemy w parach, po dwóch.

Dziewczyna się oddaliła, a Lydia patrzyła na skradającego się w poprzek ściany różowawo-brązowego gekona. Złapała za mokry materiał swojej sukienki, a drugą ręką w roztargnieniu odganiała muchy z twarzy. Inny gekon podbiegł, żeby schwytać pierwszego, który w rezultacie spotkania został pozbawiony ogona. Odłączony od właściciela ogon cały czas się jednak poruszał. Lydia uznała to za dobry

omen. Była tak pochłonięta obserwowaniem zwierząt i wysiłkiem utrzymania się na nogach, że nie zobaczyła miny właśnie wchodzącego Jacka. Gdy odwróciła się na dźwięk jego kroków, było już za późno na prześledzenie jego pierwszej reakcji. Stał na bosaka, jego muskularne ramiona były doskonale widoczne spod cienkiego niebieskiego szlafroka z podwiniętymi rękawami. Miał wilgotne włosy. Patrzyła w jego jasnoniebieskie oczy, starając się odgadnąć, co teraz myśli i czuje.

Młoda Chinka, milcząc, stała za nim, jej perfekcyjnie szczupła sylwetka odznaczała się na tle światła lampy.

- Lyddy - powiedział, podchodząc do niej. - Co się u licha stało?

Świadoma, że ma brudne włosy, a ciało pokryte ranami i strupami, Lydia starała się robić dobrą minę do złej gry. Była wyczerpana i chciało się jej płakać, a jednak przyglądała mokre od potu kosmyki.

- To jest Maznan - powiedziała, odrywając małego od swojej spódnicy, do której przyłgnał w poszukiwaniu schronienia. - W skrócie Maz. Mój podopieczny, jeśli tak można powiedzieć.

Jack patrzył na nich w osłupieniu. Odgarnął blond włosy znad oczu, odwrócił się do dziewczyny i szybko coś powiedział po chińsku.

Skłoniła głowę i opuściła pomieszczenie.

- Lili przygotuje kąpiel i coś do jedzenia. Wyglądacie na zmęczonych. - Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Jego twarz nagle pojaśniała. - Zmieniłaś zdanie? I dlatego tu jesteś?

Poczuła, że się trzęsie, pokręciła głową i zacisnęła dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

- Co się w takim razie wydarzyło, do jasnej cholery? - spytał, unosząc podbródek.

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać łzy, ale jej się to nie udało. Chciała, żeby ją wziął na ręce, zaniósł do swojego łóżka. Żeby wszystko było tak, jak być powinno. Ale przysięgała Alecowi. To jej wybór.

Otarł łzy z jej policzków.

- Okej, widzę, że to nie jest czas na wyjaśnienia. Muszę wstać jeszcze przed świtem. Mniej więcej w południe będę z powrotem. Wtedy mi wszystko powiesz. W pokoju gościnnym są dwa oddzielne łóżka. Strażnik panu pokaże, dokąd może się pan udać - zwrócił się do Berta. - Do jutra, Lyddy.

Złożył na jej czole delikatny pocałunek i wyszedł.

## 13

Okno składało się z trzech części, metalowe szprosy przecinały szkło, nadając poszczególnym szybkom kształt rombów. Patrzyłam na letnie, różowiejące od słońca niebo i zżerała mnie tęsknota. Ciągle czułam zapach kurzu pod domem w Malakce, kiedy skradałam się, udając szpiega. Gdy z potarganymi włosami i zszarganym ubraniem wypełzałam na trawnik, Mączny Robaczek pociągał swoim zadartym nosem i mówił:

- Fúj, ale śmierdzisz.

Ona nigdy nie wczołgiwała się pod dom. A mama mówiła:

- Doprawdy, Emmo. Co ci powiedziałam? W końcu coś cię tam pokąsa na śmierć.

Do bólu pragnęłam zobaczyć teraz cętkowane oczy mojej mamy. Wyobrażałam ją sobie, jak upina swoje włosy i śmieje się, kiedy ta cała misterna konstrukcja nie wytrzyma i z fryzury nici. Czy teraz, gdy nas przy niej nie ma, też się śmieje? Beze mnie? Coraz trudniej było mi przywołać ją w snach. A kiedy się pojawiała, do utraty tchu wdychałam woń jej perfum i pragnęłam jej obecności.

Mieszkaliśmy w Anglii już od sześciu miesięcy, ale ja ciągle nosiłam w sobie Malaje. Brakowało mi zwierzaków i roślin z dżungli, które rosły między drzewami w naszym ogrodzie, a których woń towarzyszyła nam nawet, gdy wybieraliśmy się



do miasta. Jeśli się miało pecha i któraś z takich roślin uczepiła ci się włosów, to mogła cię wciągnąć w gęstwinę podszytu leśnego aż po szyję. W Worcestershire drzewa nie wydzielały żadnego zapachu. Sprawdziłam to na wszelki wypadek.

Było bardzo wcześnie, moja siostra jeszcze spała, a my z babcią przygotowywałyśmy domek dla lalek na dziewiąte urodziny Fleur. Spodziewała się dostać plastikową zastawę do herbaty, musiałyśmy więc być cicho, żeby nie zepsuć niespodzianki. Dziadek robił budowlę z drewna w czasie, gdy byliśmy w szkole, a ja z babcią wszystko potem malowałyśmy, meblowałyśmy i dekorowałyśmy w pokoju babci, żeby Fleur niczego nie wysledziła. Wykleiłyśmy już ściany resztkami pomarańczowej tapety, a podłogi kawałkami brązowego linoleum. Ja teraz robiłam ze szmatek lalkę. Ubrana w fartuch i papucie babcia tworzyła stół i krzesła z pudełek po zapalkach. Właśnie skończyła robić stół i zabierała się do krzeseł, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Jesteś tam? - rozległ się głos taty.

Jęknęłam cicho.

- Veronica i jej brat przychodzą na lunch - odezwał się tata ponownie. - Będą tu o jedenastej. To już za dwie godziny. Oczekuję, Emmo, że spędzisz z nami cały ten czas. Masz brać przykład z siostry, zrozumiano?

W przeciwieństwie do mnie Fleur siadała tacie na kolanach, była słodziutka, miała dołeczki w policzkach. Uśmiechał się do niej i rysy jego twarzy łagodniały. Nie była już chorowita, robiła się coraz bardziej do niego podobna. Miała takie same

chłodne niebieskie oczy i gładko ułożone włosy. Słyszałam tykanie brązowego zegara stojącego na gzymsie kominka. Mogłam nie odpowiadać, udawać, że mnie tu nie ma. Ale wtedy by wszedł i mnie znalazł. Babcia dała mi kuksańca.

- Tak, tato! - odkrzyknęłam przez drzwi, starając się nadać głosowi taki ton, jakbym się uśmiechała.

Veronica jest w porządku. Kiedy zachorował jej mąż, pan Oliver pojechał do niej, żeby pomóc w prowadzeniu szkoły, a po śmierci męża był na tyle dobry - jak mówił tata - żeby towarzyszyć siostrze w drodze do Anglii. Veronica była trochę smutna, co zrozumiałe, ale za to tata częściej się śmiał w jej towarzystwie.

Babcia musiała iść do kuchni, więc domek dla lalek schowałyśmy w jej wielkiej szafie, a ja najchętniej wymknęłabym się z domu na spotkanie z Billym.

Fleur obudziła się dokładnie wtedy, gdy skończyłam robić lalkę. Stała, trzymając się pod boki. Uwielbiała lalki, tę musiałam więc szybko schować pod poduszkę, bo siostra zbliżała się do mojego łóżka. Powiedziała, że wie, że ja już od dawna nie śpię i że coś knuję. I że jak jej nie wyjawię sekretu, ona się na mnie poskarży. Tak mnie zdenerwowała, że byłam już bliska tego, żeby - na złość - wszystko jej powiedzieć. Ale to byłoby podłe, bo przecież ona jest jeszcze mała. A teraz dodatkowo okazało się, że będzie musiała nosić okulary. Puknęłam się więc palcem w czoło i kazałam jej pilnować swoich spraw. Nadąsała się trochę, ale stwierdziwszy, że mówię na poważnie, śmiesznie, po dorosłemu wzruszyła ramionami.

- Nie wychodzisz nigdzie? - spytała.

- Tylko na trochę. Nie mów nikomu, dobrze?

Fleur pochyliła głowę na bok i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

Billy i ja mieliśmy jedną cechę wspólną: uwielbialiśmy bawić się wyobraźnią. Od mniej więcej miesiąca pracowaliśmy nad nowymi sposobami istnienia w świecie. Zajmowaliśmy się tym co sobotę, w stodole. On zazwyczaj nie pojawiał się tam przed dziesiątą, ale dziś, gdy wspięłam się po drabinie, zobaczyłam, że już jest.

- O, świetnie - powiedział z tym swoim pełnym zębów uśmiechem. - Nie wiedziałem, czy przyjdiesz. Zostaniesz trochę?

- Przed jedenastą muszę być w domu - jęknęłam.

Billy lubił żartować i być niegrzeczny, zupełnie jak ja. Plasnęliśmy się dłońmi i chórem wykrzyknęliśmy:

- Tak samo zły jak jaaa!

Po czym turlaliśmy się po ziemi ze śmiechu.

Dziś była moja kolej. Miałam znaleźć rozwiązanie problemu ratowania ludzkiego życia. A jeśli nie miało się nic do powiedzenia, trzeba było zdjąć z siebie coś z ubrania. Żeby czuć się pewniej, włożyłam więc na siebie kamizelę, bawełnianą bluzę z długimi rękawami, pulower, sweter rozpinany, szorty, skarpetki i spódniczkę. A na to wszystko zimowy płaszcz. Był sierpień i było mi niemiłosiernie gorąco.

Billy chyba w ogóle nie miał za wiele ubrań. Z luźnych majtasów wystawały mu chude nogi, na wierzch narzucił dziurawy podkoszulek po starszym bracie, który nie był

w stanie nawet porządnie okryć mu klatki piersiowej. To było nie fair, więc zmięklam i dałam mu swój płaszcz. Rodzina Billy'ego była dość biedna, głównie dlatego, że jego tata pił. Tak mi powiedział dziadek. Mieli chatę na skraju wioski. Billy'ego czasami czuć było moczem, chociaż mi mówił, że się mył. Ale widać nie za dokładnie, mówiłam wtedy, pociągając nosem i zatykając go.

Zaczęliśmy snuć nasze wyobrażenia i momentalnie straciliśmy poczucie czasu.

- A co by było, gdyby widzenie za pomocą światła zastąpić widzeniem za pomocą dźwięku? - powiedział, dotykając nieistniejących wąsów, wystawiając w górę podbródek i opuszczając w dół kąciki ust, niczym zwariowany profesor.

Roześmiałam się.

- Że bylibyśmy jak nietoperze?

- Taaak! Ślepi jak nietoperze.

Po pewnym czasie, o ile dobrze pamiętam, leżeliśmy razem na sianie w samych majtkach i klepaliśmy się nawzajem, żeby się rozgrzać.

- Która godzina?! - wrzasnęłam nagle.

- A bo ja wiem?

Spojrzałam na zegarek. O nie! Było wpół do pierwszej. A lunch podawano u nas zawsze punktualnie o dwunastej czterdzieści pięć. Jak mogłam znów zapomnieć?

Skoczyłam na równe nogi i zaczęłam bez ładu i składu nakładać na siebie ubrania. On omiótł mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Co jest? - zapytałam.

- Masz słomę we włosach.

Cofnęłam się o krok, przeczesalam włosy palcami i zaczęłam schodzić po drabinie, zaczepiając o nią niezawiazanymi sznurowadłami. Zeskoczyłam na klepisko i nieludzko upaprana przybiegłam do domu. Weszłam tylnymi drzwiami w nadziei, że wszystko ujdzie mi na sucho. Powiem, że byłam zajęta w ogrodzie. Tata, babcia i Veronica stali razem w kuchni, a stół był przykryty nową ceratą w kratkę. Veronica wyglądała bardzo ładnie, usta miała umalowane szminką w kolorze niemowlęcego rózu. Ubrała się w bawełnianą sukienkę z długą, szykownie szeleszczącą przy każdym kroku spódnicą. Tata miał surowy wyraz twarzy, zaciśnięte usta, jego malajską opaleniznę zastąpiła szarozielona karnacja.

Babcia przygładziła ręką swoje niesforne włosy, uśmiechnęła się od ucha do ucha, przez co jej oczy otoczyła siatka zmarszczek, i powiedziała:

- O, przyszedł nasz mały kominiarczyk.

Gapiałam się w podłogę z brązowego linoleum.

- Co ci mówiłem, Emmo? - spytał tata.

Zaryzykowałam spojrzenie prosto w jego twarz. Powinnam zamilknąć, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Pomyślałam, że muszę teraz dużo mówić i doprowadzić do tego, żeby się uśmiechnął.

- Byłam zajęta. Uczyłam Billy'ego, czym są małpy. Chciał wiedzieć, co lubią jeść. Powiedziałam mu, że jagnięce udźce. Nie chciał wierzyć, ale to przecież prawda, czyż nie tak? Mama opowiadała, że kiedyś zostawiła taki udziec przed domem i one go podprowadziły. Czyli lubią jagnięcinę.

Zauważyłam, że babcia uśmiecha się, zasłaniając usta, ale widząc zaciśnięte szczęki taty, zrozumiałam, że tylko pogorszyłam sprawę.

- Wystarczy tego, Emmo - powiedział ostrym tonem, a grdyka latała mu w górę i w dół.

- Spokojnie, synu - odezwała się babcia. - Ona nie miała na myśli nic złego. Taki już z niej łobuziak. Nic się nie stało.

Veronica uśmiechnęła się i powiedziała „cześć”.

Odwróciłam się do niej plecami, bez słowa. Babcia zaczęła wybierać mi z włosów źdźbła siana.

- Przynajmniej nie spóźniła się na lunch - mówiła. - Ale Bóg raczy wiedzieć, po co masz na sobie tyle ubrań. Zdejmij je lepiej i wyszoruj sobie buzię i rączki, kurczaczku.

Już sobie wyobrażałam, jak wszyscy gapią się na moją głowę. Do tej pory brat Veroniki na szczęście się nie objawił. Odetchnęłam z ulgą, ale wtedy wkroczył do kuchni dziadek, a zaraz za nim pan Oliver.

Po lunchu tata ustalił, że podwiezie babcię i dziadka na sobotni popołudniowy dyżur do przychodni, po czym z Veronicą i Fleur wybiorą się na przejażdżkę. Dziadek miewał palpacje serca i to była jedyna sposobność, żeby babcia mogła go zaciągnąć do lekarza. Doktor był wprawdzie pod telefonem siedem dni w tygodniu i mógłby przyjechać, by dziadka zbadać, ale babcia stwierdziła, że im obydwójgu dobrze zrobi trochę świeżego powietrza. Ja, za karę, że się spóźniłam i byłam niegrzeczna dla Veroniki, miałam spędzić ten czas w moim pokoju. Nie wiem, dlaczego uznano, że zachowałam się wobec niej bezczelnie. Chciałam przeprosić,

ale słowa uwięzły mi w gardle i po prostu nie mogły się stamtąd wydostać. Czyli na złość tacie odmroziłam sobie uszy – jak mawiała mama w takich wypadkach.

- Ale kto przypilnuje Emmy? – spytała babcia.

- Och, to żaden problem – powiedział pan Oliver i puścił do mnie oczko.

Serce mi zamarło. Chciałam krzyknąć: Nie, nie zostawiajcie mnie z nim! Ale cokolwiek bym powiedziała, pomyśleliby, że coś sobie ubzdurałam. Poszłam na górę, po cichu otworzyłam okno i zastanawiałam się, czy udałoby mi się przez nie wyskoczyć. Oni ciągle stali na dole i rozmawiali.

- Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje – słyszałam głos taty. – Zawsze była trudnym dzieckiem, ale teraz jest znacznie gorzej. To wina jej matki, która puszczała ją samopas.

Wyobrażałam sobie, jak tata wymachuje przy tym rękami i przewraca oczami, kręci głową ze zmartwioną miną, szarmancko uśmiecha się do Veroniki, aby podkreślić swoją bezradność w tej kwestii.

Po chwili usłyszałam i jej głos:

- Nie bądź dla niej zbyt surowy. Tęskni za matką.

Poczułam się podwójnie głupio z powodu odwrócenia się do niej plecami.

Zacisnęłam mocno powieki i pomyślałam o Malajach, o najdalszych zakątkach, do których nigdy nie dotarłam i które wspominałam w nocy, gdy obudził mnie jakiś sen.

Nasz ogrodnik często ostrzegał nas, żebyśmy się nie dały omamić zmierzchowi. Bo wtedy w cieniu wysokich traw zaczynają grasować demony. Wabią dzieci słodkimi frykasami

z kokosa i watą cukrową. A potem okazuje się, że po dziecku ani śladu. Trzeba uważać, żeby się nie zgubić, bo jeśli się tak oddalasz i oddalasz, zabłądzisz, a one mają cię słodkimi limonkami i cukrem palmowym. Gdy raz za nimi pójdziesz, nikt cię już nigdy nie zobaczy.

Ale mimo tych wszystkich okropności tam czułam się bezpieczniej niż w Worcestershire, sam na sam w domu z panem Oliverem.



## 14

Obudziła się w zalanym słońcem pokoju. Na nocnym stoliku stała filiżanka zimnej herbaty. Ta dziewczyna musiała tu wejść i otworzyć okno. Lili. Zdaje się tak ma na imię. Lydia usiadła na łóżku, przeciągnęła się, ziewnęła potężnie i po raz pierwszy od kilku dni poczuła przyływ energii. Dziś porozmawia z Jackiem. Nie może dłużej z tym zwlekać. A poza wszystkim rozmowa to chyba nic złego, prawda?

Lodowaty prysznic, zdjęta z półki książka i śniadanie na werandzie.

Z egzemplarzem „Malay Mail” w ręku usiadła za niewielkim drewnianym stołem, na którym znajdowały się miseczka pełna owoców mangostanu, dzbanek kawy i talerz z tostami. Do powrotu Jacka postanowiła delektować się ciszą i spokojem. Chociaż słońce nie grzało jeszcze z pełną siłą, fale gorąca stopniowo napływały od strony pól i w powietrzu dało się wyczuć lekki zapach węgla drzewnego. Szpaler wysokich kauczukowców o kulistych koronach i ciemnych, błyszczących liściach górował nad otoczeniem. Ich pnie były ponacinane, przez co dziwnie i słodko pachniały lateksem. Tak wygląda świat Jacka. Lydia odetchnęła nim głęboko.

Ziemię wokół drewnianego podestu z trzech stron domu porastała sprężysta trawa. Z czwartej strony zadaszony korytarz prowadził do oddalonych nieco mieszkań służbowych.

Zza szpaleru kuczukowców dochodziły aż tu silne wonie dżungli.

Odłożyła książkę, nalała sobie drugą filiżankę gorzkiej kawy i trzymając ją w ręku, udała się na zwiedzanie najbliższych okolic domu. To był duży, dość chaotycznie zaplanowany budynek z drewna i cegieł, z dachem pokrytym fantazyjną dachówką w kolorze ochry i z brązowymi okiennicami. Gdyby nie całe to powstanie, byłoby pięknie. Zresztą i tak było pięknie.

A więc to tu przebywał Jack, gdy jej z nim nie było. Przez cały rok trwania ich romansu to było jego miejsce na ziemi. A ona - chociaż milion razy je sobie wyobrażała - nigdy dotąd go nie ujrzała. Ale teraz, niejako żeby sobie to wynagrodzić, widziała Jacka w cieniu każdego drzewa, słyszała go w każdym szmerze i szeleście. Mimo wszystkich obietnic danych Alecowi i mimo iż to ona zakończyła romans, trudno było jej ukryć przed sobą samą, jak bardzo chciała znów zobaczyć się z Jackiem.

Na tyłach domu, gdzie nie uprawiano kuczuku, rosło trochę drzew owocowych. Banany, papaje i chlebowce. A w blasku przeświecającego przez wysokie drzewa słońca przeleciało - jedna po drugiej - stadko jaskrawo upierzonych papug.

Weszła do środka przez wysokie przeszklone drzwi i znalazła się w obszernym gabinecie o ścianach wyłożonych drewnianymi panelami. Nie było tu dywanów ani obrazów, tylko lampa na metalowym biurku Jacka, a także wyglądające na wygodne krzesło. Wybrała jedno z dwojga lakierowanych drzwi, otworzyła je po cichu i weszła do kolejnego

przedpokoju o jasno pomalowanych ścianach. Było tam dwoje ciemnych, na wpół otwartych drzwi. Zajrzawszy, przekonała się, że jedne wiodą do słabo oświetlonego korytarza, a drugie do sypialni Jacka. Otworzyła te drugie.

Było tu chłodno i ciemno. Okna z moskitierami były wprawdzie otworzone na oścież, ale zamknięte okiennice i drzwi na werandę chroniły przed słońcem. Zrobiła głęboki wdech, napawając się zapachem wyprawionej skóry, jaki miała używana przez Jacka woda po goleniu, a także wonią jego papierosów i potu. Zawahała się przez chwilę. Tu pachniało jeszcze czymś. Czymś nieco egzotycznym.

Rozejrzała się. Dostrzegła równo ułożony stosik świeżo wypranych ubrań i mocno wyfroterowaną podłogę. To na pewno nie sprawka Jacka, jakiego znała – nieudomowionego stworzenia, któremu do życia potrzebny jest dreszcz emocji.

Skierowała się do pachnącej mydłem łazienki. Świetna okazja, żeby podejrzeć, co Jack ukrywa przed światem. Jego przybory toaletowe ustawione na szklanej półce nad nieco wytartą umywalką, wielkie lustro do golenia po prawej i małą toaletkę po lewej stronie. Mokry ręcznik Jacka był rozwieszony na brzegu wanny, a z prysznicza od czasu do czasu kapła woda. Wzięła ręcznik i przyłożyła sobie do twarzy. Miał przydymiony zapach, pomyślała, że to pewnie mydło na bazie węglowego dziegciu. Umyła ręce w umywalce i spłukała twarz. Z kranu leciała chłodna, nieco rdzawa woda. Wytarła ręce i twarz jego ręcznikiem i jego zapach zmieszał się z jej zapachem. Rozwiesiła ręcznik z powrotem i odwróciła się do toaletki. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale jednak

uniosła rękę i przekręciła kluczyk.

W środku, obok szczoteczki i pasty do zębów Jacka zobaczyła słoiczek tłustego kremu do twarzy marki Pond's, szminkę i mały flakonik perfum.

Gwałtownie zabrakło jej tchu. Objęła się rękami w pasie i przysiadła na krawędzi wanny. Głos z tyłu głowy radził jej, żeby nie była głupia. Przecież on musi mieć inną kobietę. Alec tak twierdził. Również Cicely robiła pewne aluzje, jeszcze gdy Lydia się z nim spotykała. Ale przecież Jack zebrał na kolanach, żeby z nim została, żeby rzuciła wszystko, zamieszkała z nim. To przecież on ją całował i błagał, żeby z nim nie zrywała.

Wiedziała, że jego czteroletni kontrakt służbowy zabrania mu się żenić czy w ogóle z kimś wiązać. Gdy zwróciła mu na to uwagę, on stwierdził, że na wszystko można znaleźć sposób. Oszczędzał pieniądze, żeby zapłacić odszkodowanie za niedotrzymanie umowy. Wzięliby ze sobą dziewczynki i wyjechali do Anglii. W końcu nie mogła tego zrobić, bo o wszystkim dowiedział się Alec.

Serce biło jej jak oszalałe. Kim jest ta kobieta? Przede wszystkim może się okazać, że jej rzeczy leżą tu jeszcze od czasów, zanim Lydia poznała Jacka. Wzięła do ręki szminkę, nie знаła tej marki. Wysunęła sztyft. Jasny róż. Z tyłu było napisane „blossom”, a więc kolor brzoskwiniowo-różowy. Na perfumach widniały tylko dwie chińskie litery, których nie potrafiła zrozumieć. Otwartym flakonikiem dotknęła przegubu dłoni. Jaśmin? Nie. W sypialni Jacka panoszył się bez wątpienia nieokreślony zapach. Lydie ścisnęło się serce. Ta

kobieta to jednak względnie świeża historia. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta. Jack nie powinien jej tu zastać. Pozbierała się, czmychnęła przez drzwi na werandę, po czym szybko wróciła na swoje miejsce za stołem po frontowej stronie domu.

Trzymając rękę na sercu, zmusiła się do uśmiechu, gdy Maz przybiegł i opadł na krzesło obok niej. Trajkotał bez przerwy, pokazywał palcem latające motyle, których nie był w stanie policzyć, i oboje wsłuchiwali się w wysokie tryle ptaków kwiatówek. Choć czuła się zraniona, nie było sensu się tym gryźć. Przecież i tak wkrótce stąd wyjedzie i dołączy do swojej rodziny. Zanim Jack wrócił, jej oddech stał się miarowy i twarz przybrała opanowany wyraz.

- Wyglądasz lepiej - mruknął, sadowiąc się w fotelu i odgarniając opadającą na zmęczone oczy blond grzywkę.

- Byłam potwornie brudna. Musiałeś się przestraszyć. Wiesz, że kiedyś wyglądałam zupełnie inaczej. Raczej ładnie. - Uśmiechnęła się.

Jej granatowa sukienka z białą lamówką wylądowała w koszu na śmieci, tak zniszczona, że nie nadawała się do reperacji.

Roześmiał się.

- Dla mnie zawsze wyglądasz ładnie. Chociaż wolałem cię z długimi włosami. Czy to jest ta modna fryzura zwana *pixie cut*?

Przesunęła dłoń po przystrzyżonych lokach.

- Niezupełnie. Tak jest po prostu wygodniej.

Pożerał wszystko błyskawicznie, jak w stanie podwyższonej

gotowości: zupę curry z makaronem, a potem satay z kurczaka.

- Co to? - spytał Maz.

- Ptaszek, który się nazywa sroczek zmienny. Idź, może znajdziesz gdzieś takiego samego.

Kiedy Maz oddalił się w poszukiwaniu ptaków, opowiedziała Jackowi swoją historię. Tylko o dziewczynkach mówiła ze ściśniętym gardłem.

- Jesteś pewna, że są w Ipoh? - spytał Jack.

- George mówił, że w domu gościnnym. Możemy tu zostać na trochę? - Wskazała ręką Maza przemykającego między pobliskimi drzewami i ładującego do kieszeni co ładniejsze kamyki.

- Nawet na dłużej. Ja wybieram się do Ipoh w następny weekend. Mogę was podwieźć ciężarówką. Biura mojej firmy są tuż obok budynku władz, dowiozę cię więc prosto na miejsce. To tam pracuje Alec, prawda?

Skinęła głową, dziękując.

- Masz ładny dom - powiedziała, zataczając ręką koło.

- Jest niezły. Kiedyś należał do właściciela plantacji. Mój szef nie chciał tu zamieszkać, a ja byłem drugi w kolejce. W czasie wojny zajęli go Japończycy. Zostawili w opłakanym stanie.

Nie wspomniała o perfumach w jego łazience i zastanawiała się, o czym jeszcze mogliby porozmawiać, ale wonny flakonik zawisł między nimi w powietrzu, utrudniając jej znalezienie właściwych słów.

- Jak tu się żyje? - odezwała się w końcu.

- Nie za dobrze. Kilku moim pracownikom grożono. A wczoraj znaleźliśmy powieszony ciało jednego z nich. Zadźgano go maczetą. Chińscy bandyci nie lubią marnować amunicji. - Uniósł brew. - Oszczędzają ją dla nas. A wieczorem spalono jedną z firmowych ciężarówek.

- Ktoś zginął?

Odetchnął powoli.

- Nie, ale wczoraj w ogóle mieliśmy tu sądny dzień. To pewnie dlatego byłem tak skonany, kiedy przyjechałaś.

- Nie szkodzi. - Wzruszyła ramionami.

- Po lunchu zazwyczaj ucinam sobie drzemkę. Najlepszy sposób, żeby uniknąć popołudniowego upału.

Wstał, przeciągnął się, rozluźnił mięśnie ramion, po czym stanął za jej krzesłem. Zaczął jej masować barki. Była spocona i starała się nie reagować, ale mimo to bezwiednie wygięła plecy. On jedną ręką głaskał ją po szyi, drugą zsunął w stronę jej piersi. Dotknęła porastających wierzch jego nadgarstka jasnych włosów. Dłoń miał szeroką i silną. Odwróciła ją i zobaczyła, że od środka jest o wiele jaśniejsza niż z wierzchu, gdzie skóra była opalona. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

- Boże, Lyd, one są jak skała. Twoje ramiona.

Obszedł ją i schylił się, żeby się jej przyjrzeć od przodu. Przeszył ją dreszcz. Odgięła głowę do tyłu i rozchyliła usta. Złapał ją za podbródek, tak żeby musiała mu spojrzeć w oczy, po czym przykrył jej wargi swoimi.

- Daj spokój - powiedział, kiedy cofnęła twarz. - Wiem, czego ci trzeba.

- A dziecko? - szepnęła, bo Maz właśnie pojawił się tuż przy niej.

- Nie znalazłem żadnego ptaszka. - Skrzywił się.

Jack wziął go pod brodę.

- A więc wszystko przed tobą. A teraz, młody człowieku, marsz do łóżka.

Lydia zaprowadziła Maza do jego pokoju, ułożyła go do snu i zamknęła drzwi.

Zanim udali się do sypialni Jacka, otworzył drzwi do pomieszczenia z zamkniętymi okiennicami.

- Powinienem być ci to już wczoraj powiedzieć: w razie ataku bierz chłopaka i obydwójce chowajcie się tu. W kredensie jest zapas wody i żarcie w puszkach.

Omiotła wzrokiem ściany obłożone workami z piaskiem.

- Ale skąd będę wiedziała?

- Zorientujesz się. Jeśli będzie noc, strażnicy zaczną z całych sił walić w puste puszki. Światła w całym domu pogasną. I nie wolno się wtedy odzywać.

- Boże!

- Nie martw się, to tylko kilka dni. Umiesz się posługiwać bronią?

Pokręciła przecząco głową i zaczęła nucić jakąś melodyjkę, powtarzając w kółko kilka dźwięków. Alec się wściekał, kiedy tak sobie nuciła. Ale jej to pomagało na nerwy.

- Co to za piosenka? - spytał Jack. - Skądś ją znam.

- *Stranger in Paradise*.

Roześmiał się.

- Czyli to o nas? Aha, i jeszcze: telefon wisi na ścianie



w głównym holu. Ktoś może zadzwonić w czasie twojego pobytu.

- No właśnie, chętnie zatelefonowałabym do Ipoh, żeby porozmawiać z Alekiem, ale George powiedział, że linia została odcięta.

- To prawda. Policjanci z tutejszego posterunku codziennie sprawdzają, czy i nas nie odcięto. Trzeba znać specjalny kod, więc lepiej nie podnoś słuchawki. Jeśli to coś ważnego, oddzwonią. I pod żadnym pozorem nie otwieraj nikomu po zmroku.

Przypomniały się jej opowieści o indonezyjskich chochlikach *Penunggu*, które dzwonią do drzwi albo nękają cię telefonami w środku nocy. Uśmiechnęła się.

- Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

- Nie. Po prostu wystrzegaj się ogromnych stonóg, jadowitych skorpionów i żmij!

Roześmiał się i objął ją w pasie, prowadząc w kierunku ściany.

- Wolisz tu czy w łóżku?

Ogarnęło ją poczucie winy. Wstrzymała oddech, myśląc o Alecu. Ale nastrój chwili zwyciężył. Oddaliła wyrzuty sumienia, uśmiechnęła się szeroko i poczuła się wolna. Śmiało weszła do jego względnie chłodnej sypialni i zaczęła szybko rozpinać guziki szmizjerki, porzucając zielono prążkowaną tkaninę na podłodze. Jack w tym czasie już leżał pod cienkim bawełnianym prześcieradłem, strumień powietrza z wentylatora unosił do góry jasne kosmyki jego włosów. Zamknął oczy, ręce założył z tyłu pod głową i uśmiechał do

niej, jakby chciał powiedzieć: chodź i weź mnie. Wślizgnęła się pod pościel obok niego i wdychała pizmowy zapach jego rozgrzanej skóry. Przeszły ją ciarki i położyła mu dłoń na piersi. Poczwała, jak dudni jego serce, popatrzyła na niego i napotkała spojrzenie jasnoniebieskich oczu. Dreszcz tęsknoty wstrząsnął jej ciałem.

- Lubisz tak? - spytał, przyglądając się jej z bliska, podczas gdy wielkie jak bochny dłonie gładziły wnętrze jej ud.

Miał szorstką skórę, a jego żar ogarnął ją bez reszty. Co ona robi, na miłość boską? To się nie ma prawa wydarzyć, trzeba położyć temu kres. Przecież obiecała Alecowi. Ale tak bardzo potrzebowała teraz kontaktu z Jackiem, tak bardzo go pragnęła. Wiedziała, że nie powinna, ale nie potrafiła przestać. On cały czas tkwił w niej gdzieś głęboko. A teraz pragnęła go tak bardzo, aż łzy napłynęły jej do oczu. Przygryzła wargę.

Wyglądał na zdziwionego, podrapał się po brodzie.

- Nie płacz. Hej, Lyddy, wiesz, że cię kocham.

Otarł jej słone łzy, oblizał palce i zaczął nimi wodzić po jej szyi.

- Seks to przede wszystkim sprawa kobiety - powiedział z uśmiechem. - Niewielu facetów o tym wie.

Zaśmiała się.

W popołudniowym skwarze gładził jej skórę pod kolanami i za uszami, dotykał mokrych loczków u nasady szyi, całował powieki.

Obejrzała się przez ramię na ciemniejące, matowe odbłaski słońca na nierównej ścianie, na drzwi, na ich zmięte na

podłodze ubrania. Z Alekiem musiała być po trzech drinkach, żeby móc udawać wielkie doznania. Z Jackiem było inaczej. Jeden głęboki wdech wystarczył, żeby bez zastanowienia zanurzyć się w jego zwierzęcym zapachu i przekonać się – choć nikt tego nie mówił na głos – że zagrożenie podnosi temperaturę zbliżenia.

- Lydio, niech to szlag, z ciebie naprawdę kawał cholernie dobrej dupy – powiedział.

Ich rozgrzane ciała kołysały się we wspólnym rytmie.

Po wszystkim patrzyła, jak on się goli. Pokój wypełnił się wonią dziegciu, a on machał brzytwą, jakby chciał poderżnąć sobie gardło. Śmiała się z wygibasów, jakie wyczyniał ze swoją twarzą: nos w prawo, nos w lewo.

- Co cię tak śmieszy?

- Ty.

- Szkoda, że nie widzisz siebie, jak się szminkujesz.

Z ręką opartą na biodrze zaczął się krygować przed lustrem, układając usta w szerokie O i udając, że pociąga je szminką. A potem powrócił do głaskania jej policzka i znaczenia jej szyi pocałunkami.

- Jezu, Lyd, jak mi ciebie brakowało.

- Doprawdy?

- A cóż to za pytanie?

Wróciła do łóżka, naciągnęła na siebie prześcieradło. Brakowało mu jej? Przypomniała się jej buteleczka damskich perfum i ból rozłęki.

Gdy Jack udał się do swoich zadań, Lydia została, żeby trochę pospać. Obudził ją dopiero kołatający o pnie drzew

wiatr oraz chłodniejsze powietrze. Wzięła prysznic, owinęła głowę ręcznikiem, a potem wraz z Mazem udała się na spacer. Nadchodził wieczór, przechadzali się w zielonkawym cieniu najbliższych położonych drzew kauczukowych, których jedwabiste gałęzie wznosiły się do światła. Zanim Lydia usłyszała odgłos pośpiesznie oddalających się kroków i trzask deptanych gałązek i liści, Maz czujnie uniósł głowę. To wystarczyło, żeby przypomnieć jej o wszechobecnym zagrożeniu.

- Lepiej wracajmy - powiedziała. - Posiedzimy na werandzie.

Powietrze zawirowało od brzęczących owadów, które - jak się okazało - towarzyszyły nadchodzącemu Jackowi. Miał na sobie specjalne buty do chodzenia po dżungli i niemiłosiernie zakurzone ubranie. Na ich widok twarz mu się rozjaśniła i dalej do domu wracali już razem. Zatrzymał się, schylił i schwycił coś ręką. Otworzył zaciśniętą dłoń i pokazał Mazowi delikatną czerwono-zieloną ćmę z rozpostartymi skrzydełkami.

- Dlaczego ona nie lata? - spytał Maz, a jego oczy błyszczały z ciekawości.

Jack wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie żyje. Chodźcie, bo zjedzą nas tu żywcem.

Zmrok zapadał szybko i wokół słychać było wrzask małych. Wracając, zdążyli jeszcze zobaczyć zachodzące na pomarańczowo słońce.

- Przypatrz się, Maz - powiedział Jack. - Bo zaraz będzie całkiem ciemno.

Maz zachichotał, gdy Jack pokazał mu ukryte pod werandą wielkie gniazdo dość niechlujnie sklecone z suchych liści, patyczków i mchu.

- To gniazdo sroczka zmiennego. Ale ptaszki już z niego wyleciały.

Lydia spojrzała w niebo.

- Słońce zachodzi tu bardzo pięknie - powiedziała. - Ale stanowczo za szybko.

Objął ją ramieniem i przytulił, po czym oparł się o barierkę i opuścił ramiona. Wyglądał na wykończonego pracą.

Usłyszeli skrzypnięcie otwieranych drzwi. Lili podeszła do Jacka, dając do zrozumienia, że chce z nim porozmawiać. Stała nieporuszona, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. On zrobił krok w jej kierunku i powiedział coś po chińsku. Dało się wyczuć wiszące w powietrzu napięcie. Dziewczyna zmrużyła oczy i z cierpkim wyrazem twarzy szybko opuściła towarzystwo. W jej wyglądzie było coś niepokojącego, więc Lydia podeszła do Jacka, niezadowolona, że on nie poczuwa się do wyjaśnień.

- Ona się nigdy nie uśmiecha - zauważyła, siadając.

Usiadł obok niej, szeroko rozstawiając opalone uda.

- Nie. Przynajmniej nie teraz. Chyba masz rację. - Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem. Skóra wokół jego oczu naprężyła się.

Milczenie przedłużało się ponad miarę.

Lydia spojrzała na zegarek.

- Maz powinien już być w łóżku. Pójdę go położyć.

Jack wyraźnie poczuł ulgę.

W sypialni zauważyła, że obydwaj ich łóżka są okolone równo ustawionymi otoczkami.

- Pięćdziesiąt siedem - wyjaśnił Maz. - Żeby nas chronić.

Tak bardzo chciałyby teraz utulić do snu swoje córeczki. Zamiast tego uścisnęła Maza. Złapał jej rękę i pokrył ją pocałunkami.

Wyszła na dwór i poczuła przyniesiony przez dość nieoczekiwaną bryzę cytrusowy zapach kwiatów pomelo.

- Opowiedz mi o swojej pracy - poprosiła, przesuwając krzesło bliżej Jacka. - O plantacji. Co tam robisz, dzień w dzień.

- No cóż, mogę ci tylko powiedzieć, że to coś cholernie innego, niż się spodziewałem. Wpadam do rwących strumieni, przedzieram się przez trawy lalang, które sięgają mi do brody. To chyba dzięki temu trzymam formę.

Lydia zamknęła oczy.

- Żywicowanie kauczuku to cała sztuka - ciągnął Jack. - Nacięcie musi być zrobione bardzo precyzyjnie, bo inaczej drzewo wykrwawi się i umrze. - Westchnął. - I uwierz mi: patrzenie, jak przez tych partyzantów płoną dziesiątki zdrowych drzew, to ponura sprawa. Podpalają je i nic nie da się zrobić.

Przerwał mu warkot nadjeżdżającego motocykla, a potem ktoś od frontu domu zawołał go po imieniu.

Wstał, przeciągnął się i rozprostowując mięśnie ramion, obszedł werandę, żeby dostać się do swojego gabinetu. Było już niemal całkiem ciemno. Taka charakterystyczna dla tropików pora, kiedy odgłosy dnia już umilkły i świat trwa

w ciszy, czekając na nocne hałasy. Machając rękami, Lydia odgoniła komary i ogarnęło ją poczucie bycia nie u siebie. Jej prawdziwe życie, ona sama – to wszystko jest gdzieś daleko. Czas ciągnął się, minuta za minutą. Usłyszała łopot skrzydeł i krzyk jakiegoś nieznanego ptaka, a w chwilę potem podskoczyła, gdy tuż nad jej głową przeleciały nietoperze.

Usłyszała, jak Jack mówi „Chryste!”, po czym zaczął rozmawiać stłumionym i przygnębionym głosem.

## 15

Leżałam na łóżku i usiłowałam czytać, mając nadzieję, że pan Oliver uciął sobie drzemkę i nie ruszy się, dopóki inni nie wrócą. Znałam już *Heidi* i *Mojego Karego*, przyszła więc kolej na *Wyspę skarbów*, jedną z bardzo nielicznych książek, jakie mogłam znaleźć w tym domu. Byłam w szoku, kiedy babcia powiedziała, że w czasie wojny oddali wszystkie swoje książki, bo rząd potrzebował papieru, żeby wydrukować kartki żywnościowe. Tata obiecał, że za to zaprenumeruje nam czasopisma komiksowe. Poprosiłam o „Eagle”, ale tata powiedział, że to dla chłopców, i po jakimś czasie na naszym progu wylądowało „Girl”.

Nuda.

Ostatnio wydarzyło się jednak coś interesującego. Wczoraj, w piątek, na stoliku w holu czekał na tatę list z naklejonym malajskim znaczkiem. Pomyślałam, że mama widocznie wróciła do domu i przeczytała mój list, i chciałam, żeby do mnie też napisała, nie tylko do taty. Taty nie było wtedy w domu, ale ja przez cały dzień wracałam do tego stolika, brałam list do ręki, przytykałam sobie do ust. Byłam pewna, że to od mamy i że ona tam pisze, kiedy wraca. Adres był napisany na maszynie, więc nie mogłam poznać po charakterze pisma, ale kto inny mógł napisać do taty? Chciałam się dowiedzieć, ale dziś znów wpadłam w tarapaty



i to nie był dobry moment, żeby zapytać tatę.

W czasie bladego angielskiego lata tęskniłam za zabawami w gorącym malajskim słońcu aż do momentu, gdy schowa się ono za morzem. Potwornie tęskniłam za mamą i nie mogłam się doczekać, żeby pokazać jej wszystkie moje ulubione tutejsze miejsca. Stodołę, alejkę na tyłach kościoła z mnóstwem kotów. Chciałam zaprowadzić ją na długi spacer wokół miasteczka.

Starłam się nie myśleć o panu Oliverze i w nieskończoność liczyłam wyblakłe róże na dywanie i nierówne fałdy na tapecie. Jej resztki przyozdobiły domek dla lalek, który budowałyśmy dla Fleur. Babcia zrobiła nawet kilka sztucznych kwiatków oraz małe drzewko i przykleiła je obok domku.

Spojrzałam przez okno na pole, gdzie pasły się teraz czarno-białe krowy, i na linię ciemnych drzew w oddali. Słońce oświetlało ogród, a dachy miasteczka zaczęły się mienić srebrzyście. Pomyślałam, czyby tam nie czmychnąć. Mając dom na oku, schowałabym się gdzieś aż do czasu, gdy ujrzę powracający samochód.

Ale pomimo letniej pory słońce szybko znikło i zrobiło się szaro i mokro. Byłam głodna. Lunchu prawie przecież nie tknęłam i teraz oddałabym wszystko za kanapkę z szynką. Na podwieczorek miały być paszteciki z ciasta francuskiego w kształcie ślimaczków i mus orzechowy, a babcia upiekła jeszcze szkocki keks. Nie odważyłabym się jednak teraz zejść po schodach. Bo jeśli pan Oliver śpi, nie można ryzykować, że się obudzi. Znów wyjrzałam przez okno w nadziei, że ujrzę samochód powracający przed czasem. Ale zobaczyłam tylko

furgonetkę rozwożącą smażoną rybę i frytki. Z boku miała napis „Jedzonko na kółkach”.

Wzięłam zeszyt, usiadłam po turecku na podłodze i usiłowałam się skupić na tym, co ostatnio pisałam. Rzecz się działa w siedemnastowiecznej Hiszpanii, w klasztorze, a tematem była śmierć. Nie mogłam się doczekać, żeby pokazać to opowiadanie mamie. Przeor umiera w przepięknej krypcie, bo zażył truciznę. Wszyscy się o tym mają dowiedzieć, bo zostawił wiadomość, że odbiera sobie życie, gdyż nie może już dłużej sam ze sobą wytrzymać. Jeszcze nie do końca wiedziałam, co dalej, ale miało być dramatycznie. Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym i młody mnich, który znalazł notatkę, zdecydował się ją zniszczyć, żeby chronić swojego mistrza.

Myślałam teraz nad tym, jak zakonnik ma się pozbyć resztek tej kartki, ale rozpraszał mnie zapach smażonej ryby z frytkami wydobywający się z okienka furgonetki. Wstałam, wyrzałam ponownie i zobaczyłam człowieka od ryb w białym stroju kucharza, w wysokiej białej czapie na głowie. Ślinka napłynęła mi do ust. Tylko przez przypadek odwróciłam wzrok i zobaczyłam pana Olivera stojącego w drzwiach mojego pokoju. Nie słyszałam, jak wchodzi po schodach. Teraz, nie mogąc złapać tchu, podbiegłam do łóżka, oparłam się plecami o ścianę i przykryłam sobie kolana poduszką. Podszedł bliżej, miał gładką, bladą twarz. Mnie się wszystko w środku przewracało i zachciało mi się siusiu.

- Cześć - powiedział, po czym zamknął drzwi.

Czułam, że powinnam uciekać, póki mogę, ale moje ciało

mnie nie posłuchało. Nie wiem dlaczego, ale zupełnie nie mogłam się ruszyć.

On uniósł lewą brew i zrobił śmieszoną minę. Usiadł na moim łóżku i zobaczyłam białe cętki na klapie jego marynarki. Ujął mnie za podbródek, ścisnął go i lekko przyciągnął moją twarz do siebie.

- Proszę, niech pan stąd idzie - powiedziałam.

- A ja tyle czekałem, żeby się z tobą spotkać - odparł i zaczął głaskać moje czoło. - Przecież to lubisz, prawda?

Chciałam mu się wyrwać.

- Nie ma się czego bać, naprawdę. - Zmrużył oczy i puścił mój podbródek.

Przez chwilę myślałam, że już sobie pójdzie. Ale wtedy on złapał mnie za ramiona.

- Wszystko potoczy się łatwiej, moja droga, jak będziesz miła i zamilkniesz.

Położył mnie.

Chciałam krzyknąć, ale wydobyłam z siebie zaledwie pisk. Walczyłam, próbowałam się zsunąć z łóżka. On trzymał mnie mocno. Jedną ręką odebrał mi poduszkę, którą się zasłaniałam, a drugą ścisnął z całych sił.

- Chcę odejść. Proszę. Obiecuję, że nikomu nie powiem - błagałam.

- Nie bądź głupia, moja droga. To jasne, że nic nie powiesz.

Uniósł mi spódniczkę i położył rękę powyżej kolana, na wewnętrznej stronie uda. Byłam tak przestraszona, że myślałam, że się zmoczę. Dawniej mi się to zdarzało i też się tego bałam, ale teraz było gorzej. O wiele gorzej. Ponownie

staralam się go odepchnąć.

I nawet kiedy oczy wypełniły mi się łzami, on tylko kręcił głową i się uśmiechał.

Tęskniłam za matką. Widziałam ją teraz wyraźnie, aż do bólu. Mamusiu. Mamusiu. Mamusiu. Gdzie jesteś? Czułam krew pulsującą mi w skroniach i wyobrażałam sobie, jak wydostaję się za drzwi i biegnę do niej. Słyszałam o ludziach, którzy potrafią wyjść ze swojego ciała. I że jak się odpowiednio mocno skupić, to jest możliwe. Próbowałam, ale mi się nie udawało.

Patrzyłam na tapetę i usiłowałam liczyć kwiaty, ale nie potrafiłam myśleć o niczym poza mamą. On mnie szturchał palcami, mnie szumiało w głowie, a płuca bolały tak bardzo, że nie mogłam oddychać. Był silny, ale może poczekam, aż go coś rozproszy i wtedy rozluźni uścisk. Może wtedy. W szparze pod drzwiami zaświstał wiatr. Teraz. To jedyna droga. Nieważne, że mam karę. One tam są, w mojej nocnej szafce. Bawiłyśmy się nimi wczoraj, Fleur i ja. Przesunęłam się na brzeg łóżka.

- A więc w końcu doszłaś do wniosku, że ci się to podoba - powiedział, mylnie uważając, że mu uległam. Włożył mi palce pod gumkę majtek.

Fala wymiotów podpłynęła mi do gardła, ale zmusiłam się, żeby czekać.

Miał zamknięte oczy i zaczął dyszeć. Przestał mnie przytrzymywać lewą ręką, podniósł ją do twarzy i jej wierzchem otarł czoło. Teraz, pomyślałam. Zrób to teraz. Wyciągnęłam jedną rękę ostrożnie, żeby nie wzbudzić jego czujności, po czym otworzyłam szufladę. Wyjęłam rzutkę

i z całej siły dziabnęłam go w szyję.

Jego ręka zastygła na gumce moich majtek, przestał nią poruszać, ale szeroko otworzył oczy i zrobił się purpurowy na twarzy. Przez chwilę pomyślałam, że oczy wypadną mu z orbit.

A potem zaczął machać głową na boki. Ręką, którą mnie przytrzymał, złapał się za szyję. W miejscu, gdzie utkwiała rzutka. Uniósł zakrwawione palce do oczu, nadał policzki, po czym zaczął kasłać i charczeć. Odezwał się, cedząc słowa przez zaciśnięte gardło:

- Ty - mała - dziwko.

Po czym walnął mnie na oślep.

Nie przestraszyłam się widoku krwi, udało mi się też uniknąć jego ciosu. Jeszcze raz się zamierzył, ale ja zeskokczyłam z łóżka, zbiegłam po schodach i uciekłam.

Biegłam obok szop opuszczonej farmy, gdzie chłopcy bawili się w wojnę i w piratów; po zmroku było tam strasznie. Przez las, gdzie Robin Hood spiskował z lady Marion. To było przerażające. Biegłam dalej, a gdy złapała mnie kolka, trzymałam się za bok i dyszałam ciężko. Gdy dotarłam do stodoły, było już prawie całkiem ciemno.

Wspięłam się po drabinie i siadłam na stercie desek z głową między kolanami. Gdy minęły mdłości, zakopałam się w sianie, naciągnęłam je na siebie, żeby się lepiej odgrodzić od świata. Miałam gdzieś, że tu są szczury. Myślałam o tym, co się teraz dzieje w domu. Veronica w szoku. Wszędzie pełno krwi. Tata wściekły. Pan Oliver oczywiście im nakłamię, powie, że nic nie zrobił, że go zaatakowałam bez żadnej przyczyny. A gdy ja powiem, jak było naprawdę, uwierzą jemu, nie mnie. Bo to ja

mam taki wybuchowy charakter. A co jeśli umrze? Jeśli go zabiłam? Na samą myśl zaczęłam się trząść.

Pomyślałam, że rano przyjdzie Billy i pomoże mi się stąd wyrwać. Najpierw gdzieś mnie ukryje, a potem pojedę do Liverpoolu, popłynę na gapę gdzieś daleko, odzyskam mamę. Byłam z siebie dumna, że nie zemdlałam na widok krwi, chociaż mama na pewno by tak zrobiła.

Och, mamo.

Gdy dotarło do mnie, jak bardzo jestem samotna, poczułam się, jakbym wpadała do głębokiej dziury, z której nigdy się nie wydostanę. I zaczęłam płakać za mamą jak nigdy dotąd.

## 16

Twarz Jacka niewiele wyrażała. Z rękami na biodrach, niezgrabnie i nieco sztywno przestępował z nogi na nogę w zdartych domowych sandałach.

Lydia wstała.

- Masz jakieś złe wieści, prawda?

- No, nie najlepsze. To był goniec z policji. Dotarli do nich wiadomości, że szykuje się atak na instytucje rządowe w Ipoh. Wszystko - personel i dokumenty - zostało przeniesione do domu gościnnego. Może im tam być ciasno, ale zagrożenia nie wolno było zlekceważyć.

- Moje córki są bezpieczne?

Przytaknął ruchem głowy.

- Na pewno. Ale moje spotkanie odwołano. Szef nie podejmie urzędowania, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Jej twarz nagle się jakby skurczyła.

- Nie, źle mnie zrozumiałaś. Nadal chcę cię tam zabrać, to żaden problem. Tyle że udamy się wprost tam, gdzie mieszkają, a nie do biur na mieście. I musi to nastąpić trochę szybciej. Prawdę mówiąc, już jutro.

Wyglądał na niepokieszonego, a jej serce zaczęło bić mocniej. Nie chciała mu sprawić przykrości i czuła się nieco rozdarta, ale za to już bardzo niedługo będzie ze swoimi dziewczynkami. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuszczała

powietrze. Jutro. Otworzyła swój medalion i zatrzymała wzrok na ich twarzach. Tak bardzo za nimi tęskniła. Gdy zwróciła się do Jacka, łzy płynęły jej po twarzy.

- Dziękuję ci. Bardzo, bardzo. I przepraszam za kłopot.

- Ty nigdy nie sprawiasz mi kłopotu - odparł.

Wzięła go za rękę i zaczęła obcałowywać koniuszki palców. Spojrzała mu w twarz i ogarnął ją żal. Spuściła jednak wzrok i uwolniła jego dłoń.

- Nic się nie zmieniło, prawda? - spytał, po czym odsunął rattanowe krzesło i opadł na nie.

- Przepraszam cię. Wiesz, że muszę być z Alekiem. Dla dobra dziewczynek. - Przygryzła wargę. - Może innym razem.

- Innym razem to mnie już nie będzie.

- Och, Jack. - Podeszła i stanęła za nim. Oparł tył głowy o jej brzuch. Otoczyła ramionami jego pierś, pocałowała w szyję, lekko ugryzła w ucho.

Siedział nieporuszony.

Przesunęła palcami po jego owłosionej piersi.

- Na szczęście dom gościnny był prawie pusty - powiedział dziwnie radosnym głosem. - Gwałtowny napływ ludzi nie stanowił więc problemu. Wszyscy się pomieścili. Dzisiaj mają potańcówkę, taki wieczorek zapoznawczy. Pewnie będzie niezły jubel.

- A my mamy noc dla siebie. - Lydia obeszła krzesło dookoła, przyklękła przy nim, położyła mu dłoń na pachwinie i spojrzała w oczy. Spozrzegła w nich głęboko skrywany ból. Tak głęboko, że nie potrafiła się do niego przebić, choć próbowała. Zyskała pewność, że on cierpi, i to nie tylko z jej



powodu.

- Lepiej nie - powiedział, odsuwając jej rękę. - Musimy wyruszyć bardzo wcześnie.

Czasy się zmieniają, pomyślała, i nic nie mogła poradzić na to, że zrobiło się jej smutno na wspomnienie dreszczu emocji, gdy go pierwszy raz spotkała.

To zabawne, że - podobnie jak Aleca - poznała go na przyjęciu. Wszedł, uśmiechnął się do kogoś znajomego, ale gdy rozglądał się po sali, napotkał jej wzrok. Wyglądała wspaniale w dopasowanym czarnym cheongsamie w pomarańczowe i złote kwiaty z głębokim rozcięciem z boku. Czerń zjawiskowo kontrastowała z jej jasną cerą. Wypiła trochę za dużo dżinu i zaczerwieniła się lekko, gdy on podszedł do niej, mając u boku Cicely.

- Zaopiekuj się nim, kochana, ja muszę się na trochę wmieszać w tłum - powiedziała Cicely, puszcżając oczko do nich obydwójga.

Alec oczywiście też tam był, wciśnięty w gromadę palących i pijących mężczyzn, ostentacyjnie odwrócony do niej plecami. W sąsiedniej sali przetańczyła z Jackiem większą część nocy, nie zważając na spore ryzyko. Gdy po skończonym przyjęciu czekała w holu na Aleca, Jack podszedł do niej, założył niesforny kosmyk jej włosów za lewe ucho, ugryzł lekko płatek tegoż ucha i wsunął dłoń w rozcięcie sukni. Upojna mieszanina zapachów: jego potu i jej orientalnych perfum Shalimar przywróciła jej pamięć tamtej chwili. On coś tam szepnął, ona zadrżała, czując na szyi jego ciepły oddech. Na jej dekolcie pojawiły się czerwone plamy. Za dużo drinków. I papierosów.

Pożądania. Dodać do tego dreszczyk ryzyka – i już było po niej.

– Gdzie? Kiedy? – spytał.

– W parku – odparła, dostrzegając kątem oka zbliżającego się Aleca. – Tam jest herbaciarnia. Wpół do dziesiątej, jutro rano.

– Ranny z ciebie ptaszek, he?

– Niezupełnie. Tak to bywa, kiedy trzeba podrzucić do szkoły dwójkę dzieci.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Życie się zmienia. Kiedyś nie do pomyslenia było, że – będąc razem tak blisko – mogli się nie dotykać.

A teraz zbierało się na burzę i Jack poszedł się położyć do swojej sypialni, a Lydia dołączyła do leżącego w pokoju gościnnym Maza.

– Opowiesz mi bajkę? – poprosił Maz, przytulając się do niej pod prześcieradłem. – Proszę.

– Znasz taką o krokodylu, który połknął budzik?

– I to go zabiło? – Oczy malca rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Nie. Ale przestraszyło kapitana Haka.

– A kto to?

– Kapitan Hak był piratem.

Maz aż westchnął z zachwytu.

Gdy już opowiedziała mu historię Piotrusia Pana, poczuła, że ciężkie burzowe powietrze nie pozwoli jej zasnąć. Za oknem nocna dżungla rozbrzmiewała cykadami, w oddali słyhać było rozpaczliwe wycie dziczających psów. Naciągnęła cienkie bawełniane prześcieradło aż po sam nos. Dźwięki z dworu

dobiegały w coraz to bardziej zniekształconej formie jako narastający, dudniący harmider nie do wytrzymania. Całkowicie rozbudzona wsłuchiwała się w mieszaninę łopotu ptasich skrzydeł, szumu prądnicy i posepnego pohukiwania, które Emma zawsze przypisywała samotnym duchom ptaków.

Do bólu brakowało jej dziewczynek. Z drugiej strony dzięki ich wyjazdowi mogła spędzić noc z Jackiem. Taka myśl zaowocowała wyrzutami sumienia, które jednak udało się jej stłumić. W końcu to był tylko jeden, jedyny raz.

Wstali tuż przed świtem i wsiedli do prowizorycznie opancerzonego samochodu. Jack musiał na rękach wynieść z łóżka Maznana, który nawet nie raczył otworzyć oczu. Ostrożnie ułożył dziecko na kolanach Lydii na tylnym siedzeniu. Malajski policjant usiadł z przodu. Maz spał jak zabity, a ona przez całą noc nie zmrużyła oka. W półmroku, z którego wyłaniały się wysokie drzewa, jechali przez plantację. Gdy mijali baraki pracowników sezonowych, ogarnęło ją przygnębienie. Nikt się nie odzywał.

Zdjęła buty w nadziei, że tak będzie wygodniej. Ale bliskość Jacka i piżmowy zapach dziegciu nie pozwalały się jej rozluźnić.

- Głowa do góry, Lydio - powiedział, odwracając się przez ramię, gdy jechali skrajem plantacji. - Prześpij się, jeśli możesz. Przed nami jeszcze kawał drogi.

Chciała znów czuć się przy nim jak dawniej, ale nie byli już sobie tak bliscy. Poza tym jechał z nimi policjant, więc miała związany język. Zresztą cóż miałyby mu jeszcze powiedzieć? Zamknęła oczy i pod powiekami pojawiły się wizerunki

bawiących się dziewczynek. Wyciągała do nich ręce, wdychała talk z ich skóry i jabłkowy zapach ich włosów. Stateczna Fleur i niemogąca usiedzieć na miejscu Emma, wymachująca niecierpliwie rękami. Chodź, mamusiu, pośpiesz się.

Poddała się urywanemu rytmowi pracy silnika i zasnęła głęboko, budząc się tylko nieco, gdy samochód zwolnił na widok świateł policyjnej blokady. Wokół rozlegał się dźwięk chóralnego leśnego powitania nowego dnia.

Po jakichś dwóch godzinach, gdy w świetle poranka pojawiło się bladoróżowe niebo, a na nim stadko pulchnych chmurek, jej sny przerwało nagłe hamowanie auta. Poczowała pot na karku i otworzyła oczy. Kazano im zjechać na pobocze. Jack wysiadł i gestykułując, tłumaczył coś malajskiemu policjantowi. Gwałtowna wymiana zdań spowodowała, że Lydia całkiem się rozbudziła. Zobaczyła, że Jack ma schyloną głowę, a w kierunku samochodu ciężkim krokiem idą dwaj mężczyźni.

Dreszcz przeszedł jej przez plecy.

- Jack! - zawołała przez okno.

Odchrząknął i spojrzał jej prosto w twarz. Jego niebieskie oczy przybrały teraz kolor błotnistego bajora, a twarz miała dziwnie surowy wyraz.

- Jack?

Nagle wszystko ucichło. Ale to był pozorny spokój. Życie wokół pulsowało podskórnym, a skrawek dżungli oddzielający ich od domu gościnnego nadal szumiał po swojemu. Lydia wyskoczyła z samochodu i boso stanęła na asfalcie. Poczowała zapach spalenizny i rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jego źródła. Z prawej zauważyła smużkę szarego dymu

wzbijającego się w jasnorożowe niebo.

Zaczęła biec. Jack za nią, a dalej policjant.

- Madam! - krzyczał. - Madam, tam nie wolno. To niebezpieczne, miejsce jest nieogrodzone. Tam nic nie zostało.

Mężczyzna dogonił ją i złapał za ramię. Z ust pachniało mu soloną rybą.

Strząsnęła z siebie jego dłoń, nieświadoma, że tuż za nią małymi kroczkami biegnie Maz.

Jack złapał chłopca za rękę, nachylił się i poprosił, żeby tu został z „tym panem”.

- Ale wróćcie? - upewniał się Maz.

- Tak, wrócimy.

Lydia biegła przed siebie.

- Nie widziałeś dymu?

- Widziałem, ale nie miałem pojęcia, co się stało.

W lesie pędzili zielonymi tunelami, potykali się o poskręcane korzenie i zaczepiali głowami o nisko zwisające gałęzie. Brnęli w ślepe uliczki, musieli wtedy zawracać i przedzierać się przez przybierające kształt grzyba kłęby dymu zbierające się pod koronami drzew, próbowali jeszcze raz, aż w końcu natrafili na podjazd i drogowskaz z napisem Państwowy Hotel Służbowy. Dobiegli do wielkiego, czarnego od sadzy budynku w stylu kolonialnym. Jego dach zdążył się już zawalić, osmalone resztki krokwi ciągle kopciły, a ze środka dobywał się smród spalenizny. Wejścia pilnował posterunkowy.

Lydia zamarła ze stopami po kostki zanurzonymi w popiele. Przestała widzieć wyraźnie, a zębami szczękała jak w środku mroźnej angielskiej zimy.

- Jack, na miłość boską, zapytaj go, czy dziewczynki się ewakuowały.

Policjant usłyszał, co mówiła.

- Przykro mi, nikt nie przeżył, madam.

Jeszcze raz spojrzała na pozostałości budynku. Poczowała się zobojętniała, jakby wszystkiemu przyglądała się gdzieś z zewnątrz. Padła na kolana i nabrała pełną garść ziarnistego popiołu. Jack przykucnął obok, usiłując otrzeć jej twarz z brudnych smug.

- Won. Spieprzaj - warknęła.

Poczowała, jak przewracają się w niej wszystkie wnętrzości. Za plecami usłyszała szloch Maza i odwróciła się do niego z kompletnym zamętem w głowie. Jack próbował ją utulić. Odzyskała nagle siły i poczuła chęć działania. Odepchnęła Jacka i - mijając osłupiałego policjanta - wbiegła do środka zwęglonej budowli.

Światło przedzierające się przez dziury w dachu uwidocznilo miliony tańczących w powietrzu cząsteczek białego pyłu. Poczowała drapanie w gardle. Krokwie ciągle się tliły, zabierając z powietrza chyba cały tlen. Lydia stała nieruchomo, przekręcając głowę to w jedną, to w drugą stronę, wsłuchana w krew dudniącą jej w uszach i w jakieś dziwne syczenie. Którędy teraz? Ruszyła naprzód. Bo przecież mogły się schować w kredensie albo zamknąć w łazience. Może ciągle tu są. I są bezpieczne. Przemierzała budynek w poszukiwaniu ich kryjówek. Omijała przeszkody w postaci pogiętych metalowych stelaży i potłuczonego szkła. Czołgała się i nurkowała w stertach jakichś pozostałości, nie zważając na

własne bezpieczeństwo. Przystawała jedynie, żeby zaczerpnąć tchu. W głowie bez przerwy dźwięczały jej nawoływania dzieci. Mamusiu! Mamusiu! Nie czuła bólu przypiekanych w pogorzelisku stóp.

Jack wołał ją, najwyraźniej też dostał się do środka. I nagle przyszła jej do głowy myśl: przecież mogły wybiec na zewnątrz, schować się w lesie. I może ciągle tam są i czekają na nią wystraszone. Zaczęła się przedzierać w kierunku światła. Na czworakach krzyczała do drzew, ale im bardziej się w nie wpatrywała, tym więcej poruszających się cieni widziała.

- Emmo, Fleur! Gdzie jesteście? To ja, wasza mama.

Jack wybiegł przez jakieś tylne wyjście, odnalazł ją i próbował odciągnąć.

- Lyd, to nie ma sensu.

Nie zmieniając pozycji i ziejąc niczym zgoniony pies, odepchnęła go. Otworzyła usta, nie słysząc już własnego, wydobywającego się ze ściśniętego gardła skowytu, rękami młóciła powietrze, szok rozszerzył jej oczy do niewyobrażalnych rozmiarów. Obraz drzew zamazywał się coraz bardziej. Przykuta do miejsca słyszała trzepot skrzydeł, słowa Jacka i jeszcze jakiś inny męski głos w oddali. Oczyma duszy zobaczyła żółte płomienie pełzające po całym budynku, usłyszała ich syk i trzask. Ciężki czarny dym wydobywający się spod drzwi, a za nim wijące się języki ognia. Widziała strach w oczach swoich córek. Wdychała ich męczarnię i czuła zapach przypalającego się mięsa. To były ciała jej dzieci. Mamusiu! Mamusiu! Poczwała pustkę w głowie, nogi się pod nią

ugięły i usiadła na ziemi po turecku, przykrywając kolana fałdami zmiętej spódnicy.

Obok niej pluszowy miś z osmalonym futerkiem gapił się w niebo stopionymi od gorąca plastikowymi oczkami. Wzięła go w ramiona, zaczęła kołysać i podpuchniętymi, piekącymi oczami spojrzała w górę, gdzie przez resztki dachu przeświecało przeraźliwie jaskrawe malajskie niebo. Ostatnim zarejestrowanym przez nią obrazem była uciekająca spod stóp ziemia. Pochyliła się do przodu, po czym upadła na plecy, wpatrzona w nieboskłon.



Wyobrażałam sobie, że pan Oliver leży martwy na podłodze w sypialni, i nie mogłam się doczekać, aż przyjdzie Billy. On z reguły pojawiał się i znikał nagle, marzył, żeby zostać magikiem. Gromadził sobie po trochu stosowne rekwizyty, miał już wysoki kapelusz i talię kart. Obiecałam, że pomogę mu uszyć czarną pelerynę ze srebrnymi gwiazdami i purpurową lamówką. Mama nauczyła mnie posługiwać się igłą i nicią, nie powinno mi to więc sprawić większej trudności.

Dobrze rozumiałam to pragnienie Billy'ego. Ja mu czytałam moje opowiadania, a on w zamian wypróbował na mnie magiczne sztuczki. Załkałam cicho. Wydobyć mnie z tarapatów, w które się wpakowałam, będzie wymagało czegoś więcej niż czarodziejskie hokus-pokus.

Zrobiło się ciemno, pachniało wilgocią i stęchlizną. Zamknęłam oczy i próbowałam wyobrazić sobie, że stodoła wypełnia się lśniącoymi liśćmi i paprociami, a w powietrzu latają jaskrawoniebieskie ptaki. Niestety, moje myśli uparcie wracały do rozwścieczonej twarzy pana Olivera, jego zakrwawionej szyi i rąk.

Gdy się obudziłam, nie pamiętałam, gdzie jestem, dopóki mój uczynek nie przypomniał mi o sobie potężnym ukłuciem w żołądku. Chciało mi się pić, ale tu nie było nic do picia. Skuliłam się więc w kącie, schowałam twarz w dłoniach, aż

usłyszałam głosy taty i Veroniki. Cichutko podreptałam do ściany i wyjrzałam, żeby się upewnić, że to oni. Trzy zadarte do góry twarze wpatrywały się w stodołę. Musieli zmusić Billy'ego do wydania naszej tajemnicy, bo on też stał razem z nimi u podnóża drabiny. Miał czerwoną twarz i opuszczone w dół kąciki ust.

Zeszłam po drabinie i stanęłam na ziemi, drapiąc się. Wszystko mnie swędziało. Billy zwiesił głowę, nie patrzył na mnie, tylko pociągał nosem i ocierał go swoim dziurawym swetrem. Spojrzałam na tatę. Miał surowy wyraz twarzy i dłonie zaciśnięte w pięści. Bałam się tak bardzo, że aż się posusiałam i poczułam ciepły strumyczek spływający mi po wewnętrznej stronie uda. Ojciec dostrzegł ciemną plamę rosnącą na mojej spódnicy i zacisnął usta.

Veronica przyklęknęła, miała potargane włosy, twarz bladą jak popiół i zaczerwienione oczy. Powiedziała łagodnym głosem:

- Emmo. Opowiedz nam, co się stało. Dlaczego to zrobiłaś?

Mama była jak ogień, a ona jest jak woda - miła i uprzejma. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Ojciec wziął przesłuchanie na siebie.

- Na Boga, dziecko, zapomniałaś języka w gębie? Co cię opętało, że zraniłaś pana Olivera?

Zwiesiłam głowę.

- No cóż, mogę ci tylko powiedzieć, że masz szczęście. Sidney nie poszedł na policję.

A więc przynajmniej nie umarł, pomyślałam.

- Tylko nie sądz, że ci to ujdzie na sucho - powiedział tata

i wziął mnie za łokieć.

W domu zaprowadził mnie do mojego pokoju, po czym zamknął drzwi. To niesprawiedliwe. Ukarany powinien zostać pan Oliver, nie ja. Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, ale na samą myśl, że muszę coś mówić, zrobiło mi się niedobrze.

- Zostaniesz w swoim pokoju! - krzyknął tata zza drzwi i walnął w nie pięścią.

Zesztywniałam ze strachu, co będzie dalej. Czy to była moja wina? Może zrobiłam coś, żeby do tego doszło?

Po chwili Veronica przyniosła mi na tacy napój czekoladowy Bournvita oraz dwie pomarańczowe markizy. Łzy napłynęły mi do oczu.

Przysunęła się i pogłaskała mnie po nodze.

- Nie płacz. Sidneyowi nic poważnego się nie stało. Rana wygląda na gorszą, niż jest naprawdę. Trochę jak twój tata - więcej szczeka, niż gryzie. Wszystko będzie dobrze.

Zauważyłam, że ma bardzo wąskie nadgarstki i małe, jasne dłonie. Przebrała się w sukienkę w żółte kwiaty i jakoś doprowadziła do ładu włosy, chociaż szpilki ciągle tkwiły wpięte byle jak, a na twarzy widać było zmarszczki. Poczułam, że ściska mnie w gardle. Chciałam ją zapytać, jak niby wszystko ma być dobrze, ale nie miałam śmiałości. Wiedziałam, że ona jest dla mnie miła - może nawet bardziej, niż na to zasłużyłam - ale byłam pewna, że już nigdy nie „będzie dobrze”.

Wynieśli z pokoju łóżko Fleur. Miałam spać sama. Gdy taty nie było w domu, babcia ukradkiem otworzyła drzwi i weszła na paluszkach z palcem na ustach. Potem usiadła obok mnie

na łóżku i przytuliła mnie. Padł na nią promyk słońca i wtedy zobaczyłam, jak bardzo jest stara i zmęczona. Jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek. Spuściłam głowę. Ona jest taka maleńka, a to wszystko moja wina.

- Emmo, kurczaczku. Powiedz mi, co się stało?

Mówiła bardzo cicho, a ja znów czułam łzy pod powiekami. Chciałam jej powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle.

Babcia podała mi dwa batoniki.

- Schowaj je sobie. I nic nie mów swojemu tacie.

- Co ze mną będzie, babciu?

Pokręciła głową i mocniej zawiązała troczki fartucha. Tak się jednak składało, że im bardziej się nim ścisnęła, tym grubiej wyglądała.

- Szukają dla ciebie szkoły z internatem.

Całkowicie upadłam na duchu.

- Tata i dziadek?

- Nie, kochanie. Twój ojciec i Veronica. Ona bardzo się o ciebie troszczy. Masz szczęście, że nie jest na ciebie ani trochę zła z powodu brata.

Zesztywniałam. Co to ma znaczyć? Czyżby Veronica wiedziała, jaki ten jej braciszek jest? Jeśli coś podejrzewa, to wszystko może się obrócić na moją korzyść.

Pociągnęłam nosem i spojrzałam w głęboki błękit babcinych oczu.

- Dlaczego on mnie nienawidzi?

- Kto, kochana?

- Tata. Dlaczego mnie nie cierpi?

Babcia chyba się zdenerwowała. Wstała, żeby wygładzić

fartuch. Westchnęła i pomyślałam, że zaraz się rozplacze.

- To nie chodzi o ciebie, kochana, ale są rzeczy, których nie rozumiesz.

- Jakie rzeczy?

- Może jak będziesz starsza, kochanie... Teraz, kurczaczku, musisz się trochę pokajać. Twój ojciec ma swoje kłopoty i robi, co może. Pamiętaj o tym. Staraj mu się tylko nie sprzeciwić, a wszystko będzie dobrze. Em, musisz się nauczyć panować nad sobą. Obiecujesz?

Zwiesiłam głowę, ale jej słowa dały mi do myślenia. Czy mój ojciec jest naprawdę taki zły, jak mi się wydaje, czy też sama zrobiłam z niego czarny charakter, jak w moich opowiadaniach? Może to ja jestem zła, a on ani trochę? I jak się dowiedzieć, jak jest naprawdę? Te pytania gnębiły mnie bardziej, niż się do tego sama przed sobą przyznawałam.

- No dobrze, a teraz wypróbujemy to w praktyce... - powiedziała babcia, spojrzała na mnie, robiąc śmieszoną minę, i pocałowała w czoło. - Grzeczna dziewczynka. Ale pamiętaj, ani słowa. Włączę w kuchni radio, żebyś nie czuła się taka samotna. Teraz leci „Muzyka do słuchania przy pracy”, ale może w „Pick of the Pops” nadadzą Lonniego Donegana.

- Albo Billa Haleya. - Uśmiechnęłam się blado.

- I o to chodzi! Zgłoszę trochę, żebyś mogła słyszeć. W porządku, kurczaczku?

- Może tu przyjść Fleur? Pograłybyśmy w węże i drabiny.

- Och, Fleur wyjeżdża na trochę, moja droga. Zamieszka u Veroniki do czasu, aż twój ojciec wszystko załatwi. Veronica zabiera ją we wtorek do optyka.

Serce mi się ścisnęło. A co z jej urodzinami? Fleur i ja nie byłyśmy sobie specjalnie bliskie, ale to w końcu moja siostra i chyba ją kochałam. Teraz dotarło do mnie, że pan Oliver może jej zrobić to samo, co robił mnie. Ale chyba ojciec zauważy, jeśli coś będzie nie tak? Jeśli chodzi o mnie, nie zauważył, ale przecież Fleur jest jego ulubienicą. Czasami nawet miałam wrażenie, że Fleur w ogóle nie odczuwa braku mamy.

Zanim babcia wyszła, zapytałam ją, czy mama kiedyś do nas przyjedzie.

- Nie wiem, kochana. Wiem tyle co ty. Tyle, co powiedział twój tata.

- Ale dlaczego to tak długo trwa?

Babcia wzruszyła ramionami, powiedziała, że nie ma pojęcia i że nawet tata tego nie wie. Jęknęłam i wyciągnęłam się na łóżku.

Babcia zawołała Fleur na górę.

- Zostawiam was, żebyście się mogli pożegnać - powiedziała po wejściu Fleur i wyszła, nie zamykając drzwi.

Popatrzyłam na Fleur, która stała w drzwiach, przestępując z nogi na nogę. Zapytałam, czy tęskni za mamą. Powiedziała, że ma Veronicę i babcię, więc o co chodzi. Jej odpowiedź sprawiła mi przykrość.

- Mączniaczku, ty nie kochasz mamy? Nie tęsknisz za wysokimi trawami?

Fleur nie odpowiedziała. Musiałam czekać. Nauczyłam się czekać. Najpierw gdy była mała i niewiele rozumiała, potem gdy tak wolno uczyła się mówić. A teraz czekałam, aż zbierze

się w sobie i powie to, co ma na myśli.

- Tak, Em, tak. Tęsknię.

- Ale nigdy nie płaczesz.

Przygryzła wargę.

Wstałam i patrzyłam na nią.

- Nie pamiętasz naszej wyspy, Fleur?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ale musisz pamiętać. Tego się nie da zapomnieć! - Przypomniało mi się srebrzyste wybrzeże wyspy, gdzie spędzaliśmy wakacje. - Pamiętasz, jak meduza poparzyła mamusię? I jak kazano nam uważać, gdzie stawiamy stopy?

Fleur spuściła głowę i nie patrzyła na mnie.

- Chyba pamiętasz palmy kokosowe, co nie? I jak się bałaś wysokich fal?

- Wcale się nie bałam - powiedziała cicho.

- A więc pamiętasz! Wiedziałam. Jak ja z tatą biegaliśmy po plaży, ty budowałaś zamki z piasku, a mama pływała na golasa.

- Zamknij się, Emmo. Przestań gadać o mamusi.

Wybiegła z pokoju i trzasnęła drzwiami.

Nie wyszłam za nią, chociaż słyszałam, jak popłakuje w łazience. Choć to przecież przeze mnie płakała.

Po namyśle zdecydowałam, że jeśli już mają mnie gdzieś wysłać, chcę zabrać ze sobą wszystkie ulubione rzeczy. Wyjęłam pudło ze skarbami i ułożyłam z nich stosik. Mój notes, żeby zapisywać, co zaobserwuję, stare czarne korale mamy, śliczną fioletowo-pomarańczową szklaną kulkę i szczotkę do włosów z prawdziwego włosia. Musiałam codziennie szczotkować włosy, wykonując sto ruchów.

A najcenniejsze, co posiadałam, to było wieczne pióro wraz z butelką atramentu Parkera. W szkole używaliśmy paskudnych obsadek z drewna. Miały zdarte metalowe stalówki z nacięciem na końcu. Po napisaniu zaledwie kilku słów trzeba je było zanurzać w małym kałamarzu stojącym na ławce. Atrament ściekał, przez co wszystkie moje prace pisemne były usiane kleksami.

Usiadłam po turecku na podłodze i grzebałam w swoich skarbach, a łzy gromadziły mi się pod powiekami. Z korytarza na dole dobiegły jakieś dźwięki. Tata. Wrzuciłam wszystko z powrotem do pudła, które schowałam w szafie. I wtedy zauważyłam, że spod kraciatedego koca wystaje różowe królicze ucho. Wyciągnęłam królika, żeby go dać Fleur, zanim pojedzie do Veroniki, i zrobiłam minę grzecznej, dobrze ułożonej dziewczynki.



## 18

Lydia nic nie pamiętała ze swojego pobytu w szpitalu. Nie miała żadnych wspomnień z długotrwałego leczenia poparzonych płuc, wykreśliła z pamięci jazdę do domu wypoczynkowego w Ipoh, a także szaleństwo przeszukiwania pogorzelniska. Gdy Jack próbował z nią porozmawiać o dziewczynkach, odwracała się twarzą do ściany. Przez tydzień karmił ją, zmuszał do przełknięcia czegokolwiek, a w bezsenne noce czytał jej. Słyszała wtedy jakieś oderwane dźwięki, ale nie potrafiła zrozumieć słów. Zapatrzona była w przeszłość, w czasy, kiedy jej dzieci żyły i oddychały, uśmiechały się i wybuchały śmiechem, a także kłóciły między sobą, jak to miały w zwyczaju.

„Mamusi, chodź, zobacz. Mamusiu, patrz na nas, jak tańczymy”.

W atmosferze sztucznie wytworzonego spokoju zmieniano jej opatrunki na ranach i poparzeniach i usypiano ją. Gdy po raz pierwszy otworzono okiennice, leżała, mrugając, oślepiona światłem. W środku słonecznego dnia marzyła o ucieczce do głębokiego lasu, gdzie mogłaby się rzucić do chłodnego strumienia i poczuć, jak woda zasklepia się nad jej głową.

Słyszała szept Jacka rozmawiającego z lekarzem.

- Panowała bardzo wysoka temperatura, widziano błyski, a wokół budynku stwierdzono ślady po środkach łatwopalnych,

co oznacza, że pożar wybuchł w kilku punktach naraz – słyszała wywód doktora. – Dochodzenie zakończono. Przyczyną było działanie terrorystyczne wspomagane siłą i kierunkiem wiatru. Nie znaleziono ciał nadających się do identyfikacji.

– Stop! – krzyknęła. – Przestańcie!

Podciągnęła kolana, zatkała uszy dłońmi i zaczęła się kołysać w przód i w tył. Dwie pielęgniarki po obu stronach łóżka usiłowały ją skłonić, żeby się spokojnie położyła. Uwolniła swoje prawe ramię i próbowała się bronić, ale jednej z pielęgniarek udało się wbić jej w udo igłę. W kącie pokoju Jack tłumił szloch, łzy płynęły mu po policzkach. Jedno po drugim gaszono światła. Co się stało Jackowi, pomyślała, zagłębiając się w chłód podwodnego świata, gdzie oprócz niej znajdowały się też srebrne ryby i gigantyczne rzeczne żółwie.

Rankiem przestała śnić o palmach i białych piaskach. Obudziły ją czyjeś kroki na korytarzu i bębniąca o dach ulewa. Chciała zamknąć oczy, tak żeby przestać istnieć, położyć się w białej szpitalnej pościeli i niech to wszystko nareszcie się skończy. Gdy do sali ktoś wszedł, wstrząsnęło nią odkrycie, że całymi tygodniami błędziła we mgle, kręcąc się w miejscu. A wydawałoby się, że to było mgnienie oka. Oparta o szpitalne poduszki po raz pierwszy zauważyła na parapecie skrzynkę z żółtymi kwiatami. A koło jej łóżka stał mężczyzna o pełnym troski spojrzeniu.

– Mogę już iść do domu? – spytała, siorbiąc letnią herbatę.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Przyjechał pan Harding i zaraz panią zabierze. Oparzenia

dobrze się goją, płuca też, za kilka tygodni będzie pani zdrowa jak ryba.

Wstrzymała oddech.

- Harding?

Mężczyzna potwierdził ruchem głowy.

- Aha, pan ma na myśli Jacka.

Gdy jednak tylko Jack wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach, ale z lękiem w oczach, Lydia rozplakała się.

- Powiedz, że to nieprawda - powiedziała. - Proszę cię, Jack.

Patrzyła, jak z trudem przełyka ślinę.

- Lydio...

- Muszę wiedzieć na pewno. Możesz pojechać do Ipoh? Albo zadzwonić do George'a? On będzie wiedział. Zapytaj go. Proszę cię, Jack.

- Zrobiłem już i jedno, i drugie. Bardzo mi przykro, ale dzieci tam były. George miał wiadomości z pierwszej ręki. Alecowi nie przydzielono jeszcze domu, a nigdzie indziej nie ma po nich śladu.

- Może przenieśli się na Borneo?

- Lydio, Alec i dziewczynki byli w tym budynku. George twierdzi, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zginęli w pożarze.

Gdy jechali na plantację, ulewę zastąpiła kleista, ciepła mgła. Lydię ogarnęła głęboka nostalgia za Anglią i wiecznym angielskim deszczem. Obrazy córek przebiegały jej przed oczami, raz szybko, innym razem zatrzymywały się na trochę. Nie panowała nad emocjami. Bezlitosny ból rozdzierał jej serce, spływał łzami po policzkach, a tuż za nim skradała się

głucha i niema wściekłość. Patrzyła przed siebie i nie zależało jej na życiu w świecie, który pozwolił umrzeć jej dzieciom. Rodzinę się ma, a potem się jej nie ma? Jak to możliwe? Myślała o opowiadaniach pisanych przez Emmę i zatykała sobie oczy zaciśniętymi pięściami.

Maz samotnie spał w pokoju gościnnym. Ona zdecydowała się spać u Jacka: spać, nic więcej. Bała się, że zmarłe nawiedzą ją we śnie, że wstaną z grobów, których nie posiadały, i będą się jej przyglądać oskarżycielskim wzrokiem. Gdy krzyczała przez sen, broniąc się: „Ja nie wiedziałam, przepraszam was, przepraszam!”, Jack obejmował jej gorące, spocone ciało. Do świtu leżała zwinięta na łóżku, z twarzą wtuloną w mokrą od łez poduszkę, i marzyła o tym, żeby utracić pamięć i zapaść się w nicość. Jak można coś takiego przeżyć, myślała, jak to się ludziom udaje?

Ból fizyczny zmusił ją do tego, żeby wstać. Wzięła prysznic, powolnymi i przemyślanymi ruchami myjąc swoje sztywne i zgarbione jak u wiekowej osoby ciało. Wytarła zaparowaną szybę lustra, przed którym zwykł się golić Jack, i badawczo przyglądała się kruchej, patrzącej na nią kobiecie. Dotykała jej woskowej skóry, zaglądała w głąb zapadniętych oczu. Co się z nią stało? Nic w niej nie wygląda tak samo jak dawniej, tyle że jedna brew jest nadal wyżej od drugiej. Podniosła ją i opuściła, po czym odwróciła się, bo znów usłyszała ich głosy. Nie wydawało się jej, rozbrzmiewały całkiem wyraźnie w jej głowie. W porządku, moje kochane, mamusia jest przy was. Ale nic nie było w porządku i mamusi przy nich nie było.

Golarką Jacka ogoliła sobie nogi, włożyła lekką spódnicę

z lnu i szmaragdową bluzkę, po czym udała się na werandę, gdzie czekała na śniadanie. Na jaskrawoniebieskim niebie świeciło słońce. Powoli zaczerpnęła powietrza, wypuściła je z płuc i po raz pierwszy poczuła głód.

Podeszła do niej z tacą Hinduska w jasnym sari.

- A gdzie Lili? - spytała Lydia.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja mam na imię Channa.

Lydia powoli przeżuwała suche ryżowe ciasteczka z piekielnie słodką marmoladą z mango. Wydawało się jej, że nie będzie mogła przełknąć ani łyka płynu, ale już po chwili poprosiła o dolewkę kawy. Maz siedział naprzeciwko, patrząc na nią w milczeniu.

Spojrzała na niego, zauważyła, że wyrósł i że ma straszny nieład na głowie. On żyje. Jak to możliwe, że Emma i Fleur umarły, skoro on nadal żyje? I skoro ona, Lydia, też żyje. Znów załała ją niepowstrzymana fala wspomnień. Ranek, kiedy musiała opuścić dom i wyjechać do Suzanne. Gdyby tylko ktoś dał jej jakiś znak... Gdyby nie odebrała telefonu od wzywającej ją Suzanne. Gdyby na czas dotarła do Ipoh. Gdyby mogła powiedzieć coś więcej niż tylko „do widzenia”.

Poczuła, jak krew pulsuje w jej żyłach. To bez sensu. Ktoś powinien za to zapłacić, nie tylko bezimienny chiński buntownik, który podłożył ogień pod schronisko, ktoś, komu mogłaby spojrzeć w twarz i wykrzyknąć, co czuje.

Nieoczekiwanie ogarnęła ją wściekłość. Obejmujące krawędź śniadaniowego stołu palce nagle zeszywniały, zamknęła oczy i z krzykiem popchnęła stół. Przechylił się

i wszystko się z niego zsunęło: talerz, filiżanka, ciasteczka i marmolada. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła, naczynia rozprysnęły się po podłodze werandy. Maz krzyknął i zaczął uciekać. Nie otwierając oczu, Lydia zwiesiła głowę. Tęskniła za dziewczynkami, ale ta tęsknota zmierza donikąd. Może się tylko zwrócić przeciwko niej i doprowadzić ją do szaleństwa. Gdy otworzyła oczy, nie dostrzegła nic szczególnego. Ot, zwykły dzień, wszechobecny kurz, wilgotny zapach drzew i rozmazanej marmolady.

Weszła Channa ze szczotką i szufelką.

- Przepraszam - powiedziała Lydia, a kobieta spojrzała na nią szeroko rozstawionymi, lekko skośnymi oczami i nie odezwała się.

Lydia wsłuchiwała się w skrzypienie drzew kauczukowych i odgłosy wydawane przez kręcące się po ich gałęziach stworzenia. W pamięci zaczęły jej odzywać historie, jakie opowiadał dziewczynkom ogrodnik. Słyszała ich piski i okrzyki, pełne strachu i zachwytu jednocześnie. Mamusiu, mamusiu.

Maz patrzył na nią z niewypowiedzianym smutkiem. Wyciągnęła do niego rękę, a on podał jej swoją do uściśnięcia. Uśmiechnęli się do siebie i przez chwilę było jak dawniej. Wiedziała, że Maz musiał to wszystko bardzo przeżyć, że pewnie odchodził od zmysłów, gdy ona była w szpitalu. Jakie to niesprawiedliwe. Poszedł do kuchni i słyszała, jak rozmawia z synem Channy, Burhanem. Można mieć nadzieję, że zyskał przyjaciela, z którym szczęśliwie będzie mógł się bawić w liczenie kamieni i pogoń za motylami.

Dnie ciągnęły się w nieskończoność. Stał jej przed oczami obraz znanej jej z Malakki eleganckiej i sprytnej Europejki. Zaraz, jak ona miała na imię? Ach tak, Cicely. Dostała od niej kartkę. Tak mi przykro, że nie mogę cię odwiedzić, podróżuję po Australii. Ale Lydia w ogóle nie chciała jej wizyty. Nie chciała się z nikim widzieć. To Cicely przestrzegła ją na początku przed Jackiem. Wizerunek nagiego Jacka mignął jej pod powiekami. Pewnie była zazdrosna. To taka dyskretna pijaczka – już przed lunchem pobrzękiwała szklanką dżinu z tonikiem, kostką lodu i plasterkiem cytryny. To wspomnienie podsunęło Lydii pewien pomysł. Pamięć można przecież wymazać.

W barku znalazła nieotworzoną butelkę dżinu, ale nie było tam toniku. Pośpieszyła do mrocznej kuchni.

- Tonik? - Potrząsnęła trzymaną w górze butelką. - Do dżinu?

Bez odpowiedzi. Kobieta wzruszyła ramionami. Lydia otworzyła na oścież drzwi lodówki. Była to wysoka amerykańska chłodziarka na ropę. Zastawiona głównie butelkami piwa. Spróbowała jeszcze w małej spiżarni obok ciemnej od sadzy kuchni; zmarszczyła nos, poczuwszy smród przejrzałego ananasa, ale zdecydowała się przeszukać stos pudełek w kącie. Lekceważąc niebezpieczeństwo natknięcia się w gęstym pyłe na śmiercionośnego pająka, wytargała stamtąd do salonu dwie skrzynki piwa i kontener napojów bezalkoholowych.

Pierwsze łyki dżinu złagodziły ból serca i kończyn oraz stępiły napad gniewu. Świetna metoda. A teraz papieros. Jack

jakiś czas temu rzucił palenie, ale na pewno ciągle trzyma jakąś paczkę na dnie szuflady. Lydia nie paliła od urodzenia Emmy, ale gdy już poczuła chęć, nie potrafiła się od niej uwolnić.

W sypialni Jacka nie było zbyt wielu miejsc mogących służyć za kryjówkę. Jedynie niska komoda i wysoka szafa na ubrania z pojedynczymi drzwiami. Wyciągnęła górną szufladę. Podkoszulki, bokserki, skarpety. Nic poza tym. Druga szuflada nie ujawniła niczego poza koszulkami i szortami. W trzeciej znajdowały się przeróżne rozmaitości. Dziwne fragmenty wykwintnej garderoby. Muszka. Talia kart. Scrabble. Okulary do czytania. Prawie nigdy nie widziała Jacka czytającego, co najwyżej przeglądał codzienną gazetę albo jakiś ilustrowany magazyn. Chociaż półki wręcz uginały się od książek.

Czwarta szuflada z lekka się zaklinowała. Lydia uklękła, pociągnęła mocniej i całość przechyliła się, a na ziemię wysypała się sterta chińskich ubrań. Dotykała delikatnych cheongsamów, luźnych fałdzistych czarnych spodni, ślicznych białych krótkich koszulek. Wszystko pachniało tymi perfumami, które kiedyś znalazła u Jacka w łazience. Podniosła zielony jedwabny cheongsam z czarną koronką i stanęła przed niewielkim lustrem Jacka. Mogła w nim dostrzec tylko część siebie, ale wszystko jedno, na którą część spojrzała, było jasne, że tamta kobieta jest od niej o wiele szczuplejsza. Spojrzała od środka na małą stójkę. Było tam wyhaftowane złotą nitką słowo „Lili”. O Boże. Ależ z niej idiotka. Lili nigdy się nie uśmiechała, nigdy nie okazywała jej charakterystycznej dla chińskich dziewcząt uprzejmej uwagi.



Od Lili biła pewność siebie, tak się Lydii przynajmniej wydawało. Teraz zrozumiała, gdzie tkwiło jej źródło.

Lydia słyszała setki historii z dawnych kolonialnych czasów o samotnych plantatorach i ich - jak to się mówiło - utrzymankach. Dziewczynach, które się zajmowały nimi i domem, gotowały, sprzątały, ocieplały pościel, a czasami również rozgrzewały serca. Dlaczego jej nie powiedział? Zrezygnowała z poszukiwania papierosów i wróciła do salonu. Wzięła butelkę, otworzyła furtkę i biegiem opuściła domostwo.

Na końcu ścieżki zagłębiła się w ciemność; przedzierała się przez krzaki i gigantyczne paprocie, omijając gałęzie, po których skakały psotne małpy. Między szeroko rozpostartymi koronami drzew śmigały jaskrawo upierzone ptaki, a jej z włosów pot spływał strumieniami, dostając się pod bluzkę. Życie sięgnęło dna. Czuła się, jakby była poza czasem, jakby nie dotyczyło jej niebezpieczeństwo napotkania ukrytego pod opadłymi gałęziami leśnego skorpiona czy wijącego się w trawie grzechotnika.

Doszła do szerokiego strumienia, przedarła się przez jego nurt, szarpiąc sobie na strzępy mokrą bluzkę, i szła dalej. Zakręciła butelką i zaczęła ją opróżniać szybko, jakby to była woda, aż zapulsowało jej w skroniach, zakłuło w płucach i nastąpił wybuch tłumionej wściekłości. Z całej siły cisnęła na wpół pustą butelką o pień najbliższego kauczukowca. Brzęk rozbitego szkła zadowolił ją, ale nie na długo. Nawet tysiąc rozbitych butelek nie przyniosłoby jej pewnie ukojenia. Nie dbając o zachowanie właściwego kierunku, zataczając się,

błądziła po podmokłych, bagnistych ścieżynach, nie mogąc przestać myśleć o akcie terroryzmu, który przypadkowo pozbawił jej córki życia.

Na niewielkiej polance oślepił ją promień słońca. Usłyszała chropowaty metaliczny świergot przecinającego niebo szkarłatnego nektarnika. Obok unosiła się Lili, chłodna nimfa o alabastrowej skórze. Lydia dotknęła swoich rozpalonych policzków i przymknęła oczy. Gdy je otworzyła, dziewczyny już nie było. Wśród wodnistej zieleni pojawił się natomiast inny snop światła. To była Emma, wyłaniająca się zza drzew i na powrót między nimi znikająca. Z figlarnym grymasem ssła lizak, ubrana jak mała Chinka na gwiazdkowym balu przebierańców. Lydia usłyszała chichot bawiących się dzieci i sama czule się uśmiechnęła.

Jack natknął się na nią, wracając do domu na lunch. Kompletnie rozklejona siedziała na skraju drogi, nie zważając na komary, od których powietrze było aż gęste. Wgapiła się w niego niewidzącymi oczami, po czym zwymiotowała na jego buty. Oczyszczył jej stopy ze szkła, a za pomocą palącego się papierosa pozbył się przyssanych do łydek pijawek. Zaniósł ją do domu. Ciągle miała torsje, ale ta dolegliwość była niczym wobec bólu, który rwał jej serce na kawałki.

Gdy Jack spał, ona leżała w chłodzie ogrodu, przyglądała się połówce księżycy i widziała, jak Emma woła ją spomiędzy cieni. Chciała do niej iść, ale czuła, że przemyka się głęboko pod powierzchnią życia. Tam, gdzie nic nie jest w stanie jej dosięgnąć, gdzie nie ma miłości, nie ma bólu ani żadnego punktu zaczepienia dla jakiegokolwiek nadziei.

Jack znalazł ją nad ranem, zimna jak kamień leżała na ziemi. Maz klęczał obok, w jednym ze starych T-shirtów Jacka. Jack podniósł ją, klepnął w policzek i zaciągnął do domu. Uścisnął Maza i poprosił, żeby przyniósł od Channy z kuchni kawę i jakieś herbatniki. Gdy tylko mały wrócił, Jack wmusił w Lydię gorzką kawę, dosłownie wlewając ją do jej gardła, po czym rozcierał i oklepywał jej ręce, aby się rozgrzały. Lydia straciła przytomność.

Gdy ją odzyskała, pokój wypełniało już ciemnoróżowe światło zachodzącego słońca. Bolały ją nogi i stopy.

- Obiecuj, że nigdy już tego nie zrobisz - poprosił ją.

- A co mam robić?

- Ty i Maz zostaniecie tu ze mną. Tak długo, jak będzie trzeba. A potem się zobaczy.

- Ale ja nic nie mam.

- Masz mnie.

- Nie, chodziło mi o to, że nie mam pieniędzy.

- Lydio, na miłość boską, ja zarabiam. Nie zaprzataj sobie tym teraz głowy. Masz wyzdrowieć. To najważniejsze.

Pokiwała głową.

- Wiem, że mi nie wierzysz, ale będzie coraz lepiej, zobaczysz.

Skrzywiła się i pokręciła głową.

- To i tak bez znaczenia.

Jack patrzył na nią.

- Kochanie, wiem, ale teraz będziesz musiała sama nadać swemu życiu znaczenie.

Starał się być miły, ale ją ogarnęło znajome uczucie

narastającego gorąca.

- Jak możesz tak mówić! Emma i Fleur były całym moim życiem.

- Musisz znaleźć coś, co je zastąpi, Lyddy - mówił łagodnym głosem, patrząc na nią niebieskimi jak malajskie niebo oczami. Odepchnęła jego rękę.

- Co może zastąpić moje dzieci? Zwariowałaś?

- Masz jeszcze Maza i mnie - powiedział tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch.

- Nie wiem, Jack. Chcę jeszcze raz zadzwonić do George'a. Może są jakieś nowe wieści.

Zacisnął wargi i wypuścił powietrze.

- No cóż, jeśli tego chcesz, niech tak będzie.

Oboje dobrze wiedzieli, że wobec takiego nieszczęścia możliwe są dwa wyjścia: utonąć albo starać się płynąć. Miała nadzieję, że Jack ma w sobie tyle życiowej mądrości, żeby wiedzieć, że ona jeszcze nie jest gotowa na wybór któregośkolwiek z nich.

Maz przysunął się do nich niepostrzeżenie. Miał tak podpuchnięte oczy, że nie ulegało wątpliwości - on też już prawie wypłakał z siebie serce. Podniosła go i przytuliła.

- Przepraszam cię, kochanie. Po prostu dzieci nie powinny umierać przed rodzicami.

Przeczesała mu włosy palcami i znad jego głowy zauważyła łzy w oczach Jacka.

Potem Jack poszedł porozmawiać z jednym z pracowników i zabrał Maza ze sobą, a Lydia zadzwoniła do George'a.

Wytłumaczyła mu, o co jej chodzi, a on westchnął.

- Posłuchaj, Lydio, przykro mi, ale tu nawet nie ma brzytwy, której można by się chwycić. Alec i dziewczynki zginęli w pożarze, temat jest zamknięty. A tak przy okazji, dziewczyno, nie kłopotuj się sprawami papierkowymi. Ja to wszystko załatwię, a jak będziesz mi do czegoś potrzebna, dam znać.

- Dziękuję.

- Postępowanie majątkowe nie wchodzi w grę. Jak wiesz, Alec nie miał żadnej posiadłości w Anglii ani tu, a w Ipoh nie zdążył nawet otworzyć konta w banku. Tak więc - nieszczęśliwie dla ciebie - się złożyło, że wszystkie jego pieniądze przepadły w płomieniach. Policja tu, w Malakce, trzyma twój samochód. Chcesz, żebym go sprzedał?

- Tak, poproszę. Będą mi potrzebne pieniądze. Ale, George, skąd u ciebie taka pewność, że oni tam byli?

- Fakty mówią same za siebie. Od czasu pożaru nie dali znaku życia. Jak już ci mówiłem, wszystko przemawia za tym, że tam wtedy byli. Alecowi nie przydzielono jeszcze mieszkania służbowego. Daj spokój, uszy do góry, staruszko. W swoim czasie rozpoczniemy procedurę wystawienia świadectw zgonu, ale przy braku zwłok to trochę potrwa. Przepraszam, że tak mówię bez ogródek.

Lydia z trudem przełknęła ślinę. Nie przechodziło jej przez gardło nic poza wymruczanymi pod nosem słowami podziękii. Odłożyła słuchawkę, wyszła na dwór, usiadła i po raz pierwszy od pożaru otworzyła notes Emmy. Zaczęła czytać.

*Jedna z anielic usiadła mi na łóżku. Miała falujące rude włosy, jasną cerę i białą suknię. Żadnych skrzydeł. Nawet*

*takich złożonych. Za plecami miała tylko powietrze. Dziś odwiedził nas Jack. Wolałabym, żeby do tego nie doszło. On jest wyższy od taty i boję się, że zaczną się ze sobą bić. Na początku go nawet lubiłam. Kupowałyśmy sobie na ulicy klapki japonki. Moje miały przypięte pośrodku jaskrawopomarańczowe kwiaty. Jack podszedł i położył rękę mamie na ramieniu. A potem wręczył Fleur i mnie po lizaku. Modliłam się do anielicy, żeby trzymał się od nas z dala, ale on znowu przyszedł. To było tej nocy, kiedy zobaczyłam ich w łóżku.*

Zatrzasnęła notes i zaczęła śledzić ćmę wykonującą spiralny lot w górę, ku latarni. Gapiła się na nią, aż zaczęły ją szczypać oczy. Siedziała na werandzie w parnym powietrzu, patrzyła na chmury rozmyte niczym akwarelowe malunki jej dzieci. Dalsze czytanie ją przerastało. Ona wiedziała. Emma wiedziała.

## 19

Był chłodny wrześniowy dzień, pola spowijała biała mgła, tak gęsta, że gdy zbliżaliśmy się do szkoły, kompletnie nie było jej widać. Chciałam, żeby tak zostało. Żeby zniknęła na zawsze. Prowadzony przez ojca samochód jechał aleją wysadzaną dębami, które wyłaniały się stopniowo jeden za drugim. Miały jasnoczerwone i złote liście.

Ani ja, ani Fleur nigdy wcześniej nie widziałyśmy jesieni. Ostatniego dnia spędzonego przeze mnie w domu moja siostra biegała z miotłą po trawie, polując na liście, które wiatr przeganiał pod drucziany płot, gdzie rosły pokrzywy. W końcu ogrodu znajdował się jasnopomarańczowy buk. Tylko nasz ogród mógł się poszczycić takim dużym drzewem. Dziadek na początku lata przymocował do niego huśtawkę, na której Fleur bujała się godzinami.

Wieczorem ojciec pomógł mi się spakować. Zgodnie z wymogami szkoły zabierałam ze sobą dwa komplety ubrań na zmianę: szkolny mundurek i zwykły, niezobowiązujący strój, kapcie, piżamy, notes i ołówek. Schowałam też złożony na czworo liścik od mamy i oprawioną w ramki jej fotografię, którą udało mi się wywieźć z domu w Malakce. Tego nie było na liście rzeczy dozwolonych, ich posiadanie to miał być mój sekret. Gdy skończyliśmy pakowanie, babcia uścisnęła mnie mocno. Jej skóra pachniała konwaliami, w jej oczach

spozstrzegłam łzy.

Penridge Hall to wielki wiktoriański dwupiętrowy budynek. Babcia mówiła, że w czasie wojny był tu szpital, a teraz jest szkoła z internatem, przeznaczona zwłaszcza dla dzieci z problemami. Część personelu stanowią zakonnice. Aha, więc ja teraz zaliczam się do takich dzieci. Jestem problemem.

Gdy tata parkował swojego morrisa oxforda, powstrzymywałam się. Staralam się zrezygnować z pomysłu, o którym wiedziałam, że nic nie da. Ale w końcu złapałam go za marynarkę i bezwiednie wyrzuciłam z siebie:

- Nie rób mi tego. Będę grzeczna, obiecuję. Proszę cię, tato.

Strząsnął z siebie moją rękę, ale trochę złagodniał.

- To dla twojego dobra, Emmo. Żebyś wiedziała, że coś takiego jak atak na pana Olivera nie może ujść na sucho.

- Ale przez resztę lata nie zrobiłam nic złego. Obiecuję, że już nigdy nie zrobię czegoś podobnego.

Zacisnął szczęki i skóra wokół jego oczu zbladła.

- Już to przerabialiśmy. Za późno na obietanki. Pytałem, dlaczego to zrobiłaś, i nie uzyskałem odpowiedzi. Nie zasługujesz na zaufanie. Tu na szczęście przemówią ci do rozumu. A teraz wyskakuj, Emmo, i nie patrz na mnie spode łba. To nie wypada.

Uniosłam dumnie podbródek i starałam się nie zwracać uwagi na szereg wgapiających się we mnie z okna na piętrze par oczu. Chociaż bałam się tak, aż mi się spociły ręce. Gdy szliśmy po starannie utrzymanym trawniku i po kilku schodkach wkraczaliśmy do kwadratowego holu, poczułam, że



pochłania mnie piekło. Wahadłowe drzwi z matowego szkła zamknęły się, a za nimi czekała na nas kobieta z małym terierem na ręku.

- To dyrektorka - powiedział ojciec i wyciągnął do niej rękę. Widać było, że widzą się nie po raz pierwszy.

- Wezwałam siostrę Ruth - odezwała się.

- To miłe z pani strony.

Miała odrażający, przypominający końskie rzenie głos. Pochyliłam głowę i przyglądałam się jej przez rzęsy. Była to damulka o śmiesznej figurze, czarnych włosach i cerze upstrzonej czerwonymi plamami. Przyglądała mi się zza okularów w metalowej oprawce.

Postawiłam torbę, żeby pogłaskać psa.

Popatrzyła na mnie.

- Nie dotykaj go. Siostry wszystko o tobie wiedzą i poleciłam im mieć cię na oku.

Zwiesiłam głowę.

- Kierownictwo będzie mi składało co miesiąc raport i zobaczymy, czy robisz postępy - dodał tata.

- To znaczy, że będę mogła wrócić do domu? - Zaczęłam dygotać i wstrzymałam oddech.

- To się okaże.

Ojciec podał dyrektorce moją walizkę. Przeszł z nogi na nogę. Przebywanie tu najwyraźniej go krępowało, ciągle spoglądał w stronę drzwi. A potem z uśmiechem przyklejonym do twarzy skinął kobiecie głową i wyszedł. Gwałtownie zamrugałam powiekami, usiłując powstrzymać łzy. Nie pocałował mnie w policzek, nie przytulił. Nie zrobił nic, żebym

poczuła się lepiej. Dyrektorka kazała mi zaczekać, obróciła się na pięcie i poszła do gabinetu.

Znalazłam w sobie tyle odwagi, by podnieść twarz i rozejrzeć się wokół. W kącie jakieś trzy damulki plotkowały zawzięcie. Miały na sobie bezkształtne tweedowe spódnice, granatowe rozpinane swetry, luźne białe bluzki i tłuste kostki wystające znad mocno zasznurowanych butów. Zauważyłam też dziewczynę stojącą z zawieszoną na szyi tabliczką, która głosiła, że ta uczennica jest leniwa. Gdy to przeczytałam, spojrzałam na jej twarz. Puściła do mnie oczko i ja odpowiedziałam jej tym samym.

Rozległ się świdrujący dźwięk dzwonka i damulki gdzieś sobie poszły.

- Kim one są? - ośmieliłam się zapytać dziewczynę z wywieszką. - To czyjeś ciocie?

- Owszem. Od angielskiego, francuskiego i muzyki.

- Nauczycielki? - wyjąkałam, mając w oczach eleganckie grono pedagogiczne koledżu Dzieciątka Jezus.

Znów rozległ się dzwonek, hol opustoszał i dziewczyna też sobie poszła. Zamknęłam oczy. Czy mój ojciec nigdy nie zrobił nic złego? Czy on nie może mnie zrozumieć?

Pierwszą noc w zimnym i brudnym budynku przespałam, włożywszy na siebie wszystkie ubrania, jakie miałam ze sobą. Okna były tu otwarte przez cały czas, przemarzłam do kości. Pod wąskim, luźno tkany płedem i cienką kołdrą trzęsłam się z zimna na metalowym łóżku. Kiedy nie mogłam zasnąć, wspomnianie mamy rozgrzewało mnie niczym talerz owsianki polanej złocistym syropem klonowym. Nie mogłam uwierzyć,

że minęło już dziewięć miesięcy, odkąd nie widziałam Malajów ani mamy. Myślałam o naszym domu i ogrodzie. O purpurowych bugenwillach, białych orchideach i pełzających jaszczurkach. Tam nigdy nie było zimno, nie to co tu.

W dzień w szkole było prawie tak samo lodowato jak w nocy. W kaloryferach coś pykało, ale w żadnej z sal nie robiło się od tego cieplej. Dziewczęta zbijały się w małe grupki, przeważnie mnie ignorując, z wyjątkiem dwóch wrednych, które zabrały mi tornister i do końca dnia gdzieś go ukrywały. W sobotę, po najdłuższym tygodniu w moim życiu, dostałam od babci pocztą tabliczkę czekolady Cadbury. Z tyłu przykleiła dwuszylingową monetę. Wiele dziewcząt przyjechało z daleka - niektóre przysłano tu aż z Indii, inne pochodziły z Worcestershire. Ale nie wszystkie miały tyle szczęścia, żeby im ktoś przysłał czekoladę, więc swoją poczęstowałam napiętnowaną wywieszką dziewczynę. Byłam zadowolona, że to zrobiłam, bo popatrzyła na mnie, wzięła się pod boki i uśmiechnęła od ucha do ucha.

- Jestem Susan Edwards - powiedziała.

Moja nowa przyjaciółka miała mocno kędzierzawe brązowe włosy, dość duży nos i głęboko osadzone piwne oczy.

Usiadłyśmy na stopniu na zewnątrz i podzieliłyśmy się czekoladą.

- Da się tu żyć? Jak? - spytałam.

- Jakoś się da, po prostu - odparła.

- A jedzenie?

Wzruszyła ramionami.

- Obrzydliwe. Ale nic na to nie poradzisz.

Miała rację. Wszędzie było czuć gotowaną kapustę. Tego dnia podano nam potrawkę z baraniny i ziemniaków. Mięso było żylaste, z grubą warstwą pływającego po wierzchu tłuszczu. Potem było ciasto – rozmiękły placek z dżemem posypany wiórkami kokosowymi.

– Po prostu musisz ciągle szukać okazji, żeby się pośmiać – powiedziała Susan. – Ja na przykład jestem adoptowana. A ty?

– Czasami też bym tak chciała.

Roześmiała się.

– Widzisz? Właśnie tak.

Zrobiłam specjalnie głupią minę.

Tata mnie nie odwiedzał, w zamian pisząc sztywne listy podpisywane „Twój ojciec”. Nigdy nie znalazłam w nich wzmianki, że im mnie brakuje. Nie wspominał też nic o listach z Malajów ani o panu Oliverze, jakby ten człowiek po prostu przestał istnieć, chociaż ja często miałam przed oczami strużkę krwi spływającą mu po szyi. Listy taty wyrażały wyłącznie jego aprobatę bądź dezaprobatę, zależnie od tego, co mu o mnie doniosły zakonnice. Ale jeden list różnił się od pozostałych.

Był jasny mroźny dzień i już miałam nadzieję, że pozwolą mi w czasie przerwy na lunch pobawić się na dworze, ale one kazały mi siąść w sekretariacie i go czytać, a sekretarka przyniosła mi do picia szwajcarską odżywkę Ovaltine i poczęstowała kruchym ciasteczkiem z dżemem. Z tego powodu zaraz pomyślałam, że to musi być ważny list. Przez chwilę się tym martwiłam i bałam się otworzyć kopertę, ale sekretarka ciągle lypała na mnie okiem, więc musiałam to

zrobić i zrobiłam. W środku był pojedynczy arkusz papeterii marki Basildon Bond i właśnie nadgryzłam ciasteczko, gdy przeczytałam, że umarł mój dziadek. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, ale gdy już to do mnie dotarło, zrobiło mi się naprawdę żal. Nie miałam z nim dobrych kontaktów, a teraz – skoro nie żyje – nie da się już tego naprawić.

Myślałam o jego pokrytej plamami wątrobowymi twarzy starego mężczyzny, o bujnej białej czuprynie i o włosach wyrastających mu z nozdrzy. Zrobiło mi się smutno i źle się poczułam. Sekretarkę dokądś wywołano, posłano więc po siostrę Ruth, bladą zakonnicę, żeby mnie popilnowała. Miała łagodne szare oczy i dość płaską twarz, ale gdy się uśmiechała, robiła się prawie piękna. Nie gderała jak inne nauczycielki. Była miła i miało się wrażenie, że naprawdę jej zależy, że stoi po twojej stronie.

Wzięli mnie do izby chorych i na drugi dzień, gdy się obudziłam, ona pochylała się nade mną. Światło wpadało do środka przez wysokie okna.

- Co mi jest?

- Grypa.

- Na Malajach nigdy na to nie chorowałam – wychrypiałam.

- Bo to typowo brytyjska choroba. Zawdzięczamy ją tutejszej pogodzie – powiedziała siostra z uśmiechem. - Usiądź na chwilę. Poprawię poduszki, a potem cię umyję.

Szorstkie mydło, jedyne, jakiego pozwalano nam używać w czasie rannego i wieczornego mycia od stóp do głów, tylko pogorszyło mój stan, ale jakoś to zniosłam, nie chcąc jej robić przykrości.

- Zaraz poczujesz się lepiej - powiedziała. - Obiecuję.

Sama okropnie kasłała. Bładła przy tym i jej ciałem wstrząsały drgawki.

Spytałam, czy też na to choruje.

Pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego się ciągle trzęsę?

Przykryła mnie dodatkowym kocem i usiadła obok.

- Jak było na Malajach? Często się zastanawiam, jak by to było - wyjechać gdzieś na wschód, na misję.

Zakrztusiłam się i poczułam, jak mi wilgotnieją oczy.

- A może opowiesz mi o swojej matce? - Siostra Ruth zamoczyła kawałek flaneli w letniej wodzie, wycisnęła i położyła mi na czole, po czym siedziała cicho, złożonywszy splecione ręce na kolanach.

Ciekawa byłam, dlaczego zapytała o mamę, i zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Ale byłam zadowolona, że spytała, bo nigdy nie miałam okazji porozmawiać z kimkolwiek o mamie.

- Jest piękna i ma na imię Lydia. - Zastanowiłam się przez chwilę. - Bez przerwy śpiewa i szyje świetne kostiumy. To znaczy szyła. Moja siostrzyczka Fleur przebrała się za Miss Muffet, a ja za bałwana.

- To musiało być zabawne.

- Tak. Zdobyłam nagrodę. I mama z tatą też zdobyli nagrody - byli przebrani za Piotrusia Pana i kapitana Haka. Mama nauczyła się szyć w klasztorze. Ale tam było jej smutno.

- Dlaczego?

- Bo nigdy nie poznała swojej prawdziwej matki, tylko jej imię, Emma. Zostałam tak nazwana na jej cześć.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- A wiesz, co się stało z jej matką?

- Nie. Mama tak naprawdę urodziła się w klasztorze, rozumiesz? Chodziła tam do szkoły i wychowywały ją zakonnice.

- Wiesz może, jaki to był klasztor?

- Nie jestem pewna. Możliwe, że Świętego Józefa. A może Świętego Piotra?

Musiałam mieć bardzo posępną minę, bo siostra Ruth pocałowała mnie w policzek.

- Jeśli dobrze zapamiętałaś, to Święty Józef jest całkiem niedaleko stąd. Z tym że siostry prowadzą tam dom rekolekcyjny, nie szkołę. A teraz, jak mi się wydaje, dosyć rozmów. Musisz odpocząć.

Spojrzałam jej w oczy i zrozumiałam, że w siostrze Ruth znalazłam przyjaciela.

Przydzielono mi ją jako wychowawczynię, a poza tym - jeśli była zdrowa - uczyła nas religii i historii. Jeśli zaś była chora, wyglądała na chudą, słabą i nerwową, miała czerwone policzki i oczy jej błyszczały. W czasie choroby siostrę Ruth zastępowała pani Wiseman. Była to karzełkowata walijska dama o czarnych oczach, prostych szpakowatych włosach i szczeciniastym podbródku. Miała czerwony nos i tak silny akcent, że dopiero po kilku tygodniach zaczęłam ją rozumieć. Mając przy sobie Susan Edwards i siostrę Ruth, byłam szczęśliwa, że już nie jestem taka samotna. Żadna z nich nie była wprawdzie mamą, ale jej nie mógłby zastąpić nikt inny.

## 20

Lili była jak tajemniczy kwiat. Nawet na trzeźwo Lydia nie mogłaby się z nią równać, a dzisiaj była akurat trzeźwa. Czekając na Jacka, usłyszała śmiech i podeszła do okna. Channa bujała Maza na huśtawce, którą Jack zawiesił na najmocniejszej gałęzi w ogrodzie. Z początku pchała ją lekko i Lydia podejrzewała, że to nie może satysfakcjonować Maza.

- Wyżej, Channa, wyżej - piszczął.

Channa za nic miała jego prośby, przeszedł więc do krzyku.

- Wyżej, wyżej!

Uległa mu, popychała huśtawkę coraz mocniej, a on piał z zachwytem.

- Jeszcze, jeszcze!

- Koniec - powiedziała i odsunęła się.

Rozdrażniony zaczął szarpać liny i zginać nogi, żeby samemu rozhuścić się bardziej, a w końcu z rykiem zsunął się z siodełka.

- Uważaj, bo huśtawka uderzy go w głowę! - krzyknęła Lydia.

Channa podbiegła i przytrzymała chłopca przy ziemi.

- Wyczołgaj się powolutku - powiedziała mu i wyciągniętą ręką zatrzymała huśtawkę.

Mały wypełzł i usiadł na ziemi, z troską oglądając sobie kolano.



Channa przycupnęła obok.

- To tylko małe skaleczenie - powiedziała i pocałowała, żeby się szybciej zagoiło.

Gdy Maz wstał, zaczął chodzić po ogrodzie z koszem. Lydia patrzyła, jak zbiera małe kamienie i kawałki żwiru. Spojrzał w jej kierunku.

- To dla obrony - wyjaśnił, uśmiechając się lekko, i zaczął układać kamyki dookoła drzewa. - Teraz ta wstrętna huśtawka nie zrobi mi nic złego.

Jack wrócił spóźniony. Stał w progu, wziął się pod boki i zachwiał. Nieznośny zapach dżinu z jego ust wywołał wspomnienie tego wieczoru, kiedy postanowiła przyznać się Alecowi do romansu.

Siedzieli na zadaszanej werandzie w oparach silnego środka odstraszającego owady. Jeszcze teraz czuła - obok dżinu - jego woń, lekką bryzę i zapach kurzu w powietrzu. W oddali słychać było postukiwanie lelka i szum morza. Upinała sobie włosy na czubku głowy, szukając jednocześnie słów. Alec w kraciastym szlafroku wyglądał na odprężonego. Opowiadał o swoim hinduskim asystencie, który poprzednio piastował wyższe stanowisko i do nowych zadań zupełnie się nie przykładał. Gdy skończył, wzięła głęboki wdech.

- Alec, muszę ci coś powiedzieć.

Zapadła cisza. On unikał kontaktu wzrokowego i poczuła, że nie może liczyć na żadną taryfę ulgową z jego strony.

- Przykro mi, ale spotykam się z kimś...

- Myślisz, że o tym nie wiem? - wtrącił szybko. - Musisz mnie uważać za straszego głupka.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem, jak rozmawiasz przez telefon. Zwracałaś się do rozmówcy per „kochanie” i to nie byłem ja.

Wysyczał imię Jacka.

- Kocham go, Alec, przykro mi.

Arogancja znikła z jego twarzy, a ból w spojrzeniu odebrał jej głos. Świadoma, że go zawiodła, zarumieniła się. Nie trzeba było więcej słów.

Po chwili głośno zaczerpnął powietrza.

- Seks to nie miłość, Lydio. Po barach widuje się całe mnóstwo pijanych jak bela plantatorów.

- Alec.

- I ich dziwek. W futrach, ale bez majtek pod spodem.

Wzdrygnęła się, gdy zaczął używać koszarowego żargonu rodem ze służby w RAF. Zgryzł w zębach odłamek kostki lodu, a na jego szyi dała się zauważyć pulsująca żyła.

- Fetor burdelu. Jack jest taki sam.

Serce zaczęło jej szybciej bić w piersi. To nieprawda.

- Spierdoliłaś wszystko, Lydio. Spójrz prawdzie w oczy.

Wstrzymała oddech, nagle zapadła cisza.

- Oczywiście będziesz mógł się widywać z dziewczynkami - odezwała się.

- Wyobrażasz sobie, że cię puszczę do tego plantatora kauczuku?

- Nie masz wyboru - najeżyła się.

- Doprawdy? Tak mogłoby być przed wojną, ale teraz, kiedy grasują mordercy, partyzanci... Oni potrafią zawiesić człowieka na linie i rozciąć mu brzuch maczetą. Tego chcesz?

Zrobiło się jej niedobrze. Widziała, jak ogrodnik ścina maczetą wysokie trawy.

Potarł szczękę palcem, zaczął mu tam drgać mięsień. Z wysuniętym do przodu podbródkiem powiedział:

- Tak czy owak po takim zafajdanym romansie nikt nie przyzna ci opieki nad dziećmi.

- Jack się nami zajmie. Wrócimy do Anglii.

- A on zerwie swój kontrakt?

- Ma oszczędności, zapłaci odszkodowanie.

Alec zamilkł na chwilę.

- Nieważne. I tak nie dostaniesz kurateli nad dziećmi.

- Pójdę do pracy.

- Bez wykształcenia, bez doświadczenia. Bez stałego adresu, bez środków utrzymania. I winna rozpadu małżeństwa. Zdejmij te swoje różowe okulary.

- Przepraszam. Nie zrobiłam tego, żeby cię zranić. Tak się po prostu stało.

- Nie, Lydio - rzucił, jego grdyka wędrowała to w górę, to w dół. - Takie rzeczy się nie zdarzają „po prostu”. To był twój wybór.

- Chciałam być z tobą szczerą. Wiesz, jak było między nami. Ty nie potrafisz być szczęśliwy.

- Szczęście! Tu nie chodzi o szczęście, Lydio. Tu chodzi o obowiązek.

Miała nadzieję przemówić mu do serca, ale widząc, jak się odwraca i łapie za barierkę, zrozumiała, że to niemożliwe. Alec nigdy nie mówił o uczuciach. Odwrócił się do niej z pobielającymi nadgarstkami.

Wysłuchiwała się w odgłosy nocy.

- A jesteś szczęśliwy? - zapytała.

Nie mrugnawszy okiem, twardo wpatrywał się w nią stalowym spojrzeniem. Nie odpowiedział na jej pytanie i zacisnął usta.

- A teraz stoisz przed kolejnym wyborem - powiedział. - Zostajesz albo - jeśli tak zdecydujesz - odchodzisz. Ale bez Emmy i Fleur. Wybór należy do ciebie.

Z trudem powstrzymywała łzy. On nie może jej tego zrobić, prawda?

- I nie popełnij błędu, Lydio. - Zamilkł, żeby przetrzeć sobie okulary chusteczką. - Nie pomył się, bo inaczej już nigdy nie zobaczysz żadnej ze swoich córek.

Oszołomiona skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała się obronić przed ciosem. Po czym z trudem przełknęła ślinę i wyprostowała się.

- Nie możesz tego zrobić.

- Owszem, Lydio. Dowiedz się, że mogę. Nalej sobie jeszcze dżinu, to ci ułatwi decyzję.

Rozwścieczona jego tonem porwała ze stołu butelkę dżinu i cisnęła nią o balustradę. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

Wciągnął w nozdrza zapach rozlanego alkoholu.

- Czyli rozumiem, że zostajesz?

Spojrzała na jego zmęczoną twarz. Nie miała wyboru i Alec dobrze o tym wiedział. Był pewien, że przywiązana do dzieci jak każda matka nigdy ich nie opuści. Ze ściśniętym sercem myślała o Jacku. O jego złotawym ciele, o jego żywotności

i temperamentie. Nie oczekiwała miłości, nie wyobrażała sobie, że jej serce będzie chciało na sam jego widok wyskoczyć z piersi. Nie obchodziło jej nawet, czy Alec ma rację, czy Jack się zabawia za jej plecami, czy ją omamił i teraz zwodzi.

Położyła głowę na oparciu krzesła.

- Ty ze mną w ogóle nie rozmawiasz, Alec. Nigdy nie wiem, co naprawdę myślisz.

- A więc tu chodzi o rozmowę? To robiłaś z Jackiem?

Błyskawicznie usiadła prosto. Wiedziała, że nie powinna się teraz odzywać, ale nie mogła się powstrzymać.

- Nie, Alec, ja po prostu po raz pierwszy w życiu pieprzyłam się i miałam z tego cholerną przyjemność.

Spojrzeli po sobie.

- Nic z tego, Lydio. Nie kupuję tego. Kiedy za mnie wychodziłaś, wiedziałaś, czego się podejmujesz.

- Wtedy mnie potrzebowałeś.

- I co z tego? Teraz też cię potrzebuję.

- Do niańczenia dzieci.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do niej tyłem.

- Kiedyś byliśmy szczęśliwi, Lydio. Ale tobie brak cierpliwości. I dlatego pakujesz się w kłopoty.

Przyglądała się jego plecom. Pasjonował się uprawianymi sportami i chyba się sobie podobał. Pewnie w końcu przeboleje, że ktoś zranił jego dumę. Podszedł do niej z wyciągniętą ręką, ona jednak spuściła wzrok, zbyt zagniewana, żeby na niego spojrzeć.

- Zbierz się jakoś do kupy - powiedział. - Nie chcę niepokoić

dzieci. Jutro rano mamy być na ślubie.

Dotarło do niej, że Jack ciągle stoi w progu i przygląda się jej z uwagą. Ma czerwone policzki. Tamta kłótnia z Alekiem długo nie dawała o sobie zapomnieć. To jej wina. Jest winna wszystkiemu, co się stało. Gdyby nie wdała się w romans z Jackiem. Gdyby nie odebrała telefonu od Suzanne. Może mieć żal wyłącznie do siebie samej.

Spojrzała na Jacka.

- Myślałam, że z ciebie facet z jajami.

Popatrzył na nią niepewnie.

- Lydio?

- Alec miał rację. Ty nie odróżniasz pewnych rzeczy, prawda?

W słabym świetle jedynej żarówki wydawał się za chudy. Bardzo zmarniał.

- O co ci u licha chodzi?

Zaczerwieniła się, ale nie odpuszczała, wpatrując się w jego zdumioną twarz.

- Miłość i seks. Jaka jest między nimi różnica?

Zmarszczył brwi.

- Aha, więc teraz to moja wina.

- Jak mogłeś to przede mną ukrywać?

Nagle go olśniło.

- Ach, chodzi ci o Lili. Tak? No cóż, ty wróciłaś do Aleca, kochana staruszko. Nasz związek nie miał przyszłości. Dobitnie mi to uzmysłowiłaś.

- A w czasie trwania naszego związku? Pragnęłaś mnie? Czy jej?

- Lydio, proszę cię. - Pokręcił głową. - Zależało mi na Lili. Ludzie robią różne rzeczy. Popełniają błędy.

Podeszła i stanęła z nim twarzą w twarz. Alec dopiero by triumfował, wiedząc, że Jack cały czas miał jeszcze jakąś kobietę. Wstał i wyciągnął do niej rękę, ale ona zamiast podać swoją, wymierzyła mu policzek.

Potarł sobie szczękę.

- Chcesz mnie sprowokować? To nie moja wina.

Miał rację. Dzieci nie żyją i to jest kara za jej grzechy.

- Myślałam, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który mnie rozumie. Że jesteśmy stworzeni, żeby być razem.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Do jasnej cholery, podejdź tu.

Stała w miejscu, wyteżając wzrok.

- Wzięłaś ją z burdelu?

Bezradnie rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

Na wpół przytomna czuła, jak Jack unosi ją i niesie do łóżka. Chciała, żeby to się już skończyło. Położył ją, usiadł na brzegu łóżka i schował twarz w szerokich dłoniach. Gdy na niego spojrzała, dostrzegła smugę księżycowej poświaty na jego zapadniętych policzkach. Wyciągnęła rękę i obrysowała palcem świetlisty kontur. Co z niej za suka, nie potrafi liczyć się z jego uczuciami.

Zdjął z niej ubranie i ułożył do snu.

Poczuła jednocześnie złość i wstyd, że pozostała przy życiu. Leżała z otwartymi oczami, przywołując twarze córek, wyobrażając sobie, że to wszystko była tylko koszmarna pomyłka, że one wcale nie umarły. To przekonanie i wątpliwości narastały w niej, aż w końcu szturchnięciem

obudziła Jacka.

Przetarł oczy, usiadł i skrzywił się.

- Lyddy, musisz się wyspać. Oboje musimy. Która godzina?

- Mógłbyś jeszcze raz pojechać do Ipoh? Poproś, niech ci pokażą dowody, że dziewczynki i Alec tam byli.

- Lydio, musisz z tym skończyć - westchnął. - Słyszałaś, co powiedział George. Oni tam byli. Nikt ich od tamtej pory nie widział ani nie słyszał. Nie można sporządzić listy ofiar pożaru, bo wszystkie papiery meldunkowe spłonęły. Dobrze wiesz, że nikt nie ocalał.

Lydia pokręciła głową.

- Ja po prostu nie potrafię w to uwierzyć. Powiedz mi dokładnie, co ci powiedzieli.

- Szczerze?

- Tak.

- Powiedzieli, że szczątkami jeszcze tej samej nocy zajęły się zwierzęta.

Zakryła usta dłonią.

- I nawet George twierdzi, że to szukanie wiatru w polu.

Zwiesiła głowę, zadrzała na wspomnienie żywiołowego śmiechu Emmy, zadartego noska i dołeczka w brodzie Fleur, i pozwoliła sobie na cichy szloch. Zwariowałam, pomyślała, oszalałam z rozpacz. A może sama już nie wiem, kim naprawdę jestem?

Nad ranem się kochali. Przez godzinę leżała wpasowana w niego i pochłonięta wrażeniami. Drżała, dotykając jego skóry jak za pierwszym razem, a gdy w nią wszedł, przeszył ją dreszcz rozkoszy i ulgi. Oddawała się uczuciom, które nie



miały nic wspólnego z żałobą. Całym sercem pragnęła nauczyć się być szczęśliwą z Jackiem. Położył się, nie biorąc prysznic, więc teraz przesuwając dłonią po jego włosach, znajdowała w nich lepkie niteczki lateksu.

- Dzięki, Jack - powiedziała. - Postaram się.

Po południu znad gór zaczęły napływać nabrzmiałe czarne chmury. Usłyszała dziecięce głosy. To Maz bawił się na dworze w berka z Burhanem. Gdy nadciągnęła burza, Lydia zawołała ich obu do środka. Czytała im po angielsku, nieco przesadnie radosnym głosem. Maz siedział przy niej na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Mimo iż od czasu do czasu mierzwiła mu pieszczotliwie czuprynę, zdawała sobie sprawę, że przy niej dzieciak staje się milczący. Nie komentował już na głos wszystkiego, co zobaczył, nawet liczył po cichu. Drugi chłopiec wiercił się i w końcu poszedł do swojej matki.

Wtedy Maz też wstał.

- Pójdę z nim, pani - oznajmił.

Zrozumiała, że przez nękające ją wizje jej dziewczynek nieco mniej uwagi poświęcała Mazowi i nie słuchała go tak uważnie jak dawniej. Chciała odzyskać jego zaufanie.

Gdy tylko wichura ucichła i wrócił spokój, drobne figurki córeczek zaczęły blaknąć w jej pamięci, aż w końcu znikły bez śladu. Wyszło słońce i wszystko się skończyło. Przynajmniej na razie. Pojawiła się szansa powrotu do zdrowia. Wątła i ulotna, ale zawsze. W mozolnej naprawie zrujnowanego życia Lydii towarzyszył Maz. Przyszedł i wskazał palcem nektarnika wkłuwającego się do wnętrza kwiatu. Metaliczne niebieskoczarne czoło ptaka połyskiwało, gdy wisząc

w powietrzu, spijał nektar. Lydia uśmiechnęła się do dziecka.  
Będzie się starała. Musi.

## 21

Na Malajach rankiem budziła mnie dochodząca z dżungli ostra zwierzęca woń. Tutaj – zapach przypalonej owsianki. Na Malajach wspinałyśmy się po tropikalnych drzewach i chowałyśmy przed demonami, które zasysają ze świata światło. Tutaj w nieskończoność przepisywałam linijki tekstu, wyobrażając sobie przy tym, że jadę do domu w Malakce, wymijając czające się po szczelinach potwory, co odgryzają palce u stóp każdemu, kto na nie nadeptnie. Przestałam już pytać tatę, kiedy przyjedzie mama. Gdy byłam ciekawa, od kogo przyszedł list z Malajów, on zawsze zmieniał temat albo mówił, że to nie mój interes. Zrezygnowałam z pytania, bo jego to tylko złościło, ale postanowiłam być czujna, gdy nadejdzie kolejny list.

Miałam już teraz lat trzynaście i pół i w ciągu spędzonego w szkole roku dziesiątki razy za karę przepisywałam ten sam tekst. Zazwyczaj dla pani Wiseman. Chociaż i tak daleko mi było do Susan, która biła w tym rekordy. Ciągle się przyjaźniłyśmy, choć czasem kłóciłyśmy się jak głupie.

„Muszę bardziej uważać na lekcjach i nie patrzeć za okno. Muszę bardziej uważać...”. Tak mi upływała przerwa obiadowa. Tym razem wyrzucono mnie z zajęć praktycznych za to, że posypałam mąką kędzierzawe włosy Susan. Jej to nie przeszkadzało, a ja i tak nie cierpiałam gotować. Bezmyślnie

narysowałam u dołu kartki małą twarzyczkę. O nie! Pani Wiseman każe mi to wszystko pisać jeszcze raz. Większość nauczycielek była w porządku, ale ona mnie nie lubiła. Mój ołówek miał na drugim końcu twardą gumkę, więc zaczęłam nią wycierać uśmiechniętą buźkę. Niespodziewanie weszły dziewczęta, zagapiłam się i zrobiłam w tym miejscu dziurę.

Były we trzy, wszystkie starsze ode mnie, ale znałam tylko jedną. Nie, tylko nie ona, pomyślałam. Miała na imię Rebecca i była jedną z tych, które schowały mi tornister, kiedy pierwszego dnia przyszłam do szkoły. Miała nogi jak kłody i należała do tych nielicznych – obok mnie – które mieszkały stosunkowo niedaleko. Plotka głosiła, że w szkole podstawowej podbiła oko nauczycielowi. Nieważne, na mnie się na pewno uwzięła.

Chwyciła moje kartki, a jedna z jej przyjaciółek złapała mnie za włosy, przechyliła moje krzesło i pociągnęła mnie do tyłu. Druga przytrzymała mnie, gdy usiłowałam tamtą kopnąć.

- Puść mnie, krowo! - krzyknęłam, łapiąc napastniczkę za łydkę.

Zaśmiała się złośliwie i przechyliła krzesło jeszcze bardziej do tyłu, aż pisnęłam.

- Ha! - krzyknęła. - Mam cię.

Broniłam się, aż nagle zobaczyłam, że Rebecca coś bazgrze na moich kartkach. Udało mi się wyrwać trzymającej mnie dziewczynie i próbowałam odzyskać moją pisaninę, ale Rebecca bez trudu mi się wywinęła.

- Nie rób tego - błagałam. - Tata mnie zabije.

- Mówi się trudno, a jeśli komuś naskarżysz, znów cię

dopadniemy – odezwała się jedna z pozostałych.

– Bez Susan nie jesteś już taka odważna, co? – Rebecca roześmiała się. – A tak przy okazji, ona przyjaźni się z tobą, bo nikt inny jej nie lubi.

Przerwał im dzwonek kończący przerwę obiadową. Przeszły kilka ławek, pokrzyczały trochę, wymachując rękami, i wybiegły z klasy, trzaskając drzwiami. Słyszałam ich głosy i dudniące po korytarzu kroki, nawet gdy już były daleko. Kręciło mi się w głowie, znów wyobraziłam sobie, że jestem na morzu. Wszystko wokół huczało i kołysało się na boki.

Doszłam do siebie i spojrzałam na to, co zostało z mojej pracy. O nie! Na kartce widniały – całkiem zresztą nieźle narysowane – części intymne. Gdybym nie była tak wystraszona, zapewne by mnie to rozśmieszyło. Niestety, teraz tylko szumiało mi w głowie. Nie wiedziałam, co robić. Pozostało mi chyba jedynie podrzeć to i zacząć przepisywać od początku. Rozejrzałam się po sali. Nigdzie nie było wolnych kartek papieru. Co jest gorsze: praca podarta na drobne kawałki czy te obrzydliwe rysunki? Zaczęłam drzeć papier, szło mi to sprawnie. Fragmenty gołych pośladków, piersi i jednego czy dwóch penisów spłynęły na podłogę niczym konfetti.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Karłowata pani Wiseman wkroczyła do klasy z kwaśną miną. Serce stanęło mi w piersi, chociaż jej gniew nie mógł się równać z wściekłością mojego ojca.

Wzięła się pod boki, czarne oczy były teraz ogromne.

- Co ty sobie wyobrażasz? Daj mi to natychmiast.

Wyciągnęłam w jej kierunku jedyną nie do końca podartą kartkę i oblał mnie pot.

Wyrwała mi z ręki skrawki papieru i przysięgłabym, że włosy na jej brodzie zaczęły nagle rosnać.

Szybko przebiegłam w myślach sposoby obrony.

- Ja... ja... ja pomyślałam sobie, że niezbyt ładnie to napisałam, i właśnie chciałam zacząć od początku.

- Co za bezczelne kłamstwo. Przecież widzę, że tu są jakieś rysunki.

Zamrugła powiekami, cofnęła się i skrawki sfrunęły na podłogę. Jej krótkie ciało chwiała się, a proste włosy podskakiwały w górę i w dół, gdy schylała głowę, trzęsąc podgardlem. Każda część jej ciała zdawała się poruszać niezależnie od całej reszty. Przez moment myślałam, że dostała jakiegoś ataku i że zaraz zacznie toczyć pianę z ust, a ja zdążę zebrać wszystkie kawałeczki i uciec. Ale nagle zacisnęła ręce i z tym swoim bardzo silnym akcentem zaskrzeczała, jakby się dławiała:

- Marsz do dormitorium. Won! Policzymy się później.

Wybiegłam z klasy. Zaraz poślą po ojca. Mogę oczywiście wszystko wyjaśnić, opowiedzieć, jak było, ale wtedy te dziewczuchy znowu się do mnie dobiorą. A poza tym po czymś takim ojciec już nigdy nie pozwoli mi opuścić tej szkoły.

Zamiast do sypialni pobiegłam korytarzem na sam koniec budynku i weszłam w drzwi z napisem „pomieszczenie prywatne”. W składziku złapałam paczkę herbatników Rich Tea i schowałam się z nią w ciemnej wnęce koło tylnego

wyjścia. Na dźwięk zbliżających się kroków jednej z pomocy kuchennych wstrzymałam oddech. Krótka przerwa na papierosa? Błagam, nie. Jeśli zechce wyjść na dwór, zauważy mnie. Spraw, Boże, żeby skręciła do magazynu.

Zawołał ją ktoś z personelu kuchennego. Zatrzymała się, odwróciła na pięcie, zawahała.

- Idę przynieść masło! - odkrzyknęła.

- Akurat! Idziesz ukradkiem puścić dymek. Wracaj do roboty.

Gdy drzwi kuchni zamknęły się, odetchnęłam z ulgą i wymknęłam się na dwór.

Musiałam przejść przez teren, nie będąc widzianą z okien wychodzących na tę stronę budynku. Nie było to łatwe, bo zazwyczaj dziesiątki par znudzonych oczu śledziły to, co się dzieje w ogrodach, w poszukiwaniu tematu do plotek. Ich ulubionym bohaterem był nowy ogrodnik. Był precudny, z mocno kręconymi ciemnymi włosami przypominał Cygana. Starsze dziewczyny śliniły się na jego widok, ale ktoś jakoby widział go idącego pod rękę do kina z naszą francuską *mademoiselle*. My, młodsze, wychodziłyśmy z siebie, żeby ich przyuważyć i utrzyć tym samym nosa starszym. Rozejrzałam się po trawniku, na szczęście po tej stronie akurat nie pracował. Powinnam teraz poczekać na dzwonek kończący lekcję i pobiec co sił w nogach.

Miałam zamiar dotrzeć do drzew, wśród których znalazłyśmy z Susan kilka kryjówek, na wypadek gdybyśmy się chciały wymigać od biegów przełajowych. Były tam wydrążone pnie drzew i mnóstwo gałęzi, które układałyśmy w sterty.

Gdyby mi się udało dobiec do jednej z nich, mogłabym się ukryć i pomyśleć, co dalej.

Trzeba było iść w lewo, ścieżką między krzewami róż prowadzącą na tyłach szkoły do lasu. Róże nie stanowiły dostatecznej osłony, ale to była moja jedyna szansa.

Zatrzymał mnie męski głos. Obróciłam się i ukryłam herbatniki w fałdach mundurka. Przynajmniej raz jego workowaty krój na coś się przydał. A mężczyzną, który coś do mnie mówił, był wracający właśnie do swojej furgonetki piekarz.

Rozległ się dzwonek i powinnam zacząć uciekać, ale on zaproponował mi lukrowaną bułeczkę.

- Tak, poproszę - powiedziałam. - Schowam ją na później. Dziękuję.

I jak szalona zaczęłam gnać, nie oglądając się za siebie.

W lesie znalazłam sobie miejsce pod wielkim dębem, gdzie pożarłam słodką bułkę, decydując się zachować herbatniki na później. Nie miałam pojęcia, co dalej robić.

Gdy zrobiło się ciemno, między drzewami zaczęli się kręcić ludzie z latarkami, którzy wołali mnie po imieniu. Przeszli dalej i drzewa zaczęły się kołysać. Pomyślałam o mężczyznach polujących na krokodyle i nurkujących w poszukiwaniu langust. Wyobrażałam sobie dżunglę i bandytów ukrywających się pod listowiem, jak ja w tej chwili. Przypomniała mi się Malakka i zapach smażonych ryb, a także nasz stary ogrodnik, który zakopywał miseczki ryżu w ofierze duchom ziemi. A najbardziej ze wszystkiego pragnęłam teraz być z mamą. Przykryłam się większą ilością gałązek i liści, przysłuchując



się szumowi wiatru.

Chroniły mnie dęby i wiązy, a także zapach wilgoci i próchniczej ziemi, ale nagle usłyszałam drapanie jakichś nieznanych stworzeń i przypomniałam sobie o *hantu hantuan*. Nigdy przedtem ciemność nie przerażała mnie aż tak bardzo. Zwinęłam się w kłębek i zaczęłam marzyć o kubku gorącej czekolady i grzance z jajecznicą.

Przedostanę się na jakiś statek i na gapę wrócę na Malaje – oto, co zrobię. Odnajdę matkę. Ale jestem tylko dzieckiem; co ja mogę? Veronica odnosiła się do mnie przyjaźnie, ale nawet ona nie będzie chciała mnie przemycić na statek płynący do kraju ogarniętego wojną. Stłumiłam szloch. To niesprawiedliwe, pomyślałam. Przecież nie zrobiłam nic złego.

Następnego ranka do lasu wkroczyli tata, dyrektorka szkoły i dwóch policjantów. Byłam całkowicie przemoczona i nawet ucieszyłam się na ich widok.

– Wychodź, Emmo, wiemy, że tam jesteś. – Tata mówił stanowczym i opanowanym głosem, ale ja czułam, że w głębi duszy aż się skręca ze złości.

– Wyjdź, kochana. Nic ci nie grozi. Dobrze zrobisz, wychodząc teraz – powiedział jeden z policjantów nieco miłszym głosem.

– Emmo Cartwright, pokaż nam się natychmiast. – To był głos dyrektorki.

Zawahałam się, ale kiedy zauważyłam, że najbliżej mnie znajduje się ten miły policjant, odgarnęłam liście i patyczki i wyszłam. Stojąc na trzęsących się jak galareta nogach, zawołałam:

- Tu jestem!

Wtedy nogi się pode mną ugięły i nie wiem, co się działo dalej.

Obudziłam się w izbie chorych i zobaczyłam ojca siedzącego w drugim końcu pokoju. Miał srogą minę i wyglądał na zmęczonego. Doktor mówił mu coś po cichu na temat mojego ciśnienia.

- Ma niebezpiecznie niskie. Czy w rodzinie były jakieś choroby układu krążenia?

- Ojciec zmarł na wylew - odpowiedział mu tata.

- A inni jej dziadkowie?

Przez rzęsy dostrzegłam, że ściąga usta i kręci głową.

- Żona wychowywała się u Świętego Józefa. Nie znała swoich rodziców.

Chciałam im coś powiedzieć, ale nie mogłam otworzyć ust. Zaczęli rozmawiać szeptem, a ja trochę odpłynęłam. Pytania, odpowiedzi, gryzmoły. Pielęgniarka krzątała się, przestawiała jakieś przedmioty, sprzątała.

- Może pan nam podać aktualny adres żony? - spytał doktor.

Słyszałam, jak ojciec gwałtownie zaczerpnął tchu, zamilkł na chwilę, po czym odpowiedział bardzo cichym głosem:

- Obawiam się, że matka Emmy porzuciła rodzinę. Uznano ją za zaginioną, prawdopodobnie nie żyje.

Sufit zaczął się na mnie walić, a ja gdzieś się zapadłam. Nie widziałam nic poza świetlnymi kręgami wokół okien. Światło pulsowało na żółto i pomarańczowo, robiło się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu stało się maleńkim punkcikiem. W pokoju zapanowała czerń. Ktoś spuścił mnie do ciemnej

studni, z której wyciągałam ręce po pomoc, walczyłam, rozpaczliwie pragnąc znowu dojrzeć światło w oknach. Zobaczyłam je na moment i wtedy usłyszałam mój głos wołający:

- Mamusiu, mamusiu, pomóż mi!

Ale i ten głos, i ja sama byliśmy daleko. Na Malajach, na wyspie, gdzie wbiegałyśmy do morza i z niego wybiegałyśmy, a mama siedziała, trzymając pod pachami butelki lodowato zimnego piwa, żeby znieczulić ból po poparzeniu przez meduzę. Piasek był biały i drobny, miękki, mięciutki piaseczek, a woda ciepła jak w wannie. Było jasno jak w dzień i wszystko wydawało się całkiem rzeczywiste.

Gdy dotarło do mnie, że naprawdę jestem zupełnie gdzie indziej, to był szok. Kręciłam głowę z boku na bok, starając się odkryć sens tego wszystkiego. Gdzie ja byłam? Co się wydarzyło? Zobaczyłam dwa worki z płynem, do których przymocowano cienkie rurki prowadzące do moich rąk. Kiedy już wszystko skapało, o ile dobrze pamiętam, dolewano więcej. Mamusiu, mamusiu, mamusiu. Łzy spływały mi po policzkach i już wiedziałam, że złamano mi serce.

Wrzesień 1956. Po półtora roku od pożaru pewnego dnia po prostu powróciła nadzieja. Niczego niepodświadająca Lydia stała pośrodku salonu, spojrzała przez okno i podeszła do niego. Najpierw poczuła apetyt. Odwróciła się i zobaczyła przebiegającą po suficie szarą jaszczurkę. Śledziła ją wzrokiem, dopóki ta nie zniknęła w jakiejś szczelinie, po czym bezwiednie sięgnęła po leżące na kawowym stoliku mango. Przesunęła palcem po lekko chropowatej powierzchni stolika i powąchała owoc, żeby stwierdzić, czy jest dojrzały. Skórka ugięła się pod opuszką kciuka, a środek wyglądał na jędrny. Doskonale.

W sypialni położyła mango i otworzyła dolną szufladę komody. Rzeczy Lili już tam oczywiście nie było. Porządnie złożone leżały za to jej, Lydii, gładkie i zwyczajne bluzki i spódnice. Tęskniła do swoich dawnych strojów, delikatnej hinduskiej surówki jedwabnej, kolorowej satyny, wdzianek rodem z haremu. Serce ścisnęło się jej na ich wspomnienie. Ona razem z dziewczynkami kupująca tkaniny. Przesuwa palec po różowej satynie w płomienne smoki. To jej przypomniało Cicely, jej przyjaciółkę z Malakki, która miała takie samo ubranie, tyle że smoki były na liliowym tle.

Wczoraj Cicely – po powrocie ze swoich australijskich podróży – pojawiła się u niej znięcka. Spokojna jak zawsze,

w turkusowej sukni z lnu, ze srebrnym łańcuszkiem na szyi. Powiedziała, że wpadła przejazdem, bo udaje się do Penangu. Gdy Lydia zapytała, po co tam jedzie, wzruszyła tylko ramionami, nie udzielając odpowiedzi. Za to zaproponowała ponowną wizytę, gdy będzie w drodze powrotnej. Lydia wymamrotała jakąś wymówkę.

- No cóż, moja kochana - powiedziała Cicely wyrozumiale. - Jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek, gdzieś się zatrzymać, pieniędzy, ramienia, żeby się wypłakać, to ja jestem w Malakce.

- Póki co wszystko mam. Jack jest bardzo szlachetny. A poza tym muszę ci oddać za biżuterię, którą dla mnie zastawiłaś.

- Och, zapomnijmy o tym, słodziutka. Podtrzymuję swoją ofertę, gdyby się coś zmieniło.

Na wspomnienie przyjaciółki Lydia uśmiechnęła się. Sama nie bardzo potrafiła zrozumieć, dlaczego nie ma ochoty spędzać z nią czasu. Może dlatego, że Cicely stanowi część jej dawnego życia? Teraz włożyła jedyną trochę bardziej strojną spódniczkę z drukowanej bawełny, uszmiłowała usta i pomimo mżawki wyszła na werandę.

Wiał lekki wiaterek i Maz przyglądał się grupce pojawiających się, to znów znikających małp. Poczula, jak krew uderza jej do głowy, i oparła się o drewnianą poręcz. Przymknęła oczy, ale pod powiekami nadal tańczyły cienie kauczukowców. Gdy zawrót głowy minął, starła z krzesła ślady mchu, który pojawił się w ciągu nocy, i usiadła, patrząc na drzewa. Między nimi wiło się tak dużo ścieżek, że za każdym razem bała się, czy Jack trafi do domu.

Maz pierwszy usłyszał gwizdanie idącego po trawie Jacka.

- Jack! - krzyknął i pobiegł do niego.

Jack powstrzymał go ruchem dłoni.

- Nie podchodź za blisko - powiedział.

Maz cofnął się o krok, a gdy Jack podszedł bliżej, Lydia aż się zachwiała, czując przenikliwy smród moczu. Skrzywiła się.

- Co to?

- Nie uwierzysz - odparł Jack.

Uniosła brwi. Miał na sobie pogniecioną koszulę w kolorze khaki z podwiniętymi rękawami, wziął się pod boki i uśmiechnął szeroko. Nie był pijany.

- Zatrzymaliśmy się w drodze powrotnej z Ipoh, żeby usunąć kilka spalonych drzew.

- I?

- No cóż, myślałem, że to deszcz, ale usłyszeliśmy na górze jakąś wrzawę i spojrzeliśmy tam. Wtedy zobaczyłem tych małych nicponi.

- Co takiego?

- Tuzin makaków z długimi ogonami. Skamlały okrutnie, biegały w górę i w dół po gałęziach, zatrzymując się tylko po to, żeby nas z góry obsikać.

Uśmiechnęła się.

- Miło widzieć, jak się uśmiechasz, Lyddy. Przykro mi, ale niczego nowego się nie dowiedziałem.

Lydia wzruszyła ramionami. Jack, mimo iż uważał to za bezsensowne, udał się jednak do biur przedstawicielstwa rządu w Ipoh i zapytał o szczegóły dotyczące pożaru. Ale budynek uległ całkowitemu zniszczeniu i wszyscy, którzy

mogliby coś na ten temat powiedzieć, zginęli. W dodatku nie było żadnego śladu wskazującego, że Alec pracował w Ipoh. Cały jego wydział spłonął łącznie z dokumentacją.

Tego popołudnia postanowiła się zaprzyjaźnić z domem Jacka. W każdym pomieszczeniu milcząco spędziła równą ilość czasu. Wsłuchiwała się też w odgłosy z zewnątrz, być może dochodzące nawet z najbliższej wioski. Podarowała sobie godzinę ciszy i to był rodzaj łaski. Maz śledził ją z bezpiecznej odległości. Gdy odzywała się do niego, patrzył na nią uważnie. To chwyciło za serce, więc kiedy znalazła się w obitym drewnianą boazerią gabinecie Jacka, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Szybko zgarnęła z biurka trochę papieru, ołówki, pióra i zawołała Maza.

W salonie przyklęknęła na podłodze obok stolika kawowego, odsunęła salaterkę z owocami mango i położyła na nim ołówki i papier. Zaczęła kreślić cienkimi liniami - aby można je było potem pogrubić - kolejne litery alfabetu. Zawołała go ponownie, ale chłopiec wolał pozostać za progiem. Pisała dalej, powoli, starannie.

- Maz - spróbowała jeszcze raz. - Chodź. Pokażę ci, jak pisać. Nie chciałbyś się nauczyć?

Pokręcił głową, ale nie spuszczał z niej oka.

Skupiła się na tej czynności i kiedy doszła do k, usłyszała szuranie. Nie odrywała wzroku od kartki. Gdy niepostrzeżenie przysunął się bliżej, podała mu ołówek o najciemniejszym graficie. Ruchem głowy odmówił jego przyjęcia, ale usiadł obok, obejmując chudymi rękami chude kolana. Sama zaczęła pociągać ciemniejszym ołówkiem swoje pierwsze litery. Gdy

doszła do m, mały wyciągnął rękę po ołówek.

- M jak Maz - powiedziała. - Ale też jak mleko, moneta, muł.  
Starannie obwiódł ołówkiem literę m i nie podnosząc oczu, powiedział:

- M jak matka.

Lydia przygryzła wargę.

- Masz rację, mój malutki. Masz rację.

Maz był pojętnym uczniem, a Lydia bardzo poważnie traktowała swoje nauczycielskie obowiązki. Choć nie dysponowała książkami dla dzieci ani innymi materiałami do nauki, przerobiła z nim cały alfabet, zachęciła do pisania podstawowych słów określających zwierzęta i przedmioty oraz do ilustrowania ich własnymi obrazkami. Jego mała bardziej przypominała psa, kobra królewska miała dwie głowy, a malajski jeżozwierz z długimi kolcami - uśmiech na pyszczku. Oboje śmiali się do rozpuku z tych dziwnych stworzeń i Maz znów zrobił się rozmowny.

Zachęcała go też, żeby narysował obrazki ze swojego życia: mamę, ciocię, dawny dom. Potem opatrywała je podpisami i nauka szła jak z płatka. Ale też wydarzyło się coś jeszcze.

Dzieciak narysował zarys chaty, a w środku siedem patykowatych ludzików. Uśmiechnęła się i poprosiła, żeby jej opowiedział o nich coś więcej.

- To jest moja mama, to mój wuj, to ciocia, a to czwórka moich kuzynów.

A potem narysował drugi, prawie identyczny obrazek, tylko brakowało na nim jednego ludzika.

- Zobacz, Maz, tu pominąłeś jedną osobę - zwróciła mu



uwagę.

Zwiesił głowę.

- Maz?

Cisza.

- Opowiesz mi, kogo tu brakuje?

Spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

- Mojego wujka, pani. Zabili go.

Przytuliła go mocno. Chłopczyk szlochał. Wyjęła czystą chusteczkę i wytarła mu oczy. Musiał bardzo kochać tego wujka.

- Zostałem z ciocią i kuzynami.

- A dlaczego twoja mama poszła do dżungli?

Ale dziecko nie odpowiedziało. On pewnie nie wie, pomyślała.

- Poczytamy dalej? - zaproponowała.

Przytaknął i Lydia pogłaskała go po główce. I choć nadal cierpiała, zdawała sobie sprawę, że ten chłopiec pomaga jej w wyjściu na prostą. Ja opiekować się tobą. Ty opiekować się mną. Chyba kiedyś nawet powiedział coś w tym rodzaju?

Następnego dnia Jack przytargał do domu wielkie tekturowe pudło. Prezentował się urodziwie i wyglądał na zadowolonego z siebie. Postawił karton na stoliku kawowym i w porę złapał płytę oraz nuty, które prawie ześlizgnęły się z wierzchu. Podał jej, a z pudła wyjął adapter.

- Używany. Ale powinien działać.

Włożył wtyczkę do kontaktu, położył płytę na talerzu odtwarzacza i przycisnął odpowiedni guziczek. Nic się nie wydarzyło. Mina mu zrzędała, spróbował innej wtyczki i wtedy

pokój wypełnił się głosem Franka Sinatry. Lydia uśmiechnęła się radośnie i zaklaskała. Jack pociągnął ją ku sobie i objął w pasie. Przytuliła ucho do jego policzka i kręcili się w szalonym walcu, śmiejąc się, potykając o porozrzucone tu i ówdzie po podłodze buty, magazyny czy filizanki po herbacie. Na moment wróciły do niej wszystkie nadzieje. Zaczęła nucić przebój *Three Coins in a Fountain*, a on jej wtórował.

- Bój się Boga, Jack, tobie chyba słoń nadepnął na ucho. - Poklepała go po torsie i życie znów nabrało smaku. Przypomniła się jej tamten sylwester w klubie: ona na szpilkach, w kuszącej czarnej sukience z rozcięciami po obu stronach, po stanowczo zbyt dużej dawce koktajli nie spuszcza oczu z Jacka, jego szerokich ramion i ogromnych dłoni. W jakimś sensie to było bardzo niewinne. Gdyby wtedy wiedzieli, co ich czeka...

- Ale to nie wszystko! - przerwał jej rozmyślania głos Jacka.

Na chwilę wyszedł do holu, po czym wrócił, taszcząc starą maszynę do szycia marki Singer.

- Podziękuj ładnie wujaszкови Jackowi.

Dała mu lekko po łapach.

- Bóg raczy wiedzieć, skąd to wytrzasnąłeś!

- Są też tkaniny.

Zaczerwieniła się, zawstydzona swoim brakiem pieniędzy i myślą o propozycji Cicely. Gdy zaczęła się tłumaczyć, on uśmiechnął się, jakby byli starym dobrym małżeństwem.

- Nie potrzebujesz wsparcia od Cicely. Wszystko, co mam, należy też do ciebie, Lydio. A zresztą przecież nie szastasz pieniędzmi.

Wtedy wyjawiał jej, gdzie trzyma swoje oszczędności.

- Kiedyś były w biurku, a teraz - zobacz - tu jest taka luźna klepka w podłodze, pod dywanem. Na wypadek gdybyś potrzebowała.

Odwinął dywan, poluzował klepkę i wyjął kilka grubych, ściągniętych razem gumką, plików dziesięciodolarówek.

- Boże, tego jest dużo.

Kiwnął głową.

- Całkiem niezła sumka. Mówiłem ci, że pracowałem głównie po to, żeby móc sobie kupić wolność.

- Nie traktowałam tego aż tak poważnie. Dzięki - powiedziała, cmokając go w nos.

Widziała żyłę pulsującą mu na szyi. Co ona by bez niego zrobiła? Co mogłaby zrobić? Opiekował się nią cały czas, wspierał finansowo, emocjonalnie i na wszelkie możliwe sposoby. Żyli na odludziu, bardzo rzadko ich ktoś odwiedzał. Jack czasami sugerował jakiś wyjazd do Ipoh czy wizytę u znajomych plantatorów, ale ona nie miała ochoty na rozmowy o niczym z nieznanymi ludźmi, chociaż jemu być może brakowało życia towarzyskiego. To dobry człowiek, a ona nauczyła się przeczekiwać zdarzające mu się od czasu do czasu napady złego humoru.

- A może wybierzesz się do Ipoh na targ? - zaproponował. - Tam można dostać wszystko. Dobrze by ci to zrobiło. I jest dość bezpiecznie.

Spojrzała na niego i westchnęła.

- Przepraszam, wiem, że żałoba musi potrwać.

Przygryzła wargę. Nie chciała już, żeby jej stan trwał nadal.

Nie chciała tego ani trochę. Żyła z dnia na dzień, ból po utracie usadowił się gdzieś głęboko w środku brzucha. Bała się, że wkrótce ich brak będzie odczuwać jako coś normalnego. Czasami po obudzeniu czuła je obok siebie i odkrycie, że to tylko powietrze, bywało dla niej szokiem. Jedyne, co po nich pozostało, to notes Em i ich zdjęcia w medalionie. Zmuszała się, żeby myśleć o czymś innym.

- Umiem zrobić warzywne curry - powiedziała sztucznie wesołym tonem.

Jack pokiwał głową, przymknął oczy.

- Jesteś zmęczony. Co powiesz na małą drzemkę po lunchu?  
- Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Wiesz co? - powiedział, otwierając oczy. - Dziś wieczorem sobie popływamy.

Przechyliła głowę w bok i uśmiechnęła się. A to coś nowego.

Między drzewami była taka masa splątanych ścieżek, że gdy wraz z Mazem podążała za Jackiem nad wodę, zdała sobie sprawę, że sama nie dałaby rady trafić tam po raz drugi. A Mazowi nie sprawiłoby to najmniejszej trudności. Gdy raz przeszedł jakąś trasę, odnajdywał ją potem bez kłopotu. Zastanawiała się, jak on to robi: liczy drzewa czy po prostu ma taką typową męską umiejętność?

Spoza drzew dojrzała błyszcząca tafłę; woda spływała ze znajdującego się powyżej źródła, następnie drewnianą rynną odprowadzana była do głębokiego stawu otoczonego drzewami i gigantycznymi paprociami. W powietrzu nad nim wisiały dosłownie firany pomarańczowych i purpurowych motyli, a na powierzchni odbijała się zieleń o tysiącu odcieni.

W półprzezroczystej wodzie widać było na dnie i na krawędzi zbiornika kilka ciemnych kształtów. Jack pochwycił jej niezdecydowane spojrzenie.

- Nie bój się. To wodne żółwie o miękkich skorupach. Nie gryzą.

Zdjął ubranie i kompletnie nagi wskoczył do wody.

- Chodźcie! - krzyknął.

Jako następny, z przeszywającym piskiem, do basenu wbiegł Maz.

- Chodź, Lyd! - zawołał Jack. - Na co czekasz?

Wahała się przez chwilę, po czym ściągnęła przepocone ubrania i też wślizgnęła się do wody. Rozpuszczone włosy płynęły za nią.

- Ale błogo! - wrzasnęła, ochlapując wodą podkradającego się do niej Jacka. Maz aż trząsał się ze śmiechu, podskakiwał w wodzie i pokazywał ich oboje palcem, wyrzucając z siebie błyskawicznie lawinę malajskich słów.

- Fantastycznie, co nie?! - krzyczał Jack, demonstrując swoją sprawność fizyczną za pomocą wywijanych w wodzie fikołków.

Dokazywali, wymachując splątanymi kończynami. Ona poślizgnęła się i straciła grunt pod nogami. Gdy wynurzyła głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, on pocałował ją delikatnie w czoło, po czym opłynął dookoła i pociągnął do tyłu za włosy. Padła mu w ramiona, a Maz kreślił kółka w wodzie, pływając wokół nich. Piszcząc przy tym i chlapał, usiłując łapać motyle. To była prawdziwa ulga - chłodna woda koła rozpaloną skwarem skórę.

Szkoda tylko, że od czasu do czasu można się zakrztusić, pomyślała, wypuszczając z siebie po kolejnym zanurzeniu fontannę wody. Maz chichotał i gonił unoszące się na powierzchni bańki, a Jack bezlitośnie wciąż ją podtapiał, dotykając jej piersi, kiedy mały nie widział.

W końcu wygramolili się na brzeg, nawołując się nawzajem, strząsając wodę z włosów i – mrugając intensywnie – z rzęs. Usiedli plecami do siebie na małej polance koło stawu i Jack zapalił papierosa. Nawet nie zauważyła, kiedy znów zaczął palić.

Pomyślała o lśniącej wodzie w czasie rodzinnych wakacji na bezludnej wyspie, o turkusowym morzu, delfinach i obsadzonym palmami nadbrzeżu. Zamknęła na chwilę oczy, żeby napawać się spokojem, ale wciąż miała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Podejrzewała mały, ale nagle za lewym ramieniem Jacka wystrzelił długi jęzor, a on krzyknął i skoczył na równe nogi. Odwróciła się i zobaczyła szpary w nozdrzach niezdarne stworzenia o bladoszarym ubarwieniu. Maz przewrócił się na drugi bok, śmiał się, trzymając za brzuch:

– To waran, waran!

Na ten dźwięk gad błyskawicznie wślizgnął się do wody.

– Nie wiedziałam, że jesteś taki szybki – przekomarzała się Lydia z Jackiem.

– Zgadza się, jestem. – Mężczyzna skrzywił się. – To ma być śmieszne?

Mżawka się skończyła i słońce pokryło twarz Jacka pstrokatymi plamami. Wracali. Jack puścił Maza przodem, a sam szedł z Lydią, podtrzymując ją za łokieć. Prowadzący

pochód Maz gardłowo śpiewał jakąś malajską pieśń, zielen stopniowo zaczęła ustępować różowości i nagle powietrze wypełniło się setkami małych czarno-białych motyli, przypominających wirujące skrawki papieru ryżowego.

- Wiesz, wszystko będzie dobrze. - Objął ją ramieniem i przytulił. Przystanęli pod ogromnym baldachimem z drzew, a wokół nich skrzeczały rzeczne żaby.

## 23

Moje powroty do domu nigdy nie były łatwe, ale ten był najcięższy ze wszystkich. Z powodu mamy i z powodu mojej choroby dano mi kilka dni wolnego. Wyrwanie się z Penridge Hall sprawiło mi tak wielką ulgę, że prawie zupełnie zapomniałam o swojej siostrze. Nagle, gdy przypomniało mi się, jak w Malakce razem zachodziłyśmy do sklepiku z lustrami, piórami, bębenkami i flecikami, rozplakałam się. Zobaczyłam, jak mamusia, Fleur i ja kupujemy krepinę i potem robimy sobie z niej i z drutu skrzydła. Mama wkładała nam odświętne sukienki i tańczyłyśmy dla taty jako elfy. Chociaż mnie to dość szybko nudziło i chowałam się pod domem, żeby szpiegować naszą *amah*. Teraz dałabym wszystko, żeby te chwile powróciły, ale czułam, że moje życie się skończyło i że nic już nigdy nie będzie takie samo.

Babcia powitała nas w progu i uścisnęła mnie tak mocno, że z trudem mogłam oddychać. Jeszcze się zaokrągliła i na twarzy miała więcej popękanych czerwonych naczynek. Fleur pozostała w bezpiecznej odległości za jej plecami i uśmiechała się ostrożnie zza nowych okularów w plastikowej różowej oprawce. Babcia otarła sobie oczy wierzchem dłoni i wypuściła mnie z objęć. Fleur uściskała mnie niemrawo. Nasz dawny pokój należał teraz tylko do niej, a ja miałam spać z babcią.



- Odkąd odszedł twój dziadek, mam wolne łóżko - powiedziała babcia, patrząc ze smutkiem na mebel, na którym sypiał dziadek. - Twój tata przesunął je bliżej okna. Jest teraz twoje, kurczaczku.

- A ja myślałam, że tata kupi osobny dom dla siebie - zdziwiłam się.

- Twojemu ojcu nie wiedzie się teraz zbyt dobrze. Brakuje mu pieniędzy.

- Gdybym na stałe wróciła do domu, nie musiałby płacić za moją szkołę.

- O nie, kochanie. Twój tata nie jest...

- Co nie jest, babciu?

Zakryła sobie usta dłonią i wyprostowała się gwałtownie.

- Psiakość, ja tu sobie urządzam pogaduszki, a obiad niegotowy.

- Ale babciu...?

- Pamięć mi okropnie teraz szwankuje. Nie da się ukryć. Musiałam w zeszłym tygodniu iść na testy.

- I jak sobie poradziłaś?

Dźgnęła mnie palcem między żebra i roześmiała się.

- Nie martw się o mnie, kurczaczku. Przeszłam w cuglach. W końcu nie tak trudno powiedzieć, że premierem jest Winston Churchill.

Czy żartowała, wiedząc, że premierem jest Anthony Eden, czy też naprawdę myślała, że jest nim Winston Churchill? Nie chciałam jej o to pytać. W każdym razie umysł miała na tyle jasny, żeby pamiętać, że mój ojciec często spotyka się z Veronicą.

- Sądzę, że to może być coś więcej niż słomiany ogień - powiedziała.

Zwiesiłam głowę.

- Tak mi przykro, kochanie. Z powodu twojej mamy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, i wymamrotałam coś pod nosem. Poklepała mnie po plecach i rzekła:

- No dobrze już, dobrze. Uczesz się i doprowadź do porządku, a ja ci w tym czasie zrobię pyszną kanapkę z dżemem agrestowym.

Fleur miała tatę, a teraz też i Veronicę. Ją można kupić za garść cukierków z lukrecji. Ale ja potrzebowałam matki i czasem byłam na nią tak wściekła, aż było mi wstyd. To nie fair. Jak mogła nas porzucić? Jak mogła umrzeć?

Wyszczotkowałam sobie włosy, mocno przeciągając po nich sztywnym włosiem. Na Malajach któregoś dnia skarżyłam się głośno, że mama przywiązuje do tego takie znaczenie. „Nie dyskutuj”, odpowiedziała stanowczo, wzięła do ręki szczotkę i brutalnie przejechała mi nią po włosach. To było w dniu tamtego ślubu, kiedy wieczorem mieliśmy wypadek, a ona była w dziwnym nastroju.

Fleur patrzyła na to z otwartymi ustami.

- A ja?

- Twoje włosy łatwiej się układają - powiedziała mama. I jednym czy dwoma pociągnięciami małego eleganckiego grzebyka doprowadziła fryzurę Fleur do ładu. Równy przedziałek po prawej stronie, klamerka w kształcie kokardy po lewej.

- Ja też mogę poprosić o klamerkę? - spytałam.

- Nie ma sensu wpinać czegokolwiek w twoje włosy, Emmo, bo się tego więcej nie odnajdzie. I na litość boską, przestań już się mazgać na ten temat.

Roześmiała się, a ja poczułam się głupio, jakby mnie chciała obrazić.

Nie zniosę tego więcej, pomyślałam. Czułam w głowie natłok pytań, ciągle pojawiały się nowe. Co się naprawdę stało mamie? Czy ktoś w ogóle wie? Postanowiłam zapytać o to Fleur, poszłam więc do jej pokoju i stanęłam w drzwiach. Siedziała na łóżku, kolorując mapę Wielkiej Brytanii. Na brzegach narysowała jasnoniebieską falbanę - to miało być morze.

- Morze tak nie wygląda, Mączniaczku - odezwałam się, mając przed oczami indygo, kolor, jaki przybierało wieczorem niebo i ocean.

Spojrzała na mnie chłodno.

- Nie nazywaj mnie tak, to dziecinne. I idź sobie, jestem zajęta. Muszę to zrobić na dzień otwarty w szkole.

- Tęskniłaś za mną?

- Trochę - przyznała.

Poczekaliśmy jeszcze chwilę, ale jej jedyną reakcją na moją obecność były demonstracyjnie ciężkie westchnienia. W końcu wyszłam, nie było sensu jej pytać. Nawet nie wiem, czyby mi powiedziała. Czy to możliwe, żeby siostra odnosiła się do ciebie równie nieufnie, jak do obcego człowieka? Pomyślałam o tym i zrobiło mi się smutno. Chciałabym mieć siostrę bardziej do mnie podobną, która by ze mną porozmawiała i powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze i że mamusia nie

umarła. Ani trochę. Albo przynajmniej umiałyby mi powiedzieć, jak to się stało.

Nie musiałam długo czekać. Okazja, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, nadarzyła się sama. Babcia i tata poszli z Fleur do jej podstawówki na dzień otwarty. Było wczesne popołudnie, a w szkole przewidziano poczęstunek z herbatą i ciastkami, wiedziałam więc, że mam sporo czasu.

Pokój taty nie był zamknięty, ale ja i tak – jak każdy przyzwoity szpieg – czekałam, aż ich głosy ucichną, co oznaczało pewność, że są już daleko.

Stały tam następujące meble: szafa z ciemnego orzecha w komplecie z toaletką i krzesłem, podwójne łóżko i dwa stoliki nocne. Smuga światła słonecznego padała na podłogę, ujawniając liczne przetarcia w starym dywanie. Obejrzałam rzeczy leżące na stolikach nocnych. Były tam jedynie podania o pracę i listy odmowne. Pewnie to miała na myśli babcia, mówiąc, że tacie się nie powodzi, pomyślałam i zwróciłam się w stronę szafy. Garnitury, koszule, palto, czarne i brązowe półbuty ustawione jak w wojsku, pod linijkę. A na górze sterta kartonowych pudeł. Weszłam na krzesło. Wszystkie zapieczętowane. Pozostaje szukać pod materacem i w toalecie.

Materac miał pozbijaną w grudki zawartość i był za ciężki, żeby go podnieść. Wsunęłam ręce pod spód, ale nic pod nim nie znalazłam. Wyciągnęłam więc pierwszą szufladę toaletki. Na podłogę wypadły rzeczy używane do czyszczenia butów: szmatka, dwie szczotki – miękka i twarda, sprej i słoiczki pasty do obuwia w czterech różnych kolorach. U taty

wszystko musiało być tip-top, jak sam mówił. Skrzywiłam się na myśl, że nie wiem, jak te rzeczy były poukładane, więc włożyłam wszystko z powrotem według własnego widzimisie. Trzeba będzie trzymać kciuki, żeby się nie zorientował. Sięgnęłam do dolnej szuflady. To musi być tam. Uwierzę, gdy zobaczę. Przekopałam się przez zawartość: kalendarz, notes z adresami, butelka samoopalacza, a na samym dnie książka. Ze złośliwym uśmiechem odłożyłam na miejsce samoopalacz. Tata lubił być opalony. Wyjęłam książkę: miała tytuł *Rocznik ogrodnika*. Musiała należeć do dziadka, bo tata nie uprawiał ogrodu. Gdy ją przekartkowałam, na podłogę wypadła cienka niebieska lotnicza koperta. Zawahałam się przez chwilę, po czym podniosłam ją i zobaczyłam malajski znaczek pocztowy. Uniosłam klapkę i wyjęłam list. Serce prawie stanęło mi w piersi. Na kopercie nie było adresu zwrotnego, ale data wskazywała, że list został nadany ponad rok temu, zanim wbiłam lotkę w szyję pana Olivera. To musiał być ten list, o którym wtedy myślałam, że jest od mamy.

*Drogi Alecu,*

*wszystko załatwione. Z tej strony nic ci nie zagraża. Ufam, że teraz jesteśmy kwita, staruszk.*

*Twój George*

Wstrzymałam dech, po czym powoli wypuszczałam powietrze. Co to znaczy? Nic o tym, co właściwie zostało „załatwione”. Dziwne. Czy to miało jakiś związek z moją matką? Czy też zupełnie jej nie dotyczyło? Nie było żadnego innego listu zawiadamiającego tatę o jej zaginięciu,

przypuszczalnej śmierci ani o tym, że nas porzuciła. Siedziałam tam chyba godzinę, rozmyślając i doprowadzając się do szaleństwa wyobrażaniem sobie najgorszego. Wracałam myślą do wystawy figur woskowych w muzeum w Malakce. Czy ktoś spreparował głowę mojej matki? Ile razy o tym pomyślałam, chciałam umrzeć. Mało brakowało, a nie usłyszałabym na ścieżce zbliżających się głosów.

- Świetnie sobie radzi, prawda? - mówiła babcia. - Tak samo w swoim czasie poradzi sobie w szkole średniej.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Wsunęłam list z powrotem do książki, którą schowałam do szuflady, po czym na paluszkach wybiegłam z pokoju taty i usiadłam na swoim łóżku, krzyżując ręce na brzuchu.

Później w kuchni, starając się za wszelką cenę opanować drżenie głosu, zapytałam ojca, czy mogłabym zobaczyć świadectwo zgonu matki. Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Nie ma czegoś takiego. Ją tylko *uznano* za zmarłą, Emmo.

- No to skąd wiesz? - powiedziałam. Pojawił się przebłysk nadziei.

- Bo zostaliśmy zawiadomieni.

- Kto?

- Przez kogo, Emmo - uściślił.

- No właśnie, przez kogo?

Wstał i wyszedł z pokoju.

- George Parrott zna wszystkie szczegóły.

Uparcie szłam za nim.

- Napisz do niego, zapytaj.

- Emmo, nie będziesz mi rozkazywać. George Parrott

zawiadomił mnie i to koniec całej historii. A teraz pozwól, jestem zajęty.

Nie zamierzałam mu odpuścić ani przestraszyć się widocznej w jego oczach irytacji.

- Kiedy zawiadomił? Pokaż mi to pismo!

Oddychał nierówno i widziałam, że walczy sam ze sobą. A potem uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: A to ci głuptasek, robi niepotrzebną aferę. Ten uśmiech miał spowodować, że sama sobie wydam się głupia.

- No dobrze, Emmo. Czy ja dobrze rozumiem? Nie wierzysz w to, co mówi ci twój ojciec?

Wiedziałam, że to będzie gwóźdź do mojej trumny, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

- Ja tylko chcę, żebyś do niego napisał. Co w tym złego?

- Otrzymałem list miesiąc temu. A teraz, młoda damo, jeśli wiesz, co to znaczy odpowiednie zachowanie, ani słowa więcej.

Odwrócił się do mnie plecami i zatrzasnął za sobą drzwi.

Czy mój tata skłamał? W jego pokoju nie było śladu listu, w którym George Parrott pisałby o mamie, że została uznana za nieżyjącą. Może tata go wyrzucił? Ale czy naprawdę mogłby coś takiego zrobić? Byłam niezadowolona, czułam, że moje pytania pozostają bez odpowiedzi.

Poszłam na górę, znów usiadłam na łóżku i otworzyłam notes, który chowałam przed babcią pod poduszką. Świat często wydawał mi się potwornie niesprawiedliwy, więc gdy działo się coś naprawdę złego, pisałam opowiadania. Lubiłam w ten sposób sprawiać, że sprawy toczyły się tak, jak ja tego

chciałam. A poza wszystkim pragnęłam zostać pisarką, gdy dorosnę. Gdy układałam sobie w głowie rozmaite historyjki, udawałam, że jestem kimś, kim chcę być.

W zapamiętaniu tworzyłam opowieść o szarookich posągach, które ożyły i swoimi kamiennymi dłońmi dusiły ludzi. Jeden z nich miał właśnie dobrać się do taty, gdy usłyszałam, że tata wraca. Była z nim Veronica, rozmawiali. Podśluchałam, jak mówił, że babcię trzeba będzie oddać do domu starców i że w jakimś urzędzie powiedziano mu, że wkrótce zwolni się miejsce. Gdy Veronica przyszła na górę przywitać się ze mną, miałam łzy w oczach. Podeszła, objęła mnie ramieniem i pogłaskała po policzku. Odsunęłam się.

- Jak ci idzie w szkole?

- Okej - odparłam, pociągając nosem.

- Nic nie obiecuję, ale jak się naprawdę przyłożysz, myślę, że jest szansa, żeby ojciec pozwolił ci znów mieszkać w domu.

Spojrzałam na nią.

- On mi powiedział, że w szkole ocenili, że nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Wiem, ale to może się zmienić... Przykro mi, Emmo. Nie mogę zastąpić ci matki, ale jeśli mi pozwolisz, będę się starać najlepiej jak potrafię.

Nie ośmieliłam się odezwać.

- Już wiem - ciągnęła. - Któregoś dnia przyjadę po ciebie do szkoły i spędzimy razem trochę czasu w Cheltenham. Wszystko, co się da: herbata w Oriental Cafe na promenadzie, film w sali Gaumonta. Co ty na to?

Zaczęłam rozmyślać. Czy jej propozycja oznacza, że ona jest



po mojej stronie? Czy też naprawdę chce zająć miejsce mamy, a tylko udaje, że nie chce?

- Dlaczego pani chce to zrobić?

- Wiesz, jeszcze nie do końca zapomniałam, jak to jest być młodą.

Patrzyłam na jej blade, upudrowane policzki, matowe różowe paznokcie, ciasno pospinane szpilkami loczki i zaczęłam wątpić, czy to prawda. Muszą minąć lata, żeby dorobić się tak nienagannie gładkiej fryzury, pomyślałam, przesuwając palcami po moich niesfornych włosach. Były nadal rude i nadal nieokiełznane.

- Coś ci powiem. Jak będziesz chciała, pokażę ci moją dawną szkołę. Wellington College dla dziewcząt przy Pittville Circus. Boże, świetnie się tam bawiłyśmy, kryjąc się w labiryncie wąskich korytarzy. Pamiętam też cały szereg wysokich okien wychodzących na ulicę. Było ich chyba trzynaście. A może czternaście? Najbardziej lubiłyśmy te frontowe sale lekcyjne.

Uśmiechnęła się, pocałowała mnie w czoło chłodnymi wargami i puściła do mnie oczko.

- I pokażę też, gdzie się kręciłyśmy, żeby spotykać chłopaków z gimnazjum.

Gdy wyszła, podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież, a potem starłam sobie szminkę z czoła. Na dworze świat był skąpany w wieczornej poświacie: drzewa, wieża kościoła, pola. Ale tu, w tym domu, czułam się dziwnie i niepewnie. Czy jeśli zaprzyjaźnię się z Veronicą, będzie to oznaczać, że zdradziłam mamę?

## 24

Gdy kilka tygodni później wracali z nad wody, Jack zachęcił Maza, żeby pobiegł przodem, a sam zwolnił kroku. Niebo było złote, unosił się słodki zapach. Nareszcie można było zapomnieć o gęstych rojach much unoszących się nad śmierdzącymi bajorkami i o rozdzierających skórę cierniach wielkich jak rzeźnicze haki. Lydia poczuła nowy rodzaj spokoju. Lubiła ten zmysłowy skwar po kąpieli w chłodnej wodzie. Dotyk ciała Jacka, gdy wchodzili na ścieżkę.

Zatrzymał się i objął jej twarz dłońmi, pocałował najpierw w czoło, a potem w usta.

- Dzieciak - przypomniała mu.

- Nie widzi nas. Pewnie już jest w domu.

Pozwoliła mu na jeszcze jeden pocałunek, po czym ruszyli powoli, trzymając się za ręce.

Gdy doszli do domu, Maz wybiegł im na spotkanie z podejrzanymi błyszczącymi oczami.

- Channa mnie wpuściła - powiedział, po czym wybuchnął potokiem słów, podskakując bez przerwy.

Jack roześmiał się.

- Co jest, Maz? Mrówki wlażyły ci do spodni?

Lydia objęła go, a Maz wskazał palcem tylne drzwi.

- Zaczekaj tu - polecił Lydii Jack. - To pewnie nic takiego, ale na wszelki wypadek...

Przytuliła Maza, który zamilkł, pociągając tylko od czasu do czasu nosem. Wtulił twarz w jej spódnicę. Gdy na pobliskim drzewie zaskrzeczał ptak, Lydia aż podskoczyła.

W drzwiach ukazał się Jack.

- Chodź i sama zobacz.

Na widok tego, co zastała, Lydia złapała się za głowę. Cała podłoga pokryta potłuczoną porcelaną. Książki i ubrania w bezładnych stertach, jej halka zwisająca z abażura. Poczowała wściekłość, że czyjeś nieproszone łapy dotykały jej rzeczy, podniosła z ziemi pęknięty czajniczek i rzuciła nim o kosz na papiery. Poczowała ulgę, słysząc, jak z brzękiem się rozlatuje.

- Czego oni tu szukali? - spytała.

Pokręcił głową, wyprostował ramiona i sięgnął po rewolwer.

- Powiedz mi, Jack. Ja nie jestem ze szkła, nie rozsypię się.

Podrapał się po szczęce.

- Skąd mam wiedzieć? Nie zabrali pieniędzy spod podłogi, a oprócz nich i może kilku wykazów tutejszego majątku nie ma tu nic cennego. Nic, co usprawiedliwiłoby taką akcję.

Jack zaalarmował policję, załatał dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego i założył nowy zamek do tylnych drzwi, którymi weszli intruzi. We trójkę zjedli w milczeniu kolację i Lydia - po skróceniu codziennego wieczornego czytania, które zazwyczaj przeciągało się do późna - nie zważając na narzekania Maza, wcześniej ułożyła go do snu.

Rozpylony na werandzie środek przeciw owadom wydzielał lekki zapach odkażacza, którego gorycz mieszała się z wonią lateksu i gnijącego listowia. Lydia przyglądała się gigantycznym ćmom, kręcącym się wokół lampionu

umieszczonego w pewnej odległości od ich krzeseł. Dalej był już tylko mrok i niepokojące pogwizdywania nocnych ptaków.

- Dom zostanie w najbliższym czasie na nowo otoczony drutem kolczastym - powiedział Jack. - Stare ogrodzenie było już za słabe. Obawiam się, że dopóki nie postawię nowego, nasze bezpieczeństwo będzie nadwerżone, nawet jeśli zatrudnimy dodatkowych strażników.

Przygarbiła się. Zdążyła już polubić te wieczory, schłodzone drinki smakowały znakomicie zwłaszcza po powrocie z nad wody, gdy po skórze przechodziły ciarki spowodowane naprzemiennym działaniem upału i zimnej wody. Dzisiaj to już nie to. Skóra ją szczypała, na dekolcie pojawiły się znajome czerwone plamy. Jack w roztargnieniu pocierał sobie rękę o rękę, wyglądał na zakłopotanego.

Otworzył się dopiero przy drugim piwie Tiger.

- Sprawa jest taka, Lyd, że to nie było zwykłe włamanie. Ja już dłużej nie mogę.

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej list, który podał Lydii. Dwukrotnie przebiegła go wzrokiem. Był od Jima Dobsona, szefa Jacka. Zaczęła czytać na głos.

*Doszły mnie słuchy, że trzymasz w domu Europejkę i miejscowe dziecko. Do moich obowiązków należy przypomnienie ci w tym momencie warunków twojego kontraktu. Rozumiem, że zaszły szczególne okoliczności, ale sugerowałbym rozważenie innych rozwiązań, szczególnie jeśli idzie o dziecko. W związku z tym polecam twojej uwadze szkockie małżeństwo, które prowadzi niedaleko Penangu szkołę dla tubylczych wysiedlonych dzieci. Być może da się*

*ich przekonać i go przyjmą.*

Serce jej zamarło, a Jack wydał policzki i westchnął.

- Jim to porządny facet. Nie proponowałby tego, gdyby nie cenił tych ludzi. Ale to nie znaczy, że muszę go posłuchać. Mogę zrezygnować z pracy, chociaż kwota odszkodowania zapewne przekroczy moje oszczędności. Plusem jest to, że w Penangu morze jest wspaniałe. Możemy pojechać zobaczyć.

Lydia spojrzała w granatowoczarne niebo i przypomniała sobie, jak była nad morzem z kobietą w niebieskiej sukience. Kobieta, o której zawsze sądziła, że była jej matką. Nie chciała teraz kontaktować się z Mazem wyłącznie przy okazji rzadkich wizyt nad morzem.

Spojrzała Jackowi w oczy.

- Więc mówisz, że ja mogę zostać, a on musi odejść.

Jack chrząknął, napinając mięśnie szerokiej szyi.

- Znasz scenariusz. Żadnych żon, żadnych dzieci. Przynajmniej nie na pierwszym kontrakcie.

- Nie możemy go oddać. On mnie potrzebuje.

- Jutro muszę dać Jimowi odpowiedź. Noszę ten list już od trzech tygodni.

- Mogłeś mi powiedzieć.

- Widziałem, jak jesteś przywiązana do dzieciaka. Wiesz, sprawy zaczęły już iść w dobrym kierunku. Nie chciałem... - Wzruszył ramionami.

Lydia przyzwyczała się już, że Jack sypia z bronią przy łóżku, lecz tej nocy nabrało to złowieszczego charakteru. Wokół panował spokój, ale ona dotkliwie czuła, w jakim

znaleźli się niebezpieczeństwie. Policja obiecała Jackowi dodatkowych ludzi do pilnowania i Lydia miała nadzieję, że już zostali rozmieszczeni wzdłuż granic plantacji. Mimo iż spała płytko i niespokojnie, nie słyszała, żeby Jack wstawał. Dopiero gdy obudziła się w środku nocy, spostrzegła, że go nie ma. Narzuciła szlafrok i przeszła do salonu, gdzie podłoga nadal pokryta była odpadkami.

Siedział skulony na kanapie. Na kolanach trzymał strzelbę, z nosa zwieszały mu się okulary do czytania w złotej drucianej oprawce, obok na podłodze leżała odwrócona grzbietem do góry książka, którą czytał. Spojrzał znad okularów i uśmiechnął się krzywo.

- Jack, co ty tu do cholery odstawiasz? Śmierdzisz whisky.

- Tak dalej być nie może.

Zmarszczyła brwi. Oczy miał rozpalone gorączką.

Rozejrzał się po pokoju i zaciśniętą pięścią uderzył w drugą, otwartą dłoń.

- Wynieśmy się stąd. Niech szlag trafi ten cholerny kontrakt.

- Dokąd mamy się wynieść?

Uśmiechnął się do niej smutno.

- Ja już tego nie wytrzymuję, Lyd. Komarów, upału, mokradeł. A najbardziej tych cholernych drzew kauczukowych. Zwiewajmy stąd. Możemy zabrać dzieciaka. Powiemy, że jest nasz.

- Akurat!

- A dlaczego nie? Sama mówiłaś, że on nigdzie nie pasuje, nie jest ani Chińczykiem, ani Malajem, ani białym.

Spostrzegła, że ma ściągniętą, bledszą niż zazwyczaj twarz. Wyglądał na przegranego.

Wziął pistolet i przyłożył sobie do twarzy.

- Bang - powiedział. - Bang, bang, bang.

Po czym rzucił broń na stół.

Podeszła do niego, objęła, tuliła i kołysała jego głowę.

- Och, Jack.

A on bez przerwy wpatrywał się w miejsce, gdzie leżała jego słuwa.

- Sam powiedziałeś, że sprawy idą w dobrym kierunku. Przynajmniej jeśli chodzi o nas - mówiła cicho.

Zapadło długie milczenie. Kiedy Jack pogrążał się w depresji, nawet jego smutek miał dość wyważony charakter.

W końcu wzruszył ramionami.

- To tylko drink. Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko, Lyddy.

Zabrał broń, potem wziął na ręce Lydię i zaniósł ją do łóżka. Zasnął szybko, a ona leżała przytomna, owinięta wokół niego i wsłuchana w jego oddech.

Gdy Jack wstał i wyszedł na poranny obchód, ona sprzątała dom, podskakując ze strachu przy najmniejszym skrzypnięciu. W salonie przekartkowała książkę, którą czytał Jack. Był to podręcznik survivalu. Na podłodze w holu znalazła książkę z angielskimi przepisami kulinarnymi. Ktoś, zaginając rogi, zaznaczył w niej potrawkę z ogonów wołowych i pudding na parze. Dobrze byłoby przyrządzić dla Jacka coś, co przypominałoby mu dom rodzinny, co by go rozweseliło.

Usmażyła naleśniki z cukrem i cynamonem i poszła obudzić

Maza. Zjemy na werandzie, patrząc na jaszczurki, pomyślała, i zanim otworzyła drzwi do pokoju małego, wyrzała przez okno w korytarzu. Gęsta mgła przykrywała wszystko.

Weszła do środka.

Okno było szeroko otwarte, łóżko puste. Serce waliło jej głucho. To do niego niepodobne. Zawsze zamykał okiennice, rozumiał, że służą one temu, żeby pokój się nie przegrzewał. Lydia zamknęła je sama i zaczęła chodzić po domu, nawołując Maza. Ani śladu.

Pokręciła się po werandzie, wsłuchując w trzaski i stukot gałęzi, ale nic nie dostrzegła. Wszędzie czuć było, że współistnieje się tu z potężną dżunglą.

Pobiegła zadaszonym korytarzem. Channa siedziała po turecku na podłodze z zamkniętymi oczami.

- Czy Maznan jest z tobą? - spytała Lydia. - Nie mogę go znaleźć.

Kobieta spojrzała Lydii w twarz, jej ciemnobrązowe oczy były spokojne i skupione. Pokręciła głową i wstała.

- Pomogę szukać.

- Myślisz, że to coś poważnego? Wiesz, po wczorajszym włamaniu...

Channa położyła jej rękę na ramieniu.

- Na pewno gdzieś być blisko. Poszukam z tyłu.

Lydia przytaknęła. Cały czas wołała Maza. Tyle razy mu mówiono, żeby się nie oddalał, a co, jeśli nie posłuchał? Jeśli się zgubił i nie może trafić z powrotem do domu?

Nadeszła Channa i Lydia rzuciła się w jej kierunku.

- I co?



Kobieta wyciągnęła do niej dłoń i rozprostowała palce.

Lydia z gwałtownym westchnieniem wzięła od niej paciorki Maza.

- Leżały na ścieżce - wyjaśniła Channa. - Koło dziury w ogrodzeniu.

- Myślisz, że uciekł? - spytała Lydia, patrząc na teren leżący poza zaporą z drutu kolczastego.

- Chłopiec tu szczęśliwy. Nie uciec.

Ma rację, pomyślała Lydia, on się tu czuł jak u siebie. Sam by nie odszedł.

Channa położyła jej rękę na ramieniu i leciutko uścisnęła. Kobiety wymieniły spojrzenia. Wydawało się, że każda z nich wie, co myśli ta druga, chociaż Lydia nie ośmieliłaby się powiedzieć tego głośno. Channa pokręciła głową, a Lydia z trudem przełknęła ślinę. W gardle miała gulę. Uśmiechnięta buzia Maza stanęła jej przed oczami. Przypomniała sobie, jak razem pisali literki i śmiali się ze swoich rysunków zwierząt.

- Buntownicy - powiedziała w końcu.

Channa obojętnie wzruszyła ramionami, ale Lydia odnalazła w jej spojrzeniu potwierdzenie swoich obaw.

- Co mamy robić? - zapytała.

- Wejść do środka na powrót - odparła Channa. - Czekać.

- Zadzwoń na policję.

Weszły do domu. Nie uda im się znaleźć Maza bez przewodnika. Plantacja to było całe mnóstwo kilometrów kwadratowych i dla niewprawnego oka każda jej pięć wyglądała tak samo. Nieskończenie, nieskończenie podobnie.

Dzwoniąc na najbliższy posterunek, starała się przedstawić

sytuację tak spokojnie, jak tylko mogła. Udało się jej nie rozplakać. Ale gdy podawała pełne imię i nazwisko Maza, z oczu trysnęły jej łzy. Położyła rękę na skroni i zachwiała się, przypomniawszy sobie, jak zastała opustoszały dom. Malakka i zniknięcie jej dzieci. Coś ścisnęło ją za gardło. Czyżby to miało się powtórzyć? Na pewno nie można mówić o powtórcie. Czegóż takiego nie da się przeżyć po raz drugi.

- Czy to pani syn, madam? - spytał policjant.

- Nie. Opiekuję się nim. - Lydia krztusiła się własnymi słowami.

Zamilkł.

- Chwileczkę, madam. - Po chwili odezwał się znowu. - Czy on jest Anglikiem jak pani? Maznan Chang nie brzmi po angielsku.

- Nie. Jest pół Malajem, pół Chińczykiem.

Mężczyzna syknął, jakby wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze raz obeszła ogród, nie tracąc nadziei, że dojrzy jakiś ślad dzieciaka. Na kolanie usiadł jej motyl i znów poczuła gulę w przełyku.

Gdy Jack wrócił na lunch, siedziała na werandzie, kiwając się do przodu i do tyłu.

- Hej, Lyddy. Co się stało?

Przestała się kiwać.

- Maz zniknął.

Westchnął ciężko.

- Jeszcze tylko tego brakowało.

- A może twój kierowca zabrał go do wioski?

Jack opadł na krzesło i przechylił się do tyłu.

- Channa jest jego żoną. Wiedziałyby, gdyby Tenuk to zrobił.

- A jeśli jej nie powiedział?

- Dowiemy się, gdy Tenuk wróci.

Podniosła się i spojrzała na niego.

- Nie obchodzi cię to?

- Obchodzi - westchnął.

- W takim razie okazujesz to w dość dziwny sposób.

Gdy rzuciła mu w twarz to oskarżenie, opuściła werandę, trzaskając za sobą drzwiami, po czym w łazience usiadła na brzegu wanny i zaczęła obwiniać siebie. Nie powinna była przywozić tu Maza. Zatroskane buzie dziewczynek przemknęły jej pod powiekami całkiem wyraźnie. Stały w pokoju, Emma wyglądała na zirytowaną, Fleur obgryzała paznokcie. Ich twarze powoli znikwały, a jej łzy spływały po policzkach.

Przyszedł Jack i wyciągnął do niej rękę.

- Przepraszam.

Zadrżała, gdy ścisnął jej dłoń.

- O Boże, Jack! Ja tego nie wytrzymam. Co oni mogli z nim zrobić?

- Znajdziemy go, obiecuję.

Minęło popołudnie, zapadał zmierzch. Wiatr porywał liście, wzbijał tumany kurzu. Przemierzała werandę, między drzewami było już ciemno. Pocierała sobie skroń i myślała o czających się tam bagnach i wściekle gryzących owadach. Co jeśli partyzanci naprawdę mają Maza? Zmuszają go do

brnięcia przez sięgające mu do piersi rzadkie błoto? Pomyślała o koczowaniu w straszliwych warunkach i o bandytach, którzy porozumiewają się między sobą, udając głosy ptaków, a drutem duszą swoje ofiary. Na śmierć.

Przeraził ją jakiś łomot. Wyobraziła sobie ich chude, ciemne twarze, skupione wokół jednej jedynej miski zimnego ryżu. Nic innego nie mają przecież do jedzenia. Jak Maz może przetrwać w takich warunkach?

Rozruszała zeszywniałe mięśnie i postanowiła odtąd nie pozwalać, by ponosiła ją wyobraźnia. Może Maz przebywa ze swoją matką? Wpatrywała się w ciemny las. Żadnej widoczności. Gdy zapada mrok, nic już nie wydaje się znajome. Dżungla stoi niewzruszona, wielka i czarna, pełna wrogich istot. I Lydia wiedziała, że noc to czas bezgłosego podrzynania gardeł i kradzieży dzieci. Chyba że księżyc jest w pełni i oświetla tunele wśród drzew albo zza chmur wyjdą gwiazdy.

## 25

Zakładanie nowych wiosek i przesiedlanie ludności miało na celu odcięcie terrorystów od tych, którzy ich wspierają. Lydia była tego świadoma, a jednak widok bambusowej palisady, fosy, podwójnego ogrodzenia z drucianej siatki i rozmieszczonych dość regularnie wież obserwacyjnych był dla niej szokiem.

Spojrzała na Jacka. W świeżo upranej białej koszuli był przystojniakiem z zupełnie innej bajki.

- Policja ma nam dać znać, jeśli coś znajdą - powiedział. - Ale ja obstawiałbym miejsca takie jak to. Chyba że jest w dżungli.

Ochrona wpuściła ich i rozpoczęli poszukiwania.

- Ależ tu śmierdzi. - Lydia zatkała sobie nos.

- To latryny - wyjaśnił Jack. - Tu nie ma bieżącej wody.

Osada była większa, niż Lydia przypuszczała, hałaśliwa i zatłoczona. Ścisnęło się jej serce.

- To mi wygląda na szukanie igły w stogu siana. Ilu tu jest ludzi?

- Parę tysięcy.

- I czym się zajmują?

- Niektórzy pracują u mnie przy żywicowaniu.

- A reszta?

Wzruszył ramionami.

- Z tą resztą jest problem.

Lydia opędziła się od komarów i spojrzała na mrożące krew w żyłach monotonne szeregi nędznych chat, nie większych od przeciętnej ogrodowej szopy na narzędzia.

- To wygląda jak obóz koncentracyjny - powiedziała.

Rozległo się bicie dzwonu i przez megafon odczytano ogłoszenie. Tłum zgęstniał, szmer głosów stał się jeszcze głośniejszy. Ludzie zaczęli się przemieszczać w stronę podwyższenia zbudowanego na końcu odkrytego terenu. Była godzina szósta i zaczynało zmierzchać.

Jej serce podskoczyło.

- Spójrz! Tam!

Koło jednej z chat kręcił się smagły chłopiec.

- Maz?! - krzyknęła i zaczęła iść w jego stronę. - Czy to ty?

Chłopiec wynurzył się z cienia, mały ciemnowłosy obszarpaniec.

Lydia westchnęła.

- Tak myślałam, z nadzieją należy się raczej pożegnać.

Jack otoczył ją ramieniem.

- A co jeśli on jest ranny? Czy tu jest jakiś lekarz?

Jack zaprzeczył ruchem głowy.

- Pokręcimy się trochę, dobrze? Jeśli Maz gdzieś tu jest, pewnie będzie wśród widzów - powiedział.

- Chyba że jest uwięziony, wtedy nie będzie.

- Na wszelki wypadek rozejrzemy się wśród tłumu. Możemy tu i ówdzie rzucić jakieś słówko. Tylko dyskretnie.

Gdy szli za gromadzącymi się przy estradzie ludźmi, starała się nie zwracać uwagi na nieświeży zapach ich spoconych ciał.

Jack wcisnął się wraz z nią na czoło pochodu, gdzie paliły się mające tworzyć atmosferę dżungli lampiony pokryte zieloną i pomarańczową tkaniną. Uderzenie gongu oznajmiało początek przedstawienia.

Zza prowizorycznej kurtyny wyszły chińskie tancerki w tradycyjnych sukniach i kunsztownych nakryciach głowy. Lydia nie zwracała uwagi na wykonawców, bez przerwy odwracała głowę, wzrokiem przeszukując tłum. Były tam dziesiątki dzieci i każde z nich mogło być Mazem. Od czasu do czasu uśmiechała się, będąc pewna, że właśnie go dostrzegła, ale za każdym razem to była pomyłka.

Na podwyższeniu pojawił się zastępca naczelnika okręgu, żeby wygłosić wprowadzenie do spektaklu.

- To taka propaganda z naszej strony - wyjaśnił Jack. - Ma przekonać młode dziewczyny, żeby przestały wielbić powstańców.

W tym momencie Lydii to nie interesowało. Interesowało ją jedynie odnalezienie Maza.

Rozpoczęło się przedstawienie.

- Uśmiechaj się. Staraj się zachowywać normalnie - szepnął Jack.

Lydia nie słuchała. W uszach czuła szum pulsującej krwi. Dostrzegła kogoś. I nie był to Maz. W tłumie po drugiej stronie sceny, wciśnięta między dwóch wyglądających na brutali mężczyzn, stała Lili. Nie miała już na sobie swoich eleganckich ubrań, najwyraźniej źle się czuła. Zaskoczona jej wychudłą twarzą Lydia złapała Jacka za łokieć i odwróciła się do niego.

- Tam jest Lili, zobacz. Wygląda strasznie.

Gdy znów spojrzała w to samo miejsce, dziewczyny już nie było.

- Nie sądzę, żeby to mogła być ona - powiedział Jack. - Lili potrafi o siebie zadbać, na pewno wszystko z nią okej. Chodźmy stąd. Maza tu nie znajdziemy.

- I co teraz?

- Przeszukajmy obrzeża i dalsze zakątki terenu. A potem znów wrócimy do centrum.

Przepychając się łokciami, wydostali się z tłumu, minęli metalowy zbiornik, pozamykany na kilka kłódek i przypominający bardziej wielką chatę. Dziesiątki ptaków grzebały obok w piachu w poszukiwaniu żeru.

- To silos na żywność - wyjaśnił Jack, widząc, jak zdumiona Lydia marszczy brwi. - Policja kontroluje dostawy.

Doszli na koniec obozowego terenu, gdzie z fosy dobiegł ich przeraźliwy bagienny smród. Tu wszystkie przejścia między chatami były pokryte błotem, a powietrze gęstniało od insektów. Nie było więc widać bawiących się na powietrzu dzieci. Lydia rzuciła okiem za druty, w głęboką zieleń puszczy. Było tam nawet ciszej niż zazwyczaj i nie mogła znieść myśli, że mógłby się tam znajdować Maz.

- Nie ma dużej nadziei - stwierdził Jack.

Pokręciła głową i zacisnęła kciuki. On musi tu gdzieś być.

Wrócili po swoich śladach w błocie i doszli do kawiarni.

- Zaczekaj tu - powiedział. - Pogadam z właścicielem.

Na zapyłonej glebie wały się dziesiątki ulotek. Podniosła jedną z nich i popatrzyła na zdjęcia spasionych byłych



terrorystów, którzy przeszli na stronę rządową, pozujących na tle swoich wygłodzonych dawnych towarzyszy. Na górze coś było napisane chińskimi literami. Pewnie wezwanie do poddania się. Siedziała i czekała na Jacka, obserwując bandę dzieciaków biegnących wąską ścieżką. Czy Maz mógłby być jednym z nich? Zawołała go po imieniu. Żadne z dzieci nie zareagowało. Zamiast tego pojawił się mężczyzna pachnący mocnym tytoniem. Wyciągnął do niej rękę, przysunął stanowczo zbyt blisko twarz i sięgnął do kieszeni luźnych czarnych spodni. Lydia cofnęła się gwałtownie w obawie, że wyciągnie nóż. Ale on miał w ręku tylko zniszczony płócienny woreczek.

Poszukała w torbie drobnych i położyła na stole dziesięć centów. Czuła się niepewnie. Ściemniało się i parafinowe lampy palące się w chatach ocieplały atmosferę tego okropnego miejsca, ale jej serce wciąż biło w przyspieszonym tempie.

Jack podszedł z dwiema filiżankami kawy.

- Dobrze, że już jesteś. Dowiedziałeś się czegoś?

- Nie. Ale zobacz, tam jest Bert.

Wskazał mężczyznę po drugiej stronie wąskiej ulicy, który nie spuszczał oka z tłumu. Jednocześnie dwóch żołnierzy chodziło od chaty do chaty. Z niektórych wyciągali ludzi na zewnątrz.

- Szukają wszystkiego, co nielegalne. A jeśli coś znajdą, właściciel domu zostaje zatrzymany na półtora roku.

- Bez sądu? - spytała Lydia.

- Obawiam się, że tak. - Pokiwał głową.

Podeszli do Berta i zapytali go o Maza.

Policjant pokręcił głową.

- Tutejsi malajscy policjanci powiedzieli mi, że zaginęło dziecko. Ale przykro mi, my nic nie wiemy. Chodźcie, poszukam trochę razem z wami, a potem odprowadzę was do wyjścia.

Poszli do sklepiku, który znajdował się niecałe sto metrów dalej. Mroczne wnętrze oświetlały tylko dwie lampy naftowe. Jack zapytał właściciela o chłopca i poprosił, żeby w razie czego zwrócił na niego uwagę.

Przez następne pół godziny pytali w każdym sklepiku i kafejce. W końcu Bert poprowadził ich wśród zapachu stęchlizny z powrotem do stanowiska ochrony, gdzie zebrał się spory tłum. Lydia poczuła ciarki na skórze. Jakieś niemowlę wrzeszczało, a po bokach zasypanej śmieciami alejki w równych rzędach stali żebracy. Jack złapał Lydię za łokieć i torował sobie drogę przez tłum.

Ona cały czas rozglądała się za Mazem.

Tęskniła do jego jasnego, ufego spojrzenia, jego ślicznej buzi, do tego, jak liczył i jak uganiał się za motylami. Nie mogła znieść myśli, że zagubił się gdzieś w obcym świecie. Modliła się w duchu, żeby okazało się, że matka zabrała go do siebie. Ale nie do buntowników z dżungli. Spojrzała w górę. Drzewa wznosiły się czarne na tle ciemniejącego nieba, łukowato wygięte i postrzępione. Nad ich koronami krążyły drapieżne ptaki. Zachciało się jej płakać.

Przy wyjściu tłoczyła się jazgotliwa grupka ludzi. Lydia zaczęła się bać i złapała Jacka za ramię.

W błoto między dwoma rzędami ogrodzenia wrzucono dwa nagie, podziurawione kulami ciała. Lydia z rozpaczą patrzyła na ich wychudłe, bezwładne kończyny i martwe oczy. To przecież są czyiś synowie, czyiś bracia. Usłyszała, jak ktoś liczy, obejrzała się i zobaczyła grupkę ubranych na czarno kobiet, które pokazywały sobie ślady po postrzałach i z niedowierzaniem kręciły głowami.

- To bardzo odstrasza - odezwał się na widok zwłok Bert.

Lydia puściła ramię Jacka i cofnęła się.

- A więc urządzamy dla nich przedstawienie, a zaraz potem próbujemy śmiertelnie ich wystraszyć.

- Coś w tym rodzaju - potwierdził Jack.

- Ale to są ludzie, Jack.

- Być może ci sami, co podpalili dom gościnny w Ipoh - powiedział Bert z kamienną twarzą. - Oni chcą, żebyśmy nie czuli się bezpiecznie, no to im się odwzięczamy.

Lydie zabrakło słów, przestała słuchać. Smród, widok, hałas - tego już było za dużo. Czuła, że traci równowagę; zauważyła gniewne spojrzenie Jacka, który podtrzymał ją, żeby nie upadła.

- Nie daj się oszukać - powiedział. - Nazywają to kryzysem czy stanem wyjątkowym, ale - zapamiętaj sobie moje słowa - to jest regularna wojna. I każdy coś tu kombinuje.

- No tak, ale niebiosa są po naszej stronie.

- Niebiosa. Nie sądzę - parsknął Jack.

Reflektory oświetlające bramę były coraz bliżej i w końcu wysoki mężczyzna przepuścił ich. Przeszli przez fosę, a ogolona głowa i wyprostowana postawa strażnika

przypomniały Lydii Adila, człowieka poznanego w czasie podróży autobusem i pociągiem. Chciałyby, żeby to był on. Jego wiedza na temat funkcjonowania tego kraju na pewno by się im teraz przydała. Pomógłby odnaleźć Maza. Ale oczywiście to nie był on. Mijając go, stwierdziła, że podobieństwo było dość powierzchowne. Była zdana na Jacka, który robił, co mógł, ale to nie wystarczało, by otrzymać pomoc w odnalezieniu małego mieszańca - półkrwi Chińczyka i Malaja zarazem. Ani policja, ani nikt inny nie wydawał się tym zainteresowany.

## 26

W szkole i internacie prawie cały czas ukrywałam ból nie do zniesienia spowodowany zniknięciem mojej matki. Może i gdzieś zaginęła, ale nie wierzyłam w jej śmierć. Nocami wracałam na Malaje, do ulewnych deszczy rozmywających ścieżki, stawiających pod znakiem zapytania możliwość wyjścia do ogrodu. Do monsunów, wskutek których ład zalewany jest bezmiarem brudnej wody. Słyszałam głos mamy, budziłam się zrana potem, drżąc z poczucia straty i ze strachu, że może ona mnie nigdy nie kochała.

Za dnia razem z Susan Edwards nabijałyśmy się z nauczycielek i uczennic. To był nasz sposób na przetrwanie. Powiedziała mi, że jej matka przyjechała do kraju z Indii będąc w ciąży i że urodziła ją w przytułku dla niezamężnych matek w Birmingham. Służby społeczne znalazły dla Susan rodzinę zastępczą, ale nawet po adopcji ona tam nie pasowała, co skończyło się zesłaniem do Penridge Hall.

- Kto ci opłaca pobyt? - zapytałam ją w czasie nielegalnej przerwy, jaką sobie urządziłyśmy w trakcie forsownego marszu terenowego. Oni to nazywali biegiem przełajowym.

- Władze lokalne. Nikt inny nie chciał. Rebecca ma podobną sytuację, ale ona się do tego nie przyzna. Podśluchałam, jak dyrektorka mówiła do którejś nauczycielki, że ta dziewczyna nikogo nie ma. Finansuje ją organizacja dobroczynna dla

dzieci z zaburzeniami. Gdyby nie trafiła do nas, wylądowałaby w poprawczaku.

Byłam zdumiona. Susan pokiwała głową i skrzywiła się. To wszystko dało mi do myślenia.

- Babcia twierdzi, że tata jest kompletnie spłukany - powiedziałam. - I prawie wymusnęło się jej, że to nie on płaci za moją szkołę. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie.

- To go zapytaj.

- Nie znasz mojego taty.

- Możemy się dowiedzieć - powiedziała Susan lekko.

- W jaki sposób?

Położyła palec na ustach i spojrzała na mnie znacząco.

- Zaatakowałam tego człowieka. Czy to ma jakiś związek?

- Za to raczej trafiłabyś do poprawczaka, tak mi się wydaje.

- On nie wniósł oskarżenia. Jego siostra jest dziewczyną taty.

- To może płacą za ciebie władze oświatowe albo pomoc społeczna. Jak w przypadku Rebecki.

Skrzywiłam się.

- Ale ona ma podobno bogatych rodziców?

- Tylko tak mówi!

Stałyśmy pod rozłożystym kasztanowcem, najfajniejszym jesiennym drzewem. Patrzyłam na senne, wyblakłe pola i szarobure chmury.

- Jeśli szkoła chce prawdziwego trekkingu, powinna nas wywieźć na Malaje - powiedziałam, dumnie wysuwając podbródek. - Do dżungli.

- Och, przestań już z tymi Malajami. Co powiesz na coś

takiego? - Patrzyła przed siebie. - Możemy teraz dać nura w krzaki i pobiec do szkoły na skróty, przez las.

- Bo ja wiem?

Pomyślałam o nocy, którą spędziłam tam samotnie.

- No to dołem, przez łąkę. Naprzód, Em. Nie chcesz wiedzieć, kto za ciebie płaci? Tata czy rada miejska? Zobaczysz, uśmiejemy się. Teraz w szkole nikogo nie ma. Przynajmniej schowamy się gdzieś przed tą pieprzoną mżawką.

Uwielbiałam, gdy się brzydko wyrażała, ciemne oczy tak jej wtedy błyszcząły. A poza tym miała rację - to pochmurne szare niebo było nie do zniesienia. A co srode tuż po lunchu cała szkoła musiała udawać się w teren, nauczyciele również.

Wspięłyśmy się na pochylony kawałek płotu, przeskoczyłyśmy przydrożny rów, przeszłyśmy przez łąkę, gdzie w wysokiej trawie zmarzły nam nogi, i bardzo szybko znalazłyśmy się przy drodze prowadzącej na tyły szkoły. Po półgodzinnym marszu doszłyśmy do budynku. Byłyśmy w jedynym miejscu, z którego można się dostać na teren od tyłu, nie będąc przy tym widzianym.

W środku skulone sunęłyśmy korytarzami, przyczajałyśmy się we wnękach i psykałyśmy jedna na drugą jak tajni agenci.

- Ja tu poczekam i będę mieć oko na korytarz. A ty idź sprawdzić, czy biuro nie jest zamknięte - powiedziała.

Gdy skradając się, doszłam do gabinetu dyrektorki, nacisnęłam klamkę i szeroko otworzyłam drzwi, musiałyśmy zrobić krótką przerwę na napad śmiechu. Pokój był po sufit zabudowany szafkami na dokumenty. Wskazałam je Susan

ruchem głowy.

Mina jej zrzędała.

- O rety. Tego są setki. Nie znajdziemy twojej teczki nawet za milion lat.

- Lepiej już zacznijmy - powiedziałam. - Ale pamiętaj, odstawiaj wszystko na miejsce.

- Ja bym chętnie to pomieszała - odparła ze śmiechem i przeszła się po pokoju, wyszarpując na chybił trafił niektóre szuflady. Z kosza na śmieci wyjęła kolorowy magazyn.

- Ooo, zobacz tylko! Ona czyta „Woman and Home”.

Uniosła w górę okładkę ze zdjęciem gładko uczesanej kobiety w fartuszkach, z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Złapałam pismo i zaczęłam czytać, wytwornie akcentując: *Każda kobieta odnajduje szczęście i spełnienie w kuchni i w pokoju dziecięcym. Tam czuje satysfakcję i wdzięczność. W środku znajdziecie ośmiostronicową wkładkę ze wzorami robótek na drutach oraz wzruszające opowiadanie pióra Lucilli Smythe-Watkins.*

Susan wywaliła język.

Złapałam krzesło i omal nie wdepnęłam w miskę z psim żarciem. Teriera dyrektorki prawie się nie widywało. Stojąc na krześle, mogłam z bliska przyjrzeć się skoroszytom z górnych półek, ale stwierdziłam, że nie trzeba ich wyjmować, wystarczy dobrze wyciągnąć szyję. Każda teczka miała na grzbiecie przyklejoną etykietkę z wypisanym na maszynie nazwiskiem i rokiem przyjęcia.

- Nie są ustawione alfabetycznie? - spytała Susan.

Przyjrzałam się jeszcze raz.



- Niektóre są. Ja przejrzę te, a ty szukaj na dole.
- Ale one są z bardzo dawnych lat. I każda ma inny kolor.

Wyszło słońce i rzuciło cień liści na otwartą na biurku dyrki gazetę. Susan zaczęła przeglądać stertę magazynów, którą znalazła na krześle przy biurku.

- Popatrz no tylko - tu na okładce jest zdjęcie Marylin Monroe.

- Myślałam, że szukamy moich papierów.

- „Błyszcząca gwiazda” - przeczytała. - „Prawda i marzenia”.

- O Boże, chyba znalazłam! - Wyciągnęłam teczkę z moim nazwiskiem wypisanym tłustym drukiem na okładce i na grzbiecie.

Zza okna dobiegł głos dyrki.

Susan zamarła.

- Zwiewaj - powiedziałam.

Posłała mi przez ramię wdzięczne spojrzenie i wybiegła. Po kilku sekundach usłyszałam na korytarzu jeszcze czyjeś kroki i przesywający, przypominający końskie rzenie okrzyk:

- Co ty robisz na korytarzu, dziewczynko?!

- Źle się poczułam, miss - odparła Susan na tyle głośno, żebym mogła usłyszeć.

- Pytałaś, czy wolno ci zawrócić ze spaceru?

- Nie, miss. Chyba zaraz zwymiotuję, miss.

- Trudno, idź do izby chorych. Chociaż w głowie się nie mieści, dlaczego tak postąpiłaś.

Szybko rozejrzałam się po pokoju. A co jeśli jest z nią terier? Na pewno zacznie warczeć.

Za biurkiem były dwa przesuwne okna wychodzące na boisko, zasłonięte prawie nieprzepuszczającymi światła, sięgającymi do ziemi zasłonami. Nie miałam wyboru. Przyciskając do piersi swoją „teczkę osobową”, wślizgnęłam się między okno a zasłonę w nadziei, że dyrektorze nie przyjdzie do głowy zamknąć okna z powodu zbliżającego się wieczoru. Bo wtedy na pewno mnie tu przyłapie. Wstrzymałam oddech. Mówiono o niej, że ma oczy z tyłu głowy, bałam się więc, że może mnie zobaczyć także przez gęstą zasłonę.

Zapaliła lampę i złoty blask wypełnił pokój. Bogu dzięki, nie ma z nią psa. Usiadła za biurkiem, za ledwie niecały metr ode mnie, odsunęła gazety i zaczęła coś pisać. Trwało to chyba z godzinę, chociaż nie miałam odwagi zerknąć w tym czasie na zegarek. Słyszałam śmiechy i żarty powracających z wycieczki, a także jakiś samochód nabierający w oddali prędkości. Wychowawczynie gderliwie popędzały dziewczęta. Zaraz zarządzą wieczorny apel. Umierałam z chęci pójścia do toalety, nogi ścierpły mi kompletnie. A to trwało i trwało. Zasłony tak paskudnie pachniały kredowym pyłem, że z trudnością powstrzymywałam kichnięcie. Gdy zadzwonił telefon, zacisnęłam kciuki i wstrzymałam oddech.

- Halo, tu panna Watson. Penridge Hall.

Boże, spraw, proszę, żeby ją teraz gdzieś wezwano.

Bujając się na swoim rozklekotanym krześle, porozmawiała przez kilka minut, po czym wstała i ziewnęła. Sprzątała biurko, co w moim odczuciu trwało wieki. W końcu zgasła światło i wyszła, zamykając drzwi z drugiej strony. O nie! Stało

się. Znajdą mnie tu. Rano. Jediną rzeczą, o jakiej mogłam teraz myśleć, było nasiusianie do kosza na śmieci. A potem uświadomiłam sobie, że gabinet znajduje się na pierwszym piętrze, a po lewej stronie tuż pod nim jest schowek na rowery. Może z tego drugiego okna da się zeskoczyć na jego dach? Przesuwne okno zacinało się lekko, ale pchnęłam mocniej i udało mi się otworzyć je na tyle, żeby rozejrzeć się na boki i spojrzeć na granatowe niebo. Znów zacisnęłam kciuki, popatrzyłam w dół i z westchnieniem ulgi ujrzałam krawędź rowerowej wiaty.

W ciągu pół roku od zaginięcia Maza życie Lydii przypominało huśtawkę. Raz miała nadzieję, że chłopiec przebywa ze swoją matką, innym razem obawiała się, że jest zupełnie gdzie indziej. Brak pewności to najgorszy przeciwnik. Dzwoniła do administracji okręgu, na policję, wszędzie, gdzie ktoś mógłby cokolwiek wiedzieć, ale to nic nie dawało. Jack szukał go w Ipoh i we wszystkich okolicznych wioskach, ale Maz po prostu zniknął.

Lydia była w podłym nastroju. Duchota i stalowoszare niebo na pewno się do niego dokładały. Plantacja zaczęła mieć kłopoty z terrorystami. Pewnego popołudnia Jack nie bez trudu usiłował przekonać przez telefon swojego szefa Jima, żeby pozwolił Lydii tu zostać. Wzdychał przy tym, nerwowo gładząc niesforne, sztywne blond włosy. Fakt, że na zaprzyjaźnionym z Jackiem posterunku malajskiej policji odkryto korupcję, nie ułatwiał mu zadania.

Jim był skłonny ustąpić. Lydia wiedziała, że nie powinna mu przeszkadzać jej obecność, jako że zasadniczo nie wpływała na funkcjonowanie plantacji. Zastępca menedżera, a taką funkcję pełnił Jack, zainwestował wiele czasu i wysiłku, żeby poczuć się pewnie w swojej roli, przezwyciężyć samotność, zrozumieć trudne niuanse życia plantatora i zdobyć zaufanie przełożonych. To ciężka – również pod względem fizycznym –

praca. Stąpanie po bagnistym podłożu, wyrąbywanie sobie drogi przez wysokie i gęste zarośla, codzienne użeranie się z niezbyt przyjaźnie nastawionymi robotnikami wymaga siły i odporności. A do tego dochodzi zagrożenie ze strony chińskich rebeliantów. Gdy pojawiało się niebezpieczeństwo, a praktycznie zdarzało się to bez przerwy, Jack musiał nauczyć się z nim żyć.

Lydia spojrzała, jak odkłada słuchawkę. Wzruszył ramionami.

- Da mi znać.

Przypomniały się jej wszystkie te chwile, kiedy go od siebie odpychała, i poczuła wyrzuty sumienia. Miał dobre serce, a od niej nie oczekiwał zbyt wiele. Teraz nie mają nikogo poza sobą. A Jackowi zawsze świeciły się oczy, gdy mówił o ich wspólnej przyszłości.

- Chodź do łóżka - zaproponował. - Za duży upał, żeby robić cokolwiek innego.

Kochali się czule i delikatnie. Opadli na poduszki, on opaloną ręką objął ją w pasie. Przejechała dłonią po jego obficie owłosionym ramieniu, srebrna bransoleta, którą nosił na nadgarstku, błyszczała w świetle przenikającego przez okiennice słońca, a on łaskotał ją po żebrach, aż popłakała się ze śmiechu. Wsłuchiwali się w śpiew sroczka za oknem, a potem on zawiesił na okiennicy pomarańczowożółte sari i sypialnia wypełniła się różowawą poświatą.

- Lubię, jak masz takie długie włosy - powiedział i wyrwał jedną z coraz liczniejszych siwych nitek.

- Auć!

Odsunął jej z twarzy burzę wilgotnych włosów, podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Podoba mi się - rzekł, patrząc na wyrwany włos pod światło. Lśnił srebrzyście i różowo.

Zmarszczyła czoło.

- Na miłość boską, chyba nie mam aż tak wielu siwych.

Zapadła błoga cisza. Jack wodził palcem wzdłuż niebieskich żyłek po wewnętrznej stronie jej nadgarstka.

- Opowiedz mi znowu o dziewczynkach.

Serce jej podskoczyło. Teraz już nie czuła lęku przed milczącą obecnością swoich dzieci. Często nawet sama do niej dążyła. Przywoływała w pamięci dni, kiedy się rodziły - małe, tłuste bobasy. Potem kolejne Gwiazdki, rodzinne uroczystości. Najgorsze miała już za sobą, przyjęła ich śmierć. Niestety, zaczęła powoli tracić z oczu ich wspólną codzienność. Pierwsze wypowiedziane słowa, rozszerzone gorączką źrenice i rozpalone policzki. Śmieszne spojrzonka, śmiech. Bała się tego zapominania i mówienie o córeczkach sprawiało jej radość. Jack to wiedział i słuchał, obejmując ją ramieniem. Wpasowała się w niego plecami tak dokładnie, żeby na karku czuć jego oddech.

- Emma zawsze czytała, leżąc na brzuchu i machając lewą stopą w powietrzu. Mieliśmy taką wielką skrzynię z drewna kamforowego. Trzymałam w niej wszystkie kostiumy do przebieranek i często się kłóciły, na którą przyszła teraz kolej, żeby włożyć kostium krokodyla z Piotrusia Pana.

Tęskniła do tych starych, barwnych czasów. Do Fleur, która wyciągała do niej rękę i mówiła: „Kocham cię, mamusiu”. Do

Emmy, która przybiegała umazana błotem i pokryta pajakami. Ale teraz jej dziewczynki byłyby już starsze, Emma miałaby prawie czternaście, a Fleur dziesięć lat. Usiłowała sobie wyobrazić, jak by wyglądały, ale to za dużo ją kosztowało. Zamiast tego pomyślała o Jacku. Silny i przystojny, była wdzięczna, że wziął ją do siebie. Kochała jego opadającą na oczy jasną grzywkę i wielkie dłonie, którymi ją odgarniał z czoła.

Przytulił ją mocno, tak mocno, jakby stanowili jedno ciało, po czym odsunął się ze łzami w oczach. Sięgnął ręką pod łóżko i rozrzucił po pościeli trochę płatków ze świeżo zerwanych kwiatów.

Roześmiała się.

- Co to ma być, diabelski przystojniaku? Nowa technika uwodzenia?

- Moglibyśmy się pobrać. Jak już będę mógł.

- Poważnie?

Zamilkli na moment.

- A nie musimy przedstawić świadectwa zgonu Aleca? George powiedział, że to załatwi, ale się nie odezwał.

- Możesz mu się przypomnieć - powiedział Jack. - Ale co do najważniejszego: co ty na to?

Pocałowała go mocno w usta, serce z radości zabiło szybciej.

- Ja na to: tak.

- A więc, droga pani dyrektorowo plantacji, mam coś dla pani.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, sygnalizując swój zamiar,

a gdy już wszystkie westchnienia i jęki mieli za sobą, leżał, paląc papierosa, z oczami utkwionymi w sufit.

- Mój demon seksu - powiedziała, opierając brodę na jego ramieniu.

Naprężył mięśnie i roześmiał się.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jeszcze?

- Gdzie byś chciała zamieszkać?

- Pytasz o Malaje?

- Nie, o cały świat.

Uniosła brwi.

- Nie wiem, nie myślałam o tym. A ty?

- W Australii. Myślałem o Perth. Są tam pieniądze do zrobienia. Kumpel zakłada kopalnię miedzi. Szuka partnera.

- A jak tam jest?

- Dokładnie nie wiem. Teren na pewno górzysty. Morze.

- To jest nad morzem?

- Taaa. Moglibyśmy kupić sobie łódkę.

Roześmiała się i przylgnęła do niego.

- To brzmi wspaniale, Jack.

Przyszło jej coś do głowy i nagle poczuła nową nadzieję. Jeśli się pobiorą, będzie mogła urodzić dziecko. Razem stworzą nowe życie. To, co się w niej złamało, zostanie naprawione. Utrata dziewczynek to wielki ból, po którym już na zawsze zostanie blizna. Ten ból przez długi czas kompletnie nie pozwalał jej myśleć, że można żyć bez nich. Ale w końcu żyje. Przetrwiała. I może nareszcie doszła do punktu, od którego myślenie o zmarłych przestanie dominować nad całym jej



życiem.

Po tak intensywnym popołudniu zmorzył ich sen, przerwany dzwonkiem telefonu. Jack wyszedł na korytarz, żeby odebrać połączenie.

- Tak, jasne. Już tam jadę - usłyszała jego słowa.

Wrócił uśmiechnięty od ucha do ucha.

- To Bert. Nie uwierzysz, ale chyba ktoś znalazł Maznana.

Wciągnęła powietrze i błyskawicznie siadła na łóżku.

- Och, Jack. Naprawdę?

- Rusz się lepiej. Muszę tam dojechać przed godziną policyjną. Bardzo źle było słyhać, nie mogłem nic powiedzieć. A jeszcze mam problem z jednym z robotników. Ale dasz wiarę? Jedziemy odebrać Maznana! Po takim czasie!

- Niech Tenuk cię zawiezie.

- Hmm, on na dziś już skończył pracę.

- Mimo to poproś go.

Jack poszedł zadaszonym przejściem do części mieszkalnej dla pracowników, ale zaraz wrócił z grymasem na twarzy.

- Nikogo tam nie ma.

Uniosła brwi.

- To dziwne. Ale nieważne. Ja pojedę. Naprawdę mam na to ochotę.

- Weźmiemy furgonetkę - powiedział Jack. - W osobowym bak jest prawie pusty.

Ubrała się szybko, tak rozemocjonowana rychłym spotkaniem z chłopcem, że Jack nie był w stanie tego pojąć. Ale cóż on mógł wiedzieć o słodkiej - choć niepozbowionej goryczy - władzy, jaką nad twoim sercem sprawuje dziecko.

I o tym, jak w ciągu sekundy może ci się zawalić cały świat. Jak bliscy mogą umrzeć, zanim ty zdołasz złapać oddech.

Na dworze jak co wieczór trwał żabi koncert. Wyglądało na to, że masywne, rozświetlone po brzegach chmury schodzą z gór. Czekala, aż Jack podjedzie niewielką furgonetką. Jej boczne okna były obite blachą i wyglądać można było tylko przez wąskie szpary. Pojazd był bezpieczniejszy od auta osobowego, chociaż i nim Jack poruszał się zazwyczaj w towarzystwie szofera Tenuka albo dwóch oddelegowanych do pilnowania plantacji policjantów. Jeśli ich akurat nie było, brał ze sobą funkcjonariuszy malajskich, zwanych z indonezyjska *mata-mata*, zwłaszcza jeśli musiał przewieźć pracowników dużą ciężarówką. Jack zwykł mawiać, że nie wie, komu ufać mniej: malajskim policjantom czy chińskim buntownikom. Ale tym razem jechali tylko do najbliższej wioski.

Lydia tęskniła do wspólnych śniadań z Mazem na werandzie, gdy patrzyli na ciemne drzewa i słuchali porannego śpiewu ptaków, zanim palące słońce ich wygoniło, każąc się skryć w domu. Objęła się ramionami. Teraz już wszystko będzie okej. Ogarnęła ją euforia. Ktoś znalazł Maza. Muszą go tylko odebrać i on znów będzie bezpieczny, a ona z Jackiem wezmą ślub i będą mieli dziecko. Wszyscy zamieszkają razem. Przemknęło jej przez myśl, że tak naprawdę nie wie, czy Jack chce mieć dziecko.

Zaczęła się gramolić na przednie siedzenie furgonetki.

- Nie, Lyd. Wskakuj do tyłu. Trzymajmy się zasad bezpieczeństwa.

Jęknęła, ale – przepełniona nadzieją – posłuchała go.

– Ciekawe, dlaczego Channy nie ma w domu – powiedziała głośno w szczelinę między siedzeniami. – Zazwyczaj przed zrobieniem kolacji lubi trochę odpocząć.

– Może odwiedza jakichś krewnych. Czasem po lunchu jedzie gdzieś na rowerze. Ależ wspaniała nowina! – odkrzyknął Jack. Między tyłem a przodem samochodu zainstalowano stalową przegrodę, więc ciężko było rozmawiać.

Poczuła kolejny przyływ ekscytacji. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy Maza.

– Jestem taka szczęśliwa. Czy Bert powiedział coś więcej?

– Nie. Tam coś się chyba działo.

Wiedziała, że to nie miejsce ani czas, ale nie mogła się powstrzymać. Za pierwszym razem nie usłyszała, więc krzyknęła ponownie:

– Co ty na to, żebyśmy mieli dzidziusia?

Samochód szarpnął i Lydia wstrzymała oddech. A co jeśli on nie będzie chciał? Wiadomo, że pragnie mieć łódź, grać w krykieta i w rugby. Może nie chce zostać ojcem. Kobiety kochają dzieci, a mężczyźni przygody. Zawsze tak było, jak świat światem.

– Do jasnej anielki, Lydio. Po takim pytaniu facet może dostać ataku serca. – Zamilkł na chwilę. – Najpierw znajdziemy Maza, a potem zobaczymy, co nam los przyniesie.

– Moglibyśmy go zaadoptować.

Przez chwilę się nie odzywał, a Lydia uśmiechała się na myśl, że zaraz zobaczy Maza. Poczuła przyływ energii.

Uszyje mu garniturek małego drużby. Ona nie powinna mieć białej sukni, ale co z tego? To już niedługo... A potem zaczną się starać o dziecko. Po raz pierwszy przyszłość ukazała się jej w jasnych barwach, a świat stał przed nimi otworem, czekał na nich. Mogą zacząć nowe życie w Perth albo gdziekolwiek. Wybór należy do nich. Jej umysł poddał się wyobraźni. Wspólne życie. Z Mazem i ich dzieckiem – jego młodszym braciszkiem albo siostrzyczką. Będą mieli ogród z ogromnym trawnikiem, jabłonkami i huśtawką dla dzieci.

Z rozmyślań wyrwał ją potworny hałas. Pojazd gwałtownie skręcił w prawo i stanął w rowie melioracyjnym.

– Kładź się, Lydio – syknął Jack, wsadziwszy głowę w szczelinę w oddzielającej ich metalowej przegrodzie.

– Co się stało?

– Nie wiem.

Przesłał jej w powietrzu pocałunek i podał swój zapasowy rewolwer.

Pochwyciła go trzęsącymi się rękami.

– Wystaw lufę przez jakąś szparę i nie zawahaj się go użyć.

I pod żadnym pozorem nie wysiadaj z auta.

Serce waliło jej jak młotem.

– A ty?

– Pójdę się rozejrzeć.

– Nie, Jack!

Słyszała, jak się szamoce z drzwiami i wychodzi na zewnątrz, w tle brzmiały piskliwe chińskie głosy. Wyjrzała przez szparę z boku samochodu, ale stojący z przodu Jack był poza zasięgiem jej wzroku. Była pewna, że w sekundzie, która

poprzedziła odgłos wystrzału, dostrzegła na poboczu Lili, częściowo schowaną za kauczukowcem. Widziała, jak dziewczyna ciężko dyszy, a potem zakrywa sobie dłońmi otwarte usta. Miała przerażony wzrok.

Lydii zaczęły się szybko przesuwać przed oczami tysiące obrazów. Jack jest bezpieczny. Jack jest z nią. Są małżeństwem. Są szczęśliwi. Dziecko. Ich dziecko. Prawie nie usłyszała drugiego wystrzału. I nagle wszystko nienaturalnie ucichło. Zamarła z palcem na cynglu broni Jacka, a w miarę narastania ciszy serce biło jej coraz szybciej. Zrobiło się jej niedobrze, poczuła gwałtowne mdłości, jakby jej ciało chciało wyrzucić z siebie to, co po tym wystrzale stało się oczywistością.

Nie, to nie może się dziać naprawdę. Nie Jack. Nie po tym, jak straciła dziewczynki. Zamknęła oczy, a pod powiekami widziała jedynie twarz Lili.

Skuliła się z tyłu samochodu i zaczęła trząść. Przytknęła do oczu zaciśnięte pięści. Nie wolno jej w to uwierzyć, musi wybłagać u Pana Boga, żeby nie odbierał jej ciepła jego ciała i błysku jego niebieskich oczu. Jego leniwego, szatańskiego uśmiechu, gdy zbierało mu się na miłość, jego ogromniastych dłoni. Gardłowego śmiechu. Wyobrażała sobie jęklive bzyczenie moskitów oraz wszystkie węże i skorpiony dżungli. Zesztywniała z przerażenia, ale przecież musi się poruszyć. Wyjść stąd. Zobaczyć Jacka. Być z nim.

Sięgnęła do klamki tylnych drzwi. Były zablokowane.

Jasne, przecież otwiera się je tylko z zewnątrz. Podniosła się i przez wąską szczelinę przecisnęła się – głową do przodu – na

przednie siedzenie. Gdy się wyprostowała, dostrzegła na asfalcie jego krew. Całe morze krwi, powietrze przesycone było jej słodko-słonym zapachem. Zatkąła sobie usta dłonią i pchnęła drzwi, które teraz wisiały krzywo na jednym zawiasie, skulona wypełzła z samochodu i z trudem wydostała się z rowu. Podbiegła i osunęła się na kolana tam, gdzie twarzą do ziemi leżał Jack. Zaczęło padać i woda zmywała resztki jego życia, które strumieniem płynęły wzdłuż szosy.

Ostrożnie obróciła ciało, żeby zajrzeć mu w twarz. Wargi miał białe, wzrok nieobecny. Martwe oczy. O nic go nawet nie oskarżono. Tak szybko. Wszystko rozegrało się tak szybko. Poczowała na sobie ciepło jego warg, przypomniała sobie, jak się uśmiechał, jak ją łaskotał. Łzy trysnęły jej z oczu i spływały po policzkach.

Och, Jack.

Deszcz przestał padać, słychać było tylko kapanie pojedynczych kropli. Powietrze wypełniło się parą, cienie zaczęły się wydłużać. Lydia wstała i odeszła w krzaki. Siusiała, ani przez sekundę nie spuszczając go z oka. Nie przejmowała się, że ją też mogą zastrzelić. Właściwie to sobie na to zasłużyła. To jej wina. Gdyby nie suszyła mu tak głowy o Maza, pozwoliła mu się skupić na pracy... Nawet nie zauważyła, jak nadeszła noc. Z wdzięcznością przyjęła czarną kurtynę, która szczelnie odgradzała ją od reszty świata. Położyła się na drodze obok niego, po raz ostatni owinęła wokół jego ciała, piastowała go, ubezpieczała, a jej ubranie nasiąkało jego krwią.

Znaleźli ją nad ranem. Było ich czterech. Dwóch

posterunkowych w khaki, Bert i jakiś inny z oddziałów specjalnych, w opancerzonej ciężarówce. Spojrzała w górę i nad głową Berta dostrzegła srebrne ptaszki przelatujące przez poranne niebo. Policjant wyciągnął do niej rękę i dotknął jej. Podniósł ją z ziemi. Bert. Silny północny akcent i majestatyczny, zdecydowany krok. Pomyślała, jak bardzo typowi Brytyjczycy nie przystają do warunków malajskiej dżungli.

Rozcierał jej dłonie, żeby je ogrzać.

- Daj spokój, Lyd - powiedział. - Jackowi już nie pomożemy.

Odczuwała utratę Jacka na sposób czysto fizyczny, jakby ją ktoś kopnął w brzuch i pozbawił wszystkich wnętrzności. Pod dotykiem Berta wzdrygnęła się i zgięła w pół. W gardle ją paliło. Trzymając się ręką za przeponę, starała się jakoś pozbierać. Gdy prowadził ją do samochodu, odwróciła się do niego, ale nie mogła się zmusić, żeby mu spojrzeć w twarz.

- Jechaliśmy do ciebie - wymamrotała.

Bert wyglądał na zdezorientowanego.

Wyprostowała się i stanęła naprzeciw niego z wściekłością w oczach.

- Zadzwońeś do Jacka. Powiedziałeś, że ktoś znalazł Maza. Przypomnij sobie. Wezwałeś go. Kazałeś przyjechać do wioski.

- Nie.

Złapała go za koszulę i krzyczała:

- Przypomnij sobie!

Ostrożnie zdjął z siebie jej rękę i złapał za ramiona.

- Lydio. Ja nigdy nie dzwoniłem do Jacka.

Echo wystrzału brzmiało jej w uszach. On się myli. On musi

się mylić.

- Nic na to nie poradzimy - powiedział. - Obawiam się, że Jacka ktoś wciągnął w pułapkę. Bardzo mi przykro.

Nogi jej się trzęsły, bała się, że nie da rady na nich ustać. Ale słowa Berta pokrzepiły ją. Powoli pokręciła głową. On nie ma racji: ona może coś na to poradzić. Dowie się, kto zdradził Jacka, kto naprawdę do niego dzwonił. Nieważne, ile miałyby to ją kosztować, odnajdzie tego, kto wiedział, że Jack będzie jechał tą drogą bez asysty policyjnej. A zacznie od poszukania Lili.

Odwróciła się, żeby nie patrzeć, jak dwaj posterunkowi zbliżają się do Jacka, jak zmagają się z jego zeszywniałym ciałem i jak kiwają głowami nad jeszcze jednym straconym ludzkim życiem.

Następnego dnia odbył się pogrzeb. Po oberwaniu chmury, które przeszło nad okolicą, dzień był jasny i gorący. Malajski skwar nie do zniesienia do minimum skrócił wszelkie formalności. Niewielka grupka ludzi odwracających wzrok od dziury w ziemi, żeby się do siebie niepewnie uśmiechnąć. Z błyskawicznie wędnącym bukietem żółtych kann w ręku, Lydia skinęła głową Bertowi i jeszcze jakiemuś policjantowi, dwóm nieznanym jej kumplom Jacka, jego szefowi Jimowi i pięknej Chince, która sypała na ziemię płatki róż. Kobieta nie odzywała się do nikogo, mamrotała tylko coś pod nosem z beznamietnym wyrazem twarzy.

Odbyła się krótka ceremonia pod gołym niebem. Mokra od niedawnego deszczu trawa połyskiwała w słońcu, a wiatr rozwiewał ziemię wokół wykopanego grobu. Jakie życie



potrafi być okrutne, pomyślała Lydia, gdy ze spuszczoną głową słuchała czytanego przez Jima wiersza.

*Nie stój nad grobem, nie lej łez,  
Ja nie śpię, jam gdzie indziej jest.  
Znajdziesz mnie w cichej dnia godzinie,  
We wdzięcznej ptaków krzątanie  
Na niebie. I w gwiazd srebrnym blasku.  
W rosie, co budzi świat o brzasku.  
Więc odsuń precz woale czarne,  
Mnie tutaj nie ma.  
Nie umarłem.*

To pasowało do Jacka. On wierzył w świat przyrody, a nie w Boga, życie pośmiertne, niebo i piekło. „Piekło jest tu, na tym przeklętym świecie” – mawiał często, jęcząc, gdy coś mu nie szło.

Trumnę spuszczone do dołu. Lydia wybrała model ozdobny, zapłaciła z pieniędzy, które Jack ukrywał pod podłogą, choć on pewnie uznałby to za rozrzutność. Za resztę pieniędzy będzie żyła, aż się wyczerpią. Pomyślała o tym, co powiedział, gdy pokazywał jej skrytkę. „Na wypadek gdybyś potrzebowała”. Z głębi zarośli dobiegł trzask, jakby coś pękało, a potem wszystko wokół ucichło na moment, życie uległo chwilowemu zawieszeniu. Rzucając na wieko trumny garść ziemi z plantacji i bukiet kann, poczuła tępy ból w głębi oczodołów. Tuż przy swojej stopie spostrzegła naruszone częściowo przez kopanie grobu mrowisko z jego rojącymi się mieszkankami. W bezruchu wdychała zapach ziemi i kwiatów, widok trumny

nadal ją szokował. Zamarła w milczeniu, wspominając, co było dla niego ważne, gdy jeszcze żył. Potem wzięła głęboki wdech i wsłuchiwała się w odgłosy dżungli, które nagle powróciły: terkotanie, głuche dudnienie, pomruki, brzęczenie.

Bert taktownie poprowadził ją kawałek dalej, gdzie ktoś ustawił półmisek z kurczakiem chilli i daktyle w miodzie. Jedli palcami, siedząc po turecku na ziemi. Gdy kapłan odjechał, pili dzin z butelki i każdy po kolei wspominał Jacka. Grabarze zasypali grób, po czym stanęli z boku w cieniu drzew i przyglądali się żałobnikom. W oddali czekał samotny pies. Smutno, żałośnie. Gdy przyszła pora zapalania świec, ktoś przyniósł niewielki lampion i Lydia mogła popatrzeć na unoszące się w jego świetle pomarańczowe ćmy. Łagodna bryza schłodziła powietrze.

Po chwili Bert odezwał się do niej:

- Wracajmy już. Czy Jim zabiera cię do siebie?
- Nie, podwiezie mnie do domu Jacka, wezmę swoje rzeczy, a jutro ruszam na południe.
- Masz pieniądze?

Przytaknęła ruchem głowy i w tym momencie za jego plecami zobaczyła przesuwającą się między drzewami ludzką sylwetkę. Poczowała żywiołową niechęć i odrazę.

- Czy to nie była Lili? - spytała.
- Przepraszam, nie zwróciłem uwagi. A tak przy okazji, nie wiesz, gdzie jest drugi pistolet Jacka? Musimy się z niego rozliczyć.

- Dałam go Jimowi - odparła.

Gdy Bert wsiadał do swojego samochodu, Lydia

przypomniła sobie Chinę, która nie wzięła udziału w improwizowanej żałobnej popijawie. Zapytała o nią Berta.

Rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Chyba jakaś dawna ukochana Jacka. Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Pokręciła głową. Nie, teraz nic nie ma znaczenia.

Wiatr przynosił strzępy rozmaitych dźwięków - brzęczenie owadów, natężenie obrotów samochodowego silnika, zawodzenie dżungli. Przez chwilę okolicę oświetlał długi, niski reflektor. Pomyślała o szerokim cieniu, jaki rzucał w takim świetle Jack, i o ich sekretnych wybuchach śmiechu. To było tak dawno, zanim to wszystko się wydarzyło. Wspominała jego plecy, silne ramiona i to, jak zwijała się obok niego w kłębek, wpasowana w jego ciało. Zakochani, niemal oddychali sobą nawzajem. Serce biło jej jak oszalałe i gubiło rytm, gdy odwróciła się, żeby spojrzeć na kopczyk ziemi, którą był przysypany.

- Żegnaj, kochany - wyszeptała, nie mogąc powstrzymać łez.

- Wybacz mi.

Wyświechtane zwroty, ale tylko na takie potrafiła się zdobyć.

Udało mi się odwrócić uwagę osoby nadzorującej odrabianie lekcji i – zaszyta w pustym o tej porze dormitorium – mogłam oddać się studiowaniu swoich akt. Zebrała się ich całkiem pokaźna sterta i przejrzenie zawartości tekturowej teczki w kolorze sepii nie zapowiadało się na coś łatwego i lekkiego. Wścibstwo nie popłaca, bo można dowiedzieć się czegoś, o czym wolałoby się nie wiedzieć. Tak zawsze mawiała babcia. Przypuszczalnie płaci za mnie samorząd lokalny. Nic zaskakującego. Ale nagle uderzyła mi do głowy myśl: a może to jednak Veronica? Wtem drzwi otworzyły się na oścież.

Do pokoju wtargnęła uśmiechnięta Susan.

– Jak udało ci się stamtąd wydostać?

– Wyskoczyłam.

– O cholera! – Kujnęła mnie palcem między żebra. – Nie otworzyłaś tego jeszcze?

Pokręciłam głową.

– Dawaj. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Podalam jej papiery i przyglądałam się, jak odsuwa okładkę i niecierpliwie omiata wzrokiem pierwszą stronę, po czym przelatuje przez kilka następnych, zatrzymuje się i uśmiech blednie jej na twarzy. Zakryła sobie usta ręką.

– Co takiego?

Bez słowa zamknęła teczkę i oddała mi ją.

Na pierwszej stronie było nazwisko, adres, wiek, informacje o rodzicach. Następna strona zastanowiła mnie. Spojrzałam na Susan i zaczęłam kartkować całość. Oceny z poszczególnych przedmiotów, kopie listów do ojca z opisem moich postępów w nauce i niewielka liczba skarg na temat nieposłuszeństwa czy innych nieznacznych uchybień w zachowaniu. Było tam napisane, że jakkolwiek mogłabym jeszcze nieco popracować nad swoją postawą, to ogólnie można mnie ocenić pozytywnie i nadszedł czas, żebym wróciła do domu. Bo szkoła dała mi już wszystko, co dać mogła. Rekomendacja była jednoznaczna: lepiej będę się rozwijać w środowisku domowym.

- Ale on mi mówił, jakoby stwierdzili, że nie jestem jeszcze gotowa - wykrztusiłam.

- To podłe - stwierdziła Susan; jej rozdęte oburzeniem nozdrza drgały.

Przewróciłam następną stronę i był tam list, w którym ojciec wyjaśniał, że moja matka zaginęła. I żeby mi nic o tym nie mówić, bo on sam zdecyduje, kiedy przyjdzie właściwy moment. Dla mojej emocjonalnej stabilności powinnam pozostać w szkole z internatem.

Aż się zatchnęłam.

- Czyli gdybym tego nie podsłuchała, nigdy by mi nie powiedział?

Susan poklepała mnie po plecach.

- Tata zamierza zrobić miejsce dla Veroniki. Dlatego chce, żebym ja tu została - wypaliłam.

Nienawidziłam tej myśli i wstałam, przyciskając policzek do

ściany dormitorium, żeby się trochę ochłodzić.

- I chce, żeby babcia poszła do domu starców.

Myśl, że babcia będzie musiała opuścić dom, w którym żyła tak długo, była potwornie smutna. Ona nie jest przecież w aż tak złym stanie. Ujrzałam zaróżowioną, jasną twarz Veroniki. Może to rzeczywiście ona stoi za tym wszystkim, daje tacie pieniądze na moją szkołę i po cichu nakłania go do pozbycia się babci?

- Tata chce zrobić miejsce - powtórzyłam.

- Co takiego?

Wykrzywiłam usta w podkówkę. Mówiłam cicho i spokojnie, jakby do siebie, zapominając o obecności Susan.

- On chce być tylko z Veronicą i Fleur. Wszystkich innych się pozbywa.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała Susan.

- Nie wiem.

- Znalazłaś jakieś rachunki?

- Jeszcze nie.

To była zagadka. Jeśli babcia mówiła prawdę, ojca nie stać na opłacenie chesnego. Ale gdyby szkołę fundowały mi władze lokalne, nie robiłyby tego dłużej, niż to konieczne.

Susan była wyraźnie zaintrygowana.

- Dalej, Em. Zobaczmy, co tam jeszcze jest.

Wzięła ode mnie skoroszyt, przejrzała kilka następnych stron, po czym długo gapiła się na jedną z ostatnich.

- Co jest?

Pokazała mi pakiet rozliczeń finansowych i powiedziała niepewnym głosem:

- Em, one wszystkie pochodzą z tej samej kancelarii prawnej.

Przekartkowałam zbiór listów podpisanych do rachunków. Każdy, jeden po drugim, zawierał tę samą formułkę: „W imieniu naszego klienta załączamy czek na pokrycie kosztów nauki panny Emmy Cartwright”. Jako nadawca widniał niejaki N. Johnson z kancelarii Johnson, Price & Co. z Kidderminster.

- Nic nie rozumiem. Co to za klient?

- Nie napisali.

- A co jeśli ja napiszę do tej kancelarii?

- Nie wyjawia ci. Jeśli tu nie ma jego nazwiska, to znaczy, że zastrzegł sobie poufność.

Ostatnie chwile ciszy przed tym, jak drzwi dormitorium w drugim końcu pokoju otworzą się i zaczną nimi wchodzić inne dziewczyny, spędziłyśmy, siedząc na łóżku. Gdy pojawiły się pierwsze współmieszkanki, Susan zasłoniła mnie, stając przede mną z szeroko rozstawionymi nogami. Dziewczyny zaczęły żartobliwie to komentować, a Rebecca prychnęła gniewnie:

- Podstępne diablice. Jak się tu dostałyście przed wszystkimi? Coś knujecie, no nie?

Poczułam, że się czerwienię. Dobrze, że zdążyłam wsunąć skoroszyt pod narzutę. Miałam nadzieję, że nikt tego nie widział.

## 29

Powietrze na dworcu pachniało mocno metalem i ludzkim potem, mieszanka rozmów, odgłosów wydawanych przez pociągi i okrzyków handlarzy zlewała się w jeden wielki, przytłaczający hałas. Mimo to Lydia poczuła się umocniona w swoim postanowieniu i nie bez trudności dowlekleła się do budki telefonicznej. Wybrała numer Cicely, a gdy przyjaciółka odebrała telefon, odetchnęła płytko i gwałtownie. Starła się utrzymać normalny tembr głosu. Początkowo chłodny, bezceremonialny sposób mówienia Cicely zbił ją z tropu, ale przycisnęła słuchawkę do policzka, jeszcze raz zaczerpnęła tchu i odzyskała równowagę.

- Nie mam dokąd pójść.

Słyszała, jak teraz Cicely bierze szybki oddech.

- A więc to prawda. Gdzie jesteś?

- Tu, na dworcu.

- Nie ruszaj się stamtąd.

Lydia otarła z czoła strużki potu, jeszcze raz odczuwając wdzięczność, że Jack - jakby kierowała nim niesamowita zdolność przewidywania - pokazał jej swój zgromadzony pod podłogą skarb. Oczywiście i tak musi poszukać sobie pracy, ale te pieniądze zapewnią jej byt na kilka miesięcy. I udało się jej przynajmniej dotrzeć na południe w pierwszym podejściu. Tym razem podróż upłynęła bez przygód, zasadzek czy



niespodziewanych zmian trasy. Wszystko przebiegło nad wyraz normalnie. Czasem nawet musiała się uszczypnąć, żeby przypomnieć sobie, że Jack i dziewczynki nie żyją i że ona nie wraca sobie po prostu do domu, do Aleca.

Gdy wyświeżona i elegancka jak zawsze Cicely przybyła na dworzec, Lydia popijała mrożoną lemoniadę. Przyjaciółka musnęła chłodnymi ustami jej policzek.

- Opowiesz mi wszystko po drodze.

Cicely otworzyła drzwi swojego domu i rozejrzała się wokół. Wspaniały dom dawnego kupca w bogatej dzielnicy.

- No tak. Ralph nie dał znaku życia. Mężczyźni są bez pojęcia. Kochanie, wyglądasz jak straszidło. Najpierw kąpiel, a potem coś zjemy.

- A ja zawsze myślałam, że to wyłącznie mężczyźni mają jakieś pojęcie - powiedziała Lydia.

Cicely roześmiała się i pogroziła jej palcem.

- W takim razie, dziewczyno, musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Przeszły przez pogrążony w ciszy hol.

Cicely wzięła Lydię za rękę.

- Kochanie, wiesz, jak bardzo było mi przykro z powodu Emmy i Fleur. A teraz jeszcze Jack. To musi być potworny koszmar, ale w końcu umarł tak, jak żył.

Lydia poczuła, że wnętrzności wywracają się jej na drugą stronę.

- Ktoś go wtedy wywabił na drogę.

Cicely wpatrywała się w nią.

- Masz jakieś podejrzenia?

Lydii przemknęła pod powiekami twarz Lili, ale poprzestała na wzruszeniu ramion.

- Ten chłopczyk, którym się opiekowałam, też zniknął. Muszę się upewnić, że nic mu nie jest. - Oparła się o ścianę. - Zacznę od kontaktu z Harriet Parrott. Wiesz, George ma te swoje układy. Pomożesz mi?

- Zadzwoń do niej i umówię cię na jutro, punktualnie o dwunastej. A u mnie możesz mieszkać tak długo, jak będziesz potrzebowała. Okej? - Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Cicely. - Po to w końcu ma się przyjaciół.

Lydia poszła za nią do wytwornego gościnnego apartamentu na ostatnim piętrze.

- Odpowiada to pani, madam? - spytała Cicely. - Nie trzeba w ogóle schodzić na dół. Posiłki też będę ci tu przysyłać.

Gdy Cicely wyszła, Lydia postawiła swoją torbę i przez okno spojrzała na odległą cieśninę Malakka. Widok był zamazany z powodu deszczu, wszystko w kolorach rozwodnionego błękitu i fioletu. Dopiero teraz, gdy mięśnie ramion nieco jej się rozluźniły, zdała sobie sprawę, jak bardzo były do tej pory napięte. Okna sypialni wychodziły na dziedziniec, gdzie mieścił się ogród ze stawem pokrytym gigantycznymi pływającymi liśćmi wodnej lili i ze wspaniałą fontanną. Pokręciła się trochę po apartamencie dla gości. Zaprojektowano go w tonacji bladego różu i złota, co w niczym nie przypominało tego, jak mieszkał Jack. Miała tu do dyspozycji sypialnię, łazienkę i własny salonik. A właśnie teraz potrzebowała takiej samotni.

Uczyła się walczyć ze wspomnieniami morderstwa dokonanego na Jacku. Metoda polegała na kładzeniu sobie

dłoni na sercu i ćwiczeniu głębokich oddechów. To ją uspokajało – palpacje serca i napady paniki stopniowo słabły. Aby zapobiec wewnętrznej martwocie – mimo iż przyprawiało ją to o płacz – wspominała dobre czasy i ich cudowną miłość. Wszystko po to, aby przeciwstawić się obrazowi leżącego na asfalcie zakrwawionego ciała. Ciągłe myślenie o nim zabiłoby ją.

Obudził ją ogrom rozświetlonego nieba. Nie zanosilo się na żadną ulewę. Takie dni lubiła najbardziej.

W łazience aż się spłoszyła na widok niesamowitego, świetnie oświetlonego lustra. Jego rogi przyozdobiono malunkami lilii, a boki – wizerunkiem pochyłonych palm. Styl hinduski, pomyślała. Widok jej chudej figury sprawił, że zrobiło się jej słabo. Miała zaczerwienione, podpuchnięte oczy i pełno przebarwień na skórze. Przypomniała sobie, jak tuż przed zastrzeleniem Jacka zaczęła się w niej rodzić nadzieja na przyszłość i jak wróciła wtedy do kolorowych spódniczek i szminki. Skrzywiła się i wrzuciła bezcenny dla niej dotychczas flakon perfum Shalimar do kosza na śmieci. Ten zapach sprawiałby jej teraz ból. Opłukała twarz zimną wodą i przeczesła palcami mokre włosy. Usłyszała na zewnątrz stukot wysokich obcasów i do jej kwatery weszła Cicely, ciągnąc za sobą powiew Chanel nr 5 i niosąc w rękach hebanową, inkrustowaną srebrem tacę.

Lydia wparowała do pokoju kompletnie naga i rozłożyła szeroko ręce.

- Spójrz na mnie. Popatrz tylko!

- Wiem, to coś okropnego – roześmiała się Cicely. - Czeka

nas ciężka praca, żeby coś z tym zrobić. Umówiłam cię do fryzjerki na ósmą, a potem pójdziemy na zakupy. Ale najpierw musimy ustalić nasz plan.

Opadła na obitą jasnym perkalem kanapę pod oknem i poprawiła leżącą za nią poduszkę.

- Myślałam o Jacku.

Cicely skrzywiła się.

- Wiem, kochanie. Miałaś strasznego pecha. - Wskazała ręką na koniec pokoju. - Tam wisi szlafrok, możesz go włożyć.

Jedwab, rzecz jasna.

- Wiesz, on poprosił mnie o rękę. - Poczwała ucisk w gardle, jakby dławiły ją łyzy, które teraz pojawiały się przy byle okazji.

Opanowana, w garsonce koloru zimnego błękitu i obnosząca się z czymś, co wyglądało na naszyjnik ze szmaragdów, Cicely pokręciła głową.

- Kochanie, musisz teraz o nim zapomnieć.

Lydia westchnęła, poczuła kropelki potu na czole u nasady włosów.

- Łatwo powiedzieć.

- Najlepiej pomyśl o czymś innym, zaplanuj sobie coś. Jeśli tego nie zrobisz, rozpacz pociągnie cię na dno.

Zapadło milczenie.

- Na czym polega twój sekret? - spytała Lydia, żeby zmienić temat. - Tobie ten klimat zdaje się w ogóle nie szkodzić.

- To proste: woda. Często biorę prysznic - powiedziała Cicely i roześmiała się.

- Ja się nigdy nie przyzwyczaję do tego gorąca, obojętnie, ile wody bym zużyła.

Pomyślała o stawie, o wspólnej zabawie z Jackiem i Mazem. Cudowny chłód wody w upalny dzień, wspaniały sposób na walkę ze skwarem. A potem przyszedł jej na myśl mężczyzna poznany w pociągu. Adil. Przypomniała sobie tę ich wspólną, odległą w czasie podróż. Zaróżowiły się jej policzki. To było, zanim wydarzyły się te wszystkie okropności. Przed Emmą i Fleur. Przed Jackiem.

- Grosik za twoje myśli? - odezwała się Cicely.

Lydia nie była pewna dlaczego, ale raczej nie miała ochoty dzielić się z Cicely swoimi najskrytszymi refleksjami.

- Och, naprawdę nic takiego - powiedziała. - Po prostu coś mi się przypomniało. Poznałam jeszcze jedną osobę, której udawało się zawsze zachować chłód i opanowanie. Tak jak tobie.

- Która to? Myślałam, że jestem jedyną bryłą lodu na Malajach.

- To był mężczyzna, nie kobieta. Miał na imię Adil. Poznałam go, jadąc przez kraj. Na początku nie wiedziałam, jak go potraktować.

W oczach Cicely pojawiła się jakaś iskierka.

- Czyli król lodu?

- W pociągu uratował pewną kobietę. To mnie uderzyło.

Cicely pogładziła swój szmaragdowy naszyjnik.

- Wygląda, że to jakiś przyzwoity gość. Oczywiście tutejszy. Z takim imieniem...

Lydia przytaknęła ruchem głowy.

- Ta kobieta chciała wyskoczyć z pociągu w biegu. On ją złapał i wciągnął z powrotem do środka. I dla mnie też był

bardzo dobry. Bez powodu. Po prostu mi pomagał.

- Po co jechał na północ?

- Mówił, że musi coś zobaczyć...

- Podoba ci się? - przerwała jej Cicely, dotykając naszyjnika.

- Wspaniały, prawda? Ralph dał mi go wczoraj. Z poczucia winy.

- Zdradza cię?

Cicely wzruszyła ramionami.

- Bez przerwy. Wiesz, z młodymi Chinkami.

Lydia przyszedł na myśl związek Jacka z Lili.

- Z więcej niż jedną?

- Uważasz mnie za kłamczuchę, kochana?

Lydia pokręciła głową.

- Jak ty to znosisz?

- Nie bądź tak cholernie zasadnicza, kochanieńka. To się zdarza bez przerwy, a ja odpłacam pięknym za nadobne.

Lydia przypomniało się, jak Alec z pogardą w oczach powtarzał jej plotki o łózkowych wyczynach Cicely.

- Przynajmniej u Ralpa mamy do czynienia z dziewczynami.

W wyższych sferach jest jeszcze gorzej. Zachowaj to dla siebie, ale tak naprawdę to należy współczuć Harriet.

Zdumiona Lydia otworzyła usta.

- Daj spokój, Lyddy. W tym przeklętym kraju wszystko jest na sprzedaż. Zwłaszcza teraz, kiedy będziemy się stąd ewakuować.

- Koniec jakiejś epoki?

- Raczej koniec imperium, kochana. - Cicely przewróciła oczami i roześmiała się.

Lydia przyglądała się jej wydatnym kościom policzkowym, uszmińkowanym ustom i gładkiej blond fryzurze. Czy jej nigdy nic nie przeszkadza?

- Alecowi wiele można było zarzucić, ale przynajmniej nie był taki jak Ralph czy George - powiedziała.

- Też nie był święty. - Cicely strąciła jakiś paproch ze spódnicy i z rozbawionym wyrazem twarzy spojrzała na Lydię.

Lydii znów opadła szczęka.

- Chcesz mi powiedzieć, że próbował?

Cicely skinęła głową twierdząco.

- Z tobą?

- A z kimże by innym?

Lydia usiłowała zbyć to śmiechem, ale wyprowadzona z równowagi wstała, otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na balkon otoczony misterną metalową barierką.

Z ulicy dobiegały dźwięki składające się na jeden wielki harmider: dzwonki rowerów, szum silników samochodowych i bezlik ludzkich głosów. Chiński, malajski, hindi.

- Jesteś nieuleczalną romantyczką, Lydio Cartrwright. Co dalej? Oto jest pytanie. Masz fotografię chłopca?

Lydia pokręciła głową.

- No dobra, zamknij balkon i chodź tu. Musimy zaplanować naszą kampanię. A ja zaraz zadzwonię do Harriet. I pamiętaj, kochana, jeśli będziesz potrzebować pieniędzy, wystarczy mi to powiedzieć.

- Dziękuję ci. - Lydia skinęła głową. - Później będę musiała znaleźć jakąś pracę, ale na razie mi wystarczy.

Zauważyła, że Cicely bacznie się jej przygląda.

- Ja nie... no wiesz. Z Alekiem.

Cokolwiek Cicely chciała powiedzieć, Lydia nie miała pewności, czy jej finansowa oferta nie była przypadkiem podyktowana poczuciem winy. Wstrząsnęło ją, że o niczym nie miała zielonego pojęcia.



## 30

Gdy zbliżałam się do wysokich szarych murów domu opieki, lodowaty styczniowy wiatr szczypał mnie w policzki. Tata stwierdził, że mając czternaście lat, jestem już na tyle dorosła, żeby móc korzystać z autobusu i samodzielnie odwiedzać babcię. W nocy śniło mi się, że obie z Fleur jesteśmy małe i bawimy się w chowanego w parku w Malakce. Uśmiechałam się, wspominając, jak nazywałam Fleur Mącznym Robaczkiem, a mama spacerowała w pobliżu, udając, że nie wie, gdzie jesteśmy, i nawoływała nas po imieniu w sztucznie afektowany sposób. Gdzie się podziały tamte dziewczynki? Mogłabym przysiąc, że jeszcze minutę temu tu były. Jedna dogoniła i złapała drugą, i obie piszczały rozgorączkowane.

Zajrzałam przez wielkie okno, na którego framugach łuszczyła się farba. Miałam nadzieję, że nie należy tego potraktować jak sygnał ostrzegawczy. W środku wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewałam. Rozstawione pod ścianami mocno zużyte krzesła jak samotne, smutne wysepki.

Wskazano mi pokój wychodzący na ogród na tyłach budynku. W oknach wisiały cienkie zasłony z kwiecistej tkaniny. Usiadłam wyprostowana na drewnianym krześle z wysokim oparciem. Patrzyłam na wolno poruszające się wskazówki ściennego zegara. Jakie to okropne mieszkać

w otoczeniu stęchłego zapachu starości, patrzeć, jak życie ucieka, i jeść wyłącznie pudding z kaszki manny.

Gdy młoda rumiana asystentka przyprowadziła babcię, zamrugałam powiekami, żeby pozbyć się wzbierających w kącikach oczu łez. Babcia zawsze była niziutka, ale teraz widok tego, jak bardzo jest osłabiona, sprawiał mi autentyczny ból. Przygarbiona patrzyła w dół, jakby nie dowierzała własnym stopom. Obcięli jej włosy i zaczesali grzywkę na bok, nie było jej z tym do twarzy.

Podniosła wzrok i jej intensywnie niebieskie oczy rozjaśniły się.

- O, Emma, mój kurczaczek. Jesteś dla mnie jak promyk słońca.

Dotknęła drżącą ręką miejsca na szyi, gdzie pulsowała wyraźna żyła.

Uścisnęłam ją ostrożnie i poprowadziłam w kierunku brązowej, obitej nylonem kanapy. Odwiedzających częstowano tu podobno herbatą i biszkoptami. Widząc, jak babcia mości się na poduszkach, powoli traciłam nadzieję, że może mi w czymkolwiek pomóc.

- Te moje biodra, kochana. Nie stąpam teraz pewnie po ziemi. Ale co tam. Na jak długo przyjechałaś do domu?

A więc przynajmniej pamięta, że już tam nie mieszkam.

- Nie na długo, babciu. Do końca ferii świątecznych. A tata? Kiedy ostatnio cię odwiedził?

- Obawiam się, że nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że był z tą kobietą.

- Z Veronicą?

- Tak, z nią. Biedna kobieta. Wiesz, chciała mieć rodzinę. Przyjechali z jej bratem. Ten człowiek nie budzi mojego zaufania.

Przygryzłam wargę i patrzyłam w podłogę, przypominając sobie moją „zbrodnię”.

- Nie martw się, moja droga. Wcale się nie dziwię, że mu wsadziłaś nóż w szyję. Ja przy pierwszej okazji zrobiłabym to samo.

- Babciu! Przerażasz mnie. A tak poza wszystkim to była rzutka.

Wybuchnęłyśmy obie śmiechem i całe napięcie gdzieś zniknęło.

Poklepała mnie po kolanie i zrobiła ruch, jakby chciała sobie mocniej zawiązać troczki fartucha. Stary nawyk, bo teraz go nie nosiła.

- Ponoć znów wyjechał gdzieś za granicę. Nigdy mi się nie podobał.

Ponieważ nie miałam okazji porozmawiać jeszcze z Veronicą, ta informacja o panu Oliverze była dla mnie nowiną. Odetchnęłam głęboko i nawet nie próbowałam ukrywać, jakiej doznałam ulgi.

Gdy przyniesiono poczęstunek, babcia westchnęła znacząco. Dla mnie herbata była za gorąca, ale ona piła ją łąpczywie. Lubiała herbatę w formie ukropu, podobnie jak tata. Patrzyłam, jak żuje pełnoziarnistego herbatnika. Okruszki pokryły jej pierś i spódnicę, ale poza lekkim nieładem w wyglądzie jej stan przedstawiał się nie najgorzej. Nawet pamięć aż tak bardzo jej nie szwankowała.

- Zawsze dają te pełnoziarniste, chociaż ja najbardziej lubię śmietankowe - gderała, aż nagle przerwała, usiłując sobie coś przypomnieć. - Miałam ci coś powiedzieć, kurczaczku.

Spojrzałam na nią.

- No właśnie - powiedziała. - Coś.

Od razu pomyślałam o swojej matce. Czy to „coś” mogło jej dotyczyć? Ale babcia tylko ściągnęła brwi i pokręciła głową. Zresztą i tak byłam prawie pewna, że nie wie, co się stało z mamą. Nikt nie wie.

- Nie mogę sobie przypomnieć.

- Nie szkodzi, babciu. Jeśli to coś ważnego, na pewno ci się przypomni.

- To samo mówiła twoja droga matka. Ale obawiam się, że nie mogę na to liczyć. Pewne rzeczy mi umknęły i już nie wrócą. W każdym razie nie wtedy, kiedy potrzeba.

Babcia położyła mi na ramieniu żyłastą dłoń i spojrzała w oczy.

- Jak ci tam jest, kochanie? Ale szczerze. W szkole.

Wzruszyłam ramionami, chcąc uchodzić za obojętną, i powiedziałam różnym tonem:

- Jest okej. Ale, babciu, chciałabym cię o coś zapytać. O tatę i o to, kto płaci za moją naukę.

- Och, kurczaczku... - Usta babci drżały, gdy na mnie patrzyła, ale dokładnie w momencie, kiedy już myślałam, że wszystko mi powie, odwróciła się i niewidzącym spojrzeniem omiotła okno.

- Ogród jest dziś nieco szary. Ale wkrótce zbudzi się do życia.

Zobaczyłam, jak po policzku spływa jej łza.

- Brakuje mi twojego dziadka - powiedziała. - Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. Stary zrzęda.

Poklepałam ją po dłoni.

- Ogólnie nie był zrzędą. Tylko do taty tak się odnosił.

- Ciągle się między sobą żarli. Zawsze tak było. Nawet jak łobuz zostawił mnie, kiedy twój tata był jeszcze mały.

- Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałam. Czy to z tego powodu tata jest takim mrukiem?

Zacisnęła usta.

- Teraz to nieważne.

- Wybaczyłaś mu?

- Oczywiście. Zawsze się wybacza temu, kogo się kocha.

- A tata przedtem też był taki?

- To znaczy kiedy, kochanie?

- Jak był młody. Jak był lotnikiem.

- Lotnikiem, kurczaczku? O nie, nigdy nim nie był.

- W czasie wojny, babciu. Mama tak mówiła.

Babcia zmarszczyła brwi.

- Twój tata nigdy nie był lotnikiem. Pracował jako kontroler ruchu powietrznego. I ja byłam z tego bardzo dumna.

Milczałam. Z ogrodu dochodził świst wiatru między gałęziami. Babcia opuściła ramiona, jej zniszczona twarz była uderzająco smutna. Nie byłam do końca przekonana, czy mówi prawdę, czy też coś się jej uroiło. Biedna babcia. Była jak zeschnięty liść, który ciągle jeszcze wisi na gałęzi, ale w każdej chwili może zostać zdmuchnięty.

- A o co chciałaś zapytać? - odezwała się.

- O moje czesne - spróbowałam ponownie.

Na podłodze pojawiła się smuga światła. Babcia przyglądała się jej uważnie.

- Zobacz - powiedziała, mrużąc oczy, gdy słońce padło na jej twarz. - Przejaśnia się. Ale nie zapomnij się dobrze opatulić, bo jeszcze jest całkiem chłodno.

Pokręciła głową. Miałam poczucie, że zrozumiała pytanie, ale nie chciałam naciskać.

## 31

Nieprzyzwyczajona do wysokich obcasów Lydia z trudnością i z głośnym stukotem wspinała się po schodach kolonialnego domu Harriet Parrot. Ale dziś nawet ciasne buty nie były w stanie zetrzeć z jej twarzy przyklepionego uśmiechu. Wygładziła nową czerwoną spódnicę. Bawełniana satyna. Wybór Cicely. Ołówkowy krój doskonale podkreślał ruch nóg i bioder przy pokonywaniu kolejnych stopni. Do tego świeżo wykrochmalona biała bluzka, staranna fryzura. Lydia tak elegancko nie czuła się już od wielu, wielu miesięcy. Obejrzała się za siebie na gwarną ulicę i szybko zaczerpnęła tchu.

W niewielkiej bibliotece pomalowane na butelkowitzelony kolor ściany tylko w połowie dawały zamierzony efekt chłodu. Pod trójskrzydłowym wentylatorem nadal panował wilgotny upał. Wielka szkoda, pomyślała. Dzień zaczął się tak świeżo, ale już teraz przez okno było widać wędnący niemal w oczach ogród. Słońce skradło mu głębię i kolor.

Gdy czekała na Harriet, dwa syjamskie kociaki przedelfilowały po błyszczącej dębowej posadzce, ocierając się o jej gołe nogi. Harriet będzie wiedziała, do kogo się zwrócić, porozmawia, z kim trzeba. Lydia pochyliła się, żeby pogłaskać koty, ale po chwili podniosła wzrok, zdziwiona dochodzącym z korytarza tubalnym głosem. W drzwiach pojawił się George, nerwowo wyłamując sobie palce.

- Harriet wyszła. Obawiam się, że będziesz to musiała załatwić ze mną. Drinka?

Pokręciła głową przecząco i przysiadła na brzeżku wąskiego tekowego krzesła, stawiając torbę na podłodze.

- Zdawało mi się, że byliśmy umówione.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytał, przyrządzając sobie drinka.

Milczała przez chwilę.

- Szczerze mówiąc, przyszłam tu wyjaśnić, dlaczego Jack został zabity.

Nachylił się nad nią. Jego szpakowate włosy były teraz wyraźnie przerzedzone. Zakołysał trzymaną w mięsistej dłoni szklanką whisky z wodą sodową.

- Moja droga, to przecież wiadomo. Zginął z rąk komunistycznych wywrotowców. Nie ma o czym mówić - powiedział, patrząc na nią współczująco.

- To było zaplanowane.

- Moja droga, nie sądzę, żeby to można było ustalić. Rozumiem cię. Każdy chce wiedzieć, to normalne. Ale ci ludzie dziś są tu, a jutro zupełnie gdzie indziej. Malaje lada dzień mogą zdobyć niepodległość i Bóg raczy wiedzieć, co nas wtedy czeka. Chętnie już bym przeszedł na emeryturę. - Podszedł do barku. - Na pewno nie chcesz się napić? Dobrze by ci to zrobiło.

Powachlowała się ręką i zamilkła, wsłuchana w przyśpieszone bicie własnego serca. Wstydziła się powiedzieć o tym głośno.

- George, jest jeszcze taka sprawa. Jack przedtem żył



z pewną Chinką. Podejrzewam, że to ona go im wystawiła.

- Chinka, powiadasz? Zielonooki potwór zazdrości?

- Właśnie tak pomyślałam.

- Nie. Ja miałem ciebie na myśli, moja droga.

Uśmiechnął się i otworzył okno na oścież, chociaż żadna bryza nie była w stanie ożywić zatęchłego, ciężkiego powietrza. Gdzieś w głębi domu dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał. Poczwała, że poci się jej kark, i sięgnęła do torby w poszukiwaniu chusteczki. Podniosła wzrok i stwierdziła, że George się w nią wpatruje.

Nie był atrakcyjnym mężczyzną, miał odstające uszy, perkaty nos, małe oczka pod krzaczastymi brwiami i tłuste czerwone policzki. Chrząknął.

- Zawsze uważałem cię za flirtiarę. Nie sądziłem, że potrafisz być zazdrosna.

Zapadła krępująca cisza, przerywana tylko piskliwym brzęczeniem komara. Lydia otarła czoło wierzchem dłoni i zignorowała jego wypowiedź, nie wiedząc, czy usiłował wbić jej szpilę, czy też był z natury nietaktowny.

- Ma na imię Lili i uważam, że to ona doniosła na Jacka.

- Szepnę słówko komu trzeba, dopóki jeszcze mogę.

- Miałam nadzieję na coś więcej.

Omiótł ją wzrokiem od stóp do głów i cmoknął z aprobatą.

- Wyglądasz całkiem, całkiem. Może trochę za chudo, ale jesteś jeszcze wystarczająco młoda, żeby zacząć od początku. Nie lepiej o wszystkim zapomnieć, moja droga?

Pokręciła głową, nie wierząc własnym uszom.

- Jak możesz mówić coś takiego? Straciłam męża, dzieci,

a teraz Jacka.

- Nie chciałem cię urazić. To miał być komplement.

Na twarz wypełził mu uśmiech, wymownie uniósł brew. Zazgrzytała zębami. Nie cierpi tego obrzydliwca, ale potrzebuje jego pomocy. Postanowiła brnąć dalej.

- Wiem, co mówiłeś przedtem, ale czy nie można by ostatecznie zamknąć... no wiesz, sprawy ofiar tamtego pożaru. Jakiś raport, dokumenty... Jack cię o to prosił, a ty powiedziałeś, że to niemożliwe. Ale wydaje mi się...

Wyprostował się i zmrużył oczy.

- Po takim czasie? Nawet wtedy nikt nie wiedział dokładnie, kto był w budynku tej nocy. Dziewczynki i Alec byli tam bez wątpienia, podobnie jak cały jego wydział. A co do reszty, opieramy się na domysłach.

- Jesteś pewien?

- Chyba nie sugerujesz, że cię okłamałem?

Udało się jej ukryć irytację.

- Ani trochę, ale czy nie mógłbyś zadzwonić do ministerstwa?

Wzruszył ramionami.

- Skoro nalegasz, ale obawiam się, że to szukanie wiatru w polu. Ludzie giną cały czas, w ten czy inny sposób.

- Wspominałeś, że wszcząłeś procedury zmierzające do wystawienia świadectw zgonu.

- Ach tak, moja droga, a co, nie mówiłem ci? W takim razie najmocniej przepraszam. Kobieta, która się tym zajmowała, poszła rodzić. Zostawiła wszystko w kompletnej rozsypce. Obawiam się, że będziemy musieli zacząć od początku.

Dopilnuję tego.

Poszedł zadzwonić do swojego biura, a ona w tym czasie myślała nad tym, co usłyszała przed chwilą. Facet na takim stanowisku... Czyżby coś przed nią ukrywał?

Wrócił i zapalił papierosa wyciągniętego z papierošnicy zrobionej ze srebra i košci słoniowej. Spojrzała na niego wyczekująco.

- Przykro mi, jeszcze nie sporządzili rejestru, ale zaraz ktoś na nowo wystąpi o świadcetwa zgonu. Posłuchaj jednak mojej rady: o przeszłości najlepiej zapomnieć - mówił powoli, beznamiętnym tonem.

Westchnęła.

- No cóż, przynajmniej daj mi słowo, że naprawdę nie możesz zrobić nic więcej w celu odnalezienia mordercy Jacka.

Podszedł, usiadł obok niej z szeroko rozstawionymi nogami i podrapał się po kolanie. Spięła się lekko. Cuchnął whisky i potem, siedział stanowczo za blisko. Położył spoconą łapę na jej udzie.

- Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Lydio.

Oddychała z trudem. Za oknem przeszła krótka ulewa, po niej wyszło blade słońce, ale to nic nie dało. W pokoju nadal było parno.

- W tym skwarze nie ma co się śpieszyć. Jak już powiedziałem, szepnę komuś słówko i niedługo będziemy wiedzieć, czy na coś natrafiono.

Zacisnęła powieki.

- I jeszcze jedna sprawa.

- Ach tak?

- Opiekowałam się takim chłopczykiem. Przepadł bez wieści.

Gdy podchodził do szafy z dokumentami, zobaczyła z tyłu jego grubej czerwonej szyi strużkę potu.

- Może tu coś znajdę. Osoby zaginione. Imię i nazwisko?

- Maznan Chang.

Zmarszczył brwi.

- Europejczyk?

- Mieszaniec. Chińczyk, Malaj i może coś jeszcze.

Zatrzasnął szufladę.

- W takim razie nie mogę pomóc. My tu zbieramy tylko informacje o zaginionych białych.

Podniosła się. Gorąco otulało ją niczym koc. Nie mogła złapać oddechu, podrażniona czerwona skóra swędziała ją.

- Miło było cię zobaczyć, kochana - powiedział George. - Ale radzę ci: zostaw to. Na Malajach wszystko się teraz zmienia. Trzeba iść naprzód, a nie grzebać w tym, co minęło.

Patrzyła, jak rozluźnia sobie kołnierzyk; na czole miał kropelki potu. Otarł je zmiętą chusteczką i przeszedł kilka kroków.

- Cholera, jest za gorąco - powiedział.

Po czym trzymając ręce za plecami, odwrócił się twarzą do niej. Szczęka mu drgała.

Wiele mówiono - choć często z niedowierzaniem - o ryzykownych wyczynach seksualnych George'a. To może okazać się przydatne. Lydia wyprostowała się. A może użyć wczorajszych rewelacji Cicely do wywarcia na niego nacisku?

- Alec mi mówił, że podobał ci się Singapur, że zawsze

miałaś do niego sentyment. No to wróć tam. Znajdź pracę w biurze którejs z tamtejszych firm. Rozwijają się imponująco. Mógłbym szepnąć komuś słówko. Z twoim wyglądem to nie będzie trudne. Może British American Tobacco?

Zapanowało milczenie. Instynkt podpowiadał jej, że on coś przed nią ukrywa, ale nie wiedziała co. Nagle podjęła decyzję. Zrobiła krok w jego stronę.

- George, ja coś o tobie wiem. Uwierz, wolałbyś, żeby to się nie wydostało na zewnątrz.

Jego oczy były teraz wąziutkimi szparkami.

- To było niezbyt życzliwe. Na twoim miejscu nie traciłbym czasu i energii na przegraną sprawę. I osobiście nie radzę zadzierać ze mną, moja droga. Rozgrzebywanie starych rzeczy nie służy zdrowiu. Twoje nerwy są w takim stanie, że przydałyby ci się wakacje. Co powiesz na Kuala Terengganu? Palmy, czysty piasek, lekka bryza. Mogę ci to załatwić.

Pokręciła głową, nie mogąc wyjść z podziwu, jak kompletnie zlekceważył jej groźby.

- Nie? No to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Zawsze miło cię widzieć. - Wyciągnął do niej rękę i zawołał boya.

Drzwi zamknęły się za nią. Na chwilę przystanęła, oślepiona nagłą jasnością, po czym szybko oddaliła się, wściekle stukając obcasami. Zanim skręciła za róg, zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza. Rozejrzała się po zakurzonej ulicy i przez chwilę się zastanawiała. Może George ma rację? Może powinna po prostu żyć dalej? Nic nie wróci jej Jacka, a skoro George nie chce jej pomóc w odnalezieniu Maza ani Lili, to na

kogo może liczyć? Usłyszała, że drzwi domu Parrottów znów się zamykają. Obejrzała się przez ramię. W ostrym słońcu poranka ujrzała stojącego na chodniku wysokiego, kościstego mężczyznę. Nie widziała jego twarzy, ale długie nogi, wyprostowana postawa i ogolona głowa skojarzyły się jej z Adilem.

Poczuła, że się czerwieni. Czy powinna do niego podejść, przywitać się? A może tylko pomachać i poczekać, aż sam podejdzie? Bardzo chciała znów spotkać Adila, ale po rozmowie z George'em cała aż się trzęsła. Szybko to przemyślała. Potrzebowała teraz bratniej duszy. Odwróciła się, ale mężczyzna już zdążył odejść. Może to w ogóle nie był on, a skoro tak, to już po raz drugi zdarzyło się jej omyłkowo wziąć kogoś obcego za niego. Wtedy, gdy z Jackiem wychodzili z wioski dla przesiedleńców, i teraz też.

## 32

Byłam w dołku z powodu babci, pomyślałam jednak, że zrobił się ładny, choć nadal chłodny dzień. Nadszedł już kwiecień, a pierwszą osobą, na jaką natknęłam się po powrocie z domu, była siostra Ruth. Kręciła się po korytarzu i – rozglądając się ukradkiem – złapała mnie za ramię, po czym wyprowadziła z budynku.

– Mam pewne informacje – powiedziała, mrużąc oczy od słońca i patrząc na popękany, zniszczony przez zimę grunt. – Nie mów nikomu, że wiesz to ode mnie, obiecaj.

Zaskoczona pokiwałam głową.

Zaróżowiła się gwałtownie.

– Spotkajmy się po lunchu w ogrodzie, przy rododendronie pod lasem.

Rozbawiło mnie to. Siostra Ruth była do bólu prostolinijna i wszystkie takie „czekam w bibliotece, poznasz mnie po lichtarzu w ręku” były kompletnie nie w jej stylu. Ale uwielbiałam takie sytuacje.

Po obiedzie odnalazłam umówione miejsce i czekałam na siostrę Ruth, zachodząc w głowę, cóż to za sprawa, która wymaga aż takiej poufności. Kilka dziewcząt przebiegło obok, nie zauważając mnie. Świetne miejsce na spotkanie. Rododendron niezawodnie krył przed wzrokiem ciekawskich spacerowniczek, a teraz musiałam unikać nawet Susan, przez

co zresztą czułam się dość podle.

Siostra Ruth pojawiła się z wielkim wiklinowym koszem i poszłyśmy razem do lasu. Nie byłam tam od czasu pamiętnej samotnie spędzonej nocy. Teraz drzewa wyglądały niewinnie. Rzucaly wprawdzie cień, ale przez młode listki przeświecało słońce.

- Skąd ta dyskrecja? I po co nam ten kosz?

- Już wyjaśniam. To taka sztuczka. Niosąc kosz, wyglądam, jakbym szła w jakimś celu.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Jak było w domu? - zapytała, oglądając się przez ramię. Obracała głową, jakby to był sorbetowy lizak na patyku.

- Fajnie.

Pokiwała głową.

- Emmo, co wiesz o swojej matce? Ma na imię Lydia, tak?

Skrzywiłam się.

- Dziwne pytanie.

- Miałam na myśli, co wiesz o jej narodzinach?

Szurałam butami po zeschniętych liściach i żwirze.

- Niewiele. Urodziła się w klasztorze i wychowywały ją zakonnice.

- Nigdy nie mówiła o swojej matce?

- Nie. Wspomniała tylko kiedyś jedną z sióstr.

- Czy ta siostra miała na imię Patricia?

Myślałam przez chwilę.

- Niewykluczone.

Odsunęła mnie na długość ramienia, po czym obejrzała się na szkolne budynki.



- Posłuchaj, Emmo. Na rekolekcjach spotkałam kogoś, kto znał siostrę Patricię. To Brenda, była z siostrą Patricią przez pięć lat w tym samym klasztorze. Świętego Józefa. Niestety, siostra Patricia już nie żyje.

- Skąd wiesz, że chodzi o tę samą siostrę Patricię?

- Brenda zwierzyła mi się, że przed śmiercią siostra Patricia otworzyła przed nią serce i opowiedziała o dziecku, któremu nadano imię Lydia. Prawdopodobnie była przy narodzinach.

Siostra Ruth pochyliła głowę i skinęła, chcąc mi dodać otuchy. Usłyszałam głos matki, jakby mówiła tylko do mnie. Przytłoczona ogromem tęsknoty za nią poczułam chłód, mimo iż było dość ciepło.

Otrząsnęłam się.

- Ale kim ona była? Ta kobieta, która urodziła dziecko. Umarła?

Siostra Ruth pokręciła głową.

- Brendzie udało się wydobyć od siostry staruszki tylko imię dziecka, ale z tego, co mówiła, nie wynikało, żeby ta kobieta umarła przy porodzie.

- No i?

Uśmiechnęła się do mnie jeszcze raz i ścisnęła za rękę.

- Siostra Patricia wręczyła Brendzie obrazek. Miniaturkę młodej kobiety, matki dziecka. Pomyślałam, że powinnaś go mieć, choć zgodnie z prawem należałoby go oddać dyrektorce, żeby przekazała twojemu ojcu.

Spojrzałam w głąb lasu, gdzie w słonecznej smudze widać było niebieskie dzwoneczki, które dopiero co wzeszły.

Ruth osłoniła oczy dłonią i spojrzała na mnie.

- Chodź, usiądziemy na ławce.

Poszperała w fałdach habitu i wyjęła portrecik.

- Siostra Patricia przechowała go przez te wszystkie lata. Zobacz, w prawym dolnym rogu są jakieś inicjały.

Namalowana kobieta miała znacznie jaśniejsze włosy, rudoblond, ale serce aż mi podskoczyło, bo poczułam, że z portretu patrzy na mnie moja własna matka. Te same orzechowe oczy z niebieskimi i zielonymi cętkami, łukowate brwi, jedna położona minimalnie wyżej, ten sam owal twarzy i szerokie usta. To może dziwne, ale obrazek przypomniiał mi nawet, jak mama pachniała. Czułam woń jej skóry i włosów. Widziałam, jak stoi w naszym ogrodzie, jak obok niej przelatuje chmara wielkich niczym ptaki motyli, a tata siedzi i paląc fajkę, czyta „The Straits Times”.

- Matka Lydii błagała siostrę Patricję, żeby pilnowała tego obrazka i dała go twojej matce na osiemnaste urodziny. No cóż, twoja matka uciekła w wieku siedemnastu lat i siostra Patricia nigdy już jej nie zobaczyła.

- To absurd - prychnęłam. - Nie mogła jej odszukać?

Siostra Ruth pokręciła głową.

- Chciała, ale ówczesna matka przełożona była zdania, że lepiej nie ruszać tej sprawy.

- Powinny były odnaleźć moją matkę. Albo przynajmniej spróbować.

- Ale przełożona wtedy myślała inaczej.

Odwróciłam wzrok. Dzwoneczki były teraz schowane w cieniu i mimo ładnego początku dnia niebo zasnuły szare chmury. Kręciłam głową i czubkiem buta rysowałam zygzaki

w lepkiem błocie otaczającym ławkę.

- Data urodzin tego dziecka? - spytałam.

- Szósty sierpnia 1924 roku.

Zatkało mnie.

- Szóstego sierpnia mama obchodziła urodziny. I urodziła się w 1924 roku.

Siostra Ruth dotknęła mojego policzka.

- Jak się nazywała ta kobieta? - zapytałam.

- I tu mamy najlepszy numer - uśmiechnęła się. - Miała na imię Emma, ale obawiam się, że Patricia nie znała jej nazwiska.

Czy naprawdę może chodzić o matkę mojej mamy? Kobietę, której mama nigdy nie poznała? Zakonnica ma na imię Patricia, dziecko - Lydia, i w dodatku urodziło się dokładnie wtedy co moja mama. A kobieta miała na imię Emma. Mama zawsze mówiła, że imię dostałam po jej matce. Byłam prawie pewna, że trzymam w ręku portret mojej babki. Babki, o której do dziś dnia nie wiedziałam absolutnie nic.

Chociaż wszyscy myśleli, że mama nie żyje, ja nigdy w to nie uwierzyłam. A teraz tak bardzo chciałabym pokazać jej podobiznę kobiety, która - jak miałam nadzieję - była jej matką. Nie chciało mi się wracać do budynku odrabiać lekcje, w głowie widziałam tylko ten obrazek. Ale rozległ się dzwonek i nie było wyjścia.

- Dziękuję, siostró Ruth. - Pocałowałam ją w policzek i pobiegłam przez łąkę do szkoły.

Przed udaniem się do klasy, w dormitorium jeszcze raz spojrzałam na obrazek. Ta kobieta jest tak podobna do mamy.

Modląc się, żeby moja matka ciągle żyła, czułam na języku smak słodzonych kwiatów hibiskusa, słyszałam brzęczenie ogromnych pszczół. A nade wszystko łowiłam uchem, jak w wysokiej trawie na tyłach naszego domu buszują węże.

Wszyscy mówili, że Malaje to niebezpieczne miejsce, ale ja nie zapamiętałam stamtąd żadnego niebezpieczeństwa.

Pamiętałam, jak pięknie było wieczorami, gdy słońce świeciło na złoto, a za ciemnymi pagórkami czaiła się dżungla. Nawet wypadek, jaki mieliśmy - wtedy gdy mama zgubiła jeden ze swoich kolczyków w kształcie jaszczurki ze szmaragdowymi oczami - zapamiętałam tylko dlatego, że wracaliśmy wtedy z wesela. A dzień wcześniej mama i tata pokłócili się i panowała ciężka atmosfera.

A potem przyjechaliśmy do Anglii.

Przemyślałam sobie cały dzisiejszy dzień. Rano byłam pogrążona w melancholii, a teraz moje serce jest pełne nadziei i bije żwawo. Przy odrobinie szczęścia - o ile ona jeszcze żyje - może odnajdę moją babcię. Czy kiedykolwiek mogłam to sobie wyobrazić? Jeszcze raz rzuciłam okiem na obrazek. W prawym rogu czarną farbą ktoś napisał inicjały. C.L.P. Moim pierwszym zadaniem będzie dowiedzieć się, kim jest ten artysta.

Na targu Lydia usłyszała za sobą głośne kroki. Odwykła już od zaułków Malakki, robiła więc, co mogła, żeby się na nowo do nich przyzwyczaić. Włóczyła się po obrzeżach chińskiej dzielnicy w nadziei, że znajdzie jakiś trop prowadzący do miejsca pobytu Lili. Włosy miała poskręcane od wilgoci, zatrzymała się więc przy lombardzie, żeby je przygładzić. Gdy przeglądała się w witrynie, pomiędzy tandetnymi naszyjnikami i sznurami pereł spostrzegła czyjeś odbicie.

- Lydia.

Obejrzała się. To był on. W zachodnim stroju, ciemnych spodniach, kremowej koszuli z krótkimi rękawami i z błyszczącym złotym łańcuchem na szyi. Głowę miał jak zawsze ogoloną i brązową. Podszedł do niej nieśpiesznie i wyciągnął rękę.

Milczała przez chwilę, wpatrując się w jego twarz, po czym uśmiechnęła się niepewnie.

- Śledzisz mnie, Adil?

- Chodź ze mną. Nie pożałujesz.

Zmarszczyła czoło. Słońce właśnie sięgało zenitu i poczuła, jak pod wpływem temperatury na szyję wypełził jej rumieniec. Adil wskazał kierunek, a ona weszła za nim w wąską uliczkę, gdzie handlowy gwar był nieco mniej uciążliwy. Zatrzymał się przed małą kafejką z niebiesko-złotym arabskim szyldem nad

drzwiami.

W środku przysiedli na niewygodnych stołkach w kącie wypełnionego dymem i parą pomieszczenia, starając się trzymać z dala od zgarbionych nad planszami w drugim końcu baru graczy w madżonga. Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła się skinieniem głowy, po czym wzięła do ręki pozostawiony przez kogoś egzemplarz „The Straits Timesa”.

- Dziwisz się, że George ci nie pomógł? - spytał Adil.

Spojrzała na jego gładkie czoło i dwie bruzdy biegnące po obu stronach od długiego nosa do kącików pełnych ust.

- Co takiego?

Przechylił głowę i spojrzał jej w twarz, nalał im słodkiej aromatycznej kawy z grawerowanego mosiężnego tygielka, po czym powiedział miękko:

- Oboje dobrze wiemy, co miałem na myśli.

- Skąd znasz George'a? - spytała, starając się unikać jego badawczego wzroku.

Adil wzruszył ramionami.

- No cóż, skoro muszę ci odpowiedzieć: nie pomógł mi i nie sądzę, żeby mnie to zdziwiło. A dlaczego spytałeś?

Spojrzał na nią przenikliwie.

Wpadające przez jedyne okno słońce rzucało na bar smugę białego światła. Lydia potarła sobie skronie, żeby zmniejszyć napięcie. Wyczuwała, że on gapi się w jej nieco za głęboki dekolt i że widzi każdą plamkę na skórze. Nie, ona nigdy nie przyzwyczai się do takiej wilgotności.

Adil podrapał się po brodzie i rzucił jej współczujący uśmiech.

- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Wiem, że żadne słowa nic tu nie pomogą.

Przez chwilę żadne się nie odzywało.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział w końcu Adil.

Serce jej zatrzepotało, bo znów pojawiły się przed nią twarze Fleur i Emmy. Starła się jednak zachować zimną krew.

- A więc już wiesz, jak mi przykro.

- Daruj sobie te uprzejmości... A tak przy okazji, jak się dowiedziałeś o Jacku i o dziewczynkach?

Wzruszył ramionami.

- Takie rzeczy się rozchodzą.

Nie chciała teraz myśleć o Jacku, ale radio zaczęło grać piosenkę Pata Boone'a, którą Jack bardzo lubił. Przypomniało się jej, jak się poznali. Pokręciła głową.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedział. - Ale pod warunkiem, że nie będziesz się sprzeciwiać. Zaufasz mi?

Otarła pot z czoła i wysączyła resztkę kawy. Chciała nawet poprosić o pomoc, ale czy powinna mu zaufać? Nie była pewna, chociaż kiedyś okazał się dla niej bardzo miły. Było jej gorąco, zaczęła zachowywać się niezdarnie. Hałas z ulicy - ktoś zrzucił towar z ciężarówki - ogłuszył ją do tego stopnia, że wypadła jej z ręki szklanka w rubinowym kolorze.

- O Boże, przepraszam.

Gdy barman uprzątnął rozbite szkło, Adil spoważniał:

- Po co właściwie poszłaś do George'a? - spytał.

- To wprawdzie nie twoja sprawa, ale odpowiem: chciałam mu zadać kilka pytań. Nie uzyskałam odpowiedzi.

Zasugerował, że powinnam odpocząć, bo jestem wyczerpana nerwowo.

- Może ma rację - zauważył Adil z półuśmiechem na twarzy i ciągnął z nutką rozbawienia w głosie: - Powiosłowałabyś sobie pod prąd, nad tobą ptaszki, wokół lasy namorzynowe. Tu jest wiele do zobaczenia. A tak przy okazji - czy wiesz, że mangrowce mają korzenie częściowo nad ziemią?

Zmrużyła oczy.

- Zapomniałeś wspomnieć o komarach, upale i duchocie.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Faktycznie. No i strzeż się węża koralowego. Jest bardzo jadowity.

- Cóż, dzięki za przestrozę, ale teraz powiedz mi, co ty robiłeś u George'a. Widziałam cię wtedy przed domem.

- Pracuję dla niego. Przynajmniej od czasu do czasu. Głównie...

- Pracujesz dla George'a! - wybuchła. - To jak mam ci zaufać?

- To znaczy, kiedyś pracowałem. Teraz już nie.

Zaskoczona przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

- Kłamiesz.

- Przykro mi, jeśli tak myślisz. - Pokręcił głową. - Wszystko ci opowiem. Ale wyjdźmy stąd.

Podnieśli się i stanęli twarzą w twarz. Zakręciło się jej w głowie. Zauważył to i wyciągnął rękę, żeby przywrócić jej równowagę. Miał ciepłe spojrzenie. Dlaczego nie pamiętała, ile on ma w sobie ciepła? Czy dlatego, że nie był biały? Wziął ją za łokieć i poprowadził wąską uliczką.



- Może do parku? - zaproponował. - Na świeże powietrze.

Przedzierali się przez drgający świat chińskiego handlu. Adil z precyzją omijał firany wiszących suszonych ryb. W parku było już o wiele mniej ludzi. Szli ścieżką wśród gęsto ulistnionych drzew, po których pniach czarne drzewne szczury wbiegały, aby natychmiast ukryć się wysoko między gałęziami. Lydia usiadła na wskazanej przez Adila ławce w zacisznym, otoczonym różowymi hibiskusami miejscu obok stawu. Nowe buty nieźle już dały się jej we znaki.

- To symbol pokoju - powiedział mężczyzna, wskazując palcem hibiskus. - Pokoju i męstwa.

Zbliżające się szybko i grożące deszczem chmury zakryły słońce. Lydia obserwowała krocącego między polnymi makami pawia, symfonię błękitnych, zielonych i złotych piór, na których położyła się ostatnia plamka znikającego słonecznego światła.

- Uśmiechasz się - zauważył. - Ale to nie jest uśmiech szczęścia.

Czuła się rozgrzana i lepka, zrzuciła wyjściowe pantofle i zaczęła ruszać stopami. Zapanowało nieprzyjemne milczenie.

Odwróciła się do niego.

- Ciągle nie powiedziałaś, jak możesz mi pomóc.

- Podśluchałem, jak rozmawiał z kimś o chłopcu imieniem Maznan.

- A więc uważasz, że George o wszystkim wiedział? Tak przypuszczałam. Protekcyjny sukinsyn. Przepraszam, ale ja go nie znoszę. - Opadła z powrotem na ławkę, uciskając sobie skronie. - Dlaczego mnie okłamał?

- Nie wszystko mogę ci powiedzieć - odparł ponuro.
- Adil, jeśli coś wiesz, błagam, powiedz.

Wstrzymała oddech, a on zaczął mówić:

- Czekałem w holu. Rozmawiał przez telefon w swoim gabinecie, drzwi były otwarte. Nie wiem, gdzie chłopiec się znajduje, ale wszystko wskazuje na to, że żyje.

Lydia przyłożyła dłoń do serca i odetchnęła z ulgą.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Dziękuję.

W oddali ujrzała grupkę dziewczynek ubranych w mundurki dawnej szkoły Emmy i Fleur - granatowe fartuszki na szelkach. Dawały sobie kuki między zebra, chichotały, a potem odwróciły się, żeby popatrzeć na nią i Adila. Obraz jej się zamglił i zamknęła oczy. Odczucie minęło, a lekka bryza znad wody odświeżyła powietrze.

Spojrzał na nią, nieświadomy, że ktoś się na niego gapił.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc - powiedział. - I jeszcze raz przyjmij wyrazy współczucia z powodu twojego przyjaciela i twoich dzieci. Wiem, co to znaczy stracić kogoś, kogo się kocha. Musisz mi zaufać.

Z trudem łapała oddech. Adil po przyjacielsku ścisnął jej rękę, jakby chciał ją przekonać, że ma dobre zamiary. Po jej stopie przebiegła zielona grzebieniasta jaszczurka.

- Widziałeś je? - spytała. - Te uczennice na spacerze?

- Czasem trzeba postrzegać selektywnie. To pożyteczna umiejętność.

Krótki kontakt z jego chłodną dłonią sprawił jej przyjemność. Mimo to cofnęła rękę.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem naruszyć twojej

prywatności.

Pokręciła głową i spojrzała w niebo, które teraz było posępne i właśnie zaczęło bombardować pierwszymi kroplami deszczu, wielkimi jak piastka Emmy. Zmusiła się do myślenia o czymś innym.

- Co takiego robiłeś na zlecenie George'a?

- Głównie różne tajne operacje.

To chyba nie był dla niego wygodny temat.

- Opowiedz coś.

- Nie za bardzo mogę. W tym kraju szaleje korupcja i demoralizacja. Miejscowi nazywają Europejczyków rudymi diabłami. Czasami sobie myślę, że mają rację.

Wstała. Alec też jej to mówił. Nie chciało się jej opuszczać tego miejsca, ale dotknęła jego ramienia.

- Lepiej, żebyśmy zdążyli przed deszczem.

Odpowiedział jej uśmiechem.

Jej pierwsze, dawne wrażenie na jego temat było mylne. Wydawał się jej wówczas chłodny i zdystansowany, a potem po prostu uprzejmy. Teraz oceniała go jako człowieka głęboko uczuciowego. Widać to było w jego oczach.

- Jak będę mogła się z tobą skontaktować?

- Nie martw się, ja się do ciebie odezwę.

Sama się zdziwiła, jak bardzo jej zależy, żeby to była prawda.

## 34

Siedziałam w świetlicy, kartkując zeszyt do ćwiczeń. Udawałam, że pracuję. Dzień był na to zbyt piękny. Słoneczny i ciepły. Przez przesuwne okna wdierało się mnóstwo światła. Odsunęłam jedną z szyb, żeby wpuścić trochę powietrza, i wyjrzałam na zewnątrz. Ziemia wokół szkoły pokryła się wiosennymi kwiatami, a trawa zrobiła się jasnozielona. Rebecca, która też czekała na odwiedzinę, mimo pięknej pogody patrzyła spode łba.

Veronica się spóźniała. W liście napisała, że chciałyby się ze mną zobaczyć. I choć nadal nie byłam pewna, czy mogę jej zaufać, nie wypadało odmówić. Dotknęłam tornistra. W środku była miniaturka, z którą się nie rozstawałam.

Do pokoju wparowała niska, czerwona na twarzy kobieta w jaskrawożółtej garsonce i pomachała Rebecce przed nosem jakimiś papierami.

- Ach, tu cię mam. Nieźle przetrzymałaś swoich nowych przybranych rodziców, dziewczucho. Pozwól, że ci powiem - lepiej będzie dla ciebie, jak tym razem postarasz się zachować bardziej odpowiednio! - krzyczała ochryple, nie przejmując się, że jeszcze ktoś jej słucha. Obróciła się na pięcie i wychodząc, pociągnęła za sobą swój wielki żółty tyłek.

Rebecca ześlizgnęła się z krzesła i uniosła dumnie podbródek. Przechodząc obok mnie, syknęła:

- Jak komuś o tym powiesz, zabiję cię.

Uśmiechnęłam się. Nie miałam zamiaru nikomu mówić, ale przynajmniej przekonałam się na własne oczy, że jest z rodziny zastępczej. I nie jest córką bogatych rodziców, którzy mieszkają za granicą. Oparłam się o ścianę, ciesząc się tą myślą i słońcem padającym mi na twarz. I wtedy usłyszałam stukot obcasów.

Veronica była wysoka i elegancka w taki typowo angielski, niewyróżniający się sposób. Nie taka odlotowa i ekscytująca jak mama, ale ujdzie. Dopasowany granatowy żakiet, rozkloszowana, szeleszcząca przy każdym kroku spódnica w tym samym kolorze. Na głowie mały okrągły kapelusik. Białe.

Zauważyła, że się mu przyglądam, i poklepała się po nim.

- Toczek. Podoba ci się? Najnowsza moda.

Potwierdziłam skinieniem głowy, a jej oczy rozbłyły. Wyciągnęła do mnie rękę w białej rękawiczce.

- Emmo, kochanie. Jak się czujesz?

- W porządku - wymamrotałam, wiedząc, że zachowuję się jak głupi mruk. Świadomość, że poza szkołą musimy nosić mundurki, w skład których wchodziły idiotyczne kapelusze typu panama, pogłębiała to wrażenie. Czułam się jak pacan.

Usiadłyśmy na obitych kwiecistą tkaniną krzesłach w restauracji dużego domu towarowego w mieście. Zajęłyśmy coś w rodzaju łoży czy balkonu, z którego można było patrzeć na znajdujący się poniżej sklep. Nie czułam się tu swobodnie, ale to przecież miała być dla mnie przyjemność, więc zaczęłam zadzierać nosa, oglądając te wszystkie ciężkie

draperie z czerwonego pluszu i frędzli. Tapety na ścianach miały charakter romantyczny; na przykład ta tuż za nami przedstawiała Świętego Jerzego na złotym rumaku pośród kwitnących leśnych dzwoneczków. Na tym balkonie stało też pięć wysokich lamp z abażurami w niebiesko-złote pasy, obowiązkowo z frędzlami.

W tle grano *Memories Are Made of This*. Miałam poważne wątpliwości, czy wspomnienia rzeczywiście składają się z „tego”. Ja tam bez przerwy wspominałam mamę. Przechowywałam ją w bezpiecznym miejscu – w sercu. Tak jak mama trzymała swoje najlepsze jedwabie w ogromnej chińskiej skrzyni na pościel. Kelnerka przyniosła nam coś w rodzaju stojaka z bogatym wyborem ciastek, a potem zastawę z białej porcelany ozdobionej różowymi pąkami róż. Veronica nerwowo bawiła się swoją filiżanką i spodkiem, obsesyjnie paplała o szkole i wypytywała mnie, jak się czuję.

Byłam w połowie melby z owocami i bitą śmietaną, gdy zrozumiałam, dlaczego to robi.

- Twój ojciec i ja ustaliliśmy datę - powiedziała beznamietnie, jakby chciała, żeby zabrzmiało to jak pytanie, czy nie napiłabym się jeszcze herbaty.

Zarumieniła się jednak gwałtownie, jej policzki świeciły jaskrawym różem. Siedziałam, patrząc na nią wilkiem. Z kącików ust spływały mi roztopione lody.

- Chciałam ci to powiedzieć osobiście - zająknęła się, patrząc na mnie. Cień na powiekach pasował do jej niebieskich oczu. Gapiłam się na jej powieki. Skąd się bierze takie migotliwe cienie do powiek?

- Emmo?

Otarłam usta wierzchem dłoni, w której trzymałam łyżeczkę, i wtedy przypadkowo spadło mi z niej na dywan trochę czekoladowych lodów. Wykładzina była niebiesko-różowa i pokrywała podłogę całego domu towarowego. Nie mogłam uwierzyć, że w takiej chwili myślę o dywanie, i spojrzałam na nią.

- A co z moją matką? - spytałam podniesionym głosem, czego nie potrafiłam uniknąć.

Westchnęła i na jej twarzy pojawił się taki smutek, że już myślałam, że się rozplacze.

- Bardzo mi przykro, naprawdę, Emmo. Ale twoja matka umarła. Miałam nadzieję, że zdążyłaś się już z tym pogodzić.

Ściągnęłam kapelusz i zwiesiłam głowę. W gardle poczułam gulę. Nigdy nie przyjmę do wiadomości, że moja matka nie żyje, choćby tata i Veronica nie wiem jak do siebie pasowali. On przy niej czuł się bezpieczny, a mama nigdy nie umiała mu tego zapewnić.

- Kocham twojego ojca, Emmo.

Chciałam zawołać głośno: A ja kocham moją matkę! A ona tylko zaginęła. Przygryzłam wargę i zaczęłam się dławić tymi słowami. Na białym obrusie pojawił się słoneczny refleks i wszystkie odgłosy domu towarowego zmieszały się w jeden wielki gwar.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Myślałam, że ty i Fleur będziecie wolały mieć matkę przybraną niż żadną.

- Fleur - parsknęłam.

Rozmowa się nie kleiła. Ja mieszałam łyżeczką roztopiające się lody, a ona ze spuszczoną głową przyglądała się swoim leżącym na kolanach rękoma. Siedzące przy sąsiednim stoliku dziecko zaczęło piskliwie zawodzić, a w oddali jakiś samochód trąbił bez przerwy. Miałam ochotę krzyknąć, żeby się wszyscy przymknęli.

- A czego się spodziewałaś, Emmo? - odezwała się po chwili Veronica. - Twój ojciec jest niestary i ja też. Dla nas obojga to druga szansa na szczęście. Odmówisz nam jej?

Usiłowała wziąć mnie za rękę, ale gwałtownie ją cofnęłam. Popatrzyłam na biały obrus, na roztopione lody, na nią, a potem w dół, na ludzi robiących zakupy. Chciałam teraz być sama, z dala od tego zatłoczonego domu towarowego, ale do szkoły było stąd za daleko, żeby wrócić na piechotę, a nie miałam pieniędzy na autobus.

Zacisnęłam usta i patrzyłam na nią. Bawiła się swoimi rękawiczkami, wywracając je raz na lewą, a raz na prawą stronę. W końcu, nie podnosząc głowy, odezwała się z lekka zachrypniętym głosem:

- Pozwoliłam sobie na odrobinę nadziei, że mnie polubisz.

Zapadło milczenie, a ja zastanawiałam się nad jej słowami. Osobiście nie miałam nic przeciwko niej. Ale nie chciałam mieć macochy.

- Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Nie mogę zastąpić ci matki. Ale mogę sprawić, że zaczniesz się układać z ojcem.

Podniosłam wzrok.

- Jest tylko człowiekiem i wiem, że może być dla ciebie



trochę za surowy.

- Delikatnie mówiąc - wtrąciłam z bladym uśmiechem.

Skrzywiła się i przechyliła głowę.

- Rozumiem, co masz na myśli. Ale jeśli mi na to pozwolisz, stanę po twojej stronie. Nie muszę wszystkiego mówić twojemu ojcu.

Jeszcze nie byłam pewna, ale zdaje się, że przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Rozejrzała się wokół.

- Wiesz, on nie przepada za Anglią. Czasami sobie myślę, że wolałby wrócić na Malaje.

Rozjaśniłam się, przed oczami przewinęły mi się wiewiórki, wieloszpony, nietoperze.

- Naprawdę?

- No cóż, nie sądzę, żeby się na to zdecydował. To raczej rodzaj nostalgii.

Poczułam się, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze. Powrót na Malaje to było moje marzenie. Najpierw poszłabym do naszego dawnego domu i jak zwykle schowałabym się pod nim, a potem położyłabym się w wysokiej trawie, wcale nie myśląc, że są tam węże. A potem poszukałabym mamy.

Veronica patrzyła na mnie.

- Wszystko w porządku, Emmo?

- Tęsknię za mamą - powiedziałam, czując łzy pod powiekami.

Znów chciała mnie wziąć za rękę. Tym razem jej pozwoliłam.

- Wiem, że to musi być dla ciebie straszne. Ale może

zostaniemy sojuszniczkami?

Zapadło długie milczenie. Wyglądałam przez okno, obserwując mężczyzn pracujących na rusztowaniach po drugiej stronie ulicy, i biłam się z myślami. Ona się nie odzywała, nie naciskała, nie popędzała mnie, po prostu czekała, co powiem. To było poruszające, bo świadczyło, że nie jest taka jak tata, który nie miał zwyczaju słuchać ludzi. I to w końcu przesądziło.

- Możesz mi w czymś pomóc? Ale tata nie powinien się dowiedzieć. - Już wypowiadając te słowa, czułam lekki ucisk w żołądku. Jeśli ona wygada się przed tatą, będę miała kłopoty. Ale jeśli nie poproszę o pomoc jej, to kogo? Siostra Ruth zrobiła już dla mnie, co mogła.

- O ile to jest zgodne z prawem - odparła.

Sięgnęłam do tornistra po obrazek. Przez chwilę przyciskałam go do piersi, ciągle się wahając, i czułam, jak wali mi serce. A potem spojrzałam jej w oczy. Wyglądała na tak szczerą i uczciwą, że ciężko było uwierzyć w jej ewentualną zdradę. Odwróciłam miniaturę i pokazałam jej.

Wzięła ją ode mnie, spojrzała na nią, a potem badawczo przyjrzała się mojej twarzy i znów przeniosła wzrok na obrazek.

- To niemożliwe - orzekła w końcu. - Jest ubrana jak w dawniejszych epokach.

- Nie, to nie jest moja matka. To moja babcia.

Uśmiechnęła się.

- Jest piękna. Alec nigdy nie wspominał, że miałyście drugą babcie. Mówił tylko o swojej mamie. Ale to nie ona.

- To matka mojej mamy. I w tym rzecz... Potrzebuję twojej pomocy, żeby ją odnaleźć.

- I twój ojciec nie może się o tym dowiedzieć?

Wstrzymałam oddech w nadziei, że nie popełniam błędu. To była ryzykowana gra. Jeśli Veronica powie tacie, on zabierze mi portrecik i wtedy już będzie mi bardzo trudno prowadzić poszukiwania.

- Okej - powiedziała w końcu. - To będzie nasze wspólne małe przedsięwzięcie. A mogę zapytać, dlaczego ojciec nie powinien wiedzieć?

- Nie chcę, żeby się wtrącał, dopóki nie dowiem się, gdzie ta babcia jest, albo w ogóle czegoś więcej o niej.

- W takim razie musimy stworzyć plan - powiedziała, wczuwając się w klimat. - Rzecz jasna tajny.

- Mogłabyś dowiedzieć się czegoś o malarzu? W rogu są jego inicjały i data. C.L.P. 1923. Rok przed urodzeniem mojej mamy.

- Dość często jeżdżę do Londynu na spotkania z Freddym, moim adwokatem. On czasowo zajmuje moje mieszkanie, a ono leży w pobliżu wszystkich muzeów i galerii sztuki, więc to nie powinno być trudne.

Nadstawiłam uszu. Czyżby los dawał mi szansę? Od niechcienia zapytałam:

- A więc nie korzystasz z usług kancelarii Johnson, Price & Co. z Kidderminster?

- Nie, kochanie.

- I nie masz innych prawników?

- Nie potrzebuję nikogo poza Freddym. To także mój stary,

dobry znajomy. Znamy się od czasu moich studiów na uniwersytecie w Birmingham, zanim jeszcze dostał pierwszą posadę w Worcester. Teraz jest oczywiście w Londynie ważną figurą. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie.

- Zabawne pytanie - skwitowała, kiwając głową.

Poszła zapłacić, a ja udałam się do ubikacji. Zdecydowałam właśnie, że napiszę do pana Johnsona, zaapeluję do jego miłosierdzia i będę błagać, żeby mi wyjawiał, kto wnosi za mnie opłaty.

W damskiej toalecie była kolejka. Czekając, poczułam kłujący ból w dole brzucha. Gdy kabina się zwolniła i usiadłam na sedesie, zrozumiałam jego przyczynę. Krwawienie nie było silne, ale miałam poplamione majtki. Poczułam łzy pod powiekami i zrobiło mi się okropnie żal siebie samej. Ale gdy usłyszałam zniecierpliwione psyknięcia oczekujących w kolejce kobiet, otarłam oczy i włożyłam do majtek kilka poskładanych kawałków papieru toaletowego. Obróciłam się, żeby sprawdzić, czy z tyłu na spódniczce nie mam śladów krwi, otworzyłam drzwi i minęłam kolejkę ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wstydziłam się, bo każdemu mojemu krokowi towarzyszył szelest sztywnego papieru toaletowego.

Veronica czekała przy wyjściu, chyba zorientowała się, że coś się dzieje.

- Co ci jest, Emmo? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Skrzywiłam się.

- To nie duch.

- A co?

Nie chciałam zakrwawić sobie ubrania ani tapicerki w jej samochodzie, musiałam więc się przyznać. Z trudem przełknęłam ślinę i powiedziałam cichutko:

- Zaczęło się u mnie. No wiesz, dojrzewanie.

- Och, och, rozumiem. - Spłonila się. - To pierwszy raz?

Żałośnie pokiwałam głową.

- Masz to, czego potrzebujesz?

Zaprzeczyłam.

- Och, kochanie, chodź, wrócimy do łazienki. Tam jest automat.

- Widziałam, ale nie miałam drobnych.

- To nie problem. - Zamilkła na chwilę i ściszyła głos. - Pewnie nie masz też paska sanitarnego?

Znów musiałam zaprzeczyć. Poczułam, że jestem czerwona jak burak, i zapagnęłam, żeby ziemia się pode mną rozstała.

- Najpierw weźmiemy z automatu podpaskę. Sprzedają je od razu z agrafkami, więc przypniesz sobie do majteczek i wystarczy ci na powrót do szkoły.

Poczułam, że oczy napełniają mi się łzami, i otarłam je sobie nadgarstkiem.

- A potem pójdziemy do Timothy'ego Whitesa, kupimy pas podtrzymujący i kilka opakowań podpasek, żebyś miała na później.

Wcale nie poczułam się bardziej dorosła, a tego się spodziewałam. Wręcz przeciwnie. Byłam mała i samotna. Mimo całej należytnej Veronice wdzięczności chciałam, żeby była tu teraz ze mną moja mama.

Gdy podwiozła mnie pod szkołę, wygrzebałam się z samochodu i przez chwilę przytrzymałam otwarte drzwi.

- Dzięki, Veronica.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnęła się.

- A tak przy okazji - nie powiedziałaś, kiedy ślub.

- W czasie wakacji, żebyście obie mogły na nim być. Potem na tydzień wyjedziemy do Torquay.

- Kto się wtedy zajmie mną i Fleur?

- Mam nadzieję, że mój brat przyjedzie wtedy na urlop, więc pewnie on.

Uniosła rękę, żeby mi pomachać, ale zauważyła, że nagle straciłam humor.

- To z powodu Sidneya? - spytała.

Przygryzłam wargę, wymamrotałam coś pod nosem i unikałam jej wzroku.

- Jeśli chodzi o tę lotkę, to on już zdążył ci wybaczyć.

Pokręciłam głową.

- W takim razie o co chodzi?

Nie mogłam wydobyć głosu. Zamknęłam się w sobie i marzyłam, żeby panu Oliverowi coś się stało. Coś naprawdę strasznego. Po raz drugi. Czułam jego palce pełzające po moim ciele i spocły mi się ręce. Łomotało mi w skroniach. Nie chciałam go znowu zobaczyć, nigdy w życiu. Ale jeśli się spotkamy i historia się powtórzy, postanowiłam, że o wszystkim opowiem.

## 35

Leżała na łóżku w domu Cicely i patrzyła, jak niebo o zachodzie słońca robi się coraz bardziej purpurowe. Chłodny powiew z wentylatora koił jej nagą skórę, dzień powoli przechodził w noc, a gdy na niebie pojawiły się gwiazdy i księżyc, zaczęła myśleć o Jacku. Czuła go przy sobie, jakby naprawdę tu był i rozpostarł szeroką dłoń na jej brzuchu, niemal czuła zapach dziegciowego mydła na jego skórze.

Pozwoliła swoim myślom płynąć. Z oceanu wyłoniła się kobieta w niebieskiej sukience, poruszała się z gracją, a jej jasnozłote włosy lśniły pomimo mroku. Gdy Lydia wyciągnęła do niej rękę, obraz rozpląnął się i została sama ze skaczącymi z gałęzi na gałąź gibbonami. Obudziła się zapłakana i ujrzała siedzącą na brzegu jej łóżka Cicely.

- Zejdź na dół. Napijemy się.
- Od kiedy tu jesteś?
- Od niedawna. Słyszałaś, co ci powiedziałam?

Lydia otarła łzy i naciągnęła na siebie prześcieradło.

W eleganckim salonie Cicely urządzone w tonacji écru i bardzo jasnego zimnego błękitu Ralph sporządził dla nich dzin z tonikiem. Podawał szklanki, kręcąc nimi tak, żeby słychać było pobrząkiwanie kostek lodu. Przysiadłszy na bogato rzeźbionym złożonym krześle w stylu francuskiego Ludwika Któregoś tam, Lydia czuła się niezręcznie.

- Schudłaś - zauważył Ralph z uśmiechem. - Do twarzy ci z tym.

Spuściła wzrok i pomyślała o Jacku.

- To nie było zamierzone.

- Ralph, kochanie - mruknęła uwodzicielsko Cicely z wyrazem twarzy zdradzającym manipulatorskie zapędy. - Chodź tu i usiądź z nami. Potrzebujemy twojej pomocy... To znaczy Lydia potrzebuje.

Wydawało się, że nie zauważył nic szczególnego, nadał jedynie lekko policzki i opadł na kanapę obok żony.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie bardzo wiemy dlaczego, ale chyba George Parrott coś ukrywa. To musi mieć związek z Jackiem albo z miejscem pobytu dziecka, które nazywa się Maznan Chang.

Zwróciła się do Lydii o potwierdzenie.

- Był bardzo rozdrażniony, kiedy poprosiłam go o listę ofiar pożaru - dodała Lydia. - Powiedział, że nie widzi takiej możliwości.

Ralph zmarszczył czoło.

- I pewnie ma rację.

Czujna i pewna siebie Cicely poklepała go po udzie. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Wiem, kochanie. Ale, Ralph, jesteście ciekawe, może do ciebie doszły jakieś pogłoski?

Lydia przez niezastłonięte okna patrzyła w ciemność, zaskoczona, jak znakomicie Cicely porozumiewa się z mężem. Mimo jej wcześniejszych dotyczących go aluzji, ich wzajemne zachowanie cechowała prostota i swoboda. Zupełnie jakby się



umówili. Najwyraźniej też nie przeszkadzały mu jej jawne pochlebstwa.

Pokręcił głową przecząco.

- Wszyscy mówili, że Alec padł ofiarą ognia tam, gdzie przeniesione zostały biura w Ipoh i... resztę już znacie. Dużo ludzi tam napłynęło, budynek był przepełniony, nie ma żadnych śladów na piśmie, wszystkie dokumenty się spaliły. Szczątki nie nadawały się do identyfikacji, więc nie istnieje lista ofiar. Przykro mi, Lydio. - Uśmiechnął się do niej współczująco.

- No cóż, Lydia uważa, że George coś wie.

Zdziwiony uniósł brew.

- Na temat pożaru?

- Nie... - odezwała się Lydia. - Chociaż i to możliwe. Ale chyba coś wie o chłopcu, a może nawet o Jacku i Lili.

- Lili?

Lydia przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Była kochanką Jacka. Podejrzewam, że ma coś wspólnego z morderstwem.

Zapadło niezręczne milczenie.

Cicely uniosła brew.

- Ależ to bardzo intrygujące, kochanie. Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

Lydia wzruszyła ramionami.

Cicely odwróciła się do Ralpha, pocałowała go w czoło i pogładziła po policzku paznokciem pociągniętym matowym różowym lakierem.

- Mógłbyś się jakoś bez rozgłosu dostać do biura George'a? Służbowo rzecz jasna.

Usiadł wygodniej.

- No i co miałbym zrobić? Zresztą to musi potrwać...

- Ale zrobisz to, prawda? - przerwała mu Cicely. - Przeszukasz jego gabinet.

Skinął głową na znak zgody, a Lydii serce podskoczyło z radości. Ale gdy tylko zaczął ją wypytywać o różne rzeczy, rozległo się głośne pukanie do drzwi. Było późno. Małżonkowie wymienili zdumione spojrzenia.

- Nie spodziewasz się nikogo? - spytał Ralph, wychodząc, żeby otworzyć drzwi.

Lydia obserwowała, jak zatopiona w myślach Cicely bawi się swoim naszyjnikiem. Znów pomyślała o Jacku i o plumeriach porastających cmentarz, gdzie został pochowany. W holu toczyła się ożywiona wymiana zdań, a gdy Ralph wrócił, był blady jak śmierć.

Popatrzyli na siebie.

- Obawiam się, że moje zadanie stało się niewykonalne. Wygląda na to, że George Parrott się zastrzelił.

Późne popołudnie. Po wyjściu z domu uderzyła ją niemal zbijająca z nóg fala dźwięków. Zauważyła, że czekał na rogu ulicy, przy której mieszkała Cicely, i nie potrafiła udawać, że go nie widzi. Gdy się zbliżała, uniósł brwi i skinął jej z wyrazem cichej determinacji na twarzy.

Pokręciła głową.

- Rozumiem, że nie mam wyboru.

Podszedł do niej, podając ramię.

- Służę uprzejmie.

Nie skorzystała.

- Jeszcze potrafię chodzić o własnych siłach.

- Jak wolisz. A teraz chodźmy stąd.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

Uśmiechnął się i jego poważna twarz złagodniała.

- Bardzo ładnie dziś wyglądasz, Lydio.

Adil nigdy nie odnosił się do niej aż tak osobiście. Doszła do wniosku, że to się jej podoba. Stłumiła uśmiech, spoglądając na oślepiająco jasne niebo, i ruszyła przed siebie, prosto pod nadjeżdżającą riksę. Odciągnął ją i spojrzał w jej twarz.

- Prosisz się o kłopoty?

- Nie, po prostu zemdleło mnie. To ten upał... A może wejdiesz do środka, przedstawię cię Cicely.

- To chyba nie najlepszy pomysł. - Pokręcił głową.

Lydia zmarszczyła czoło.

- Przecież jej nawet nie znasz.

- Przeciwnie. Pracujemy razem.

Lydia cofnęła się.

- Mówiłeś, że wykonujesz tajne operacje.

- Owszem.

- Teraz już nie dla George'a Parrotta.

- A więc już wiesz.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Ale Cicely?

- A co powiesz na moje mieszkanie? Moglibyśmy to wszystko przemyśleć razem na spokojnie.

Obejrzała się na dom Cicely. Wszystko zmienia się tak szybko... Miała ochotę z nim pójść, choć może nie powinna; czuła jednak, że temu mężczyźnie musi zaufać. Potrzebowała

tego.

Uśmiechnął się zachęcająco.

- Chociaż na trochę?

Przy postoju taksówek na głównej ulicy, obok sklepu z otwartą witryną, dosłownie kipiącego od nadmiaru zgromadzonych w nim egzotycznych ptaków, siadł na chodniku hinduski zaklinacz węży przygrywający na drewnianej fujarce. Zatrzymała się.

- A więc Cicely jest...

Pokiwał głową.

- Oczywiście nie mogę tego oficjalnie potwierdzić.

Lydia westchnęła. Pomyślała, że teraz już wie, dlaczego jej przyjaciółka jest zawsze taka chłodna i niewzruszona.

- Mieszkam po drugiej stronie chińskiej dzielnicy. Spodoba ci się tam. Można dobrze zjeść. Ale zapomniałem, że mieszkałaś w kolonialnym domu na przedmieściach. Tam nie było aż tylu szcurów.

Wzruszyła ramionami.

- Do dziś sprawdzam, czy w toalecie nie ma węży i pajaków. A szczury są wszędzie!

Roześmiał się.

Mieszkał przy ulicy Trzech Smoków, blisko popadającej w ruinę dzielnicy czerwonych latarni. Stary odrapany budynek zachował jednak pewien schyłkowy wdzięk. Łukowate okna i jasne okiennice z listewek oplecione były pnączem zwanym potocznie koralowym winem, którego kwiaty przypominały czerwone lampioniki. Najlepsze czasy dom ten miał już za sobą, ale i tak nie był to zły adres. Po wejściu na górę Lydia

rozsiadła się w rattanowym fotelu przy oknie i oparła plecy o poduszkę z czarnego jedwabiu. Adil przyniósł jej singapurski drink znany jako *gin sling*.

Gdy alkohol zaczął krążyć w jej żyłach, popatrzyła na odległy ocean i poczuła, że oto rzuca losowi wyzwanie. Lekki wiatr powodował uczucie mrowienia na policzkach. Z ulicy dochodziły strzępy orientalnych melodii i wschodniej mowy, ale przynajmniej nie czuło się żadnych ostrych woni. Niezagracony pokój był dość elegancki. Pomyślała, że podobnie jak jego lokator. Na niskim stoliku kawowym z drewna tekowego stał wazon z przydymionego szkła i salaterka z owocami rambutanu. Część wypastowanej podłogi pokryta była dywanem w romby, na nim porozrzucano jeszcze kilka poduszek w ciemnych kolorach. W kącie stał wazon z suszonymi trawami, które falowały, w miarę jak wentylator zwiększał obroty. Zmrużyła oczy i spojrzała na niego.

- Dlaczego na mnie czekałeś?

Na jego twarzy odmalował się wyraz skupienia, gdy zapalał kadzidełka w naczyniu z brązu, nic jednak nie odpowiedział. Potem - zostawiając lekko uchylone drzwi - udał się do sypialni, żeby się przebrać. Z mieszkania piętro niżej dobiegały dźwięki fortepianu. Jakaś południowoamerykańska muzyka. Wyobraziła sobie, że tańczy z nim tango albo namiętą rumbę, ma na sobie strój wyszywany cekinami, a on smoking. Gdy spojrzała na dom po drugiej stronie ulicy, zachwycającą siedzibę jakiegoś starego chińskiego rodu, wieczorne niebo nabrało nagle atramentowej barwy. Na jego

tle rysowały się wyraźniej światełka migające w oddali na wodzie.

Wrócił w świeżo upranej turkusowej koszuli z długimi rękawami, uwydatniającej ciemny odcień skóry twarzy, szyi i rąk. Był szczupły, wysportowany i silny. Bardzo męski, ale w odmienny sposób niż ten, do którego była przyzwyczajona.

Rzuciła mu ciekawskie spojrzenie.

- Kim ty jesteś?

- Już ci mówiłem. Przyjacielem. - Uśmiechnął się.

Biła się z myślami. Nie była pewna, czy chce mu uwierzyć.

Poszli coś zjeść do maleńkiej chińskiej restauracji dwie przecznice od jego domu. Przechodzili obok świątyni Cheng Hoon Teng. Jej czerwone kolumny pokryte były chińskimi napisami, na krokwiach widniały lwy i tygrysy, a niski i jakby wygięty dach wznosił się po obu bokach. Lydii całość wydała się nad wyraz dziwna.

- To moje ulubione miejsce - powiedział Adil, gdy siedząc w restauracji, z szerokim uśmiechem przeglądał menu.

Całym oświetleniem był tu blask kilkunastu zawieszonych na belce pośrodku sufitu czerwonych lampek. Jedynie gdy kelner otwierał drzwi do kuchni, robiło się trochę jaśniej, czemu towarzyszyła fala gorącej pary.

- Kurczak w orzechach jest niezły. Ryż z szafranem też. A co powiesz, żeby zacząć od zupy z płetwy rekina?

- Ty wybieraj. Ja jestem za bardzo zmęczona, żeby myśleć.

On sączył zimną wodę, a jej nalał piwa Tiger. Wypiła je głośno jednym haustem i podstawiała szklanekę po jeszcze.

- Ostrożnie - powiedział. - Jest mocniejsze, niż ci się

wydaje.

- Na miłość boską, nie jestem już dzieckiem - warknęła. - Jesteś taki jak mój mąż... To znaczy... kiedy żył.

Zmarszczył czoło.

Wiedziała, że nie powinna była tego mówić, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Wiesz, my biali już tak mamy. Lubimy się zdrowo nawalić.

Rysy twarzy mu się wyostrzyły, na szyi ukazały się ścięgna.

- Nawet jeśli, Lydio, to zdaje się, że mamy dziś ułożyć jakiś plan działania.

Patrzyła na niego nadąsana.

Pomyślała, że on jest w stanie przeświecić ją wzrokiem na wylot.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam była tego mówić.

Uśmiechnął się.

- Nie trać ducha, skoro już zaszłaś tak daleko.

- Po prostu czuję się cholernie zmęczona.

- Coś ci dolega?

- Nic. - Pokręciła głową. - Przejdźmy do naszych planów.

- Świetnie. No więc mam widoki na zlokalizowanie chłopca.

- Tak sądzisz?

Zamyślił się na chwilę.

- Tak. Podobnie jak Cicely mam mnóstwo kontaktów.

Zdumiał ją jego pewny ton. Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego.

- To wszystko razem jest takie dziwne.

Pomyślała, że on rozgląda się za kelnerem, żeby uniknąć jej

wzroku, i specjalnie mówi tak szybko po chińsku, składając zamówienie. Gdy patrzył w dal, przyglądała się rysom jego twarzy.

- Z Cicely łączy cię coś więcej niż praca, nie?

Miała tylko takie przecucie, ale po delikatnym rumieńcu na jego policzkach zorientowała się, że nie było ono całkiem chybione.

- Mylisz się - odparł, uciekając wzrokiem.

Ta nie do końca wyjaśniona kwestia zawisła między nimi.

Lydia westchnęła, wypuściła z siebie powietrze i spojrzała na Adila. Poczła lekki zapach pieprzu cytrynowego i kardamonu. On jest przyzwoitym człowiekiem. Jest dobry. Była tego pewna. Ma twarz godną zaufania, nie da się tego inaczej określić.

- Byłeś kiedyś żonaty?

Zacisnął usta.

- Nie. Możemy się skupić na właściwym temacie?

Zaskoczona reprimendą oraz własnym brakiem taktu, wymamrotała przeprosiny.

- Nie szkodzi - westchnął.

Milczeli przez chwilę.

- Skąd pochodzisz? Trudno to określić po wyglądzie.

- Nie jestem w nastroju do przesłuchań.

Zrobiła śmieszna dziecinna minkę i dał się ubłagać.

- Okej. Jestem po części Malajem, po części Portugalczykiem z sumatryjską domieszką i odrobiną chińszczyzny. Prawdopodobnie potomek piratów. Zadowolona?

- Egzotycznie. - Uśmiechnęła się.



Zrezygnował z kamiennego wyrazu twarzy i Lydii od razu zrobiło się weselej.

- Wybieram się do Singapuru lub Johoru - powiedziała. - Może tam coś znajdę.

- Nie możesz się tak błąkać tu i tam. Powinnaś odpocząć.

- Nie mogę. Muszę poszukać pracy.

Rozłożył ręce.

- Lydio, jesteś bardzo dzielna, ale potrzebujesz doładować baterie. Inaczej się wykończysz. Wyglądasz na kompletnie wyczerpaną.

Myśl o znalezieniu Maza dodawała jej energii.

- Okej, a ty co planujesz?

- Jak już powiedziałem, w pierwszej kolejności znaleźć dziecko, w drugiej dziewczynę, o której opowiadałaś.

- Lili.

- Trzeba iść do przodu, choć możliwości są ograniczone. Ale ktoś będzie coś wiedział. Zawsze tak jest.

Podrapała się po głowie i ziewnęła. On ma rację. Potrzebny jej odpoczynek.

- Mam dojście do byłego kolegi George'a. Zorientuję się, czy on da radę coś z tym zrobić. Od tego zaczniemy. - Spojrzał na zegarek. - Zobacz, jak już późno. Możemy poszukać taksówki, ale zapraszam do siebie na noc. Wszystko będzie okej, nie ma powodów do niepokoju. Ja się prześpię na kanapie.

Patrzył na nią rozbawionym wzrokiem, bo bynajmniej nie niepokój malował się na jej twarzy.

- Dzięki - wyjąkała. - Zostanę.

## 36

Obudziłam się nad ranem, skóra mnie piekła, skłębiony koc pętał mi nogi. Usiadłam i wyjęłam z koperty list od Veroniki. Znałam go na pamięć, ale trzymałam tak, żeby padało na niego słabe światło, bo chciałam przeczytać jeszcze raz.

*Najdroższa Emmo, pisała,*

*w czasie ostatniego pobytu w Londynie udało mi się odkryć nazwisko malarza. Charles Lloyd Patterson. Niestety ten pan już nie żyje, ale mam jego dawny adres, pod którym działa niewielka galeria jego prac, udostępniana publiczności. Pozwoliłam sobie zapytać w twoim imieniu, czy mogłybyśmy ją obejrzeć. Wczoraj otrzymałam odpowiedź od kustosza.*

*Jeśli się zgodzisz, gdy następnym razem będziesz miała wychodne, przyjadę po ciebie wcześniej rano i pojedziemy do Cheltenham. Tam znajduje się ten dom. Po zwiedzaniu mogłybyśmy się wybrać do kina Gaumonta, jeśli ci to odpowiada.*

*A przy okazji muszę cię też zawieźć na przymiarce sukni druhny. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko złotemu kolorowi. Fleur ma już swoją suknię.*

*Z najlepszymi życzeniami z głębi serca*

*Veronica*

Było za wcześnie, żeby się ubierać, więc leżałam wsłuchana

w oddechy śpiących dziewczyn i pierwsze poranne ptasie śpiewy. Kilka razy słyszałam, jak Rebecca płacze przez sen, z zakamarków dormitorium dobiegało też ciche pochrapywanie. Był początek maja, ale wiał silny, świszczący wiatr i nawet przy zamkniętych drzwiach w budynku czuło się przeciągi.

Gdy tylko rozległ się dzwonek, wstałam i ubrałam się. Nie poszłam na śniadanie, od razu wybiegłam z budynku. Wiatr nawiewał mi włosy na oczy. Veronica już czekała w swoim morrisie minorze, ożywiona i wyprostowana. W czarnych narciarskich spodniach i obcisłym żółtym swetrze prezentowała się bardzo elegancko.

- Cała w nerwach? - spytała z uśmiechem.

- A jak myślisz?

Jechałyśmy przez ładne miasteczko, a potem przez Kidderminster. Zazdrościłam umorusanym, rozwrzeszczanym dzieciakom grającym na ulicy w krykieta; otworzyłam nawet okno, żeby je lepiej słyszeć. Potem minęłyśmy jeszcze jakieś dzieci bujające się na krokwiach zbombardowanego kościoła. Uważałam, że chłopcy cieszą się specjalnym rodzajem swobody, której mnie pozbawiono.

Po godzinie na obrzeżach Cheltenham mijałyśmy szeregi skromnych domków, gdzie w ogródkach suszyło się pranie, uprawiano na grządkach trochę warzyw i trzymano w chlewikach świnie, co było źródłem specyficznego zapachu. Tam ulice były wąskie i puste, nie licząc bawiących się dzieci. Dopiero później przeszły w pełne zieleni, szerokie aleje z okazałymi budynkami w stylu regencji. Centrum było już

natomiast bardzo hałaśliwe i ruchliwe, z mnóstwem samochodów, rowerów i pieszych.

Veronica zaparkowała i poszliśmy do kina, gdzie nad całą szerokością ulicy powiewały chorągiewki, a wielki plakat zapowiadał film *Nocny nalot*.

- Lepiej znam Birmingham, ale kocham Cheltenham - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - To po Londynie moje ulubione miejsce.

- Gdzie zamieszkacie? To znaczy ty i tata.

- W miasteczku. Twój ojciec nie przepada za Londynem. Chociaż ja tam ciągle mam moje dawne mieszkanie. W takiej dość zmurszałej dzielnicy Wandsworth. Powinnam niby je sprzedać albo wynająć, ale wygodnie jest je mieć, gdy się jedzie do stolicy. Kiedyś cię tam zabiorę.

Stała i uśmiechnęła się do mnie.

- Jesteśmy na miejscu. Przypomnij mi, żebym przed odjazdem wstąpiła do Victoria Stores po funt sera i kilka plasterków szynki.

Po kamiennych schodkach weszliśmy do średniej wielkości kamienicy w szeregowej zabudowie, z niewielkim tarasem. Obejrzałam się przez ramię na drzewa porastające obie strony jezdni. Ich korzenie spowodowały liczne wybrzuszenia chodnika.

Otworzyła nam kobieta około sześćdziesiątki z siwymi włosami dość niedbale upiętymi na czubku głowy. Miała bladą cerę, okulary w złotych oprawkach i szare oczy, których spojrzenie miało sprawiać wrażenie, że jest tu ważną personą. Gdy jednak spojrzałam na jej stopy, dostrzegłam na nich

zupełnie do tego niepasujące puchate różowe klapki. Po prawdzie brakowało jej jeszcze tylko lokówek we włosach, chustki na głowie i papierosa w ustach, by mogła być jedną z kobiet, które widziałyśmy wcześniej na przedmieściach.

Wyciągnęła do nas rękę.

- Jestem Bonnie Butcher. Przejdźcie do bawialni na tyłach domu. Możecie mnie zapytać, o co tylko będziecie chciały. To był ulubiony pokój pana Pattersona. A teraz mój, oczywiście.

Nie miałam pojęcia, kim jest ta kobieta. Przeszło mi przez myśl, że mogła być żoną malarza, ale jej pretensjonalny, przesadny akcent i pierwsze wrażenie podpowiadały mi, że to raczej niemożliwe.

- Piękny dom - zauważyła Veronica.

- Proszę się rozgościć, a ja zaraz przyniosę herbatę. Macie ochotę na ciasto? Obawiam się, że za wstęp i za ciasto będę musiała pobrać opłatę.

Veronica grzecznie skinęła głową, a mnie z powodu braku śniadania burczało w brzuchu.

Rozejrzałam się po pokoju. Był zavalony bibelotami i oklejony kiczowatą tapetą w żółte wierzby i egzotyczne niebieskie ptaki. Kanapa obita zielonym, wytłaczanym w romby pluszem i trzy stojące lampy ze złotymi cieniowanymi abażurami, których frędzle dyndały przy każdym ruchu powietrza. Schyliłam się i pogłaskałam miękką welwetową tapicerkę.

Bonnie Butcher wróciła z misterną tacą, którą ustawiła na okrągłym stoliku między nami dwiema.

- Proszę się częstować ciastem.

Podawała dwa rodzaje. Ja wybrałam kawałek torcika czekoladowego i już po chwili wydałam z siebie jęk, ujrawszy dwa wyraźne ślady moich spoconych dłoni na aksamicie. Przełożyłam talerzyk z ciastem do drugiej ręki i próbowałam wytrzeć ślady, ale to tylko pogorszyło sytuację. Siedziałam sztywno, mając nadzieję, że gospodyni nic nie zauważy.

Zapadła cisza przerywana jedynie brzękiem filiżanek i odgłosami, które wydawałam przy jedzeniu, choć starałam się to robić najciszej, jak umiałam. Dama sączyła swoją herbatę, odstawiając mały palec i bez przerwy popatrując na mnie. Gdy skończyła, otarła usta papierową serwetką i wzięła głęboki oddech.

- A teraz, zdaje się, chcecie poznać nazwisko osoby, która pozowała artyście. Nie myślę się?

- Tak. To było w latach dwudziestych. Mam przy sobie obraz.

Veronica wzięła ode mnie miniaturę i podała kobiecie.

Ta pokiwała głową.

- O tak. Tu akurat mogę wam pomóc.

- Bardzo panią proszę! - wyrwało mi się.

Kobieta uniosła brew.

Z przyklepionym do twarzy uśmiechem wyjaśniłam:

- Widzi pani, to może być moja krewna.

Nie wiem, czy to moje słowa ją rozdrażniły, w każdym razie zmarszczyła czoło, zmrużyła oczy i przez moment spoglądała spode łba. Wstrzymałam oddech i potajemnie zacisnęłam kciuki.

- Rozpoznaję tę kobietę - odezwała się po dość długim

milczeniu. – Mamy tu jeszcze dwa jej portrety. Chodźcie za mną.

Podniosłam się z kanapy z całą gracją, na jaką było mnie stać, a ona po skrzypiących schodach zaprowadziła nas na górę do pokoju z wielkimi – od podłogi aż po sufit – oknami. Widać było przez nie ogród z wysokimi, chwiejącymi się na wietrze drzewami. Chociaż nie było zimno, w ozdobnym otwartym kominku płonął ogień.

Ściany obwieszane były portretami różnych rozmiarów. Stare twarze, młode twarze, brzydkie, ładne; gdziekolwiek się obrócić, napotykało się ich spojrzenia. Na ścianie naprzeciw okien wisiał portret brodatego mężczyzny w średnim wieku z ponurą twarzą, a obok dwa wizerunki korpulentnych jegomościów.

– Oto nasza galeria – powiedziała kobieta z dumą i wskazała palcem coś za moimi plecami. – A to jest kobieta z waszego obrazu. Emma Rothwell.

Odwróciłam się. Ujrzałam rozświetloną, owalną twarz o łagodnie zarysowanych policzkach i dumnie uniesionych nad orzechowymi oczami łukach brwiowych. Widoczne na tęczęwkach cętki miały kolor wodnej głębin, czyli czegoś między błękitem a zielenią. Kobieta jeszcze bardziej przypominała mi matkę niż ta z miniatury. Wstrzymałam oddech. Veronica pokiwała głową i uśmiechnęła się, a mnie zalała fala gorąca. Pokój zawirował mi przed oczami, aż musiałam cofnąć się o krok i oprzeć o stół.

Pewnie straciłam przytomność, bo następne, co pamiętam, to że spoczywałam, półleżąc, na gąbczastej kanapie, a nade

mną pochylała się Veronica. Bonnie Butcher najwyraźniej opuściła pomieszczenie.

- Dobrze się czujesz? - spytała wyglądająca na zatroskaną Veronica.

- To z tego gorąca.

Wyciągnęła do mnie rękę.

Złapałam ją i zaczęłam wyrzucać z siebie z szybkością karabinu maszynowego:

- Moja matka była z domu Rothwell. Ale chyba uważała, że to zmyślane, nadane jej przez zakonnice nazwisko.

- W porządku - przerwała mi. - Teraz wiemy, co musimy zrobić. Dowiedzieć się, czy Emma Rothwell żyje.

Pokiwałam głową i zmówiłam krótką modlitwę. Proszę cię, panie Boże, spraw, żeby żyła, i pozwól nam ją odnaleźć. Zeszliśmy po schodach, Veronica przytrzymała mnie za łokieć. Na dole Bonnie Butcher wręczyła nam niewielki katalog.

- Oczywiście żadna z tych prac nie jest na sprzedaż. On mi zostawił ten dom, żebym mogła tu dożyć swoich dni, i to wszystko. Po prostu usiłuję prowadzić tu galerię. - Przerwała na chwilę. - Jeśli są panie zainteresowane, mogę pokazać cały dom.

Skorzystałam z tej możliwości, moje myśli wciąż krążyły wokół Emmy Rothwell. Kim była, co tu robiła, jak poznała malarza? Miałam nadzieję, że Bonnie Butcher powie mi coś więcej.

Parter prezentował się bardzo staroświecko - trzy pokoje, dość nierówne płytki podłogowe i małe, wysoko położone



okna, przez które można było wyjrzeć jedynie wtedy, gdy stanęło się na palcach. Dwa z nich wychodziły na podwórko. Bonnie zauważyła, że usiłuję przez nie zerknąć.

- Trzymamy tam węgiel. No i oczywiście tam znajdowało się pierwotnie WC.

W wąskim pomieszczeniu od frontu wzdłuż połowy długiej ściany ciągnęła się stara, szerniała płyta kuchenna zastawiona miedzianymi rondlami. Naprzeciwko niej zamocowany był prostokątny zlew z odpływem oraz domowy magiel. Z sufitu zwieszało się jakieś dziwne urządzenie wyposażone w koła i linę; podejrzewałam, że służyło do suszenia ubrań.

- On lubił, żeby wszystko było tak jak dawniej - powiedziała kobieta.

Na górze, niespokojnie rozglądając się na boki, oprowadziła nas po jego pracowni. Był to wysoki pokój z ogromnym, jeszcze większym niż w galerii oknem wychodzącym na północ. Muskała mijane przedmioty, jakby tylko za pomocą dotyku mogła się upewnić, że jeszcze tu są. Wszystko wyglądało na nietknięte, jakby artysta wyskoczył gdzieś na chwilę. Tubki z farbą olejną, pędzle, zapach terpentyny pomieszany z wonią środka odkażającego marki Ibcol. Nigdzie ani drobinki kurzu. Nie wyobrażałam sobie, że mogło tak być w czasach, kiedy malarz tu pracował. Ale cóż, pomyślałam, Bonnie Butcher porządek stawia na pierwszym miejscu. Łatwiej się sprząta pracownię malarza nieżyjącego niż żywego.

- Tu prawdopodobnie siedziała, pozując do portretu -

odezwała się.

Spojrzałam na wyblakłe krzesło pod oknem. To krzesło. Emma Rothwell na nim siedziała, gdy była niewiele starsza niż ja teraz.

- Mogę? - zapytałam.

Skinęła głową, a ja usiadłam, wyglądając przez okno na staromodny ogród: kwadratowy trawnik otoczony żywopłotem, gmatwanina bluszczu pnąca się po drewnianym płocie na tyłach. I wysokie topole. Moja babcia musiała - chcąc nie chcąc - patrzeć na te same drzewa, słuchać ćwierkania kosów i dźwięków dochodzących z sąsiednich ogrodów. Przez moment poczułam się mniej samotna. Niebo było teraz pochmurne i nieciekawe, ale może jej trafiały się dni, gdy rozświetlone słońcem trawy tworzyły pod drzewami wzorzysty dywan. A może to była zima i trawnik i żywopłot otulone były śniegiem?

Czułam, że jestem tak blisko niej, że uciekam w przeszłość. Byłam ciekawa, czy używała perfum i jak one pachniały. Chciałabym usłyszeć jej historię. Sama lubiłam od rana do wieczora snuć rozmaite opowieści. I nie mogłam zrozumieć, jak można było porzucić własne dziecko, tak jak ona to zrobiła.

W jednym z ogródków grało tranzystorowe radio. Audycja dla gospodyń domowych. Doris Day śpiewała *Que sera, sera*, jedną z ulubionych piosenek mamy. To przeniosło mnie z powrotem do terażniejszości.

- Długo pani znała pana Pattersona? - spytałam.

- Przez całe życie. Nigdy się nie ożenił, chociaż był z niego

przystojny mężczyzna. Byłam jego gospodynią. Zdobył sławę jako malarz batalista. W czasie pierwszej wojny światowej, oczywiście.

Nie wiedziałam. Tu były wystawione wyłącznie portrety.

- Obrazy wojenne zostały sprzedane, co do jednego. Po wojnie zaczął malować portrety, ale one nie miały już takiego powodzenia. A ją znałam, wiesz, tę Emmę Rothwell. - Spojrzała na mnie zdziwiona. - Właściwie jak światło tak pada ci na twarz, jesteś do niej podobna.

Serce waliło mi jak oszalałe, gdy zadawałam następane pytanie:

- Co się z nią potem stało?

- Och, tego nie wiem. Widywałam ją tylko, gdy przychodziła tu pozować, moja droga. A to było dawno temu.

Nie poszłyśmy do parku oglądać łódek ani na film, ale Veronica zabrała mnie na lunch do Belle View Hotel, a potem na zakupy. Nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy pozwoliła mi wybrać czarne spodnie narciarskie, takie jak jej, granatową budrysówkę, o jakiej od dawna marzyłam, i jasnoniebieski obcisły rozpinany sweterek. Omal nie popłakałam się ze szczęścia. Zwierzyła mi się, że ma trwałą, i spytała, czy ja też nie chciałabym mieć takich włosów. Roześmiałam się, pokazując moje rozwichrzone kudły, ale przyznałam, że chciałabym je obciąć, więc zaprowadziła mnie do swojego fryzjera. Gdy moje włosy opadały na podłogę, radio grało *Sweet Sixteen*. Veronica wyjęła cienką srebrną papierośnicę i zapaliła, a ja zapragnęłam już mieć owe szesnaście lat. Wyszłam z krótką postrzępioną fryzurką typu *pixie cut*

i poczułam się bardzo dorosła. Zapomnialiśmy o serze i szynce, ale – niestety – nie o żółtej sukience druhny.

Fleur też urosła, była teraz o wiele wyższa. Dziecięca pulchność gdzieś znikła, a jej niegdyś blond włosy były jasnobrązowe, zawiązane w kucyk. Gdy weszła do mojego pokoju wystrojona w stare ciuchy babci – kwiecistą bluzkę i długą czarną spódnicę, zebraną i spiętą czymś z tyłu – wydawało mi się, że widzę ją po raz pierwszy. Dotarło do mnie, że Fleur – z lekko zadartym noskiem i dołeczkiem w brodzie – jest bardzo ładna. Na pewno miała powodzenie. Chłopcy, chociaż udają twardzieli, lubią, gdy dziewczyna spija im z ust każde słowo, gdy jest uległa. Nie to co ja. Jak na gust większości chłopaków byłam zbyt niezależna, za bardzo upierałam się przy swoim zdaniu.

– Chcesz się przebrać i pobawić w teatr? – zaproponowała.

– Mogłybyśmy odegrać jedno z tych twoich opowiadań, jak kiedyś.

– Dlaczego miałabym chcieć? To dobre dla dzieci.

Spojrzała na mnie dziwnie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – palnęłam.

– Tak sobie. Z powodu twoich włosów. Zmieniłaś się, Em, już nie chcesz się bawić.

– Może zauważyłaś, że najczęściej przebywam poza domem?

Patrzyła na mnie ze łzami w oczach.

– Ale gdy przyjeżdżasz, też nie chcesz.

– Nie bądź śmieszna. Tak czy owak, to nie ma nic wspólnego z tobą.

Nie była to do końca prawda, bo moje myśli bez reszty zaprzętało coś, co w najwyższym stopniu dotyczyło mnie i jej, ale gdybym jej to opowiedziała, wygadałaby się.

Wysłałam z pokoju poszukać Veroniki. Ojciec cały czas siedział w domu. Znalazł już posadę w Birmingham, miał być administratorem sieci hoteli, ale jeszcze nie zaczął pracować. Był przyklejony do telewizora, oglądał wiadomości, namówiłam więc Veronicę na spacer.

W ogrodzie robiło się ciemno, z pól unosiła się mgła i buki wyglądały jak duchy. Przemknął mi przed oczami nasz ogród w Malakce i zrobiło mi się żal. I tamtego, i tego ogrodu, będącego dumą i radością dziadka. Kiedyś w rogu rosły tu krzaki agrestu, bzy i malinowy chruśniak, a z tyłu sękata pachnąca jabłonka. A wzdłuż drucianego ogrodzenia dziadek uprawiał pokazowe dynie i kapustę.

Gdy nadeszła Veronica, mgła zamieniła się w mżawkę.

- Dużo myślałam o Emmie Rothwell - powiedziała, osłaniając ręką fryzurę.

- Ja też.

- Jeśli żyje i jeśli uda mi się ustalić jej adres, pojedziemy do niej razem.

- Za dużo tych „jeśli”...

Poklepała mnie po ramieniu i weszła do domu. Kiedyś nie wiedziałam, czy mogę jej zaufać, a teraz czułam, że naprawdę mogę. Czy to coś złego? Czy mama miałaby coś przeciwko temu, że przyjmuję pomoc od jej rywalki? Pokręciłam głową. W głębi serca nie uważałam Veroniki za rywalkę mamy, wiedziałam bowiem, że mama nie kochała mojego ojca.

Na Malajach, gdy księżyc oświetlał balkon, lubiłam się chować pod domem, podsłuchiwać rozmowy dorosłych i patrzeć na przemykające między drzewami lisy. Kiedy powiedziałam Billy'emu, że lisy potrafią latać, nazwał mnie kłamczuchą i przez tydzień się do mnie nie odzywał. Wiedziałam o romansie mamy i Jacka, choć ona nie domyślała się, że ja wiem. Pewnego razu gdy Jack został na noc, przekradłam się na balkon i przez otwarte okno patrzyłam na ich uśpione ciała, niecałkowicie przykryte cienkim prześcieradłem. Nie wiedziałam, co mam robić. Byłam zła, chciałam tam wkroczyć i wyrzucić go z naszego domu. Przy mamie powinien leżeć tata, nie on. Ale wtedy mama uśmiechnęła się przez sen, a ja się wycofałam. Przez wiele dni przyglądałam się jej i zastanawiałam, co robić, ale prawdą jest, że dalej wszystko toczyło się normalnie. Świat się nie kończył, przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Obudził ją kwaśny zapach własnego potu i przenikliwy dźwięk dzwonka. Otarła mokre czoło i potykając się o rozrzucone ubrania, dotarła do krzesła, na którym usiadła, rozcierając sobie bolącą kostkę. Było późno. Jaskrawe słońce zdążyło już rozgonić poranną mgłę, a ona zachodziła w głowę, dlaczego tu została. Oczywiście wiedziała, ale starała się przekonać samą siebie, że to z powodu Cicely, która nigdy nie wspomniała jej o charakterze swojej pracy, co więcej, nigdy nie mówiła, że w ogóle gdzieś pracuje. A w ogóle to na pewno ukrywała przed nią jeszcze wiele innych rzeczy.

Ktoś zapukał do drzwi. Zataczając się, wyszła z pokoju, otarła oczy z resztek snu, zarzuciła na siebie szlafrok Adila i otworzyła.

Na wycieracze stała pogodna i pozbierana jak zawsze Cicely. Miała na sobie luźną jedwabną sukienkę w kolorze gołęzim i sandały z polakierowanej na czerwono skóry. W rękę trzymała wielką torbę, a twarz zdobił jej przepraszający uśmiech. Pachniała jak zwykle swoimi bardzo drogimi perfumami. Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej wyglądającego na szpiega, no chyba że się weźmie pod uwagę jej niesamowite opanowanie i chłód, niezależnie od okoliczności.

- Co jest? - spytała Lydia.

- Przepraszam, że przeszkadzam, kochanie, ale nie miałam wyboru. - Cicely postawiła stopę na progu.

Lydia uniosła dłoń, żeby uniemożliwić jej wejście.

- Wszystko wiem, Cicely. Wiem, gdzie pracujesz.

Cicely patrzyła na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

- W takim razie wiesz również, że wycieraczka nie jest najodpowiedniejszym miejscem do omawiania podobnych kwestii. Masz, przyniosłam ci trochę ubrań.

- Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

- Och, kochanie, nie bądź śmieszna. Po prostu wiedziałam.

Lydia wpuściła ją i powlokła się za nią do mieszkania. Cicely umościła się przy oknie i omiotła Lydię spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

- Widzę, że posłuchałaś mojej rady.

Lydia spojrzała na czarny jedwabny szlafrok Adila, który miała na sobie. W nocy, gdy śniła się jej Lili, co gwałtownie ją obudziło, poszła do łazienki i przechodząc obok niego, usłyszała jego miarowy oddech. Księżyc w pełni kładł na czole i kościach policzkowych śpiącego srebrne refleksy, przez co reszta jego twarzy wydawała się spoczywać w głębokich ciemnościach. Poruszył się przez sen, a ona szybko wróciła do swojego łóżka.

- To nie tak, jak myślisz.

- Wierzę ci. Choć nie każdy by uwierzył - powiedziała Cicely. - Ale muszę przyznać, że on jest całkiem, całkiem. - Uniosła brew i uśmiechnęła się do Lydii. - Dam ci małą radę, moja droga. Trzymaj się z dala od takich, co to myślą, że



żadna im się nie oprze. Ale ty lubisz niegrzecznych chłopców, prawda, kochanie? Są dużo lepsi w łóżku. A tak w ogóle to gdzie on jest?

- Powiedział ci, że tu jestem?

Cicely wzruszyła ramionami.

Lydia spojrzała w dal.

- Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

- No to podejdź bliżej. Opowiem ci, co usłyszałam.

Lydia nie ruszyła się z miejsca i wzięła się pod boki.

- Nie tak szybko. Nie wytłumaczyłaś się jeszcze, dlaczego mi nie powiedziałaś o swojej pracy. I że pracujesz z Adilem. Kiedy wspomniałam jego imię, nie przyznałaś się nawet, że go znasz.

- Na świecie jest więcej Adilów, kochana, a nawet Ralph nie wie połowy tego, co dotyczy mojej pracy. Mówiłam ci - mężczyźni nigdy nie wiedzą, co jest grane.

- No, w to zaczynam wierzyć.

Patrzyła nad głową Cicely na typowy w Malakce poranek z błękitnym niebem. Gdzie jest Adil? Obiecał, że zadzwoni do jakiegoś kolegi George'a, ale nie mówił, jak długo go nie będzie. Podeszła do lodówki i wyjęła piwo.

Cicely zapaliła papierosa, jasne włosy miała gładko zaczesane na bok i założone za ucho.

- Wydarzyło się coś zdumiewającego - powiedziała. - Obiecaj, że nie będziesz zła.

Atmosfera uległa widocznej zmianie.

- To dotyczy Lili.

Lydia zamarła.

Cicely patrzyła na nią z nutką rozbawienia w oczach.

- Została zatrzymana przez portową policję. Wiesz, oni muszą śledzić kutry rybackie, żeby zapobiec ich udziałowi w działaniach wywrotowych. Chociaż wydaje się, że szlak przemytu komunistów wiedzie raczej przez Johor, nie Malakkę. Tak czy owak, Lili jest wplątana w zamach na Jacka. Pomyślałam, że będziesz chciała to wiedzieć. Mam mówić dalej?

Lydia gwałtownie zaczerpnęła tchu i ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową.

Cicely opowiedziała jej całą historię, a gdy skończyła, podeszła do drzwi.

- No cóż, pozwolę ci się teraz ubrać. Wracaj do domu, jak już cię ten kochaś zmęczy.

Lydia siedziała na kanapie. Według Cicely przypadkowa uwaga rzucona przez kapitana portu zaalarmowała policję i wałęsająca się po nadbrzeżach Lili została zatrzymana. Utrzymywała, że jest kompletnie spłukana i że Jack ją zgwałcił, a ona tylko chciała się zemścić. Lydia sączyła piwo, żeby pozbyć się goryczy w ustach. Pamiętała jeszcze buteleczkę eleganckich perfum będącą własnością Lili i dobrze wiedziała, że rzekomy gwałt to wymysł. Obłuda tej dziewczyny zapierała dech w piersiach. Lydia zacisnęła pięści, jej wściekłość rosła w takim tempie, że musiała się pilnować, żeby czegoś nie stłuc. Lili sypiała z Jackiem z własnej i nieprzymuszonej woli. A zabiła go tylko i jedynie z zazdrości. George miał rację. Lydia pochyliła głowę i zakryła oczy, żeby widok zakrwawionego Jacka przestał ją prześladować.

W trakcie przesłuchań Lili przyznała się do kontaktów z partyzantami, utrzymując, że uciekła do nich, żeby się uwolnić od Jacka. Była załamana i przygnębiona, a tylko dżungla mogła jej zapewnić schronienie. U komunistów poznała matkę Maznana i przekonała ją, że jej synowi grozi niebezpieczeństwo. Splądrowali więc dom Jacka, zabrali żywność, nie tknęli pieniędzy, ale już znali dojscie, więc nazajutrz przyszli po Maznana.

Lydia wciąż miała przed oczami wiotką kibić i plecy Lili, jej długie czarne włosy spływające aż na szczupłe, jędrne pośladki. Wyobrażała sobie, jak Jack się z nią kocha, noc w noc. Jak Lili krzyczy. I widziała, jak po wszystkim leżą sobie razem, Jack pali papierosa z ręką pod głową, a niebieskimi oczami gapi się na sufit, jak to on. Nawet teraz poczuła ukłucie zazdrości. Przez chwilę myślała o Alecu i ich dawnym wspólnym życiu. O tym, jak miała zwyczaj wychodzić z łazienki, specjalnie zrzucać ręcznik na podłogę, żeby – stojąc przed nim nago – unieść ręce i związać sobie włosy na czubku głowy. Ale on tego nawet nie zauważał. A teraz płaci za to, że chciała być kimś i że przeoczyła pierwsze objawy zbliżającej się katastrofy.

Chciała zwalić całą winę na Lili, ale nie mogła opędzić się od myśli, że gdyby tamtej nocy nie pojawiła się na plantacji, nic złego by się nie wydarzyło. Lili nadal byłaby szczęśliwą utrzymanką Jacka, a on by żył. A tak, kilka miesięcy po porwaniu Maznana, wykorzystując zakłócenia na linii i bezczelnie podszywając się pod Berta, jeden z wywrotowców odbył tę fatalną w skutkach rozmowę telefoniczną z Jackiem.

Lydia wstała i zaczęła zwiedzać mieszkanie Adila. Brała do rąk przedmioty, przyglądała się książkom. Dom to niezłe źródło wiedzy o właścicielu. Z wypełnionych płytami i książkami półek wybrała do przejrzenia wielki album Moneta. W księgozbiornie przeważały pozycje z dziedziny filozofii i sztuki. Pod nieobecność Adila chyba coś za dużo o nim myślała... Na stoliku do kawy ustawiono kilka gustownych figurek zwierząt z dżungli, a na ścianach duże abstrakcjonistyczne malowidła w ciężkich ramach sąsiadowały z czarno-białymi fotograficznymi portretami ludzi.

Adil nie zostawił żadnej informacji, kiedy wróci, ani nie zadzwonił. Przygotowała więc sobie lekki posiłek złożony z tostów i sardynek z puszki. Chleb był najwyraźniej czerstwy, a pudełeczko sardynek to jedyna rzecz, na jaką natrafiła w głębi kredensu. W lodówce były tylko zimne napoje orzeźwiające i kilka butelek piwa.

Myślała o powrocie do domu Cicely, ale chciała się znów zobaczyć z Adilem. Siadła więc w oknie i obserwowała przechodniów, zwracając uwagę na ich stroje i sposób poruszania się. Gdy się zdrzemnęła, zaczęły ją dręczyć wizje Lili, od których włosy stawały dęba.

Gdy Adil wrócił po północy, zastał ją siedzącą w ciemności, zmartwiałą z poczucia winy, z twarzą jak popiół.

- Lydia?

Z początku chyba nawet nie zauważyła, że usiadł przy niej. Wziął ją za rękę i pogłaskał po policzku. Przez okno wdzierał się jednostajny szum ruchu ulicznego i odgłosy gry na pianinie. Zakryła sobie twarz rękami, po czym - gdy poczuła na szyi

jego oddech – rozplakała się.

Przyciągnął ją do siebie, oddychali wspólnym rytmem, niestety głośny hałas z zewnątrz zniszczył nastrój.

Zakasłał, a ona odsunęła się, trochę głupio się czując.

- Kto namalował te obrazy? – zapytała, unikając jego wzroku.

Milczał przez chwilę.

- Znajomy – powiedział w końcu. W półmroku chyba przyglądał się jej twarzy. – Przepraszam, że to tyle trwało. Muszę się z tobą podzielić nowinami.

Opanowała się i spojrzała na niego.

- Są dobre? Te twoje nowiny?

- Mam nadzieję.

## 38

Veronica wsunęła głowę do mojego pokoju i powiedziała, że wychodzi. Chciałam z nią porozmawiać, ale teraz się zawahałam. Jeśli w szkole dowiedzą się, że ponad rok temu buszowałam w sekretariacie, będę miała poważne kłopoty.

Wzięłam oddech i trzymając za siebie kciuki, uśmiechnęłam się do niej. Po czym wyjawiałam, w jaki sposób dowiedziałam się, że za moją szkołę płaci kancelaria adwokacka.

- Napisałam do nich, ale odpowiedzieli, że nie mogą ujawnić nazwiska klienta, że obowiązuje ich poufność i takie tam.

Trochę się zdenerwowała, bo spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Nie powiem twojemu ojcu, Emmo - powiedziała - jeśli o to ci chodzi. Ale to nie tak. Po prostu myślałam, że to on płaci.

- Ja też tak myślałam, ale babcia twierdzi, że on jest spłukany.

Przechyliła głowę na bok, zmrużyła oczy i zaczęła się uśmiechać.

- Podejrzewałaś, że to ja, prawda?

Zrobiłam się czerwona.

- To dlatego tak mnie wtedy wypytywałaś, prawda? O Freddy'ego, mojego adwokata. Wydało mi się dziwne, że tak nagle zainteresowałaś się, kto mnie obsługuje od strony prawnej.

Skrzywiłam się.

- No cóż, kochanie, to naprawdę nie ja. Ale przy następnym spotkaniu z Freddyem zapytam go, czy istnieje sposób, żeby się tego dowiedzieć.

- Dzięki.

Uścisnęła mnie lekko za ramię i wyszła.

Pół godziny później ja też wyszłam z domu, nucąc sobie. Postawiłam kołnierz, idąc, wpatrywałam się w chodnik, bo miałam zamiar zrobić sto kroków bez nastąpienia na linię między płytami, żeby nie przeszkadzać mieszkającym w rozpadlinach strachom.

Lubiłam te spokojne majowe ferie w połowie semestru. Miło było czekać, aż coś się wydarzy, chociaż z reguły nie zdarzało się nic. W szkole wszystko szło zgodnie z rozkładem zajęć, wiedziałaś, kiedy musisz umyć zęby, a kiedy iść do klopa. A jeśli nie udało ci się zrobić czegoś grubszego, to niech cię niebiosa mają w opiece. Bo wtedy kazali ci pić tran z dorsza.

Wiatr gwizdał zapamiętałe w wysokich drzewach rosnących wzdłuż drogi. Liczyłam kroki i nie zauważyłam, jak wyszedł naprzeciw mnie z cienia. Dodatkowo rozpraszał mnie zapach wędzonego bekonu dobywający się z pobliskiego domostwa.

- Emma - powiedział.

No i było po spacerze.

Pochwyciłam jego spojrzenie, a z tyłu za nim zobaczyłam ciemniejące chmury, spomiędzy których wydobywały się srebrne promyki.

- Billy! Przepraszam, nie widziałam cię.

Staliśmy blisko siebie na tyle, że poczułam zapach szamponu, którym umył głowę. Miętowy. I na tyle, żeby zobaczyć, jak bardzo ma przetarty z tyłu kołnierzyk koszuli.

- Myślałem, że specjalnie mnie nie zauważasz.

Patrzył w ziemię. Koniuszki uszu mu poczerwieniały.

- Nie bądź głupi. Po prostu się zamyśliłam.

Przestępował z nogi na nogę.

- Jak tam w szkole?

Przypomniałam sobie, jak się przed nim rozbierałam, i zrobiło mi się wstyd. On chyba miał podobne myśli, bo nagle poczerwieniał jak burak. Milczał przez chwilę, po czym się roześmiał.

- Miałaś ochotę przejść się do stodoły? - zaproponował tonem, który nie brzmiał zbyt swobodnie. - Przypomnieć sobie stare, dobre czasy?

Ponieważ staliśmy twarzą w twarz, uznałam, że zapytał o to, żeby powiedzieć cokolwiek, i nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Lata całe nie widziałam tego wysokiego, tyczkowatego chłopaka, ale nagle obudził się we mnie diabełek i zgodziłam się.

W milczeniu udaliśmy się w kierunku stodoły. Słońce znowu wyjrzało i z pola za drzewami zaczął się unosić zapach krowiego łajna. Każde źdźbło trawy miało szmaragdowy kolor, jak na filmach, a niebo między ciemnymi chmurami było prawie żółte. Gdy tak szliśmy, każdy dźwięk wydawał mi się zwielokrotniony. Śpiew ptaków, wiatr, stukot i szuranie naszych niezgranych ze sobą kroków. W oddali od czasu do czasu zatrąbił jakiś samochód. Byłam rozemocjonowana,



czułam mrowienie w stopach.

On nadal prezentował się niechlujnie, ale gdy na twarz padło mu słońce, kątem oka dostrzegłam, że ma wiele uroku. Raczej włókł się zgarbiony, niż maszerował. Ręce w kieszeniach, jasne włosy opadały mu na oczy. I nareszcie jakby dorósł do swoich zębów. Były teraz równe, białe i błyszczące. Powiedział, że chodzi do liceum.

- I jak ci idzie? - spytałam.

- Taaa. Dobrze. - Zamilkł i dotknął mojego ramienia. - Em.

Miał w twarzy jakąś taką dziką zawziętość, że aż się zarumieniłam, a dystans między nami gwałtownie stopniał.

- Przepraszam za to, co wtedy. Wiesz... nie miałem wyjścia.

Serce przekoziółkowało mi w piersi. Chodziło mu o dzień, kiedy zmuszono go, żeby powiedział, gdzie się ukrywam.

- Nie bądź głupi, Billy - odpowiedziałam. - To było miliard lat temu. Zapomnij o tym.

Szliśmy dalej i teraz rozmawiało nam się o wiele swobodniej, chociaż ciągle ciążyło nam poczucie wzajemnej obcości. Przed stodołą zatrzymał się u stóp drabiny, gapił się przez moment na swoje stopy, po czym spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy i błyszczącymi niczym zwierciadła oczami.

- Jesteś naprawdę ładna, Em - powiedział z półuśmiechem, ale i z przekonaniem.

Nagle zdałam sobie sprawę, po co tu przyszliśmy i że wcale nie chodzi o stare, dobre czasy. Miałam to gdzieś. Docenił moją urodę i przez chwilę chciałam się poczuć naprawdę piękna.

Omijając spróchniałe deski, usiedliśmy w pewnej odległości od siebie, machając zwisającymi nogami. Pochylił się, jakby chciał mnie pocałować, ale ja wykonałam jakiś niezręczny ruch i jego usta wylądowały z boku mojego nosa. Spurpurowiał, ale ja tylko zachichotałam i przysunęłam się bliżej. Pocałował mnie jeszcze raz, tym razem we właściwe miejsce. Objął mnie ramieniem, a ja przylgnęłam do niego. Był ciepły, naprawdę ciepły, ale jakiś głos w mojej głowie powtarzał coś, co podsłuchałam, gdy tata rozmawiał z mamą:

- Zobaczysz, Lydio, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Emma jest niepohamowana. Jeśli nie będziemy jej kontrolować, pójdzie w twoje ślady. Twoje i twojej matki.

Ojciec zatrzasnął wtedy drzwi, a ja nie mogłam ruszyć się z miejsca. Co takiego zrobiła moja matka i o co chodzi z tym jabłkiem?

Zanim opuściliśmy stodołę, Billy i ja leżeliśmy na plecach, trzymając się za ręce. Nie wyszliśmy poza ten jeden pocałunek. On pachniał papierosami i chociaż już nie planował zostać magikiem, jego ręce miały w sobie jakąś magię. Wiem, bo kiedy ścisnął moją dłoń, czułam ciarki na całym ciele. Jakbym się nagle znalazła w innym - bezpiecznym i pozbawionym problemów - świecie.

Znów byłam w szkole. Sobota. Czekałam przed sekretariatem, żeby odebrać swoją korespondencję. Tazząc drabinę, nadszedł nasz pan złota rączka, czyli człowiek od wszystkiego, i rzucił mi cukierka toffi. Patrzyłam na przechodzącą parę zakonnic, nachylonych ku sobie z poważnymi minami. Nadeszły trzy dziewczyny, z których

jedna puściła do mnie oko. Rebecca. Już dawno ogłosiliśmy coś w rodzaju zawieszenia broni.

Białe i czarne płytki, z których ułożona była podłoga w holu, miały na brzegach liczne odpryski, a w powstałe na ich powierzchni głębokie rysy wżarł się brud. Ściany pomalowano na nijaki brązowy kolor, a w rogu stała jedna jedyna roślina doniczkowa - patykowaty, nadmiernie wyrosnięty kauczukowiec, który zdążył już stracić połowę liści u dołu. Nie to co drzewa tego samego gatunku rosnące na Malajach.

Tam pewnego razu wcześniej rano ojciec wziął mnie na przejażdżkę helikopterem. Gdy się rozjaśniło, spojrzałam w dół na nasz dom, na szkołę i na mgły zakrywające kamienisty brzeg rzeki. A potem lecieliśmy nad plantacjami kauczukowców i nad dżunglą. Z góry wyglądało to na przerażający gąszcz. Ojciec opowiadał o duchu puszczy, który przemawia po chińsku. Pomyślałam, że mowa o prawdziwych duchach, i roześmiałam się. Nie wyjaśnił mi, że ma na myśli terrorystów.

Moi rodzice bardzo się między sobą różnili. Matka ciągle się uśmiechała, była pełna życia. Tata nigdy nie śmiał się tyle co ona. Usiłowałam sobie przypomnieć, co miała na sobie, gdy widziałam ją po raz ostatni, jak odwoziła nas do szkoły. Pamiętałam, jak wysiadałyśmy z samochodu i machałyśmy jej, gdy zawracała do domu. Ale nic poza tym. Poczułam wilgoć pod powiekami. To straszne, że zaczynam tracić moje wspomnienia.

W drzwiach ukazała się sekretarka z plikiem kopert w ręku.  
- Grosik za twoje myśli - powiedziała i uśmiechnęła się.

Wstałam, gotowa się bronić, jakby ona rzeczywiście mogła przejrzeć mnie na wylot. Podała mi kopertę, trzymając ją koniuszkami paznokci pomalowanych lakierem w kolorze słodkiego rózu. Wsunęłam list do kieszeni i poszłam na ławkę w zaroślach. Zbliżają się wakacje letnie, może będę miała okazję pogadać z tatą. Teraz pracował w Birmingham, ubierał się elegancko i dużo podróżował.

Wymacałam list w kieszeni i rozdarłam kopertę. List jak list, jedynie na końcu znajdowała się krótka wzmianka, że pan Oliver jest chory. Odetchnęłam z ulgą.

Na samo wspomnienie ślubu ścisnęło mi się serce. Fantazjowałam sobie wtedy, że jeśli Veronica odnajdzie Emmę Rothwell żywą i zdrową, to my po ślubie z nią zamieszkamy. Nie brałam pod uwagę, że ona może tego nie chcieć, że może nie zaakceptować faktu posiadania „nowo objawionych” wnuczek. O ile w ogóle jest naprawdę naszą babcią.

Poszłam do pokoju cichej pracy, żeby zapisać moje ostatnie przeżycia. Zatracić się w opowiadaniu historii.

To było duże, przestronne pomieszczenie z oknami u góry, przez które nie dało się wyglądać. Tam pisało się te potworne egzaminy na koniec roku. Ale w soboty każdy mógł tam pójść i zająć się tym, na co miał ochotę. Porządku pilnowała wtedy grupa uczennic ostatniej klasy. Nie wolno było rozmawiać, więc dla mnie była to praktycznie jedyna okazja, żeby coś spokojnie napisać. Większość dziewczyn unikała przebywania tam jak ognia. Dla mnie to był azyl, którego zazdrośnie strzegłam. Chciałam popracować nad swoim najnowszym opowiadaniem, melodramatem, w którym bohaterka, Claris de

la Costa, cierpiała z powodu występków swojego złego dziadka. Napawając się panującą wokół ciszą, pomyślałam, że pora na zaskakujące zakończenie. Coś, co czytelnikowi będzie zapierać dech w piersi. I że opadnie mu szczęka z podziwu nad moją inteligencją, sprytem i dowcipem. Ale ciągle gubiłam wątek, nie mogłam się skupić, bo tak wielką ulgę sprawił mi list taty. Trzymałam kciuki za to, żeby pan Oliver chorował bardzo, bardzo długo. Najlepiej już zawsze.

## 39

Zrujnowany szpital, niegdyś okazała rezydencja naczelnika okręgu, został w czasie wojny przejęty przez Japończyków i zamieniony w więzienie. Do posepnego, pełniącego obecnie funkcję zakładu dla psychicznie chorych, gmachu na stoku wzgórza wchodziło się przez misternie rzeźbione drewniane drzwi. W środku Lydia skuliła się, nie mogąc wytrzymać smrodu. Brak światła dziennego i liczne pozamykane drzwi wokół ośmiokątnego holu sprawiały, że nietrudno było wyobrazić tu sobie krzyki torturowanych. Wzdrygnęła się na myśl, jak bardzo te mury nasiąkły ludzkim cierpieniem.

Z zaciśniętymi dłońmi i groźnym wyrazem twarzy Adil szedł przez sień. Jego wczorajsza łagodność znikła bez śladu. Mijając recepcję, machnął identyfikatorem. Strażnik niechętnie skinął głową, otworzył jedne z drzwi i poprowadził ich w głąb budynku. Z piętra wyżej dochodziły odgłosy ludzkiej niedoli: salwy nienaturalnego śmiechu, nieustające ciche łkanie, nagły głęboki szloch. Gdy tylko trochę przywykli do mroku, strażnik otworzył im jeszcze jedne drzwi, pokazując ręką, że mają wejść.

- Jak będziecie chcieli wyjść, naciśnijcie dzwonek - burknął i zatrzasnął drzwi.

Lydia usłyszała, jak przekręca w zamku klucz, i rozejrzała się wokół. Był to ciasny, ciemny pokoik, z którego jakby

wyplukano wszelkie kolory. Spod kłapy przykrywającej stojący w kącie kubeł wydobywał się zapach uryny i środka dezynfekującego. A spod podłogi – dźwięk przepływającej wody. Do tego dochodziła wilgoć, dzięki której nawet tu czuć było zapachy dżungli. Lydia poczuła, jak wnętrze jej przewracają się jej do góry nogami.

Lili siedziała na metalowym krześle. Wynędzniała i obszarpana, była nie do poznania. Jej dawniej świetlista cera była teraz szara, zgrabna sylwetka wychudzona, a piękne długie włosy – byle jak ostrzyżone. Uniosła pogryzioną przez moskity wściekłą twarz.

- Źle cię tu traktują? – spytała wstrząśnięta Lydia.

Dziewczyna wstała, okręciła się i rzuciła w nią krzesłem. Stuknęło o ścianę i upadło na podłogę, chybiając celu. Rzuciła się na Lydię. Adil złapał ją za ramię i siłą odciągnął. Ich oczy miały błyskawice, Lili walczyła, drapiąc i szczypiąc go po twarzy, uderzając w klatkę piersiową. Gdy w końcu osłabła, puścił ją.

- Ona mi go ukradła – syknęła, mrużąc oczy i wykrzywiając twarz w słabym uśmiechu. – Tylko ja umiałam naprawdę dogodzić Jackowi.

Uniosła do góry spódnice, odwróciła się do nich tyłem i zakręciła nagą pupą.

Lydia cofnęła się, powstrzymując mdłości.

- Ja tylko wytłumaczyłam jego matce, że dziecko w niebezpieczeństwie. A w zamian, że pomogę odbić Maznana, oni powiedzieli.... – Zamilkła i zwiesiła głowę. – Nie chciałam, żeby go zabili.

- Mów dalej - powiedział Adil chłodno.

Lili skrzywiła się.

- Obiecali, że mi go przywiozą.

Lydia położyła sobie dłoń na ustach.

- Nie! Nie zabić go. Skoro pomogłam im odzyskać Maznana, mieli porwać Jacka. Zabrać od ciebie. Biała suko. Nie zabić go. - Wymierzyła palec w Lydię, po czym oparła swoje kościste ciało o ścianę i osunęła się na podłogę.

Adil podszedł do niej, podniósł ją, ciągnąc za rękę, ustawił krzesło i posadził ją na nim.

- Chcesz szklankę wody?

Wzdrygnęła się i stłumiła szloch. Zapanowało milczenie. Lydia spojrzała na kwadrat przymglonego światła w okratowanym oknie. Chętnie obwiniłaby o wszystko dziewczynę, ale ta przecież nie była winna. Jeszcze raz ukazał się jej skrywany gdzieś głęboko pod powiekami obraz. Jack na zakurzonej drodze i kałuża jego stygnącej krwi.

Po śmierci dziewczynek miała nadzieję, że miłość do Jacka przyniesie ratunek. Że oboje podarują sobie nawzajem to, za czym tęsknili. A w rezultacie ona jemu dała śmierć, a Lili chorobę umysłową. Nikt nie został uratowany. Duszne powietrze przyprawiało ją o zawrót głowy. W tym piekielnym kraju nie ma ratunku, nie ma zbawienia. Dla nikogo. Jedyne rzeczy, których można być pewnym, to skwar, pot i przemoc.

Adil poprowadził Lydię do drzwi.

- A co z matką Maznana? Też ją złapali? - spytała go.

- Nigdy nie chciałam jego śmierci - szlochała Lili. - Kochałam go.



Adil nacisnął dzwonek.

- Później ci powiem.

- Pomalowałam mur świątyni - zawodziła śpiewnie dziewczyna, wpatrując się w Lydię z groźbą w czarnych oczach.

Lydia pochwyciła spojrzenie Adila. Wzruszył ramionami.

- Namalowałam cztery smoki cwałujące przez niebo. Ale narysowałam im źrenice. To duży błąd. One odleciały. - Roześmiała się gorzko i splunęła na lepką od brudu podłogę.

Adil obejrzał się na nią.

Położyła palec na ustach i spojrzała na niego dziko.

- Pssst! Jeden został. Ten ze ślepym okiem... - Zamilkła, wpatrzona w niego.

Opuścili pokój i odprowadzono ich do tylnego wyjścia. Świeże powietrze przyniosło ulgę, Lydia zamknęła oczy i oddychała głęboko. Adil ruszył z miejsca.

- Miałeś mi powiedzieć o matce Maznana - przypomniała, doganiając go.

- Została jedną z tych dziewczyn, co zbierają datki pieniężne. Chodziła w stroju roboczym, granatowym kombinezonie i czarnej chustce na głowie.

Lydia zmarszczyła czoło.

- Zbierała pieniądze dla powstańców. W ten sposób miała dostęp i do nich, i do robotników na plantacji.

- A jak Lili tu trafiła?

Wzruszył ramionami.

- Policjanci, którzy aresztowali ją w porcie, stwierdzili, że jest obłąkana.

Niebo różowiało, a oni szli po niegdyś przepięknej, a dziś chropawej i nierównej mozaikowej terakocie, otoczonej biało kwitnącymi trzymetrowymi krzewami hibiskusa. Prowadziła ona do gęsto porośniętego pnączami ogrodu, gdzie docierały urywki zgiełku położonego niżej miasta. Przeleciało stado ptaków, a z głębi terenu dobiegł dźwięk zatrzasnięcia przez nagły przeciąg drzwi. Spojrzała w tamtym kierunku.

- Tam jest domek letni. Chcesz zobaczyć?

Skierował się do niszczonego pawilonu. Sam budynek skryty był w kępie zarośli otoczonej kilkoma wyższymi drzewami, których zwieszające się gałęzie tworzyły coś w rodzaju baldachimu. Roztrajkotane małpy na wyścigi wspinały się po pniach, po czym zwiślały, trzymając się jedną ręką gałęzi. Intensywnie różowe kwiaty z ciemnymi pomarszczonymi liśćmi wdzierały się przez okna do środka. Popękane szyby nabierały złotej barwy, w miarę jak słońce chowało się za wzgórzem.

Drzwi były potężnie wypaczone, ale ustąpiły pod zdecydowanym pchnięciem silnej ręki Adila. We wnętrzu zachowała się jedynie drewniana ława i parę sfatygowanych rattanowych foteli.

- Wiesz, często tu bywałem. Na początku George zatrudniał mnie jako kelnera. Ach, to przedwojenne bujne i ekstrawaganckie życie towarzyskie... To tu poznałem Cicely. Obwieszona naszyjnikami i bransoletami aż po łokcie, wszystko kupione na targowisku. Dziewiętnastoletnia, bez grosza, nieustraszona.

Lydia patrzyła mu w oczy. Wyglądał na dość spiętego.

- Wtedy rzecz jasna było tu zupełnie inaczej. Idealna sceneria dla miłości. Harriet Parrott umiała o to zadbać. Jedwabne poduszki, pachnące świece, kadzidełka, kwiaty.

Splunął na zakurzoną podłogę.

Lydia dostała gęsiej skórki.

- Kim jest dla ciebie Cicely?

Odchrząknął.

- Mówiłem ci już, pracujemy razem.

- I nic poza tym?

Nastąpiła chwila milczenia. Lydia miała poczucie, że coś tu jest nie tak, i zdała sobie sprawę, że mu nie wierzy.

Przejechał dłonią po ogolonej głowie.

- To niebezpieczna kobieta. - Zamilkł i rozejrzał się dookoła. - Daj spokój, chodźmy już. Nie cierpię tego miejsca.

- Chodzi tylko o miejsce? - Starła się spojrzeć mu w oczy, ale on parsknął i unikał jej wzroku. Patrzyła na niego uważnie. Teraz widziała jego twarz z profilu. - Mam rację, prawda? Tu chodzi o coś więcej?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak to widać.

- Dlaczego to ukrywasz?

- Na pewno chcesz wiedzieć?

Kiwnęła głową, ale nagle zdała sobie sprawę, że już wszędzie się czegoś dopatruje. Przestraszyła się. Nie była taka pewna, czy naprawdę chce wiedzieć wszystko o wszystkim.

Zaczął mówić gniewnym, głuchym tonem. Pomyślała o ich pierwszym spotkaniu. Nie przypominał teraz tamtego opanowanego, wyniosłego mężczyzny. Mówił, odwrócony do

niej plecami.

- Japońscy żołnierze podjechali dżipem i zabrali moją matkę do miejsca takiego jak to. Polowali na małe dzieci Chinki. Ona była trochę starsza, ale wciąż miała w sobie świeżość, wydawała się drobna i krucha. Dali ją grupie młodych rekrutów, którzy potraktowali ją bardzo brutalnie. Miała szczęście, że przeżyła. Większość ofiar została skopana na śmierć albo podrzynano im gardła.

Lydia spojrzała przez wybite okno na ciemniejące niebo. Zamknęła oczy i usiłowała się skupić na jego słowach.

- Wsadzili ją po szyję do zimnej wody. Musiała tak stać przez czterdzieści osiem godzin albo utonąć. Jak ona to przetrzymała...

Zamilkł, a ona otworzyła oczy. Wydawał się nieobecny. Serce się jej ścisnęło na widok jego bezradnego wzruszenia ramion i uniesionych zaciśniętych pięści.

- Trzymali ją przez pół roku. A potem pewnego dnia wyrzucili na ulicę, nagą, śmierdzącą odchodami i rzygowinami, pokrytą wrzodami w miejscach, gdzie przypalali jej skórę papierosami.

Pociągnął za gałąź, której ciemne liście wdarły się do środka przez okno. Zerwał wielką pąsową różę, przytknął ją do nosa, po czym rzucił na ziemię. Z rozmysłem wdeptał ją obcasem w kurz.

- Jak już mówiłem, miała szczęście, o ile można użyć tego określenia. Wielu dziewczętom kazano kopać własny grób, a potem grzebano je żywcem. Nigdy nie doszła do siebie. A potem, kiedy mnie najbardziej potrzebowała, ja...

Zawahał się.

- Byłem bardzo zajęty. Kiedy się ostatni raz widzieliśmy, prawie mnie nie rozpoznała. Możesz sobie wyobrazić, jak się czuję, Lydio? Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy.

Lydia zastygła w bezruchu, powietrze było gęste, nie do wytrzymania. Gdy jego słowa do niej dotarły, po raz pierwszy zrozumiała, jak bardzo musiał cierpieć. I jak wiele go kosztowało trzymanie wszystkiego w tajemnicy.

- Tak mi przykro, Adil.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, tak wtedy wyglądało życie.

- Coś zostało po tych Japończykach?

- O ile wiem, urodziło się trochę nieślubnych dzieci, ale bardzo mało. Mieli zwyczaj mordować zgwałcone kobiety. Wiem, że człowiek jest zdolny do okrucieństwa, ale z powodu mojej matki...

- Adil.

Zacisnął pięści.

- Wojna skończyła się tutaj w połowie sierpnia, po zrzuconiu bomby na Hiroszimę. Dzięki ci za to, Boże!

Zatkało ją. Te słowa były mimo wszystko szokujące.

Zapalił papierosa.

- Nie wiedziałam, że palisz - powiedziała. Chciała mu jakoś pomóc, ale nie wiedziała jak.

- Tylko czasami.

- Co się stanie z Lili?

- Wyzdrowieje. I ją wypuszczą. Ma szansę dołączyć do jakiejś trupy aktorskiej. Albo wróci do prostytutki.

- A z matką Maznana?

- Daj spokój - powiedział. - Nie masz dość? Chodź już, opowiem ci po drodze.

Wyszli z letniego domu i przeszli przez opuszczony ogród. Jednostajnie czarna malajska noc zapadała szybko, jakby ktoś zaciągał kurtynę. Nigdzie indziej nie widziało się tak głębokiej czerni. Lydia trzymała się blisko Adila. Nie chciała się potknąć po ciemku, ale nie miała też ochoty go dotykać.

- Matka Maznana w końcu się ujawniła. Trafi do miejsca odosobnienia razem z synem.

- Mazowi nic nie grozi?

- Tak myślę.

- Terrorysty nie będą się na niej mścić?

Wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję, że nie. Ich oddziały zaczynają się poddawać, jeden za drugim.

- Dlaczego?

- Trudno się tak bez przerwy ukrywać. Rebelia wkrótce się skończy. Odkąd w 1952 dowodzenie przejął Templer, to tylko kwestia czasu.

Lydia wiedziała, o czym mówił. Alec wspominał, że generał Templer to twardy i doświadczony dowódca, który we współpracy z wydziałem wojny psychologicznej wykorzystuje przeciwko terrorystom rozmaite sztuczki mające na celu obniżenie ich morale.

- To jego pomysłem są przedstawienia trup aktorskich i kina objazdowe? - spytała.

Adil przytaknął.

- To przynajmniej działa.

Drogę oświetlał im jedynie jego tłący się papieros. W ciemnościach Lydia straciła równowagę. Poleciała do przodu, a jej obcas utknął w rozpadlinie stwardniałego gruntu. Adil wyciągnął ręce i powstrzymał jej upadek, ale po bliższym badaniu okazało się, że obcas zwisa bezwładnie z podeszwy buta. Oderwała go. Kuśtykając do miejsca, gdzie zaparkowali samochód, musiała się oprzeć o Adila.

- A więc Maz jest z matką? - spytała, gdy dotarli do asfaltu.

- Mówiłem ci, że dotarłem do kogoś, kto o tym wie. Dostałem cynk wczoraj, ale chciałem, żebyśmy najpierw zobaczyli się z Lili i potwierdzili jej związek z tą sprawą.

Tej nocy ona z kolei miała spać na kanapie. Poszła do kuchni, przygotowała sobie dużą porcję dzinu i po cichu podciągnęła żaluzje. Księżyc w pełni błyszczał spomiędzy chmur, posrebrzając rozległą powierzchnię wody, tylko gdzieniegdzie znaczoną ciemnymi sylwetkami chińskich sampanów. Przyjrzała się swoim paznokciom. Były starannie spiłowane, czyste, polakierowane, o wiele ładniejsze niż za czasów, gdy żyła z Jackiem. Och, Jack, pomyślała, jak mogłam tak szybko o tobie zapomnieć? Odprężyć się potrafiła tylko wtedy, gdy była lekko oszołomiona krążącym w jej żyłach dzinem.

Teraz знаła już prawdę o śmierci Jacka i wiedziała, co się dzieje z Mazem. Co ją więc tu trzyma? Przecież osiągnęła założone cele. A co do Adila, to i tak nie może sobie pozwolić, by się z nim bardziej zbliżyć. Poza tym, że nie był biały, Jack wciąż rzucał na jej życie długi cień.

Myślała o Adilu i wpatrywała się w ciemny horyzont,

starając się nie wyobrazić go sobie śpiącego w pokoju obok. Biła się z myślami. Potrzebowała go, nie dowierzając mu jednocześnie. Kim on właściwie jest? – myślała. Wypełnił wszelkie dane jej obietnice, niemniej jednak była niemal pewna, że nie powiedział jej wszystkiego.



## 40

Autobus podskakiwał na wyboistej drodze biegnącej wzdłuż cieśniny Malakka. Rybackie stateczki porozrzucane były po wodzie, a na dalekim cyplu Lydia dostrzegła ruiny holenderskiej twierdzy. Otworzyła okno, żeby poczuć zapach dzikich orchidei, tworzących kaskady nad płożącymi się figowcami. Ta woń mieszała się z gorącym, słonym powietrzem. Od wody odbiło się nagle białe metaliczne światło słoneczne. Oślepiąca nim cofnęła głowę i spojrzała do przodu, gdzie chmury rozpościerały się na kształt skrzydeł wiatraka.

Brakowało jej emocji: radości, euforii, nadziei czy – przynajmniej – odwagi, żeby stawić czoło temu, co ją czeka. Myślała, że już zdążyła do tego przywyknąć, jednak gdy na wybrukowanej grobli między Johorem a Singapurem pojazd nabrał prędkości, serce ścisnęło się jej na wspomnienie czasów, gdy była tu z córkami. Znowu poczuła ciężar nie do udźwignięcia. Jak to wytrzymać?

W Singapurze autobus jechał Connaugh Drive, szeroką drogą równoległą do nadbrzeża, po czym zatrzymał się przed kenotafem, symbolicznym grobowcem ofiar wojen, na skraju Raffles Square.

Gdy tylko autobus zniknął z jej pola widzenia, Lydia spojrzała ku wschodowi, w kierunku morza i z trudem uniknęła nowej fali rozpacz. Wyprostowała ramiona i nawet

nie spojrzała na podcienia Tanglin Road ani na leżące w cieniu drzew bulwary dzielnicy europejskiej. Zwróciła twarz ku słońcu. Tak będzie najlepiej. Dla niej, podobnie jak dla wielu innych, życie się skończyło. Zaczęła iść z powrotem wzdłuż zatoki i szerokiej, ruchliwej rzeki przecinającej miasto na pół.

Anglicy w białych kapeluszach, szortach i podkolanówkach uśmiechali się do niej, gdy ich mijała. Skinęła im głową w odpowiedzi. Dźwigała walizkę, dopóki ta nie zaczęła jej ciążyć, a potem przystanęła i przyglądała się staromodnym stateczkom handlowym, ładującym i rozładowującym swoje towary. Zdziwiła się, że one ciągle tu są, odrzuciła głowę do tyłu i serdecznie uśmieła się z panującego wokół bałaganu. Patrząc, jak liczne samochody i riksze poruszają się, za nic mając rozpaczliwe sygnały hinduskich policjantów w turbanach, poczuła się lepiej. Ludzie przechodzący przez jezdnię wyglądali w tej sytuacji na kamikadze. Singapur nic się nie zmienił.

Wskoczyła do kolejnego autobusu. Zbliżali się do chińskiej dzielnicy, gdzie chińska muzyka dobywała się z bogato zdobionych budynków, gdzie w każdym oknie na zatkniętych byle jak tyczkach suszyło się – powiewając niczym flagi – pranie. Singapur. Rozdroże Wschodu. Czy nie tak mówi się o tym mieście? Najtańsze centrum handlowe na świecie.

Prawie każdy niedrogi hotel okazywał się być burdelem, miała więc szczęście, że trafiła na Welcome Retreat, wąski dwupiętrowy budynek, gdzie na każdej kondygnacji unosił się zapach wosku do podłóg – ostatniej rzeczy, jakiej można by się tutaj spodziewać. Wtaszczyła swój bagaż po wąskich schodach

na samą górę, do jednego z trzech pokoi ze wspólną łazienką.

Przez chwilę mocowała się z metalowym uchwytem w oknie, które chciała otworzyć, żeby wpuścić trochę powietrza. Nie był to Oceanview Hotel, ale przynajmniej było czysto, a w pokoju pachniało „zaledwie” wilgocią, a nie zjełczonym tłuszczem czy tanimi perfumami. Obejrzała sfatygowane meble, po czym przeliczyła swoje dolary, jak na razie wciąż ozdabiane portretem królowej. Nie było tego wiele, a skoro tak – i biorąc także pod uwagę konieczność znalezienia pracy – Singapur był dla niej jak najbardziej odpowiednim miejscem. Może później, gdy uzbiera trochę pieniędzy, wróci do Anglii i rozpocznie naprawdę nowe życie.

Na zewnątrz z piskiem hamowały samochody. Piętro niżej trzasnęły drzwi. I jeszcze coś: z sąsiedniego pokoju dochodziły pełne napięcia głosy. Jakaś para kłóciła się zawzięcie. Przysiadła na brzegu łóżka, starając się tego nie słyszeć. Czas się dłużył. Potem obijała się po małym hotelowym pokoju, pragnąc mieć coś innego do roboty. Powiedziała sobie, że w końcu musi się na coś zdecydować. Nie może do końca życia polegać na Adilu, musi się usamodzielnąć. Być silna. Przypomniała sobie jego pełną mocy twarz i oddech na jej karku, gdy płakała z głową opartą na jego ramieniu.

Pokój skojarzył się jej z sypialnią w klasztorze, do której wchodziło się na samą górę po kręconych schodach. Dzieliły ją we trzy. Nie zaszłam zbyt daleko, pomyślała, leżąc teraz na łóżku z zamkniętymi oczami. Usiłowała sobie przypomnieć, jaka była kiedyś, ale dziewczyna, którą widziała we wspomnieniach, była chyba zupełnie innym człowiekiem, kimś

z całym innym światem.

Ujrzała siebie w przededniu swoich szesnastych urodzin. Początek wojny. Było lato, słońce, błękitne niebo, a ona czekała na gościa. Miała wtedy płomienne i bardziej nieokiełznane, jak u Emmy, włosy, a siostra Patricia, wzięwszy się pod boki, nalegała, żeby je obciąć. Była jedyną dziewczyną, która została w klasztorze, bo nie miała u kogo spędzić wakacji.

Pamiętała to oczekiwanie na ławce przed budynkiem. Godzina jedenasta wybiła, a potem minęła. Przyniesiono jej lemoniadę, a po godzinie kanapki z pastą rybną. Nie mogła ich przełknąć, rzuciła je na ziemię, dla ptaków. Podskakiwała na odgłos każdego przejeżdżającego samochodu, ale nie ruszała się z miejsca. Siostra Patricia przyniosła jej do czytania *The Family from One End Street*, ale słowa tańczyły jej przed oczami.

Jej gość nigdy się nie pojawił.

Lydia przetarła oczy. Przeszłość jest bolesna. A najbardziej boli rozpaczliwa potrzeba miłości. Pomyślała, jak bardzo ona sama kochała swoje dzieci, a jak bardzo była niechciana przez własną matkę. Stała jej przed oczami Em na ostatnim konkursie przebierańców w klubie. Emma była klaunem. Jej kostium nie wygrał, ale przechodząc przed jury, Em dwukrotnie przekoziołkowała. Widząc, że pogmiotła sobie czapkę, zrobiła przerażoną minę i sędziowie się roześmiali. Przyznali jej nagrodę za wytrwałość. Lydia uśmiechnęła się też na wspomnienie miłości, jaką Fleur darzyła piękne sukienki. Przypomniał się jej ten straszny czas, gdy mała

dostała zapalenia płuc i bardzo długo wracała do zdrowia.

Pamiętała też, jak w 1946 roku stała z Alekiem nad brzegiem oceanu w Terengganu, pół roku po zakończeniu wojny na Wschodzie. Malaje były spustoszone po japońskiej inwazji, a oni obejmowali się, pogryzali orzechy brazylijskie, popijając sokiem świeżo rozciętego kokosa. Krótkie wakacje przed jego pierwszym służbowym objazdem. Emma właśnie skończyła trzy lata, a Fleur była w drodze. Przypomniał się jej słony zapach oceanu i upojna woń dzikiego jaśminu, wdzierająca się nocami przez otwarte okno sypialni. Mieszanka tych zapachów z aromatem likieru Pimm's i ich rozgrzane ciała. Jak się kochali i jak potem ona poprosiła go, żeby opowiedział coś o swoim dzieciństwie. Było zwyczajne, odrzekł, jeśli nie liczyć, że ojciec zniknął na trochę, gdy Alec był mały. Ale to go zainspirowało do podróżowania.

Westchnęła. Tyle się zmieniło. Wszystko minęło, a mając w kieszeni już tak niewiele pieniędzy Jacka, musi przestać wspominać i marzyć, a iść do pracy. Ot i wszystko.

Pierwszą pracę znalazła w największym singapurskim domu towarowym, w hali z marmurowymi kolumnami i perfumowanymi ladami, gdzie wszyscy mówili szeptem. Na klientów z grubymi portfelami czekał tam aż nazbyt uprzejmy personel.

Tylko jej piętro, gdzie sprzedawano artykuły gospodarstwa domowego, było dość hałaśliwe. Bez ciszy, bez perfum. W równych rzędkach stały tam środki czystości, codziennie odkurzone upiornie kolorowe butle. Polerowano garnki, przybory kuchenne musiały świecić nieskazitelną czystością.

Lydia miała za zadanie demonstrować na specjalnym podwyższeniu sposób użycia nowomodnych szybkowarów. Traktowała to trochę jak występ w teatrzyku. Płacili jej nieźle i lubiła tę pracę, przynajmniej do czasu, gdy to cholerne urządzenie nie wybuchnie jej w rękach. Wymagano od niej, żeby pokaz odbywał się co godzinę, niezależnie od tego, czy byli chętni, czy też nie. Siadała więc na wysokim stołku, zakładała nogę na nogę i z za grubej szyby przyglądała się swojemu minionemu życiu. Europejki prosto od fryzjera umawiające się na koktajle w luksusowym hotelu Raffles, otoczony palmami kościół, gdzie mówiące z ciężkim chińskim akcentem *amahs* pouczają angielskie dzieci, żeby nie biegały. To zadziwiające, że to życie toczy się jakby nigdy nic, mimo wojny, która z pewnością wkrótce położy mu kres.

Znalezienie drugiej pracy nappełniło ją nadzieją. Nareszcie coś, co potrafiła robić i w czym była dobra. Zadziwiona własną odwagą, przemknęła przez bramę do pasażu pokrytego wzorzystym jedwabiem, gdzie w poruszonym przez wentylatory powietrzu unosiły się niczym motyle delikatne obłoczki woalu. Stłoczone na ciągnących się aż po sufit półkach smoki, ptaki i pagody na lśniącej tafcie walczyły o przestrzeń z przebogatymi brokatami. Z głową pełną pomysłów Lydia uszyła swoje dwie pierwsze sukienki na maszynie pożyczonej od chińskiej kelnerki.

Mimo iż miała zajęcie i lubiła, jak pod jej palcami kawał tkaniny zmieniał się w wyszywane cekinami strojne wieczorowe suknie, nowa praca dość szybko się jej znudziła.

Po trzech miesiącach, w sierpniu 1957 roku, gdy niepodległość Malajów stawała się faktem, a od śmierci dziewczynek minęło ponad dwa i pół roku, Lydia właśnie skończyła swój, dość rachitycznie oklaskiwany, występ wokalny. Znów czuła niedosyt. Singapur nie utracił dawnego blasku, ale dziś był wtorek. Życie spowalniało. Ludzie chcieli się napić i najeść pieczonych kurczaków.

Siostra Patricia zawsze jej mówiła, że mogłaby coś zrobić ze swoim głosem. Nie wyobrażała sobie siebie śpiewającej w restauracji dla gości hotelu Oceanview. Już raczej w jakimś teatrze muzycznym czy w chórze. Ale kiedy menedżerem hotelu okazał się być ten sam postawny mężczyzna, którego znali z Alekiem przed laty, ośmieliła się go zapytać, czy mogłaby tu występować.

Wzięła od barmana schłodzone piwo, przygładziła spódnicę i usiadła przy oknie. Lubiała patrzeć na migające światła, uwielbiała szum wody rozbijającej się o falochron, nie mogła się oprzeć nocom pachnącym cynamonem i imbirem ani rybnej słonej woni morza.

Menedżer podszedł do niej z uśmiechem na twarzy. Wskazał jej miejsce przy końcu długiego lśniącego baru i powiedział, że czeka tam na nią dzin z angosturą.

Po występie ludzie często stawiali jej drinki. Poczowała zniechęcenie, ale wstała i zmusiła się do zrobienia tych kilku kroków.

- Kto? - zapytała.

Było ciemno i za zakrętem baru widziała jedynie zarys sylwetki.

Wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Baw się dobrze. Ja wychodzę.

Lydia podeszła do baru. Na blacie równo ustawiono dwa różowe dziny i dwie szklanki podwójnej whisky.

Z cienia ktoś rzucił niedbale:

- Cieszę się, że możesz mi towarzyszyć.

- Cicely!

- Jak się miewasz, kochana? - Cicely wyciągnęła do niej rękę przyozdobioną błyszczącymi srebrnymi bransoletami i czerwonym lakierem na paznokciach, ale mówiła dość bełkotliwie.

Lydia cofnęła się.

- Nie, nie uciekaj. Zostań, napijemy się. Za stare, dobre czasy.

Podsunęła Lydii stołek i poklepała go.

- Jesteś pijana.

- Troszennieczkę.

Lydia usiadła. Takie zachowanie nie pasowało do zawsze chłodnej Cicely.

- Co tu robisz?

Cicely uśmiechnęła się.

- Zawsze się tu zatrzymuję, będąc w Singapurze. Nie znoszę Rafflesa. - Pomachała rękami, roztaczając zmieszana z potem woń Chanel. - Wszystkich tych ramoli rozplywających się nad tym, jak to było przed wojną. Jak miło cię widzieć.

- Więc nie przyszłaś tu, żeby się ze mną spotkać?

- Nie, ale skoro już do tego doszło... Muszę ci powiedzieć: Adil cię szuka.



Lydia gwałtownie odstawiała szklankę i przez chwilę napawała się spowodowanym przez dżin miłym paleniem w gardle. Patrzyła na Cicely i wyobrażała sobie, jak jego usta wymawiają jej imię.

- Pozwól, że zapytam wprost. On cię tu przysłał?

Cicely wzruszyła ramionami.

- Nie bądź taka podejrzliwa, kochanie. Dlaczego miałby to robić? A poza tym już ci mówiłam, że nie przyjechałam tu z twojego powodu.

- Czego on chce?

- A bo ja wiem? Odniosłam wrażenie, że pragnie ci coś przekazać. Znasz Adila. To tajemniczy człowiek. Nie chciał powiedzieć. - Cicely zakręciła swoją szklanką i zakołysała się na stołku. - Często miałam ochotę o to cię zapytać, moja droga. Czy ty w ogóle kiedyś kochałaś Aleca? Jakoś do siebie nie pasowaliście. On to taki mały geszefciarz.

- Na miłość boską, Cicely, on nie żyje! - oburzyła się Lydia.

- Niepotrzebnie się tak pieklisz. - Cicely wyduła wargi.

Lydia zrobiło się ciężko na sercu. Pojawiły się głęboko dotychczas skrywane wątpliwości co do głównych przyczyn, dla których poślubiła Aleca.

- Okej, myślałam, że go kocham. Człowiek często coś sobie wmawia, nie? Był przystojny, a ja potrzebowałam tego, co mógł mi zaoferować.

- Może był bardziej wrażliwy, niż myślisz.

- Co takiego?

- On uważał, że nigdy go nie kochałaś. Po wszystkim wypłakiwał się na moim ramieniu. Mężczyźni rzadko

przyznają się, że nie są znów tak nadzwyczajni w łóżku, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko.

Lydia doznała szoku.

– Po wszystkim? Mówiłaś, że wy nie...

– Kłamałam. Napijmy się jeszcze – powiedziała, machając na barmana plikiem dolarów.

Lydia zmrużyła oczy. Cicely chyba nie zdawała sobie sprawy, co właśnie powiedziała, i beztrąsko plotkowała o ostatnich wydarzeniach w Malakce. Gdy Lydia była przy czwartym dzinie, zaczęły mówić o Jacku.

– A jego chociaż kochałaś? – spytała Cicely, po czym ciągnęła z życzliwością: – Coś mi się zdaje, że mamy podobne upodobania co do facetów, nie?

Lydia zmarszczyła czoło.

– Tylko nie Jack! Nie chcesz chyba powiedzieć, że... – Głos jej drżał.

– Nie, ale muszę stwierdzić, że mi się podobał. Jednak cóż, on nie odrywał oczu od ponętnej Lydii Cartwright. – Przełknęła potężny haust alkoholu. – Obecnie trochę za chudej, proszę zauważyć. Ale mów dalej. Powiedz mi. Umieram z ciekawości. Jaki był?

Patrzyły na siebie.

– Och, przepraszam, kochanie, zapomniałam, że jesteś jedną z tych kobiet, co nie potrafią żyć bez miłości.

Lydia westchnęła.

– To nieprawda i to nie twoja sprawa. Najpierw nie mogliśmy oderwać od siebie rąk, a potem zaangażowaliśmy się emocjonalnie, choć nie powinniśmy. Ja miałam męża

i dzieci, ale potem, po pożarze, on był dla mnie taki cudowny...

Nie przyznała się do swoich najbardziej skrytych podejrzeń, że choć kochała go z całego serca, a on ją, jej plany poślubienia Jacka mogły wynikać jedynie z marzeń o odtworzeniu utraconej rodziny. Coś w rodzaju substytutu. Jakie to byłoby smutne, gdyby namiętność wygasła, a oni zorientowaliby się, że chodziło tylko o to.

- Rozumiem. I tu dochodzimy do Adila, chyba że jeszcze czegoś mi nie powiedziałaś. Przyznaj się, kochanie. Podobałaby mi się wizja twojego życia jako drogi znaczonej odpadkami, to znaczy odrzuconymi mężczyznami... albo kobietami - zamruczała rozkosznie, rzucając Lydii spojrzenie spod rzęs.

Lydia przecząco pokręciła głową.

- Ach tak? - powiedziała Cicely. - W takim razie gdzie w tym schemacie mieści się mój były?

- Przepraszam?

- Kochanie, w porządku, jest cały twój, jeśli chcesz.

Ale cokolwiek Cicely mówiła, w jej oczach czaił się niepokój.

- To znaczy, że niedobry Adil nic ci nie powiedział? Tak, słodziutka, ten przecudny Adil i ja.

- Kiedy?

- Poznałam go tuż po wojnie, byłam nastolatką, zanim jeszcze to wszystko się zaczęło. - Przesunęła dłońmi po swoich piersiach. - Kochanie, wszystko jest okej. Jeśli ktokolwiek musiałby poświadczyć jego smakowitość, to ja się zgłaszam jako pierwsza.

- Mówisz o nim, jakby był obiadem.

- A co, nie jest do schrupania, moja słodka? Ciacho, że aż ślinka cieknie.

Wydeła usta, potem przygryzła wargę i nachyliła się do Lydii. Zdjęła z jej ramienia jakiś wyimaginowany pyłek, po czym pośliniła palec i powoli przejechała nim po szyi Lydii aż do dekoltu. Lydia zamarła, a Cicely wykorzystała ten moment, przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w usta.

Przez chwilę Lydia nie reagowała. Nigdy wcześniej nie całowała jej kobieta, nawet nie umiała sobie tego wyobrazić. Gwałtownie zamrugła oczami, jakby odzyskując przytomność, po czym odepchnęła Cicely na długość ramienia.

- Upiłeś się.

- Nie mów, że to ci się ani trochę nie spodobało. Jesteś przepyszna, droga Lydio, taka soczysta. Chcę iść z tobą do łóżka. Co ty na to?

Zapadła cisza.

- Tylko ta jedna nocka, kochanie.

Lydia pokręciła głową i zaczęła się śmiać.

Przez twarz Cicely przebiegł skurcz, po czym uśmiechnęła się promiennie.

- To takie śmieszne?

Lydia jeszcze raz pokręciła głową. Cicely, zawsze tak atrakcyjna, przykuwająca uwagę i mężczyzn, i kobiet, nagle zaczęła wyglądać żałośnie. Starzejąca się królowa topniejącego śniegu. Zapadła jeszcze dłuższa chwila milczenia i Lydia przeczesła włosy palcami. Dlaczego Cicely jest teraz taką kupką nieszczęścia? Przyjrzała się przyjaciółce z bliska: jej drgającym nozdrzom, pomalowanym wargom

i przepięknym topazowym oczom.

- Kochałam go, wiesz? Adila. Był moim jedynym. Ma coś takiego w oczach. I och, co za ciało! - wyznała Cicely. - Ale nie można go lekceważyć. Adil to niebezpieczny człowiek.

- Zabawne, że on to samo mówi o tobie. Daj spokój. - Lydia wzięła ją za rękę. - Chodź, położę cię do łóżka. Samą.

Na zewnątrz wzmagał się wiatr i wpychając Cicely do windy, Lydia poczuła chłodny powiew. Usłyszała, że przyjaciółka coś mamrocze; początkowo nie zamierzała zwracać na to uwagi, ale Cicely powtórzyła swoje słowa.

- Co takiego? - spytała Lydia.

- George zapłacił Adilowi, żebyś się zatrzymała u Jacka, wiesz, zapłacił mu, żeby twój przyjazd do Ipoh się opóźnił.

Zdecydowała się złożyć to na karb nietrzeźwości Cicely, ale tej nocy śniło się jej, że kruszą się jej zęby. I gdy tylko się odbudowały, zaczynały kruszyć się od nowa. Były miękkie jak kreda. Rano pozostało jej po tym poczucie, że już nie wie, na czym stoi.

## 41

Na początku wakacji często spotykałam się z Billym. Dzięki temu mogłam nie myśleć o zbliżającym się ślubie, a poza tym on był zabawny. Snuliśmy się wokół miasteczka albo spotykaliśmy na przystanku autobusowym z innymi dzieciakami, albo pałętaliśmy się koło starego, zbudowanego przez Thomasa Telforda mostu, przyglądając się, co niesie rzeka. Głównie były to śmieci, choć zdarzył się też wypadek z owcą, która wpadła do wody i utopiła się. Oczywiście Billy i ja nie mogliśmy się doczekać, aż jej napuchnięte kędzierzawe ciało wypłynie.

Siedzieliśmy na przystanku, chroniąc się pod daszkiem od deszczu, gdy nagle Billy dał mi kuksańca i powiedział:

- Em, a może znów pójdziemy do stodoły? Pod warunkiem, że chcesz - dokończył, wzruszając ramionami.

Jakby czytał w moich myślach. Szczerząc zęby w uśmiechu, spojrzał mi w twarz. A potem przeczesał rękami swoją gęstą ciemnoblonde czuprynę i zrobił się czerwony jak burak. Żeby pokryć - jak sądziłam - zmieszanie, skrzył papierosa i poczęstował mnie. Odmówiłam. Mimo że wyglądał jak James Dean, był naprawdę kochanym chłopakiem, spokojnym i bardzo grzecznym.

Gdy tam szliśmy, cały czas myślałam o naszym pierwszym pocałunku. Ile razy próbowałam pomyśleć o czymś innym,

przed oczami miałam jego usta. Ciepłe, ale nie mokre. Pamiętałam dreszcz, jaki przeszedł mi po szyi, kiedy powiedział, że jestem ładna. Czułam się wtedy i jak dziecko, i jak dorosła.

Miałam już prawie piętnaście lat, no dobra, czternaście i pół. Byłam już nieźle rozwinięta i uważałam również, że jeśli moje opowiadania mają wyglądać realistycznie, to ich bohaterki powinny mieć już jakieś doświadczenia seksualne. Chociaż nie byłam zakochana w Billym, było w nim coś urzekającego i wiele dziewczyn z miasteczka za nim szalało. Głupio będzie się przed nim rozebrać, ale uznałam, że już czas na mnie. Mimo że traktowałam go bardziej jak kumpla.

Stodoła miała wkrótce zostać rozebrana przez deweloperów, którzy chcieli w tym miejscu coś pobudować. Była to więc dla nas ostatnia sposobność. Wspięliśmy się po drabinie, ja szłam pierwsza. Poślizgnęłam się, a on, żeby mi pomóc, pchnął moją pupę i już do końca nie zdjął z niej rąk. Miałam na sobie tylko cienką bawełnianą spódniczkę i zrobiło mi się gorąco i dziwnie, że on tak mnie trzyma. Od tego ciepła aż przeszły mnie ciarki.

Na górze pachniało pleśnią, wilgocią i zbutwiałą słomą. Jej źdźbła drapały, wszystko zaczęło mnie swędzieć, poczułam się chuda i niezgrabna, mimo iż niedawno wyrosły mi piersi. Niewiele było stąd widać, jedynie skrawek rozciągającego się w oddali zielonego pola.

Gdy mnie całował, miał usta chłodne i lekko wilgotne, ale nie mokre ani rozlądle, choć muszę przyznać, że pachniały tytoniem. Powiedział, że mu się naprawdę podobam; w jego

głosie dało się wyczuć odrobinę lokalnego akcentu, co dodawało mu uroku. Wymamrotałam, że on mi się też podoba. Dotykał mojego ciała, a ja odpłynęłam wiele mil stąd. Wszystko było jakby zamazane. Przycisnął się do mnie tak blisko, że moje serce biło w nim, w środku. A gdy wsunął mi rękę między uda, to jakby przeszył mnie prąd.

Przestałam myśleć. Gdy położył się na mnie, mając na sobie jedynie białe slipy, moje ciało reagowało w zdumiewająco automatyczny sposób. Chociaż oboje tego chcieliśmy, nie poszliśmy na całość, tylko ściskaliśmy się bardzo mocno. Niemniej jednak coś musiało się wydarzyć, bo gdy poruszaliśmy się w zgodnym rytmie, podskakując na nierównych deskach, on w jakimś momencie drgnął kilkakrotnie i z ustami na mojej szyi powiedział: O mój Boże.

Gdy włożył mi język do ucha, patrzyłam ponad jego głowę w sufit. Krokwie stodoły były szerniałe i przegniłe, deskowanie pokryte zieloną pleśnią. Gdzieś tam brakowało pokrycia i wtedy można było dostrzec małe kwadraciki jasnego nieba. Zauważyłam, że już nie pada i że wyszło słońeczko.

- Przepraszam - odezwałam się, widząc, jak zmarszczył czoło z powodu mojego nieobecnego wyrazu twarzy.

- Nie szkodzi. - Wzruszył ramionami, ale widziałam, że jest mu przykro.

- Pójdę już. Umówiłam się z Veronicą w bibliotece.

Nie chciałam pogarszać sytuacji, powiedziałam więc, że jeszcze wszystko przed nami.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął radośnie.



- Naprawdę?
- Kiedy mają rozebrać stodołę?
- Pod koniec wakacji.
- No to w porządku.

Czytelnia znajdowała się w suterenie. Pachniało tam lakierem do drewna, pochylone nad stolikami lampy dawały żółte światło. Miałam pomysł na opowiadanie, którego akcja rozgrywa się na kontynencie, chciałam więc prześledzić historię Europy. Czekając na Veronicę, przestałam myśleć o Billym i położyłam na swoim stole kilka grubych książek, zadowolona, że w bibliotece jest prawie pusto.

Zatopiona w lekturze nie usłyszałam jej kroków, więc kiedy wymówiła moje imię, podskoczyłam.

- Przepraszam, kochanie, nie chciałam cię przestraszyć.

Zaczęłam się pakować.

- Chcesz już iść?

Odstawiła swoje zakupy i przysunęła sobie krzesło.

- Szczerze mówiąc, tak strasznie mi gorąco, że muszę chwilkę odpocząć. Moje biedne nogi!

Spojrzałam znacząco na jej szpilki i uśmiechnęłam się.

- Wiem, wiem - mruknęła. - A tak w ogóle to co czytasz?

Podsunęłam jej otwartą książkę, przebiegła stronę wzrokiem. Uniosła głowę.

- Och, kochanie, to chyba trochę nudne, prawda?

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

- A tak przy okazji. Mówiłam ci, że zapytam mojego zaprzyjaźnionego adwokata Freddy'ego, jak można dowiedzieć się personaliów klienta. No i widziałam się z nim

w zeszłym tygodniu. Jak wiesz, mieszka w moim mieszkaniu w Wandsworth.

Spojrzałam na nią z nadzieją.

- Coś ci podsunął?

- Niestety nie. Powiedział, że żaden prawnik nie pójdzie na to, żeby ujawnić poufne dane.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak myślałam.

- Ale on zna tę firmę. Pierwszą pracę dostał w konkurencyjnej kancelarii w Worcester i przez jakiś czas musiał pracować z kimś od Johnson, Price & Co. Zdaje się, że nad aktami prawnymi dotyczącymi przekazywania gruntów.

Kiwnęłam głową i ułożyłam książki, bo poczułam głód. Ona zrozumiała aluzję, zebrała swoje torby i razem poszliśmy do wyjścia.

- Powiedział mi, że zajmie się tym, ale że bym nie robiła sobie większych nadziei.

Podrzuciła mnie do domu, po czym udała się do swojego domu w miasteczku, ale później przyjechała i wyglądała, jakby płakała. Powiedziała nam, że otrzymała telegram z zagranicy. Brat ją wzywa. Jest naprawdę poważnie chory i ślub trzeba będzie odłożyć na później. Wyszliśmy z Fleur przed dom, żeby jej pomachać. Veronica nie wyglądała na zadowoloną, że musi jechać, ale ucałowała nas obie na do widzenia i udała się do domu, aby spakować się przed wyjazdem do Afryki, gdzie miała się opiekować panem Oliverem. Patrzyłam, jak się oddala, a Fleur zaczęła skakać na skakance. Problem w tym, że polubiłam Veronicę i bez jej pomocy nie miałabym pojęcia,

jak szukać Emmy Rothwell. Choć dotychczas i jej nie udało się zbyt wiele dowiedzieć.

- Wszyscy nas opuszczają - powiedziała Fleur.

- Veronica wróci.

Fleur zaczęła podskakiwać do rymowanki:

*Misiu, misiu, wskocz do klatki.*

*Misiu, misiu, umyj łapki.*

Była mistrzynią skakanki, najlepsza w klasie, potrafiła skakać na wiele sposobów i nigdy nie gubiła rytmu. Była tak skoncentrowana na obrotach i podskokach, że uznałam, iż nie warto się do niej odzywać, ale ona w tym momencie zapytała:

- Czy babcia kiedyś wróci do domu?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

*Misiu, misiu, okręć się.*

- Zapamiętajmy dobre czasy - powiedziałam.

Odpowiedział mi tylko odgłos jej skoków. Dołączyłam do niej przy ostatniej linijce i razem krzyknęłyśmy:

*Misiu, misiu, wynoś się!*

Przez chwilę stała nieruchomo.

- Lubiłam szarlotkę babci.

- Ja też - przyznałam. - Chodź, wymienimy, co babcia nam gotowała.

Fleur znów zaczęła skakać, skandując:

*Zupa z trupa, kawał rany,*

*Chleb materią smarowany.  
A na deser każdy łyka  
Świeżą flegmę z suchotnika.*

- A wątróbka z cebulką? - przypomniałam.
- Fuj!
- Pieczeń wieprzowa w niedzielę.
- Zapiekanka rybna w sobotę.

Łzy napłynęły mi do oczu i nie mogłam złapać oddechu. Och, babciu, pomyślałam, tak mi przykro, że nie możesz tu z nami być. Zrobiło mi się smutno, nie tylko dlatego, że ona jest w domu opieki, ale ponieważ zdałam sobie sprawę, że nasze życie toczyło się całkiem normalnie, aż któregoś dnia to się skończyło.

Fleur rzuciła skakankę, podeszła do mnie i pacnęła palcem w policzek.

- Nie martw się, Em. Ciągle masz mnie.

Spojrzałam jej w oczy. Tak, ciągle ją miałam. Uśmiechnęła się, a ja pomyślałam, że kiedyś, gdy obie dorośniemy, może się naprawdę zaprzyjaźnimy. Chciałam porozmawiać z kimś o tym, co zrobiliśmy z Billym, ale ona była za mała, więc musiało to pozostać moim sekretem.

Patrzyłam na dziką różę porastającą ogrodzenie od frontu i myślałam o Billym. Nie do końca wiedziałam, czy to, co zrobiliśmy, sprawiło mi przyjemność. Gdy z nim byłam, nie wychodziłam z roli pisarki i wyobrażałam sobie, co też musi odczuwać Claris. Myślenie, że to ona jest na moim miejscu, pozwalało mi łatwiej zaakceptować całą tę sytuację.

Nie mogłam powiedzieć Billy'emu, że go nie kocham. Bardzo

go lubiłam i nie chciałam ranić jego uczuć. Claris skorzysta z moich czułych doświadczeń, ale muszę być teraz bardziej ostrożna i lepiej chować moją budzącą sensację pisaninę. Ojciec by mnie zabił, gdyby przeczytał. Bo jednak nadal najbardziej lubiłam siedzenie z Billym pod wierzbą na stopniach Coal Quay, machanie zanurzonymi w rzece nogami, gapienie się na ważki. Czułam się wtedy jak dziecko i to mi się podobało.

Intensywny zapach gotowanych potraw, potu i paczuli dopadł ją, gdy stanęła w progu domu na ulicy Trzech Smoków. Zielona farba nadal obłaziła ze ścian budynku i miejsce wyglądało bardziej obskurnie niż poprzednio. Patrzyła na drzwi jego mieszkania. Przed wyjazdem z Singapuru przymierzyła jedwabny cheongsam z głębokim rozcięciem z boku. Nie, zbyt prowokujące. Zdjęła go. Spróbowała włożyć zwykłą bawełnianą bluzkę i wyprasowaną spódnicę. Za nudne. W końcu wybrała luźną sukienkę w kolorze morskiej zieleni, skromną i stosowną, podkreślającą kolor włosów i oczu. Zrobiła kreskę na górnej powiece – jak Chinka – i pomalowała usta błyszczącą szminką. Zebrała się w sobie i schowała swoje uczucia w bezpiecznym miejscu.

Nie chciała wałęsać się jak ulicznica, postanowiła jednak, że pokaże mu się wtedy, gdy on stanie w drzwiach. Tak, aby zdać się na zrządzenie losu. Jeśli Adil się nie pojawi, wsiądzie w pierwszy powrotny autobus i on nigdy się nie dowie, że u niego była.

W pobliskim cieniastym zaułku usadowiła się kobieta, obok której kucnął chudy chłopczyk. Kołysała też niemowlę i patrząc smutno, zebrała po malajsku o jedzenie. *Makan, makan*, mówiła i wyciągniętą ręką pokazywała na usta chłopca.

Lydia poczuła się bezradna. Co innego mogła zrobić, jak dać trochę pieniędzy w nadziei, że zostaną one rzeczywiście wydane na zakup żywności? Ale ukradkowe spojrzenie na niemowlaka zaparło jej dech w piersiach. Jego twarzyczka była szara i nieruchoma. Wyglądało na to, że dla niego już za późno na jedzenie.

Grzebiąc w torebce w poszukiwaniu drobnych, o mało co go nie przeoczyła. Zdumiona usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. A więc to on zauważył ją pierwszy, gdy wyszedł z domu na ulicę.

Przeszedł przez zatłoczoną jezdnię i uśmiechnął się do niej z wyrazem zaciekawienia w ciemnych oczach.

- Rozumiem, że przyjechałaś - powiedział. - Nie było cię ładnych parę miesięcy, prawda?

- Śledziłeś moje poczynania?

Wzruszył ramionami i podał jej ramię.

Gwałtowny podmuch napełnił jej oczy kurzem i piaskiem. Zaczęły łzawić.

- Nienawidzę wiatru - powiedziała.

- Aha, więc i ciebie opętał ten demon.

Otarła oczy chusteczką.

Spojrzał na nią i roześmiał się.

- O Boże, rzadko mi się zdarza, żeby kobieta przeze mnie płakała.

- Też tak słyszałam.

Uniósł brew.

- Domyślam się, że rozmawiałaś z Cicely.

Obgryzła skórkę przy paznokciu i poczuła, że jej twarz

oblewa się rumieńcem.

- Masz czarne smugi. Pozwól.

Wziął od niej chusteczkę i wytarł jej okolice oczu. Ona w tym czasie patrzyła w ziemię.

Wymamrotała coś w rodzaju podziękowania.

- Muszę ci się chyba z czegoś wytłumaczyć. Może wejdziemy do środka? Wyglądasz, jakby przydało ci się coś zimnego do picia.

W mieszkaniu żaluzje były opuszczone. Nie podniósł ich, zapalił za to kilka lamp. Wentylator pod sufitem, zacinając się, bełtał gęste powietrze. Był kolejny wilgotny dzień, wszyscy rozpaczliwie wyglądali oczyszczającej ulewy.

- Przepraszam za niezapowiedzianą wizytę. Nie chciałam ci sprawiać kłopotu.

- Jakież to brytyjskie z twojej strony, Lydio, ale skoro już o tym wspomniałaś, dla mnie to żaden kłopot. - Uśmiechnął się i patrząc na nią pytająco, uniósł w dłoni wielką pomarańczę.

- Pamiętałeś.

Przekroił owoc, po czym do wysokiej szklanki wycisnął z niego sok. Dodał sok z limonki. W powietrzu uniósł się zapach cytrusów.

- Okłamałeś mnie.

- Możemy uznać, że coś przemilczałem?

Nie przyjechała tu, żeby się kłócić.

- Nazywaj to sobie, jak ci się podoba. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- O Cicely? - Pokręcił głową. - Przepraszam, naprawdę chciałem. Miałem to na końcu języka, wiesz, gdy byliśmy



u Lili. Ale prawda jest... No cóż, to skomplikowane.

Gapiała się na swoje stopy, zadowolona, że pomalowała paznokcie. Nie śpieszyła się jednak, żeby go przycisnąć.

- Ja też chcę cię o coś zapytać. Dlaczego uciekłaś ot tak, bez słowa?

Westchnęła.

- To też jest skomplikowane.

W milczeniu dopełnił szklanke wodą sodową i lodem.

- Czy George zapłacił ci, żebyś opóźniał moje przybycie do Ipoh?

- Ach.

- A więc nie zaprzeczasz?

Podniósł ręce w geście poddania się, po czym wręczył jej szklanke.

- George był moim szefem, a smutna prawda jest taka, że cię wtedy nie znałem.

- A jak już poznałeś?

- Jak już poznałem, to ty wyjechałaś.

Patrzył jej w oczy i lekko się uśmiechał.

Opróżniła szklanke. Przyjechała tu, żeby uzyskać odpowiedzi, ale nie potrafiła ukryć, że gdy tu jest, czuje się bardziej ożywiona niż przez cały czas pobytu w Singapurze, gdzie - choćby nie wiem jak starała się temu zaprzeczyć - myślą wciąż powracała do niego.

- Posłuchaj, George kazał mi jechać za tobą i opóźnić podróż, jak to tylko będzie możliwe. Robiłem, co do mnie należało.

- Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- A jak się znalazłeś w tamtym autobusie? To wszystko się kupy nie trzyma.

- Wiedziałem, że autobus jedzie tą samą trasą, którą ty wybrałaś. A to, że zabraknie ci benzyny, było tylko kwestią czasu.

- Ale ja miałam zapas benzyny!

Przechylił głowę.

- Nie ma nic prostszego od spuszczenia jej z baku i podkręcenia wskaźnika. Wtedy, gdy Suyin przyprowadziła ci Maznana.

- Nie mogę uwierzyć. A ja myślałam, że to koty dokazują w garażu. - Zamyśliła się przez chwilę. - A co gdyby kierowca nie pozwolił mi wsiąść do autobusu?

- Wyperswadowałem mu to.

- A co z zasadzką i atakiem?

- O nie, nawet ja nie mam wpływu na terrorystów, chociaż akurat jednego z tych zamachowców znałem. Aresztowaliśmy go jakiś czas wcześniej. Dostarczał nam informacji.

- Ale nie o tym napadzie.

Pokręcił głową, przyznając jej rację.

- To jakieś szaleństwo. - Zamilkła na chwilę. - Nie powiedziałaś mi, dlaczego George polecił ci przedłużyć moją podróż.

- Bo tego nie wiem. Taka jest prawda.

Patrzyła na jego wystające kości policzkowe, głęboko osadzone skośne oczy, długi nos i pełne wargi. Dojrzała w tych rysach otwartość i bezbronność. Nie tak miało być. Chciała

się spierać, poczuć w nim przeciwnika, uwierzyła jednak, że mówi prawdę.

Wziął ją za rękę.

- Posłuchaj, kiedy cię śledziłem w drodze do Ipoh i zawiozłem do Jacka, to po powrocie zacząłem węszyć. Nie byłem zadowolony z rezultatów. Jak już powiedziałem, George nie chciał wyjaśnić, dlaczego mam spowalniać twoją podróż, ale wszystko wskazywało na to, że jest wplątany w coś podejrzanego. Prawdopodobnie w grę wchodziły defraudacje i handel bronią. Może chciał, żeby Alec dopilnował jakichś jego biznesów w Ipoh, zanim ty się tam pojawisz, i dlatego zlecił mi przeciąganie sprawy? To tylko przypuszczenia. George kiedyś miał kontakty z singapurskim półświatkiem, przemysłnikami, chińską mafią, te rzeczy. Zwłaszcza przed wojną.

Pokręciła głową i cofnęła rękę.

- Tęskniłem za tobą, Lydio. Mówię serio.

Miała w głowie mętlik. Też za nim tęskniła, ale to wszystko było bez sensu. A poza tym miała jeszcze jedno pytanie.

- Dlaczego rozstaliście się z Cicely?

Jego oczy zmętniały.

- Wstydziała się mnie, mojego pochodzenia. Gdy umarł mi ojciec, żyliśmy w biedzie. Nie dość, że nie jestem biały, to jeszcze moja matka dołączyła do uprawiających najstarszą profesję. Cicely to snobka. Dowiedziała się o tym.

Zapadło milczenie.

Odwrócił się do niej plecami, twarzą do okna.

- Trudno to teraz zrozumieć, ale byłem młody, ona miała na

mnie ogromny wpływ. To było jak powoli sączona trucizna. Pod koniec wstydzilem się nawet odwiedzać własną matkę. Umarła w samotności.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Pytała o mnie, ale ja się ociągałem. A gdy już do niej poszedłem, nie żyła. Teraz wstyd... - Przerwał, wpatrując się w swoje stopy.

Patrzyła, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada. Poczowała, że nie potrafi powiedzieć teraz nic, co nie byłoby banałem.

Podniósł głowę.

- I muszę z tym żyć.

Lydia zastanawiała się, jak zareagować, nie zadając mu jeszcze większego bólu.

- Jak ci się udało osiągnąć to, co masz teraz? - spytała w końcu, przekonana, że najlepiej będzie zmienić temat.

- Wszystko zawdzięczam George'owi Parrottowi.

Uniosła brwi.

- Był klientem mojej matki, kiedy mieszkaliśmy w slumsach na terenie portu. Pomógł mi z tego wyjść. Posada kelnera to był początek. A potem już pracowałem dla niego. Wziął mnie pod swoje skrzydła.

- Rozumiem.

Podszedł i usiadł obok niej.

- Przepraszam, że nie byłem z tobą szczery co do mojej przeszłości. A ona się za mną ciągnie i zatruwa każdy dzień.

- Poczucie winy? - zapytała, choć niezręcznie jej było o tym mówić.

Uśmiechnął się do niej ponuro.

- I strach. Czasem chciałoby się wykreślić pewne rzeczy ze swojego życia, prawda?

- To nie takie proste - powiedziała, mając na myśli własne błędy. Oczyma wyobraźni widziała zoo, do którego czasami zabierała dziewczynki i gdzie spotykała się z Jackiem.

- I co teraz, Lydio? - zapytał cicho.

Schyliła głowę. Jego nastrój niechący się jej udzielił.

- Wszystkie drogi prowadzą do George'a Parrotta. Nienawidzę go. Nikt nie jest taki, jaki się wydaje.

- Kiedy u niego byłaś, a potem, wychodząc, zauważyłaś mnie, czekałem w sąsiednim pokoju. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobił, nie było mi łatwo powiedzieć mu, że go przejrzałem. Pokłóciliśmy się.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to dlatego się zastrzelił?

Adil uśmiechnął się drwiąco.

- W każdym razie nie zrobił tego przy mnie.

Lydia poczuła, jak ściska ją w gardle. Jak mogła wplątać się w coś takiego? Wstała.

- To dla kogo teraz pracujesz?

Spochmurniał.

- Dla policji. Myślałem, że wiesz.

- Okej. To jeszcze jedno pytanie.

- Wal śmiało.

- Kochałeś ją? - zapytała tak obojętnie, jak tylko mogła.

Odchrząknął.

- Ją niełatwo kochać.

- Ale ty kochałeś?

Potwierdził skinieniem głowy.

Gdy wieczorem wychodzili na miasto, niebo było różowe. Dosłownie kilka sekund później noc zapadła niczym czarna kurtyna. Bez księżyca, bez gwiazd, które miały się pojawić dopiero trochę później. Z zaułków dochodziły odgłosy wystrzałów, śmiechy, ponure wycie psa oraz zapachy wychodków, które były tu na każdym kroku. Z budynku obok słyhać było ciche zawodzenie, bardziej lament niż płacz. Lydia usiłowała przypomnieć sobie zaklęcie, które według ich ogrodnika pozwalało osaczyć demony nocy i mroku. W takich chwilach Malaje były miejscem, gdzie trudno wytrzymać. Nieprzenikniony świat mitów i magii, obszar ścierania się kolonialnej biurokracji z chińskimi rebeliantami, pełen fałszu i oszustwa. Gdzie posiadając jasną skórę, automatycznie stajesz się rudym diabłem.

Ciemność przyniosła z sobą kolejny przyływ duchoty. W poszukiwaniu bryzy skierowali się w stronę portu. Ale i tam statki unosiły się na wodzie nieruchomo; w oddali ciemność nakrapiana była światełkami kutrów rybackich. Ani śladu bryzy. Na szyi Lydii pojawiły się irytujące czerwone plamy. Zaczęła je pocierać i wtedy zauważyła prowizoryczne stoisko, na którym chiński szaman sprzedawał maści i leki ziołowe. Spojrzała pytająco na Adila. Zniechęcił ją ruchem głowy.

- Lepszy będzie jeszcze jeden chłodny drink - powiedział i wprowadził ją do lokalu.

Skierowali się do stołu w kącie na tyłach zadymionego baru, gdzie radio grało powolną muzykę i dwie czy trzy pary

tańczyły pod obracającym się u sufitu wiatraczkiem. Patrzyła na zielone jaszczurki biegające po gładkich szarych ścianach. Goła żarówka przyciągała wielkie brzęczące ćmy, które obijając się o nią, przypiekały się i spadały na podłogę. Adil zamówił jej kardamonowe piwo z lodem.

- Lydio, masz ochotę zatańczyć?

Otworzyła usta i natychmiast bez słowa je zamknęła.

Wyciągnął rękę.

- Chodź.

Przyniesiono im drinki. Ona sączyła swój przez chwilę, po czym podała mu rękę.

- Cicely mówiła, że chcesz mi coś powiedzieć - odezwała się, gdy położył jej rękę u nasady pleców i zaczęli się rytmicznie poruszać.

- Nie.

- Powiedziała, że mnie szukasz.

- Miałem z pewnością nadzieję, że wrócisz, musisz to wiedzieć, ale nie szukałem cię. Chciałem, żeby to była twoja decyzja. A jej nic nie mówiłem. Nawet się z nią nie widziałem.

Poczuła jego oddech na swojej szyi, zmusiła się do wysłuchania go w skupieniu i postanowiła mu uwierzyć. Zanim się znowu odezwała, na chwilę zamknęła oczy.

- Naprawdę nie wiesz, dlaczego George wynajął cię, żebyś opóźniał mój przyjazd do Ipoh?

- Naprawdę nie wiem. Przynajmniej na razie.

Spojrzała mu w oczy.

- Czy są powody, dla których powinnam ci zaufać?

- Myślę, że jakieś się znajdą - powiedział z łagodnym

uśmiechem i poprowadził ją z powrotem do stolika. Zwróciła uwagę na jego ręce, silne, wspaniale ukształtowane, powyżej nadgarstka z rzadka porośnięte kręconymi ciemnymi włosami.

Z naprzeciwka przyglądał im się ponuro człowiek z podpuchniętymi oczami. Adil podszedł do niego i rozmawiał z nim, gestykulując. Miał tę przewagę, że potrafił posługiwać się większością malajskich dialektów. Do Lydii z ich rozmowy dotarło zaledwie kilka dziwnych słów. Adil wsunął mężczyźnie do ręki parę dolarów. Do Lydii wrócił obraz Jacka pochylonego nad stołem, czytającego coś w świetle lampy z jedną żarówką. Zacisnęła powieki, żeby nie dopuszczać do siebie wspomnień z przeszłości, i zwróciła twarz w stronę Adila.

Uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Właśnie otrzymałem informację, która przyda nam się jutro.

Poczuła się zdezorientowana. Adil był dla niej jak ktoś obcy, nie dało się go do końca poznać.

Wyszli w noc. Oleiste chmury przemieszczały się szybko.

- Zaraz się ochłodzi - powiedział.

I miał rację. Wokół zaczęły trzepotać szyldy sklepów, piach wzbijał się w górę unoszony wiatrem, a łodzie podskakiwały na wodzie. Wichura przyniosła porcję świeżego powietrza, ale choć łatwiej było oddychać, Lydii przeszkadzały w tym dokuczliwe emocje. Zaczęli biec do domu, gdy z rozwścieczonego nieba spadły pierwsze krople ciepłego deszczu.



## 43

Trawa woniała kocimi kupami, a piękne niegdyś, pielęgnowane przez babcię grządki zarosły mleczem. Powietrze było pełne zapachów późnego lata. Ojciec wytaszczył starą kosiarkę, zbadał jej zardzewiałe ostrza, wzruszył ramionami i dał sobie spokój. Odszedł gdzieś ze zwieszonymi ramionami i – co gorsza – był niechlujnie ubrany. Pomyślałam, że musi mu brakować Veroniki. Ja też czułam się osamotniona. Fleur odzywała się jeszcze mniej niż zwykle, a Billy był zajęty, pomagał swojemu ojcu.

Wyobrażałam sobie dom za morzami, w którym mieszkać będzie moja następna bohaterka. Typowo amerykański, oszalowany białymi deskami, otoczony wodą. Właśnie zaprowadziłam ją nad brzeg oceanu, gdy usłyszałam głos.

- Halo. Jest tam ktoś?

Brzmiała inaczej, jej głos był zduszony, jak wtedy, gdy chce się ukryć wzruszenie. Spojrzałam i zobaczyłam, jak nadchodzi. Wyglądała okropnie, jej zazwyczaj nieskazitelna cera była czerwona i cała w plamach. Włosy w nieładzie. Podsunęłam ogrodowy fotel i Veronica osunęła się na niego. Ramiona jej drżały, grzebała w torbie w poszukiwaniu chusteczek higienicznych.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Ona głośno przełknęła ślinę, a potem z jej gardła dobył się dźwięk

przypominający otwieranie butelki czy też czkawkę. Gapiłam się, zakłopotana tym niezwykłym u niej pokazywaniem emocji. Przez moment miałam nadzieję, że pan Oliver umarł, ale szybko odsunęłam tę myśl.

- Myślałam, że jesteś w Afryce.

- To z powodu Sidneya - powiedziała i zaczęła naprawdę płakać. Przygryzłam wargę, spojrzałam jej w oczy i dostrzegłam w nich przerażenie. Znowu załkała i skrzywiła się. Veronica zazwyczaj pokazywała światu zadowolone oblicze, była spokojna i opanowana. Okropne było widzieć ją w takim stanie. W końcu wytarła nos i powstrzymała łzy.

- On wcale nie zachorował. Został aresztowany.

Nie ruszałam się, nawet nie mrugnęłam powieką. Nie śmiałam zapytać. W końcu dobrze wiedziałam...

- Za...

Zapadło milczenie, kontrolowane z obu stron. Spojrzała na mnie, niebieskie oczy znowu wypełniły się łzami, a mnie serce waliło jak oszalałe.

- Za molestowanie dziecka - udało się jej dokończyć, tak cicho, że ledwo dosłyszałam. Odetchnęła i otarła oczy. - Uff. Powiedziałam to. Przepraszam. Chciałabym się zobaczyć z Alekiem.

- Wszedł. - Zwiesiłam głowę.

- Emmo?

Pokręciłam głową: nie mogłam na nią patrzeć.

- Emmo. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Teraz, kochanie, bardzo chcę, żebyś mi powiedziała prawdę.

Znowu pokręciłam głową, tym razem zatykając sobie uszy.

Nie chciałam, żeby mnie dotykała, nie chciałam jej słuchać. Czułam się jak kolczasta roślina *malu-malu*, pragnęłam się zwinąć, schować, żeby już nikt nigdy nie mógł mnie dotykać.

Nachyliła się, zdjęła mi ręce z uszu i uniosła mój podbródek. Jej biała jak papier twarz powiedziała mi, że Veronica się domyśliła.

- To dlatego go skaleczyłaś? - spytała cieniutkim głosem.

Pokiwałam głową i skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Och nie. Proszę, tylko nie ty, kochanie. Co ci zrobił?

Zerwałam się na równe nogi, chciałam to w sobie zatrzymać. Nic nie zmusi mnie, żebym pisnęła choć słowo. Nic.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Ogród się zakołysał, drzewa zaczęły się trząść, a ja okręciłam się dookoła. Poczułam się jak w pułapce. Coś gorącego eksplodowało mi pod czaszką i nie potrafiłam się ruszyć z miejsca. Nie byłam w stanie mówić. Gdybym to powiedziała, straszliwe słowa pokłudyby mi usta. I wtedy moja buzia zrobiłaby się nieszczelna. Wypadłyby z niej, wprost na podłogę u stóp taty, wszystkie sekrety. Wszystkie moje zatrute myśli na jego temat i na temat tego, co się stało z mamą. I jak grzeszyłam z Billym. Moje plany. Wszystko by ze mnie wyszło.

- Nikt by mi nie uwierzył - wydusiłam z siebie.

- Nie dałaś nam nawet szansy.

Cofnęłam się o krok.

- Czułam się przez niego zbrukana.

Obróciłam się na pięcie, pobiegłam na górę do łazienki, zamknęłam za sobą drzwi, siadłam na podłodze i szlochałam.

Gdy przestałam płakać, ujrzałam w lustrze swoje zapuchnięte oczy. Był w nich cały ból po stracie mamy. I żal, że już nigdy nie zobaczę osoby, którą kochałam ponad wszystko. Nie mogłam jej powiedzieć o panu Oliverze. Nie mogłam zapytać o radę. Wydawało mi się, że już zwalczyłam ten ból, a tu okazuje się, że go ciągle widać w moich oczach. Napełniłam umywalkę, przez chwilę rozchlapywałam wodę, a potem splukałam sobie oczy i siadłam na podłodze, obejmując mocno rękami uniesione do góry kolana. Jakbym chciała nie pozwolić sobie samej się rozsypać.

Z dołu schodów dobiegły głosy. Tata wrócił i rozmawiał z Veronicą. Nie słyszałam jej słów, tylko w jakimś momencie głośny szloch, a po nim uspokajający i czuły głos taty. Od tej strony go nie znałam.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym na schodach usłyszałam kroki. Miałam nadzieję, że to Veronica. Nie tata.

- Emmo?

To była ona, ale mnie i tak głos uwiązł w gardle, a serce podskakiwało tak, że z trudem oddychałam.

Zapukała.

- Emmo, kochanie, tak mi przykro. Zrobię wszystko, co będę mogła.

Powodowana wściekłością otworzyłam gwałtownie drzwi i rzuciłam jej prosto w twarz:

- Wiedziałaś. Musiałaś przez cały czas wiedzieć.

Cofnęła się, jakbym ją uderzyła, pokręciła głową i kurczowo złapała się poręczy.

- Nie, przysięgam. Obiecuję.

Widziałam, że jest wstrząśnięta. Po schodach zbliżał się tata. Staliśmy stłoczeni na niewielkim podeście u szczytu schodów przy drzwiach do łazienki. Chciałam uciekać, ale gdy spojrzałam w jego załzawione oczy i postarzałą twarz, stałam jak wrośnięta. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Wpatrywałam się w wytłaczaną tapetę za głową ojca. Różowe różyczki poprzeplatane niebieskimi niezapominajkami. Gust babci. Czulałam, jak w gardle rośnie mi gęstwa. Cisza była coraz głębsza. Zupełnie jakby wszystkie słowa zastrajkowały. Wtedy wyciągnął do mnie ramiona, a ja, przełykając łzy, podeszłam do niego. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, objął mnie i lekko zwichrzył mi włosy.

- Dziecko, wybacz mi.

Staliśmy tak dobrych kilka minut. W końcu pociągnęłam nosem, otarłam twarz i cofnęłam się. Po tym wszystkim on nie wiedział, jak ma na mnie spojrzeć. Zaczerpnęłam tchu i wyciągnęłam do niego rękę. Zmarszczył czoło, jakby nie zrozumiał tego gestu. Nagle wydał mi się słaby i zmęczony. Powoli wydychałam powietrze.

Veronica objęła mnie ramieniem i sprowadziła ze schodów na dół, gdzie przy kuchennym stole siedziała poblada Fleur.

- Teraz już wszystko w porządku, prawda? - powiedziała cichutko.

O świcie obudziło ich terkotanie podciąganych przez sklepikarzy metalowych żaluzji i stukot otwieranych na oścież drzwi. Nad wodą wytrwale rozpościerała się mgła, ustępując z wolna miejsca blademu porankowi. Nieliczne drobne chmurki rozciągały się na zadziwiająco czystym niebie. Drzewa za miastem spowijał jeszcze cień.

Lydia zacisnęła powieki i zobaczyła ten sam co zawsze obraz. Kobieta w jasnoniebieskiej sukience, obrębionej rządkiem ciemniejszych chabrów. Ale dziś coś się zmieniło. Tym razem kobieta odwróciła się do niej i przemówiła. Lydia nie widziała jej twarzy, ale czuła dotyk rąk delikatnych jak dłonie dziecka i usłyszała: „Powiedzcie jej, że przyszedłam”. I to wszystko.

Otworzyła oczy, nie zdając sobie sprawy, że to był sen. Gdy dotarli do wioski przesiedleńców, słońce świeciło już tak mocno, że wszystko wokół wydawało się płowieć.

Dla administracji kolonialnej nadszedł trudny czas. Pod koniec sierpnia Malaje uzyskały niepodległość, uniezależniając się od Wielkiej Brytanii. Lydia widziała już dziesięciodolarówkę, na której portret królowej zastąpiono wizerunkiem rolnika orzącego pole ryżowe przy pomocy bawołu. Nieliczni urzędnicy brytyjskiej służby cywilnej, w tym Ralph, nadal pełnili swoje funkcje, mając za zadanie ułatwić

płynne przekazanie władzy w ręce miejscowych. Inni wyjechali. Nowy premier powołał generalny inspektorat policji, która miała być odpowiedzialna za bezpieczeństwo wewnętrzne, chociaż nie pozbyto się od razu wszystkich angielskich policjantów. Lydia nie miała pojęcia, jak te zmiany wpłyną na jej życie, ale niewątpliwie po ulicach nie poruszała się już z dawną pewnością siebie. Czuła na sobie znacznie więcej baczących spojrzeń i mocniej przyciskała do boku swoją torebkę.

Adil spojrzał na nią z ukosa.

- Co widzisz, kiedy tak zamykasz oczy?

- Wspomnienia. Obrazy. No wiesz. Rzeczy, które chcę zapamiętać. A czasami i te, które chciałabym zapomnieć.

- A chcesz wiedzieć, co ja widzę? - Zamilkł i uśmiechnął się do niej. - Lepiej może, żebyś nie wiedziała.

Odwzajemniła uśmiech.

- Powiedz mi.

- Widzę kobietę, która nie zdaje sobie sprawy z własnej siły.

- Bo ja wiem? Czasami czuję, że wszystko mnie przerasta.

- Nie trać odwagi. Osiągnęłaś już tak wiele. - Omiótł gestem ręki wszystko dokoła. - Po wszystkim, co przeszłaś, nadal jesteś na tym świecie. I nadal robisz wszystko, co w twojej mocy.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Jak ty się naprawdę z tym czujesz, Lydio? Bo czasami trudno mi odgadnąć.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie miewasz lepsze i gorsze dni?

- Tak mi się wydaje.

- No cóż, mam nadzieję, że ten będzie należał do lepszych.  
Jest ktoś, z kim na pewno chętnie się spotkasz.

Zauważyła, że niesie owinięty w brązowy papier pakunek.

- Co tam masz?

Położył palec na ustach.

Władczym gestem błysnął swoim identyfikatorem i przeprowadził ją przez stanowisko ochrony przy wejściu do wioski. Rozsiewając zapach spalin, minęła ich opancerzona ciężarówka pełna wyposażonych w broń maszynową malajskich policjantów.

Pochwycił jej spojrzenie.

- Niektóre kobiety zostały zatrzymane za... no cóż, oni to nazywają wolnymi związkami z terrorystami, chociaż oczywiście z nimi nie mieszkały ani nie żyły. Teraz policja używa ich w charakterze przynęt. Spójrz na tę ciężarówkę. Pełno tam kobiet i bojowników. Wrogowie, którzy się poddali.

- Dlaczego się poddają?

- Życie w dżungli to gehenna. Tu mają gdzie mieszkać, co jeść, mają pomoc medyczną.

Rzuciła okiem na chaty.

- Kiedyś z Jackiem byłam w nowo założonej wiosce. Ta wygląda mniej przygnębiająco.

- Z założenia jest to tymczasowe, ale teraz bardziej dba się o czystość. Doprowadzono wodę.

Lydia patrzyła na objeżdżającą wioskę ciężarówkę, której skrzynia obita była pofałdowanym brezentem.

- W tym płótnie są szpary, widzisz? - spytał Adil.



Pokiwała głową. Obok pojazdu szło kilka Malajek w mundurach khaki, ze srebrnymi odznakami na piersiach.

- Ci, którzy są w środku, muszą wskazać każdego, kto był związany z rebeliantami.

Ludzie ustawili się w chwiejnym szeregu, żeby można się im było przypatrzeć. Wyglądali na spokojnych, chociaż ten czy ów rzucił Lydii ponure spojrzenie.

- Nie wyglądają na szczęśliwych - zauważyła.

Adil wzruszył ramionami.

- Cóż, mamy niepodległość, a dżungla jest nadal pełna chińskich buntowników. Tymi wioskami zarządzają Malajowie. Rozdają ludziom niewielkie działki rolne. To przysparza władzy zwolenników.

Nocne chmury dawno odpłynęły i upał stawał się nieznośny. Mimo pozornego porządku w głębi wioski po ścieżkach wałęsały się chude koty, a od smrodu świńskiego łajna i zgniłych owoców kręciło się w głowie. Lydia usłyszała chrapliwy krzyk uwięzionego w klatce ptaka, przechodząc obok kobiet doglądających palenisk, czuła zapach ostrej papryki i tamaryndy. Mdląca woń chińskich papierosów świadczyła natomiast o bliskości zbitej gromadki mężczyzn.

Stąpając po skórkach od banana i obierkach ananasa, mijali ludzkie potoki płynące w jedną i drugą stronę. Zatrzymali się, gdy doszli do niewielkiego placu, gdzie dwoje dzieci o błyszczących czarnych włosach, chłopiec i dziewczynka, bawiło się, rzucając toczącymi się po kurzu kamieniami. Chodziło o to, czyj zatrzyma się dalej.

Dziewczynka krzyknęła, oburzona, że ktoś im przeszkadza.

Natomiast chudy długonogi chłopak już chciał zrobić to samo, gdy nagle zatrzymał się z rozdziawionymi ustami, podskoczył i rzucił się ku nim.

- Pani Lydia!

Zatrzymał się tuż przed nią, nagle onieśmielony. Wyciągnęła do niego ramiona.

- Maz! Pojęcia nie masz, jak się cieszę, że cię widzę.

Przyciągnęła go do siebie, uściskała, a potem przyglądała się jego twarzy. Wyglądał świetnie, miał inteligentne spojrzenie.

- Wyrosłeś, Maznan.

Przyglądali się sobie.

- Tak, pani - powiedział.

Rozejrzała się po placyku.

- Gdzie jest twoja matka?

Zasmucił się.

- Pani, ja mieszkam znów z ciocią. Moja mama sobie poszła.

- To dla ciebie - powiedział Adil, podając chłopcu paczkę.

Przyjął ją, zaskoczony.

- Naprawdę? Dla mnie?

Adil skinął głową.

Maz usiadł i rozdarł papier. Z paczki wyłoniła się najpierw zwinięta skakanka, a potem błyszcząca niebieska piłka potoczyła się po zakurzonej ziemi.

- Ja muszę teraz porozmawiać z panią - powiedział Adil.

Chłopiec pokiwał głową, podał dziewczynce skakankę i z okrzykiem radości zaczął dryblować piłkę wokół placyku.

Adil wziął Lydię za ramię i poprowadził kilka metrów dalej. Postrzępione chmury znów zaczęły się gromadzić na niebie

i najbliższy blaszany dach zaterkotał na wietrze.

- Chciałem, żebyś się przekonała, że jest bezpieczny.

- Okej.

- I zrozumiała, dlaczego dano ci go, żebyś zabrała go ze sobą na północ.

Lydia stała nieporuszona.

- Maza przyprowadziła do ciebie jego ciotka Suyin na polecenie George'a Parrotta. Miał nadzieję, że matka chłopca ujawni się, gdy usłyszy o jego zaginięciu.

Lydia szybko zamrugała oczami, do głębi wstrząśnięta.

- Pozwól, że ci wyjaśnię...

- Jasne - przerwała mu - przecież gdy spuszczałeś mi benzynę w samochodzie, widziałeś, że jest u mnie Suyin. Nie zastanowiłam się, skąd mogłeś to wiedzieć.

Z wnętrza chaty dobiegł krzyk. Gdy w drzwiach pokazała się kobieta, Adil ruszył na pomoc, jednak ona tylko potrząsnęła pięścią i rzuciła niebieską piłkę na podwórko. Adil pobiegł za nią, ale Maz go uprzedził i kopnął piłkę do dziewczynki, która podryblowała ją wzdłuż alejki. Maz, któremu pozostała skakanka, skrzywił się niezadowolony.

Lydia podniosła skakankę.

- Zobacz, to proste. Szybko się nauczysz.

Pokazała mu, jak się skacze, po czym wróciła do rozmowy z Adilem.

- No więc - powiedziała - wyjaśnijmy to sobie. Chcesz powiedzieć, że George Parrott posłużył się mną do wywabienia matki Maza z dżungli?

- Jego matka dużo wiedziała i była związana z jednym

z przywódców powstania. George Parrott chciał uniemożliwić jej działalność.

- Myślisz, że mogła przekazać rebeliantom jakieś oficjalne informacje?

Przytaknęła.

- Pracowała w biurze Aleca przez pół roku, zrezygnowała, gdy zaszła w ciążę.

- Dlaczego przyłączyła się do powstania?

- Jej szwagier był jednym z towarzyszy z dżungli. Został zastrzelony w trakcie nieudanego napadu na pociąg drogowy. Jego ciało wystawiono w mieście na widok publiczny, dla odstraszenia. Matka Maznana widziała je leżące w błocie, podziurawione kulami. I wtedy poprzysięgła zemstę. Maz też to widział. Ten człowiek był jego wujkiem.

- Biedne dziecko - powiedziała. - Mówił mi, że bardzo kochał wujka i że ten wujek zginął. Nigdy nie wspomniał, jak to się stało.

- Zostawiła Maza pod opieką siostry, która miała troje własnych dzieci plus jedno w drodze, i do tego zginął jej mąż. Nic dziwnego, że się nie paliła do zatrzymania małego przy sobie.

- Jeszcze jedna gęba do wyżywienia.

- Właśnie. Matka Maznana napisała do siostry liścik, w którym radziła jej udać się do ojca dziecka po pieniądze.

- Dlaczego nie poszła sama?

- Bo już była zaangażowana w walkę. Nie mogła ryzykować, że ją ktoś zobaczy.

Adil zamilkł, zmarszczył grube brwi. Przez kilka minut

wpatrywał się w ziemię, zanim znów podniósł wzrok.

Lydia obserwowała, jak mały usiłuje opanować skakanie na skakance. Było jasne, że nigdy nie miał z nią wcześniej do czynienia, ale nawet gdy się w nią zaplątał, nie poddawał się. Tak dużo złego go spotkało, a ciągle był tak samo cudowny. W ogóle się nie zmienił.

Adil opowiadał dalej, że nie zgadzał się, żeby Lydia zabrała chłopca. Pokłócił się w tej sprawie z George'em. Powiedział mu, że jego zdaniem to niebezpieczne i w dodatku prawdopodobnie bezcelowe.

- I George zapłacił ci za dopilnowanie, żebym przerwała podróż i zatrzymała się u Jacka.

- To był jedyny sensowny punkt jego planu. Pod opieką Jacka bezpiecznie pojechałabyś dalej. I oczywiście matka Maznana mogłaby się tam ujawnić, co dla ciebie byłoby bezpieczniejsze, niż gdyby się wydarzyło gdzieś w drodze. Byliśmy pewni, że Jack sam odwiezie cię do Ipoh. Jednocześnie o planie został poinformowany Bert, który miał za zadanie przypilnować matki Maznana. - Przerwał nagle i wziął ją za ramię. - Posłuchaj, Lydio, przykro mi, że nie powiedziałem ci wszystkiego.

Wyglądało na to, że mówi szczerze, oczy miał pełne skruchy, ale ona wzruszyła ramionami. Ilekroć myślała, że to już jego ostatni sekret do wyjawienia, okazywało się, że są jeszcze jakieś inne.

- A potem pożar?

- I cały plan diabli wzięli.

- Czy Jack wiedział o wszystkim?

- Nie.

Lydia usiłowała go przejrzeć.

- Powiedziałeś, że nie wiesz, dlaczego George chciał opóźnić mój przyjazd do Ipoh?

- Bo nie wiem.

- Czy to miało coś wspólnego z pożarem?

Adil pokręcił głową.

- Kto więc zabrał Maza z domu Jacka? Jego matka?

- Przy pomocy partyzantów i Lili.

- Ale ja myślałam, że Maz i jego matka razem trafili do miejsca odosobnienia.

Znów pokręcił głową.

- Bo tak miało być. - Zamilkł i wzruszył ramionami. - Ale nawet najlepsze plany...

- Patrzcie! - krzyknął Maz, przerywając im. - Już umiem!

Obydwoje odwrócili głowy, żeby podziwiać, jak opanował technikę skakania na skakance.

- Ty mały mądralo - powiedziała Lydia, po czym podbiegła do niego i podniosła go do góry. Nic nie mogła poradzić, że jej myśli zaprzętał teraz obraz Fleur skaczącej w rytm rymowanek.

Zabrali Maza i jego kuzynkę na ciasto z lepką polewą. Lydia uśmiechała się na widok umazanej dżemem buzi chłopca. Zamówiła jeszcze dwie porcje, a gdy wróciła do stolika, Adil wskazał na ciemniejące niebo. Czarna chmura z czerwonym środkiem wyglądała przerażająco.

- Lepiej wracajmy. Będzie burza.

Pochyliła się, żeby pocałować Maza w policzek.

- Zobaczymy się jeszcze. Obiecuję.

Gdy wychodzili, Lydia pomachała dzieciom na do widzenia, a Maz machał jej i Adilowi, dopóki nie zniknęli mu z pola widzenia.

- Dlaczego obiecujesz, skoro nie wiesz, czy będziesz mogła dotrzymać słowa? - spytał Adil.

Lunęło gwałtownie, woda zmieszała się z kurzem i już po chwili gołe łydki Lydii były całe w błotnistych smugach. Biegła do samochodu, zbyt zakłopotana, żeby mu odpowiedzieć.

W samochodzie nie dało się porozmawiać, nic nie było słychać. Deszcz bębnił tak głośno, że zagłuszał nawet pioruny. Była szczęśliwa z powodu spotkania z Mazem, a Adil swoją uwagą wszystko zepsuł. Adil skupił się teraz na prowadzeniu, bo na pokrytej czerwonym błotem drodze samochód co i raz wpadał w poślizg. Z powodu deszczu nie byłoby widać świateł innych samochodów, gdyby takowe pojawiły się na drodze. Wzięła głęboki oddech, odgarnęła włosy za uszy i złożyła ręce na kolanach. Na zewnątrz wichura niemal kładła sześćdziesięciometrowe drzewa tualang. Na przedmieściach zrywała kryte palmową słomą dachy i unosiła pomniejszych szopy i baraki, jakby to były zabawki. Nigdzie najmniejszego śladu światła.

Nawałnica była krótka, ale intensywna. Nie pokazało się po niej słońce, tylko całe niebo zrobiło się pomarańczowo-brązowe. W obliczu tak wielkiego spustoszenia Lydia zaczęła powoli widzieć sprawy we właściwych proporcjach i gdy dojechali pod dom Adila, była już całkiem spokojna. George ją wykorzystał, to jasne. A Adil - choć może niechętnie - brał

w tym udział. Ale teraz powstawało pytanie, czy powiedział jej już wszystko.

Na górze patrzyła, jak bierze do ręki i przegląda „The Straits Times”. Zawahał się przez chwilę, po czym pokazał jej gazetę.

- Planują uroczystości dla upamiętnienia ofiar powstania, zabitych i zaginionych. - Zamilkł, oczekując jej reakcji. - Pójdiesz? Mogę też iść, jeśli ci to pomoże.

Lydia pokręciła głową i oddała mu gazetę. Nie chciała kondolencji ani współczucia, czy to szczerego, czy udawanego.

Spojrzała w dół na zbieraninę niepasujących do siebie domów i sklepów, przybierających stopniowo jasnopomarańczowy kolor, i na jarzącą się naprzeciwko chińską rezydencję. Po deszczu ulice znów zaczęły się wypełniać zwykłym jednostajnym gwarem.

- Opowiedz mi o George’u - poprosiła, gdy robił im kawę.

- Archiwalne zbiory prasy i dokumentów rządowych zostały w większości zniszczone przez Japończyków, ale wpadło mi w ręce trochę starych wycinków. Jeszcze sprzed wojny ciągnęła się za nim atmosfera jakiegoś skandalu, ale nic konkretnego w tej sprawie nie wiadomo.

- Nie miałeś do niego zaufania?

- Z pewnych powodów.

- A mimo to pracowałeś dla niego?

- Ale z mieszanymi uczuciami. No bo zobacz. Tuż przed inwazją japońską Parrottom udało się opuścić kraj. Wyjechali do Australii, zabrali ze sobą Cicely, a wszystkie ślady jego wykroczeń zaginęły w czasach powojennego chaosu.



- Ale ty ciągle ich szukałeś?

- Zgadza się.

Poczuła, że jest znużony.

- Posłuchaj, na dziś dosyć - powiedział. - Nie lubię, kiedy jesteś taka smutna.

Pokręciła głową.

- Nie jestem. Może tylko czasami samotna. To znaczy, bez nich.

- Rozumiem. - Zamyślił się na chwilę. - Może potrzebna nam jakaś odmiana. Wyjdźmy do kina albo gdzieś?

Wstrzymała oddech, bo znów przypomniała się jej scenka z przeszłości. Któregoś razu ona i Alec zabrali dziewczynki na miasto. Miło byłoby to powtórzyć. Tak jakby poszła coś obejrzeć w ich imieniu.

- Co powiesz na chiński cyrk? - powiedziała i odetchnęła głęboko.

- Jeśli tak wolisz.

Fajnie będzie wyjść z Adilem. Jego postać nie wywoływała tyłu skojarzeń, a jednak jakoś ją pociągał. Tak jak węża pociąga melodia wygrywana przez zaklinacza. Czy coś przed nią ukrywał, czy też nie. Nie był to pociąg fizyczny jak w przypadku Jacka ani potrzeba bezpieczeństwa, którą zaspokajał niegdyś Alec. Jeszcze nie umiała tego nazwać.

- Cieszę się, że poznałam cię przy okazji napadu - powiedziała, biorąc do ręki torebkę.

- Każdemu byś to polecała? - zażartował, marszcząc brwi.

- Nie. Chodzi o to, że i Aleca, i Jacka poznałam na przyjęciach. I zobacz, jak to się skończyło.

Adil był egzotyczny, intensywny, uosabiał w tym Malaje. Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu, czując, jak pod jej dotykiem prężą mu się mięśnie. Jego włosy jeszcze ciągle pachniały deszczem. Objął ją ramieniem, uśmiechnął się, a ona pomyślała, że ilekroć widzi ten uśmiech, czuje, jakby drzwi otwierały się odrobinę szerzej.

- Nie jesteś na mnie zła?

- Już nie - odparła i pokręciła głową.

Kto by w takich okolicznościach myślał o kolorze skóry czy przynależności klasowej? Spojrzała wstecz i ujrzała kobietę, którą kiedyś była. Bywalczynię eleganckich przyjęć, miłośniczkę pięknych sukien, drinków w klubach tenisowych. Wiecznie nawaloną brydzystkę. Mimo wszelkich wątpliwości teraz wszystko, co dla niej istotne, wiązało się z Adilem. Chciała przy nim stać i patrzeć na pełnię księżyca, którego światło rzuca cienie przez dziurę w chmurach.

## 45

Przez otwarte okno wdarł się do mojego pokoju zapach dymu. Usiłowałam opisać historię naszego przyjazdu do Anglii i straciłam wątek. Złapałam się na tym, że piszę o Billym i o mnie. Chciałam doświadczyć jeszcze czegoś, żeby móc pisać bardziej realistycznie, bo chyba zaczęłam przynudzać. Ciągący się po ziemi dym ogniska wystarczył, żeby ruszyć się z miejsca.

Miałam na sobie dziurawe szorty i stary podkoszulek, nie zadałam też sobie trudu wyszczotkowania włosów. W czasie wakacji moja krótka elegancka fryzurka zmieniła się w istną szopę o jaśniejszym, płomiennie pomarańczowym kolorze. Tata nalegał, żebym poszła do fryzjera, ale ja chciałam wyglądać jak Bertha Mason, postać z mojej na wieki ukochanej książki *Dziwne losy Jane Eyre*. Różniłam się od innych dziewczyn, które ze swoimi sztywniackimi fryzurami i drętowymi strojami wyglądały dla mnie wszystkie tak samo. To Malaje zrobiły ze mnie kogoś odmiennego, pomyślałam, schodząc na dół po schodach.

Na dworze kłęby dymu wydobywały się z ognia i początkowo nie mogłam dostrzec, kto grzebie w palenisku długim patykiem. Gdy podeszłam na tyle blisko, że dym zaczął szczypać mnie w oczy, dostrzegłam patrzącego na mnie Billy'ego. Spoza trzasków ognia usłyszał chrzęst moich

kroków. Gapiliśmy się na siebie, wsłuchani w głosy plotkujących za płotem sąsiadów. On pierwszy przerwał niezręczne milczenie.

- Myślałem, że wszyscy wyjechali - powiedział, po czym ponownie odwrócił się twarzą do ognia. - Nie widywałem cię ostatnio, Emmo.

- Bo pracowałeś ze swoim tatą.

- Tylko przez tydzień, Em.

- Wszyscy wyjechali - powiedziałam, patrząc na swoje stopy.

- Nie miałam ochoty wychodzić.

Odwrócił się i zrobił krok w moim kierunku.

- Któregoś dnia zaszedłem do was. Widziałem się z twoim tatą. Fleur powiedziała, że ci przekaże, ale ty nigdy do mnie nie wpadłaś.

Wpatrywałam się w kupę śmieci; tata od tygodni odgrzązał się, że je uprzątnie.

Wzruszył ramionami.

- Zrobiłem coś nie tak?

Pokręciłam głową.

- Nie, jasne, że nie... Co u ciebie?

Nic nie powiedział, westchnął tylko.

- Co robisz?

- To chyba widać - odparł. - Nie bój się, to nie było tak, że przechodziłem tędy i nagle wpadło mi do głowy rozpaść ogień. Jeśli ci to przeszkadza... - Zamilkł.

- Nie, oczywiście, że nie przeszkadza.

Dźgnął ogień patykiem.

- Twój tata płaci mi za wykonanie pewnych prac w ogrodzie.

Mam przez kilka miesięcy, do zimy, pilnować tu porządku. Chce to szybko sprzedać.

Rozdziawiłam usta.

- Tak powiedział?

Pokręciłam głową, wsłuchana w trzask płomieni, brzęczenie owadów i szum wiatru. Wszystkie dźwięki i zapachy wczesnej jesieni już się pojawiły. I teraz, gdy wielkimi krokami zbliża się nowy rok szkolny, tata planuje sprzedaż.

- Nie zaproponujesz mi kawy?

Czułam, że nie mogę odmówić. Dawniej, gdy ze starych skrzynek budowaliśmy gokarty, nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, ale teraz nie byliśmy już tylko kolegami i czułam się, jakbym miała supeł na języku. Był wobec mnie nieufny i wiedziałam, że to moja wina.

- Jeśli chcesz - odparłam.

Gdy robiłam kawę, Billy kręcił się po ciasnej kuchni, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Z tylnej kieszeni spodni wyjął paczkę czipsów i szczyptę soli zawiniętą w papierek. Poczęstował mnie, ale odmówiłam ruchem głowy.

- Zjemy w moim pokoju - powiedziałam i postawiłam na tacy dwa kubki i parę markiz, po czym skierowałam się na schody. W połowie drogi naszły mnie wątpliwości, ale nie pozostało mi nic innego, jak mieć nadzieję, że on nie odczyta tego zaproszenia opacznie.

Towarzyszył nam zapach dymu z jego ubrania. Usiedliśmy na łóżku w niewielkiej, acz bezpiecznej odległości i rozmawialiśmy o niczym. Tak bywa w sytuacjach, gdy ktoś ma coś ważnego do powiedzenia, ale nie wiadomo, jak zacząć.

Dał się słyszeć odgłos chrupania przez Billy'ego solidnie przypieczonych czipsów.

Odstawił kubek i przysunął się.

- Może poszlibyśmy do sklepu muzycznego? Mają nowe płyty, których od dawna poszukiwałem. Moglibyśmy je razem przesłuchać w kabinie. Każde z nas miałoby jedną słuchawkę.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odsunął swoje blond włosy z czoła i pocałował mnie.

Poczułam sól na jego wargach i odsunęłam się. Gdy to zrobiłam, zauważyłam, że na moment zacisnął szczęki.

- Co jest, Em? - zapytał. - Kiedyś to lubiaś. Zmieniasz front, czy jak?

Westchnęłam.

- Billy, ja nie mogę.

Nawet nie potrafiłam myśleć o tym, co mu powiedzieć. Rozejrzałam się po pokoju. Zobaczyłam, że mój notes leży pod biurkiem na dywanie. Billy zauważył go w tym samym momencie i musiał dostrzec w moich oczach niepokój, bo szybko go podniósł. Chciałam mu go wyrwać, ale on już zdążył przelecieć wzrokiem zapisaną kartkę. Trzymał notes tak, żebym nie mogła go dosięgnąć, i zrobił surową minę. Po chwili zaczął czytać na głos.

*Żeby lepiej pisać, potrzebuję doznań; dotychczas korzystałam tylko z wyobrażeń. Jeśli chodzi o seks, z pewnością nic nie przebije rzeczywistości. Po pierwszych próbach czuję się niepewnie i jestem niespokojna, ale zaczynam dostrzegać dobrodziejstwa doświadczeń, których dostarcza mi Billy. To wspaniała okazja do pogłębienia opisu*

*moich postaci.*

Zwiesiłam głowę, przygryzając od środka policzek.

- Aha. I nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał, dosłownie krztusząc się. Stał na równe nogi. - Do jasnej cholery, Emmo, jak mogłaś?

Kręciłam głową, chcąc ukryć swoją czerwoną twarz, ale w końcu zdołałam na niego spojrzeć.

- Przepraszam.

- I tylko o to ci chodziło? O nadanie postaciom głębi? - wypluwał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

- Nie - wymamrotałam. - Było mi przyjemnie.

Nie potrafiłam jednak powiedzieć tego w sposób przekonujący.

Usiadł na przeciwnym końcu łóżka, nagle jakby zmaląły, zraniony do żywego. Błagałam w duchu, żeby się tylko nie rozplakał. Motywy mojego postępowania były skomplikowane i nawet dla mnie samej nie do końca jasne, jak więc mogłabym mu je wytłumaczyć? Chłopcy nie rozumieją, że można czegoś naprawdę pragnąć, a jak już się to stanie, zorientować się, że wcale nie tego się chciało. Dla nich liczy się klub piłkarski, któremu kibicują, i chodzenie na mecze razem z tatą. Billy też to robił, a jednak był inny niż wszyscy, albo tak mi się tylko wydawało.

- Billy - zaczęłam, chcąc się usprawiedliwić, choć on spoglądał na mnie spode łba tak, że wszystkiego mi się odechciewało. - Chcę zostać pisarką, więc w pewnym sensie wszystko, co robię, rozgrywa się na dwóch płaszczyznach.

Patrzył na mnie z wyrazem bólesci w oczach.

- Tak się nie da, Em.

- Co masz na myśli?

- Życie trzeba przeżywać dla samego życia. Opisać można je później. Nie możesz żyć po to, żeby pisać. To ci się nie uda, Em.

- Nie mogę jednocześnie żyć i pisać?

Wzruszył ramionami.

- Wykorzystałaś mnie, Emmo. A już myślałem, że naprawdę mnie lubisz.

- Bo tak było... to znaczy jest.

Parsknął i pokręcił głową. Był teraz najwyraźniej bardziej opanowany, jakby właśnie podjął jakąś decyzję.

- Nie wolno ci tak traktować ludzi. To nieuczciwe.

Wyprostował się i podszedł do okna.

- Pójdę już. Muszę pilnować ognia.

Jego twarz miała w sobie tyle wrogości, że nie udało mi się powstrzymać łez.

- Twój płacz na mnie nie działa, Em. Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś wyrachowaną suką. Powiedz tacie, żeby poszukała innego ogrodnika.

Gdy wyszedł, stanęłam w oknie. Uderzał w ognisko tak długo, aż zaczęło się zaledwie lekko żarzyć, po czym patrzyłam, jak opuszcza ogród i odchodzi z mojego życia z wysoko uniesioną głową.

Spojrzałam w lusterko: moje turkusowe oczy były zaczerwienione, a na jasnej skórze pokazały się czerwone plamy. Bardziej niż zazwyczaj przypominałam obłąkaną Berthę Mason, a nie wystrzałową piękność. Gdy przyjechałam



ze szkoły do domu, miałam tu jednego jedynego przyjaciela – Billy’ego. I doprowadziłam do tego, że mnie znienawidził. Było mi wstyd i nie miałam pojęcia, jak to wszystko naprawić. Nie lubiłam siebie i czułam, że się pogrążam. Dorastanie wzbudziło we mnie uczucia, którym nie byłam w stanie poddać. W dodatku to, co napisałam, nie było do końca prawdą. Lubiłam przebywać z Billym. Po prostu nie czułam się jeszcze gotowa, by pójść na całość, a byłam zbyt głupia, żeby mu to po prostu powiedzieć.

Musiałam coś zrobić, żeby poczuć się lepiej. Wziąć się w garść, przygotować galaretkę owocową albo budyń dla Fleur, posprzątać kuchnię dla taty. To niewiele i z pewnością nie stanę się od razu dobrym człowiekiem, ale może przynajmniej poczuję się odrobinę lepsza. Ilekroć pomyślałam o Billym, zaraz musiałam ocierać łzy. Nie mogłam znieść myśli, że sprawiłam mu taki ból. No i przede wszystkim myślałam, ile czasu może potrwać sprzedawanie domu i czy zdążę się z Billym pogodzić, zanim będzie za późno.

## 46

Uroczystość upamiętniająca miała się odbyć w parku. Przepełniona nerwową energią Lydia dyszała lekko i bębniła palcami o parapet. Kto to powiedział, że na Malajach walka o przetrwanie przypomina życie na bagnie? Jeśli będziesz się szarpać, ono cię wciągnie i pochłonie, a jeśli zdecydujesz się przeczekać – zginiesz z braku wody i z gorąca. Czy to nie Alec tak mówił? A może Jack? Zamknęła oczy. Ciemne, zielone piekło Malajów ciągle ją przerażało, chociaż ich piękno już weszło jej w krew: fakirzy, zaklinacze węży, maleńkie wioski schowane na końcu świata, mgły nad dżunglą.

Nie przejmując się, że stygnie jej kawa, patrzyła przez okno, jak wiatr wznieca tumany kurzu i piaskowe wiry. Kiedyś potrzebowała Aleca, Jacka też. Ale czasy się zmieniły. Ona się zmieniła. Spojrzała na zegarek. Trzeba było już wychodzić i zdecydowała, że pójdzie sama. A po wszystkim poszuka sobie pracy i własnego mieszkania, ale w Malakce, nie w Singapurze. Nie może przecież wiecznie mieszkać u Adila, choć chciałaby go mieć w pobliżu.

W parku Lydia trzymała się z dala od kilkusobowych grupiek ubranych na ciemno kobiet, które wachlowały się słomkowymi kapeluszami o szerokich rondach, zbliżały do siebie głowy i zasłaniając sobie usta dłońmi, zawzięcie o czymś szeptały. Mężczyźni gromadzili się wokół Ralpha,

który kroczył dumnie w odświętnym garniturze z lnianego płótna i w jakimś momencie dał znak, żeby się uciszyć.

Jako najwyższy rangą zarządca nowych Malajów rozpoczął płomienną przemowę o życiu złożonym w ofierze i o okrucieństwach buntowników. Spojrzał w kierunku Lydii, ale ona unikała jego wzroku. Nie chciała tu być, ale ta uroczystość to końcowe ogniwo łańcucha, który swój początek miał tej nocy, gdy partyzanci podpalili dom gościnny, była więc winna Emmie i Fleur swoją na niej obecność. Po przemowach skinęła głową znajomym, umykając przed ich spojrzeniami wyrażającymi powściągliwe współczucie. Nie chciała wysłuchiwać banałów, które doprowadzały ją do białej gorączki. Unikała Cicely, podała tylko rękę Ralphowi. Nie chciała jednak wysłuchać kondolencji.

Z ulgą, że ceremonia odbyła się bez incydentów, kierowała się ku wyjściu, gdy nagle podeszła do niej Cicely z bardzo stanowczym wyrazem twarzy. Lydia zrozumiała, że ucieczka nie jest możliwa.

- Wiem, że możesz nie chcieć poświęcić ani minutki na rozmowę ze mną, ale tu jest ktoś, kogo absolutnie musisz poznać. Nie sprzeciwiaj się, kochana.

Lydia westchnęła.

- Na miłość boską, Cicely, czy ty nigdy nie dajesz za wygraną?

Cicely zignorowała jej słowa, wzięła ją za łokieć i zaprowadziła do wysokiej jasnowłosej kobiety, która samotnie paliła papierosa. Kobieta miała na imię Clara i była Amerykanką. Razem z siostrą bliźniaczką przebywały na

Malajach od wojny i obydwie pracowały w brytyjskich urzędach. Przybyły w poszukiwaniu zaginionego na wojnie męża siostry i już zostały. Tragicznym zbiegiem okoliczności siostra kobiety była jedną z sekretarek, które mieszkały w służbowym hotelu w czasie pożaru. Po dokonaniu prezentacji Cicely pożegnała Lydię gestem ręki i oddaliła się.

- Mieszkasz tu? - spytała Clara, przeciągając samogłoski w sposób charakterystyczny dla zachodniego wybrzeża i przyglądając się Lydii z bliska.

- Teraz tak. Ale jakiś czas przebywałam w Singapurze.

- Papierosa?

Lydia pokręciła głową.

- Nie chciałam być niegrzeczna, ale...

Kobieta przerwała jej ruchem ręki.

- Już przechodzę do rzeczy. Masz zdjęcia swoich córek?

Lydia zaczerpnęła tchu.

- Tak, ale nie rozumiem...

- Proszę. To zajmie tylko minutę.

Wyjęła medalion ze zdjęciami dziewczynek.

Kobieta przyjrzała się im uważnie, po czym podniosła wzrok.

- I twierdzisz, że twoje dziewczynki były tam tej nocy, kiedy wybuchł pożar.

- Nie mam na to dowodów, książka meldunkowa spłonęła, ale tak.

Clara jeszcze raz zajrzała do medalionu.

- Ja tam byłam tego wieczoru.

- W takim razie musiałaś je widzieć. - Lydia przygryzła wargę.

Nastało dłuższe milczenie.

Czy to dlatego Cicely poznała ją z tą kobietą? Żeby mogła porozmawiać z kimś, kto tam był, kto może przybliżyć jej ostatnie dni życia córek? Usłyszała swój głos:

- Jak one się czuły? Było im tam dobrze?

Clara zawahała się.

- Problem w tym, że ja ich nie rozpoznaję. Ja... - przerwała nagle.

Lydia spojrzała w górę i zmarszczyła czoło. W parku robiło się coraz gwarniej. Owady brzęczały, wzrastał się ruch uliczny, a jednostajny szum ludzkich głosów powodował, że chciała się już znaleźć zupełnie gdzie indziej.

- Przepraszam - powiedziała, wyciągając rękę po medalion.

- Już nie mogę. Muszę iść.

Clara jeszcze raz spojrzała na fotografię, pokręciła głową i zwróciła jej medalion.

- Rodzina z dwiema córkami mieszkała tam przed pożarem, ale tydzień wcześniej przeprowadzili się do własnego domu. Była tam jeszcze para innych dzieciaków.

Lydia miała już odejść, ale się zatrzymała.

- Dziewczynki?

- Nie, to akurat byli dwaj chłopcy.

Zapadła długa cisza. Lydia położyła rękę na sercu.

- Jesteś pewna, że rodzina z córkami wyprowadziła się?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Absolutnie. Chociaż tej nocy było dzikie zamieszanie. Moja siostra mieszkała tam przez trzy miesiące, ale po ostrzeżeniach, że biurom w Ipoh grozi niebezpieczeństwo,

prawie nikt nowy tam nie zamieszkał. Na szczęście przed atakiem miejsce zostało prawie całkiem opróżnione.

To było bardzo dziwne. Ziemia zachwiała się jej pod stopami.

- I na pewno nie było tam żadnych innych dziewczynek?

Clara pokręciła głową.

- Powiedz mi coś więcej o tej rodzinie, która miała dwie córki.

- Był tam mąż... dwie córki... - Zamilkła, jakby chciała sobie przypomnieć.

Lydia skrzyżowała ręce na piersiach i poczuła, jak ściska ją w gardle. Nigdy jeszcze nie była tak zdenerwowana.

Kobieta nagle się rozjaśniła.

- Pamiętam. Żona była w zaawansowanej ciąży. To dlatego się przenieśli. Chcieli być na swoim, zanim urodzi się dziecko. W domu gościnnym spędzili dwa czy trzy miesiące, podobnie jak moja siostra. O tak, przypominam sobie, mąż był prawie tak gruby jak żona. Gdy ich zobaczyłam, pomyślałam, że chyba nie tylko ona jada za dwoje.

Lydia wspomniała chudego jak szczapa Aleca.

- I innych dziewczynek nie było?

- Ja wychodziłam stamtąd po północy. Musiałam się wpisać do książki meldunkowej i zauważyłam, że ostatni goście przybyli tam około szóstej, takie małżeństwo w średnim wieku, bez dzieci. Impreza się kończyła, wszyscy byli pijani, spali na łózkach polowych w świetlicy. Portier zamknął za mną drzwi.

Zamilkła.

- Mów dalej, proszę.

- Terroryci otoczyli budynek, mieli ze sobą jakąś podpałkę, zablokowali wyjścia. Wszystko było tam z drewna, wystarczył moment. Wtedy widziałam siostrę po raz ostatni. - Westchnęła, ale nie spuściła wzroku.

Lydia dotknęła jej ramienia w geście współczucia.

- Czyli moje dziewczynki mogłyby się znajdować w tym hotelu wyłącznie pod warunkiem, że dotarłyby do niego w środku nocy.

- Nikt tam nie przychodził w nocy. Obowiązywała godzina policyjna, to byłoby zbyt niebezpieczne. Mnie wypuścili, bo miał mnie podwieźć do domu wóz policyjny. Przypuszcza się, że pożar zaczął się o pierwszej albo drugiej w nocy.

- Jeśli tam pojechali, musieli mieszkać w domu gościnnym od jakichś dwóch tygodni - powiedziała Lydia, przypominając sobie to, co mówił jej George, zanim wyjechała z Malakki. - Na pewno się z nimi zetknęłaś.

- Odwiedzałam siostrę codziennie przez trzy miesiące i oprócz tej rodziny, która się już wyprowadziła, nie było tam w tym czasie innych dziewczynek. Często rozmawiałyśmy o współmieszkańcach.

- W takim razie... - Lydia poczuła, że ma nogi jak z galarety. Wyciągnęła obie ręce i Clara złapała je, trzymając z całych sił, ale i tak nie mogła dokończyć zdania z powodu guli w gardle.

Clara powiedziała z powagą:

- Wiem, że to dla ciebie szok, ale jestem absolutnie pewna, że twoje dziewczynki nie znajdowały się nawet w pobliżu tego domu, gdy płonął.

Lydia zamknęła oczy i poczuła, jak uchodzi z niej powietrze. W uszach huczał jej rytm własnego serca, który zagłuszał łączące się w jedno wielkie tło odgłosy parku. Clara uścisnęła ją, poklepując po ramieniu. Lydia usiłowała złapać oddech, cofnęła się, po czym pocałowała kobietę w policzek. Clara uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna - wydukała na odchodnym Lydia.

Wkraczała w miasto, a jej myśli szybowały w niezliczonych kierunkach.

W centrum płakały dzieci, mężczyźni krzykiem zachwalali swoje towary, a kobiety plotkowały, przechadzając się pod rękę. Lydia jednak nie rozróżniała poszczególnych dźwięków: dzwonek rikszy, krzyków dzieci bawiących się w rynsztokach, muzyki dolatującej z pootwieranych okien. Przedzierała się przez tłum, mając jedynie w uszach dudnienie własnej krwi. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby w razie czego móc objąć i przytulić swoje córeczki, poczuć, jak biją ich serduszka. Bo one biją! Poczuć dotyk ich żywych, delikatnych ciał. W jej głowie na przemian odzywały się i milkły głosy jej dzieci. Widziała Emmę siedzącą przy biurku w Malakce, piszącą swój dziennik i uśmiechającą się tak żywiołowo, jak tylko ona potrafiła. I do tego nigdy nie traciła głowy, nawet gdy Fleur wpadła do rowu z wodą. Kochana, śliczna Fleur.

Każde wspomnienie było okupione łzami. Pomyśleć tylko, że one przez wszystkie te lata żyły. Do tego stopnia przywykła do myśli o ich śmierci, że teraz nie mogło do niej dotrzeć, że to nieprawda - że to *może być* nieprawda. Zawsze miała dla nich



miejsce w swoim sercu, ale to miejsce zbyt mocno bolało. Przyzwyczała się do myśli, że każdy nowy dzień oddala ją od nich, i teraz nie mogła zrozumieć tego nagłego zwrotu – że od dziś każdy dzień będzie ją do nich przybliżał. Uszczypnęła się. To nie był sen. Nie spała, była przytomna. I w dodatku robiła się coraz bardziej mokra z powodu srebrzystej mżawki.

Gdy zerwał się wiatr, przypomniała sobie, jak trzyletnia Emma kręciła się w kółko pewnego wietrznego dnia i nagle zapytała bardzo głośno:

- Mamusiu, skąd się bierze wiatr?

Lydia odpowiedziała jej, że wiatr to oddech olbrzyma. Emma spojrzała na nią, mrużąc oczy i przekręcając główkę na bok.

- Nie bądź głupia, mamusiu. Olbrzymy nie istnieją.

Zatopiona we wspomnieniach zapragnęła zatrzymać się na tej ulicy i krzyczeć. Dać ujście tej eksplozji radości, przyspieszającej bicia serca i powodującej, że łzy płyną ciurkiem po policzkach. Czuła się wyprowadzona z równowagi, a zarazem była w radosnym transie. Jakby ktoś przeniósł ją do świata, gdzie nic już nie będzie takie jak przedtem. Gdzie życie będzie inne, wykraczające poza wszelkie dotychczasowe wyobrażenia. Gdzie twoje umarłe dzieci nadal żyją. Tylko na samym początku miewała czasami takie wrażenie, gdy budziła się ze snu i przez ułamek sekundy wierzyła, że one żyją. Po chwili przypominał jej się jednak zapach dymu i myślała, że oszalała. Ale teraz, gdy to wszystko okazało się prawdą, chciała się zobaczyć z Adilem. Potrzebowała go. Tylko on mógł ją przekonać, że to rzeczywistość, a nie sen.

Gdy się całkiem ściemniło i zapłonęły latarnie, udała się do jego mieszkania. Trzęsącymi się rękami robiła sobie kawę. Jeśli one żyją, a Clara wydawała się tego pewna, to gdzie teraz są? I czym przez cały ten czas zajmował się Alec? To jakiś nonsens. Po co miałyby zabrać jej córki i po prostu zniknąć? Bo chyba nie z powodu Jacka. Przysięgała mu, że z Jackiem wszystko skończone, i Alec wyglądał na przekonanego. Chciała, żeby jej smutki osiągnęły kres, i teraz wyglądało, że to jest możliwe, naprawdę możliwe. Jednak jej radość nie była pełna. Bo co jeśli Clara się pomyliła? Albo nawet miała rację, ale ona nigdy nie odnajdzie Emmy i Fleur?

Odstawiła kawę, nie była w stanie jej pić. Czy Alec jest gdzieś na Malajach? W tym pokrytym dżunglą kraju, gdzie wszystko kipi i się kotłuje?

Budynek, w którym mieszkał Adil, wydawał się równie niespokojny jak ona. Zewsząd słychać było trzaski i zgrzyty. Otworzyła okno i zajęła umysł obserwowaniem starszej kobiety, która człapała wąskim chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Lydia nagle poczuła, jak pokój ją osacza, po ciele przeszły jej ciarki, w głowie dudniło. Usiadła na podłodze, podciągnęła kolana i wpatrywała się w trzy różowe chmurki na niebie. Pomyślała o malajskich ptakach i ich jaskrawych piórach, o połyskliwych rybach i świecących owadach. Czy jej dzieci ciągle jeszcze gdzieś tu są? Gdzieś na Malajach? Między chmurami pojawił się złoty zygzak, który potraktowała jak znak. Są tu. Była tego pewna. Wstała. Spojrzała w lustro. Zobaczyła strach i ekscytację. Położyła rękę na sercu i kilka razy odetchnęła głęboko.

Adil będzie wiedział, co robić, pomyślała i czekała, znacznie już spokojniejsza.

Okolo godziny później usłyszała otwierające się drzwi i odwróciła głowę. Podeszedł i usiadł obok. Wziął ją za rękę i pozwolił się wypłakać. Ilekroć próbowała się odezwać, łzy jej na to nie pozwalały. Ale gdy w końcu udało się jej wszystko opowiedzieć, spojrzała mu w oczy i znalazła w nich swoje odbicie.

- To świetna wiadomość - powiedział.

- Wspaniała.

Pociągnęła nosem raz czy dwa razy, nie mogąc jednak powstrzymać radosnego uśmiechu. A potem, choć chciało jej się płakać i oczy ją bolały od płaczu, wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Przyciągnął ją do siebie.

- Zrobię wszystko, żeby pomóc ci je odnaleźć - powiedział.

- Jak ja bym sobie dała radę bez ciebie?

- Na pewno byś dała, ale na szczęście nie musisz. Uda się nam, obiecuję.

Pochylił się i po raz pierwszy pocałował ją w usta.

Gdy tak siedział obok i ją obejmował, doskwierająca jej od dłuższego czasu samotność gdzieś zniknęła. Z bijącym sercem zdała sobie sprawę, że zastąpiło ją poczucie przynależności. I że po raz pierwszy od tego straszliwego dnia, gdy uwierzyła, że jej dzieci umarły, poczuła się bezpieczna.

Następny dzień rozpoczęła pełna nadziei, choć zmęczona brakiem snu. Gdy Adil wyraził wątpliwość, czy dziewczynki ciągle przebywają na Malajach, nie wiedziała, co myśleć. On uważał, że gdyby tak było, na pewno coś by się o tym słyszało; ona nie była tego taka pewna. Patrzyła na statki handlowe, na które z magazynów ładowano kauczuk, drewno i jedwab. W oddali po morzu sunęły liniowce, niczym wielkie białe wieloryby. Czy jeden z nich uwiózł jej dziewczynki? W drodze do biura linii oceanicznych przy ruchliwym nadbrzeżu wyobrażała sobie ich życie na statku. Ekscytację podróżą, ciarki przechodzące po plecach na widok odbijających się nocą w wodzie światełek, rybi zapach oceanu i łomot fal o kadłub statku – te nieodłączne atrybuty każdego morskiego rejsu.

W biurze nie było żadnych śladów zaokrętowania się Aleca i dwóch dziewczynek. Lydię oblał zimny pot. Sprawdzili wszystkie rejsy do Australii, na Borneo, do Anglii czy gdziekolwiek. Wracała powoli nadbrzeżem, z trudem powstrzymując łzy. Nie cieszył jej nawet widok niskopokładowych sumatrzańskich łodzi kołyszących się na białych grzywach fal.

Weszła do redakcji „The Straits Times”, gdzie czekał na nią dziennikarz, któremu miała udzielić wywiadu dla rubryki

kobiecej. Telefony dzwoniły, terkotały maszyny do pisania, a radio było nastawione zbyt głośno. Grupka mężczyzn o zażółconych tytoniem palcach, palących papierosa za papierosem, zagwizdała na jej widok, bez żenady gapiąc się na jej nogi. Czuła na plecach ich spojrzenia, ale szła z podniesioną głową. Nadzieja zaczęła powracać. To trochę jak loteria, ale jeśli Adil nie ma racji i dziewczynki ciągle przebywają na Malajach, może ktoś je sobie przypomni.

- Kobieta, która uwierzyła w śmierć swoich dzieci, dziś dowiaduje się, że one żyją. Nie wie tylko, gdzie są. Nasze czytelniczki będą zachwycone tą historią - powiedział dziennikarz, zapalając następnego papierosa.

Po wywiadzie Lydia poszła nadać telegram. Pół godziny stała w kolejce, czując znajome ciarki na szyi i dekolcie. Alec zawsze twierdził, że choćby nie wiadomo co się działo, nic nie będzie w stanie przekonać go do powrotu do Anglii. Nie utrzymywał też kontaktu z rodzicami, jaka więc jest szansa, że oni będą znali jego aktualne miejsce pobytu? Ojciec Aleca twardo obstawał, że nie chce mieć telefonu, ale na wszelki wypadek Lydia sprawdziła również międzynarodową książkę telefoniczną. Nic nie znalazła, pozostawała więc droga listowna lub telegraficzna. Telegram dotrze szybciej. Myślała, żeby jako odbiorcę wpisać rodziców Aleca, ale coś ją tknęło i zaadresowała depeszę do Emmy, do domu teściów. Serce podskakiwało jej, gdy sobie wyobrażała, jak Emma ją czyta.

Adil wpadł na pomysł, żeby pojechać nad zalew i uchwycić ten moment, kiedy woda robi się szafirowa. Właśnie wrócił do domu po odbytych rozmowach telefonicznych z policją w Anglii

i Australii. Wieczór był parny i idąc do samochodu, Lydia co i rusz musiała ocierać pot z czoła.

- Co ci dokładnie powiedzieli? - spytała.

- Że bez potwierdzenia, że Alec znajduje się na terenie kraju, nie mogą wszcząć procedury poszukiwawczej.

- To może dochodzenie w sprawie kryminalnej?

- Dochodzić można wyłącznie zbrodni popełnionej w danym kraju. Policja brytyjska przynajmniej doradziła mi, żeby się zwrócić do skarbu państwa albo do ministerstwa odpowiedzialnego za ubezpieczenia i emerytury.

- Jutro udam się na najbliższą pocztę.

- Mogę i teraz zawrócić, jeśli chcesz.

Zawahała się.

- Kilka godzin to żadna różnica. Jedźmy lepiej.

- Nie zabawimy długo. Pomyślałem, że ci to dobrze zrobi.

- Wiem. - Zamilkła na moment. - Właściwie mogłabym od razu jechać do Anglii. Poszukać w domu rodziców Aleca. Przecież ty też uważasz, że na Malajach raczej ich nie ma.

- Owszem, ale ty z kolei mówiłaś, że on nigdy by tam nie wrócił. Nie ma sensu wlec się przez pół świata na próżno. To będzie kosztować fortunę, a oni mogą być gdziekolwiek. Poczekajmy, aż dowiemy się jakichś konkretów.

- Może wynająć prywatnego detektywa?

- Nie mam z nimi dobrych doświadczeń. - Skrzywił się. - Rzadko który jest uczciwy. Mogą cię puścić w skarpetkach. Ale może warto byłoby skontaktować się z Somerset House<sup>[2]</sup>. Jeśli twój mąż ożenił się po raz drugi, będzie tam odpis aktu ślubu.

- A może przez Interpol? - spytała.

- Niekoniecznie. - Uśmiechnął się. - Jeśli chcesz, mogę napisać do ich Sekretariatu Generalnego, ale oni zajmują się głównie przestępczością zorganizowaną.

Lydia westchnęła. Na drodze szybkiego ruchu poddała się rytmowi jazdy, układając w głowie treść listów.

Gdy Adil zjechał z głównej szosy i skręcił w krętą górską drogę, była zatopiona w myślach. Zatrzymali się blisko szczytu. Od morza wiał rześki wiaterek, wieczorne powietrze było pełne zapachów. Szli porośniętą po bokach paprociami ścieżką, będącą resztką dawnej drogi. Pomagał jej omijać wielkie głazy i dotyk jego ręki uświadamiał jej coś, czego nie potrafiła określić, jakieś poczucie wspólnoty losu. Chińczycy nazywają to *yuanfen*, rodzaj więzi, łączności. Lydia nie potrafiła powiedzieć, czy jest im przeznaczone wspólne życie, ale jedno wiedziała na pewno: dzięki niemu doceniła własną siłę. Fioletoworóżowe światło, drążąc ciemności, kładło się na wierzchołkach gór. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Jego dawna protekcjonalność znikła, otworzył się na nią i ciepło ich relacji, które zauważyła po raz pierwszy, gdy razem jechali pociągiem, teraz stało się oczywistością.

- Spójrz tam - powiedział, cofając się o krok. - To dom Parrottów.

- Wygląda, jakby był blisko.

- Bo w linii prostej jest, ale to jednak kawał drogi.

Szli dalej, mijając wodospady i skalne jeziorka. Osiągnąwszy szczyt, spojrzała w dół, gdzie zaczęły się pojawiać niezliczone jasne punkciki, jakby ktoś rozciągnął nad doliną kolbę

z zaczarowanych światełek. Dalej na zachód, gdzie niebo łączyło się z oceanem, bladoliliowa wstęga ustępowała pod naporem ciepłych złoto-pomarańczowych barw. Lydia obróciła się na pięcie, objęła wzrokiem rozległą płaszczyznę zalewu, który właśnie przybrał czerwoną barwę, i przeciągle gwizdnęła z zachwytu. Potem znów się odwróciła, żeby zobaczyć, jak niebo zlewa się z oceanem i tylko dzięki ruchom maleńkich z tej perspektywy stateczków można się zorientować, gdzie znajduje się port.

Adil spojrzał na ciemniejące niebo.

- Lepiej wracajmy. Pogoda się psuje.
- Dziękuję ci, to takie piękne.

Jego twarz wyrażała teraz coś trudnego do określenia. Gdy dotknęła jego ręki, poczuła, że wie, co to jest, ale chciała, żeby to on powiedział to na głos. Adil nic nie mówił, stanął jednak przed nią, opuścił ramięczka jej sukienki i położył jej ręce na barkach. Przechyliła głowę i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego twarzy.

Żadne z nich się nie odzywało.

- Może to nie jest najlepszy moment - powiedział w końcu. Umieścił ramięczka z powrotem na miejscu i spojrzał jeszcze raz w niebo.

- Czy nie byłoby wspaniale, gdyby choć na trochę z życia zniknęły wszelkie komplikacje? - powiedziała.

Roześmiał się.

- Może, ale obawiam się, że wtedy okrutnie byśmy się nudzili.

- Po tym wszystkim, co przeszłam, byłabym wdzięczna za



odrobinę nudy.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu, wziął ją za rękę i pośpieszyli do samochodu. Potykając się o kamienie, ścigali się z deszczem i ciemnościami.

Gdy dojechali do domu Harriet, grube krople deszczu rozbryzgiwały się o ziemię. Stanęli na ganku, żeby uniknąć przemoknięcia, ale po murze piął się tam stary figowiec, z którego liści woda kapiała na ich włosy i twarze.

Otworzył im wąski w biodrach boy. Zmarszczył czoło i spojrzał na nich podejrzliwie. Adil przekonywał go, żeby wpuścił ich do holu, ale chłopak zachowywał rezerwę. Po kilku minutach dobiegły ich czyjeś głosy i w drzwiach pojawiła się Harriet ubrana w jadowicie żółte kimono. Jaskrawopomarańczowa szminka pobrudziła jej zęby, a także wychodziła znacznie powyżej linii górnej wargi. Przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą, najwyraźniej niezadowolona z tej wizyty. Jej szerokie policzki poczerwieniały. Rubinowe korale błyszcząły na jej szyi, choć gdzieś ginęły w fałdach tłuszczu.

Lydia nie wiedziała, czy gospodyni jest pijana, czy też po prostu nieufna.

- Pana już zdaje się kiedyś widziałam - powiedziała Harriet.

Adil twierdząco skinął głową.

- No cóż, usiądźmy, na litość boską.

Przyglądając się twarzy Harriet, Lydia pomyślała, że kobieta bardzo się postarzała od ich ostatniego spotkania. Miała siwe odrosty, zwiotczałe, opadające na końcach powieki i dodatkowo jeszcze bardziej utyla. Pewnie zmieniła ją tak

śmierć George'a albo po prostu ciężko przeżywała schyłek epoki kolonialnej.

- Tak mi się dziwnie przyglądasz, moja droga. Coś ci się nie podoba? - powiedziała Harriet ostrym tonem, którego Lydia nigdy przedtem u niej nie słyszała.

W odpowiedzi wymamrotała coś niezrozumiale.

- Skoro już tu jesteśmy... - zaczął Adil, uporczywie przyglądając się Harriet.

- Skoro już jesteście - przerwała mu - nie gadajmy po próżnicy. Domyślam się, że chcecie dowiedzieć się prawdy o George'u?

Adil siedział jak skamieniały na brzeżku krzesła. Jego wzrok był nieruchomy.

W pokoju zapanowała drażniąca cisza.

Harriet zaśmiała się sztucznie.

- Gdyby tylko George'a znów coś nie podkusiło... Byłeś bardzo bliski odkrycia prawdy, Adil, ale zanim przyszli twoi funkcjonariusze, zdążyliśmy unicestwić każdy skrawek papieru, który mógłby posłużyć za dowód.

- Oszustwa? - spytała Lydia.

- To nie było oszustwo, lecz handel bronią, moja droga. Alec oczywiście o wszystkim wiedział, brał w tym do pewnego stopnia udział. George nie chciał mi zdradzić szczegółów. Ale to właśnie dlatego pomógł Alecowi się stąd wyrwać. Załatwił podrabiane paszporty, tobie podsunął fałszywe tropy, moja droga. Bardzo mi przykro.

- Paszporty? Tropy? Chwileczkę. To znaczy, że Alec musiał wywieźć dziewczynki za granicę.

Ogarnął ją paniczny strach. Zwróciła się do Adila, który potwierdził to ruchem głowy. Chciała coś powiedzieć, ale wzięła najpierw kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

Gdy Lydia zmagala się ze swoją niemocą, Harriet odchrząknęła i spojrzała w dal.

- Nic nie rozumiem. - Lydia odzyskała głos. - Dlaczego Alec musiał wyjechać, i to w tak desperacki sposób? Przecież na pewno nie mogło chodzić o mnie i o Jacka.

- Częściowo i o to. Męskiej dumy nie należy lekceważyć, moja droga.

Lydia wpatrywała się w nią.

- Och, daj spokój. Zabrał moje dzieci.

- Tak czy owak... ale oczywiście masz rację. George zrobił się bardzo chciwy. Sprzeniewierzał państwowe pieniądze. Myślę, że Alec w to wszedł, w końcu zarządzał finansami.

Lydia poczuła, że serce przestaje jej bić.

- Utrzymujesz, że byli współnikami?

Harriet wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że nie wiem jedynie, do jakiego stopnia.

- Wiele miałam do zarzucenia Alecowi, ale nigdy nie podejrzewałam go o brak uczciwości.

- Och, nie musisz się martwić...

- Martwić? O Aleca? To ostatnia rzecz, jaka mi teraz przychodzi do głowy!

- Okej, w każdym razie nie ma na to dowodów, z wyjątkiem jednego, raczej obciążającego dokumentu. - Harriet spojrzała na Adila, pytająco unosząc brew.

Adil przecząco potrząsnął głową.

- A zatem tak jak podejrzewałam, dokument jest w posiadaniu Aleca i należy sądzić, że ten nie sprzeda tanio skóry, prawda?

- Nazwisko? - wtrącił się Adil i spojrzał na Lydię, ostrzegając, żeby się nie odzywała. - Pod jakim nazwiskiem podróżował?

Harriet pokręciła głową.

- Przykro mi, nie pamiętam.

Lydia sceptycznie odniosła się do tej odpowiedzi, co natychmiast odmalowało się na jej twarzy.

- Naprawdę - zapewniła ją Harriet. - Tylko raz je usłyszałam. Chyba było podobne do jego własnego nazwiska. Wierzcie mi, wszystkiego dowiedziałam się tuż przed śmiercią George'a.

- Jak to się stało? - spytał Adil.

- Gdy już wszystko spaliliśmy, okazało się, że brakuje tego jednego dokumentu. George nie był pewien, czy jest on u ciebie, Adil, czy u Aleca. Tak czy owak, nie mógł dopuścić, żeby prawda wyszła na jaw, bo wtedy jego nazwisko okryłoby się hańbą. Człowiek na takim stanowisku... Wtedy właśnie o wszystkim mi opowiedział.

Harriet patrzyła w podłogę, po czym uniosła twarz, ukazując im wymuszony, nie obejmujący oczu uśmiech.

Lydia gwałtownie zaczerpnęła powietrza i zacisnęła wargi, żeby opanować gniew. Przeszło jej przez myśl, że Harriet może wiedzieć więcej, niż chce ujawnić.

- Gdybym się przypadkowo nie dowiedziała, że moje dzieci żyją, czy kiedykolwiek byś mi o tym powiedziała, czy też

pozwołałabyś, żebym nadal myślała, że spłonęły w pożarze?

- Moja droga, dowiedziałaś się o tym po trosze ode mnie. To ja wyszukałam tę Clare i ja poprosiłam Cicely, żeby was sobie przedstawiła.

- Ale jak mogłaś mi zrobić coś takiego? Dlaczego byłaś taka okrutna? Przecież gdy odkryłam ich zniknięcie, od razu przyszedłam do ciebie.

- Przysięgam, że wtedy naprawdę nie wiedziałam.

- Może wtedy nie, ale wiesz to już od miesiąca.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Szukałam sposobu, jak ci to powiedzieć, żeby jednocześnie nie pogrzyżać mojego męża. Mimo wszystkich jego wad kochałam go, nawet po tym, jak się dowiedziałam, co ci zrobił.

Zapadła cisza. Lydia wstała, serce waliło jej jak młotem. Cofnęła się o kilka kroków i odwróciła do Harriet.

- Jezu Chryste, to nie do wiary! Chcesz mi powiedzieć, że George opóźniał moje przybycie do Ipoh, żeby dać Alecowi fory? Że wszystko, co mi powiedział, było kłamstwem?

Harriet przytaknęła, kiwając głową.

- I pozwoliłaś mi myśleć, że moje dzieci nie żyją?

- Przepraszam. A tak mało brakowało.

- Co masz na myśli?

- Z tego, co mi mówił George, domyśliłam się, że przygotowania do podróży zajęły mu więcej czasu, niż przewidywał.

Lydia uniosła dłoń do ust.

- Boże. Ja tego nie wytrzymam. Chcesz mi powiedzieć, że rozminęłam się z nimi dosłownie o minuty?

Harriet odchrząknęła, ale się nie odezwała.

- Ale po co było to wszystko? Czy Alec nie mógł mnie po prostu zabrać ze sobą?

Harriet westchnęła.

- Dobrze wiesz. On był przekonany, że jesteś z Jackiem.

Lydia czuła, że za chwilę wybuchnie.

- A co by było, do jasnej cholery, gdyby nie ten pożar? Co byście zrobili, gdybym dojechała do Ipoh i dowiedziała się, że Aleca wcale tam nie ma?

- Domyślam się, że istniał plan B. Jakiś inny fałszywy trop dla ciebie - odparła Harriet.

- A w końcu?

Poczucie winy spowodowało, że twarz Harriet spochmurniała.

- Przepraszam.

Słychać było tylko dudnienie deszczu, a potem nagły grzmot. Lydia czuła, jak zaciskają się jej szczęki.

- Czy ty wiesz, jak to na mnie wpłynęło? Czy zdajesz sobie sprawę, że za każdym razem, gdy myślałam o ich śmierci, jakaś część mnie też umierała?

Harriet wzięła głęboki wdech i patrzyła w podłogę.

- Podejrzewam, że nie wiesz. Przecież nie miałaś dzieci, prawda? - Głos Lydii zaczął się łamać. Tak ją okłamywano, oszukiwano, zwodzono. Nie do uwierzenia. Gdy się trochę uspokoiła, usłyszała głos Adila.

- Zostajesz tu? - spytał. - Wiesz, to teraz niepodległy kraj, wszystko się zmieniło.

- Och, raczej tak - odparła Harriet trochę bardziej

ożywiona. - Dokąd mam pójść? Na tym polega smutek starości. Co zrobiłeś, to zrobiłeś. Nikt ci już nie da drugiej szansy. Nie skarżę się. Zawsze wiedziałam, że George się brzydko zabawia. Co dziwne, potrafiłam to jakoś zaakceptować. Ale innych rzeczy nie.

Lydia patrzyła na nią.

- Domyślam się.

Po kolejnej krótkiej chwili milczenia Harriet uśmiechnęła się blado.

- Lubię Malaje. Nie wyobrażam sobie powrotu do Surrey. Cóż, tutaj życie splata się ze śmiercią, czyż nie? Tak jest oczywiście wszędzie, ale tu się o tym wie. Na przykład twój przyjaciel Jack. On wiedział.

Lydia wzdrygnęła się.

- Rosyjska ruletka. Wiesz, jak to działa. To było oczywiście, zanim cię poznał. Podejrzewam, że po wojnie zdał sobie sprawę z bezsensu życia i wpadł w przygnębienie. Ty go z tego wyciągnęłaś, ale dla kogoś takiego jak on to była tylko kwestia czasu... - Harriet nagle zamilkła.

- Posłuchaj, mam już dość - powiedziała Lydia. - Jack nie żyje i nie widzę sensu w odgrzebywaniu dawnych spraw. Lepiej już sobie pójdziemy, prawda, Adil?

Harriet jakby jej nie słyszała.

- Tylko raz opuściliśmy Malaje - w czasie wojny - ciągnęła. - W 1941. George o to zadbał, niedługo przed pierwszym nalotem Japońców na Singapur.

Harriet zaczęła się pogrążyć we wspomnieniach, a Lydia i Adil spojrzeli po sobie znacząco. Ciągłe wściekła zapytała go

ruchem ust: Co robimy? On ledwo zauważalnie pokręcił głową. Na dworze trwała ulewa, bębnienie kropel o ziemię przypominało odgłos karabinu maszynowego. Lydia poczuła się jak w pułapce. Chciała stąd uciekać. Jeśli zostanie choć minutę dłużej, nie odpowiada za siebie.

- Zawdzięczam George'owi życie - mówiła Harriet. - Gdy Malaje w 1942 poniosły klęskę, wszyscy nasi starzy znajomi zginęli. Życie. Cokolwiek wybierzesz, wyjdzie na to samo. Zobaczycie.

- Możemy skończyć ten temat? Bardzo proszę - powiedziała Lydia, nieświadomie podnosząc głos. - Wolalabym nie wracać do przeszłości.

- Masz rację, moja droga. I mam nadzieję, że na niecne sprawki George'a też spuścimy zasłonę milczenia - odparła Harriet, patrząc na Adila.

Odpowiedział jej spojrzeniem, ale nie odezwał się. Lydia potrzebowała czasu do namysłu. Skupiła uwagę na stojącym na stoliku pod oknem wazonie pełnym zdumiewająco różowych róż, których mdląco słodki zapach czuć było ze znacznej odległości. Adil w tym czasie rozmawiał z Harriet.

- Zostaniecie na noc - mówiła. - Dwa pojedyncze łóżka, okej? Mamy oczywiście więcej sypialni, ale w tamtych nie jest posłane. Burza jest zbyt gwałtowna, żebyście teraz wracali do domu.

- Może i tak - odparł Adil, patrząc na Lydię w poszukiwaniu potwierdzenia.

Spojrzała na deszcz i wzruszyła ramionami.

Harriet wskazała im pokój. Lydia odwróciła się do niej przez



ramię i zapytała:

- Masz może papeterię poczty lotniczej i coś do pisania?
- Papier listowy? Oczywiście, zaraz ci ktoś przyniesie do pokoju.

W niewielkim pokoju gościnnym na tyłach domu Lydia zostawiła okno lekko uchylone i zgasiła górne światło. Mała nocna lampka w kącie jaśniała przytłumionym blaskiem. Adil podszedł do łóżka, obok którego stała, i przyjrzał się jej twarzy.

- Jak się czujesz? - zapytał.
- Szczerze? Jestem cholernie wściekła.

Szok po wysłuchaniu wyznań Harriet spowodował u niej utratę poczucia rzeczywistości, spotęgowaną jeszcze faktem, że oto znalazła się sam na sam z Adilem w sypialni domu Harriet. Wszystko stało się tak szybko, a ją wytrąciła z równowagi najpierw siła odczuwanego gniewu, a teraz nagły wybuch emocji.

- Połóżmy się razem - zaproponował. - Przynajmniej dopóki nie poczujesz się lepiej.

Ubrani od stóp do głów, leżeli na narzucie na plecach ze splecionymi dłońmi. Po chwili ona odwróciła się twarzą do niego, położyła mu rękę na udzie i patrzyła, jak światło lampy odbija się w jego źrenicach. Ścisnął jej dłoń. Rozpamiętywała słowa Harriet i różne myśli tłukły się jej po głowie.

- Już spokojniejsza? - zapytał.
- Tak.

Z nagłą onieśmielona dotknęła jego twarzy i coś jakby prąd przebiegło między nimi. Bardzo powoli przekręcił się, wyjął

koszulę ze spodni, po czym opierając się na łokciu, wyciągnął drugą rękę i rozpiął jej suwak z boku sukienki. Wyglądał, jakby na coś czekał. Ona wsunęła mu rękę za koszulę i gładząc go po plecach, rozkoszowała się chłodem jego skóry.

- Położmy się do łóżka - powiedziała.

- Jesteś pewna?

- Jestem. A teraz, na miłość boską, ściągnij tę koszulę!

Przewrócił oczami i uśmiechnął się. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Założył jej włosy za uszy i usiadł, żeby zdjąć koszulę. Ona ściągnęła sukienkę przez głowę, po czym dała nura pod kołdrę. Nogi zaplątały się jej między prześcieradła. Wtedy on jednym ruchem zsunął całą pościel na podłogę. Lydia powoli nabrała powietrza i zamknęła oczy.

Był czas, kiedy sądziła, że już nigdy nie zazna spokoju. Nie zmieniła się pod względem wyglądu, jednak życie ją postarzyło, pozbawiło niewinności, naiwności, a w zamian obdarowało wiedzą, o którą nigdy nie prosiła. Ciężko doświadczyło, ale dało w prezencie Adila. Otworzyła oczy, zamrugnęła powiekami i uśmiechnęła się do niego.

Kochali się, jakby emocje rozpalały się w nich bardzo powoli, jakby napędzała ich mieszanina niedowierzania i jakiegoś nieznanego dotychczas dreszczu. Adil był delikatny, świetnie z nią zgrany, do tego stopnia, że gdy poczuła, że brakuje jej tchu, naprawdę go jej zabrakło.

Po wszystkim podniósł z ziemi prześcieradło i przykrył ich nagie ciała. Wtuliła się w niego zwinięta w kłębek na wąskim łóżku. Całował ją po powiekach, po czym - szczęśliwiec -

momentalnie zasnęła, pochrapując z lekka. W jego bliskości znalazła pociechę. W świetle księżyca przyglądała się, jak uśmiechał się przez sen. Jego chrapanie współbrzmiało ze spływającą z dachu deszczówką. Nie chciała go opuszczać, ale przytłoczona wydarzeniami minionego dnia nie była w stanie zasnąć. Postanowiła więc rozprostować kończyny i napisać listy.

Napisała do skarbu państwa, ministerstwa zajmującego się emeryturami i do Somerset House, po czym zgasiła światło i ułożyła się wygodnie w chłodnej pościeli na drugim pojedynczym łóżku. Rano Adil zdobędzie potrzebne adresy. Wyciągnęła rękę w kierunku mężczyzny i poczuła jego ciepło. Noc dawała proste ukojenie, wszystko, co powiedziano i zrobiono w ciągu dnia, uległo zawieszeniu. Ciało Lydii odpoczywało, nie dało się jednak powiedzieć tego o jej umyśle.

Noc odsłoniła to, co ukryte, i jej myśli wirowały jak oszalałe. Nie mogła znieść, że nadal nie wie, gdzie są Emma i Fleur. Wyobrażała je sobie, czuła, jak trzyma je za ręce, i zastanawiała się, dlaczego nie można znaleźć żadnego dowodu, że wyjechały. Gdyby Alec ciągle przebywał na Malajach, ktoś musiałby o tym wiedzieć, zwłaszcza przy sieci kontaktów, jakie miał Adil. Ale po nich nie pozostał najmniejszy ślad, a po co byłyby im potrzebne fałszywe paszporty, jeśli nie po to, żeby wyjechać za granicę? Jeszcze raz pomyślała o rodzicach Aleca, ale była pewna, że Alec nigdy by do nich nie wrócił. Ileż to razy mówił, jak bardzo ich nienawidzi? A może zdobył jakiś inny samochód i pojechał do Tajlandii? Ale Adil sprawdził przecież wszystkie przejścia graniczne.

Wysłać ją fałszywym tropem? Narazić na taki straszliwy ból? Przecież George ordynarnie ją okłamał. Pokręciła głową. Jej romans z Jackiem najwyraźniej zranił Aleca bardziej, niż jej się wydawało. Gdy zbliżał się świt i wąskie smugi czerwieni ukazały się na niebie, z innego otwartego okna dobył się czyjś szloch. Harriet, pomyślała. Powieki zrobiły się ciężkie i nareszcie zasnęła.

## 48

Była jesienna przerwa semestralna w 1957 roku. Przypomniałam sobie naszą pierwszą zimę w Anglii. Luty 1955, dopiero co przyjechaliśmy. Zaczęłam pisać, jak wielkim szokiem był dla nas mróz i oblodzone okna w sypialni, jaką nowością zapach dymu węglowego, który wisiał w powietrzu, gdy wracaliśmy ze szkoły. Ale to wszystko za bardzo kojarzyło mi się z utratą mamy.

Veronica wetknęła głowę w drzwi. Przez jej wyjazd do Afryki wciąż jeszcze się z tatą nie pobrali.

Podeszła, objęła mnie i zerknęła przez ramię.

- Nowe opowiadanie?

- Nic specjalnego.

- Posłuchaj, Emmo, jestem bardzo zajęta, ale wpadłam, żeby ci przekazać niesamowite wieści.

Podniosłam wzrok i ciarki przeszły mi po plecach.

- Znaleziono mamę?

Veronica jakby oklapła. Siadła na łóżku.

- Nie, przykro mi, kochanie. Jużeśmy o tym rozmawiały i dobrze wiesz, że to się nigdy nie stanie. Ale obiecuję, że usłyszysz coś, co też cię ucieszy.

W tym momencie do mojego pokoju z głośnym stukotem butów wtargnęła Fleur, zatraskując za sobą drzwi.

Odwróciłam się w jej kierunku i spojrzałam krzywo,

niezadowolona, że ktoś nam przerywa.

- My tu rozmawiamy, Fleur.

- Zgadnij - powiedziała, nic sobie ze mnie nie robiąc. Oczy jej błyszczały, policzki miała różowe. Nie mogła ustać w miejscu. - Nie widziałas jeszcze, prawda?

- Czego?

Siadła na moim łóżku obok Veroniki, podskakując.

- Widziałam, jak chłopak go przyniósł. Bardzo elegancki. Granatowy mundur z czerwoną lamówką, a na głowie toczek. Zagwizdał na mój widok.

- Fleur, o czym ty na Boga tak papłasz? - odezwała się Veronica, biorąc do ręki swoją torebkę.

- O telegramie. Było na nim imię Em. Tata go odebrał.

- Teraz? - spytałam.

- Jakiś czas temu. Wyglądał jak zagraniczny. Tata wziął go na górę.

Mimo wszystko Fleur zawsze trzymała stronę taty, więc było dziwne, że mi to mówi. Zmarszczyła czoło i spojrzała w podłogę.

- Myślałam, że ci go dał. Ale ty nic nie mówiłaś. A ja chciałam wiedzieć, co w nim jest. Na pewno ci go nie dał?

Pokręciłam głową. Od dnia, kiedy mnie uścisnął, unikaliśmy się nawzajem, oboje zbyt zakłopotani, żeby rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

- Tylko nie mów, że ja ci powiedziałam - poprosiła Fleur, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

- No to jak twoim zdaniem mam go o to zagadnąć?

Zrobiła żalostną minę.

Veronica skinęła mi głową.

- Zrób to jak najszybciej, radzę ci. Ale posłuchaj, ja naprawdę muszę już iść. Do jutra, Emmo. Okej?

Przytaknęłam, ale byłam wściekła na Fleur. Teraz będę musiała do jutra czekać na to, co ma mi do powiedzenia Veronica.

- Nie zjesz z nami? - spytała ją Fleur.

Veronica pokręciła głową.

Gdy wyszła, zeszliśmy z Fleur na dół.

Tata był w kuchni, podgrzewał krem z kurczaka z puszki Campbella. Ulubiona zupa Fleur, mnie bardziej smakowała babcina domowa grochówka. Pokonałam gułę w gardle, która pojawiała się, ilekroć pomyślałam o babci, i skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Mogę prosić o telegram? - powiedziałam najspokojniej, jak umiałam.

Spojrzał na mnie z surową miną. Nie zamierzałam ustąpić.

- Ten, który przyszedł na moje nazwisko.

Ręce mu opadły.

- Ja tylko chciałem ci tego oszczędzić.

Wpatrywałam się w niego.

- Ale tato, to było zaadresowane do mnie. Fleur widziała.

Fleur siedziała ze wzrokiem utkwionym w laminowany blat stołu. Jakby obrazki przedstawiające rondle, marchewki i naczynia do zapiekanek były naprawdę tak interesujące.

Przypomniała mi się inna kwestia.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam o sprzedaży domu? Dowiedziałam się od Billy'ego.

- Musiałaś wiedzieć, że to bardzo prawdopodobne - powiedział, mieszając zupę, odwrócony do mnie plecami.

Poczułam, jak dostaję gęziej skórki, ale byłam opanowana.

- Nie, tato, nie wiedziałam. Nigdy nie wiem o niczym, bo nic mi nie mówisz.

Zapanowało milczenie. Słyszeć było tylko bulgotanie na kuchence i jak tata drewnianą łyżką miesza zupę i odskrobuje ją z dna garnka.

- A poza tym nie chcę się wyprowadzać.

Obrócił się twarzą do mnie.

- Nie ty będziesz o tym decydowała.

Wyciągnęłam rękę.

- Proszę dać mi telegram.

- Fleur musiała się pomylić. On nie jest do ciebie.

Zobaczyłam, jak Fleur rozdziawia buzię ze zdziwienia. Była święcie przekonana, że tata nie może robić niczego złego.

- No dobra. To co w nim było?

- Emmo, to już przesada. Ten telegram to nie twoja sprawa.

Nagle jakby uszło z niego powietrze i spojrzał na podłogę.

- Należcie sobie zupę. Zaraz wracam.

Nowe żaluzje w kuchni były opuszczone i do ponurego wnętrza wpadały tylko paseczki światła. Nappełniłam talerze i w milczeniu jadłyśmy zupę.

Gdy tata długo nie wracał, Fleur poszła na dwór wywijać koziołki, a ja zakradłam się do jego pokoju. Nie zastałam go. Nie było też najmniejszego śladu telegramu. Nie rozumiałam, dlaczego mi go nie pokazał, choćby po to, żebym uwierzyła, że nie był adresowany do mnie. Musiało to mieć jakiś związek



z mamą. Zobaczyłam swoje odbicie w lustrze nad jego toaletką, bladą twarz z podkrążonymi oczami. Zza okna dobiegł gwizd stada szpaków, które zrobiły kółko na niebie, po czym odleciały w stronę miasteczka.

Zrobiło mi się nieswojo. Usłyszałam syk węży sunących z dżungli przez wysoką trawę. Otrząsnęłam się z tych myśli. Tu jest Anglia. Żadnych węży. Żadnej dżungli.

W moim pokoju na okładce notesu znalazłam wiadomość od Veroniki.

*Ratusz, jutro punktualnie o dziesiątej. Do zobaczenia. I przynieś odpowiedź, którą dostałaś od Johnson, Price & Co.*  
x

## 49

Po kilku tygodniach wywiad z nią wreszcie się ukazał, ale nadal nie było żadnej odpowiedzi na wysłany do Emmy telegram ani też żadnego postępu w kwestii list pasażerów. Lydia czuła się skołowana. Na poczcie poprosiła o nalepkę poczty lotniczej, złożyła na czworo artykuł o niej z gazety i wsunęła go do dużej brązowej koperty. Bolała ją głowa, wytarła pot z czoła i otworzyła kalendarz, żeby znaleźć adres. Nie wierzyła w wyjazd Aleca do Anglii ani w to, że powiadomił rodziców o miejscu swojego pobytu, ale musiała spróbować.

Z Somerset House otrzymała uprzejmą odpowiedź, że nie mają w rejestrach zapisu o małżeństwie zawartym przez „wyżej wymienionego”. Skarb państwa odpisał, że nie ma prawa udzielać informacji, a ministerstwo zajmujące się emeryturami w ogóle nie odpowiedziało. Adil udał się nawet do nowego biura brytyjskiego wysokiego komisarza w Kuala Lumpur. Mieściło się wprawdzie w pięknym zielonym ogrodzie, w oszalałym budynku z mnóstwem kolumn, filarów i werand, ale jako instytucja znajdowało się w kompletnej rozsypce. Powiedziano mu, żeby zgłosił się za parę miesięcy. Lydia i Adil byli zgodni, że muszą systematycznie rozpracować każdy kraj, aż coś się znajdzie. Ale listy, nawet lotnicze, to bardzo powolna forma komunikowania się, przed Lydią stanęło więc pytanie, z czego

ma się utrzymać. Oszczędności przywiezionych z Singapuru starczy jej jeszcze na miesiąc lub dwa, nie licząc kwoty odłożonej na jedną dłuższą podróż. Ale poza tym nie miała nic, zaczęła więc szukać pracy, tym razem w Malakce.

Wróciwszy do mieszkania Adila, wypła łyk gorzkiej czarnej kawy i nerwowo przyglądała się ulicznemu straganiarzom. Odgłosy miejskiego życia splatały się w jeden wielki, niełatwy do rozróżnienia hałas. Chińczycy, Hindusi. Pobrzękiwanie malajskich instrumentów wygrywających rozmaite melodie. Jej wzrok przykuło coś po drugiej stronie ulicy. Schowana we framudze drzwi stała tam kobieta, która mrużąc oczy od światła, spoglądała w górę.

Lydia przyjrzała się jej, a kobieta skinęła głową. Lydia zamrugała powiekami. Kobieta miała na sobie jasnoniebieską sukienkę obszytą szlaczkiem z ciemniejszymi niebieskimi kwiatami. Nie, to niemożliwe. Lydii zakręciło się w głowie i potarła palcami skronie. Czyżby skutek uboczny chińskich pigułek, które Adil dał jej na ból głowy? Wzięła torebkę. Na wycieraczkę leżała jakaś koperta, którą podniosła. Wpychając ją po drodze do torebki, pomknęła w dół po schodach. Na zewnątrz zderzyła się ze ścianą gorąca. Pokręciła się trochę po zatłoczonej riksami i handlarzami ulicy. Kobieta zniknęła. Lydia chciała już zawrócić do domu, gdy nagle kątem oka na rogu ulicy dostrzegła jasnoniebieską spódnicę. Kobieta znów skinęła jej głową i Lydia nie mogła się powstrzymać. Poszła za nią, a plamy na jej sukni ujawniały, jak bardzo się poci.

Kobieta weszła głębiej w płataninę uliczek prowadzących do starej chińskiej dzielnicy obok portu. Wokół ścierały się ze

sobą rozmaite dźwięki. Dzwonki, szczekanie psów i śpiew ptaków w klatkach. Banda zdziczałych dzieciaków goniła grupkę chudych Malajów na rowerach. Lydia cofnęła się. Malajom udało się uciec, ale wśród wrzawy i wytykania palcami dzieciaki otoczyły z kolei ją. Poczowała paniczny strach, serce zaczęło jej walić. Kobieta w niebieskim odwróciła się, krzyknęła coś po chińsku. Dzieci zmyły się błyskawicznie.

Za skrzyżowaniem, gdzie ponaddzierane plakaty o występach akrobatycznych walczyły o uwagę z propagandowymi ulotkami naklejonymi jeszcze za starej brytyjskiej administracji, uliczki zwięzały się, a ona zaplątała się między wiszące w poprzek nich sznury z suszącym się praniem. Przystanęła. Strach, że zostanie napadnięta, chwycił ją za gardło. Kobieta ciągle wyprzedzała ją o kilka kroków, przemknęła przez mostek, odwróciła się i przywołała Lydię szybkim gestem. Było południe, z otwartych drzwi jednego domu wydobywał się zapach chili i kaczki po pekińsku, a z drugiego woń tamaryndy i kolendry.

Wąskie budynki były tu stłoczone na małej powierzchni. Lydia mocno przyciskała torebkę do piersi. Od hałasu kręciło się jej w głowie. Nie widziała otaczających ją ludzkich tłumów, z trudem oddychała. Otarła jednak pot z czoła i przyśpieszyła kroku. Kobieta oddaliła się już na tyle, że Lydia ledwie ją widziała, ale szła dalej tam, gdzie zamigotało jej coś niebieskiego. Coraz bardziej w głąb dzielnicy. Tłum się przerzedzał. Mijała sklepiki zielarzy, jubilerów i miejsca, gdzie sprzedawano chińskie papierowe akcesoria przeznaczone do spalania na grobach. W jednej z witryn dostrzegła nawet

misterną papierową gitarę, pagodę i miniaturkę sampana – chińskiej łodzi.

Zatrzymała się na chwilę na jednym z wąskich mostów nad kanałami. Chciała zaczerpnąć tchu, a gdy spojrzała w dół, dostrzegła srebrną ławicę połyskujących maleńkich rybek. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, nie było tu żadnych taksówek i zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie odnaleźć drogi powrotnej. I wtedy zobaczyła kobietę stojącą nad otwartym kanałem ściekowym.

Panował tam przyprawiający o mdłości smród. Przyjrzała się kobiecie i stwierdziła, że nie czuje się ona dobrze. Miała bladą cerę i była potwornie wychudzona. Czekwała na Lydię z wyrazem niechęci w oczach, po czym odwróciła się i pchnęła skrzydło bramy ozdobionej rzeźbą smoka, która prowadziła do portu. Zrobiła kilka kroków w lewo, weszła w wąski korytarz i zatrzymała się przy jednej z zapyziałych chatek tuż nad wodą.

Kobieta weszła do środka i przykucnęła na wytartej plecionej macie. Lydia weszła za nią i rozejrzała się za krzesłem. Nie było tam jednak żadnego. Ponure pomieszczenie pachniało tanimi perfumami i gnijącym ananasem, a sufit był czarny od much. Oprócz parafinowej lampy w jednym kącie i spodni wiszących na gwoździu w drugim nie było tu nic. Przykryte matami drewniane deski tworzące coś w rodzaju łóżka zachybotwały się, gdy Lydia przysiadła na brzegu. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, spojrzała na kobietę i zorientowała się, że mimo marnego wyglądu jej postawa jest dumna i pełna godności.

Kobieta odezwała się, cedząc słowa:

- Nie poznajesz mnie?

Lydia pokręciła głową.

- A powinnam?

Kobieta spojrzała na nią zniecierpliwiona i splunęła na podłogę.

- Nie. Takie jak ty nigdy nie poznają innych ludzi.

- Takie jak ja?

- Zepsute białe kobiety, pani. - Ostatnie słowo wymówiła pogardliwie.

Lydię ta jawna wrogość zbiła z tropu.

- Czego chcesz?

Kobieta zmrużyła oczy.

- Czytałaś to?

Lydia zmarszczyła czoło.

- Nie czytałaś?

Lydia namyślała się przez chwilę, po czym sięgnęła do torebki po znajomą na klatce schodowej kopertę.

- Masz to na myśli?

Kobieta skinęła głową, a Lydia odłożyła kopertę, z której wypadł jakiś kawałek papieru. Schyliła się i podniosła czek. Nie potrafiła odczytać nazwiska osoby, na którą był wystawiony, ale dotarło do niej, że Alec wypisał komuś czek na kilkaset dolarów.

A to zagadka.

- To cena mojego milczenia - powiedziała kobieta, nie spuszczając oka z Lydii.

- Twojego milczenia?

- Chyba nie jesteś aż taka głupia?

Lydia obruszyła się.

- Nie mam pojęcia, za co miałyby być ta zapłata.

Uważnie badała skrawek papieru. Czek datowany był na trzy tygodnie przed zniknięciem Aleca. Najwyraźniej nie został zrealizowany. Odwróciła go. Na odwrocie nic nie napisano.

- Twój mąż zapłacił mi, żebym trzymała gębę na kłódkę. Dał mi ten czek. - Kobieta splunęła na podłogę. - Po co mi taki czek? powiedziałam mu. Daj mi kasę, nie czek. Więc wrócił z pieniędzmi i kazał mi zwrócić czek. Powiedziałam, że go wyrzuciłam.

- Uwierzył ci?

- Nie wiem, ale co mógł zrobić? To moja polisa ubezpieczeniowa. - Roześmiała się, ale był to gorzki śmiech, nie obejmujący oczu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie o czym, a o kim!

Lydia zmarszczyła czoło.

- Maznan. Moje milczenie. Miałam nie ujawniać, kto jest jego ojcem.

Wpatrywała się w kobietę. Czy to może być prawda? Omiotła wzrokiem brudną podłogę z ubitej gliny, ściany z nieheblowanego drewna, muchy na suficie. Alec nigdy by tu nie przyszedł. To wykluczone.

Kobieta patrzyła na nią z uśmiechem zadowolenia, po czym pokiwała głową.

- Pozwól mi to ogarnąć rozumem - powiedziała Lydia. -

Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że Maznan jest dzieckiem Aleca?

- Ach. Dotarło. Ale to dopiero początek.

Lydia spodziewała się teraz roszczeń pieniężnych, ale nic takiego się nie stało.

- Zawieź Maznana jego ojcu.

Zdumiona Lydia pokręciła głową.

- Ale ja nie mam pojęcia, gdzie jest Alec... a poza tym czy Maz nie jest szczęśliwy tam, gdzie mieszka?

- W wiosce dla przesiedleńców - parsknęła kobieta. - Bez pieniędzy moja siostra nie będzie go trzymać. A ja nie mam pieniędzy i jestem chora. Niedługo umrę.

- Dlaczego niby miałabym uwierzyć, że Maz jest synem Aleca?

Z sakiewki przytroczonej do pasa kobieta wyjęła cienki plik zdjęć i podała go Lydii. Na każdym z nich był nagi Alec w towarzystwie tej kobiety. Kolejne ujęcia były coraz bardziej kompromitujące.

- Nie wiedział, że jest fotografowany?

- Jasne, że nie. - Kobieta uśmiechnęła się.

- Ale dlaczego?

- Już ci mówiłam. To moja polisa ubezpieczeniowa.

- Co za sposób na życie! - Lydia pokręciła głową.

- Nie każdy może mieć życie tak wygodne jak ty, pani.

Lydia przejrzała pozostałe zdjęcia. Na czterech Alec trzymał na kolanach małego chłopczyka. Dziecko tuliło się do niego, jedną ręką obejmując go za szyję.

- Milusie - powiedziała głosem, który brzmiał pewniej, niż



ona czuła się w tym momencie. - Ale jeszcze o niczym nie świadczy.

Rzuciła zdjęcia kobiecie i patrzyła, jak rozsypują się po podłodze. Kobieta starannie zebrała je i włożyła z powrotem do sakiewki.

- A co z dziadkami Maznana? Nie chcieliby się nim zaopiekować?

- Są za starzy - powiedziała kobieta.

- Nawet gdybym uwierzyła, dlaczego miałabym ci pomagać?

Kobieta zastanawiała się nad jej słowami.

- Nie robisz tego dla mnie, lecz dla Maznana.

- A co z Jackiem? Jemu nikt nie pomógł.

- Oni chcieli zabić także ciebie. Powstrzymałam ich.

Kobieta mogła kłamać. Gdzie są dowody? Czek mógł być wystawiony na kogoś innego, a bobasem na zdjęciach mogło być jakieś zupełnie inne dziecko, nie Maz. Lydia zawahała się. Nie, to nieprawda. Na jednym z ujęć ewidentnie rozpoznała Maznana. Zresztą Alec nigdy nie pozwoliłby jakiemuś obcemu mieszkańcowi przytulić się do siebie.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nigdy cię nie zastanowiło, że ma takie jasne oczy? Prawie niebieskie.

Lydia wstrzymała oddech. Była kompletnie zszokowana. Boże, zdrada jest oczywiście złem, ale on dodatkowo porzucił swoje dziecko. A to już coś stokroć gorszego.

- To dlatego mnie uznaliście za najbardziej odpowiednią do eskortowania dzieciaka - odezwała się. - Żeby wszystko zostało w rodzinie, jak to się mówi.

Zapadło milczenie. Lydia pocierała skronie, w których czuła pulsujący ból. Przypomniało się jej, z jaką drwiną i pogardą Alec przyjął jej wyznanie dotyczące Jacka. A sam sypiał z Cicely i - jeśli to wszystko prawda - miał dziecko z córką swojego kierowcy. Przyszło jej do głowy jeszcze jedno niemiłe podejrzenie: czy Adil wiedział o wszystkim i ukrył to przed nią? Czy to dlatego zniechęcał ją do wzięcia dzieciaka w czasie ich pierwszej rozmowy w drodze do Ipoh?

A potem wróciła pamięcią do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Maza.

- Gdy twoja siostra go do mnie przyprowadziła, był pokaleczony. Co to było?

- Czysty przypadek - uśmiechnęła się kobieta - ale to pomogło ci podjąć decyzję.

Przy wejściu powstał jakiś harmider. Stara kobieta z siwymi włosami na podbródku wepchnęła do pokoju dziecko, uśmiechnęła się bezzębными wargami i odeszła.

Lydia poderwała się na równe nogi.

- Maz!

Matka chłopca wstała, objęła go ramieniem i zrobiła krok w kierunku Lydii. Cała jej drwina gdzieś się ulotniła.

- No więc jak? Weźmiesz go?

Lydię uderzył smutek w jej oczach.

- Ale to twój syn.

- Ja mu nie mogę zapewnić bytu. A twój mąż może.

Lydia była rozdarta. Bardzo lubiła Maza, ale to jakieś szaleństwo. Przypomniało się jej, jak Adil kłopotał się, co się stanie z Mazem, gdy jego matka umrze.

Chłopiec z uśmiechem podszedł do niej i wsunął rączkę w jej dłoń. Lydia wiedziała, że już po niej. Uśmiechnęła się do niego.

Kobieta poprowadziła ich labiryntem zaułków z powrotem do dzielnicy, gdzie mieszkał Adil. Lydia czuła, że uprawia jakieś cholerne kuglarstwo, ale miała też nadzieję, że w końcu się dowie, dokąd Alec wywiózł dziewczynki. I że teraz, gdy los po raz drugi kazał jej zaopiekować się Maznanem, musi odnaleźć Aleca. Także dla dobra chłopca.

Kobieta pocałowała Maza w czoło i podała Lydii złożony kawałek cienkiego niczym bibułka papieru.

- Będiesz tego potrzebowała do wyrobienia paszportu.

Lydia rozłożyła dokument. Boże, pomyślała, to świadectwo urodzenia. W miejscu, gdzie wpisuje się imię ojca, widniało czarno na białym: Alec Cartwright. Dlaczego, u licha, kobieta nie zaczęła od pokazania jej tego?

Gdy się oddalali, Lydia pomyślała, na jak wiele biedy się tu napatrzyła. Przypomniał się jej ich stary ogrodnik, który ledwie wiązał koniec z końcem. Straszyl jej dziewczynki opowieściami o duchach, o węzach połykających małe dzieci żywcem, o czarownicach, które przychodzą o północy i szukają, kogo by tu schwytać. Emma przybiegła kiedyś do niej niemal bez tchu i opowiadała o demonie z twarzą żaby, który w ogrodzie na tyłach domu zabił syjamskiego kota.

Fleur chciała, żeby koniecznie zatrudnić łowcę demonów, i Lydia obsadziła w tej roli starą lalkę. Ubrały ją na biało i postawiły na straży za oknem dziecięcego pokoju. Następnego dnia ogrodnik przyniósł szmacianą lalkę, którą zrobiła jego żona. Tak więc łowca demonów miał dwie

postacie, a ogrodnik oczywiście zażądał pieniędzy i Lydia uznała go za naciągacza.

Życie tych ludzi było ciężkie. Nie tylko w wioskach dla uchodźców, ale wszędzie. Dopiero co zobaczyła, w jakich warunkach, w jakiej ciasnocie niektórzy zmuszeni są mieszkać. Ile muszą z siebie dawać, żeby zarobić choć dolara. Prawda jest taka, że ich ogrodnik był po prostu bardziej kreatywny.

Maz trajkotał beztrosko, choć dopiero co rozstał się z matką. Chyba był jeszcze za mały, żeby zrozumieć ostateczność tego, co się stało. Ścisnął rękę Lydii, a gdy skręcali w ulicę, gdzie mieszkał Adil, na rogu obejrzał się jeszcze, by po raz ostatni ujrzeć rąbek niebieskiej, znikającej w tłumie spódnicy. Jakie to dziwne, pomyślała Lydia, gdyby ta kobieta nie miała na sobie niebieskiej sukni, nigdy bym za nią nie poszła.

## 50

Był piątek, ostatni dzień jesiennych ferii półsemestralnych. W ratuszu, gdzie się spotkałyśmy, Veronica poprosiła o spis wyborców. W lewej ręce trzymała mój stary list od pana Johnsona i machała nim do mnie.

- Spójrz, Emmo - powiedziała i pokazała mi palcem numer referencyjny w prawym górnym rogu.

Przeczytałam na głos:

- E C-Mb/0557/002.

- Okej. E C-Mb. To są inicjały.

- A cała reszta?

- 0557 oznacza piąty miesiąc pięćdziesiątego siódmego roku. A 002 odnosi się do liczby pism wysłanych danego miesiąca w sprawach osoby, której dotyczy dany zbiór dokumentów. W tym wypadku jest to ktoś określany jako E C-Mb.

- Rozumiem. No i?

- Cóż, to tylko potwierdza nowinę, której wczoraj nie miałam ci okazji przekazać.

- Ale mówiłaś, żeby sobie nie robić nadziei.

- Bo tak to kiedyś wyglądało. Jednak kilka tygodni temu, kiedy byłam w mieście, zaprosiłam Freddy'ego na dobry obiad i ubłagałam, żeby zrobił coś w twojej sprawie.

Byłam kompletnie zdezorientowana, co z pewnością odbiło

się na mojej twarzy.

Veronica podniosła dłoń do góry.

- Wszystko ci wyjaśnię. Freddy postanowił zwrócić się do Johnson, Price & Co. z zapytaniem, czy byliby skłonni skontaktować się z klientem i wytłumaczyć mu, dlaczego się nim interesujesz. Pan Johnson już oczywiście wcześniej dostał od ciebie list, więc wiedział o twoim istnieniu.

- I skontaktował się z klientem?

- No cóż, z początku miał opory, ale Freddy potrafi być przekonujący, więc w końcu się zgodził. Pomysł był taki, żeby wybadać, czy jest jakakolwiek szansa na to, że ona zezwoli na ujawnienie jej danych.

Serce mi załomotało.

- Ona?

Veronica potwierdziła ruchem głowy.

- No cóż, zastanawiała się i w końcu się zgodziła. Panna E. Cooper-Montbéliard. To właśnie ona. Rzadko spotykane nazwisko, prawda? Spójrz jeszcze raz na numer sprawy.

Spojrzałam na kartkę.

- O Boże.

Veronica uśmiechnęła się promiennie.

- No właśnie!

- C-Mb to skrót od Cooper-Montbéliard.

Pokiwała głową.

- Tak, można się było domyślić, że chodzi o nazwisko, ale nie sposób było sobie wyobrazić, jak ono brzmi. Więc teraz sprawdzimy jeszcze spis wyborców, żeby się upewnić, że adres uzyskany przez Freddy'ego jest prawidłowy.

- Ale dziś jest ostatni dzień ferii - jęknęłam. - Jeszcze tylko jutro, a potem w niedzielę po południu wracam do szkoły.

Poklepała mnie po ramieniu.

- Ale pisać umiesz, prawda?

Nazajutrz, gdy już napisałam list, w oczekiwaniu aż przestanie padać usiadłam nad jedną z moich opowieści. Miałam problem z główną postacią. Bohater, wysoki mężczyzna pochodzenia hiszpańskiego, niejaki Pedro Gonzalez Montes, właśnie wspinał się na drabinę, żeby wyrwać Claris z łap jej złego dziadka. Gdy był już blisko szczytu, drabina zsunęła się i on spadł. Nie zginął, ale stracił wzrok i został na zawsze inwalidą, a jako taki w ogóle nie nadawał się na głównego bohatera. No chyba że byłby to pan Rochester.

Pisanie wcale nie jest takie łatwe, jak mi się wydawało, gdy byłam młodsza. Kiedyś moje postacie robiły, co im kazałam, a teraz zaczęły spadać z drabin, wygłaszały nieuzgodnione kwestie i w ogóle źle się zachowywały. Zniesmaczona porzuciłam Claris leżącą na skrwawionych prześcieradłach, wsłuchaną w jazgot szcurków kłębiących się za cienkim przepierzeniem.

Zrobił się dżdżysty jesienny dzień z masywnymi, mokrymi chmurami. Nie padało na tyle, żeby nosić parasole, ale wystarczająco, żeby przemoknąć. Nadałam list i gdy wracając, zbliżałam się do furtki, z domu wypadła Fleur z policzkami mokrymi od łez i prawie się ze mną zderzyła. Objęłam ją ramieniem, przytuliłam i klepałam po plecach, aż się uspokoiła.

- Chodź, przespacerujemy się trochę i opowiesz mi, co

takiego złego się stało.

Spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami, po czym popatrzyła przez ramię na drzwi wejściowe. Kiwnęła głową i pochlipując, wyjąkała:

- Słyszałam, jak się kłóca.

Spytałam o co, ale nie potrafiła nic więcej z siebie wydusić, tak bardzo się zacinała. Wyglądało to nawet zabawnie, ale jej na pewno nie było do śmiechu. Powoli szłyśmy dróżką i co chwila musiałam się zatrzymywać i czekać, aż się wypłacze.

Spróbowała jeszcze raz.

- To było straszne, Emmo - powiedziała i stanęła, żeby otrzeć oczy. - Gdy wyszłaś, przyniesiono pocztę. Veronica i ja siedziałyśmy w kuchni przy stole i wszedł tata z dużą brązową kopertą. Otworzył ją i wtedy na podłogę wypadła gazeta. „The Straits Times”, widziałam.

Znów zaczęła płakać. Z tego, co powiedziała, jak na razie nie wynikało nic sensownego.

- Veronica ją podniosła... Widziałam to, Em. Zdjęcie mamy i nas, gdy byłyśmy młodsze. Veronica zrobiła się biała, kompletnie biała na twarzy. Był tam wielki nagłówek. Tata próbował jej to wyrwać, ale ona wstała i przeczytała na głos.

Z całych sił przygryzłam wargę.

- Tak się bałam. - Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi błyszczącymi oczami, a bokiem nosa spływały jej łzy. Znów poklepałam ją po plecach.

- Mamusia nie umarła. Nie porzuciła nas. Ona nawet nie zaginęła.

Powiedziała to takim cichym głosikiem, że nie do końca



byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Jeśli to ma być żart, Fleur, to wcale nie jest śmieszny.

- To nie jest żart, Em. Wcale nie. Mama nas poszukuje. Nie wie, gdzie jesteśmy. Myślała, że nie żyjemy, a potem dowiedziała się, że to nieprawda, i teraz nas szuka.

Oddech mi się rwał. Zrobiło się gorąco, miałam wrażenie, że głowa mi zaraz wybuchnie. Nagie gałęzie chwiały się i kołysały, nieruchome powietrze nagle się ożywiło, a mnie świat wywrócił się do góry nogami. W głowie kłębiły mi się dziesiątki pytań, ale na żadne nie było sensownej odpowiedzi.

- Ona ciągle jest na Malajach. Tata kazał mi iść do mojego pokoju, ale ja podsłuchiwałam z korytarza.

Musiałam przysiąc na krawężniku, bo droga zaczęła mi się kołysać pod stopami.

- Może to była jakaś stara gazeta - usiłowałam zasugerować, ale mój język był jakby spuchnięty i słowa przypominały zabawny bełkot.

- Veronica sprawdziła datę. To jeden z nowszych numerów. Dlaczego on mówił, że nas opuściła?

Pochyliłam się i włożyłam głowę między kolana. Fleur usiadła obok i wzięła mnie za rękę.

- Veronica się rozplakała. Tata coś do niej mówił po cichu, ale nie przestawała płakać, a potem zaczęła go wyzywać. Krzyczała, że chciał z niej uczynić bigamistkę, i w ogóle jak mógł zrobić coś tak strasznego. I „co się stanie z dziewczynkami”. - Zamilkła na chwilę. - Em, co to jest bigamistka?

Zacisnęłam z całych sił powieki.

- Och, Mączniaczku, to taki ktoś, kto poślubił dwie osoby.
- Ale to nie dotyczy Veroniki, ona nic takiego nie zrobiła.
- Masz rację. Bigamistą byłby tata.

Choć nigdy nie wierzyłam w to, co mówił o mamie, to jednak takie potwierdzenie... Byłam bez tchu, jakby ktoś podszedł i z całych sił walnął mnie w plecy.

- Ty nigdy w to nie wierzyłaś, prawda?

Pokiwałam głową.

- Przepraszam cię, Em. Tak mi przykro, że byłam dla ciebie niedobra, jeśli chodzi o mamę. Ale bardzo chciałam zostać druhną.

- Och, Mączniaczku! - Przyciągnęłam ją i drżąc, przywarłyśmy do siebie. Usłyszałam przejeżdżający samochód, ale miałam gdzieś, co sobie ktoś pomyśli. Po chwili w zapadającej szarówce wzięłam kilka głębokich oddechów, wstałam i pociągnęłam Fleur w górę. Odwróciłyśmy się na pięcie i poszłyśmy do domu, gdzie czekała nas wielka niewiadoma. Teraz stało się jasne, że i telegram miał coś wspólnego z mamą. Może to nawet ona sama była jego nadawcą.

Veronica minęła nas w swoim morrisie minorze. Twarz miała czerwoną od płaczu. Chyba nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś był tak zdenerwowany. Pozdrowiłam ją ruchem ręki i usiłowałam się uśmiechnąć, ale ona mnie nie dostrzegła.

Nigdy nie przebolełam tej rozłąki i teraz chciało mi się krzyczeć, żeby cały świat dowiedział się, że moja mama żyje. Ale gdy weszłyśmy do domu, z kuchni dobiegały takie huki i trzaski, że wolałyśmy pośpiesznie udać się na górę. Fleur

chwyciła mnie za rękę i błagała, żebym ją wzięła do swojego pokoju.

- Em, co zapamiętałaś, jeśli chodzi o mamę?

- Całe mnóstwo rzeczy.

- Opowiedz mi coś.

- Jej włosy. Sposób, w jaki je upinała. I że zawsze rano śpiewała.

- Park. Zabierała nas do parku.

- Tak. I do zoo. Mama uwielbiała lwy.

Spuściła wzrok i przełknęła łzy.

- Ja tego nie pamiętam.

- Nie płacz, Fleur.

- Ale chyba pamiętam tygrysy. Em, czy mama nas kochała?

Objęłam ją i odwróciłam jej twarz w moim kierunku.

- To ci cały czas chodziło po głowie? Że nas nie kochała?

Fleur pokiwała głową.

- Posłuchaj. Kochała nas. Nade wszystko. Najbardziej na całym świecie.

Miałam teraz ochotę złapać ojca i potrząsać nim tak długo, aż wypadną mu wszystkie zęby. Postanowiłam jednak zachować spokój i obie czekałyśmy na to, co on zrobi. Przeczytałam Fleur jedno z moich opowiadań, nie to ostatnie o chwiejącej się drabinie, ale wcześniejsze, gdzie Claris dołącza do wędrownej trupy aktorów, żeby uciec od swojego prześladowcy. Czytanie pomagało mi uspokoić umysł, ale gdzieś podskórnie cały czas się zastanawiałam, jak mam poradzić sobie z ojcem. Doszliśmy właśnie do momentu, gdy Claris znajduje klucz, dzięki któremu będzie się mogła

uratować, gdy tata wszedł i stanął na szeroko rozstawionych nogach, trzymając się pod boki.

- Co się tak na mnie patrzycie? - spytał.

Jego ton był wyzywający, ale miałam wrażenie, że blefuje.

- Wiem, może mi nie wyszło, ale chciałem jak najlepiej.

Fleur wpatrywała się w dywan, a ja patrzyłam na czubek jego głowy, nie chciałam odwracać wzroku.

- I co teraz? - spytałam najspokojniej, jak umiałam, mimo silnego poczucia krzywdy.

Nie wahał się ani chwili.

- Przeprowadzamy się. Ot co.

Spojrzałyśmy po sobie z Fleur z niedowierzaniem. On nie może tego zrobić. Po prostu nie może. Fleur dyskretnie skinęła mi głową na znak poparcia, a ja zdecydowałam, że postawię się tacie.

- Ale tato, co z mamą? - spytałam, starając się, żeby to zabrzmiało uprzejmie. - Jak ona nas znajdzie, jeśli się przeprowadzimy?

- Nie ufasz mi, Emmo?

Oczywiście, że mu nie ufałam, ale jego wzrok spowodował, że zamilkłam. Przełknęłam ślinę i usiłowałam się opanować.

- Dobrze. Cieszę się, że obie jesteście takie rozsądne.

Nie wiem, co mnie napadło. Czy wyraz ulgi na jego twarzy, czy jego poczucie wyższości i protekcyjnalny ton, ale nie potrafiłam się już dłużej powstrzymać. Coś we mnie pękło i przypomniałam sobie słowa, których kiedyś użyła mama. Wstałam, wyprostowałam się, zrobiłam krok do przodu i dźgnęłam go wyciągniętym palcem.

- Ty pieprzony łajdaku. Ty cholerny pieprzony łajdaku.

Fleur rozdziawiła usta, a ja - czekając, aż podniesie na mnie rękę - patrzyłam mu prosto w oczy. Oboje zamarliśmy w bezruchu. Jego twarz była czerwona, a grdyka latała mu w górę i w dół. Usłyszałam, jak Fleur mówi cicho:

- Tato, nie rób tego.

Na jego twarzy pojawiło się nagle zniechęcenie. Wyglądał na zbitego z tropu.

- Przepraszam. O mój Boże - powiedział.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

Fleur i ja gapiłyśmy się na siebie, zszokowane zarówno tym, że ośmieliłam się powiedzieć coś takiego, jak i jego reakcją. Właściwie to prawie było mi go żal, że się tak załamał.

- Dlaczego on to zrobił, Em?

Chyba po raz pierwszy zabrakło mi języka w gębie, ale nie mogłam tego tak zostawić.

- Nie wiem, ale zaraz się dowiem.

Nie musiałam się już obawiać, że wpadnie w złość. Wyszłam na dwór i znalazłam go w starej szklarni dziadka. Veronica chciała ją utrzymać, ale teraz nie było tam nic poza kilkoma pomidorowymi krzaczkami ozdobionymi resztką uschniętych owoców i jedną sadzonką ogórka. Veronica była z niego dumna, kroїła w plasterki i kładła nam na kanapki z wołowiną. Ogórek był gorzki, więc Fleur i ja zawsze zdejmowałyśmy te plasterki, gdy akurat nie patrzyła. Biedna Veronica.

Nie zauważył, jak otwierałam drzwi. Przemierzył szklarnię i podszedł do zewnętrznego paleniska, z którego unosił się

paseczek dymu, choć nie widać było płomieni.

- Tato! - zawołałam za nim. - Jest za mokro, nie będzie się palić.

Odwrócił się twarzą do mnie. Był kompletnie zdruzgotany. Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie. W gardle czułam gulę, z trudem powstrzymywałam łzy i prawie nie mogłam mówić. Wyglądał na starego i przestraszonego, a ja poczułam, że grunt usuwa mi się spod nóg.

- Tato, dlaczego mówiłeś, że mama nas porzuciła i że została uznana za zmarłą? - spytałam łagodniejszym tonem.

Cienka smużka niebieskiego dymu spiralnym ruchem unosiła się do góry. Pokręcił głową i wymamrotał coś w rodzaju, że brakuje powietrza. Długim metalowym drągiem rozgrzebał stertę tłących się liści. Pojawił się kłęb ciemniejszego dymu i przez chwilę myślałam, że mam halucynacje, że to nie może dziać się naprawdę.

- Tak jak myślałem - odezwał się, nie patrząc na mnie. - Miały za mało tlenu.

- Tato, dlaczego mama nie przyjechała z nami do Anglii?

Kilkoma krokami okrążył ognisko i zaczerwienionymi oczami spojrzał na mnie przez dym.

- To sprawy między dorosłymi. Ty tego nie rozumiesz, Emmo. Zrozumiesz, gdy dorośniesz.

- Nie jestem już dzieckiem - powiedziałam, zwyczajem mamy unosząc brwi.

Spostrzegł to i zamilkł. Jakiś kos-kamikadze przeleciał tuż nad ogniem.

- Całowałam się z Billym, wiesz, tak naprawdę.

- O Boże - powiedział miękko. - Zupełnie jak jej matka.

- Tato, daj mi adres George'a Parrotta. Muszę wiedzieć, gdzie jest mama.

- George Parrott na nic ci się nie przyda.

Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął portfel i rozłożył wycinek z gazety. Przeczytałam każde słowo po dwa razy i dopiero wtedy doszłam do wniosku, że to prawda. Pan Parrott nie żyje.

W ciszy, która nastąpiła, zapragnęłam przykryć to wszystko jakąś grubą zasłoną, uwierzyć, że jesteśmy normalną rodziną, udawać, że wyszłam na dwór z kochającym tatą, podczas gdy mama w domu robi dla nas obiad. On starał się mówić w miarę normalnie, jakby nie było tego muru między nami. Powiedział, że nie ma takiej możliwości, aby wrócić na Malaje szukać mamy, bo na domu wisi tabliczka „Na sprzedaż” i musimy być na miejscu, żeby oprowadzać potencjalnych nabywców. Zaproponował wyjazd na Malaje, gdy będę trochę starsza, jakby to mogło mnie uspokoić.

- Możesz mi pokazać ten artykuł o mamie? Napisałabym do tego, kto przeprowadził z nią wywiad. Redakcja powinna znać miejsce jej pobytu.

Wskazał palcem ognisko, które nareszcie zapłonęło w pełni, zasnuwając dymem cały ogród.

Podbiegłam, żeby wyciągnąć z płomieni szerniały strzęp zadrukowanego papieru. Łzy popłynęły mi z oczu, gdy jego resztki znalazły się na ziemi.

Podszedł i objął mnie ramieniem.

- Będzie lepiej, jeśli o niej zapomnisz, Emmo. Naprawdę. Odeszła do tamtego mężczyzny. Jego pragnęła. Nie mnie.

Zesztywniałam.

- Nie nas - poprawił się.

Odepchnęłam go i nadąsałam się. Nie byłam pewna, czy naprawdę chce mnie chronić, czy też coś zatuszować.

- Lepiej? Dla kogo? Dla mnie czy dla ciebie?

Twarz mu poczerwieniała i gdy znów wyciągnął do mnie rękę, poczułam, jak śmierdzi mu spod pach. Wyglądał na samotnego, na człowieka, który nigdzie nie czuje się u siebie. Ale już było za późno.

- Daj spokój - powiedział. - Jesteś zdenerwowana. No widzisz? Oparzyłaś się w rączkę. Chodź, założymy opatrunek.

- Masz rację. Jestem zdenerwowana... bo cię nienawidzę.

Twarz mu stężała.

- Emmo, posłuchaj mnie.

- Nie, nie wierzę ci. I nie wierzę w to, co mówiłaś o telegramie. Był od mamy. Wiem, że to ona go wysłała. A ja nigdy nie przestanę jej szukać. Nigdy.

Odwróciłam się i uciekłam. Gdy biegłam, czułam jej dotyk, zapach jej perfum. Miałam wyschnięte wargi i pomyślałam, że pewnie zaraz zwymiotuję. Ale teraz liczyło się dla mnie tylko odnalezienie mamy, nawet jeśli naprawdę odeszła do Jacka. Nieważne. Jest moją matką i ją kocham.

Gdy tak biegłam dróżką, ujrzałam dym unoszący się na skraju miasteczka, tam, gdzie mieszkał Billy. Znów poczułam ucisk w gardle i gdy nagle wpadliśmy na siebie, zdołałam tylko wyjąkać przeprosiny, po czym zalałam się łzami. Zapanowało niezręczne milczenie, a on przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Okręcałam kosmyk włosów dookoła palca i czekałam,



aż on się odezwie, a Billy pocałował mnie w czoło, wyjął chusteczkę, żeby mi otrzeć łzy, i uśmiechnął się.

- Nie przejmuj się, już w porządku. Daj spokój, Emmo, po prostu o tym zapomnijmy.

- Nadal przyjaciele?

- Nadal - potwierdził i puścił do mnie oczko.

Opowiedziałam mu o artykule w „The Straits Times”.

- A tata go spalił i nic nie mogę zrobić. Zobacz, mam czerwone plamy po tym, jak próbowałam wyciągnąć go z ognia.

- Moja mama czymś ci to posmaruje.

Pokiwałam głową.

Spojrzał na mnie, zrobił śmieszoną minę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ależ z ciebie głuptas, Emmo.

Zmarszczyłam gniewnie czoło.

- Przecież już cię przeprosiłam, że byłam dla ciebie niedobra. Myślałam, że jesteśmy kwita.

- Nie o to mi chodzi. Naprawdę nie rozumiesz?

Pokręciłam głową.

- Emmo, przecież jest prosty sposób. Chodź, pójdziemy do mnie. Po drodze wszystko ci opowiem.

## 51

Lydia i Maz dotarli do domu Adila obładowani torbami z gigantyczną ilością wszelakiego prowiantu. Wkrótce w perspektywie ulicy pojawił się Adil. Wrócił z podróży do Singapuru, gdzie na listach biur żeglugi sprawdzał każdego pasażera, który zaokrętował się w ciągu ostatnich trzech lat. Szczególną uwagę zwracał na rozmaite podejrzanе przypadki. Tym razem miał na to oficjalne zezwolenie. Gdy podszedł, był bez tchu, miał czerwoną twarz, jedną ręką wziął za ramię Lydię, drugą Maza, po czym pochylił się, żeby złapać oddech.

Lydia popatrzyła na niego, po oczach poznała, że jest czymś przejęty, i serce zaczęło jej bić w przyspieszonym rytmie.

- Spokojnie - poprosiła. - Nie tak szybko.

Zaczerpnął tchu i odezwał się:

- Widziano mężczyznę odpowiadającego wyglądem rysopisowi Aleca.

- Na Malajach? Chcesz powiedzieć, że jest na Malajach?

Podniósł rękę, żeby ostudzić jej emocje.

- Widziano go, jak wsiadał na statek handlowy płynący do Anglii z dwiema dziewczynkami, czas też się mniej więcej zgadza. Zapamiętał ich jeden z urzędników. Mówi, że uderzył go widok mężczyzny podróżującego samotnie z dziećmi. To się nieczęsto zdarza.

Lydia stała nieporuszona, jakby zawieszona w trwającej

chwili.

- Początkowo sprawdzałem, i to nawet dwukrotnie, wszystkie linie pasażerskie, ale zapomniałem o czymś bardzo oczywistym - o przewozach towarowych. Takich, które zabierają dodatkowo na pokład po kilku pasażerów. Zdobyłem więc upoważnienie do sprawdzenia frachtowców wpływających z Singapuru tamtego roku.

- I?

- Na listach nie figuruje Alec Cartwright.

Na jej twarzy odbiło się rozczarowanie, ale on szybko położył jej rękę na ramieniu.

- Posłuchaj - zaczął, odsuwając ją na odległość ręki. - Pamiętasz, jak Harriet mówiła, że to było podobne nazwisko. Takie łatwiej wykluczyć...

Zrobiło jej się lżej na duszy, wstrzymała oddech. Czyżby...?

- Sprawdziłem wszystkie nazwiska zaczynające się na C, bez rezultatu. Ale na liście pasażerów statku handlowego z Singapuru do Liverpoolu znalazł się niejaki Alec Wainwright z dwiema córkami.

- Boże! Nie Cartwright, lecz Wainwright. Zmienił tylko trzy litery.

- Zgadza się.

- Alec przysięgał, że nigdy nie wróci do Anglii. Jesteś pewien, że to on?

- Jedna dziewczynka miała osiem lat, a druga jedenaście. Na liście występują jako Fleur i Emma. To naprawdę oni, Lydio. Naprawdę.

Położyła rękę na sercu. Była zła na Adila, że zataił przed nią

okoliczności narodzin Maznana. Ale teraz było jej już wszystko jedno. Dzieci są w Anglii i na pewno je odnajdzie.

- Dzięki, Adil. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

Ucałowała go w oba policzki, uśmiechnęli się do siebie radośnie, a Maznan w tym czasie wydał piskliwy okrzyk i wykonał na chodniku kilka śmiesznych tanecznych płaśów.

Lydia wybuchnęła śmiechem. Oto urzeczywistnia się jej - wydawałoby się, niemożliwe do spełnienia - marzenie. Cały czas myślała o swoich dzieciach jako o żywych. Tak naprawdę to one same nawiedzały jej myśli, z biegiem czasu coraz mniej musiała się o to starać. Nawet kiedy już uwierzyła w ich śmierć, one w niej żyły, małe promienne istotki ze słońcem w oczach. Teraz na przykład pojawił się jej przed oczami widok Fleur siedzącej po turecku pod rozległym baldachimem liści figowca bengalskiego, z błyszczącymi niebieskimi oczami, ze stopami ukrytymi pod kobiercem różowawych opadłych owoców. Nad głową ćwierkały jej setki ptaków, a ona z zadumą w oczach pytała: Mamo, jak wygląda śnieg?

A teraz, po tylu przejściach, wygląda na to, że córeczka zna już odpowiedź na to pytanie.

Po babcinej tapecie z żółtymi i jasnobrązowymi obrazkami kur i świnek nie pozostał nawet ślad. Teraz ściany pomalowane na słoneczny kolor jajecznego żółtka wyglądały o wiele nowocześniej. Razem z Fleur siedziałyśmy przy kuchennym stole, czekając na lunch. Ferie świąteczne dobiegały końca. Zaczynał się nowy rok 1958 i było mi lekko na sercu. To rok, w którym miałam nadzieję ponownie ujrzeć moją mamę. Ostatniego dnia poprzednich ferii, gdy z Veronicą potwierdziłyśmy w ratuszu prawdziwość adresu, napisałam list do panny E. Cooper-Montbéliard, zamieszkałej w Kingsland Hall.

Wyjaśniłam, kim jestem, i poprosiłam, żeby odpisała mi na adres domowy, ale nie wcześniej niż w czasie ferii świątecznych. A teraz chodziły mi po głowie straszliwe myśli. Może ona nie wie, kiedy jest koniec ferii, i jej list nadejdzie, gdy ja już będę w szkole? O artykule z gazety więcej się w domu nie mówiło i tata odzyskał swoją dawną zimną krew. Ja oczywiście napisałam do „The Straits Times”. I nie potrzebowałam do tego nazwiska autora wywiadu, bo – zgodnie z sugestią Billy’ego – list zaadresowałam do wydawcy. Billy miał rację, idiotka ze mnie, skoro sama na to nie wpadłam. Jak na razie nie było żadnej odpowiedzi.

W końcu założono nam telefon. Tata napisał do Veroniki

i podał jej numer, ale przez trzy dni nikt nie zadzwonił. Gdy więc nagle rozległ się dzwonek telefonu – akurat słuchaliśmy w kuchni *The Goon Show* – wszyscy podskoczyliśmy i tata wyszedł na korytarz odebrać. Ściszyłam radio i usłyszałam, jak kogoś ze skruchą w głosie bardzo przeprasza, co było do niego niepodobne. Po wszystkim oznajmił nam, że wpadnie Veronica. Fleur klasnęła w ręce, a ja uśmiechnęłam się szeroko.

Przed dostarczeniem nam wycinka gazetowego, z którego dowiedziałyśmy się, że mama wcale nie zaginęła, nie pojawił się najmniejszy ślad Emmy Rothwell. I chociaż Veronica robiła, co mogła, czułam się rozczarowana. Teraz jednak cieszyłam się, że znów zobaczę Veronicę i będę mogła porozmawiać z nią o tym, jak znaleźć mamę. Miałam nadzieję, że przynajmniej te poszukiwania zakończą się sukcesem.

Przed świętami poczta miała dużo pracy, przesyłki przychodziły więc o różnych porach, przeważnie dwa razy w ciągu dnia. Zawsze starałam się uprzedzić tatę w przejęciu ich. Na szczęście były ferie, ale już wkrótce w szkole miał się zacząć nowy semestr. Dziś listonosz zadzwonił do drzwi w czasie lunchu. Tata zaczął odsuwać krzesło, na którym siedział.

- Okej, ja odbiorę – powiedziałam, podrywając się i wybiegając na korytarz.

- Spodziewasz się listu, Emmo?! – krzyknął za mną z kuchni tata.

- Nie, nic takiego – powiedziałam, wsuwając sobie kopertę do majtek. – Po prostu myślałam, że przyjdą jeszcze jakieś

kartki z życzeniami.

Lunch trwał i trwał. To zadziwiające, że po tym, co nas spotkało, wszystko wyglądało, jakby życie wróciło do normy. Jakby nic się nie zmieniło. I faktycznie. Posiłki serwowane przez tatę były jak zawsze okropne. Dziś ugotował kapustę z ziemniakami i kawałkami wołowiny. Trudno mi to było przełknąć.

Po skończonym lunchu popędziłam na górę, zamknęłam się w pokoju, oparłam plecami o drzwi i powoli wypuściłam powietrze z płuc. A potem otworzyłam kopertę.

*Droga Emmo - przeczytałam.*

*Twój list nie był dla mnie zaskoczeniem, zważywszy, że po starannym namyśle zdecydowałam się w końcu upoważnić mojego prawnika, żeby ujawnił moje nazwisko. Miło by mi było cię poznać. Mam nadzieję, że mogłybyśmy jutro wypić razem herbatę tu, w Kingsland, zanim wyruszysz do szkoły. Jeśli ci to odpowiada, nie musisz mi odpisywać. Niezależnie od wszystkiego będę na ciebie czekała, bo i tak codziennie o czwartej mam zwyczaj pić herbatę. Jeśli jutro nie możesz, zaproponuj jakiś inny termin.*

*Szczerze ci oddana*

*Emmeline Cooper-Montbeliard*

Świetnie. Spotkam się z E. C-Mb w Kingsland Hall jutro o czwartej. Będę miała okazję dowiedzieć się, kim ona jest i dlaczego płaci za moją szkołę. Wsunęłam list pod materac, żeby był bezpieczny, i zdecydowałam, że kiedy jutro Veronica wpadnie na herbatę, uproszę ją, żeby mnie tam zawiozła.

Następnego popołudnia Veronica zjawiała się punktualnie o trzeciej. Zima zmieniła nasz ogród, zmroziła frontowy żywopłot i przykryła śniegiem ścieżkę. Przed głównym wejściem wisiała potężna zamrożona pajęczyna. Lubiłam patrzeć, jak pająki budują swoje sieci, nitka po nitce. Byłam ciekawa, co się z nimi teraz dzieje. Czy też zamarzyły?

Tata wyglądał na zdziwionego, że Veronica znów przyjechała. No cóż, nie słyszał, jak z nami szeptała, wyjeżdżając wczoraj. Nie widział, jak całowała mnie w policzek i jak mi mówiła, że bardzo za mną tęskniła. Dobra, stara Veronica. Teraz wmówiła mu, że musi mnie zawieźć do szewca, który zdejmie mi miarę na nowe buty. Nie wiem, czy do końca w to uwierzył, ale nie bardzo miał jak się jej przeciwstawić.

Przejechaliśmy przez wąskie uliczki Kidderminster, zabudowane po obu stronach domkami z brudnej czerwonej cegły, i wkrótce znalazłyśmy się w otwartym terenie, gdzie na polach leżał śnieg. Mimo iż szosa była oblodzona, sprawnie posuwałyśmy się do przodu i wkrótce znalazłyśmy się przed szeroko otwartą wysoką bramą z kutego żelaza.

Przy końcu zwirowego podjazdu, porośniętego z obu stron bezlistnymi o tej porze lipami, wyrastał wysoki i elegancki Kingsland Hall. Nie było to ani posępne gmaszysko, jakie sobie wyobrażałam, ani też majestatyczna rodowa siedziba, ale raczej rozsądnych rozmiarów dworek z różowoczerwonej cegły. Bez zbędnych kolumnienek czy filarów. Sądząc po rzędach okien, był dwupiętrowy. Gapiałam się w okno na parterze, przez które wyglądała kobieta przyciskająca twarz



do szyby. Gdy mnie zobaczyła, nie odwróciła wzroku, uniosłam więc podbródek, starając się przybrać wygląd osoby odpowiedzialnej.

Gdy po pokonaniu kilku schodków podchodziłyśmy do drzwi, z moich ust wydobywały się kłęby białej pary. Veronica pociągnęła za uchwyt staroświeckiego dzwonka. Otworzyły się ciężkie dębowe drzwi, ozdobione w rogach rzeźbionymi żołędziami, a u góry fruującymi cherubinkami. Mimo zdenerwowania przywołałam na twarz uśmiech i ponad ramieniem mężczyzny w średnim wieku zapuściłam żurawia do środka.

W holu z drewnianą boazerią cały mój entuzjazm diabli wzięli. Na ścianach wisiały olejne obrazy w złotych ramach. Meble były ciężkie, wszystkie bez wyjątku wykończone ornamentami ze złoczonego brązu. Z portretów spoglądali panowie o srogim wyrazie twarzy i sterczących jak szczecina wąsach, a także poważne, piersiaste matrony. Powyżej boazerii ściany były pomalowane na ciemnozielono. Pomyślałam, że przyjmowanie od ludzi z takim gustem czegoś w rodzaju pomocy charytatywnej powinno być dla mnie bardzo krępujące. Spojrzałam na powoli posuwającą się do przodu wskazówkę wielkiego zegara z wahadłem i usłyszałam jakiś inny dzwonek.

Ten sam mężczyzna wrócił do nas i poprosił, żebyśmy za nim poszły. Weszliśmy do długiego salonu z trzema wysokimi oknami wychodzącymi na frontowy ogród i podjazd. To w jednym z nich zobaczyłam tę kobietę. W przeciwieństwie do holu pokój był bardzo jasny, a ona siedziała obok ognia

huczącego w największym kominku, jaki udało mi się w życiu zobaczyć.

Była wysoka i szczupła, miała na sobie jasnoniebieski kostium i białą bluzkę z falbanami. Jej całkiem siwe włosy zgodnie z najnowszą modą były ostrzyżone na krótko. Wpatrywała się w nas uporczywie, zachęcając wzrokiem, żebyśmy usiadły.

- No to skoro dopełniłyśmy formalności - powiedziała - czas na herbatę.

Jej pomocnik skinął głową i ciężkie drzwi zamknęły się za nim.

Przeniosła wzrok na moją twarz, co spowodowało, że zaczęłam się wiercić na krześle. Zadzwoił telefon. Odebrała go - jak mi się wydawało - dość niechętnie, ale ja dzięki temu zyskałam czas, by się rozejrzeć wokół. W powietrzu unosił się słodkawy zapach perfum, mieszający się z wonią palącego się w kominku drewna. Ściany były pokryte jasną jedwabistą tkaniną, na podłodze leżały orientalne dywany, a na okiennych parapetach stały lśniące drewniane figurki zwierząt.

Gdy pani domu skończyła rozmawiać przez telefon, odwróciła się do nas z przyjaznym uśmiechem.

- Widzę, że podobają ci się moje zwierzątka. Są z Afryki.

Uśmiechnęłam się niepewnie.

- Cieszę się, że przyszłaś. Zakładam, że chcesz wiedzieć, dlaczego płacę za twoją naukę.

W podniosłej atmosferze tego pomieszczenia czułam się niezręcznie, ale jakoś udało mi się przytaknąć ruchem głowy i dobyć z siebie głos.

- Tak, bardzo proszę.

Westchnęła, jakby przytłoczona wielkim ciężarem. Ja i Veronica wymieniliśmy spojrzenia.

Po kilku chwilach kobieta odezwała się ponownie:

- Mój asystent powiedział mi, że słyszał o powrocie twojego ojca, ale bez twojej matki. Zaintrygowało mnie to.

- Jak on się o tym dowiedział? - spytała Veronica.

- Lokalne plotki. Na prowincji ludzie szybko biorą cię na języki.

Zmarszczyłam czoło.

- Ale co to panią obchodziło?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Myślę, że Emma chciałaby zrozumieć, dlaczego pani interesuje się sprawami jej rodziny - wyjaśniła Veronica.

Kobiecie zadrżał głos.

- Obawiam się, że jest tylko jedno wytłumaczenie. Mam nadzieję, że nie znienawidzicie mnie, gdy to wam wyjawię.

- Jasne, że nie - mruknęłam, nic nie rozumiejąc.

W pokoju zrobiło się cicho, ale ja słyszałam dzwony kościelne w oddali, odgłos silnika przejeżdżającego samochodu i narastający szum wiatru.

- Widzisz, prawda jest taka - ciągnęła kobieta. - Lydia Cartwright to moja córka.

Z trudem przełknęłam ślinę i wyciągnęłam rękę do Veroniki.

- Czyli pani jest... - Głos Veroniki też drżał.

- Tak. Jestem Emmeline Cooper-Montbéliard, babcia Emmy.

Poderwałam się z krzesła, mając nadzieję, że nogi się pode mną nie ugną.

- To niemożliwe. Matka mojej mamy nazywała się Emma Rothwell.

Przytaknęła.

- To prawda. Rothwell to panieńskie nazwisko mojej ciotecznej babki, która zmarła bezpotomnie wiele lat temu. Ponieważ ta gałąź rodziny w ten sposób wygasła, podałam to nazwisko przy porodzie, a imię otrzymane na chrzcie po prostu skróciłam. Stąd Emma.

Przyglądałam się jej z bliska, po czym wyciągnęłam mój ukochany portrecik, podałam jej i patrzyłam. Chciałam nawet coś powiedzieć, ale usta miałam tak suche, że nie mogło przez nie przejść żadne słowo.

- Tak, kiedyś tak wyglądałam - powiedziała tylko i zwróciła mi obrazek. A potem pochyliła się do przodu, krzyżując ręce na piersiach.

Usiadłam znowu. Czułam się, jakby czyjaś ręka ścisnęła mnie za gardło, i już zupełnie nie potrafiłam nic powiedzieć.

Ona podniosła wzrok.

- Mój prawnik dyskretnie zbadał sprawę, zdobył wasz dokładny adres zamieszkania i wtedy właśnie przekonał się, że Lydii nie ma z wami, a także że nie mieszka w waszym dawnym domu w Malakce.

- Naszym dawnym domu? - spytałam, odzyskując głos.

- Tak. Wiedziałam, gdzie mają dom rodzice Aleca, bo oczywiście prawnik zawsze na bieżąco informował mnie o miejscu pobytu Lydii, nawet przed jej wyjazdem na Malaje. Skontaktowałam się z twoim ojcem i gdy mu powiedziałam, kim jestem, spotkaliśmy się. To było dla mnie ważne,

rozumiesz chyba. A kiedy się okazało, że Lydia prawdopodobnie zaginęła, nie mogłam siedzieć z założonymi rękami. Twój ojciec oczywiście do tego momentu nie wiedział, kim jestem, a kiedy się dowiedział, był w lekkim szoku.

Pomyślałam, że z nami nie podzielił się tą nowiną.

- Powiedział mi, że twoja matka porzuciła ciebie i twoją młodszą siostrę i że to dlatego przyjechaliście do Anglii bez niej. Dla mnie było nie do pomyślenia, żeby po tym, co ją samą spotkało w dzieciństwie, była zdolna do porzucenia własnych dzieci.

- Ja też w to nigdy nie uwierzyłam - wtrąciłam, raptownie przełykając ślinę. - Nigdy.

- W każdym razie doszłam z twoim ojcem do porozumienia. Trapiły go pewne problemy finansowe, więc w zamian za to, że będę płacić twoje chesne, miał mi pomóc w ustaleniu miejsca pobytu twojej mamy. Tak się szczęśliwie złożyło, że zwróciłam się z tym do niego w momencie, gdy rozważał umieszczenie cię w szkole z internatem. On nalegał, żeby nasza umowa nie wyszła na jaw, i chociaż bardzo chciałam poznać ciebie i twoją siostrę, nie pozwalał mi na to. Mówił, że to wam zdezorganizuje życie. Cóż, ja was nie znałam, byłam więc zdana na jego opinię.

- I czego się dowiedział? - spytała Veronica.

- Niczego użytecznego, po prostu mówił, że zaginęła.

- To samo wmawiał nam - że została uznana za zaginioną, że prawdopodobnie nie żyje - wtrąciłam.

- No cóż, uznałam to za nonsens i wszczęłam własne śledztwo. Początkowo nic nie mogłam ustalić, ale niedawno

znalazłam w artykule w jakiejś malajskiej gazecie adres jej przyjaciółki, do której wysłałam telegram.

Kobieta wpatrywała się w podłogę.

Artykuł w gazecie. W chłodnym do tej pory pokoju nagle zrobiło się duszno. Ścisnęłam poręczę krzesła i pochyliłam się do przodu, nie spuszczać z niej wzroku. Moje ciało się naprężyło. Ona dotknęła szyi, jakby czegoś szukała. Pod falbanką kołnierzyka wisiała na łańcuszku srebrna jaszczurka ze szmaragdowymi ślepiami.

- Do tej pory nie mam żadnej odpowiedzi.

Serce zaczęło mi bić w przyspieszonym rytmie i musiałam się zmusić do spowolnienia oddechu.

- Proszę, opowiedz mi o swojej matce, Emmo - powiedziała cicho. Ręce jej się trzęsły i najwyraźniej nie potrafiła opanować głosu.

- Co pani powiedziała?

- O twojej matce.

Poczułam się, jakbym cofała się przez długi korytarz. Musiałam zrobić się blada, bo Veronica kazała mi włożyć głowę między kolana.

Po jakimś czasie podniosłam wzrok.

- Moja matka miała takie jaszczurki... To znaczy... jako kolczyki. Poza tym nie miała nic.

- Zgadza się, należały do mnie. - Zapadła krótka cisza. - To znaczy do osoby, którą byłam kiedyś, a nie do tej, jaka dziś jestem. Zmieniamy się. Życie nas zmienia.

Kątem oka zauważyłam, że Veronica jej potakuje.

- Zmuszono mnie, żebym ją zostawiła, i nie pozwolono jej

widywać. To było straszne, ale uchodziłam za zhańbioną. Nie możecie sobie wyobrazić, jaki wstyd przyniosłam mojej rodzinie.

Spojrzałam na jej twarz – drobne rysy, delikatną cerę i nieco głębsze zmarszczki na czole. W jej oczach zobaczyłam ból, który nawet dla mnie był trudny do zniesienia.

- Był rok 1924 i rodzice zabronili mi wszelkich z nią kontaktów. Ale udało mi się przekonać jedną z zakonnice, żeby chociaż raz pozwoliła mi zobaczyć Lydię. Przyjechała z nią nad morze, do Weston-super-Mare. Tam się z nimi spotkałam i razem oglądałyśmy powstawanie piaskowej rzeźby lwa. Do dziś uważam, że to był najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Pamiętam nawet, co wtedy miałam na sobie. Sukienkę obrębioną szlaczkiem z jaskrawoniebieskich kwiatów. Miałyśmy się spotkać jeszcze raz wiele lat później... Tym razem nam w tym przeszkodziło.

Patrzyłam, jak śnieg wiruje na wietrze po trawniku. Potwornie żal mi było mamy i tej kobiety, która ją porzuciła, ale też czułam złość, że moja matka musiała mieć takie smutne i samotne dzieciństwo. Nagle tak bardzo zatęskniłam za jej uściskami, że łzy popłynęły mi po policzkach. Otarłam je wierzchem dłoni.

- Kiedy się z nią żegnałam, czułam, jakby wydarto mi kawałek serca, który zostawiam przy niej – mówiła kobieta. - Nigdy więcej nie pozwolono mi jej zobaczyć. Zrzekłam się wszelkich praw, bo mi mówili, że spotkania ze mną za bardzo ją zdenerwują. Wiesz, wtedy zupełnie inaczej traktowano te sprawy.

- A ojciec? - zapytała cicho Veronica.

Odwróciłam się, żeby obserwować reakcję kobiety. Zadrżał jej podbródek i już myślałam, że się rozpłaczę. Odwróciła się do nas plecami, dołożyła do kominka i szturchała drewno pogrzebaczem tak długo, aż zapłonęło jasnym płomieniem. Wtedy znów się odwróciła i ukazała nam opanowaną twarz.

- Charles Lloyd Patterson, malarz... To nie jego wina, o niczym nie wiedział, a ja nie mogłam zabrać Lydii. Takie były czasy. Nie miałam pieniędzy, znikąd wsparcia, musiałam postąpić, jak kazali mi rodzice.

- Jak do tego doszło? - spytała Veronica.

Też byłam ciekawa, ale obcesowość jej pytania zaskoczyła mnie.

Moja babcia, bo w końcu ta kobieta nią była, wstała i zaczęła przemierzać przestrzeń przed kominkiem, tam i z powrotem, rozcierając zmarznięte ręce.

- Rodzice wynajęli Charlesa, żeby namalował mój portret. I jakoś tak zniecka zakochaliśmy się w sobie. Byłam bardzo młoda, a on już nie.

- A gdy pani urodziła...

- Chciałam wrócić do domu, ale ojciec kupił mi mieszkanie w Londynie. Myślę, że ta sprawa go przybiła. Znalazłam pracę przy katalogowaniu zbiorów British Museum. Dopóki żył ojciec, nie pokazałam się w domu. Potem wyjechałam z Londynu i zamieszkałam tu, a pięć lat temu umarła moja matka.

- A malarz?

- Nigdy więcej nie zobaczyłam Charlesa. On nie wiedział



o istnieniu Lydii.

- Widziałyśmy dwie pani podobizny z młodości - powiedziałam.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Byłyście tam?

Potwierdziłam ruchem głowy. Pragnęłam poczuć do niej złość, ale nie potrafiłam. Zapadło długie milczenie. Ani Veronica, ani ja nie mogłyśmy wydobyć z siebie głosu.

- A ty? Bardzo surowo mnie oceniasz? - spytała. Lekko wykrzywiła twarz, a w spokojnym zazwyczaj spojrzeniu pojawiło się coś w rodzaju lęku.

Owinęłam sobie kosmyk włosów wokół palca. Było w niej coś, co budziło litość. Jak można kogoś zmusić, żeby ot tak oddał własne dziecko? Usiłowałam ją osądzić, ale nie potrafiłam.

- Nie - wyszeptałam.

Jej twarz rozjaśniła się, wyciągnęła do mnie rękę. Bez chwili wahania podeszłam do niej, wyczuwając smugę zapachu jej perfum. Ucałowała mnie w oba policzki i były to najłżejsze pocałunki, jakie można sobie wyobrazić.

Veronica napawała się tym widokiem. Usiadłam znowu koło niej.

- A Alec? Skąd pani wiedziała, że ożenił się z Lydią?

- Chodźcie, coś wam pokażę.

Emmeline wyprowadziła nas z salonu i wąskim korytarzem przeszłyśmy na tyły domu. Wzięła zawieszony na szyi klucz i otworzyła drzwi do pokoju, skąd na wypełnionym śnieżnymi chmurami niebie widać było maleńki promień słońca.

Na ścianach trudno byłoby znaleźć skrawek wolnej powierzchni. Zdjęcia dwóch niemowlaków, dwóch małych dziewczynek, pięknej kobiety z płomiennymi włosami i wycinki z gazet przyszpilone do wielkiej korkowej tablicy. Podeszłam bliżej. Ślub moich rodziców. Zawiadomienie o moich narodzinach. List od ojca, który w krótkich słowach informuje o zniknięciu mojej mamy. Artykuły o Malajach opisujące piękno tego kraju i grozę kryjącą się w dżungli.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Ledwo mogłam oddychać. Przed oczami przesuwały mi się różne obrazy. Na wpół zapomniane zdarzenia, wypadki za miasto, nastroje i pomarańczowe, oświetlone słońcem dachy parterowych domków wypoczynkowych, gdy jeździliśmy nad morze. A nade wszystko zapach trawy cytrynowej i perfum mojej matki.

- A więc wszystko o nas wiesz? - spytałam, odwracając się do niej. - O Fleur, o mnie i o mamie.

Pokręciła głową.

- Nie wszystko. Nadal nie wiem, gdzie się podziewa twoja matka. Jak ci mówiłam, śledziłam koleje jej losu za pośrednictwem mojego prawnika, który informował mnie o zmianach w jej życiu. Wiedziałam o jej małżeństwie, o tym, że nie wróciła z wami do Anglii. Poleciałam mu, żeby prowadził poszukiwania wszelkimi możliwymi metodami.

Położyła sobie dłoń na gardle i przytrzymała ją tam.

- Proszę mówić dalej - domagałam się.

- Gdy trafiliśmy na pewien ślad, wyjechałam za granicę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Miałam nadzieję dotrzeć do Malajów, ale utknęłam w Australii. Wiesz, z powodu

zdrowia.

- Musimy ją znaleźć - powiedziałam spokojnym tonem.

Spojrzała na mnie z poczuciem pewności w oczach.

- Znajdziemy. I mam nadzieję, że pani, Veronica, nam w tym pomoże.

Veronica pokiwała głową na znak zgody.

Emmeline poprowadziła nas do drzwi, a ja trzymałam ją za zimną jak lód rękę. Nad jej ramieniem dostrzegłam na ścianie dalsze olejne malowidła i byłam ciekawa, czy to portrety moich przodków.

- Dlaczego nie powiedziałaś jej, kim jesteś, gdy była już dorosła i mieszkaliście tak blisko siebie? - zapytałam.

- Miałam taki zamiar. Ale im dłużej to odwlekałam... - Głos znów jej zadrżał. - Bieg wydarzeń mi nie sprzyjał. Wojna, a potem tak nagle wyjechali na Malaje. Przepraszam.

- To dlaczego teraz zgodziłaś się na prośbę prawnika ujawnić, że to ty płaciłaś za moje kształcenie?

- Bo bardzo chciałam poznać ciebie i twoją siostrę. A skoro szukanie Lydii z pomocą Aleca nie przynosiło rezultatów, pomyślałam, że czas odkryć karty. Niezależnie, czy to się spodoba waszemu ojcu, czy też nie.

Zamilkła.

Widziałam, że jest zrozpaczona, i pocałowałam ją w równie zimny jak dłonie policzek.

- Odwiedź mnie w czasie ferii w lutym, może na coś do tego czasu natrafimy - powiedziała. - A jeśli trzeba będzie w tej sprawie udać się na Malaje, pojedziemy tam razem, a co mi tam?

Uśmiechnęłam się i pomachałam ręką na pożegnanie, po czym poszliśmy z Veronicą przez zimowy pejzaż, gdzie niebo wyglądało jak rozwodnione mleko. I choć na mrozie było zimno, moje serce płonęło z radości. Wiedziałam już, kto płaci za moją szkołę, chociaż to teraz wydawało mi się zupełnie nieważne. Ważne natomiast było, że odnalazłam Emmę Rothwell. Odnalazłam babcię.

Byłam ciekawa, czy Veronicę też nurtuje to samo pytanie, co mnie: dlaczego ojciec ukrywał prawdę?

- Co teraz zrobimy z tatą? - zapytałam.

- Może najlepiej będzie, jeśli na razie nic mu nie zdradzimy. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o miejscu pobytu twojej matki.

- Ale on chce sprzedać dom.

- Nie martw się. Wiem, co zrobić, żeby to się nie stało tak szybko. W czasie ferii półsemestralnych przywiozę cię tu i znów razem odwiedzimy twoją babcię.

- Kochasz go jeszcze po tym wszystkim? - spytałam.

Pokiwała głową.

- Miłość to nie taka prosta sprawa. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale sądzę, że tak, kocham go. To niejednoznaczna postać, na pewno ma ciężki charakter, ale jestem mu potrzebna.

W jednym miała rację: istotnie trudno to było zrozumieć.

Rozgorączkowana Lydia nie mogła spać, wzięła więc dwie pigułki nasenne, które zostały jej z czasów, gdy była przekonana, że jej córki zginęły w płomieniach. Spała dobrze, obudziła się rozpostarta w poprzek łóżka. Przedzierające się przez żaluzje słońce malowało pokój w świetliste paski, a ona zastanawiała się, jak by to było, gdyby obok leżał Adil. Rankami, gdy się budziła, jej myśli pełne były Adila, ale wieczorem, gdy kładła się spać, oraz w ciągu dnia myślała wyłącznie o swoich córkach.

Z pokoju dziennego dobiegały jakieś głosy, zwlokła się więc z łóżka i niepewnym krokiem dotarła do drzwi.

Na jej widok Cicely uniosła nienagannie umalowaną twarz.

- Cześć, kochanie. Ciężka noc? - Roześmiała się znacząco i z zabawną miną spojrzała na Adila. - Rozumiem, że napijesz się z nami kawy?

Lydia czuła się niezręcznie. Cicely zawsze wiedziała, jak ją zbić z tropu. Zmarszczyła czoło i podeszła do okna, żeby uniknąć jej kpiącego spojrzenia. Przyglądała się swoim dłoniom, jakby nowy czerwony lakier na paznokciach na to zasługiwał, po czym wyjrzała przez okno. Było wyjątkowo wietrznie. Nie wiedząc, jak się zachować, obserwowała, jak wicher przegania po niebie puszyste białe chmury, gdy nagle przypomniało się jej, że winna jest Cicely podziękowanie, o ile

nie coś więcej.

Odwróciła się.

- Nigdy nie podziękowałam ci, że poznałaś mnie z Clarą. Gdybym jej nie spotkała... cóż, nawet boję się myśleć.

- Nie musisz mi dziękować, kochanie.

Lydia spojrzała na twarz Cicely w pełnym słońcu i zrobiło się jej żal przyjaciółki. Kurze łapki wokół jej oczu pogłębiły się i teraz chyba wyglądała na swój wiek.

- Lepiej już sobie pójdę. Wszystkiego dobrego, kochana. - Cicely roześmiała się i skinęła głową w stronę Adila. - Bawcie się dobrze!

Uniosła brew i wyszła, szybko potrząsnąwszy obwieszonym bransoletami nadgarstkiem.

Lydia skrzywiła się.

Adil puścił do niej oczko. Miał na sobie ubranie w odcieniach burgunda i błękitu, co wspaniale podkreślało brąz jego oczu.

- Nie pozwól, żeby ci dogryzała - powiedział.

Maz obierał sobie japońską mandarynkę satsuma. Odwrócił się do nich na stołeczku i cytrusowa woń wypełniła pomieszczenie.

- Czego ona tu szuka? Nie licząc oczywiście tego, że chce mnie onieśmielić.

Potrząsnął głową i pokazał jej kopertę.

- Ciebie łatwo onieśmielić, zbyt łatwo. Ale chodziło o to. Przyniosła to.

Lydia zamrugnęła oczami.

- Od kogo?

Wzruszył ramionami i podał jej telegram, nie kryjąc

ciekawości.

Przeczytała i zmarszczyła czoło.

- No i co? - spytał.

- Nic nie rozumiem. Jakaś kobieta pyta o dokładne miejsce mojego pobytu.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Cooper-Montbéliard. Píše, że zwraca się o to w imieniu mojej rodziny. Jako adres zwrotny podaje numer skrytki pocztowej w Worcestershire.

- Dlaczego napisała do Cicely?

- A bo ja wiem? Ale co to znaczy: „W imieniu Pani rodziny”?

- Lydia jeszcze raz przejrzała tekst. - Musi mieć na myśli Emmę i Fleur.

Zapadło milczenie. Przeczytała telegram jeszcze kilka razy, po czym uniosła wzrok. Adil wyciągnął do niej rękę. Podeszła i wtuliła twarz w jego tors. Maz przyskoczył do stolika kawowego, piszcząc i klaszcząc zawzięcie.

- Maz, wszystko tu porozbijasz. - Adil powstrzymał go ruchem dłoni, a chłopiec zaczął się z nim szamotać. - I idź, pościel to swoje polowe łóżko, na miłość boską.

- Nie ma na co czekać - powiedziała Lydia, odsuwając się od nich. Zapisała sobie numer skrytki pocztowej na skrawku papieru.

- Znasz tę kobietę?

Wzruszyła ramionami i podniosła rękę do góry.

- Nieważne. Jeszcze dziś jej odpowiem.

- Chcesz jechać natychmiast? To znaczy do Anglii?

Pokiwała głową. Na skroni w widoczny sposób pulsowała jej

żyłka. Chciała jeszcze raz dotknąć Adila, przyłożyć głowę do jego piersi i usłyszeć bicie serca. Ale teraz najważniejszymi dźwiękami były dla niej głosy nawołujących ją córek.

- Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że masz niesamowite oczy? - spytał z uśmiechem.

- Myślałam, że nie zwracasz na to uwagi - odparła, przekrzywiając głowę. Roześmiała się, ale nie był to śmiech beztroski. Wiele razy słyszała, że jest piękna, ale w ustach Adila to miało inną wagę.

Zapadła cisza, której żadne z dwojga nie śmiało zakłócić. Jej uczucie do niego narastało powoli, a wraz z nim rosło przekonanie, że w jakiś dziwny sposób on czuje to samo. Ucisk w klatce piersiowej sprawił, że nie mogła oddychać. Odwróciła się i zajęła zmywaniem naczyń. Myśl, że będzie musiała go opuścić, była dla niej czymś rozdzierającym. Tyle miała mu jeszcze do powiedzenia. Brakowało tylko słów.

Maz kręcił się w kółko, w końcu wrócił na swój stółek i wtedy usłyszała, jak Adil coś do niego mówi.

- Ja też muszę coś powiedzieć - odezwała się nagle, tłumiąc płacz. Stali w dwóch końcach pokoju, patrząc na siebie. Adil słuchał jej w całkowitym bezruchu, jakby całe jego ciało było zajęte tą czynnością.

- Zawiodłam męża, zawiodłam moje córki.

- Nawet jeśli, to przecież nie była tylko twoja wina.

- Możliwe, że masz rację. Ale teraz muszę zrobić coś sama i na własny rachunek. Jeszcze raz zobaczyć swoje dzieci. Wybacz mi. To znaczy...

Zrobił krok w jej stronę. Miała nadzieję, że naprawdę darzy



ją uczuciem, podobnie jak ona jego. Że sobie tego nie wzięła. A teraz fala emocji chwyciła ją za gardło i Lydia machnęła ściereczką, jakby odganiając Adila.

- Teraz dzieci są u mnie na pierwszym miejscu - powiedziała. - Gdyby zawsze tak było, to wszystko by się nie wydarzyło... Co ty we mnie widzisz?

- Kobieta, z którą chcę być.

Zapanowała cisza. Nawet Maz przestał się wiercić na swoim stołeczku.

- Nawet wiedząc o mnie to, co wiesz? O Jacku, o dziewczynkach?

Podszedł do niej, objął i delikatnie pocałował w czoło.

- Lydio, odłóż tę ściereczkę. Idź się ubrać.

Gapiała się na niego. W jego oczach dostrzegła coś, co ścisnęło w gardle. Jemu też na niej zależy.

Adil wrócił z biura żeglugi do domu odprężony i uśmiechnięty.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą jechał? - zapytał.

Poczuła, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi, ale uśmiechnęła się i zamrużyła, żeby otrząsnąć z rzesz łyzy.

- Mam już takiego małego towarzysza podróży.

Maz spojrział w górę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Będę jechał statkiem.

- Dzięki Bogu, że odblokowali już Kanał Sueski - powiedział Adil. - Inaczej podróż trwałaby co najmniej miesiąc.

Jej to nie przyszło do głowy. Dziękowała losowi, że dostała świadectwo urodzenia Maza. Dzięki niemu Adil mógł sprawnie załatwić wszystkie formalności związane z podróżą, a do

wypłynięcia z portu zostało wystarczająco wiele dni, żeby spokojnie mogła nadejść w tym czasie z Anglii wiadomość, gdzie dokładnie ma się udać.

- Pewnie chciałbyś, żeby ten statek był ogromny, co, kochanie? - powiedziała, strosząc małemu czuprynę. - Nie martw się, już ja cię przypilnuję.

Znad ramienia Adila obserwowowała morską mgiełkę i rozpościerające się nad oceanem chmury. Odwróciła wzrok od widoku za oknem i popatrzyła na wydatne kości policzkowe i szeroko rozstawione oczy mężczyzny. A potem przez chwilę podziwiała jego gibkość, gdy poruszał się po pokoju.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Całkowicie spokojny przesunął dłonią po głowie. Czekala na coś więcej, choćby lekką zmianę wyrazu twarzy. A może spodziewała się, że trochę lepiej zrozumie samą siebie. Sama już nie wiedziała. I wówczas poza znajomymi rysami ujrzała coś jeszcze. Lekkie poruszenie oczu, głębokie, ledwo dostrzegalne ciepło uśmiechu. To wystarczyło, żeby ją upewnić, że jego uczucia są równie prawdziwe. To przekonanie pozwoliło jej oddychać swobodniej, jakby tkwiący w środku ciasny, bolesny supeł powoli się rozluźniał. Uśmiechnęła się, wzięła paczkę kandyzowanych daktyli i podeszła do okna. Maz i Adil dołączyli do niej i wszyscy troje jedli daktyle, przyglądając się mewom szybującym po niebie, z którego w jednej chwili znikły wszystkie chmury.

- Nigdy więcej żalu - powiedział.

- Ani trochę.

- Napiszesz? Daj mi znać. Jak najszybciej.

- Jak tylko dopłynę.

Z ulicy dobiegał słodki zapach melonów, a nagle eksplozja ptasiego śpiewu spowodowała, że znów wyjrzała przez okno. To zabawne, ale smutno jej było opuszczać Malaje.

- Dziękuję - powiedziała i poczuła nagłą suchość w ustach.

Pochylił się, a ona ujęła jego twarz w dłonie. Ucałowała obie powieki.

- Zawsze byłeś tym, za kogo się podawałeś - prawdziwym przyjacielem. Ale dla mnie jesteś kimś o wiele ważniejszym. Nie wiem, jak to robiłeś, ale dzięki tobie uzyskałam jasny obraz samej siebie.

- Będę przy tobie, gdy tylko poczujesz się gotowa - powiedział. - Jedno twoje słowo i wsiałam na najbliższy okręt. Zdecydujemy, co dalej, kiedy już poczujesz się pewniejsza. I nic tego nie zmieni.

Kiwnęła głową i położyła sobie palec na ustach. Nowa, dojrzała miłość. Pewność, która nie potrzebuje tłumaczeń. Przypomniało się jej, co kiedyś powiedziała Emma. Gdy znajomi jej i Aleca z Malakki się rozstawali, Emma przechyliła głowę na bok i bardzo smutnym głosem powiedziała: To dlatego, że nie byli dla siebie właściwymi osobami.

Wspominając te słowa, Lydia uśmiechnęła się promiennie.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Adil.

- Ty. Ty jesteś dla mnie właściwą osobą. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko zimnemu klimatowi.

- Jestem twardzielem, Lydio - roześmiał się.

Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Rysował się przed nią obraz przyszłości i wszędzie, gdzie była ona, był

także i on. Tak wyraźnie, że nawet gdyby chciała go zamalować, i tak pozostałby głównym elementem tego obrazu. Wszystko się ułoży. Wkrótce znów się zobaczą. Zza chmur wyszło słońce, powietrze było czyste. I o to chodziło. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się w duchu. Czuła się niesamowicie lekko. Z nadbrzeża machała do niej kobieta w jasnoniebieskiej sukience. Unosząca się nad całym jej dotychczasowym życiem zjawia nagle zblakła i Lydia zwróciła się ku przyszłości. Dzięki Bogu, wkrótce znów zobaczy swoje córki. Życie dało jej drugą szansę i to było teraz najważniejsze.

## 54

Nadeszła niecierpliwie wyczekiwana przerwa półsemestralna i Veronica miała mnie ponownie zabrać do Kingsland Hall. Było zimno i tak wcześnie, że nad polami ciągle jeszcze unosiły się białe mgły. Zaparkowała z boku szkolnego budynku, gdzie mur popękał pod wpływem tęgich mrozów.

Gdy tylko wsiadłam do samochodu, wyczułam, że coś jest nie tak. Spytałam ją, o co chodzi, ale nawet na mnie nie spojrzała. A gdy chciałam się dowiedzieć, czy pojedziemy prosto do Kingsland Hall, zwrócona do mnie bokiem powiedziała, uśmiechając się smutno:

- Przykro mi, ale nie. Musimy od razu jechać do domu.
- Coś się stało?
- Twój ojciec się dowiedział.

Zmarszczyłam czoło.

- Dowiedział się, że go oszukałyśmy, że bez jego wiedzy zawiozłam cię do Emmeline. Jest wściekły. Mówi, że byłam wobec niego nielojalna.

- Jak może mówić coś takiego po tym, co sam zrobił!

Veronica lekko pokręciła głową. Była chyba bliska łez.

- Jak się dowiedział?

- Podśledzał, jak wczoraj wieczorem przez telefon rozmawiałam z twoją babcią o biletach.

Powiedziała to jakby nigdy nic, ale ja od razu zrozumiałam, o co chodzi. Mimo kiepskiego nastroju uśmiechnęła się. To była magiczna chwila. Nie mogłam uwierzyć. Trzęsłam się z podniecenia tak bardzo, że musiałam sama objąć się rękami. Bilety na podróż na Malaje!

- Nie wiem, czy o tym słyszałaś, ale kiedy twoja babcia przeczytała w gazecie tamten wywiad, zdobyła adres Cicely, przyjaciółki twojej mamy. Chyba od dziennikarza, który ten wywiad przeprowadził.

- Pamiętam Cicely.

Ja wprawdzie nie dostałam od wydawcy żadnej odpowiedzi, ale byłam uszczęśliwiona, że babci lepiej się powiodło.

- Wysłała do Cicely telegram, ale nie otrzymała odpowiedzi, więc teraz chce pocztą lotniczą wysłać list i zawiadomić ją, że obie - ty i ona - wybieracie się na Malaje.

Przyszła mi do głowy paskudna myśl.

- A jeśli ojciec będzie próbował mi tego zabronić?

- To twoja babcia pojedzie sama - odparła Veronica. - Tak czy owak, właśnie dlatego musimy jechać prosto do domu. On szaleje i nie jestem pewna, czy uda mi się go przekonać. Musimy wyrobić ci nowy paszport, ale to mogę zrobić i bez niego. Nie chcę, żeby miał dodatkową okazję do kombinowania.

W domu panowała ciężka atmosfera. Fleur poszła do koleżanki, miała tam też nocować, a ja siedziałam w swoim pokoju przy uchylonych drzwiach. Z dołu dobiegał głos ojca, i chociaż nie rozumiałam poszczególnych słów, z samego tonu mogłam się zorientować, że nie będzie łatwo.

W końcu Veronica przyszła na górę, miała zaczerwienione oczy i była bledsza niż zazwyczaj.

- Wyjeżdżamy. Namówiłam go na wycieczkę do Cotswolds i lunch w Chipping Campden. Dasz sobie radę?

Odpowiedziałam szerokim uśmiechem.

Co może mi zrobić tata, skoro mam babcię? Moja babcia. Powtarzałam sobie te słowa i szczypałam się, żeby się przekonać, że to prawda. Chociaż trochę martwiło mnie, jak ona zniesie niełatwy malajski klimat, no i pozostała jeszcze kwestia paszportu...

Popołudnie miało powoli. Przepeliątała mnie cicha nadzieja i już zaczęłam marzyć o malajskim upale, gdy usłyszałam na dworze jakiś hałas. Zamarłam. Czyżby Fleur wcześniej wróciła od koleżanki? Zeszłam po schodach i wyjrzałam przez okno w kuchni. Przez nagie konary buka w końcu ogrodu przeświecało niskie słońce. Był już prawie zmierzch i ktoś się tam kręcił. Otworzyłam tylne drzwi.

- Któregoś dnia o tym napiszesz - powiedział Billy, podszedł i pocałował mnie w policzek.

Nie byłam tego wcale pewna. Odkąd pozostawiłam Claris jej losowi, prawie nic nie udało mi się napisać.

- O czym?

- O wietrze szumiącym ci we włosach, Em. Wziąłem od taty motor. Dokąd jedziemy?

W drodze do Kingsland Hall patrzyłam na czarną i zimną rzekę, nad którą kiedyś razem z Billym machaliśmy nogami. Gdy jechaliśmy szosą, nad domem pojawił się księżyc w nowiu. Odetchnęłam głęboko. Nów. Nowy księżyc. Nowe życie.

W drzwiach powitał nas pomocnik babci.

- Nie ma jej - powiedział zmartwionym głosem.

Serce mi podskoczyło.

- Gdzie jest?

- Twoja babcia jest w szpitalu. Bardzo mi przykro.

- Zawieziesz mnie tam? Proszę cię - zwróciłam się do Billy'ego.

Asystent ostrzegawczo uniósł rękę.

- Obawiam się, że jej stan jest poważny. Była ostatnio taka podenerwowana, wiedziałem, że to może się źle skończyć. Rozmawiałem z przełożoną pielęgniarek. Nie wpuszczą do niej nikogo wcześniej niż jutro rano.

- Billy?

- Daj spokój, Em. Pojedziemy rano. Tak jak mówi ten pan.

Na trzęsących się jak galareta nogach stałam przy biurku w izbie przyjęć. Recepcjonistka skierowała nas na ostatnie piętro w głównym skrzydle. Mimo wczesnej pory szpital funkcjonował - jeśli tak można powiedzieć - na pełnym biegu. Wszędzie czuć było silną woń eteru. Salowe pchały po korytarzach wózki, a my musieliśmy przechodzić niezauważeni obok grupek rozmawiających cichymi głosami lekarzy w białych fartuchach. Pchnęłam wahadłowe drzwi z napisem „Obserwacja” prowadzące na tętniący gwarem oddział. Każdy tu gdzieś biegł, telefon dzwonił bez przerwy i słychać było strwożone wołania o pomoc. Właśnie rozwożono pacjentom śniadanie, zrobiłam więc krok w tył i wpadłam na pulchną pielęgniarkę.



- To nie jest pora odwiedzin - powiedziała, marszcząc brwi.  
- Tu się tego przestrzega.

- Bardzo panią proszę. Przyszłam do babci, panny Cooper-Montbéliard.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, po czym poprowadziła nas przez główne drzwi i długi korytarz. Zatrzymała się przed salą, gdzie nad drzwiami paliła się czerwona lampka, i spojrzała na mnie.

- To jedyna separotka na tym piętrze. Możesz wejść, ale proszę unikać emocji. Ona jest bardzo chora.

Wzięłam głęboki wdech.

- Billy, zaczekasz tu?

Pokiwał głową, a ja pchnęłam drzwi i zajrzałam do środka. Okno było zasłonięte, panował półmrok. Na metalowej szafce przy łóżku stały butelka napoju gazowanego Lucozade, jeszcze nieodwinięta z pomarańczowej folii, puszka odżywki Ovaltine i nieotwarte pudełko czekoladek Black Magic. Z początku nie mogłam dostrzec nic poza tym, bo biała twarz i włosy babci ginęły na tle pościeli. Wyglądało to prawie tak, jakby w pokoju nikogo nie było. Jedynie ciche poświstywanie świadczyło o tym, że nie jestem tu sama. Wsłuchałam się w jej oddech, po czym usiadłam przy łóżku na twardym krześle z prostym oparciem.

Była podłączona do zawieszanej na statywie kroplówki. Oparłam się i przymknęłam oczy. Niczego w życiu bardziej nie pragnęłam. Błagałam Boga, żeby jej się poprawiło, żeby utrzymał ją przy życiu, żeby mama mogła ją poznać. Wiedziałam, że już nie ma co myśleć o wspólnym wyjeździe na

Malaje, ale to nieważne. Najważniejsze, żeby żyła. To byłaby wielka niesprawiedliwość – zaledwie ją odnalazłam, a już miałabym utracić. Otarłam łzy, ale nowe wciąż napływały mi do oczu.

Po chwili otworzyła oczy, miała taki dziwny wyraz twarzy. Chyba mnie nie poznała i ponownie je zamknęła. Weszła pielęgniarka, spojrzała zmartwiona, skinęła mi głową i wyszła. Siedziałam tak godzinami, tyłek mi zdrętwiał od tego twardego drewnianego krzesła. Billy przyniósł mi bułkę i gorącą czekoladę, a potem poszedł do stołówki, żeby dalej na mnie czekać.

Przyszedł lekarz.

- Czy ona wyzdrowieje? – spytałam, cała spięta.

Odchrząknął.

- Ma zapalenie płuc – wyjaśnił głuchym, obojętnym tonem.

- To moja babcia. Proszę mi powiedzieć.

Chyba przez chwilę się wahał.

- Posłuchaj, trudno coś przewidzieć. Ona dodatkowo ma astmę, a to poważnie komplikuje sprawę. Obserwujemy ją uważnie. Możesz tu siedzieć, ale chyba lepiej będzie, jeśli pójdziesz na dół do stołówki.

- Zaczekam.

Odślonił okno, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nagle światło oślepiło mnie. Okno wychodziło na parking i przez chwilę patrzyłam na ludzi chodzących tam i z powrotem z bagażem zmartwień i lęków. Potem przysunęłam krzesło bliżej łóżka i zamknęłam oczy, myśląc o wydarzeniach trzech ostatnich lat. Wyjechałam z Malajów

jako dziecko i teraz, wsłuchując się w oddech mojej babci, zdałam sobie sprawę, jak bardzo tamten moment jest dla mnie odległy. Siedziałam tak nieskończenie długo zamysłona i wpatrzona w szare linoleum.

Jej głos zaskoczył mnie.

- Emma? - powiedziała.

Oddech uwiązał mi w gardle - patrzyła na mnie pełnym życia, całkowicie świadomym wzrokiem.

- Wyzdrowiejesz. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się i mówiła, ledwo oddychając:

- Posłuchaj, dziecko. Zmieniłam testament. Leży u mojego prawnika, a mój asystent będzie wiedział, co robić. W razie gdyby mi się coś stało, wszystko będzie należeć do ciebie i do Fleur, po osiągnięciu przez was pełnoletności.

- Ale nic nie...

Uniosła drżącą dłoń, żeby mi przerwać.

- Do tego czasu ustanowiłam powiernictwo, dzięki czemu będziecie mogły korzystać z majątku w razie potrzeby. Obie możecie mieszkać w moim domu, gdy osiągniecie odpowiedni wiek, jeśli oczywiście będziecie chciały. Tak bardzo pragnęłabym poznać moją drugą wnuczkę.

- A moją matkę?

- Też. Jeśli mi wybaczy. Miałam właśnie zamiar pojechać do twojej szkoły, a tu złapała mnie choroba. Chciałam sprawić ci niespodziankę biletami na podróż na Malaje, ale teraz...

Sapnęła i lekko wzruszyła ramionami.

Wzięłam ją za rękę.

- Co będzie z mamą? Może powinniśmy jeszcze raz napisać

do jej przyjaciółki?

- Już to zrobiłam. To trochę trwa, nawet pocztą lotniczą, ale wkrótce powinnam mieć jakieś wieści. Oczywiście może się okazać, że ta Cicely nie wie, gdzie przebywa Lydia, ale od czegoś trzeba zacząć. A tak przy okazji - mój asystent zwrócił bilety. Ale gdy tylko poczuję się lepiej, pojedziemy.

Serce zaczęło mi bić szybciej, przyłożyłam policzek do jej kołdry, a ona pieszczotliwie potargała mi włosy.

- Nie martw się, kochanie, na pewno ją zobaczysz. Będziecie miały sobie mnóstwo do opowiedzenia.

Podniosłam wzrok.

- Ty też.

- Ja też - odparła i zamknęła oczy.

Chciałam przełknąć ślinę, ale w gardle rosła mi gęła. Słyszałam, jak bije jej serce.

- Nie martw się - powtórzyła, otwierając oczy. - Ja jestem po prostu zmęczona. Dojdę do siebie szybciej, niż myślisz. Tyle przeżyć przede mną. O wiele więcej, niż na to zasłużyłam.

Miałam wyschnięte gardło i nie mogłam mówić. Ona wyzdrowieje. I nadejdzie dzień, kiedy wszystkie razem zamieszkamy w Kingsland Hall.

Przesunęły mi się przed oczami wypolerowane drewniane schody i wysoki sufit w tym domu. Czy to możliwe? W żadnej z wymyślanych przeze mnie najdzikszych historii nie przewidziałabym czegoś takiego. Byłam tak szczęśliwa, że chciało mi się podskakiwać, choć jednocześnie jakiś głos podszeptował mi: „Dlaczego Cicely nie odpowiedziała babci na

telegram? A może twoja matka wcale cię nie chce?”.  
Potrzęsnałam głową, żeby odpędzić takie myśli. Do utraty tchu  
tęskniłam za mamą i bardzo chciałam ją zobaczyć. Nie do  
pomyślenia, żeby teraz nam się to nie udało.

W liverpoolskim porcie ludzie niespokojnie zbijali się w grupki. Wszystko było jakby wyblakłe, rozwodnione, w błogim kontraście do ciemnych chmur i tropikalnych malajskich burz. Pachnący smarami mężczyźni w czapkach i niebieskich kombinezonach zmagali się z potężnymi linami i łańcuchami. Ziemię pokrywała warstwa sadzy, ale pod tym brudem i bieganiną wyczuwało się spokój i wyciszenie, istotę czegoś, co można uznać za „angielskość”. Nie mogła nie myśleć o swoich córkach i długich trzech latach, gdy ich nie widziała. Czas, kiedy była przekonana, że nie żyją, wspominała obecnie jak zły sen.

Zdziwiła się nieco, gdy nie przyszedł drugi telegram od panny Cooper-Montbéliard. Liczyła, że znajdzie w nim jakiś adres, pod który będzie się mogła udać, ale w końcu zdecydowała, że spróbuje szukać w domu rodziców Aleca. Mocno ścisnęła rączkę Maza, drżała z niecierpliwości i wyobrażała sobie pofałdowany zielony teren otaczający ich dom. Kilkoro przechodniów przyglądało się jej podejrzliwie, gdy z przekrzywioną głową, szeroko rozpostartymi rękami i skierowanymi ku górze otwartymi dłońmi napawała się wilgotną mżawką.

Taksówka jechała powoli. Lydia poprosiła kierowcę, żeby stanął w pobliżu i zaczekał na nią.

Pogłaskała chłopca po głowie.

- Maz, poczekaj w samochodzie. To nie potrwa długo.

Z daleka dom rodziców Aleca wyglądał jak dawniej. Gdy jednak podeszła bliżej, zobaczyła kompletnie zapuszczony i zdziczały ogród. Coś było nie tak. Ojciec Aleca nigdy by do tego nie dopuścił. W niekoszonej trawie obok frontowego żywopłotu leżała tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Serce się jej ścisnęło.

Rozejrzała się wokół. Na następnej posesji sąsiad grabił siano. Podeszła i zakasłała. Mężczyzna podniósł wzrok.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała. - Szukam Erica Cartwrighta i jego żony. Może pan mi powie, gdzie oni są?

Mężczyzna wyprostował się i podrapał po plecach. Przyłożył do ucha zgiętą dłoń.

- A co chodzi, kochaniutka?

- Szukam Erica Cartwrighta - powtórzyła głośniej.

- O nie, ich tu nie ma - odparł, kręcąc głową. - Przykro mi, moja droga.

Wziął w rękę grabie i podążył do garażu.

- A wie pan, dokąd wyjechali?! - zawołała za nim, ale on nie usłyszał i zamknął drzwi.

Na poczcie, w okienku, gdzie przyjmowano telegramy, rozmawiała przez metalową kratę z siwowłosą kobietą. Kobieta bez skrępowania gapiała się na Maza, więc Lydia mocniej ścisnęła jego rękę i uśmiechnęła się - w swoim własnym mniemaniu - przekonująco.

- Dostałam telegram od panny Cooper-Montbéliard. Jako

adres zwrotny podano numer skrytki pocztowej. Odpowiedziałam jej i oczekiwałam, że do mnie napisze, ale tak się nie stało.

- Numer pani skrytki? - spytała kobieta.

- Nie, ja tu nie mam skrytki.

- Ale przed chwilą pani powiedziała, że czeka na odpowiedź.

- Przepraszam, to nieporozumienie. Potrzebuję adresu osoby, która wysłała mi telegram ze swojej skrytki. - Pogrzebała w torbie i wyjęła kawałek papieru. - Proszę spojrzeć, tu jest numer. Zapisałam sobie.

Kobieta zasznurowała usta.

- O nie. Nigdy nie ujawniamy adresów. Na tym polega idea skrytek pocztowych.

- Ale to naprawdę ważne.

- Wszystkim tak się wydaje, moja droga - odparła kobieta, najwyraźniej już najeżona. - A teraz, skoro to wszystko...

Lydia pokręciła głową. Nie po to jechała taki kawał świata, żeby teraz dać się spławić.

- Nie, to nie wszystko. Proszę spojrzeć na ten numer. Może pani przynajmniej sprawdzić, czy został z niego wysłany jakiś inny telegram? Lydia Cartwright.

- No cóż, to akurat mogę zrobić. - Kobieta przeczytała numer i zmarszczyła czoło.

- Jest pani pewna, że to właściwy numer?

Lydia przytaknęła.

- A ma pani oryginał tamtego telegramu?

Lydia zaczęła przeszukiwać torbę, coraz bardziej poruszona. Czy nie zostawiła depeszy w mieszkaniu Adila?



Przypomniała sobie, że zapisała numer na kawałku papieru, a sam telegram zostawiła w bezpiecznym miejscu, żeby go nie zgubić. Wyszła potem na miasto, ale wzięła tylko kartkę z numerem, bez tekstu. To ta sama kartka, którą teraz ma w ręku.

- Przykro mi, moja droga. To nie jest nasz numer. Nasz rejon jest dość rozległy, ale żaden z naszych numerów nie zaczyna się na siedem pięć. Życzę miłego dnia.

Lydia obróciła się na pięcie i odeszła. Wysilała umysł, żeby sobie przypomnieć. Przecież musiała wziąć go ze sobą. Pamiętała, jak pakowała swoją torbę i torbę Maza, nie mogła jednak sobie przypomnieć, jak bierze ponownie do ręki telegram. Może więc zapomniała wsunąć go do torby? Jak mogła być tak nieuwważna? W pośpiechu zanotowała tylko numer i mogła się przy tym pomylić. A - tracąc kompletnie głowę - nie wzięła ze sobą telegramu.

Stało się jasne, że panna Cooper-Montbéliard nigdy nie otrzymała od niej odpowiedzi.

Przygnębiona stała z Mazem na głównej ulicy. Co teraz? Nic nie szło zgodnie z planem i nagły strach, że - po tylu wysiłkach - może nie znaleźć dziewczynek, spowodował taki ból w piersiach, że prawie zapomniała, jak się oddycha.

- Zimno mi, pani - powiedział Maz, szczękając zębami.

Przyciągnęła go do siebie i schowała pod własnym płaszczem z moheru.

- Biedaku, zapomniałam, jak tu bywa zimno. Musimy ci kupić coś cieplejszego.

Gdy mały miał już na sobie ładną kurtkę z ciepłej wełny,

poszli się rozgrzać do kawiarni. Maz patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Gdzie teraz pójdziemy? - odezwał się.

- Właśnie się nad tym zastanawiam.

Przez zaparowane okna przyglądał się przechodniom. Byli opatuleni w szale i mieli wełniane czapy, trudno więc było stwierdzić, na ile różnili się od ludzi, do których przywykł.

- Czy tu zawsze jest tak zimno?

- Nie, w lecie jest inaczej.

- Gorąco jak na Malajach?

- Nie, kochanie.

Uśmiechnęła się radośnie, bo właśnie przyszło jej do głowy, co powinna teraz zrobić. To jasne, udać się do pośrednika w handlu nieruchomościami. Aż podskoczyła na krześle, po czym wstała i wyciągnęła rękę do chłopca.

Maz wsadził ręce do kieszeni granatowej kurtki, rozpierając się na siedzeniu taksówki.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała Lydia. - Poczekasz jeszcze minutkę?

Wrócili przed rodzinny dom Aleca, gdzie wiatr buszował teraz w wysokich trawach. Lydia znalazła w torbie ołówek i kawałek papieru, otworzyła furtkę i pochyliła się nad leżącą obok żywopłotu tabliczką. Starannie przepisała nazwisko, adres i numer telefonu agenta odpowiedzialnego za sprzedaż tej nieruchomości. Nie zauważyła, jak obok zatrzymał się samochód.

Kierowca zawołał do niej:

- No wreszcie, do cholery! Tym razem lepiej przybij to

porządnie. Nic dziwnego, że nie możemy go sprzedać.

Ten głos Lydia rozpoznałaby na końcu świata. Wyprostowała się, otarła mokre ręce o płaszcz i odwróciła twarz w stronę ulicy.

Mężczyzna popatrzył na nią i zrobił krok do przodu.

- Lydia!

Zapadło przedłużające się milczenie.

Była zaskoczona, że ze wszystkich uczuć, jakie mogłyby jej w takiej chwili towarzyszyć, poczuła tylko litość. Alec wyglądał na wycieńczonego, jakby życie wytrząsnęło z jego powłoki cielesnej całą zawartość. W ciemnym płaszczu, z mocno przerzedzonymi krótkimi włosami i sinymi cieniami pod opuchniętymi oczami wydawał się naprawdę stary. Przez okno jego samochodu wyjrzała młoda dziewczyna. Gdy wysiadła z morrisa oxforda i stanęła na drodze obok niego, Lydia wpatrzyła się w nią szeroko otwartymi oczami, a jej serce zaczęło walić jak oszalałe.

To już nie była jej mała córeczka, blondasek z równym przedziałkiem i kokardą we włosach. Ta Fleur miała włosy jasnobrązowe, splecione w długi, opadający na plecy warkocz. I nosiła okulary.

- Fleur? - zapytała Lydia.

Poczuła ucisk w gardle. Stała w ogródku, chciała coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Otworzyła furtkę i zaczęła iść, z powodu łez niemal po omacku. Zatrzymała się. Dziewczyna ani drgnęła. Lydia wyciągnęła do niej rękę.

- Fleur, to ja, mamusia. Nie poznajesz mnie?

Otarła łzy. Wysoka blondynka w szarym kostiumie stanęła z drugiej strony samochodu. Obeszła go, szepnęła coś Fleur do ucha, poklepała ją po ramieniu i lekko pchnęła w kierunku Lydii. Fleur zrobiła kilka kroków jak nakręcana lalka. Lydia też przeszła kawałek. Patrzyły na siebie. Fleur była milcząca i bardzo blada. Po chwili Lydia ugięła kolana, jakby chciała przykłęknąć. Coś ją dusiło, nie mogła mówić. Ledwie dyszała.

Poczuła zapach umytych mydłem włosów Fleur i podniosła rękę, prawie ich dotykając.

Fleur odwróciła się do blondynki, jakby szukając potwierdzenia. Kobieta skinęła głową, ale dziewczyna się nie poruszyła. Zmieszana Lydia też bezwiednie spojrzała na kobietę. Ta kiwnęła głową jeszcze raz.

Lydia i jej córka stały twarzą w twarz, dzieliło je nie więcej niż trzydzieści centymetrów, nie dotykały się jednak. Wtedy Fleur pochyliła się lekko w stronę matki. W odpowiedzi na ten sygnał Lydia delikatnie pogłaskała córkę po włosach.

- Popatrz tylko, jakie masz długie włosy. Jakie piękne.

Objęła dziewczynę. Tyle razy wyobrażała sobie tę chwilę, tyle razy miała złudzenie, że ściska i tuli swoje córki, w snach zaglądała im w oczy w poszukiwaniu światła. Ale tym razem to działało się naprawdę. Zwrócono jej dar cenniejszy niż życie - jej dziecko.

- No cóż, nie będziemy chyba tak stali na zimnie. Wejdz lepiej do środka - przerwał im Alec.

Lydia nie ruszyła się z miejsca.

- Lydio? - ponaglił ją.

Wzięła Fleur za rękę, wyprostowała się i spojrzała mu

w twarz.

- Dokąd wyjechali twoi rodzice?

- Nigdzie nie wyjechali.

- Sąsiad powiedział, że ich tu nie ma.

- Bardzo mi przykro. Eric nie żyje, a matka Aleca jest w domu opieki - odezwała się blondynka. Podeszła i wyciągnęła rękę. - Jestem Veronica.

Lydia skinęła głową, ale jej umysł był bez reszty opanowany myślą o dziewczynkach. Rozejrzała się po ulicy.

- Gdzie jest Emma?

Alec ruchem głowy wskazał coś w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Wysoka dziewczyna zsiadała z tylnego siodła motocykla. Lydia patrzyła, jak zdejmuje kask i potrząsa włosami, a potem staje na palcach, żeby pocałować kierującego motorem chłopaka w policzek.

- On zawsze zatrzymuje się trochę dalej, żebyśmy ich nie zobaczyli - powiedziała Veronica. - Chociaż, rzecz jasna, wiemy o wszystkim.

Dziewczyna odwróciła się i znieruchomiała. Lydia wpatrywała się w wysoką, modnie ubraną młodą damę, która mimo zimna miała na sobie spodnie długości trzy czwarte, botki do kostek i krótką fryzurkę. Lydia pocałowała Fleur w czoło, Veronica zaś, żeby dodać dziewczynie otuchy, położyła jej dłoń na ramieniu. Lydia zaczęła biec w kierunku wysokiej dziewczyny. Poślizgnęła się na trawie i przystanęła. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Czy ta prawie dorosła pannica jest jej córką? Tą samą dziewczynką, która przebierała się za klauna i wybiegała ze szkoły, krzycząc

piskliwie: Mamusiu?

Emma najwyraźniej się zachwiała.

Lydia podbiegła do niej i złapała za ramię.

Dziewczynie trząśł się podbródek.

- Mamusia?

Lydia przyglądała się spoważniałej twarzy Emmy. Turkusowe oczy pełne były łez.

- Och, moja kochana dziewczynka. Tak strasznie się bałam, że cię nie znajdę.

- Mamo, ja ci wtedy zostawiłam list, napisałam, dokąd jedziemy.

Zachłystując się nagle wciągniętym w płuca zimnym powietrzem, Lydia spojrzała do tyłu na Aleca, ale nie zdjęła ręki z ramienia Emmy. Alec przyglądał się swoim stopom.

- Gdy wróciłam, dom był pusty, a was nie było. Nie znalazłam żadnego listu. - Zamilkła, przełknęła łzy i zobaczyła bezmiar bólu w oczach córki.

Czuła na sobie wzrok milionów par oczu. Patrzyli na nią nie tylko Alec, Fleur i Veronica, ale cały świat.

- Och, mamusiu - szepnęła Emma.

Lydia wzięła córkę w ramiona, czuła bicie przytulonego do jej piersi serca. Nigdy w życiu nie byłaby w stanie wyobrazić sobie czegoś równie pięknego i drogiego. Em zaczęła łkać, a ona palcami ocierała łzy swojego dziecka.

Gdy się trochę od siebie odsunęły, przyglądały się sobie nawzajem, rejestrując drobne zmiany: nowa zmarszczka, zmiana kształtu, tu coś zgrubiało, ówdzie się przerzedziło.

Emma cofnęła się o krok.

- Masz we włosach więcej siwych kosmyków. Zmieniłaś się.
- Ty też.

Emma zaróżowiła się i usiłowała coś powiedzieć między kolejnymi napadami płaczu. Lydia poklepała ją po plecach, przyglądając się, jak z każdym oddechem jej pierś wznosi się i opada. Podeszła do nich Fleur i teraz obie jej córki stały obok siebie. Lydia przyglądała się im i duma rozpierała ją do tego stopnia, że jej serce ledwie to wytrzymało.

- Obie jesteście takie piękne.

Fleur uśmiechnęła się słodko, a Em zrobiła się czerwona jak burak.

Alec i Veronica stali w pewnej odległości od nich.

- Ona jest miła - szepnęła Fleur do ucha Lydii. - Wybaczyla tacie, chociaż chciał z niej uczynić bigamistkę.

Coś takiego, pomyślała Lydia sarkastycznie. Zrobiła kilka kroków w kierunku Aleca, trzymając wciąż córki za ręce.

- Myślę, że powinniśmy wejść do środka - powiedział jeszcze raz.

- Tak, bardzo proszę - poparła go Veronica. - Zrobię herbatę i będziecie mogli porozmawiać na osobności.

Przez chwilę nikt nie ruszył się z miejsca, po czym nastoletni chłopak zaczął się oddalać.

- To sprawa rodzinna. Zobaczymy się później, Em.
- Billy też może wejść, prawda? - spytała Emma.
- Lepiej nie. Musimy omówić parę spraw - odparła Lydia. - Wejdz z Veronicą i Fleur, a ja chwilę porozmawiam tu z twoim ojcem.

Fleur spojrzała pytająco na Veronicę, a ta uśmiechnęła się

na znak akceptacji.

Podczas gdy Fleur i Veronica miały furtkę, a Emma pocałunkiem zegnała swojego chłopaka, Lydia i Alec skrzyżowali spojrzenia.

Kiedy zabrakło świadków, wykrzywił twarz.

- Kochałem cię, Lydio. Te bzdury o chorej przyjaciółce... Ty mnie, do jasnej cholery, po prostu rzuciłaś.

- Nieprawda. Zdecydowałam się zostać z tobą.

Wpatrywał się w nią.

- Przestałaś być ze mną już dawno temu. Jeśli się na coś zdecydowałaś, to na dziewczynki, nie na mnie.

Obserwowała jego twarz. Na podbródku ślad zacięcia się przy goleniu, brzeg kołnierzyka koszuli mocno wytarty. Nic z dawnej nieskazitelności. Spojrzała mu w oczy w nadziei, że odnajdzie w nich ślad po tym mężczyźnie, którego kiedyś kochała.

Alec, milcząc niepewnie, skrzyżował ramiona na piersiach.

Emma pozostawiła swojego młodzieńca i szła w kierunku Fleur i Veroniki, które stały już w drzwiach domu. Od strony taksówki Lydię dobiegły kroki i wołający ją głosik.

- Pani Lydia. Pani?

Odwróciła się i ujrzała biegnącego do niej Maza.

- O mój Boże, kompletnie zapomniałam. - Wzięła chłopczyka za rękę, ścisnęła ją mocno i zwróciła się do córek: - Dziewczyny, chodźcie tu, proszę, zanim wejdziemy do środka.

Fleur podeszła do Emmy.

Lydia poklepała Maznana po plecach.

- Maz - powiedziała - czas, żebyś przywitał się ze swoimi



przyrodnymi siostrami.

Zobaczyła, jak Emma blednie. Pokręciła głową.

- Nie, kochanie, on nie jest moim synem.

Spojrzała na Aleca, który gapił się na Maza.

Zapadło długie milczenie.

Lydia zauważyła, że znów zerwał się wiatr, suche trawy zaczęły szumieć. Przed oczami przemknęły jej ostatnie trzy lata. Żal. Żałoba. Spowodowany przez nią ból serca. Cokolwiek on teraz zrobi, nie jest w stanie tego naprawić. Może z wyjątkiem tej jednej rzeczy.

Alec przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, po czym, słysząc, jak Veronica gwałtownie łapie oddech, odwrócił się i spróbował uśmiechnąć. Ona pokręciła głową i cofnęła się o krok, opierając się o drzwi. Alec spojrzał na dziewczynki i w końcu zwrócił się w stronę Maznana Changa.

Chłopczyk uśmiechnął się, rozpoznając go.

Wszyscy patrzyli, jak Alec pochyła się i podnosi dziecko.

Mały uścisnął go i promiennie uśmiechnął się do Lydii.

- Pani, mama kazała mi nigdy tego nie mówić. To jest mój papa.

Fleur zakrztusiła się lekko, a Emma uspokajała ją, kładąc rękę na ramieniu. Veronica otworzyła drzwi wejściowe.

- Myślę, że już wystarczająco się nasłuchałam - powiedziała chłodno. - Proponuję, żebyśmy wszyscy weszli do środka. Nie powiem, że bym do końca rozumiała, co tu się dzieje, ale chętnie wysłucham jakichś wyjaśnień.

## EPILOG

1958, trzy miesiące później, Anglia

Przez trzy lata żyłam bez matki. Teraz, gdy rozmawiamy o tym straconym czasie, robimy dobrą minę do złej gry i mówimy sobie, że to nas przynajmniej wzmocniło.

Mama obserwuje nas cały czas, nic nie ujdzie jej uwagi. Na szyi nosi medalion, w którym trzyma nasze zdjęcia. Zdejmuje go tylko do kąpieli. Kiedy patrzę na tę moją fotografię, widzę dziecko o uważnym spojrzeniu, krzywym uśmiechu i umorusanym koniuszku nosa. Trudno mi uwierzyć, że taka kiedyś byłam, ale czasem udaje mi się wrócić do przeszłości i ożywić ją. Jesteśmy tam we trzy, mama, Fleur i ja. Jest rok 1955 i wszystko jest przed nami.

Gdy weszliśmy do domu taty tego dnia, gdy mama wróciła, nigdy nie widziałam jej tak wściekłej. Przy nas groziła tacie policją: za defraudacje i uprowadzenie, jak mówiła. Fleur wybuchła płaczem, a blada jak ściana Veronica uspokajała ją. Tata powiedział, że nie ma na to dowodów, ale mama nie zgodziła się, żebyśmy zostały u niego na noc. Myślę, że co do tych dowodów, to blefował, bo w zamian za odstąpienie przez mamę od pójścia na policję pozwolił nam iść z nią do hotelu. Fleur trzeba było do tego namawiać – robiła to głównie Veronica – ale ja i chłopiec byliśmy zachwyceni.

Mama ma przyznaną opiekę rodzicielską nad Fleur i mną,

a Maz zdecydował, że chce mieszkać z nami. Mama tak naprawdę nie chciała mieszkać w to policji. Powiedziała mi później, że i tak wiele przeszliśmy i że dla Fleur na pewno byłoby to okropne, gdyby tata znalazł się w więzieniu.

Obie z mamą nie okazywałyśmy Fleur i Mazowi, jaką złość czujemy nadal do taty, bo oni na niektóre weekendy do niego jeździli. Ja nie potrafię wybaczyć tacie tego, co nam zrobił. Podobnie mama. Gdy jedzie po Fleur i Maza, stara się traktować go chłodno, ale uprzejmie. Ja miewam wrażenie, że tata chciałby porozmawiać, ale jej się tak nie wydaje. Najsmutniejsze, że opuściła go Veronica. Stało się to w dniu ponownego skompletowania naszej rodziny, czyli trzy miesiące temu, i od tej chwili wszelki słuch o niej zaginął. Może Maz był tą kroplą, która przepełniła czarę goryczy? Tak czy owak, tata żyje samotnie i to może jest dla niego wystarczającą karą.

Po pierwszym spotkaniu ze swoją matką mama wróciła do hotelu z zaczerwienionymi oczami, ale z szerokim uśmiechem na twarzy i kluczami do Kingsland Hall w ręku.

Patrzę, jak rozpala kominek w wielkim salonie babci, jak gniecie gazetę, dorzuca sosnowe szyszki i podpałkę. Jest nadal piękna, w pewnym sensie nawet bardziej niż kiedyś, ale straciła jakąś część dawnego blasku. Włosy upina zawsze do góry wielką szylkretową kłamrą. Nie opadają jej na ramiona jak dawniej. Jest już maj, a jej ciągle jest zimno.

Wstaje z kolan przy kominku, z zaczerwienionymi policzkami, i widzi, że czekamy.

- Mamo, to jest Billy. Widziałaś go koło domu taty.

- Pamiętam. Cześć, Billy. Przepraszam, że nie podam ci ręki

- mówi, wycierając ścierką ubrudzone sadzą ręce.

- Zespół Billy'ego występuje w sobotę w Mecca Ballroom w Birmingham.

- Ach tak?

- Gramy jako support, ale to i tak dla nas wielka szansa - mówi Billy.

- Na pewno.

- Rzecz w tym, mamó, że Billy poprosił, żeby z nim pojechała.

- Ale nie na motorze, pani Cartwright. Emma pojedzie ze mną naszym vanem.

- Och, nie wydaje mi się... - mówi mama i zamierza iść do kuchni, gdzie Fleur piecze ciasto. - Jest na to stanowczo za mała.

- Mamó!

- Emmó?

Patrzymy na siebie znieruchomiełe. Nie po raz pierwszy zdarza się jej zapomnieć. Krzywię się.

- Mamó, ja mam piętnaście lat.

Spogląda na mnie obojętnym wzrokiem, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć, po czym kiwa głową, a oczy jej wilgotnieją.

- No tak.

- Więc mogę jechać?

- No cóż, piętnaście lat to wciąż nie za wiele.

- Mój tata będzie prowadził - podrzuca dodatkowy argument Billy.

- Okej, poddam się. Tylko niech nie wraca za późno.

Billy i ja szczerzymy do siebie zęby w uśmiechu, gdy mama wychodzi, żeby pomóc Fleur. Jestem tak podekscytowana, że skaczę do góry niczym dziesięciolatka.

- Myślałem, że masz piętnaście - mówi Billy, patrząc mi w twarz i naśladując nacisk, z jakim rzuciłam mamie tę liczbę w twarz.

Daję mu kuksańca.

Nic nie jest w stanie popsuć mojego nastroju. Jestem pełna szczęścia i nadziei. To wspaniałe, że jestem młoda, wybieram się z Billym do Mecca Ballroom. No i że odzyskałam moją matkę. Niewidzialna nić łącząca jej serce z moim nigdy nie została zerwana. I wiedziałam, że nigdy nie zostanie. Ta świadomość była dla mnie cenniejsza niż wszystko, nawet to, że odnalazłam babcię i że mieszkamy w Kingsland Hall.

Ale gdy czasami kładę się na podłodze z rozrzuconymi rękami i nogami, wracam myślami do czasów, gdy miałam lat jedenaście. Zamykam oczy i znów leżę na brzuchu, licząc dziury po sękach w drewnianej podłodze w naszym dziecięcym pokoju w Malakce. Malaje - to tak dawno i tak daleko, ale ja nigdy nie zapomnę chmur przypominających piankę na cytrynowym sorbecie i zapachów snujących się wokół drzew w głębi ogrodu.

Nieważne, dokąd zaprowadzi mnie los. I nawet jeśli pewnego dnia przestanę pamiętać tamtejsze dźwięki, Malaje zachowam na zawsze w moim sercu. To tam byłam dzieckiem, które jeszcze nie wie, jak okrutne może okazać się życie. I zapach cytrynowej trawy pozostanie ze mną na zawsze, tak jak poranny śpiew mamy i kwiat strelicji wpięty w jej

kasztanowe włosy.

## NOTA OD AUTORKI

*Rozłątka* stanowi literacką fikcję, opartą na wydarzeniach z lat pięćdziesiątych, kiedy na Malajach toczyły się narodowowyzwoleńcze walki. I choć bohaterowie książki to postacie zmyślane, niemające w założeniu przypominać realnie żyjących czy zmarłych osób, opowieść zawiera reminiscencje i echa mojego spędzonego w tamtym czasie na Malajach dzieciństwa.

Są tu fragmenty zainspirowane opowieściami rodzinnymi; ja na przykład, podobnie jak moja bohaterka Emma, zabłądziłam w muzeum figur woskowych i zobaczyłam coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu. A moja matka naprawdę występowała jako piosenkarka w hotelu w Singapurze. Między innymi pamiętam też pływanie w naturalnym zbiorniku wodnym na plantacji kauczuku w stanie Johor, stertę karabinów złożonych na stole w holu przez plantatorów przyjeżdżających do miasta na przyjęcie, a także kolory i dźwięki chińskiej dzielnicy, do której kiedyś zaprowadziła mnie moja chińska *amah*, nosząca imię Ah Moi. Pamiętam domy na palach, gubiące ogony jaszczurki i wiele jeszcze innych malajskich widoków, zapachów i dźwięków.

Wspomnienia mojej matki, jej pamiętniki i cudowne albumy ze zdjęciami stały się inspiracją dla opisu licznych miejsc, w których toczy się akcja książki, w szczególności plantacji

Jacka, domu Harriet Parrott, domu Cicely i szpitala dla umyślowo chorych. Na YouTube znalazłam mnóstwo wspaniałego materiału filmowego na temat dawnych kolonialnych wnętrz, szczegółów życia codziennego na plantacjach, a także w miejskich rezydencjach Singapuru i Malakki. Katalogowi Colonial Film zawdzięczam dostęp do bogactwa ruchomych obrazów dokumentujących Imperium Brytyjskie.

Mój ojciec pracował przy rozwoju i odbudowie systemu pocztowego i w ciągu kilku lat przeprowadzaliśmy się osiem razy. Niewiele mówił o swojej pracy, ale kochał Malaje i również dzięki jego wspomnieniom mogłam zbudować obraz tamtejszego życia i wyobrazić sobie, jak wyglądała dżungla, malajskie wioski i obozy dla przesiedleńców.

Dzięki internetowi, firmom Amazon i Google, miałam dostęp do świata książek, blogów i pamiętników. Jestem wdzięczna za wiedzę o kraju, jakim były Malaje, a w szczególności o moim rodzinnym mieście, Malakce. Miałam szczęście przyjść na świat w tak nadzwyczajnym miejscu i czasie. Wywarło to wpływ na całe moje życie. Wiele z opisów Malakki w tej powieści oparłam na własnych wspomnieniach, wszelkie nieścisłości proszę więc złożyć na karb mojej pamięci, która była w stanie przechować jedynie niezbyt wyraźny obraz przeszłości. Czułam, że jest to w pewnym sensie zaleta mojego opisu, i z tego powodu powstrzymałam się od odwiedzin we współczesnej Malakce. Zachowałam pisownię nazw własnych w wersji z lat pięćdziesiątych.

Historia Lydii, Aleca, Emmy i Fleur nie jest jednak historią



mojej rodziny. My nigdy się nie rozstaliśmy i wszyscy razem wróciliśmy do Anglii na statku podobnym do tego, którym płynęła Emma, z tym że nasza podróż odbyła się w 1957 roku, w czasie blokady Kanału Sueskiego. Sceny na statku są w dużej mierze oparte na moich własnych wspomnieniach. Dobrze dawałam sobie radę z poruszaniem się po kołyszącym się pokładzie nawet w czasie sztormu.

Historie o duchach i baśnie przytaczane przez Emmę są częściowo inspirowane opowieściami, jakie znalazłam w internecie, a także w następujących książkach:

Walter Skeat, *Malay Magic*, Macmillan, Londyn, 1900

R.O. Winstedt, *Shaman, Saiva and Sufi*, Singapur, 1925;  
przedruk wydawnictwo Forgotten Books, 2007

Frena Bloomfield, *The Book of Chinese Beliefs*, Arrow Books, Londyn, 1983.

Lydii, gdy musiała stawić czoła temu, co ją spotkało, użyczyłam swoich doświadczeń matki zmagającej się ze śmiercią dziecka, tego nieprzemijającego żalu i niekończącej się żałoby. Tytułem zakończenia chciałabym przytoczyć wiersz napisany przez mojego ówczesnego szwagra. W tamtym czasie dostałam mnóstwo pięknych listów i kartek z wyrazami współczucia, ale te słowa do dziś ściskają mnie za serce. Mam nadzieję, że i niniejsza powieść będzie w stanie dostarczyć czytelnikom trwałych wzruszeń.

*Dla Dinah, na śmierć jej syna*

*Następnym razem przyjdiesz do nas  
jako mężczyzna bez jednej nogi*

*i wszyscy będziemy patrzeć  
na brakującą kończynę.*

*Będziemy się uśmiechać  
prawie, jak on się śmiał,  
następnym razem gdy przyjdiesz do nas,  
będziemy czyhać na jego śmiech.*

*A kiedy zaczniesz mówić -  
dumny, jak to jednonogi,  
bez zająknięcia, bez potknięcia -  
to nas twój ból uczyni kulawymi,*

*a potem będzie już tylko spokój,  
kiedy złapiemy się na tym,  
że milczkiem zgromadzeni wokół twojego fotela -  
wokół naszego jednonogiego -  
jesteśmy gotowi cię podtrzymać,  
gdy - co nieuchronne - osuniesz się,*

*a potem już będzie tylko spokój,  
kiedy złapiemy się na tym,  
że milczkiem zgromadzeni wokół twojego fotela  
zbierzemy czternaście słonecznych cieni,  
po jednym na każdy rok życia.*

Dick Holdsworth, 1985

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym bardzo podziękować następującym osobom, bez których nieocenionej pomocy ta książka nie mogłaby się ukazać. Mojej przyjaciółce od zawsze, pisarce Gillian White, za życzliwą zachętę od samego początku. Vanessie Neuling za czytanie pierwszych wersji oraz za mądre i wnikliwe uwagi. Mojej agentce Caroline Hardman z Hardman & Swainson za entuzjastyczne i pełne zaangażowania przyjęcie książki oraz za fachowe porady. Całemu zespołowi wydawnictwa Viking/Penguin, w szczególności dyrektor wydawniczej Venetii Butterfield i mojej redaktorce Elspeth Sinclair, obie były fantastyczne. Nicole Wotherspoon za podzielenie się wspomnieniami z życia na Malajach w latach pięćdziesiątych i za odtworzenie realiów życia w angielskiej szkole z internatem. Sophie Endersby za informacje o ówczesnie obowiązującym prawie do dziedziczenia i o tym, jak wystawia się świadectwo zgonu, gdy nie odnaleziono ciała. Mojej matce za wspomnienia i albumy fotograficzne. I mojej ukochanej, wspierającej mnie rodzinie, młodszemu i starszemu pokoleniu, a w szczególności mojemu angielskiej cierpliwości mężowi Richardowi, który zawsze wierzył w tę książkę i z zapalem włączał się w zbieranie informacji. Wszystkim wam dziękuję.

[1] Urządzenie umożliwiające oddychanie chorym dotkniętym porażeniem mięśni, np. przepony; powszechnie używane w czasie światowej epidemii choroby Heinego-Medina w II poł. XX wieku.

[2] Zabytkowy budynek w Londynie, w tamtym czasie siedziba wielu instytucji publicznych, m.in. Centralnego Rejestru Urodzeń, Ślubów i Zgonów

Tytuł oryginału: *The Separation*

Pierwsze wydanie: Penguin Books Ltd, Londyn, 2014

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Bianka Dziadkiewicz

Korekta: Sylwia Sandowska-Dobija

© 2014 by Dinah Jefferies

The author has asserted her moral rights. All rights reserved.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-2927-2

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.